

CENA 20 zł

nr indeksu 332593



NA STRONIE FRAZA ONLINE

POEZJA, PROZA, ESEJ, DRAMAT: Bałys, Bednarek, Dmitroca, Hrynac, Hunia, Kołodziejczyk, Kosiba, Kulaj, Inglot-Siemaszo, Lenkowska, Le, Lewandowska, Lipiński, Matuszkiewicz, Mossakowska-Mikulska, Olbromski, Sikora, Smolarek, Sławiński, Stosur, Szymczyk, Śliwa, Topczyj, Wilczyński, Zieliński i in. SPOTKANIA Z CYKLU „FRAZY OSOBISTE” z: Marcinem Oskarem Czarnikiem, Iwoną i Antonim Matuszkiewiczami, Katarzyną Turaj-Kalińską. SZTUKA: Polskie wątki w mandze.

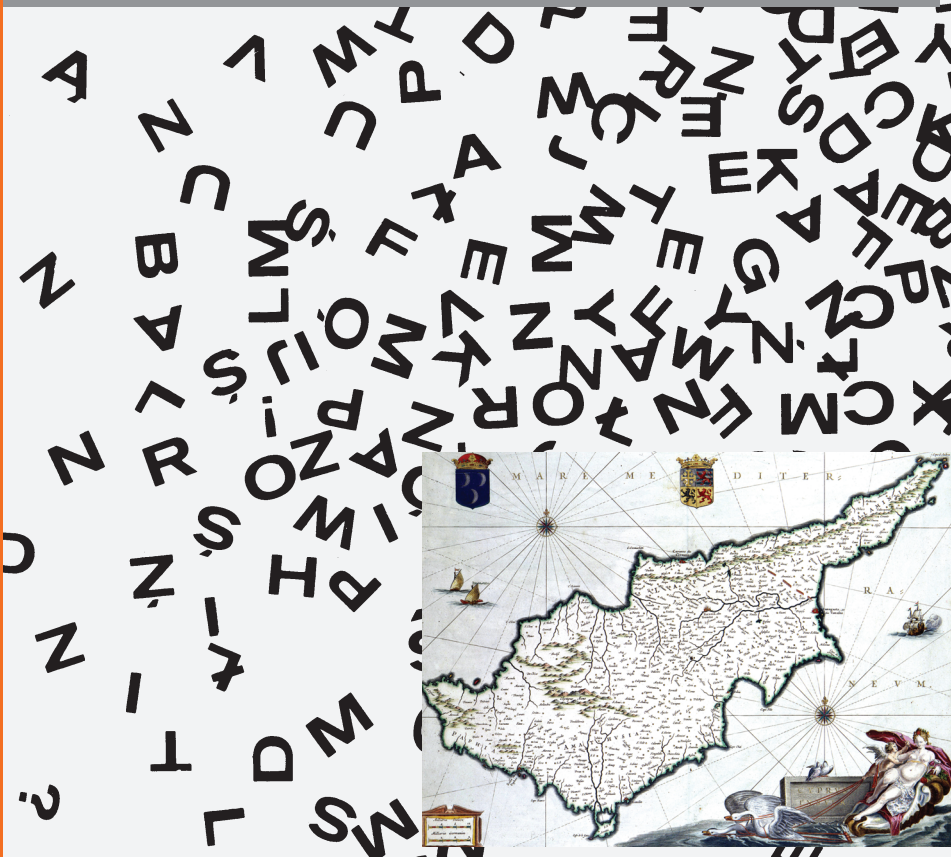


FRAZA nr 4 (126) 2024

FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 4 (126) 2024



źródło: Wikipedia

Cypr – z obu stron lustra: AWGI, Bozkurt, BZINKOWSKI, Fevzioğlu, GAWŁOWSKI, GEORGIOU, Joannou, KORKMAZEL, Marangou. MART, Montis, NEOFITU, Nikolaou, PANAGIOTOU, Papakonstantinou, PAPALOIU, Patapiou, PEONIDIS, Stawrinidis, Tapakoudis, YAŞIN, Zackheos, ZAJĄC i in. Portrety: DUDZIŃSKA, STRUMYK, ZAMBRZYCKA. Poezja i proza: Dobkowska-Kubacka, HUNIA, Lenkowska, LEWANDOWSKA, Mścisz, NOWAKOWSKA, Pasterski, SZWEDA, Tomczyk-Maryon, Zajęc-Czerkies i in. Laureaci XX OKP im. K. Ratonia Olkusz 2024 (Jurkowska, Skonieczny, Wierchucka). Szkice o Carson, Chutnik, Jabłońskiej, Szpili i prozie sanatoryjnej.

Fot. Danuta B. Łomaczewska



Andrzej Lam

Profesorowi Andrzejowi Lamowi, mentorowi, niezawodnemu przyjacielowi i autorowi „Frazy” z okazji jubileuszu 95. urodzin składamy najserdeczniejsze wszelkiej pomyślności i zdrowia, realizacji twórczych planów i dedykujemy ten numer „Frazy”

Chwała ci, przyjaźni!
Mojej najwyższej nadziei
pierwsza jutrenko!
Ach, bez końca
Zdawała mi się droga i noc,
całe życie bez celu i nienawistne!
Po dwakroć chcę żyć,
a teraz patrzę w twoje oczy,
poranny blask i zwycięstwo,
najukochańsza bogini!

Fryderyk Nietzsche, *Do przyjaźni*,
przełożył Andrzej Lam, „Fraza”, 2024, nr 1–2



Motta:

*Nieliczni nas czytają,
nieliczni znają nasz język,
tkwimy bez uznania i bez oklasków
w tym odległym zakątku,
ale dla przeciwwagi piszemy po grecku.*

Kostas Montis, *Greccy poeci*,
przełożył Michał Bzinkowski

*Choćby i z daleka
obróć się, no i spójrz jeszcze raz;
na twoje miasto splądrowane
i zmęczone jak ty...
Nawet kamienie żebrzą,
wydłubane z dna murów,
unosząc lekko spódnice z wzorzystej tkaniny...*

Tamer Öncül, *Pamiętaj* (fragment),
przełożył Marcel Nowakowski



© Copyright by Stowarzyszenie

Literacko-Artystyczne „Fraza”

Rok XXXII nr 4/2024 (126)

PL ISSN 1230-4832

Nr indeksu 332593

Redaguje zespół

Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka naczelna,

Anna Jamrozek-Sowa, Iwona Misiak, Janusz Pasterski,

Jan Wołski, Matylda Zatorska (sekretarzyni redakcji)

Współpracownicy:

Jan Belcik, Marek Kusiba (Kanada), Kazimierz Maciąg,

Antoni Matuszkiewicz (Czechy), Ryszard Mścisiz,

Elżbieta Rokosz, Krystyna Wałc, Piotr Wołtaszek

Projekt okładki:

Antoni Nikiel

Recenzenci naukowci:

Dr hab. Ewa Bartos (Uniwersytet Śląski w Katowicach),

dr Dorota Cegiłka (Uniwersytet im. A. Mickiewicza

w Poznaniu), dr hab. prof. UWM Joanna Chłosta-

Zielonka (Uniwersytet Wamiński-Mazurski w Olsztynie),

prof. dr hab. Ożturk Emiröglü (Uniwersytet Warszawski),

dr hab. prof. UJ Joanna Janik (Uniwersytet Jagielloński

w Krakowie), dr hab. Jan Kucharski (Uniwersytet Śląski

w Katowicach), dr hab. Agnieszka Nęcka-Czapka

(Uniwersytet Śląski w Katowicach), dr hab. prof. UJ

Dorota Siwor (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie)

Adres do korespondencji:

„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,

35-310 Rzeszów

e-mail: fraza@ur.edu.pl

„Fraza” w Internecie:

<http://frazza.ur.edu.pl>

[https://www.facebook.com/profile.](https://www.facebook.com/profile.php?id=100088752245399)

[https://www.facebook.com/profile.](https://www.facebook.com/profile.php?id=100088752245399)

https://www.instagram.com/kwartalnik_fraza/

(prowadzi Piotr Wołtaszek)

Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”

35-310 Rzeszów

ul. Rejtana 16 c, p. 107

Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów

89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 30.11.2024 r.

Prosimy o teksty w wersji elektronicznej. Materiałów niezamówionych nie odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo do zmiany tytułów i skróto.

Korekta:

Iwona Misiak, Krystyna Wałc, Matylda Zatorska

Skład i łamanie:

„Otwarty Rozdział”

Druk:

„Bonus Liber”

Spis treści:

Pożegnanie z „Frazą” (Magdalena RABIZO-BIREK) 4

CYPR – Z OBU STRON LUSTRA

Kostas MONTIS, Inwazja turecka II, Wersy o inwazji tureckiej, Wykład w Lekfokii, Migdalowiec, przełożył Michał Bzikowski	6
Dimosthenis STAWRINIDIS, Komonik, przełożyła Nina Anna Trzaska	8
Wiersze poetek greckocypryjskich w przekładach Amelii Szalewskiej, Claire ANGELIDOU, Ostatnie słowo; Dina PAGIASI-KATSOURI, Afrodyta; Rula IOANNIDOU-STAWROU, Lato to jest	11
Panikos PEONIDIS, Poranek w parku, przełożył Marcel Nowakowski	15
Niki MARANGO, Dla przyjaciół z północy, List do Dionisiosa, przełożył Leszek Paul	17
Michał BZIKOWSKI, Głosem cypryjskich idoli spoza czasu – o archeologicznych wierszach	
Kiriakosa Charalambidisa	19
Nasa PATAPIOU, Na Cyprze palmy nie wydają owoców..., Na Kirke ustronnej wyspie, przełożył Leszek Paul	30
Jorgos NEOFITU, Dwóch synów miałas, matulu ma... Monolog sceniczny, przełożyła Małgorzata Borowska	33
Roksani NIKOLAOU, Na tyłach wzroku, Bajka, przełożył Leszek Paul	36
Kiriakos TAPAKOUDIS, Nawiedzony (historia z deszcznikiem), przełożyła Nina Anna Trzaska	38
Eftihia PANAGIOTOU, nacina ręka, znaczy szpital, święta Cecylia męczennica w wodnym rytmie, daje wam wolną rękę, Rzemieślnicy (O anatomii poetyckiej), przełożył Leszek Paul	42
Antonis GEORGIOU, Chwila beztroski, przełożył Przemysław Kordos	47
Maria A. JOANNOU, Model D234578, Palmy to dziwne twory, przełożył Marcel Nowakowski	53
Luiza PAPALOIZU, Napowietrzna, przełożył Przemysław Kordos	59
Marilena ZACKHEOS, Św. Sofia, Waszyngton, 2011, przełożył Marcel Nowakowski	61
Lili AWGI, Ateńska ruletka, W listopadzie, To drzewo, przełożył Przemysław Kordos	62
Jorgos PAPAOKONSTANTINO, Rozłąki czas, Zachód słońca, *** Widzę twoją twarz..., *** A więc..., przełożyły Antonia Kostopoulou i Veroniki Kostopoulou	66
Samet MART, Flora, przełożyła Grażyna Zając	70
Poezja tureckocypryjska w przekładach Joanny Cieplę: Urkiye MINE BALMAN, Ludzie; Özker YAŞIN, Ktoś obcy; Taner BAYBARS, Pięć wiersów; Fikret DEMİRAG, Nie piej kurapatwo, bo umrę; Kaya ÇANCA, Dłonie o długich paznokciach, Süleyman ULUÇAMGİL, Nic; Nice DENİZÖĞÜ, Tobie	73
İsmail BOZKURT, Człowieczeństwo, przełożyła Grażyna Zając	79
Türkyay ILICAK, W polowie, przełożyła Grażyna Zając	84
Grażyna ZAJĄC, Narodziny powieści w literaturze Turków cypryjskich	86
Neşe YAŞIN, Kwiaty pokoju, Kół, przełożyła Joanna Cieplę	96
Bülent FEVZİOĞLU, Czy na pewno...?, Święteczne przygotowania i gorąca brytfanna..., Moja fotografia piętnastolatka... Medal honorowy i wspomnienia sprzed 44 lat..., przełożyła Grażyna Zając	98
Wiersze tureckocypryjskie w przekładach Marcei Nowakowskiej: Tamer ÖNCÜL, Pamiętaj; Gür GENÇ, Lekfoska; Emel KAYA, Myśląc o tobie; HALI KARAPAŞOĞLU, Miłość z ostrą papryką	107
Gürgenc KORKMAZEL, Trzmieloidy, przełożyła Grażyna Zając	110
Robert GAWŁOWSKI, Cypria	114

PORTRETY

Grażyna ZAMBRZYCKA, Tora toro Toronto, Kraków w nocy, Trakcja Łódź Fabryczna – Warszawa – Olsztyn, 2023, Na preriach, Przy stoliku, Cattle Drive	129
Poezja to ustanawianie sensu. Z Grażyną Zambrzycką rozmawia Olga Medvedeva-Nathoo	134
Grażyna ZAMBRZYCKA, Mehrnaz i Monika	139
Grzegorz STRUMYK, Przekroczenia, *** Dzień prawie doskonały..., *** Świat udany..., *** Dyskretnie rozbylski..., *** Słowa prześwietlają..., Czy	144
Ewa Elżbieta NOWAKOWSKA, Nowydzierzenie a przeczucie szczęścia – jubileuszowo o Grzegorzu Strumyku	146
Grzegorz STRUMYK, Łańcuchy	150
Łucja DUDZIŃSKA, Powroty. Droga, Atrybuty. Wizerunek, Chwila. Czas	161
Teresa TOMSIA, Dążąc ku przejaśnieniu. O poezji Łucji Dudzińskiej	162

TRANSGRESJE I METAMORFOZY

Janusz PASTERSKI, Moja rzeka, Czasy przedwojenne, Mikrohistorie, Przykładem do oka, Inny lipiec, Rzym, Z dziejów attyckich miast. Elegia archeologiczna	168
Katarzyna LEWANDOWSKA, Piłtno	174
Ewa Elżbieta NOWAKOWSKA, Rotunda, Święty gaj, Wzgórze Lasoty, Lampiony, Wigwamy, Dworzec	180
Katarzyna SZWEDA, Planetnice (fragment)	185
Maria Magdalena RUDLUK, Eskulpywni, Rocznicza śmierci Czesława Miłosza	192

Krystyna LENKOWSKA, Sprawa Anne Carson z mojej polskiej perspektywy	195
Anne CARSON, Sprawa przeciwko sprawie przeciwko poezji, przełożyła Krystyna Lenkowska	200
Joanna DOBKOWSKA-KUBACKA, Czytelniczka	203
Ryszard MŚCISZ, Zniesłowiecie, Epitaforum Andrzeja Topczyja, Klucz do pokoju, Bogini	216
Monika ZAJĄC-CZERKIES, Patrzący w siebie, Morgi, Między wierszami, Symfonia pastoralna, Inspiracja nocka, Miarowość oddechów, *** Zastukały mi szyby	220
Wiktoria KULAK, Sanatoryjne tropy w powieściach Małgorzaty Saramonowicz Sanatorium oraz Emilii Walczak Diablica	224
Anna Maria WIERZCHUCKA, wiatr nie jest domem liże tylko zwierzęta, siała baba znicze, wieniec bobkowy, to nie jest świat dla starych mitów, księżyc zimny i wielki jak dom	235
Anna RUTKOWSKA, Czy ekofeminizm nas wyzwoli? Kobiecość, seksualność i natura w <i>Oczepussy</i> . <i>Opowiadaniach postporno</i> Agnieszki Szpilii	239
Rafał SKONIECZNY, pierwszy koniec, ponieważ nie poznałem miłości, że woźę jego buty, wieża, dwa kije	250
Olivia PIETRAS, Budowanie wspólnoty kobiet ofiar w tomie Agaty Jabłońskiej <i>Dla moich dziewczyn</i>	254
Marta JURKOWSKA, *** Moja kuzynka... Halloween, Imigranci, *** Biegłam przez	265
Maria ZIELONKA, Miasto jako bohater literacki. Warszawa w twórczości Sylwii Chutnik	268
Wojciech Józef ROGOWSKI, Disco polo, Miniatury: 42, 48, 71, 200, 216	279
Kazimierz BRAKONIECKI, Bretania/Breizh/Pariz 2005	282
Fryderyk HUNIA, Lato, Dlaczego, Kamień, Oda do drzewa, Nie wychodź..., Brąncuśi, Pierwszy śnieg, Człowiek	298
Janusz PASTERSKI, Zwiąże anturaze	304
Marta TOMCZYK-MARYON, Podróż Pana M., Trzygłowy, Anturaze śmierci Pani M., Na sofie, Wojciech widziane z góry...], [Te dni bezpowrotne...], [Dobre słowo...], Śniade chłopaki z Vestfi, Kobieto, [Kobiety zatrzymują zegary...]	306

FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, Kobiect zapach, Murzynka, Omaha	311
Grzegorz STRUMYK, Łatania 46	315
Roman SABO, Tobago, <i>Ulysses</i> Tennysona	317
Robert SUWAŁA, Kuglarz	321
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, Pilnuje mnie kto?	326
Teresa TOMSIA, „Nie pochlebiałem nikomu...”, W szacunku dla odrębności	333

O KSIĄŻKACH

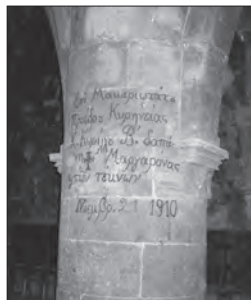
Mariusz KALANDYK, Ślady historii a orficka świadomość losu (Marzanna Bogumiła Kielar, <i>Wilki</i>)	338
Bartosz SUWINSKI, Podtrzymując więź z cieniem (Joanna Matlachowska-Pala, <i>W chmurach światła</i>)	342
Tomasz PYZIK, Inne odcienie materii (Bartłomiej Świec, <i>Martwy gołąb</i>)	344
Ryszard MŚCISZ, Smutki uboczne (Izabela Poniatowska, <i>papier nożyce</i>)	345
Patrycja KALETA, Zrób miejsce nocnym ptakom (Urszula Koziół, <i>Raptularz</i>)	348
Długos o tomie Katarzyny Szwedy <i>zemia vulgaris</i> : Natalia FORMAL, Liwia GALUSZKA	351
Jan BELCİK, A może jest nas takich więcej? (Roman Adamski, <i>Oto człowiek. Rozmyślania o Drodze Krzyżowej</i>)	354
Jacek LECH, Ta przekłeta historia Europy Środkowo-Wschodniej... (Andrzej Stasiuk, <i>Rzeka dziecinstwa</i>)	356
Kazimierz MACIĄG, Światy Mirowskie i nie tylko (Andrzej Bałys, <i>Ballady Mirowskie i inne opowiadania</i>)	359
Matylda ZATORSKA, „Kwestia kobieca” – od wynaturzenia do konieczności (Joanna Dobkowska-Kubacka, „Przyszły czas na ruch kobiet poważnych”. Kampania o prawo do wykształcenia i pracy zawodowej, w tym artystycznej, kobiet wywodzących się z ziemiaństwa i inteligencji w latach 1864–1914 w <i>Królestwie Polskim</i>)	361

KRONIKA

Szlachetne bibliofilstwo. Jan Wolski kawalerem Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem (red. i J.W.)	365
<i>Lingua Adamica</i> . Konferencja naukowa o twórczości Adama Czerniawskiego (Janusz PASTERSKI)	368
Kryzys czy przesilenie? XX OKP. im. K. Ratonia Olkus 2024 (Magdalena RABIZO-BIREK)	371

AUTORIZY „FRAZY”	374
ZAPROSILI NAS	389
PUBLIKACJE NADESŁANE	390
KOMUNIKATY	392

W galerii „Frazy”:



Fot. G. Zajęc

Cypr w fotografiach Marcela Nowakowskiego i Grażyny Zajęc

nakład 300 egz.

„Frazy” jest pismem redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

Rada Naukowa „Frazy”:

Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (University of Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódźski), Anna Nasilowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, budżetu Gminy Miasto Rzeszów

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY W WARSZAWIE
POLISH-CANADIAN PUBLISHING FUND

rzeszów
stolica innowacji

KULTURA
W RZESZOWIE

POŻEGNANIE Z „FRAZĄ”

Droży Państwo, żegnając się z pismem, w którego redakcji spędziłam 33 lata, a jako redaktorka naczelna pracowałam ponad 26 lat. Decyzja nie jest nagłą, dojrzewała we mnie od kilku lat, które były ponad miarę wypełnione staraniami o materialne podstawy istnienia pisma, pracą redakcyjną, organizowaniem spotkań z czytelnikami w Rzeszowie, na Podkarpaciu i rodzinnym Dolnym Śląsku. Miały one podbudować na duchu redakcję „Frazy”, tracącą nie tylko siły, ale przede wszystkim wiarę w sens dalszego tworzenia pisma (a może przede wszystkim mnie samą, jego naczelną?). W trzydziestolecie istnienia „Frazy” napisałam w nocy od redakcji, że moje i większości jej członkiń oraz członków dojrzałe życie upłynęło na tworzeniu pisma i jego środowiska. Było rzeczywistość – jak głosił tytuł noty – „całym życiem” z „Frazą”. Ale moje życie to nie tylko „Fraza”, to także praca naukowa i naukowa, aktywności w polskim życiu kulturalnym i artystycznym, rodzina, przyjaciele. W mijającym właśnie 2024 roku okazało się, że nie jestem już w stanie wykonać wszystkich wziętych na siebie obowiązków, że cierpi na tym „Fraza”, moje sprawy osobiste i zawodowe oraz zdrowie, gdyż żyję w ciągłym stresie, jestem przemęczona i wypalona. Mogłabym wymienić wiele przyczyn tego stanu rzeczy niezależnych ode mnie, choćby brak systemowej pomocy dla „Frazy” ze strony władz miasta Rzeszowa, województwa podkarpackiego, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (kilkakrotnie w ostatnich kilkunastu latach nieprzynajętych nam dotacji w konkursach), mnożące się problemy z wypełnianiem coraz bardziej skomplikowanych wniosków konkursowych, a potem koniecznością rozliczania ich dotacji w czasie zawsze za krótkim na systematyczne wydawanie pisma, nierozwiązywalne problemy z jego dystrybucją i sprzedażą. Próbowaliśmy stworzyć periodyk łączący prezentację współczesnej literatury i sztuki z refleksjami naukowymi, co się w części udało, ale nie przyniosło pismu tak wielu „punktów”, które skłoniłyby władze Uniwersytetu Rzeszowskiego (gdzie pracuje większość redakcji) do wzięcia redakcji pod wyłączną pieczę. W szerokim zespole redakcyjnym jest tylko dwoje młodych ludzi, którzy nie czuli się na siłach, by mnie zastąpić. Starsi nie mają na to czasu, mają ważniejsze od „Frazy” zajęcia... Problemy kadrowe redakcji wynikają z wybranego przez nas sposobu funkcjonowania – od początku istnienia pracujemy społecznie i mamy to zapisane w statucie naszego wydawcy – Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (instytucji także zagrożonej w swym dalszym istnieniu). A młodzi ludzie muszą z czegoś żyć... Gęsto się tłumaczę, zamiast starać się podsumować nasz ogromny dorobek i wszystkie osiągnięcia. Ale to zajęłoby cały numer pisma! Może tylko „Fraza” po nas zostanie... Stworzyliśmy – jak kiedyś powiedziano o nas, czasopismo na najwyższym poziomie – merytorycznym, międzyludzkim. Ale czas (papierowych) periodyków kulturalnych przemija. Kultura przenosi (przeniosła) się do internetowych nisz. I tam będzie jeszcze funkcjonowała nasza strona internetowa, w dziale Fraza Online

znajdą się ostatnie materiały, których, choć zostały przyjęte do druku, nie zdołałam zmieścić w ostatnich numerach „Frazy”. Z całego serca dziękuję wszystkim długoletnim współpracownikom i współpracowniczkom, serdecznym i sprawdzonym przyjaciółom i przyjaciółkom, autorom i autorkom „Frazy”, naszym czytelnikom i czytelniczkom, mecenasom i mecenasom, zaprzyjaźnionym instytucjom kultury: dyrekcji, pracownikom i pracowniczkom Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, redaktorkom i redaktorom Polskiego Radia Rzeszów, władzom Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa oraz Uniwersytetu Rzeszowskiego. Przepraszam bardzo za wszystkie swoje ludzkie, redaktorskie i korektorskie: błędy, niedociągnięcia, uchybienia.

Magdalena Rabizo-Birek

(w redakcji „Frazy” od 1992 roku, redaktorka naczelna w latach 1998–2024)

Ps. Poetycko uczył „Frazę” i frazonautów Janusz Pasterski w zamieszczonym w tym numerze wierszu *Z dziejów attyckich miast. Elegia archeologiczna*, jakże współbrzmiającym z cypryjskim działem tego numeru.

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, sady oliwkowe w okolicach Chirokitii

CYPR – Z OBU STRON LUSTRA*

Kostas Montis

INWAZJA TURECKA II**

Ta lalka z obciętą ręką
zawieszona w oknie
zrujnowanego domu,
jakiego dzieciaka chciała pożegnać,
dla jakiego dzieciaka zawlekła się aż do okna,
by pomachać ręką i ją ucięto?



Fot. Archiwum M. Bzinkowskiego

Kostas Montis

WERSY O INWAZJI TURECKIEJ

Jest wielkie zapotrzebowanie na wersy
o tureckiej inwazji.
Pani M pilnie ich chce
do audycji radiowej w Paryżu,
dwa greckie i jeden angielski periodyk
potrzebują ich do numerów specjalnych,
w Camden Town i w Nowym Jorku
organizują dwa filantropijne wieczorki taneczne,
które ozdobi recytacja wierszy na czasie.

*Dział cypryjski „Frazy” przygotował Michał Bzinkowski, wybór tekstów i redakcja: Iwona Misiak i Małtylda Zatorska. Zapis nazwisk greckich i nazw własnych redakcja pozostawiła w wersji zaproponowanej przez autorki i autorów. Oryginalna pisownia nazwisk znajduje się w biogramach autorów.

** Z tomu: *Απαντα Α'. Ποίηση, Λευκωσία, Ίδρυμα Αναστασίου Γ. Λεβέντη 1987.*

Chodzi o prezentację Cypru,
co bardzo pomoże w zbiorce dla uchodźców.
Jak im powiedzieć, że stężał atrament w moim piórze,
jak im powiedzieć, że stężała krew w moim sercu,
jak im powiedzieć, żeby nas zostawili w spokoju?

WYKŁAD W LEFKOZJI

Mali ludzie
w wielkich salach
dbają o to, by mówić
o wszystkim, na czym się za bardzo nie znają.
I słuchają ich z podziwem
inni mniejsi od nich
i biją im brawo.
Przeraźliwy pogłos
wydają puste uderzające dłonie
pustych,
bo cała ta pusta bezkresna sala
została zbudowana celowo
z potężną akustyką
odpowiednią dla małych oklasków.

MIGDAŁOWIEC

Dla niego liczą się zwłaszcza kwiaty.
Liście niech czekają.

Przełożył Michał Bzinkowski

Dimosthenis Stawrinidis

KOMORNIK

Czerwiec. Słodka poranna bryza, delikatna niczym trzepot motyli skrzydeł, tchnie i ożywia naturę. Słońce jeszcze nie wzniosło się ponad horyzont na tyle, żeby przypiekać i zlewać potem chłopów, którzy z samego rana, każdy z dziećmi, żoną i zwierzętami gospodarskimi, wylegali na gumna.

Przez małe okno izby domu mojego gospodarza widziałem na rozciągających się na dużym obszarze klepiskach pszenicę ułożoną w różne kształty, przeważnie symetryczne, a do moich uszu docierały rozróżnialne głosy wioskowych mieszające się z rykami należących do nich zwierząt jucznych oraz z rytmicznym dźwiękiem dzwonków owiec, które pasły się spokojnie na wzniesieniu pod czujnym okiem małego pastuszka.

Nie wiedziałem, jak to możliwe, że ziemia Mesaorii¹, tak wysuszona latem, owego poranka była aż tak urokliwa, z orzeźwiającym tchnieniem bryzy, z kołyszącą się na wietrze suchą roślinnością, ze słodkim podzwanianiem owiec, z bezchmurnym nieboskłonem, tak intensywnie błękitnym, jakby został dwukrotnie pomalowany, jak to ktoś ujął, pędzlem wielkiego Stwórcy Wszechrzeczy. Dopelnienie owej czarowności natury stanowił wdzięczny widok chłopów zajętych rzemiosłem Demetry², wraz z całą malowniczością mających w oddali wraków³ oraz jeszcze bardziej malowniczymi sukniami kobiet i wielobarwnymi chustami na ich głowach.

Trwałem tak w skupieniu i długi czas przyglądałem się zmaganiom owych prawdziwych mocarzy, pracujących bez ustanku i bez słowa skargi, jakby byli ukontentowani żniwami, zwilżając własnym potem każdą piędź ziemi, tej po trzykroć błogosławionej ziemi, tłustej i urodzajnej, z której niedawno gęsto wyrastała na wysokość człowieka pszenica. Tej ziemi, z której wykwitają drzewka oliwne, która nasycy się zapachem pomarańczy, która sprawia, że winorośle uginają się pod ciężarem gron i która zazielenia krzaki bawełny.

W tym czasie słońce wschodziło coraz wyżej, oświetlając ściany i wyposażenie izby, w której się znajdowałem. Duże pomieszczenie, po-

¹ Mesaoria (Μεσαορία) – największa równina Cypru, znajdująca się na północy wyspy.

² Chodzi o prace rolnicze, Demeter była boginią urodzaju i rolnictwa.

³ Rodzaj tradycyjnych szerokich spodni.

łączone z innym, odrobinę mniejszym, stanowiło domostwo rzadcy wsi. Ściany, niedawno pobielone na przekór czerni dachu i drewnianych obramowań okien, pozostawały puste; tylko na jednej z nich błyszczało kilka talerzy pomalowanych w jaskrawe kolory, przytwierdzonych wysoko na kształt krzyża. A na półce ponad nimi, obiegającej wszystkie cztery ściany, stały w ustalonym porządku kolejne talerze, różnobarwne lampki i kilka wazonów, z których wystawały nieliczne suche kłosa.

Nic więcej. Jedyne kilka domowych sprzętów, jakieś zawieszone na gwoździach sita i kosze, zaburzało monotonię ścian powtarzającą się w przyległej izbie. Całe umeblowanie pomieszczenia stanowiły dwa-trzy grubo ciosane krzesła, stół, przy którym wieczeraliśmy, używany także przez gospodarza jako biurko i drewniane łóżko, na którym zasypiano wieczorem.

Owe izby, położone w głębi gospodarstwa, wyglądały na rozciągające się przed nimi duże podwórze obramowane niskim murkiem, którego ubytki zakrywały suche gałęzie i pokaźne ciernie. Na środku podwórza ponad poziom ziemi wystawała rozwarta paszcza studni, nieopodal której brudna świnia, pochrumkując, tarzała się w błocie razem ze swoimi prosiętami.

Kawałek dalej przywiązane postronkiem osioł i wół jadły spokojnie paszę, podczas gdy między ich nogami rozgrzebywały pazurami gnój nieustraszone kury. Niektóre z nich ośmieliły się nawet doskoczyć do żłobu osła, żeby podkraść jakieś ziarnko jęczmienia, który, jako że osioł miał przetrwać całodzienną pracę, rzucono na wierzch siana.

Na chwilę skierowałem swój wzrok na gospodynię. Wiejska jejmość w średnim wieku, raczej drobnej postury, z dłońmi zrogowaciałymi od ciężkiej pracy, krzątała się w pełnym odzieniu i szykowała dzieci na wyjście do gumna, aby w spokoju mogła przygotować nam posiłek.

– Nuże, nie ociagać się – mówiła. – Raz się nam trafił gość, toż wypada go uraczyć.

I tak krzątała się ta wiejska dobrodziejka, trzęsąc bezwiednie swoim wystającym brzuchem i obciążając dół jednoczęściowej sukni, przewiązanej w pasie żółtą chustą.

Krzyki i nagły zgiełk przerwały monotonny spokój domu. Kury zaczęły trzepotać skrzydłami, wyrzucając z siebie co jakiś czas donośne wrzaski, chrząknięcia świni wzmożły się, a osioł, tak przecież cierpliwy, przyzwyczajony do hałasu i krzyku, przerwał jedzenie, nadstawił uszu i otworzył pysk, żeby tym razem wydać z siebie dźwięki swojej symfonii.

Co się stało?

Wyszedłem, żeby się dowiedzieć i zobaczyłem gospodynię, jak wchodzi przez drzwi od podwórza, blada i wzburzona, jak gdyby rabusie napadli nocą gumno i ukradli im pszenicę.

– Patrz ich, nie się Pana Boga nie boją! – powiedziała zadyszana. – Wstają bladym świtem, przychodzą zabrać dobytek naszej ubogiej sąsiadki, Kateriny Odiseasowej. Wszystko, co jest jej niezbędne w domu, garnki, deski jej łóżka, ładują na jej bydlątko, jedyne, jakie trzymała i zabierają, żeby sprzedać. Nie zapytają nawet o zgodę mojego męża, który jest rządcą tej wsi.

– Co to za jedni?

– To komornik ze swoimi dwoma „mundurowymi”⁴. Jej mąż, Odiseas, zalegał z podatkami. Nie poczekali, aż zbierze żniwo i je sprzeda, żeby skombinował biedaczyna kilka paradów⁵ na spłatę podatków, na zmniejszenie długów, tylko wstali chybikiem, żeby sprzedać dobytek jego żony... Jutro przyjdą i ci, co mu udzielili pożyczek, oni też mu zabiorą jego plon, a wtedy zobaczymy, co się stanie z tym nieszczęśnikiem...

Po chwili ukazał się przez drzwi frontowe domu stary osioł obładowany sprzętami domowymi i pościelą, ciągnięty przez jednego „mundurowego” na plac wsi, gdzie miała się odbyć aukcja.

Później usłyszeliśmy płacz i chwilę później zobaczyliśmy sąsiadkę Katerinę, której dobytek miał zostać sprzedany, bladą, z niezaplecionymi włosami, z zaczerwienionymi policzkami, jak gdyby rozdarła je paznokciami, idącą za komornikiem, który kroczył dumnie wyprężony, wesolutki, ucieszony!

Na widok biedaczki Kateriny, za którą biegło pięcioro lub sześcioro zapłakanych dzieci, moja gospodyni, wiejska jejmość, wściekła rozcapierzyła palce prawej dłoni w kierunku komornika⁶, który wciąż kroczył dumnie wyprężony, ucieszony jak człowiek, który spełnił swój obowiązek. Odprowadziła go kłutwą, którą powtarzać będą po niej po cichu wszystkie kobiety ze wsi:

– Ach, przeklęty grabieżco, obyś już nigdy nie postawił stopy w naszej wsi!

Dimosthenis Stawrinidis

Przełożyła Nina Anna Trzaska

⁴ W oryginale pada słowo ζαπτιές, które określa policjantów, żandarmów lub tak zwanych strażników pól (χωροφύλακες).

⁵ Parad – moneta turecka wartości czterdziestej części grosza.

⁶ Ten gest to tzw. „mountza” (μούντζα), inaczej określana jako „faskeloma” (φασκέλωμα); jest bardzo obelżywy i nadal w powszechnym użyciu.

Wiersze poetek greckocypryjskich w przekładach Amelii Szalewskiej

Claire Angelidou

OSTATNIE SŁOWO*

Strzeż klucza. Jest do domu.
Kiedy będziesz tam, otwórz.
Przechowuj go w bezpiecznym miejscu
i co jakiś czas czyść.
Nie powinien zardzewieć.
Niech będzie gotowy, gdy wam powiedzą,
byście wrócili...
Zamknęłam na dwa razy zewnętrzne drzwi.
Trzeba je popchnąć na zewnątrz,
nie zapomnij...
Ja nie wrócę, jak to planowałam.
Ty pójdziesz.
Zobaczysz znowu ogród i orzechowiec,
który posadziłam...
Uważaj na klucz.
Nasze podwórko będzie pachnieć
jaśminem.
Tylko że od lat nie była przycinana.

Winorośl na pewno będzie owocować...
Kiedy pójdziesz, przyprowadź Minasa, żeby ją przyciął.
I nie zapomnij o bazylii w doniczkach.
Będzie pięknie, dzięki Bogu, w naszym ogrodzie.
Nie płacz.
Tylko klucza dobrze strzeż.
Wiesz, jakie będziesz mieć trudności, jeśli go zgubisz?
Gdzie znajdziesz ślusarza, który wymieni ci zamek,
gdy do Miasta wrócisz.

* Z tomu *Τον ξέππιζομαι* [Wykorzenienia], 1976.

Dina Pagiassi-Katsouri

AFRODYTA*

Nie jest
nasza
tamta Afrodyta
co głaszcze
podeszwami swych stóp
równinę Mesaoria
i górskie szczyty Pendadaktilos.

Nie jest
nasza
ani mityczna
tamta Afrodyta
która założyła
czarną chustę
a jej oczy
palą pola
i zranione palce
miejscowych.
Gdzie jest Adonis,
znak rozpoznawczy –
gdzie jest procesja
z dziewicami o obnażonych piersiach
koszami,
podczaszymi,
gołębiami
i fallusami?

Tamta Afrodyta,
tamta dziewczyna,

* Z tomu *Υπομνήματα* [Memorandum], 1978.

co siedzi
na bastionach,
co kręci się
po molach i dokach
z linią smutku
na ustach
na pewno
nie może być nasza.

Rula Ioannidou-Stawrou

LATO TO JEST*

1. Dziewczyny sukienka,
która unosi się
pomiędzy snem a białym żaglem.
2. Pierwsza miłość.
3. Twoje oczy.
4. Nostalgia rozwieszona na horyzoncie.
5. Moja samotność.
6. Piasek co pali
7. Morze Kirenii.
8. Morze Warosii.¹
9. Inne morze Cypru.
10. Ty, który myślisz o mnie.
11. Słowa bez znaczenia.
12. Różowa piosenka.
13. Pomarańczowy zachód słońca.
14. Gwiazda co spada.
15. Nasza miłość.
16. Pocałunek co poleciał z mewami.
17. Śmiech naszych przyjaciół.

* Z tomu *Στις Διαστάσεις των Χρωμάτων (Γαλάζιο)* [W wymiarach kolorów (Niebieski)], 1990.

¹ Warosia – opuszczona dzielnica Famagusty na Cyprze. 14 sierpnia 1974 r. została zajęta przez tureckie wojsko i jest od tego czasu pod kontrolą Cypru Północnego. Do 1974 r. Turcy cypryjscy zamieszkiwali Starą Famagustę, podczas gdy Grecy cypryjscy mieszkali w Warosii. Przypis tłumaczki – A.Sz.

18. Listy, których do mnie nie wysłałeś.
19. Piosenki, których dla mnie nie napisałeś.
20. Okno otwarte na wsi.
21. Długi spacer po świecie.
22. Letni czas, o którym marzymy.
23. Letni czas, który minął.
24. Letni czas, który nadejdzie.
25. Letni czas, który nie nadejdzie.
26. Wszystkie błahе rzeczy.

Przełożyła Amelia Szalewska



Fot. Grażyna Zając

Cypr, katedra św. Mikołaja, Famagusta

Panikos Peonidis

PORANEK W PARKU

Tamten dzień zaczął się jak inne. Wczorajsze, przedwczorajsze, zeszłotygodniowe, zeszłomiesięczne. O szóstej, jak zawsze, był na nogach, po porannej toalecie, parzył kawę, układał serwetę pod śniadanie. Mnóstwo oliwek, czarny chleb i szklanka mleka z tabletką na ciśnienie, którą zażywał.

Postępował Dimitris zgodnie z zaleceniami lekarza. Trzy tabletki na dzień. Jedna na ciśnienie, po południu mała aspiryna i wieczorem jedna na cholesterol. Plus chodzenie, naturalnie, którego było coraz mniej, ponieważ jego nogi nie były już w stanie wytrzymać przechadzki po trójkącie. Trwało więc parę godzin w małym parku, na rogu ulicy. Dimitris nie był szczególnie zadowolony z tego stanu rzeczy, ale cóż miał zrobić. Drugi, wielki park znajdował się dalej i z czasem stał się nieosiągalny. Sąsiad z samochodem wyjechał przed dwoma laty i nie znalazł się żaden zastępca.

Zastanawiał się czasem Dimitris, co do diabła dzieje się z jego życiem i trudził się, trudził bez końca. Wszyscy dawni współpracownicy pożegnali się jak należy i wyjechali. Nie leżało to w naturze Dimitrisa, naturalnie, nawet kiedy odbijał nieco takie pytania, działało się to na swój własny sposób, szczęśliwie, z jakimś nieokreślonym humorem.

We wszystkim niemal widział też pewną dziwność. Również dlatego i w grupach znajomych miał pozycję uprzywilejowaną.

Ale te sprawy należały już do przeszłości, stare grupy znajomych powymierały, rozmowy stały się rzadkim gatunkiem. Uci-chły i one.

Wyszedł Dimitris na chodnik, skierował się w stronę małego parku, odległość – około trzydziestu-czterdziestu metrów i to prostą drogą. Usiadł na swojej ławce, druga nieco dalej, jak zawsze, była niemal pusta. Na drzewie z boku siedział wróbel. Dimitris



For: Archiwum M. Nowakowskiego

Panikos Peonidis

został i patrzył na niego, aż w pewnym momencie przymknął oczy i zasnął. Obudził go hałas. Jak gdyby ktoś bawił się strunami skrzypiec i pośród tych dźwięków pojawiały się nuty, melodyjne nuty tanga. Znajome było to rzępolenie, którego pochodzenie nie dawało się określić. Kiedyś w dzieciństwie wpadły mu w ręce skrzypce i ponieważ nie było nauczyciela, dość się przy nich namęczył. Nie trwało to jednak dłużej niż rok, ponieważ pewnego dnia jego nerwowy ojciec się ich pozbył. Taka była historia jego skrzypiec, które zostały bardzo szybko zapomniane, nie zostawiwszy po sobie niczego.

I oto teraz, po sześćdziesięciu, siedemdziesięciu latach, dźwięk, здаwałoby się, z tych samych strun. Mieszanina absurdu i logiki, bez miejsca pochodzenia, jak gdyby wywodził się z głębi czasu.

Dźwięki te nie ucichły w żadnej chwili i gdy Dimitris ruszył w drogę do domu, szły za nim niemalże do werandy. Wszedł do kuchni, żeby przygotować coś szybkiego na obiad. Czuł się tak dobrze.

W tę samą południową chwilę dwie sąsiadki gawędziły na murku dzielącym ich podwórza. Rozmawiały o pogodzie, która doszczętnie powariowała, nie wiesz, co ci przyniesie dzień, rozmawiały o ciężarówce, która zbiera śmieci, twarz jej się zmieniła, zmodernizowali ją, rozmawiały o tym, że za parę lat już w ogóle nie będzie ślubów. I kiedy jedna oddalała się od drugiej, szepnęła.

– Ogłuchnąć szło dzisiaj od tych połamanych strun!

– A któż to tak?

– Syn Aliki. Studiuje muzykę i przyjechał w odwiedziny do rodziców!

Do Dimitrisa nie dotarła ta rozmowa. Szukał ciągle kanału muzycznego, który zabrałby go do lat dziecięcych i młodzieńczych. Przeszłość ożyła.

Panikos Peonidis

Przełożył Marcel Nowakowski

Niki Marangou

DLA PRZYJACIOŁ Z PÓŁNOCY

Tylko dlatego, że mówię o różach,
dyfuzji światła,
niemocy miłości
i doczesnym naszym życiu,
nie myślcie, przyjaciele z północy,
że to, co wydarzyło się w 74,
nie rozpościera się na moim życiu
jak plama,
każdego dnia.



Niki Marangou

Księżyc wylania się z morza jak kawałek arbuza
i moja matka, zmarła, na werandzie naszego domu na plaży
[w Famaguście, woła, byśmy wyszli z wody.
Pewnego dnia zobaczyłam obraz, który namalowała
na ścianie tawerny w Karpasi.
Tawerny stworzonej ze skradzionych krzeseł, skradzionych obrusów,
[skradzionych drzwi,
skradzionych klamek.

„To mojej matki”, powiedziałam karczmarzowi, „tutaj jest jej imię”.
„Ale teraz jest moje”, powiedział mężczyzna, który przybył z miejsca,
[gdzie wschodzi słońce,
(tak go opisała jego żona).
„Teraz jest moje, powiedział”, *ganimet*¹,
tak nazywa się to po turecku”.

¹ *Ganimet* (tur.) – łup wojenny.

LIST DO DIONISIOSA

*Nic, co powiedzieliśmy, nie jest pewne
ani o zimorodkach, ani o słowikach*

Lukian

Bo widzisz Dionisiosie,
dziś niełatwo jest komuś mówić
z pewnością ani o zimorodkach, ani o słowikach,
gdy mieszka w domu,
w którego fundamentach nie poświęcono koguta,
ani nie śpi na posłaniu
z krzyżami wszytymi w cztery rogi,
na który padały monety
złote i srebrne,
i nasiona bawełny, i sezamu
lub z tłumem nie wylał się na ulice
aż do późna w nocy
do jasno oświetlonych domów,
z Łazarzami² przystrojonymi żółtymi kwiatami,
i wokół ich posłań pełnych kwiatów
wieńce i ziarna,
ptaki, gady, płatki,
mąka, koper włoski, воск i miód
bardziej miękkie niż sen.

Tak więc Dionisiosie,
w tym ogólnym zawirowaniu
niedokładności uczuć,
pijąc kawę, w piątek rano
nie mam ci nic więcej do powiedzenia
niż to, że bardzo za tobą tęskniłam.

Niki Marangou
Przełożył Leszek Paul

² W Larnace, mieście na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy, w dawnych czasach, podczas Soboty Łazarza, odbywały się uroczystości przypominające antyczne Dionizje.

Michał Bzinkowski

GŁOSEM CYPRYJSKICH IDOLI SPOZA CZASU

– o archeologicznych wierszach Kiriakosa Charalambidisa

Spośród cypryjskich pisarzy tworzących w standardowym języku greckim tylko dwóch zyskało powszechne uznanie w Grecji: Kostas Montis (1914–2004) oraz Kiriakos Charalambidis (ur. 1940). Obaj byli znani głównie jako poeci, ale pisali także prozy poetyckie, nowele, opowiadania czy eseje, byli również tłumaczeni na język polski¹. Zdobyli rozpoznawalność dzięki swojej niepowtarzalnej liryce, tak bardzo odmiennej u każdego z nich, ale przede wszystkim dzięki temu, że można ich uznać za narodowych poetów cypryjskich odważnie opowiadających o najnowszej, trudnej historii, zwłaszcza o inwazji tureckiej na Cypr w 1974 roku i podziale wyspy, który trwa po dziś dzień. Właśnie owa trauma po tragicznych wydarzeniach staje się głównym punktem odniesienia w twórczości obu pisarzy i zarazem elementem tożsamościowym, z którym się identyfikują². Obaj pochodzący z Ammochostos (Famagusty) twórcy stali się uchodźcami, gdy ich rodzinne miasto znalazło się po tureckiej, północnej części Cypru po 1974 roku, a dzielnica Warosia, gdzie tradycyjnie mieszkali Grekocypryjczycy, została wyludniona i stała się miastem-duchem.

Charalambidis we wszystkich swoich najbardziej znanych utworach powstałych po 1974 roku: *Wybrzeżu Achajów* (1977), *Famaguście królującej* (1982), *Kopule* (1989) czy *Metahistorii* (1995), nieustannie powraca do przeżytej traumy w mocnych, poetyckich obrazach. Usiłując twórczo łączyć mit i historię, zwłaszcza najnowszą, nawiązuje tym samym do twórczości Jorgosa Seferisa³. W alegorycznych, podszytych subtelną ironią wielowersowych utworach, w oryginalny sposób

¹ Garść wybranych wierszy Montisa można znaleźć w antologiach poezji nowogreckiej. Największy dotychczas wybór znajdziemy w przekładzie Małgorzaty Borowskiej. Taż, *Panorama greckojęzycznej literatury cypryjskiej* [w:] *Cypr: dzieje, literatura, kultura*, t. II, red. M. Borowska, P. Kordos, D. Maliszewski, Warszawa 2014, s. 119–134. Wybrane wiersze i prozy Charalambidisa ukazały się w obszernym wyborze, zob.: tenże, *Literatura jest oddechem życia*, red. K. Tuszyńska, przeł. M. Bzinkowski, N. Trzaska, R. Tumiarska, Poznań 2022. Edycja zawiera m.in. wywiad z Charalambidisem, którego udzielił tłumaczowi jego poezji w Krakowie w 2015 r.

² W. Selioti, *Λογοτεχνία και τραύμα. Το 1974 στην κυπριακή και ελληνική λογοτεχνία*, Επίκεντρο, Αθήνα 2021, s. 29, 120, 133. Warto podkreślić, że obecnie są to jedyni grekocypryjscy pisarze, których twórczość pojawia się w szkolnych podręcznikach w Grecji.

³ Zob. M. Borowska, dz. cyt., s. 146. O inspiracjach i swoistym dialogowaniu Charalambidisa z Seferisem zob. M. Bzinkowski *Ο ποιητικός διάλογος του Κυριάκου Χαράλαμπίδη με τον Γιώργο Σεφέρη* [w:] *Γλώσσες Ίμερος: Η ποίηση του Κυριάκου Χαράλαμπίδη*. Αθήνα, επιμ. Α.Κ. Πετρίδης, Δ. Δημητρίου, Ηρόδοτος Εκδόσεις 2022, s. 435–461.

opowiada o najnowszych wydarzeniach z historii Cypru, umieszczając je na uniwersalnej matrycy doświadczeń człowieka współczesnego⁴.

Wspomniana twórczość Charalambidisa odnosząca się do tragedii Cypru w 1974 roku jest dość dobrze zbadana i powstało na jej temat sporo opracowań, których nie sposób tutaj wymienić. Przed 1974 rokiem opublikował trzy tomy poetyckie, znacznie mniej znane, a równie istotne, jeśli idzie o siłę jego liryki i jej oddźwięk w świecie greckim – *Pierwsze źródło* (1961), *Nieznanomość wody* (1967) oraz *Waza z wzorami* (1973). Zwłaszcza drugi z nich, poprzedzony przedmową Takisa Papatsonisa (1895–1976), któremu zresztą poeta dedykował jeden z wierszy, można uznać za niezwykle oryginalny głos w dyskusji na temat helleniskości Cypru i jego przynależności do cywilizacji i kultury greckiej od najdawniejszych czasów. Jak w przypadku większości wierszy z pierwszego okresu twórczości, także utwory z tego zbioru są niemal w całości poświęcone rodzinnej wyspie i nie ulega wątpliwości, że to właśnie ona jest niejako „pierwotną materią” poetyki jego utworów⁵.

Tomik *Nieznanomość wody*, którego tytuł można również rozumieć jako *Niewiedza wody*⁶, zawiera kilka wierszy, określanych mianem „archeologicznych”⁷, a które – dzięki przypisom w greckiej edycji – wyraźnie wskazują, że Charalambidis nawiązuje do odkryć archeologicznych na wyspie. W niniejszym artykule, opierając się na dwóch wybranych wierszach z rzeczzonego zbioru, postaram się rzucić nieco światła na oryginalność Charalambidisa, jeśli idzie o recepcję dziejów Cypru w jego twórczości i równocześnie spróbować uchwycić metodę, za pomocą której poeta czyni aluzje do historii wyspy i do szeroko pojętego hellenizmu⁸. Oprę się na dwóch wierszach ze zbioru – *Konie z grobu kopułowego i Idole*.

Papatsonis podkreśla w swoim wstępie do zbioru Charalambidisa, że choć dotychczas nie stworzył on wielu wierszy (pamiętajmy, że w roku wydania tomu poeta ma lat dwadzieścia siedem), to jego poezja otwiera przed czytelnikiem rozległą, a nawet bezkresne obszary – od tego, co ludzkie poczynając, aż po metafizyczny świat rzeczy niewidzialnych⁹. Jak podkreśla, siła wierszy cypryjskiego poety tkwi zwłaszcza w zwięzłości, epigramatycznej lakoniczności jego ekspresji, gdzie niezwykle ważny staje się wszelki detal¹⁰. W istocie, ta rozległa perspektywa, z ziemi

⁴ Zob. K. Charalambidis, *Literatura jest oddechem życia*, s. 48–49.

⁵ Zob. M. Tsianikas, *Κυριάκος Χαραλαμπίδης: Ημερολόγιο Καταστροφώματος Δ'*, „Πόρφυρας” 2007, nr 124, s. 244.

⁶ Tak tłumaczy go m.in. M. Borowska, dz. cyt., s. 146.

⁷ Zob. L. Papaleontiou, *Ιδιωματικές στιγμές στην ποίηση του Κυριάκου Χαραλαμπίδη*, „Πάροδος” 2010, nr 37, s. 4404.

⁸ Nie zamierzam analizować skomplikowanej tożsamości współczesnych Cypryjczyków, których raz określa się Grekami z Cypru, innym razem Grekocypryjczykami czy Cypro-Grekami. Charalambidis, jak się podkreśla, zachowuje równowagę między tymi tożsamościami, sytuując siebie samego gdzieś pomiędzy. Z kolei Kostas Montis politycznie jest przede wszystkim Cypryjczykiem. Zob. W. Selioti, dz. cyt., s. 243.

⁹ Zob. T. Papatsonis, *Άζιος* [w:] K. Charalambidis, *Η άγνοια του νερού*. Ποιήματα με πρόλογο Τ.Κ. Παπατσώνη, Ίκαρος, Αθήνα 1967, s. 9.

¹⁰ Tamże.

ku niebu, od profanum do sacrum, z dominacją raz jednego, raz drugiego elementu, z ich wzajemnym mieszaniem się i dopełnianiem, będzie cechą charakterystyczną całej późniejszej twórczości Charalambidisa. Można pokusić się o stwierdzenie, że w *Nieznajomości wody*, gdy jeszcze tragiczne wydarzenia historyczne nie naznaczyły wrażliwości poety, a aluzje do bieżących wydarzeń są całkowicie nieobecne, widać zwięzłość i przejrzystość formy¹¹.

Pierwszy utwór zbioru wydaje się istotny w kontekście odbioru wierszy, o których będzie mowa. Nosi zagadkowy tytuł, *Nagi* (Γυμνό [jimnò]), co można również rozumieć jako „nagie” lub „nagiego”, gdyż pozbawiony kontekstu rzeczownik może sugerować mianownik rodzaju nijakiego przymiotnika, ale też biernik rodzaju męskiego czy nijakiego. Epigramatyczny pięciowersowy wiersz bynajmniej nie wyjaśnia tytułu, a mnoży zagadki. Odsłania jednak, jak uważa Papatsonis, wrażliwość poety, jego skromność, „gdy przedstawia «nagą» swoją obecność [...] i z precyzją mędrca alchemika tłumaczy swoje dumne, w skromnej ekspresji, poetyckie dążenie”¹². Ja liryczne jawi się jako zupełnie nagie, domagając się szczerości, prawdy, odsłaniając swoją podwójną naturę¹³:

Γυμνό

Χωρίς άλλα στοιχεία υπ’ όψη μου,
με μόνη της ψυχής μου την ειλικρίνεια
και το διπλό εκμαγείο, που νιώθω
να γίνετ’ ένα καθώς τα χρόνια κυλούν,
διαλύομαι σ’ ό,τι νομίζω τελεσφόρο.

1962

Nagi

Nie mając nic innego na względzie
z jedynej duszy mej szczerością
i podwójną matrycą, która, jak czuję
staje się jedna wraz z upływem lat,
rozpadam się we wszystkim, co uznaję za owocne.

1962

Jak wyznał poeta po latach: „Noszę podwójną matrycę, która nie jest niczym innym, jak twarzą i maską. Obie, twarz i maska, z czasem się utożsamiają, stają się

¹¹ Zob. Th. Pylarinos, *Kyriakos Charalambides. An Introduction to his Poetry*, Nicosia 2009, s. 18.

¹² Wszystkie przekłady w niniejszym tekście pochodzą od autora. Zob. T. Papatsonis, dz. cyt., s. 9.

¹³ Zob. L. Papaleontiou, *Στοιχεία της ειρωνείας στην ποίηση του Κυριάκου Χαραλαμπίδη*, „Πόρφυρας” 2007, nr 124, s. 212.

jednym. Nie wiesz, czy pozostajesz tylko z twarzą, czy tylko z maską lub, ostatecznie, czy ma to znaczenie, żebyśmy znaleźli odpowiedź”¹⁴. Zarówno to wyznanie, jak i powyższy wiersz, napisany gdy Charalambidis miał lat dwadzieścia dwa, można odnieść do całej jego twórczości. Odsłania nam bowiem nie tylko proces twórczy, ale i sytuuje poetę wobec jego wierszy. Ja liryczne zdaje się mówić z dystansem, żeby nie szukać twórcy za materią poetycką, bo jest on po trosze we wszystkim, co tylko w danej chwili jest dla niego efektywne, co może przerobić na wiersz, przetworzyć w słowo. Jego osobowość jest płynna, w zależności od materii, z którą obcuje. Może zmieniać postać, niczym w matrycy-formie odlewniczej, odbijać się raz z jednej, raz z drugiej strony, za każdym razem dając inny obraz. Mamy zatem uważność w podpatrywaniu świata i chęć przerobienia najdrobniejszego szczegółu w wiersz, a równocześnie można odnieść wrażenie, że nigdy nie wiadomo, co wyjdzie z procesu tworzenia, który dla samego poety jest pewną tajemnicą i może przynieść nieoczekiwany efekt.

Wiersz *Konie z grobu kopułowego* nawiązuje do dwudziestowiecznych odkryć archeologicznych na Cyprze. Jak głosi lakoniczny przypis w greckiej edycji: „Chodzi o konie znalezione w grobie kopułowym w Alasia, na Cyprze. Pochowano je razem z martwym królem”¹⁵. Nazwę Alasia, którą niegdyś określano całą wyspę Afrodyty¹⁶, stosowano także w odniesieniu do miejscowości Enkomi¹⁷ w północno-wschodniej części Cypru, na północ od Famagusty (Amochostos), obecnie na terytorium Tureckiej Republiki Cypru Północnego. Powyższa informacja jest nieprecyzyjna, gdyż nie chodzi o Enkomi, ale o odległą zaledwie parę kilometrów, położoną na morzem Salaminę¹⁸. Chodzi zwłaszcza o tzw. „królewskie grobowce” datowane na VII/VI w p.n.e., w których składano także konie razem z rydwanami bojowymi¹⁹. Vassos Karageorghis, który prowadził tam wykopaliska przez dwadzieścia dwa lata (1952–1974) z ramienia Wydziału Starożytności rządowej organizacji Republiki Cypryjskiej, zwraca uwagę, że znaleziska wzbudziły także wielkie zain-

¹⁴ Cyt. za L. Papalantiou, dz. cyt., s. 213.

¹⁵ Zob. K. Charalambidis, dz. cyt., s. 59.

¹⁶ Zob. E.J. Peltenburg, *Paleolithic to Late Bronze Ages. 8500–1600 BC [w:] Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, ed. by D. Hunt, London 1990, s. 17–18. Nazwy Alasia i Asy były w użyciu w źródłach bliskowschodnich od przynajmniej 1750 p.n.e. i prawdopodobnie odnosiły się do Cypru. Tamże.

¹⁷ Enkomi jest jednym z najsłynniejszych stanowisk archeologicznych na Cyprze. W epoce brązu było jednym z najważniejszych ośrodków handlowych. Zniszczone przez trzęsienie ziemi w 1075 p.n.e., podupadło i zostało opuszczone. Znaleziska z Enkomi to jedne z najcenniejszych artefaktów z epoki panowania Mykeńczyków na wyspie. Systematyczne badania archeologiczne na Cyprze prowadziła szwedzka ekspedycja w latach 1927–1931, w której dla poznania przeszłości wyspy zasłużył się zwłaszcza Erik Paul Einar Gjerstad. Zob. R.C. Severis, *The Swedes in Cyprus*, Nicosia 2008, s. 220–225.

¹⁸ Na ten fakt zwróciła mi uwagę wybitna znawczyni archeologii cypryjskiej, prof. Ewdoksia Papuci-Władyka, dzięki której udało mi się doprecyzować wiele informacji związanych z odniesieniami archeologicznymi u Charalambidisa, za co pragnę jej gorąco podziękować. Na temat znalezisk w Salaminie zob. J.N. Coldstream, *The Geometric Period [w:] Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, s. 61–64.

¹⁹ Część grobowców można zobaczyć m.in. na stronie internetowej: <https://www.visitncy.com/discover/royal-tombs/> [dostęp 27.10.2024].

teresowanie wśród filologów klasycznych, zwłaszcza znawców Homera²⁰, bowiem podobne rytuały możemy odnaleźć w *Iliadzie*, gdzie podczas pogrzebu Patroklesa zabito cztery konie (Hom. Il. XXIII, 171–177).

Άλογα θολωτού τάφου

Έρχεται κάποτε η στιγμή,
τάφον ανοίγεις
και βρίσκεις άλογα.
Τ' άλογα προσπαθώντας
βρήκαν την έξοδο κλειστή.
Πλυμύρες
παράξενα σφιγτές είναι τα ζώα·
το κοκαλάκι τους σκιρτά κάποτε πλάι
στο μαραμένο λουλουδάκι.

1965

Konie z grobu kopułowego

Przychodzi czasami taka chwila,
że otwierasz grób
i znajdujesz konie.
Konie, choć się starały,
znalazły zamknięte wyjście.
Niczym powódź
dziwnie stłoczone leżą zwierzęta;
gdzieniegdzie ich kosteczki podskakują
obok zwiędłego kwiatka.

1965

Starożytne stanowisko archeologiczne w Salaminie, do którego odwołuje się Charalambidis, zainspirowało także Jorgosa Seferisa, który poświęcił mu znany wiersz *Salamina na Cyprze*, napisany w listopadzie 1953 roku i zamieszczony w tomie *Dziennik Pokładowy III*. O ile jednak Seferis, który przeczuwał zbliżający się konflikt brytyjsko-cypryjski, doświadczył apokaliptycznej wizji i równocześnie niepokojącego zatrzymania czasu, zastęgnięcia²¹, o tyle Charalambidis idzie w zupełnie

²⁰ Zob. V. Karageorghis, *Excavating at Salamis: 1952–1974. Reminiscences and Remarks* [w:] *Salamis of Cyprus: History and Archaeology from the Earliest Times to Late Antiquity. Conference in Nicosia, 21–23 May 2015*, eds. S. Rogge, Ch. Ioannou, T. Mavrogiannis, Münster 2019, s. 29–31. Więcej na temat pochówku koni w Salaminie zob. V. Karageorghis, *Horse Burials on the Island of Cyprus*, „Archaeology” 1965, vol. 18, no. 4, s. 282–290.

²¹ Podobnie jak w innym znanym wierszu z tego samego zbioru, nawiązującym do wykopalisk archeologicznych na Cyprze, zatytułowanym nazwą wspomnianego już stanowiska: *Enkomi*. O cypryjskich

innym kierunku. Obraz z jego wiersza pełen jest dynamiki i życia²². To oryginalne zestawienie skontrastowanych ze sobą obrazów śmierci (grób, kości, zamknięcie, więdnienie) i pulsującej życiem energii („ich kosteczki podskakują / obok zwiędłego kwiatka”), zgasłej cywilizacji sprzed wieków i chwili obecnej, decydują o sile ekspresji wiersza. Zresztą, w tych kilku wersach mamy także wciąż zmieniającą się perspektywę, swoistą zabawę przestrzenią, gdy raz jesteśmy na górze, otwierając grób, innym razem spoglądamy niejako od środka, gdzie „stłoczone leżą zwierzęta”. Rzeczownik „powódź” (πλημμύρα [plimira]) można tłumaczyć także jako „dużą ilość”, „mnóstwo”, co w zestawieniu z przysłówkiem „dziwnie” jeszcze potęguje efekt zaskoczenia.

Owo spotkanie z przeszłością może się wydarzyć w dowolnej chwili, przypadkowo, bez przygotowania, co zdaje się podkreślać „ja” liryczne w pierwszych wersach. Wiersz skonstruowany jest na zasadzie szkatułkowej niespodzianki, a odkrycie kolejnej warstwy niesie ze sobą następne zaskoczenie, potem kolejne i tak w nieskończoność. Charalambidis, niczym archeolog, warstwa po warstwie odsłania przed czytelnikiem obrazy z przeszłości, wydobywa je na światło dzienne. Co ciekawe, odsłaniając przeszłość, nie zadaje żadnych pytań, nie snuje też refleksji. Dominujące uczucie to zdziwienie. Historia Cypru, zdaje się sugerować Charalambidis, jeśli jesteśmy gotowi, by jej posłuchać („przychodzi taka chwila”), usiłuje mówić do nas w zaskakujący sposób.

Drugi z „archeologicznych” wierszy Charalambidisa, zatytułowany *Idole*, ma zupełnie inną formę niż wiersz zaprezentowany powyżej. W całości jest monologiem wygłoszonym przez cypryjskie idole znalezione podczas wykopalisk:

Τα ειδώλια

«Είμαστε όλα γνωστά χορταράκια,
το ένα τ' άλλου μιλά κινώντας
στον προθάλαμο εδώ τα χεράκια του.
Στο βωμό μας προσφέρατε γύρω,
στους αγρούς, ω μεγάλοι, αποσύρεστε,
κι εμείς τα κοντούτσικα γέρνουμε
στον πουλιού τη φωλιά να κοιμηθούμε.
Νύχτα-μέρα-νύχτα προσμένουμε
να στείλη πριν απ' τη γέμιση
του φεγγαριού η Κυρία το περιστέρι».

1966

inspiracjach Seferisa szerzej zob. M. Bzinkowski, *The Light of the Cypriot Sun in the Poetry of George Seferis*, „EOS” 2011, nr 2 (98), s. 223–233; tenże, *Cypr w oczach wielkich pisarzy nowogreckich* [w:] *Cypr: dzieje, literatura, kultura*, s. 213–228.

²² Zob. M. Tsianikas, dz. cyt., s. 244.

Idole

Wszystkie jesteśmy znanymi ździebłkami,
jeden do drugiego mówi ruszając
w tym przedsionku rączkami.
Kładliście nas na tutejszy ołtarz,
na pola, wielcy, odchodzącie,
a my króciutkie zginamy się,
by nim dopełni się księżyc
Pani posłała gołębia.

1966

Z przypisów do wiersza dowiadujemy się, że chodzi o nawiązanie do licznych idoli, które znaleziono w kościele Agia Irini na Cyprze, pochodzących z VII/VI w. p.n.e.²³. Kościół znajduje się w północnej części Cypru, w dystrykcie Kirenia, około dziesięć kilometrów od miasta Morfou. Historia kolekcji idoli, której liczne zdjęcia można zobaczyć w Internecie, jest niebywale interesująca. W 1929 roku miejscowy ksiądz Prokopios orząc pole na północ od kościoła, wykopał figurę wielkości człowieka i schował ją w domu. Przekonany, że ma do czynienia z ważkim odkryciem archeologicznym, natychmiast zgłosił się do Muzeum Archeologicznego w Lefkozji. Szwedzcy archeolodzy, którzy wówczas prowadzili badania na Cyprze, rozpoczęli systematyczne wykopaliska, podczas których odkryto około dwóch tysięcy (!) idoli różnej wielkości. Były złożone koło głównego ołtarza w świątyni jako dary wotywnie dla jakiegoś bóstwa, o którym niewiele wiadomo²⁴. Obecnie większość ze znalezionych idoli znajduje się w Medelhavsmuseet w Sztokholmie i jest częścią największej na świecie kolekcji starożytności cypryjskich²⁵.

Druga uwaga z przypisów dotyczy ostatniego wersu wiersza. Identyfikuje nieznane bóstwo z darami wotywnymi znalezionymi w Agia Irini. Dowiadujemy się z niego, że „Pani” to Wielka Bogini czczona w Grecji w epoce minojsko-myeńskiej i właśnie jej składano na ołtarzu owe idole²⁶. Ponadto, jak czytamy, panowało przekonanie, że mogła pojawiać się pod postacią gołębia, jak również, że była boginią

²³ Zob. K. Charalambidis, *H áγνοια...*, s. 59.

²⁴ Zob. V. Tatton-Brown, *The Archaic Period* [w:] *Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, s. 75.

²⁵ O historii odkrycia idoli, wykopaliskach archeologicznych w Agia Irini, późniejszych losach kolekcji itd. zob. J. Chadzigeorgiou, *Οδοιπορικό: Τα μεγάλα «μυστικά» του χωριού Αγία Ειρήνη Κερύνειας*, „Phile News”, <https://www.philenews.com/politismos/kipros-politismos/article/1492185/odiporiko-ta-megala-mi-stika-tou-choriou-agia-irini-kerinias/> [dostęp 28.10.2024].

²⁶ W świecie mykeńskim tytułowana była jako *potnia*, co potwierdzają inskrypcje zapisane pismem linearnym B znalezione m.in. w Pylos i Knossos. U Homera słowo to pojawia się w odniesieniu do Ateny i Artemidy. Używane przez różnych autorów greckich od epoki archaicznej przynajmniej do XII w. n.e. pojawia się nawet w odniesieniu do Matki Boskiej. Zob. K. Kopaka, *A day in potnia's life. Aspects of 'potnia' and reflected 'mistress' activities in the Aegean Bronze Age* [w:] *POTNIA, Deities and Religion in the Aegean Bronze Age*, Proceedings of the 8th International Aegean Conference Göteborg University, 12-15 April 2000, eds. Robert Laffineur, Robin Hägg, Liège–Austin 2001, s. 15–31.

lunarną kojarzoną z fazami księżyca²⁷. Znów jest to wyjaśnienie niepełne, nie do końca precyzyjne – może celowo, by nie narzucać czytelnikom jednej możliwej interpretacji.

Nie wchodząc w szczegóły, gdyż zakres tej tematyki zdecydowanie nie mieści się w ramach niniejszego tekstu, przypomnę tylko, że właśnie Afrodyta, bogini kojarzona z Cyprem, jako że tam miała się narodzić, była łączona z Wielką Boginią. Jak wiadomo ze źródeł greckich (Herodot, 1.105.2–3), Afrodyta była utożsamiana z fenicką boginią płodności i miłości Astarte (inaczej: Asztarte, co odpowiada Ishtar w mitologii babilońsko-asyryjskiej). W Agia Irini, skąd pochodzą wspomniane idole, znaleziono nawet jej figurkę w postaci kobiety siedzącej na tronie podtrzymywanym przez sfinksy²⁸. Jak podkreśla Karageorghis, dopiero pod wpływem greckim w czasach klasycznych Afrodyta przestała być boginią płodności, a także straciła aspekt funeralny i była kojarzona wyłącznie z pięknem, stając się po prostu Kypridą (Cypryjką)²⁹. Jej atrybutami były również ptaki, zwłaszcza gołębie³⁰, co również może wyjaśniać aluzję w wierszu Charalambidisa.

Cypryjski poeta jest jednak, co widać już przy pobieżnej lekturze *Idoli*, niebywale oryginalny jeśli idzie o eksploatację antycznych wątków i aluzje do dziedzictwa swojej rodzimej wyspy. Zwraca uwagę przede wszystkim forma wiersza. Charalambidis udziela głosu milczącym figurkom sprzed wieków. Nie idzie za Seferisem, który w swoich utworach rozpaczliwie szuka kontaktu z antyczną przeszłością, usiłując rozmawiać z posągami, mówić do kamieni, szukać dotyku mitycznego Króla Asine. U cypryjskiego poety to przeszłość bezpośrednio zwraca się do nas, a przynajmniej takie można odnieść wrażenie. Wielowiekowa historia wyspy Afrodyty położonej na rozdrożu starożytnych cywilizacji pokazuje współistnienie wielu wpływów kulturowych na przestrzeni wieków. Jednak to nie tylko przynależność do pradawnych kultur epoki brązu czy cywilizacji bliskowschodnich, ale przede wszystkim znaczenie, jakie wyspa miała na przestrzeni wieków dla świata greckiego i kształtowania się cywilizacji helleńskiej, staje się dla poety najistotniejsze. To w jego odczuciu świat grecki, ale znacznie starszy niż ten dobrze znany z epoki klasycznej i obecny w przestrzeni kulturowej Europy Zachodniej. To świat, który, dzięki wykopaliskom archeologicznym, dopiero zaczyna do nas przemawiać i odkrywać przed nami nieznane dotychczas drogi transmisji kultury helleńskiej (także minojskiej i mykeńskiej) w basenie Morza Śródziemnego.

Nie zapominajmy jednak, że – jak niemal zawsze u Charalambidisa – także w *Idolach* ukryta jest ironia, która nadaje lekkości ważkim treściom. Tym razem

²⁷ Zob. K. Charalambidis, *H árvota...*, s. 59.

²⁸ Zob. V. Karageorghis, *The Cult of Astarte in Cyprus* [w:] *Symbiosis, Symbolism, and the Power of the Past. Canaan, Ancient Israel, and Their Neighbors, from the Late Bronze Age through Roman Palaestina*, ed. by W.G. Dever and S. Gitin, Penn State University Press 2003, s. 219.

²⁹ Zob. V. Karageorghis, dz. cyt., s. 219.

³⁰ Zob. K. Tuszyńska, *Prolog – Cypr, miejsce gdzie wciąż funkcjonuje mit* [w:] K. Charalambidis, *Literatura jest oddechem życia*, s. 13. Więcej na temat związków Afrodyty ze światem greckim, zwłaszcza w literaturze, tamże, s. 13–18.

oryginalną tonację tworzą liczne zdobienia (ździebelka, rączki, króciutkie), które sprawiają, że zaczynamy patrzeć na ten wycinek rzeczywistości – lub przeszłości – oczami dziecka. Te prastare figurki jawią się jako laleczki, które w wyobraźni dziecka przemawiają do nas i poruszają się. Najistotniejsza wydaje się być sfera sacrum, wszechobecna pod wieloma postaciami w poezji Cypryjczyka. Tutaj jest wyrazista, wychodzi na plan pierwszy i wciąga nas w jakiś pradawny rytuał składania darów ofiarnych prastarej bogini lunarnej. Oglądamy to jednak niejako „od wewnątrz”, patrzeć na wszystko oczyma martwych idoli. Świat z ich perspektywy wydaje się dynamiczny, ciągle się zmienia, a wszystko następuje po sobie jakby w jakimś tajemnym, dawno ustalonym porządku. Jak napisałem powyżej, „wydaje się”, że przeszłość zwraca się ku nam. Powstaje bowiem pytanie, kogo idole nazywają „wielkimi” i kto „odchodzi na pola”? Poeta raz po raz myli tropy, prowadząc nas przez labirynt wypełniony lustrami, które zniekształcają pole widzenia. Właśnie ta zmieniająca się, pulsująca perspektywa, owo podglądanie świata „od wewnątrz”, przez detale, rzeczy nieożywione, przez całe bogactwo rzeczywistości, która jest dla nas milczącą, stanowią o sile poezji Charalambidisa.

Przyczocone tutaj i krótko zanalizowane dwa wiersze Kiriakosa Charalambidisa, *Konie z grobu kopułowego* i *Idole*, odsłaniają oryginalne spojrzenie Cypryjczyka na greckie dziedzictwo wyspy. Jego wiersze „archeologiczne” w nietuzinkowy sposób odsłaniają przeszłość wyspy, pokazując jej pradawne dziedzictwo i przynależność do świata helleńskiego. Grekokypryjski poeta, jak czyni niemal w każdym ze swoich wierszy, także tutaj rozwija przed czytelnikiem nić, która splata się w nieoczywiste wzory, tworząc unikatowe konfiguracje. Charalambidis, jak archeolog, nigdy nie wie, co uda mu się odsłonić, gdy mozolnie przekopuje się przez kolejne warstwy przeszłości. Podobnie jest z czytelnikiem jego wierszy, który nie ma ułatwionego zadania w odnajdywaniu ukrytych tropów i często erudycyjnych aluzji literackich czy kulturowych. W każdym wierszu Charalambidisa otrzymujemy zaproszenie do swoistej gry, jednak to sami musimy odnaleźć zasady, by w nią zagrać. To my musimy odszyfrować znaki, które pojawiają się w jego wierszach i które są przed nami ukryte niczym fragmenty kodów potrzebnych do odczytania pełnego wizerunku pokawałkowanych obrazów.

Michał Bzinkowski

Bibliografia

- Borowska M., *Panorama greckojęzycznej literatury cypryjskiej* [w:] *Cypr: dzieje, literatura, kultura*, t. II, red. M. Borowska, P. Kordos, D. Maliszewski, Wydawnictwo DiG, Wydział „Artes Liberales” UW, Warszawa 2014, s. 43–170.
- Bzinkowski M., *The Light of the Cypriot Sun in the Poetry of George Seferis*, „EOS” 2011, nr 2 (98), s. 223–233.
- Bzinkowski M., *Cypr w oczach wielkich pisarzy nowogreckich* [w:] *Cypr: dzieje, literatura, kultura*, t. II, red. M. Borowska, P. Kordos, D. Maliszewski, Wydawnictwo DiG, Wydział „Artes Liberales” UW, Warszawa 2014, s. 213–228.

- Bzinkowski M., *Ο ποιητικός διάλογος του Κυριάκου Χαραλαμπίδη με τον Γιώργο Σεφέρη* [w:] *Γλώσσης Ίμερος: Η ποίηση του Κυριάκου Χαραλαμπίδη*, επιμ. Α.Κ. Πετρίδης & Δ. Δημητρίου, Εκδόσεις Ηρόδοτος Αθήνα 2023, s. 435–461.
- Chadzigeorgiou J. [Χατζηγεωργίου Γ.], *Οδοιπορικό: Τα μεγάλα «μυστικά» του χωριού Αγία Ειρήνη Κερύνειας*, „Phile News”, <https://www.philenews.com/politismos/kipros-politismos/article/1492185/odiporiko-ta-megala-mistika-tou-choriou-agia-irini-kerinias/> [dostęp 28.10.2024].
- Charalambidis K., *Literatura jest oddechem życia*, red. K. Tuszyńska, przeł. M. Bzinkowski, N. Trzaska, R. Winiarska, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2022.
- Charalambidis K., Χαραλαμπίδης Κ., *Η άγνοια του νερού*. Ποιήματα με πρόλογο Τ.Κ. Παπατσώνη, Ίκαρος, Αθήνα 1967.
- Coldstream J.N., *The Geometric Period* [w:] *Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, ed. by D. Hunt, Trigraph, London 1990, s. 27–64.
<https://www.visitcy.com/discover/royal-tombs/>
- Karageorghis V., *Excavating at Salamis: 1952–1974. Reminiscences and Remarks* [w:] *Salamis of Cyprus: History and Archaeology from the Earliest Times to Late Antiquity*. Conference in Nicosia, 21–23 May 2015, ed. by S. Rogge, Ch. Ioannou, Th. Mavrogiannis, Waxmann Verlag 2019, Münster–New York s. 2531.
- Karageorghis V., *Horse Burials on the Island of Cyprus*, „Archaeology” 1965, vol. 18, no. 4, s. 282–290.
- Karageorghis V., *The Cult of Astarte in Cyprus* [w:] *Symbiosis, Symbolism, and the Power of the Past. Canaan, Ancient Israel, and Their Neighbors, from the Late Bronze Age through Roman Palaeestina*, ed. by W.G. Dever and S. Gitin, Penn State University Press 2003, s. 215–222.
- Kopaka K., *A day in potnia's life. Aspects of 'potnia' and reflected 'mistress' activities in the Aegean Bronze Age* [w:] R. Laffineur, R. Hägg (éds), *POTNIA, Deities and Religion in the Aegean Bronze Age*, Proceedings of the 8th International Aegean Conference Göteborg University, 12–15 April 2000, Liège – Austin, 2001, s. 15–31.
- Papaleontiou L., *Ιδιωματικές στιγμές στην ποίηση του Κυριάκου Χαραλαμπίδη*, „Πάροδος” 2010, nr 37, s. 212–226.
- Papatonis T., Παπατσώνης Τ., *Άγιος* [w:] Κ. Charalambidis, *Η άγνοια του νερού*. Ποιήματα με πρόλογο Τ.Κ. Παπατσώνη, Ίκαρος, Αθήνα 1967, s. 9–13.
- Peltenburg E.J., *Paleolithic to Late Bronze Ages. 8500-1600 BC* [w:] *Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, ed. by D. Hunt, Trigraph, London 1990, s. 1–21.
- Pylarinos Th., *Kyriakos Charalambides. An Introduction to his Poetry*, Nicosia 2009.
- Selioti W., Σελιώτη Β., *Λογοτεχνία και τραύμα. Το 1974 στην κυπριακή και ελληνική λογοτεχνία*, Επίκεντρο, Αθήνα 2021.
- Severis R.C., *The Swedes in Cyprus*, Cyprus Research Centre, Nicosia 2008.
- Tatton-Brown V., *The Archaic Period* [w:] *Footprints in Cyprus. An Illustrated History*, ed. by D. Hunt, Trigraph, London 1990, s. 65–83.
- Tsianikas M., Τσιανίκας Μ., Κυριάκος Χαραλαμπίδης. Ημερολόγιο Καταστρώματος Δ', „Πόρφυρας” 2007, nr 124, s. 243–254.
- Tuszyńska K., *Prolog – Cypr, miejsce gdzie wciąż funkcjonuje mit* [w:] Κ. Charalambidis, *Literatura jest oddechem życia*, red. K. Tuszyńska, przeł. M. Bzinkowski, N. Trzaska, R. Winiarska, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2022, s. 11–58.

The Voice of Cypriot Idols from Beyond Time – on the Archeological poems of Kyriakos Charalambidis

Summary

Kyriakos Charalambidis is one of the most recognisable Greek-language writers to come out of Cyprus. In his mature work he most often refers to the Turkish invasion of Cyprus in 1974. Before that date, however, he published three important volumes of poetry. In this article I analyse two poems from the collection *The Ignorance of Water* (1967), *Horses from the Dome Tomb* and *Idols*. Based on two selected poems from the said collection, I will try to shed some light on Charalambidis' originality as regards the reception of Cypriot history in his work and, at the same time, try to grasp the method by which the poet alludes to the history of the island and to Hellenism in a broader sense.

Keywords: Kyriakos Charalambidis, Jorgos Seferis, Cyprus in modern Greek literature, archaeological motifs in poetry

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, widok na targowisko, Lefkoşa (Nikozja Północna)

Nasa Patapiou

NA CYPRZE PALMY NIE WYDAJĄ OWOCÓW ALBO KŁAMCA KHALIL DAHERI

„Na Cyprze palmy nie wydają owoców”
powiedział generał Mameluków
„bo to kraj niewiernych”.
„Kłamco!” krzyknęłam do niego
z tunelu
przebijającego przez wieki.
„Podnieś oczy i zobacz
na gałęziach palmy
siedzi naga bogini miłości
– Kyprida, Afrodyta Pafijska –
i je przepyszne daktyle
podczas gdy jej obnażone piersi
– ze wszystkich owoców najbardziej boskie –
lśnią białe, białe jak śnieg.
Spójrz w górę a zobaczysz Meluzynę
rusalkę wzdychającą lubieżnie
jak wspina się po pniu
wyniosłej palmy
a jej oczy to żywe urzeczenie”.
„Na Cyprze palmy nie wydają owoców”
nalegał Khalil Daheri
„bo to kraj niewiernych”.
„Ale też lubieżnych kobiet”, odparłam
„nimf i czarownic
mających wiedzę o zaklęciach, czarach
i o eliksirach stworzonych z podniecenia
i podniecających.
Które cię upijają
commandarią cię poczęstują



Fot. Archiwum L. Paula

Nasa Patapiou

na marmurowe klepiska¹
do zamków cię uniosą
i potem
z wyżyn miłości
na dole na brzegach brzegów
będą cię unicestwiać.
Dlatego też i przemieniłam się
w pożądanie.
Och, pożądanie!
Na szczycie palmy
złożyłam swoje nadzieję
i wiszę jak dojrzały owoc
byś mnie skosztował.
Niech zatem każdej jesieni
kiedy dojrzewają na Cyprze
żółtawe, złote palmy...”

NA KIRKE USTRONNEJ WYSPIE

Na drożynach sennych wizji kiedyś,
na urwistych brzegach i skałach niedostępnych,
na zielonej Kirke wyspie zakotwiczyłam,
czarownicy, która drogę
do zaświatów znała.
Żyła z udomowionymi zwierzętami,
które niegdyś były mężczyznami
i których magiczną swoją sztuką
uśpiwszy ich wpierw
a potem różdżką
po mistrzowsku w czworonogi przemieniła.
Zanim się odwróciła by mnie zobaczyć już mnie pozdrowiła.
Poczułam powiedziała twoją kobiecą obecność
na mojej ustronnej wyspie.
I wtedy tłum świi
wylał się by mnie pozdrowić.

¹ Na marmurowych klepiskach – to nawiązanie do mitycznego miejsca walki Dijenisa z Charosem ze średniowiecznego eposu *Dijenis Akritas. Opowieści z kresów bizantyńskich* anonimowego autora. – uwaga tłumacza L.P.

Kto wie pomyślałam może to i potomkowie towarzyszy Odysusza.
Córko Heliosa i Perseis zwróciłam się do niej
daj mi magiczne zioło moly.
Szukam zuchwalca fal
który ci się wymknął
by pojmać go w niewolę.

Nasa Patapiou
Przełożył Leszek Paul



Fot. Grażyna Zając

Cypr, ambona w opactwie Bellapais

Jorgos Neofitu

DWÓCH SYNÓW MIAŁAŚ, MATUŚ MA...

Monolog sceniczny¹

(Staruszka matka cicho sobie nuci)

*Dwóch synów miałaś, matuś ma...*²

Chwila ciszy

Dwóch synów miałaś, matuś ma...

Chwila ciszy



Fot. Archiwum J. Neofitu

Jorgos Neofitu

Ja miałam pięciu... jak moich palców. Jak moich palców. Jak palców tej samej dłoni. Czyż wszystkie jednakie? Jeden mały, drugi duży, jeden gruby, inny znów cienki. Pięciu synów. To samo mleko wysysali z mojej piersi. Jak jednego karmiłam piersią z prawej, drugiego przystawiałam z lewej. Wszystkich żem poila w tych samych objęciach. Do wszystkich żem gadała te same słowa. Aliści kiedy dorosli... Każdy poszedł swoją drogą. Dwaj moi najstarsi znaleźli sobie pracę, poženili się, dobrze im się wiodło. Potem odszedł i Kostis. Ostalim się z Petrisem no i najmłodszym, naszym ostatnim.

U tej samej dłoni. Który uciąć, coby nie czuć bólu? Który dać uciąć, coby mój ból był mniejszy? Którego by nie uciąć, ta sama krew popłynie. A krew, kiedy się wyleje, potem robi się czarna. Jak nasze serce. Dużo krwi wtedy się wylało.

Mój Petris był tamtego dnia w mieście. Przybiegł jeden z pierwszych. Do siedziby arcybiskupa. „Żeby ich przegnać precz, mamó” – powiedział. „Żeby sobie poszli!”. I co, poszli?

Uciekli wszyscy pozostali przy życiu. Rozbiegli się, szukając ocalenia. I Petris też był z nimi. Petrisa i dwóch innych wzięła do siebie jedna z tych pocziwych niewiast. Szczęść jej Boże, gdziekolwiek jest. – „Ukryjta się!” – powiedziała im. – „Ukryjta się, póki nie minie noc”.

¹ Tytuł oryginalny: Δύο γιους είχας. μανούλα μου..., Πρώτη δημοσίευση, Πολιτιστικό περιοδικό *Néa Epoché*, τεύχος 361, Καλοκαίρι 2024.

² Pierwsza część wiersza piętnastozgłoskowego (politycznego). Wiersz polityczny (czyli „powszechny”) – piętnastozgłoskowiec z cesurą po ósmej zgłosce i o stałym akcencie na szóstej bądź ósmej zgłosce, początkowo nierymowany), miara ludowych pieśni gminnych i utworów epickich; tradycyjny wiersz poezji nowogreckiej używany przynajmniej od X wieku n.e.

Rano dała im inne ubrania i doprowadziła po kryjomu do autobusów. – Jedźcie, powiedziała im, jedźcie... Litości dla waszych matek. Bóg jej zapłać.

Mój zdołał jakoś dotrzeć do wsi. Wsiadł z autobusu wcześniej. Cała wieś pełna była tamtych. Chodzili z bronią. Szukali ich, każdego z osobna. Mieli ich wszystkich na liście. Podwórko za podwórkiem, dom po domu, aż do wieczora. Głodny, spragniony, wyczerpany. Słodko mi było na duszy! Żył!

– „Idź na górę” – powiedziałam mu. – „Idź na górę, umyj się, a ja ci zrobię coś do jedzenia”.

Nie zdążył. Ktoś im wygadał. Ktoś im doniósł. Przed naszym domem zjawili się dwa landrovery. Dziesięciu mundurowych z karabinami. Dziesięciu w wojskowych mundurach. A na ich czele, ich dowódca – Kostis. Mój Kostis. Mój rodzony syn, Kostis. W ludzkiej głowie się to nie mieści!

Mój najmłodszy, a miał wtedy 13 lat, wybiegł na podwórko. Przerwał im: „Czego tu szukacie?”.

Usłyszałam, jak szczerka broń i głos mego. Jakiś inny był ten jego głos, dziki: „Zejdź mi z drogi, gnojku! Słyszysz?! To nie twoja sprawa!”.

Kolana się pode mną ugięły. Poczułam się tak, jakby dusza chciała ze mnie wyjść. Świat wokół mnie się zapadł. Jakby mój dom walił mi się na głowę. Wyszłam na dwór. „Idź do domu” – kazałam małemu. „Idź do domu, schowaj się”.

A tamten stał i patrzył się na mnie. „Czego chcesz?” – zapytałam. „Czego tu szukasz?”. „Powiedz, mu, niech pójdzie z nami, wiemy, że tu jest”.

„Twojemu bratu? Twojemu rodzonemu bratu?”.

„Nie bój się, tylko dwa słowa chcemy z nim zamienić”.

„To powiedz je mnie” – Ja na to. „Powiedz je tutaj, przede mną!”.

„Matko, nie mieszaj się! To nie twoja sprawa” – zdenerwował się.

„Jest twoim bratem! Twoim bratem!!! Z mojej krwi jesteście i on, i ty”.

„No to o niego zadbam, niech cię głowa o to nie boli”.

Mój Petris stanął w drzwiach. „Czego ode mnie chcesz?” – pyta się. Boże mój, nie każ już nikomu przeżywać takiej chwili! Mój Petris na progu, sługusy pod bronią przy furtce na podwórko i ja pośrodku, naprzeciwko mego drugiego syna.

„Czego ode mnie chcecie?” – zapytał ponownie.

„Oddaj mi waszą broń i chodź z nami” – powiedział mu Kostis.

„Nie mam broni, przecież wiesz” – odparł Petris.

„Jaka znowu broń?” – wtrąciłam się. „Kiedy to miałem jaką broń tu w domu, co?”.

„Nie mieszaj się, matko!” – rozeźlił się Kostis.

„Daj mu spokój, matulu” – odezwał się Petris. „Próżny wysilek. Idziemy! – powiedział do niego.

„Najpierw zjedz coś. Pozwól mu coś zjeść, długo pościł” – poprosiłam.
„Jak mu pozwolę jeść, nigdy nie ruszymy” – on na to. „Bądź spokojna, nic mu nie będzie”.

Weszli do domu, przewrócili wszystko do góry nogami, nic nie znaleźli. Zabrali Petrisa i poszli. Na moich oczach jeden mój syn aresztował drugiego.

Tylko wody im dali. Zebrali kilku z naszej wsi i z okolicznych. I wzięli ich na posterunek. Dwa dni trzymali ich o głodzie i przesłuchiwali. Tylko o wodzie. A potem przenieśli do centralnego więzienia. Nam nikt nie powiedział jednego słowa. A i moi pozostali synowie pytali się o niego.

Nic. Aż weszli Turcy. Potem się o tym dowiedzieliśmy. Jak weszli Turcy, wypuścili wszystkich i wysłali na pierwszą linię. Bez broni.

Rzuciliśmy się jak wariaci. Wszyscy. W całym tym bałaganie, pośród uchodźców, zabitych, zaginionych, po szpitalach, po cmentarzach. Szukaliśmy Petrisa. Żył? Zginął? Boże mój!

Po tamtym ani śladu. Mam ci powiedzieć, że się i o niego nie gryzłam? Mniej więcej po dziesięciu dniach odnaleźlim Petrisa w jednym ze szpitali. Rannego, z dwiema dziurami w głowie. Nie mogli go zoperować. Dotąd ja ma. Nawet nie zapytałam, jak to się stało. Grunt, że przeżył. Słyszałam o innych. Każdy co jego, a wszyscy to samo. Zabralimy go do domu. Wciąż jeszcze cierpi. Bogu niech będą dzięki. My wyszliśmy z tego jakoś. Wielu powiodło się znacznie gorzej. Ino smutek.

Tamten? I on powrócił do wsi po kilku dniach. Zdrow i cały. Do nas nie przyszedł. Ani zapytał. Rozpacz! Nie mogę zapomnieć, jak stał na środku podwórka z bronią w ręku. Nie mogę patrzeć, jak kręci się po wsi, po kafejkach, bezwstydnym. Jak się zabawia, jak się śmieje, jak się obnosi, jakby nigdy nic. Pozostali moi synowie także nie chcieli widzieć go na oczy.

Jedną gadkę chciałam usłyszeć. Jedno słowo: „Przepraszam, przepraszam, mamol!”. Wcześniej pięć palców do mnie gadało. Który odgryźć, żeby nie czuć bólu? Co, jeśli jeden wyrodzi się i zejdzie na złą drogę? Zdołasz? Zdołasz go odciąć?

Przyszedł pewnego ranka. Stał w progu.

(Długa chwila ciszy)

„Wejdz” – powiedziałam mu. „Wejdz! Coś ci przygotowuję na ząb”. To przecież mój syn!

Jorgos Neofitu
Przetłoczyła Małgorzata Borowska

Roksani Nikolaou

NA TYŁACH WZROKU

Chcę wam podarować czas którym żyłam
w świecie który istniał dzięki mojej wyobraźni

– skądinąd jak ja sama –

I śmierć zgadza się ze mną
gdy ponuro stąpa
po grobach, liczy opar imion
ich delikatną konfrontację z czasem
– jak zostają zwyciężeni –

(Cóż za bezdenna przepaść
między dwiema chwilami
gdy słuchasz słodko mówiącego
oddechu powietrza
w trzepocie powiek
jak staje się skowyt)

Wsluchujcie się we wrzenie
skrzywdzonej krwi
na tyłach wzroku
w popiół który nieustannie spada
na oblicze świata.

Nie obawiajcie się. Współczujcie jedynie temu co zanika z bełkotem.



Fot. Archiwum R. Nikolaou

Roksani Nikolaou

BAJKA

Rano i wieczorem
był dom.
Z korzeniami tysiącletniego drzewa
z gałęziami i ptakami
w sercu.

Pewnego dnia odleciały
wszystkie razem do innego miejsca

Dzisiaj jedno
drugie przykryło

sen ścieśniał się coraz bardziej
ściany pękały
wysnuwał się zapach
niezamieszkałego magazynu

Nikt nie słuchał
jedynie sen.

Niechże sobie wieje wiatr

Niechby wiatr wiał
deszcz z liści kapał
słońce motyle suszyło
ja w ciszy coś robiła
ty z sadów niechbyś powracał
z zakupów lub znad morza
w domu na górze niechby rozmawiali
ich kroki niechby było słyszeć
i nie będę się przejmować
że będę nieżywa.

Kiriakos Tapakoudis

NAWIEDZONY (HISTORIA Z DRESZCZYKIEM)*

Pewna stara historia mówi, że za czasów greckiego powstania¹, kiedy to Turcy dopuszczali się wprost nieopisanych okrucieństw, Grecy, chcąc im się nie tylko przeciwstawić, ale i dokonać zemsty, sami spotworzyli, stali się tak samo okrutni i niehumanitarni. Pewien ksiądz z tamtych zamierzchłych czasów, Papajanis, był świadkiem historii dotyczącej jednego Greka. Opowieść ta jest nieco rozmyta, bowiem przekazywano ją sobie z ust do ust; dziś uwieczniam ją na papierze, aby przetrwała na zawsze.

Wielu cypryjskich patriotów przeniosło się wówczas do Grecji, by walczyć ramię w ramię ze swoimi pobratymcami, Kleftami² i Armatolami³. Istnieje wiele świadectw, że uczestniczyli w wielu walkach podczas powstania. Ich działalność jest poświadczona przez dokumenty wydane po zakończeniu boju przez takich znamienitych przywódców powstania jak Petrobeis⁴, Nikitaras⁵, Kolokotronis⁶, Makrijanis⁷



Fot. Archiwum K. Tapakoudisa

Kiriakos Tapakoudis

* Tytuł opowiadania *Ο στοισιωμένος* jest prawdopodobnie wariantem słowa *στοιχειωμένος*. To imiesłów bierny pochodzący od czasownika *στοιχειώνω* (nawiedzać), który wywodzi się od rzeczownika *στοιχείο* (duch, zjawia, nadnaturalny byt zamieszkujący określone miejsce). Takiego określenia używa się na greckiego wampira, *vrikolakasa* (*βρικόλακας*). Por. podanie 935 w zbiorze Nikolaosa Politisa *Νικόλαος Γ. (Πολίτης): Παραδόσεις. Μελέται περί του βίου και της γλώσσης του ελληνικού λαού*, Γράμματα, Ateny 1994, s. 423–424.

¹ Powstanie greckie z 1821 r., kiedy po blisko czterystuletnim okresie tzw. turkokracji (dominacji osmańskiej na terenach greckich od 1453 r.) Grecy wywalczyli niepodległość.

² Kleft (*κλέφτης*) – dosł. złodziej; w tym kontekście chodzi o greckiego partyzanta-patriotę biorącego udział w powstaniu przeciwko Turkom.

³ Armatol (*αρματολός*) – niegdyś grecki najemnik, w okresie powstania nazywano tak partyzantów walczących z Turkami.

⁴ Petrobeis (Πετρόμπης), Petros Mawromichalis (Πέτρος Μαυρομιχάλης, 1765–1848) – grecki polityk i dowódca, jeden z bohaterów powstania 1821. Brał udział m.in. w bitwie o Kalamatę i Tripolitę.

⁵ Nikitaras (Νικηταράς), Nikitas Stamatelopoulos (Νικήτας Σταματελόπουλος; ok. 1784–1849) – jeden z przywódców powstania 1821, ze względu na swoją zaciętość nazywany Turkożercą (*Τουρκοφάγος*). Brał udział m.in. w bitwach o Dolianę, Tripolitę, Dervenakia i Arachovę.

⁶ Theodoros Kolokotronis (Θεόδωρος Κολοκοτρώνης, 1770–1843) – grecki generał, jeden z głównych przywódców powstania 1821. Uczestnik m.in. bitew o Valtetsi, Tripolitę, Akrokorynt, Spetses, Patras i Dervenakia.

⁷ Janis Makrijanis (Γιάννης Μακρυγιάννης; 1797–1864) – jeden z dowódców powstania 1821, znany ze wspomnień (nauczył się pisać, żeby przekazać swoje świadectwo – większość życia był analfabetą), które

i inni. Gdy powrócili na Cypr, razem z nimi przybyło też trochę Greków. Jednym z nich był przyjaciel i towarzysz słynnego cypryjskiego bojownika Janisa Pasaportisa⁸ ze wsi Kili w dystrykcie Pafos⁹, walczącego podczas oblężenia i wyjścia z Mesolongi¹⁰. Przybył on w nadziei na udział w nowej wojnie, by móc kontynuować bój przeciwko Turkom, gdyż Cypr wciąż był pod okupacją¹¹.

Nienawidził Turków i w czasie powstania zwalczał ich z brutalnością. Nazywano go rzeźnikiem, ponieważ kindżałem siekał ich na małe kawałki, które rzucał potem psom na pożarcie. Kiedy wojna w Grecji dobiegła końca, przybył tutaj w nadziei, że wybuchnie kolejny narodowowyzwoleńczy bój. Chciał pomóc wyzwolić Cypr z rąk niewiernych.

Na Cyprze nie było jednak rewolty, wojny czy partyzantki. Nie mając nic do roboty, kręcił się po kafenijach¹² i pijalniach win, po polach i wsiach Pafos. Trzymał się z boku i wzbudzał strach, twarz miał surową i dziką, nie przebiegał w słowach. Prości chłopci, znając jego sławę, w obawie przed jego niezadowolaniem dawali mu jedzenie i pieniądze ze swoich ograniczonych zasobów. I tak mijał czas, a rzeźnik cieszył się dobrym i niezmaconym życiem, bez konieczności podejmowania żadnego trudu.

Trwało to do czasu, gdy pewnego razu podczas swoich wędrówek spotkał w Chlorace¹³ pewną piękną dziewczynę, w której żarliwie zakochał się od pierwszego wejrzenia i zapragnął, by stała się ona początkiem jego nowego życia. Poprosił o jej rękę, a jej rodzice oddali mu ją z błogosławieństwem, dlatego że strach, który w nich budził, był większy niż chęć odmowy.

Poślubił ją i został posiadaczem małego domku. Miłość go ujarzmiła, dzięki niej stał się ludzki i przystępny. Zmienił się i stał zupełnie innym człowiekiem. Otworzył rzeźnię i ponieważ świetnie znał się na krojeniu ludzkiego ciała, teraz z wirtuozerią ćwiartował zabite zwierzęta.

Zrobił się z niego gospodarz jak się patrzy i wraz z upływem czasu wszyscy zapomnieli o jego mrocznej przeszłości. Ci, co znali go wcześniej i później, mówili o ogromnej zmianie jego charakteru i zachowania, teraz opowiadali o nim wyłącznie w superlatywach. Miał tylko jedną przywarę – nie chodził do kościoła, nawet na wielkie święta Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania. Stracił jakikol-

zostały opublikowane w języku polskim w serii *Arcydziela literatury nowogreckiej* (t. VIII): J. Makrijanis, *Topornym piórem. Pamiętniki z powstania greckiego i pierwszych lat wolności*, przeł. M. Borowska, Warszawa 2010.

⁸ Janis Pasaportis (Γιάννης Πασαπόρτης) – pochodzący z Cypru bojownik powstania 1821.

⁹ Kili (Κοίλη Πάφου) – wieś w dystrykcie Pafos, w zachodniej części wyspy.

¹⁰ Oblężenie Mesolongi (Μεσολόγγι) w latach 1825–1826 było kluczowym epizodem w greckiej wojnie o niepodległość przeciwko Imperium Osmańskiemu. Miasto przez ponad rok broniło się heroicznie przed tureckimi i egipskimi siłami, ale ostatecznie mieszkańcy, wyczerpani i głodni, podjęli próbę masowej ucieczki, która zakończyła się masakrą.

¹¹ Cypr był pod okupacją osmańską w latach 1571–1878.

¹² Kafenijo (καφενείο) – tradycyjne miejsce spotkań mężczyzn, gdzie przy kawie, winie lub uzo grano w tawli lub karty.

¹³ Chlorakas (Χλωρακάς) – wieś cypryjska w dystrykcie Pafos. Autor opowiadania zbiera opowieści z tej miejscowości.

wiek kontakt z Bogiem, ponieważ w czasie wojny dopuścił się wielu odrażających czynów. Przeszedł próg kościoła jedynie dwa razy: gdy się żenił i gdy wniesiono go tam podczas pogrzebu.

Pewnego dnia rzeźnik umarł. Któregoś popołudnia, gdy wracał z pracy, jego serce stanęło i padł na miejscu. Niektórzy trochę się zmartwili, niektórzy uronili łzę, wszyscy razem go pochowali i później o nim zapomnieli.

I tutaj właśnie się zaczyna jeżące włos na głowie świadectwo kapłana.

Pewnego dnia wstrząśnięta wdowa wyznała ze strachem księdzu, że zobaczyła swojego męża żywego w obejściu, jak spulchnia motyką ziemię w ich małym ogródku¹⁴. Pomyślała, że chyba zwariowała i miała zwidy, wobec czego poszła do uczonego księdza, żeby jej to wyjaśnił.

A uczony ksiądz wytłumaczył jej, że nim minie czterdzieści dni od pogrzebu, duch zmarłego krąży po miejscach, w których był za życia, dlatego nie ma powodów do niepokoju, jako że po czterdziestym dniu dusza trafi do raju¹⁵.

Jednakże po upływie kilku miesięcy wdowa ponownie udała się do księdza, jeszcze bardziej przerażona, ponieważ znów zdawało się jej, że zobaczyła swojego męża pracującego w ogrodzie.

Ksiądz pomyślał wówczas, że musiało się zdarzyć coś innego, poświęcił obejście i wypowiedział zaklęcia¹⁶ w domu, na podwórzu i na grobie. Wszystko na próżno, wizyty zmarłego powtarzały się co jakiś czas.

Wieść się rozniosła i mieszkańcy byli mocno zaniepokojeni, najbardziej wystraszyły się dzieci. Rozmowy ludzi stały się trwożne, a strach kładł się cieniem na ich myślach. Papajanis, jak przyznaje, też widział wszystko w czarnych barwach, ponieważ zrozumiał, że działo się coś niezmiernie, coś przeczącego prawom natury, że być może zmarły stał się nawiedzonym. Zachowawszy zimną krew, uznał, że należy postępować rozsądnie. Udał się do biskupa (w tamtym czasie hierarchą był Chariton¹⁷), obdarzonego większą wiedzą, i opowiedział mu tę historię. I biskup, który rzeczywiście dysponował większą wiedzą, polecił mu, co należy zrobić.

Z pomocą grabarza wykopali trupa i tak, jak to przewidział biskup, odkryli, że jest on zachowany w całości i nierozłożony¹⁸, niechybny znak, że martwe ciało

¹⁴ Pomocni zmarli często pojawiają się w greckim folklorze, np. w zbiorze podań ludowych Nikolaosa Politisa znajdują się relacje o *vrikolakes*, które powracają zza grobu, by pracować w polu, rąbać drwa lub naprawiać dzieciom i wdowie buty. N. Politis, dz. cyt., s. 423–450.

¹⁵ Czterdziesty dzień po śmierci wyznacza jeden z najważniejszych okresów liminalnych w tradycji prawosławnej. To czas, w którym dusza zwyczajowo powinna odejść w zaświaty do wyznaczonego jej miejsca, gdzie będzie oczekiwać dnia Sądu Ostatecznego.

¹⁶ Zaklęcia są stosowane przez Greków do walki z istotami nadprzyrodzonymi na równi z praktykami religijnymi.

¹⁷ Chariton (Χαρίτων) – biskup Pafos w latach 1827–1854.

¹⁸ Nierozłożone zwłoki uznawano za „zwampirzone”. Nie było to odosobnione zjawisko, jako że w Grecji tradycyjnie praktykuje się podwójny pochówek (czyli wydobyć szczątków po kilku latach w celu złożenia kości do ossuarium). Stosunkowo często ciała z różnych przyczyn nie rozkładały się do końca w wyznaczonym czasie, co odkrywano podczas ekshumacji.

zwampirzyło się¹⁹, było opętane przez Szatana²⁰. Wyegzorcyzmował więc zwłoki i poświęcił, żeby wygnać demony, by dusza mogła się uspokoić, a ciało rozłożyć. Ponownie zasypali grób.

Minęło trochę czasu, a wdowa nie skarżyła się więcej. Wszyscy uwierzyli, że egzorcyzm zadziałał.

O, okrutny losie, pewnego dnia znaleziono w jarze martwego chłopca z zastygłym na twarzy wyrazem niewypowiedzianej grozy, a później dwa kolejne trupy w pobliskich wsiach. Stało się jasne, że zaklinanie i święcenia nie zadziałały. Oczywiście było, że Bóg nie dał spocząć grzesznikowi.

I tak Papajanis z grabarzem, pod osłoną nocy, by nikt ich nie zauważył, ponownie rozkopali grób i w świetle świecy ujrzeli trupa ledwie tkniętego rozkładem, niemalże nienaruszonego.

Załadowali go na muła i wywieźli w oddalone, ustronne miejsce w nietkniętych ludzką stopą górach. Zebrali drewno i rozpalili wielkie ognisko, w którym spalili trupa. Następnie zniszczyli jego szczątki, spopielili je i rozrzucili na wietrze²¹.

Chwała Bogu, od tego czasu wszystko wróciło do normy, zło zostało zdławione, a ludzie odzyskali spokój.

Kiriakos Tapakoudis

Przełożyła Nina Anna Trzaska

¹⁹ O ile najnowsze badania dowodzą, że na terenach polskich uznawano, że zwykle człowiek rodził się upiorem (zob. Ł. Kozak, *Upiór. Historia naturalna*, Warszawa 2020), o tyle w Grecji wierzono, że ludzie stawiali się *vrikolakes*. Istnieje czasownik *βρικόλακίζω* oznaczający dosłownie „staję się vrikolakasem”. Zob. N.A. Trzaska, *Grecki wampiryzm w ujęciu diachronicznym na podstawie źródeł literackich i piśmiennictwa nieliterackiego*, niepublikowana rozprawa doktorska, Poznań 2023.

²⁰ Choć Kościół czasem twierdził, że zjawisko wampiryzmu polega na opętaniu zmarłego przez szatana, ludność uważała, że dusza zmarłego po śmierci pozostawała w ciele. Taka dusza stawała się łatwym celem demonów, które ją dręczyły w jej cielesnym więzieniu.

²¹ Materiały etnograficzne wskazują, że całkowita kremacja uchodziła za najskuteczniejszą metodę unicestwiania *vrikolakes*.

Eftihia Panagiotou

NACINA RĘKA, ZNACZY SZPITAL

rysuję w mojej książce trójkąt.
w górnym rogu bóg, w lewym moja kotka,
po prawej ołówek.
to magiczny trójkąt
bo
w przedłużeniu mojej pamięci
niemile widziana
linie słabną i miękną i falują tam i z powrotem,
i bóg staje się czarną kapłanką, moja kotka lampartem,
mój ołówek flamastrem.

nienazarty lampart; łaknie kapłanki.
flamaster; mści się na lamparcie.
tym sposobem zgładzone zostają kończyny
i się ratuje
zdana na siebie kobiecość
nieświadoma mocy
wygrała bitwę, której nie brała pod uwagę

biała trupa – była mi pisana.
dar to byłby jakiś potrzebny,
która teraz swoją różdżką sprawia że
zgrywam wariatkę.
niewytrenowana

*ulegam czemuś co galopuje jak moje lekarstwa tnę swoje papiery
drę swoje cudotwórstwa, kryptą jesteś – Grotta Azzurra¹ – i coś jak*

¹ Grotta Azzurra, Lazurowa Grota – jaskinia morska na zachodnim brzegu wyspy Capri, której pierwotnymi mieszkańcami byli Grecy. Światło słoneczne dostaje się poprzez wodę, która przybiera lazurowy odcień. Eftihia Panagiotou w przypisach pisze: „Może właśnie tak Platon wyobrażał sobie wyjście z jaskini w swoim Państwie-Utopii” [uwaga tłumacza – L.P.]

linia nacina nową krzywą, coś się dzieje z tym kształtem – diabelski trójkąt – nie maluje się.

ŚWIĘTA CECYLIA MĘCZENNICA W WODNYM RYTMIE

nigdy w życiu nie mogła przemówić
z zakneblowanymi, powiedzmy, ustami
nie było możliwe, żeby wypowiedziała
„kochałam go, kocham go dalej, jeśli pozwoli mi być,
będę go kochać wiecznie”.

śmiechu warta jest rozpacz.
sprawia że lekceważy historię świata,
tyle bezlitosnych bombardowań,
zapomina o weteranie z rozdartym kolanem,
jakże się w głowie kręci od niegodnej nieskończoności,
jest obojętną wobec głowa psa,
rozognionej w ranie gwiazd.

bo był, mówiła, bóg.
ten który ciągnął konia w Hiszpanii, *ogłuszoną tętentem mnie chce*
aż zarżał „Nie” do swojego oślepionego byka.
ale ja zranionym cyrkowym konikiem byłam,
panie, zanim ją do snu ułożą, niech oręduje za swoją miłością.

nawet jeśli była bezwzględna.
nawet jeśli była torturą

stań dumna błagając
by serce twoje własne ci oddano.
wzruszająca sztafeta
łez.

teraz możesz przyjść, kacie,
o mięsożernych palcach.
no dalej a znajdziesz lunch nagi

to co przemaga
rozkwita muzyką

*jestem muzyką,
niedokończoną i żywą; piszę
historię rzeźbiarza.
by nie zamarł w czasie.*

DAJE WAM WOLNĄ RĘKĘ

podnoszę prawą, mówię *heil* pierś.
zamykam oczy, mówię *heil* cel.
z lewą na brzuchu, mówię *heil* flaga.

i ostrzeliwują bez litości.
nikt nie może mnie trafić.

za cel mają to o czym się rozmawia
— niestawne nieistnienie, bezcelowa pustka, bla bla bla –
i pod ścianę stawiają szczegóły.

ale ja żyję
– tańczę chaos
nazywam się Moralina, choć nią nie jestem.

w kontenerze na śmieci moje serce pali swoje ubrania.
by jego ogień uchronił przed gazami łzawiącymi
to co cenne.

tak właśnie oddycham.
jakby to ująć prościej?

w świecie tracisz
jedynie noce.

RZEMIEŚLNICY (O ANATOMII POETYCKIEJ)

Widzę na zewnątrz klasę,
a wewnątrz zawalają się ściany
(„Koniec Świata”, biuletyn archeologiczny)

Spadanie to rodzaj malarstwa
które zdziera w dół płótno.
Jeśli zaczniesz spadać, to już wkroczyłeś w tło,
w czyn bez perspektywy, o długościach agonii.

Lecz znajdzie się lekarz sądowy
by rzucić trochę światła
na sposób w jaki napisałeś
na błękicie:
„Barwne w języku pociągnięcia pędzla, ciało owinięte całunem
[chmur w niebiosach.
Czterema rękami oddzieliło mgłę od piersi,
przeczesując kręgi nieba aż do dna”.

Wystarczyły ci trzy palce, żeby zrobić znak krzyża?

Albo, jak to powiedział poeta, który był również malarzem:
„Czy stworzycie materiałami strachu?”

Naprawdę, czy nieznośne by to było, gdyby powiedział
(wprost)
boicie się?

O anatomii poetyckiej

Upadek aż na dno jest malowany
lecz ktoś podnosi flagę i krzyczy:
„Nasz strach jest kazirodczy!”

I tak jak fala będzie haftować solą krew zamarzniętą
i skrzydła będą oddalać się od wzroku
jako najwyższej teologii powietrza,
pojawi się nam domysł:
Po krzyku Muncha:
to nie pustka, otchłań,
jest miejscem upadku
Zasadniczo, nikogo nie obchodzi, czy spadłeś,
czy też wbrew grawitacji
choć chwilę fruwałeś.

Zwycięstwa i porażki są osiągnięciami innych

Nieliczni jednak rzemieślnicy, którzy jeśli nawet spadli
– bo spadną –
na zawsze spadali aż do trzewi.

Eftihia Panagiotou
Przełożył Leszek Paul

Fot. Grażyna Zając



Cypr, budynki brytyjskiej władzy kolonialnej, Nikozja Północna

Antonis Georgiou

CHWILA BEZTROSKI*

Najgorszy z koszmarów, które go męczyły noc za nocą, to nie był jeden z tych, w których pamiętał, że uciekali biegiem, a samoloty ich bombardowały i wokół wybuchły pociski z moździerz, ani ten, w którym, kiedy po wybuchu, który zdziśiátkował ich batalion – ale jak? – nagle trzymał w rękach odciętą głowę towarzysza broni – patrzy na nią we śnie z wytrzeszczonymi oczami – i apatycznie oddaje ją stojącemu obok, a ten podaje ją dalej, kompletnie pogubiony, nie wiedząc, co robi, aż zostawiają ją na ziemi i biegną dalej, ani kiedy zostawili ранego Aristosa pod drzewem, bo miał nadwagę i wciąż zostawał w tyle, nie mógł dotrzymać im kroku i sam się zatrzymał, oparł się o pień drzewa i powiedział, że dalej już nie da rady, miał przeпоcony mundur, a i spod hełmu leciały mu strużki potu, ledwo trzymał się w pionie, a kiedy się oddalali, rzucał spojrzenia do tyłu, przypomina sobie, jak jeszcze widział odpoczywającego przy drzewie i jak ciężko dyszał, aż wreszcie zamazał się w sierpniowym słońcu i zniknął, sam tak postanowił, ale i oni go zostawili, i to z ulgą, opóźniał ich, „co ma być, to będzie”, tak ich pożegnał, znalazł się po wielu latach gdzieś tam pochowany w zbiorowej mogile, to jednak nie był najgorszy koszmar, ani ta chwila, kiedy go złapali – utkwiał w korycie wyschniętego potoku, trafiony w nogę i nie mógł się ruszyć, słyszał, jak tamci się zbliżają, „uciekajcie”, powiedział tym dwóm, którzy z nim zostali, to była kwestia minut, zanim ich znajdą, „uciekajcie”, jeden z nich był jego sąsiadem, nieco starszy, świeżo po ślubie, szczęściarz, z najpiękniejszą dziewczyną we wsi, on nie chciał go zostawić, nie żeby ci spodziewali się pewnego ratunku, „uciekajcie”, bardzo bolało, zdjął podkoszulek, był biały, ale poczerwieniał sam z siebie od krwi, zrobił flagę, zaczął nią gwałtownie machać, usłyszał głosy mówiące w obcym języku, wokół czuł podmuchy eksplozji, nie wiedział, czy pozwolą mu żyć, słyszało się, że nie biorą jeńców, machał improwizowaną flagą i myślał sobie, to jest tak, tak właśnie umrę, był tego pewien z dziwnym spokojem, który nie zdążył przerodzić się w strach, nagle spostrzegł, że szturcha go wojskowy i uderzają go kolby karabinów, wyciągnęli go jak worek i zostawili z innymi na polu pod bezlitosnym słoń-

* Ze zbioru *Oddech tych obok*, 2022. Opowiadanie oparte na relacjach i wywiadach z żołnierzami i jeńcami wojennymi podczas tureckiej inwazji na Cypr w 1974 r.

cem letniego południa, krew leciała, prawie zemdlął, ale błagał o lekarza, tylko o to, tylko niech przyjdzie lekarz i we śnie, kiedy przeżył to wszystko raz jeszcze, płakał i prosił o lekarza, aż budził się w spazmach, i to nie był jego najgorszy koszmar.

Cierpiał z powodu wielu koszmarów, w pierwszych latach częściej, potem coraz rzadziej, po jakimś czasie nauczył się je ignorować, może coś w nim złagodniało, ale oczywiście nigdy nie ustały, chociaż te pierwsze lata były trudniejsze, budził się z krzykiem rozpacz, wstydził się, dorosły człowiek, a płacze przez sen, pamięta matkę – mieszkala wtedy z nimi w osiedlu dla uchodźców – jak pukała dyskretnie do jego drzwi, „herbatki ci zrobić?”, pytała go, tak jak wtedy, gdy był chory, „zaparzyć miętke?”, jakby mówiła mu, jestem tutaj, jesteśmy tutaj, jesteś z nami, bezpieczny, było, minęło, to się skończyło, to, czego nigdy nam nie opowiedziałeś, widzę je w twoich oczach, czytam je w twoim głosie, jej głos jakoś go uspokoił, „w porządku”, odpowiedział jej, „idź żesz spać”, raz wypił herbatę, pozwalając jej usiąść obok niego, podczas gdy te małe godziny nocy, te najcięższe, które rodzą światło, aż wreszcie je urodzą, w nim ciemność tak gęsta, jak w więzieniu, próbował odpędzić te myśli, a matka, która niezbyt wiedziała, jak go pocieszyć, po prostu mu opowiadała nowiny z sąsiedztwa lub stare anegdoty, wspominała jego psoty z dzieciństwa, pochwały nauczycieli, że „wziął się wreszcie za litery”, jakby nieświadomie wracała do czasów, kiedy go chroniła, chciał znów znaleźć się w tym uścisku, w którym mogłby utulić swoje lęki, choć nie było to już możliwe, ale przynajmniej tak jakoś mijały noce, z matką u boku, pijącą jego miętke, „aby całe to zło odeszło”.

Może dlatego zwlekał ze ślubem, i być może nigdy by się nie ożenił, gdyby jego Maria nie cisnęła go tak mocno, kiedy zaczęli się spotykać, zawsze był niespokojny, że może mówić lub płakać przez sen, był na wpół śpiący, leżał obudzony obok niej, martwiąc się, że może przyjść koszmar, ona coś zrozumiała, zapytała go, co jest nie tak, „nic”, zapewnił ją, „nic”, pewnej nocy zmęczony nie mógł tego znieść, zasnął głęboko, obudził się, kuląc się przed własnymi krzykami, dyszał ciężko w przerażeniu, spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, zobaczył zrozumienie i miłość w jej oczach, tak wielką, nic nie mówili, przytulała go przez godzinę, aż się uspokoił i wrócił do snu, powoli rozmawiał z nią o wszystkim, nawet o swoim najgorszym koszmarze...

Nie, to nie było wtedy, gdy śnił o tym mężczyźnie, to nie był żołnierz, ale cywil z okolicznych wiosek, który przyszedł do miejsca, gdzie byli tymczasowo przetrzymywani i przyłożył mu rewolwer do skroni, „twoi ludzie zabili mi żonę i dzieci, więc i ja cię zabiję”. poczuł zimną lufę na twarzy, drżący głos mężczyzny, drżącą rękę, która trzymała broń, sam zaczął

się trząść, ręce, stopy, głowa, zsikał się w spodnie ze strachu, strażnicy go zobaczyli i zaczęli się śmiać i kpić z niego, żeby ocaleć, ocaleć, tylko o tym myślał i nie wstydził się, że tylko o tym myślał, drżąc, a we śnie trzął się tak cały, skandując, ocaleć, ocaleć, nie wiedział, czy ten drugi facet odważy się rozwalić mu mózg, pociągając za spust, nie wiedział, czy to robi, ani ile wieków lufa spoczywała na jego skroni, dopóki jakiś sierżant nie podskończył i nie chwycił pistoletu, więc przypadkiem przeżył, przypadkiem żyje, przez długi czas, przez długi czas, nawet teraz, czasami, czuje coś zimnego, palącego na skroni i boi się znowu posikać.

Nie, nawet wtedy, gdy widział ich zabieranych do więzień, tak jak wtedy, gdy co jakiś czas rozwścieczony tłum pędził za autobusami, by je zatrzymać, przeklinając ich, grożąc im, chcąc ich zlinczować, przy jednej okazji wtargnęli do środka, plując na nich, bijąc ich, niektórzy trzymali broń, wymachując nią przed nimi w gniewie, tłum wymykający się spod kontroli, a oni zdani na ich łaskę, zauważył, że większość więźniów, podobnie jak on sam, nie wykonywała żadnego ruchu, nie stawiała oporu, nawet nie próbowała się bronić, byli jak zamrożeni, nie mogli nawet mówić, otwierali usta, nie wypowiadając ani słowa, widział wokół siebie otwarte usta, rozdziawione, niespokojnie walczące, by krzyczeć, ale nic, tylko przypominały pyski ryb, które można zobaczyć, jak duszą się na lądzie.

Były też oczy matki jego sąsiada, duże, czyste oczy z taką rozpaczą w sobie, oczy matki, która straciła syna, matki tego wieśniaka, który kazał mu uciekać tuż przed aresztowaniem, świeżo ożenionego, szczęśliwca, co poślubił najładniejszą dziewczynę w wiosce, w więzieniu dowiedział się, jak tamten został złapany i stracony od razu, tak po prostu, na miejscu, bam! w końcu nie miał tyle szczęścia, a on żył, tamtego zabili, on przeżył i spotkał się z matką w dniu ich powrotu, kiedy wysiedli z autobusów, czekały na nich setki, nie tylko krewni, ale wielu innych, ze zdjęciami w rękach, z niepokojem, nadzieją, zadając pytania, jeśli któryś z nich zobaczył syna, męża, ojca, niektóre oczy były zazdrosne – i to jest ludzkie – o szczęśliwców, którzy wrócili, podczas gdy ich bliskich nie było, sąsiadka rzuciła się na niego, gdy tylko go rozpoznała, rzuciła się na niego i zapytała go, całe jej ciało zapytało go, wszystko w niej zapytało go, żyły w jej szyi, w jej ramionach były napięte, nie mógł wypowiedzieć słowa, patrzył na nią bez słowa, jej cała istota prosiła go, ale nie mógł wypowiedzieć strasznej prawdy, trzymał jej ręce, patrząc na nią, ona rozumiała, czuła go, widziała w jej oczach całkowitą rozpacz, zemdlął przed sobą, te oczy matki wracały często w jego śnie, piękne, ogromne z bólu, tak wielkiego bólu, że nie mógł go znieść, obudził się przerażony, ale ona wciąż była przed nim i dźgnęła go, prosto przez niego, jak nożem, ale to nie był jego najgorszy koszmar.

Kiedy ogląda w telewizji wiadomości o wojnach i uchodźcach, de-nerwuje się, na początku żona przełączała na inny program albo wyłączała odbiornik, „żadnej telewizji”, mówiła obojętnie, wzruszała go jej troska, potem kazał to zostawiać, wiadomości drażniły go, tak, czasem nawet przychodziły po nich koszmary, ale czuł, że jest to winien ludziom, przeganianym po świecie, przynajmniej to jego podenerwowanie, przynajmniej trochę niespokojnego snu, patrzył na nich i cierpiał, nie mógł zrozumieć, jak ludzie wokół niego, w swoim komforcie, zapomnieli, jak łatwo można stracić beztroskę, jak łatwo może stać się niepewnością, jak łatwo życie zamienia się w koszmar.

Nawet jego starzy towarzysze z niewoli zapomnieli i krytykowali obcokrajowców, których „wszędzie pełno”, spotykał ich od czasu do czasu, kilku z nich, mieszkających w tym samym mieście podobnie jak on gościli uchodźców, i nawet zaprzyjaźnił się z dwoma lub trzema – ta dziwna więź, jaką ma się z ludźmi, których w pewnym momencie połączył wspólny los, jedyny wspólny punkt, teraz tak silny, który trzyma ich blisko, jakoś związanych – często o tym rozmawiali, potrzebowali tego, utworzył się, zwłaszcza wobec niektórych, na ich doświadczenie i późniejsze życie, obojętność, z jaką spotkali się po powrocie, zamknięte drzwi, ludzie się pozamykali, stwardnieli, rozumiał ich, czuł, że bardziej stosowne byłoby coś powiedzieć, nie winił ich, troszczył się, chciał jakoś stopić to, co zamroziło ich dusze, robiąc z nich teraz agresywnych, złych, zmiękczyć to, co zatrulo ich nienawiścią do wszystkiego, co uważali za obce, unikał rozmowy z nimi na ten temat, a jeśli nie było to możliwe, odchodził, nie był w stanie zrobić nic innego, miał szczęście, miał wokół siebie miłość, wyjechał za granicę, by studiować to, czego chciał, poznał ludzi z całego świata, znalazł ich wszystkich takich samych, z ich dobrem i złem, tak samo zdolnych do dobra i zła.

Kiedy był jeńcem, regularnie miał ten sam sen, plażę, na którą chodził jako chłopiec, w pobliżu swojej wioski, morze, które rozciągało się przed nim, błękitne, spokojne, a on pływał, patrząc na horyzont i górę, która wznosiła się nad nim dumnie, śnił, jak pływał beztrosko, ale sen nie trwał długo, budził się, nie w swoim morzu, ale w obozie, i było to tak nie do zniesienia, że pomyślał, że nie znieśnie snienia tego samego snu, nie może znieść rozczarowania, które przynosiło rano, ale potrzebował go i śnił go ponownie; być może ten sen, pomimo straszliwej frustracji, to morze w jego śnie, być może pragnienie ponownego doświadczenia morza, trzymało go tam w celi, że nie oszalał, ale ten sen stał się teraz jego najgorszym koszmarem.

Śnił, tak jak wtedy, jak znów jest w morzu koło swojej wioski, było tyle spokoju, że wiedział, że to nie może być prawda, pływał spokojnie tylko przez chwilę, powoli zdawał sobie sprawę, że to, co żyje, nie jest

prawdą, zdał sobie sprawę we śnie, jak śni i ta myśl obudziła go nagle, ale tak naprawdę się nie obudził, wciąż był w swoim śnie, teraz w więzieniu, ciasna i brudna cela, obok niego inni, ciężko chrapiący, kto wie, z jakimi koszmarami się zmagali, z tym samym strasznym zaprzeczeniem i agonią, które wtedy czuł, znajoma gula w gardle, nie mógł oddychać, ale na szczęście szybko zdał sobie sprawę, że to był sen, obudził się i znalazł się w domu rodziców, jego matka obok niego, albo sam w swoim pokoju studenckim, a później obok Marii, obudził się wolny, ale nadal spał i to wszystko było snem i rozumiał to i spanikowany teraz, w swoim śnie zawsze, krzyknął i obudził się w więzieniu i poczuł myszy, przestraszone głosami, biegające między jego nogami, jego całą udręką, ale to był sen i obudził się ponownie w swoim łóżku wolny, wolny, chociaż w swoim śnie nadal w nim był, za jakiś czas obudził się w więzieniu i w rozpaczy i poczuł, w swoim śnie, że to była rzeczywistość, a wszystko inne było snem, snem o wolności, o kobiecie obok niego, o wszystkich kłamstwach i prawdzie, o tej celi i strażniku, który przyjdzie w pewnym momencie i, w zależności od tego, kim był, w zależności od jego nastroju, wyśmiej go, przeklnie, uderzy lub zabije, bo kto go powstrzyma, a może niespodziewanie poczęstuje go papierosem, zdanego na łaskę i niełaskę obcego, jego życie zdane na łaskę i niełaskę obcego, że to prawda, a to, co uważał za prawdę, okaże się kłamstwem, we śnie czuł, że się dusi, sapie i budzi, ale nie do końca, we śnie wciąż leżał i budził się raz wolny, raz w celi, w ten sposób na przemian w swoim najgorszym koszmarze lub więzieniu z rzeczywistością, wszystko tak szybko, z prędkością, która doprowadzała go do szaleństwa i trwała tak, dopóki nie obudził się na dobre, obudził się naprawdę spocony, dysząc, w desperacji, rozglądał się dookoła, przerażony, dotykał swojego ciała, twarzy, rzeczy, stolika nocnego, lampki, książki, czy nadal spał, czy się obudził, czy naprawdę żył, czy obudzi się ponownie w swojej celi i tam zgnije, czy to prawda, czy fałsz, pozostawał tak długo, nawet gdy Maria go przytulała, a on milczący, czujny, zmartwiony, że to wszystko może być znowu stracone, że może nagle znaleźć się na wojnie, w więzieniu, czy to trudne? jak to się wtedy stało, jak wszystko zmieniło się w jednej chwili.

Mijał czas i coraz rzadziej, ale czasem wciąż powracało to uczucie, nawet gdy już wstawał i wychodził do swojego dnia – ruszał w drogę do pracy, by odebrać dzieci ze szkoły, na drinka; wtedy rozglądał się niespokojnie, zastanawiając się, czy ten chodnik, to biuro, to morze uchodźstwa, w które wchodził z wahaniem, ten dom, jego dom, kuchnia, stół, przy którym teraz siedzi, pijąc kawę i czekając na powrót bliskich z supermarketu, pracy, czy wyjść – czy to wszystko nie było przypadkiem snem? czy filizanka, którą trzyma w dłoni i czy zapach kawy są prawdziwe? doniczka

na parapecie małego okna – czy ta chwila beztroski jest realna? a jeśli tak, to czy przetrwa, czy może rozplynie się w nicość, jak wtedy, gdy ich świat runął, gdy jego życie niemal zgasło, jak giną ludzie wokół niego, i czuje dreszcz, filizanka drży w jego rękach, odstawia ją, ale jego ręka wciąż się trzęsie, chwytą ją drugą ręką, próbuje się uspokoić, bierze głęboki oddech, przywołuje w myślach Marię, dzieci, podróż, z której właśnie wrócił, domy i inne budynki, które zaprojektował przez lata jako architekt, powoli udaje mu się uspokoić; ręka przestaje drżeć, uspokaja się, bierze filizankę i łyk po łyku pije kawę z ulgą.

Nie oszalał mimo wszystkiego, co przeszedł, właśnie dlatego, że kochał i był kochany – i wciąż kocha, swoją żonę, dzieci, matkę, ojca, przyjaciół, a także cały świat, ludzi obok niego, bliskich i dalekich, tych, których znał i tych, których nigdy nie poznał, których spotkał przelotnie albo tylko o nich słyszał, zwierzęta, kwiaty, drzewa, gdy kwitną, drzewa, gdy tracą liście, liście opadające na ziemię, promienie słońca, księżyc w pełni, księżyc w połowie, księżyc jako cienki sierp, księżyc jako linię światła, światło, każdą chwilę życia, nawet tę najmniejszą, taką jak teraz, tę beztroską, gdy pije kawę, pewnego popołudnia w małej kuchni, czekając, aż jego bliscy wrócą.

Antonis Georgiou

Przełożył Przemysław Kordos

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, cerkiew Agioi Anargyroi w Pafos

Maria A. Joannou

MODEL D234578

Hektorze; - - - - -

niemożliwe – nie mogę w to uwierzyć – tak po prostu na mnie wykitował – tak mocno uderzył głową – prawie rozpadł się na kawałki – co robić – co mam zrobić – trzęsienie ziemi – trzęsienie ziemi – tak po prostu rozbił sobie o mnie głowę – płyny wylały się na koszulę – na krawat – chyba leży nieprzytomny na ziemi – pomocy – to moja wina – potrzebuję rozgrzewki – nie mogę działać tak od razu – stary model – przygotowanie jest niezbędne – jeszcze chciał to w kolorze – a ja godzinę byłam wyłączona – potrzebuję czasu – czasu potrzebuję – rozbił – sobie głowę – o mnie – ot tak – nagle – płyny wszędzie – wszędzie zapach potu – czuję go – gorszy nawet od tuszu – gorszy nawet od przegrzanego plastiku – trzęsienie ziemi – trzęsienie ziemi – alarm – Hektor – pracownik miesiąca – uderzył się o mnie – ostrzegałam ich, że wymagam konserwacji – wypułam nawet trochę przeżutego papieru – to nie moja wina – nie pozbywajcie się mnie – nie jestem faksem – nie jestem faksem – nie jestem faksem – potrzebowałam czasu – czemu mam nie mieć czasu – biedaczek – nie mógł poczekać – ekspres do kawy – może to wina ekspresu do kawy – być może dzisiaj nie wypił kawy – biją mnie – kolanami – łokciami – obcasami – obcas Inki – bezlitosny – Hektorze – zaszeptaj mi piosenkę – przytul mnie – włóż palce w moje przegródki – otworzą mnie – na pewno mnie otworzą – mój plastik trzeszczy – wyjmują mi wnętrze – wkładają nowe – używane – używane nie są trwałe – nigdy nie dopasowują się w pełni – chwilę – coś – ktoś mnie dotknął – Hektorze – to ty? – trzęsienie ziemi – trzęsienie ziemi – Hektor tak po prostu rozbił sobie o mnie głowę – płyny wylały się na koszulę – na krawat – pracownik miesiąca – z wielkim pieprzykiem na uchu – który skserował bez narzekania – raz nawet skserował samego siebie – który cały czas rozmawia z Inką – Inka – jej obcas – niebezpieczny – nie martw się, Hektorze – nie skseruję ani słowa – nie skseruję ani słowa – nie skseruję ani słowa – ekspres do kawy – może to wina ekspresu do kawy – wariują, jeśli nie wypiją kawy – a miał Hektor tak ładną głowę – czasami czuję, że mnie widzi – że widzi moje wnętrze – duży błąd – umarł – powinnam to była zrozumieć – powinnam ich była ostrzec – UTKNAŁ PRACOWNIK –

[illegible]

PALMY TO DZIWNE TWORY*

nie dają prawie w ogóle tlenu
choć są drzewami

dzisiaj
wiaterek co wieje otwiera
zasłony moich liści

widzę jak szorujesz naczynia gąbeczką

powoli bardzo powoli

może myślisz znowu

nie myśl miłości moja
nie jest dobrze dużo myśleć
cały dzień stukam w szybę okienną
a nuż mnie usłyszysz

pozłociały ci włosy
podskakuja ci na piersi

teraz rozumiem
dlaczego Asyryjczycy hodowali palmy
obok rzek

ja też jestem obok rzeki

rzeki która

płynie



Maria A. Joannou

* Wiersz *Palmy to dziwne twory* został przełożony z dialektu cypryjskiego.

u ciebie w zlewie

widzę jak twoje włosy skapują do zlewu
a ja idę za nimi

spadam
do tej czarnej dziury z resztkami jedzenia

myślę
że za nic nie chcę żeby skończyło się gotowanie

żebyś miała zawsze naczynia w zlewie

żebyś je szorowała

żebyś je myła
i żebym ja patrzył na ciebie przez szybę

żebym wyobrażał sobie jak na nie wchodzisz
jak wyciągasz rękę przez okno na zewnątrz
jak mnie dotykasz

jak mnie dotykasz tak jak mnie dotykałaś kiedy byłem

żywy

tak

palmy to dziwne twory

całe życie walczą żeby sięgnąć nieba

ja też mógłbym sięgnąć nieba

mógłbym sięgnąć

naszego tarasu

słupów

ptaków

mógłbym sięgnąć

na trzydzieści metrów

samego Boga

czeka na mnie

ale

nie chcę

nie chcę

urosnąć

Maria A. Joannou
Przełożył Marcel Nowakowski

Luiza Papaloizu

NAPOWIETRZNA*

Elegancka para w średnim wieku przyjęła za wyjątkowo dobry omen to, że nawet nazwa okolicy tak harmonijnie komponowała się z aerodynamicznym wyglądem budynku. To jak śledzenie przepływów wody, stwierdziła kobieta, która znajdowała radość w chińskiej filozofii i przywiązywała wielką wagę do reguł feng shui, kiedy przybliżyła się do szklanej ściany, by bez przeszkód chłonąć widok wschodniego Morza Śródziemnego. „To jakby mieć na stałe swoje miejsce w stratosferze” – zwrócił się do przedstawiciela biura nieruchomości mężczyzna z uśmiechem pełnym samozadowolenia. Żart, sądząc po nagłym ruchu głowy, raczej nie spodobał się kobiecie, w przeciwieństwie do stojącego kilka metrów dalej agenta – mężczyzny również w średnim wieku, choć prawie dekadę starszego od eleganckiej pary. Agent najwyraźniej uznał grę słów za bardzo trafną. „Stale miejsce w pierwszej klasie” – dodał znacząco, unosząc jednocześnie łokcie, ale nie prostując ich, wyglądało to jak podniesiona pokrywka garnka przed nagłym zamknięciem, pod eleganckim niebieskim garniturem, który był nieco za ciasny w ramionach i agent żałował swojej decyzji, że założył taki strój akurat dzisiaj. Przez chwilę rozważał, czy opowiedzieć im historię nazwy okolicy, o azbeście, który transportowano z gór Troodos kolejką linową w czasach kolonialnych, i który zjeżdżał aż do nabrzeża, skąd podróżował barkami do statków towarowych zmierzających do Anglii, ale rozmyślił się, ponieważ wyczuwał, że byli już bardzo blisko finalizacji i wiedział doskonale – był starym wygą w branży i jego oczy widziały naprawdę dużo – w tym kluczowym momencie równowaga jest tak krucha, że nawet jedno zbędne słowo mogło wszystko przewrócić do góry nogami, jak na przykład słowo „azbest”, które nagle

Fot. Archiwum L. Papaloizu



Luiza Papaloizu

* Ze zbioru *Tanaglyfa* (2024).

wydało mu się niezwykle obciążone i dwuznaczne, by tak znikąd wtargnąć w atmosferę tyle metrów nad ziemią.

Wieczorem w samochodzie, wracając do domu z otwartym oknem i chłodnym powietrzem szczypiącym go w twarz, bo od rana czuł gorączkę pod ubraniem i teraz zaczął się zastanawiać, czy nie złapał przeziębienia, albo co gorsza, jakiegoś wirusa – perspektywa prawdziwie katastrofalna, skoro w biurze był zawalony pracą po uszy, a jego przełożeni byli bardziej namolni niż kiedykolwiek – przypomniał sobie doskonale ten wieczór w 1983 roku, kiedy wraz z rodzicami poszedł do domu swojej przyszłej żony, by prosić jej rodziców o jej rękę. Niegasnąca gorączka tliła się w jego ciele, bo miał zaledwie dwadzieścia dwa lata i był bardzo zakochany. Usiedli, przypomniał sobie, nieco ściśnięci w wąskim saloniku i choć wszyscy byli zgodni, bo miłość młodych przelewała się w ich spojrzeniach, jej rodzice, uchodzący jak i jego rodzina, źle znosili utratę swojego majątku i przed wyjściem jej ojciec, który przez cały wieczór ze smutku ledwie wypowiedział ze trzy słowa, zwinnie wspiął się na stół, otworzył szafkę na najwyższej półce zabudowanego mebla, wyjął dokument zwinięty w rulon, wyciągnął go w stronę oszołomionej pary i powiedział: „Ten papier to jedyne, co nam zostało. Jest wart tyle, ile powietrze, wiem o tym, ale jeśli chcecie, jest wasz!”.

Luiza Papaloizu

Przełożył Przemysław Kordos

Fot. Marcel Novakowski

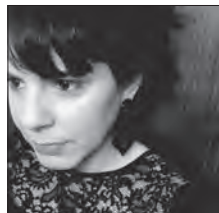


Cypr, Büyük Han, Lefkoşa (Nikozja Północna)

Marilena Zackheos

ŚW. SOFIA, WASZYNGTON, 2011*

Uwielbiałam całować ikony w cerkwi,
porządek rytualny
składania każdemu straponemu świętemu
jednemu po drugim mojego oddania.
Z mamą często chadzałyśmy też do galerii sztuki;
kiedy pierwszy raz zobaczyłam El Greco, rzuciłam
[się do niego pełna religijnej werwy
i oczywiście pocałowałam płótno.
Niedługo później zostałyśmy wyprowadzone z tej galerii.
Z przyjemnością informuję, że sprawy nie zmieniły się zbytnio.
Ostatni raz wyprowadzono mnie z placówki
na koncercie Amandy Palmer.
Tej nocy, Jen i Vijay
wyciągnęli moje pragnienie z Klubu 9:30 aż na
żerowisko – Ben's Chili Bowl,
gdzie wykonałam
żałosny scenariusz niesprawiedliwej dyskryminacji
dla publiki za ladą.
Sukces. Kelner Meksykanin za moje kłopoty przyznał mi darmowe frytki chili.
Jem, a następnie spuszczałam moją drugą w nocy w toalecie.
Dziś kończę trzydzieści lat.
Powstrzymuję się od całowania płócien.
Bagatelizuję
moje najwyższe oddanie,
ale moi święci nigdy mnie nie opuścili. Czuwają
przy niezdarnych wejściach i wyjściach
nade mną w każdym momencie,
kiedy jestem tak samotna, a nawet z innymi.



Marilena Zackheos

Fot. Archiwum M. Nowakowskiego

Z języka angielskiego przełożył Marcel Nowakowski

* Z antologii *Kuşaktan Kuşağa Kıbrıs Şiiri. Κυπριακή Ποίηση Από Γενιά Σε Γενιά. Cyprus Poetry From Generation To Generation*, red. Tamer Öncül, Maria Siakalli, Baranga Yayınları, Lefkoşa 2019.

Lili Awgi

ATEŃSKA RULETKA*

– Z Cypru?

– Yyyy, tak.

Z naciskiem na „yyyy”. Zawsze tak odpowiadam. Z tym ciężkim przerywnikiem przyjmującym rolę twierdzenia.

– A jakie masz zdanie o taksówkarzach w Atenach?

– Spotkałam przeróżnych.

– Jak ruletka w kasynie, co? Nie wiesz, na kogo trafisz!

– Mniej więcej.

– I co, mieszkasz tu na stałe?

– Niestety nie.

Zdziwił się.

– Bardziej podoba ci się tutaj?

– Tak.

– A co ci się podoba?

– Ruch.

– A na Cyprze?

– Na Cyprze poruszają się tylko samochody. I jest już bardzo gorąco. Moja odpowiedź go skonfundowała.

– No to jak długo tu jesteś?

– Sześć dni. Jutro wyjeżdżam.

– Moja mama mawiała: „Policzone dni jak gorący chleb”. No a jak trzeba go jeszcze pokroić na kawałki...

– Miała rację.

Zrozumiałam, że pomimo pustych ulic on celowo jedzie wolno, żeby załapać się czerwone światło, i że krąży, tak by licznik wskazał więcej. To dla Cypryjczyków, podobnie jak opowieści o taksówkarzach z poboru w 1974 roku, jest jak przebrzmiały żart. Lub już nawet nie jak żart. Ale nie opieram się jego przekrętowi. Czy

Fot. Archiwum L. Awgi



Lili Awgi

* Opowiadania ze zbioru *Papier ryżowy* (2023).

to pierwszy i czy ostatni raz, kiedy taksówkarz mnie oszukuje? Znienacka znajomy szloch dotyka mnie w żołądek, wczepiam się palcami w kolana – to daremne odwrócenie uwagi. Zauważam światła, kolorowe afisze, magiczne arkady, w których wszystko może się zdarzyć. Myślę, że moje życie porusza się jak ta ateńska taksówka z cypryjskim pasażerem; nie mam pojęcia, którą trasą zabierze mnie do celu. I co jest moim celem? „Dom jest tam, gdzie serce twoje”, przywołuję frazes – ale przecież frazesy zawsze mówią prawdę, odpowiadam sobie, a moje serce rozpada się na kawałki.

W LISTOPADZIE

Co pamiętam? Pamiętam, że zawsze było zimno. Dlaczego niby miało nie być? W środku listopada, czego się spodziewasz? Pamiętam ludzi – jakich ludzi, cały tłum, masę ludzi! – na ulicy, na chodnikach, w zbombardowanych budynkach, na trawnikach obok nich; tłum w granatowych i czarnych kurtkach, szalikach i szarych spodniach. To było wielkie wydarzenie, szczególnie w czasach liceum, ponieważ rodzice pozwalali nam iść na „nocowankę”, która w rzeczywistości była nocnym czuwaniem. Ale mówiliśmy na to „nocowanka przy barykadzie”. Szliśmy tam wieczorem czternastego, by iść na manifestację rano piętnastego¹. I działy się różne rzeczy. Głównie takie niezwiązane z polityką. Zaczynały się związki, kończyły się związki, nowe znajomości z typami i typiarami z innych szkół, kłótnie, szociki, koksownicy, piosenki, wrzaski; nikt nie spał. Rano – nie wiem, jak nam się udawało dotrwać! – jedliśmy ciasto francuskie nadziewane serem i piliśmy lurę z piekarni obok. Ile musieliśmy tych ciast zamówić, jak im się udawało tyle zrobić? A potem, koło dziesiątej czy jedenastej, kiedy zjechały się autokary z resztą, zaczynały się hasła i powiewały flagi. Dwa rodzaje flag. Greckie i cypryjskie. I w zależności od tego, jaką trzymałeś, wyrażałeś to, czego chcesz i kim jesteś. Ale czy naprawdę wiedzieliśmy? Nie było mi żal, kiedy jednego roku przestałam tam chodzić. I tak otwarto barykady, teraz to skombinuj sobie flagę i pójdz tam, jeśli chcesz, pomanifestuj sobie. Nie żałowałam, nie. Jedyne, czego żałuję, kiedy sobie przypominam te „nocowanki”, to że pewnego roku przy barykadach znajdowało się Centrum Transplantologii i że pielęgniarze i pielęgniarki wyglądali przez okna i prosili nas, przez całą noc: „o matko, bądźcie wreszcie cicho, mamy tutaj chorych”, a my aż do rana czy do południa darliśmy bez przerwy japy.

¹ Protest przeciwko ogłoszeniu istnienia Tureckiej Republiki Cypru Północnego (15 listopada 1983 r.) na terenach Republiki Cypryjskiej okupowanych przez Turcję. Państwo to do dzisiaj jest uznawane tylko przez Turcję.

TO DRZEWO

Pamięci mojego ojca

- Tata, co to było?
- Niby co?
- No te rzeczy, co wiszą na tym drzewie, które właśnie minęliśmy!
- Wota.
- Co to są wota?
- Obietnice.
- Obietnice czego?
- Obiecujesz, że zrobisz to, co obiecałaś Bogu, że zrobisz, jeśli on zrobi to, o co go prosisz, by zrobił.
- No a co, jeśli jednak nie możesz tego zrobić? Nie boisz się potem, że nie możesz czegoś zrobić, ale on robi swoje? Tata, wierzysz w te wota?
- Wariactwa, które nachodzą ludzki umysł, córko.

Prowadził Nikos. To była jego kolej. Ja miałam prowadzić w drodze powrotnej, taka była zawsze umowa. Dopiero co wjechaliśmy na drogę do Pafos. Zaczynały się wreszcie nasze letnie wakacje, tego roku wyjątkowo na samej wyspie, no ale...

- Widziałaś kiedyś katakumby świętej Solomoni?
- Pod tym drzewem, co to je właśnie minęliśmy? Nie.
- Ani ja. Tyle razy tędy przejeżdżałam, a ich nie znam.
- To przyjedziemy tu innego dnia, będziemy tutaj długo.
- Nie, nie innego dnia! Teraz! To blisko. Jak ci się robi gorąco, nie wysiadaj. Zajmie mi to pięć minut. Chcę zobaczyć te wota.

Było sierpniowe południe i słońce paliło niemiłosiernie, tak jak można było oczekiwać na Cyprze w tym okresie. Cypryjskie lato stało się nie do zniesienia, nawet jeśli trzeba przejść w słońcu tylko kilka metrów; depresyjnie nie do zniesienia.

Pod drzewem panował chłód. Pasma białych i pastelowych materiałów, może prześcieradeł, wstążek. Ozdoby na drzewie terpenowym, przybranym jakby w sypialni, wisiały mi nad głową. I inne takie paski na metalowej bramie kleiły się w niewielkie zbitki w głębi cel pod moimi stopami. Przypominał mi się święty Terisos na półwyspie Karpasia. Nigdy nie zrozumiałam, co mnie tak wzruszyło na skale innego Cypru², kiedy

² Chodzi o terytoria okupowane.

ją odwiedzałam przed siedmioma czy ośmioma laty: te wariactwa czy leżące naprzeciwko morze.

Zeszłam w dół. Pachniało pleśnią i wilgocią. Żadnej informacji o świętej Solomoni ani o jej katakumbach. Tylko jeden napis na ikonie Marii: „Proszę nie usuwajcie ikon. Jest ktoś, kto o nie dba”. Rzeczywiście, miotła stała oparta w rogu głównej sali. Naliczyłam trzy cele: schody schodziły w dół, w absolutną ciemność. Nie zeszłam. Nie wiem, czego przestraszałam się bardziej: wariactw ludzi czy wiary, która zaczęła nachodzić mój umysł.

Lili Awgi

Przełożył Przemysław Kordos

Fot. Grażyna Zając



Cypr, katedra odbita w witrynie sklepu z sukniami ślubnymi, Famagusta

Jorgos Papakonstantinou

ROZŁĄKI CZAS

Kiedy rozłąki nadchodzi czas,
ruszyć ci w drogę ciężko,
twoim bagażem chwile stają się,
na ramię nałóż je prędko.

Sięgasz po walizkę; trzymając bilet w ręku, idziesz naprzód,
gdzie cię poniesie, zmierzyć się z tym, co napotkasz.
Radość cię rozpiera, ale równocześnie
czujesz ścisk w żołądku z powodu tego, co cię czeka.
I to jest właśnie piękno początku podróży.

Kiedy zbliżasz się do celu, zaczynają napępniać cię myśli,
nowe obrazy, dźwięki nigdy wcześniej niesłyszane.
Świeże zapachy wypełniają wąskie uliczki,
zwyczajnie tak bardzo inne niż te,
do których przywykłeś przez lata.

Poczucie wolności zaczyna nieśmiało skradać się do twojego umysłu,
tworząc nowe myśli. Świeże myśli.
Uśmiech rysuje się na twoich ustach przez cały dzień,
a twoje ciało niczym gąbka
nasiąka doświadczeniami i uczuciami.

Nie zauważasz, że nadchodzi czas powrotu.
Sięgasz po tę samą walizkę.
Śmieszna rzecz, wracasz z tym, z czym przyjechałeś, a okazuje się,
że walizka się nie domyka.
Siadasz na krześle i pozwalasz swoim oczom na chwilę
swobody, aby uwolniły się z tych 60 kropli.
Kropli deszczu, którymi pożegnała cię ostatnia noc.

Są to krople radości. Wiesz, gdzie kroczysz.

Nareszcie, walizka domknęła się. Czas ruszać.

Niechby człowiek miał skrzydła,
nie zapuszczałby w ziemi korzeni,
latałby nad morzami,
przemierzałby szmat ziemi.

ZACHÓD SŁOŃCA

Pamięć rysy zadaje radości,
kiedy rozłąki czas,
ból ciała łamie,
szczęście nie przyjdzie wraz

Gdziekolwiek wszedł do jakiegoś domu, za jedną rzeczą tylko się rozglądał; miało tam być okno na zachód. Dom ten mógł być najwspanialszy, ale jeśli nie miał takiego okna, rzucał jedynie suche: „Nie jestem zainteresowany”, i szedł dalej.

Tak jakby byli związani wieczną umową: On i Zachodzące Słońce. Zawsze czekał na to spotkanie. Siedział przy oknie, brał książkę i zaczynał czytać.

Jego wzrok przemieszczał się na książkę i na to, co za oknem, i znów z powrotem. Czytał o zmierzchu. Podróż każdego dnia kończył czytaniem. W tym znajdował pocieszenie.

Pewnego dnia, kiedy tak siedział przy swoim oknie, uchyliłem drzwi niezauważony. „Wujku Anesti, wujku! Gdzież jesteś?”.

Wszedłem do kuchni i znalazłem go. Siedział na swoim miejscu. Oczy jego zalane były łzami jak rzeka płynąca prosto z duszy. Myślami był daleko, skąpany w słońcu, oddany wspomnieniom.

„Twoja ciocia, Maria, lubiła tak siedzieć przy oknie, żebym jej czytał. Zawsze czytaj dla mnie, mój Anestisie, mówiła. Nawet kiedy odejdę, nie przestawaj czytać. Chcę słuchać Twojego głosu”.

Przyciągnąłem krzesło i usiadłem obok niego. Nie umiałem ułożyć słowa.

Ciszę przerwało jego czytanie. Wychyliłem się za okno. Gdzieś w oddali rósł kwiat dla cioci Marii. Zobaczyłem jej oczy, mimo że nigdy jej nie widziałem. Mimo że nie zdążyłem jej poznać.

Skapane były w słońcu, słońcu zanurzającym się wolno w widnokręgu.

Dusza, co Erosa pocałunki
o zachodzie przyjmuje,
słońca promiennego wschodu
co rano wypatruje.

Ze zbioru *Ηλιοβόλιση* (*Zachód słońca*), 2022.

Widzę twoją twarz
na szybie.
Iluzja.
Słyszę pukanie do drzwi.
To tylko wiatr.
Czuję twój zapach.
Przeklęte zmysły,
czemu porzuciłyście mnie?



Fot. Archiwum J. Papakonstantinou

Jorgos Papakonstantinou

A więc,
zatrzymałem w sobie to, co ludzkie.

Demony wewnątrz mnie
posłusznie stoją w porządku.

Wieczorami dokarmiam je wspomnieniami.

Nie mam godności.
Jedyne, co mi zostało, to moja dusza.

Schorowana kreatura
podejmuje samotną walkę.

Uśmiech wciąż pojawia się na ustach.

To cały mój majątek.

Przynajmniej zachowałem w sobie to, co ludzkie.

Wiersze ze zbioru: *Σκιές στο σκοτάδι (Cienie w ciemności)*, 2024.

Jorgos Papakonstantinou

Przełożyły Antonia Kostopoulou i Veroniki Kostopoulou

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, Kirenia/Girne, widok na port

Samet Mart

FLORA*

Kiedy mieszkańcy tej wioski oddalonej o trzy mile od asfaltowej szosy chcą dostać się do Nikozji, muszą najpierw dojść piechotą do szosy, a tam wsiadają do autobusu kursującego raz na godzinę.

W miejscu, gdzie wiejska droga styka się z szosą, stoi mała budka, w której czekający na autobus mogą się schronić przed zimowym deszczem i chłodem, przed letnim skwarem. To niski kiosk z cegły, stary, niemalże rozpadający się. Ale właścicielka tego kiosku bynajmniej taka nie jest. Kto usłyszy, ile lat ma ta kobieta – gdy idzie, to ziemia dudni – patrzy na nią z zazdrością. Młodzi, cherlawi chłopcy mogą sobie tylko próbować wyobrazić, jak się poruszała, mówiła, a przede wszystkim – jak się kochała, gdy była młoda. Natomiast starzy mężczyźni mogą to sobie przypomnieć. Nie ma bowiem w okolicy mężczyzny, który w ciągu tych wielu minionych lat nie zbliżyłby się do Flory. A i ona nie mogłaby się tego wyprzeć...

Nieraz ją pytałem:

– Flora, czy ty kiedykolwiek kogoś kochałaś?

A ona, słysząc to pytanie, zastanawiała się przez chwilę, obrzucała mnie ironicznym wzrokiem, jakby chciała sobie zażartować z mojego nie-
doświadczenia, potem kilkakrotnie machała ręką w powietrzu i mówiła:

– Nie raz! Tyle razy, ile mam włosów na głowie!

Kiedykolwiek ją widziałem, zawsze była boso.

– Flora, ty nie masz butów? – pytałem.

– Mam, *daskale*,¹ mam! Ale nie zakładam, żeby się nie zniszczyły.

Była chyba bardzo biedna. Przypuszczałem, że z sześćdziesięcioletniego życia zostały jej tylko wspomnienia i że nic więcej nie miała. Żał mi jej było.

– Flora, a nie nudzi ci się tak mieszkać samotnie pośrodku tego pustkowia?

– Ech, przywykłam, *daskale*. Poza tym wcale nie jestem tu sama. Przez cały dzień są tutaj podróżni. A w nocy... Cóż, w nocy mam psa i kota.

– A ile tu zarabiasz, Floro?

– Bardzo dużo pytasz, *daskale*. Ech, radzę sobie jakoś.

Pewnego dnia znowu zdarzyło mi się zapytać, jak się jej wiedzie. Odparła bez zastanowienia:

* Z tomu opowiadań *Kıbrıs Türk Edebiyatı'nda Öyküleriyle Samet Mart*, Gazimağusa 2007, s. 12–15.

¹ *Daskale* (z gr.) – nauczyciel.

– Sprzedaję *lokum*², sprzedaję lemoniadę, parzę kawę. A z tyłu mam pokoik.

– Pokoik?

– Tak, pokoik.

– Na nim też zarabiasz? Co tam robisz?

– Wynajmuję go.

– Komu? Na co?

Flora zostawiła swoje zajęcie. Podeszła do mnie, szurając bosymi stopami po kamiennej posadzce.

– A ty masz ukochaną, *daskale*?

– No pewnie, że mam, Floro.

– To przyprowadź ją tutaj w nocy. Nie bój się, nikomu nie powiem.

– A co ja tu z nią będę robić?

– No masz! Co za pytanie. Będziesz robić, co będziesz chciał!

I tak właśnie Flora zarabiała na życie w swoim maleńkim kiosku.

Naprzeciwko kiosku Flory, po drugiej stronie drogi, leżała sterta gruzu po jakimś budynku. Pewnego dnia zapytałem ją, co tu było. Wtedy popatrzyła gdzieś daleko, wbiła oczy w nieokreślony punkt na horyzoncie i zaczęła opowiadać:

Zanim tu się sprowadziła, w budynku, który teraz był stertą gruzu, mieszkała stara kobieta, która zarabiała na życie, sprzedając przejeżdżającym tędy woźnicom jedzenie i udzielając im noclegu. Aż nadszedł dzień, gdy sprowadziła się tam młoda, samotna, piękna Flora. Po drugiej stronie drogi postawiła swoją budkę i wtedy stało się to, czego każdy może się domyślić: furmani, którzy przez tyle lat jedli i spali w domku starej kobiety, zostawili ją i pobiegli do Flory. Dlaczego? Bo w domku starej kobiety dostawali tylko jedzenie i nocleg. A to im nie wystarczało.

Domek starej kobiety był tak stary, jak ona.

Pewnej nocy zdarzyło się trzęsienie ziemi. Domek zawalił się i po-grzebał starą kobietę.

W pewien sobotni poranek przed kioskiem Flory zatrzymała się tak-sówka. Flora wyszła z budki, chcąc okazać szacunek klientom, ale ludzie, którzy wysiedli z taksówki, poszli prosto do sterty gruzu po drugiej stronie szosy. Flora zatrzymała się w połowie drogi i przez chwilę tak stała, pa-

² *Lokum* (tur.) – wyrób cukierniczy typowy dla kuchni Bliskiego Wschodu i Bałkanów w postaci galaretowatych kostek o różnym smaku, w Polsce nazywany rachatlukum.

trząc, jak jacyś dwaj obcokrajowcy rozmawiają, mocno gestykulując. Potem odwróciła się i wróciła do mnie. Usiadła obok mnie, spojrzeliśmy na siebie. Nic nie powiedziała, ale domyślałem się, co czuje i o czym myśli.

Niedługo potem stało się to, czego się obawiała. Przyjechała grupa ludzi. Chodzili, mierzyli, notowali. Nie minęło dużo czasu i zaczęła się budowa.

Flora była przygaszona i nic nie mówiła. Próbowiałem ją pocieszać, mówiąc: „Nie zamartwiaj się, Flora! Każdy szuka swojego miejsca na ziemi, dla każdego znajdzie się chleb”. Ale sam chyba nie wierzyłem w to, co mówiłem. To, co przydarzyło się wcześniej tej starej kobiecie z budki naprzeciwko Flory, teraz miało się przydarzyć jej samej za sprawą szybko wznoszącego się po drugiej stronie drogi betonowego kasyna.

Ale myliłem się! Miesiąc po otwarciu kasyna Florze wciąż nieźle się powodziło. Co prawda przejeżdżający tędy podróżni zatrzymywali się teraz na noc w kasynie, ale nie zapominajmy o okolicznych wieśniakach, wiernych Florze mieszkającym pobliskich wiosek. Oni wciąż woleli być klientami tego niepozornego przybytku.

Tamtego roku przeniesiono mnie do innej wsi...

Niedawno zdarzyło się, że przejeżdżałem tamtędy. Jak pewnie się domyślacie, najpierw zajrzałem do kasyna. Nie czułem się tam dobrze. Nie dopijając swojej lemoniady, wyszedłem i przeszedłem na drugą stronę drogi. Nie poznałem Flory. W ciągu dwóch lat tak bardzo się postarzała...

Jej sytuacja była dla mnie jasna, ale mimo to zapytałem:

– Jak tam twoje interesy, Floro?

Stara kobieta wzdygnęła się:

– Interesy, powiadasz? Jakie interesy, *daskale*? Z początku nie było źle, ale z biegiem czasu wieśniacy zaczęli się przywiązywać do tamtego miejsca, bo czego furmani nie mogli dostać tutaj, od starej kobiety, dostawali tam, i to aż nadto.

Nie pamiętam, o czym jeszcze wtędy z nią rozmawiałem.

Przeczytałem jednemu kumpłowi to opowiadanie, a on mówi:

– Przynajmniej skończyłbyś to jakąś puentą...

Chciałem to zrobić, ale nie potrafiłem wymyślić.

Puentę zostawiam zatem czytelnikom.

Samet Mart
Przełożyła Grażyna Zajac

Poezja tureckocypryjska w przekładach Joanny Ciepły

Urkiye Mine Balman*

LUDZIE

Czasem zastanawiam się
Kto z ulicznych przechodniów
daleki jest od świata,
a kto bliski Boga.

Czasem milczący starzec
chłopiec o kręconych włosach
dziewczę przechodzi zawstydzone
Daleko, jakaś starsza pani
zdaje się zgubiła miłość
drżące, pomarszczone dłonie
Czegoś szukają jej oczy zmęczone.

Świat zakochany w burzy
Ludzie nieszczęśliwi, strapieni
Biegną za jakąś nadzieją
Ludzie zmęczeni, zatrwożeni

Miłość i radość sprzedaje
pewna piękna dziewczyna.
Jakiś człowiek idzie ze swym losem na barkach
Ludzie przechodzą cierpliwością obłożeni
Czasem truchleją od tajemniczej nadziei
Ci, co zapomnieli miłości.
I każdego ranka na tej ulicy
Ku nowemu dniu biegną ludzie.

* Ten wiersz i kolejne, jeśli nie jest inaczej zaznaczone, pochodzą z *Kıbrıslı Türk Şiiri Antolojisi* [Antologia poezji Turków cypryjskich], oprac. Mehmet Yaşın, Stambuł 1994.

Özker Yaşın

KTOŚ OBCY

Nie słyszysz moich wołań nocnych
Nie wiesz, za czym tęsknię
Nie znasz mnie wcale
Nic nic a nic nie znasz mnie
Nie zasmucisz się gdy umrę.

Nie wiesz jak bije moje serce
gdy cię zobaczę
Nie wiesz jak każdej nocy
śniąc, myślę o tobie
Nie wiesz jak nędzny jest mój pokój.

Nie wiesz jak w snach
rozbieram cię, nie wiesz
Jak w dalekich krajach poranki
wschodzą, nie wiesz.

Jak kochają się mrówki
Jak zielenią sadzonki
Jak otwierają się pąki, nie wiesz.

Mimo swego piękna
w ciasnocie przyszło ci żyć
niczym roślina, niczym chrząszcz
urodzić się, żyć i umrzeć.

Nie słyszysz moich wołań nocnych
Nie wiesz, za czym tęsknię
Nie znasz mnie wcale
Nic nic a nic nie znasz mnie
Nie zasmucisz się gdy umrę

Taner Baybars

PIĘĆ WERSÓW

Deszcz zalał, wypełnił rynny
W jedną wążutką wpadł czas
Tak zachmurzeni, tak pijani
Szaleńczo spływamy
Bardziej niż my pustymi rynnami

Fikret Demirağ

NIE PIEJ KUROPATWO, BO UMRĘ

nawet moja matka nie wie ile światel zgasło we mnie!
nie odchodź, kuropatwo, bo umrę.
zamiast gór i róz końca niech ja zginę
tak czy inaczej nie mogę się zdzierżyć!
nie piej kuropatwo, jeśli zapiejesz – zakrwawię
jeśli w swoją pieśń mnie wrzucisz
jeśli przed sercem barykady postawisz
jeśli jednego dnia spętania, drugiego dnia płakania
brata bliźniaka poszukasz
to ja, kuropatwo! nie piej, kuropatwo, bo umrę.
teraz, gdy wioski i miasta wymieszane są razem
moje drogi do wiosek, do miast wiodą
nie trzymaj mnie, kuropatwo, bo umrę!
nawet moja matka nie wie ile światel we mnie zgasło!
jestem całkiem przez coś pokonany.
dopóki nie zrozumieć, jak wiele straciłem liści
i że stokrotka mego wnętrza zwróciła się do nocy
nie śpiewaj, kuropatwo, bo umrę.
niech wyjaśnią mnie ucichłe organy
niech ćwierkają ptaki niech wyjaśnią

nie piej, kuropatwo, bo umrę.
w oddali zabłysło światło koloru poranka
nie trzymaj mnie, kuropatwo, bo umrę.
nawet moja matka nie wie ile światel zgasło we mnie!

Süleyman Uluçamgil

NIC

Wszedłem do jakiegoś grobu
Na niby
Po bokach była ziemia
Na ziemi leżałem
Leżałem na surowej skale
Na wilgotnym kamieniu
Kiedy oparłem ręce o boki
Ziemia weszła mi w oko
Nie mogłem zobaczyć niczego ponad sobą
A właściwie, po śmierci
Nie potrafiłem przewidzieć,
Co zobaczę.

Kaya Çanca

DŁONIE O DŁUGICH PAZNOKCIACH*

to, jak żyję, zmieniło się
z panią
z panią wszystko zdawało się dobre
nawet moja śmierć zdawała mi się słodka
teraz, z dala od pani jestem martwy

* Wiersz z książki: Gürgenç Korkmazel, *Kaya Çanca, Yaşamı ve Eserleri (Kaya Çanca, życie i twórczość)*, Nikozja 2010.

wkroczyłem w całkiem nowy świat
doznałem całkiem nowych uczuć
dowiedziałem się, czego nie wiedziałem
jedynę, co wiedziałem, to pani
byłem tuż za panią
chodziłem wpatrzony w pani oczy
teraz moje myśli wpatrzone są w nieznajomego
ja tuż za panią
pani dłonie o długich paznokciach trzymały moją rękę
pani długie paznokcie kopią mój grób
po pani poszedłem na śmierć
skłonny byłem umrzeć z panią

nie, to pani mnie zabiła

ludzie strzelali do mnie
ustawili się w szeregu po kolei strzelali
ustawili się w szeregu, byłem rozstrzelany
wcześniej nie było pani w szeregu
przyszła pani po nich wszystkich
załadowała pani swój pistolet
załadowała patrząc mi prosto w oczy
ja wodziłem za pani oczami
załadowała pani swój pistolet, żeby mnie zabić
przyszła pani po nich wszystkich
wyciągnęła swój pistolet
od każdego człowieka przyjąłem kulę
od każdego lekko oberwałem
rany szybko się zamykały
żadna kula mnie nie zabiła
i na końcu przyszła pani, wyciągnęła swój pistolet
zabiła jednym strzałem

Nice Denizoğlu

TOBIE

wiele dzieci mogłam urodzić
gdyby nie ustał w wojnie świat
gdyby nasze domy nie płonęły
gdyby nie zmieniła się moja kobiecość
z promieni w czarne jezioro
mogłam urodzić tyle dzieci
siły mam bez liku!
szkoda tylko że
by z wojną wygrać jej nie starczy
że z wojną ciężarny jest świat.

Przełożyła Joanna Ciepły



Fot. Grażyna Zając

Cypr, Famagusta, droga do Wieży Otella

İsmail Bozkurt

CZŁOWIECZEŃSTWO*

Z jakiegoś powodu wszyscy nazywają ją Ciocią. Ma 79 lat. Żyje samotnie w małym domku składającym się z dwóch pomieszczeń. Nie jest wdową. Nigdy nie wyszła za mąż.

Do 1974 roku mieszkała tak jak ja na południu Cypru, w wiosce mieszanej, grecko-tureckiej, w dużym domu, którego pokoje wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Matkę straciła przed wielu laty, a ojca – kilka miesięcy przed lipcem 1974.

Historia jej rozstania z południem jest smutna. Na początku lipca pojechała do Nikozji, aby spędzić kilka dni u znajomej. Pod koniec tygodnia miała wrócić do domu, ale znajoma nie odwiozła jej na wieś, tylko zatrzymała u siebie. A kilka dni później na Cyprze nastąpił koniec świata. Mieszkańcy wyspy najpierw przeżyli zamach stanu przeciwko Makariosowi, a w ślad za nim – desant wojsk tureckich. W tych wojennych okolicznościach nasza wieś została zajęta przez siły greckie.

Ciocia już nigdy nie wróciła do swojego domu. Wyznaczono jej do zamieszkania dom w tej samej wsi, w której i my teraz mieszkamy. Kiedy po pełnej niebezpieczeństw ucieczce przedostaliśmy się na północ, przydzielono nam dom w sąsiedztwie domu Cioci. Zaczęliśmy tam życie od nowa, niemalże od zera.

Domek Cioci był maleńki niczym pudełko. Został porządnie splądrowany, rozgrabiony, złupiony. Nie tknięto tylko – nie wiadomo, z jakiego powodu – zdjęcia, które, powiększone i oprawione w ramki, wisiało w pokoju na ścianie. Kiedy Ciocia wprowadzała się do tego domu, ono tam było.

Na zdjęciu było dwoje dzieci: dziewczynka w wieku około sześciu, siedmiu lat i cztero-, pięcioletni chłopiec.

Ciocia nigdy nie ruszyła tego zdjęcia ani nikomu nie pozwoliła go tknąć. Z czasem na ścianie zawisły i inne fotografie, ale to zdjęcie dwojga dzieci wciąż zajmowało poczesne miejsce.

Od czasu do czasu zanudzałam Ciocię pytaniem:

– Po co trzymasz to zdjęcie?

Niektórzy mówili:

– Zdejmij wreszcie to zdjęcie!

* Opowiadanie *İnsanlık* (tur.) pochodzi z tomu I. Bozkurta, *Bücür ile Gölge*, Lefkoşa 2006, s. 40–46.

Bywali i tacy, którzy czynili jej wyrzuty:

– Trzymasz tę fotografię w najpiękniejszym, najważniejszym miejscu. Jest ważniejsza nawet od nas?

Ciocia zawsze spokojnie reagowała na te zaczepki i pretensje, nie złościła się ani nie obrażała. Niezmiennie odpowiadała:

– Miejsce tego zdjęcia jest na tej ścianie.

W kwietniu nagle wydano zezwolenie na przekraczanie granicy z północy na południe i z południa na północ. Nawet nie zrozumieliśmy, jak to się stało. Naród rzucił się do przejść granicznych.

I natychmiast, jeszcze tego pierwszego dnia, do domku Cioci przybyło dwoje gości, para młodych Greków w wieku około 35 lat. Powiedzieli, że ten dom należał przed 1974 rokiem do ich krewnych i że zajrzeli tutaj przy okazji pobytu we wsi, aby potem opowiedzieć bliskim o domu. Ciocia doskonale mówiła po grecku, więc porozumiewała się z nimi bez problemu.

Gdy goście zobaczyli zdjęcie wiszące w pokoju, bardzo się zdziwili. Nie mogli uwierzyć własnym oczom:

– Czy to zdjęcie było tutaj, gdy pani się tu sprowadziła? – zapytali.

– Tak – odpowiedziała Ciocia.

– No dobrze, ale czy w ogóle pani go stąd nie ściągnęła?

– Nie! A po co bym to miała robić?

Goście spojrzeli na siebie.

– Na tej fotografii są dzieci właściciela domu, czyli naszego wuja – powiedziała kobieta. – I oni w ogóle nie mają zdjęć z dzieciństwa. A dokładniej mówiąc, nie mają żadnych zdjęć sprzed 1974 roku, bo kiedy w popłochu opuszczali wieś, nie mieli głowy do zdjęć. I sądzili, jak każdy, że tu wrócą!

Ciocia odpowiedziała:

– Zachowałam tę fotografię, myśląc, że może kiedyś właściciele przyjadą, to ją sobie wezmą. Jak chcecie, to zabierzcie. Skoro znacie właściciela...

Goście znów spojrzeli na siebie. Porozumieli się wzrokiem.

– Nie będziemy go zabierać – powiedziała kobieta. – Powiemy im. Najlepiej jakby sami przyjechali i zabrali. Przy okazji zobaczyliby dom i wieś.

Dwa dni później do Cioci znowu przyjechało dwoje gości. Tym razem byli to około trzydziestoletni młodzi ludzie, chłopak i dziewczyna.

– Jesteśmy rodzeństwem i urodziliśmy się w tym domu – powiedzieli.

Ciocia również ich zaprosiła do środka. Natychmiast rozejrzeli się po ścianach. Byli bardzo poruszeni, zwiłgotniały im oczy. Widząc to, Ciocia

też się wzruszyła. Troje ludzi, stara kobieta i dwoje młodych, przeżywało silne emocje. Przez dłuższą chwilę nie byli w stanie nic powiedzieć.

– To jest nasze zdjęcie z dzieciństwa – odezwał się młody człowiek.
– Nie mamy z tamtego okresu żadnej fotografii. Dziękujemy, że je pani przechowała.

Ciocia zrobiła kawę, wypili. Opowiedzieli o swoich rodzicach, którzy byli już starzy i nie znaleźli w sobie odwagi, aby przyjechać. Kiedy krewni zobaczyli dom i fotografię, a potem opowiedzieli o tym, rodzice bardzo się popłakali.

Kobieta zapytała Ciocię, skąd pochodzi. Ciocia opowiedziała o swojej wsi i domu, i o tym, jak go opuściła i już do niego nie wróciła.

– Nie ma różnicy między nami i wami – powiedziała młoda kobieta.
– Spotkał was ten sam los, co nas.

Nastąpiła długa cisza, po czym młody człowiek powiedział:

– Sprzeda nam pani tę fotografię? Zapłacimy, ile pani będzie chciała.

– Sprzedać? – odezwała się Ciocia. – Jak to sprzedać? Myślicie, że przechowywałam to zdjęcie dla pieniędzy? Weźcie je. Jest wasze. Nie chcę pieniędzy ani niczego...

Przybysze upierali się, żeby zapłacić. Powinienem tu wspomnieć, że w domu Cioci wyraźnie widać było biedę.

– Kupi sobie pani coś za te pieniądze – mówili, dając do zrozumienia, że dostrzegają niedostatek panujący w domu. Ale Ciocia się uparła: nie i nie!

Brat i siostra podziękowali wylewnie i rozstali się z Ciocią szczęśliwi, zabierając ze sobą fotografię.

Kilka dni później do Cioci znowu przybyli goście. Tym razem z młodym człowiekiem przyjechali jego rodzice. Ciocia zaprowadziła ich do pokoju, ugościła.

Długo, długo rozmawiali. Potem przez tylny taras wyszli do ogródka. Ojciec skierował się w stronę prawego rogu domu, mówiąc:

– Tutaj rośla limonka.

– Zgadza się – powiedziała Ciocia. – Ale uschła.

Goście spojrzeli po sobie, a to spojrzenie nie umknęło uwadze Cioci.

Niedługo po tym, jak Ciocia wprowadziła się do tego domu, pomogliśmy jej w znalezieniu kogoś, kto zająłby się uporządkowaniem ogrodu. Podczas prac porządkowych Mustafa znalazł zakopany pod drzewkiem limonki zawinięty w tkaninę mały skarb, złotą biżuterię.

Wkrótce wiadomość o tym fakcie rozniósła się po całej wsi i doszła też do moich uszu. W takich niedużych wiejskich społecznościach trudno utrzymać coś w sekrecie... Wieś, tak samo jak duże miasto, nie jest w stanie

dochować tajemnicy. Wszystko, czy dobre, czy złe, w niedługim czasie staje się powszechnie znaną sprawą...

Wieść o znalezisku Mustafy też szybko się rozniosła.

W tym czasie we wsi urzędował człowiek, którego określano mianem „przewodnika”. Do jego obowiązków należało kierowanie przesiedleńców do domów przeznaczonych do zamieszkania. Dotarła do mnie pogłoska, że „przewodnik” za parę groszy odkupił od Mustafy skarb.

Pewnego dnia dopadłem Mustafę i porządnie przepytalem. Nie zaprzeczał. Przyznał się, że pod drzewkiem limonki znalazł zawiniętą w tkaninę sporą liczbę złotych ozdób. Nie pamiętał, co tam było i ile. Miał żal do „przewodnika”. Przyznał, że dał mu się oszukać: „Wyrolował mnie lajdak”.

Mustafa miał nałogi. Bardzo dużo palił i pił.

Stało się dla mnie jasne, że pozbył się skarbu za pieniądze na papierosy i rakiję.

Ciocia domyśliła się ze spojrzeń swoich gości i z ich zainteresowania limonką, że chcą wiedzieć, co się stało z zakopanym tam skarbem. Opoowiedziała im pokrótce, jak to było. Ale goście przyjechali do niej dobrze przygotowani. Mieli ze sobą motykę.

– A może też moglibyśmy tu pokopać? – zapytał ojciec z nutką nadziei w głosie.

– Kopcie – odpowiedziała Ciocia.

– Pędź do auta po motykę – polecił ojciec synowi.

Przyniesiono motykę. Przekopano miejsce, gdzie niegdyś rośla limonka. Naturalnie niczego nie znaleziono.

– Chciałam zabrać ze sobą moją biżuterię, a ty mi nie pozwoliłeś! – krzyknęła z wyrzutem kobieta.

– Tak! Nie pozwoliłem! Bo nawet nie wiedzieliśmy, jak i którędy będziemy uciekać! Przecież myśleliśmy, że tu wrócimy! – odrzekł ze złością.

– To przez ciebie zostałam bez niczego! – powiedziała płaczącym głosem kobieta, najwyraźniej chcąc kontynuować kłótnię.

Mężczyzna odezwał się ostatni raz, ale nie do żony, a do Cioci:

– Jesteśmy pani bardzo wdzięczni! Przechowała pani fotografię naszych dzieci. To zdjęcie jest dla nas i dla nich o wiele cenniejsze niż złoto, które tu zostawiliśmy. Dziękujemy! Nie zapomnimy pani człowieczeństwa.

W tym czasie zaczęły do nas dochodzić wiadomości z naszej wsi, która została w południowej części wyspy. Już wcześniej mieliśmy informacje od tych, którzy nielegalnie przekraczali granicę oraz od rodaków mających brytyjskie paszporty i przyjeżdżających z Anglii na Cypr na wakacje.

A teraz doszły jeszcze wieści od ludzi, którzy zaczęli legalnie przekraczać granicę między północą i południem: mówiono, że nasza wieś, a dokładniej jej turecka część, została w większości zburzona. Nasz dom rozebrano. Mówiono, że dom Cioci też został zburzony.

Nie śpieszyło mi się na południe. Ale kilka razy pytałem Ciocię, czy chciałyby zobaczyć rodzinną wieś. Z początku nie miała na to ochoty, zapewne z powodu pogłosek, jakie do niej dochodziły. Z biegiem czasu jej niechęć malała:

– Ech, jak mi będzie pasowało, to mogę jechać.

Wreszcie oznajmiła, że chce tam pojechać.

Gdy tylko pojawiło się zezwolenie na przekraczanie granicy samochodami, zawiozłem ją do naszej wsi. Było tam tak samo pięknie, tak samo zielono, jak 29 lat wcześniej. Kotlina, która dawała wsi schronienie, wciąż wyglądała niczym kawałek raju.

Grecka część wsi bardzo się rozwinęła, wyremontowano drogi, zbudowano nowe domy. Nie wiem, czy to był przypadek, ale nowe drogi i budynki publiczne takie jak urząd wójta, poczta, ośrodek zdrowia, postawiono na tureckich działkach.

Przed 1974 rokiem nasza wieś słynęła z uprawy roślin cytrusowych. Potem uprawa rozwinęła się, założono nowe ogrody. Ale z jakiegoś powodu ogrody Turków uschły. W olbrzymiej, bo liczącej dwieście domów tureckiej części wsi zostało wszystkiego dziesięć, piętnaście budynków. Nasz dom zburzono, w jego miejscu stała sarta gruzu.

A co z domem Cioci?

Nie było po nim śladu, nawet fundamentów.

Wysiedliśmy z auta i patrzyliśmy przez chwilę tam, gdzie niegdyś była uliczka, a przy niej rzędem stały domy.

Próbowałem wyczytać z twarzy Cioci, o czym myśli. Starła się nie pokazać po sobie uczuć. Długo stała bez ruchu, a potem przytknęła prawą dłoń do ust, co miała w zwyczaju robić, gdy była czymś zmartwiona. Zdało mi się, że dotknęła językiem palca wskazującego. Zaczęły jej drgać policzki, a po chwili z oczu popłynęły łzy. Przejmująco, ale bezgłośnie, nie rzucając się nikomu w oczy, płakała, płakała, płakała...

Zapominając o własnym smutku, bólu i rozczarowaniu, zapragnąłem powiedzieć kilka słów pociechy.

I nie znalazłem w sobie słowa, które mogłoby ją pocieszyć.

Türkay Ilıcak

W POŁOWIE*

Idę chodnikiem w połowie wyłożonym kostką
Wdychając zapach na wpół spalonej benzyny i ropy
W kraju w połowie wolnym.
W ręku papieros wypalony do połowy.
Przechodnie gapią się na mnie na wpół przytomnym wzrokiem.
Wczoraj przyleciałem z Melbourne zobaczyć moją ojczyznę.
Jestem w Nikozji, w mieście do połowy moim
Gdzie pogrzebano tysiące moich wspomnień.
Idę przez park do połowy zadbanej
Wypełniony ludźmi w połowie obywatelami.
U sprzedawcy na rogu kupuję bilet, połówkę.
Zima, dzień w połowie słoneczny, jestem szczęśliwy.
Za pół miliona kupuję w kiosku gazetę.
Szpalty pełne tekstów półinteligentów.
Dwunasta. Połowa dnia. Poczuję głód.
W Bramie Kyreńskiej mówię do sprzedawcy
Pół porcji kebaba.
Pytam o cenę. Pół miliona.
Na ulicy auta. Pół na pół zagraniczne i krajowe.
W biurach otwartych na pół dniówki
Rozmawiam ze znajomymi. Na wpół optymistyczni.
Mówimy o pensjach, co kończą się w połowie miesiąca.
Słońce już dawno się skryło, teraz księżyc jasny.
Na wpół niezależne dziewczęta od dawna już na randce
Z lowelasami. Za pół kieszonkowego.
Przy trasie na Kyrenię, w połowie górzystej
Na dyskotecę półmrocznej, rozkochani, przytuleni

* Z tomu *Özün Sözü Şiirler ve Maniler*, Melbourne 2002.

Tańczą w rytm piosenek, w połowie tureckich.
Jeszcze trochę, a będzie pół nocy.
Połowiczna jest moja koncentracja.
Nie mogę skończyć tego wiersza.
Najlepiej niech tak zostanie.
W połowie...

Przełożyła Grażyna Zając



Fot. Marcel Nowakowski

Pomnik Mustafy Kemala Atatürka i flaga nieuznawanej międzynarodowo Tureckiej
Republiki Cypru Północnego, Morfu/Güzelyurt

Grażyna Zając

NARODZINY POWIEŚCI W LITERATURZE TURKÓW CYPRYJSKICH

Powieść jako gatunek literatury pięknej o charakterze narracyjnym pojawiła się w świadomości Turków znacznie później niż w Europie. Pomijając beletrystyczne opowieści z czasów antycznych oraz wczesne próby powieściowe w erze nowożytnej (takie jak *Gargantua i Pantagruel* czy *Don Kichot*), prawdziwa kariera powieści rozpoczęła się w epoce oświecenia, by w XIX wieku zaprowadzić ten gatunek na wyżyny kunsztu, popularności i różnorodności. Jednak Turcy długo nie znali tego coraz bardziej powszechnego gatunku literackiego, co tłumaczy się hermetycznym charakterem ich kultury, bowiem dopóki imperium Osmanów panowało nad olbrzymimi połaciami świata, dopóki budziło strach wśród mieszkańców potężnych państw Europy, a sułtan – posiadając tytuł kalifa – był głową całego świata muzułmańskiego, nie czuli potrzeby przyswajania czegokolwiek spoza kręgu ich cywilizacji. Nawet druk, wynalazek jakże pozytywnie wpływający na upowszechnienie słowa pisanego i czytelnictwa, pojawił się w Turcji z wielkim, prawie trzywiekowym opóźnieniem¹.

Osmanowie zainteresowali się zdobyczami cywilizacji chrześcijańskiej dopiero wtedy, gdy zaczęli w XVIII wieku przegrywać wojny i tracić terytoria. Nic dziwnego, że pierwsze przyjmowane przez Turków europejskie nowinki związane były z armią i szkolnictwem wojskowym. Natomiast szersza, wieloaspektowa fala europeizacyjna pojawiła się dopiero w 1839 roku, wraz z ogłoszeniem przez szesnastoletniego sułtana Abdülmecita (1839–1861) edyktu zapowiadającego wielkie reformy modernizacyjne. Ta epoka wielkich reform w Turcji osmańskiej nosi nazwę *tanzimat*, a termin ten oznacza „uporządkowanie”. Umowne daty trwania tego okresu to 1839–1876. Zapoczątkowany wtedy proces unowocześniania państwa, dotyczący m.in. sądownictwa, administracji, praw obywatelskich czy edukacji spowodował przemianę w mentalności przedstawicieli osmańskich wyższych warstw społecznych. Zaczęli się interesować kulturą (w tym literaturą) Zachodu, uczyli się języka francuskiego, sprowadzali z Europy książki i prasę. Stąd już niedaleka droga do przeniesienia na grunt literatury osmańskiej nowych, nieznanych dotąd form literackich, z których największą popularność osiągnęła powieść.

¹ Choć drukarnie istniały w Turcji osmańskiej już w XV wieku (w 1494 r. powstała w Stambule drukarnia żydowska, w 1567 ormiańska, w 1627 grecka, a w 1706 w Aleppo drukarnia chrześcijan syryjskich, jako pierwsza na świecie drukująca w alfabecie arabskim), Turcy ignorowali ten wynalazek. Pierwsza turecka drukarnia powstała dopiero w 1720 r., a założył ją poturczeniec węgierskiego pochodzenia, İbrahim Müteferrika.

Zanim Turcy zaczęli pisać własne utwory posiadające cechy gatunkowe powieści, tłumaczono na język turecki dzieła literatury europejskiej (np. *Telemacha*, *Nędzników*, *Przypadki Robinsona Crusoe*, *Podróże Guliwera*, *Hrabiego Monte Christo*, jak również nieposiadające większych walorów literackich liczne historie miłosne i detektywistyczne). Następnym etapem było tworzenie przeróbek i parafraz utworów europejskich, a wreszcie zaczęły powstawać oryginalne, tureckie powieści.

Za pierwszą powieść turecką uważa się *Taaşşuk-ı Talat ve Fitnat* (*Miłość Talata i Fitnat*) opublikowaną w 1872 roku przez 22-letniego Osmanina albańskiego pochodzenia, Şemsettin Samiego (1850–1904). Następne tureckie powieści wyszły spod pióra Ahmeta Mithata Efendiego (1844–1912), który jest uważany za twórcę tureckiego powieściopisarstwa. Między 1874 a 1910 rokiem opublikował około czterdziestu powieści. Do grona literatów, którzy działali w tym okresie i mieli w dorobku po dwie, trzy powieści, zaliczają się jeszcze tacy wybitni twórcy epoki *tanzimatı* jak Namik Kemal (1840–1888), Recaizade Mahmut Ekrem (1847–1914) i Samipaşazade Sezai (1860–1936).

Pierwsze powieści tureckie miały wyraźnie zaznaczony dydaktyczny charakter, były zaangażowane społecznie, bowiem poruszały trzy bardzo żywotne dla społeczeństwa osmańskiego tematy: tradycyjny sposób zawierania małżeństw – za pośrednictwem swatek – prowadzący często do wielkich tragedii; niewolnictwo; błędne i bezkrytyczne przyjmowanie europejskiej mody i obyczajów². W efekcie intensywnej działalności pisarzy i tłumaczy w latach 80. XIX wieku powieść była już popularnym i cenionym gatunkiem literackim, a turecki czytelnik dysponował sporą liczbą rodzimych utworów. Zupełnie inaczej wyglądało to na Cyprze...

Cypr – zaniedbana osmańska prowincja, wyspa zesłańców

W czasie, kiedy powieść zaczynała zdobywać popularność wśród tureckich czytelników, Turcja utraciła swoją morską posiadłość, Cypr. Stało się to, zanim tureccy mieszkańcy wyspy zetknęli się z modą na czytanie (i pisanie) powieści. Ale – biorąc pod uwagę niski poziom rozwoju literatury na Cyprze pod osmańskim panowaniem – można przypuszczać, że nawet gdyby nie doszło w 1878 roku do przejęcia Cypru przez Wielką Brytanię, wśród zaniedbanej edukacyjnie i rozproszonej po całej wyspie mniejszości tureckiej powieść nie zyskałaby takiej popularności, jak w Anatolii.

Kiedy Selim II Pijak (1566–1574), syn sułtana Sulejmana Wspaniałego i Hürrem (Roksolany) podbił i przyłączył do imperium tę wenecką wówczas wyspę, na Cyprze pojawili się Turcy. Z Anatolii przywieziono żołnierzy do obrony nowej osmańskiej posiadłości oraz garstkę urzędników, sędziów, duchownych. Sprowadzono także rolników z najuboższych, przeludnionych terenów Anatolii oraz niewielką liczbę

² Szerzej o pierwszych przekładach i powieściach w Turcji osmańskiej zob. G. Zajac: *Narodziny tureckiej powieści* [w:] *Studia Orientalia Thaddaeo Lewicki Oblata*, red. E. Górską, B. Ostafin, Kraków 1994, s. 115–141; *Rola przekładów z literatur europejskich w procesie powstawania tureckiej literatury narodowej w XIX wieku*, „Między Oryginałem a Przekładem V” 1999, s. 45–57.

rzemieślników, którzy mieli być przeciwwagą dla dotychczasowego rzemiosła znajdującego się w rękach Greków. Wśród osiedlonej ludności było sporo bezrolnych wieśniaków, nędzarzy, włóczęgów, awanturników, drobnych przestępców. W ten sposób władze osmańskie pozbyły się z Anatolii pewnej części swoich kłopotliwych mieszkańców³.

Nieliczna grupa wykształconych Turków, zajęta tworzeniem zrębów nowej władzy na wyspie, raczej nie zajmowała się twórczością literacką. Poza tym miłośnicy literatury wysokiej mieli co czytać – przywieźli ze sobą arcydzieła ówczesnej, wysoko rozwiniętej klasycznej literatury osmańskiej, a trzeba tu powiedzieć, że wiek XVI to okres największego rozkwitu osmańskiej literatury dywanowej. Większą aktywność można było zaobserwować w literaturze ludowej. Wraz z tureckimi zdobywcami zaistniała na Cyprze wielowiekowa tradycja ludowa, reprezentowana m.in. przez eposy (*destan*), elegie (*ağut*), legendy (*efsane*) i przysłowia (*atasözü*). Są to gatunki, które szybko reagują na przemiany społeczne, ważne wydarzenia, radości i smutki będące udziałem społeczności.

Do tych dwóch podstawowych rodzajów twórczości literackiej w świecie tureckim (klasycznej i ludowej) trzeba dodać jeszcze jeden, uważany za pomost między tymi dwoma – literaturę klasztorną, uprawianą przez derwiszów wykształconych w duchu mistycyzmu, łączących kult religijny z poezją, muzyką i tańcem. Na Cyprze literatura klasztorna reprezentowana była przez sprowadzony do Nikozji w ostatnich latach XVI wieku zakon mewlewitów. To z tego bractwa wywodzili się pierwsi poeci, których utwory, choćby w szczątkowej postaci, zachowały się do naszych czasów (przełom XVII i XVIII wieku), ze środowiska mewlewitów pochodził także autor pierwszej powieści, Kaytazade Mehmet Nazım.

Cypr był dla imperium ważnym punktem strategicznym strzegącym tureckich interesów na Morzu Śródziemnym, ale był też dla państwa coraz większym obciążeniem. Okres osmańskiej potęgi i przewagi militarnej dobiegał końca, a od pierwszych lat osmańskiego panowania wyspę nawiedzały kolejno takie nieszczęścia, jak: zarazy, malaria, plaga szarańczy, susza, głód, bunt chłopów. W tej sytuacji państwo mogło zadbać tylko o utrzymanie wyspy w swoim posiadaniu, natomiast życie kulturalne mieszkańców, tak Greków, jak i Turków, było zupełnie poza zakresem zainteresowania stolicy. Zapewne tym należy tłumaczyć fakt, że nowe zjawiska kulturalne intensywnie rozwijające się w Turcji od połowy XIX wieku, takie jak prasa, drukarnie, teatr, pierwsze powieści i nowele, pojawiły się na Cyprze z wielkim opóźnieniem, a ironią losu można określić fakt, że kontakt wykształconych Turków cypryjskich z osmańską kulturą odbywał się przede wszystkim za pośrednictwem zsyłanych na wyspę osmańskich dygnitarzy i poetów⁴. Do-

³ Rozporządzenie sultana z roku 1572 o przesiedleniu ludności na Cypr dostępne w: *Türk Silâhli Kuvvetleri Tarihi*, III cilt: *Kıbrıs Seferi (1570–1571)*, Ankara 1971, s. 174–176. O akcji osiedlania Turków na Cyprze pisał także Nazım Beratlı (*Biz Kıbrıslı Türkler 1-2-3-4*, „Kıbrıs Gazetesi”, 15 Mart 2023–29 Mart 2023).

⁴ Najbardziej znani i zasłużeni dla Turcji zesłańcy na Cyprze to: Yirmisekiz Mehmet Çelebi (zm. 1732 na Cyprze) – osmański poseł do Francji, skąd przywiózł wartościową relację z pobytu i zapoczątkował modę na europejskie wzory architektury miejskiej; Ziya Paşa (1826–1880) – wybitny poeta i publicysta epoki

datkowym czynnikiem, który znacznie utrudniał i opóźniał przenikanie literackich nowinek z Turcji na Cypr, było przejście wyspy przez Wielką Brytanię w 1878 roku i znaczące utrudnienie i tak już bardzo słabych kontaktów kulturalnych.

1894 – narodziny tureckiej powieści na brytyjskim Cyprze⁵

Kiedy mówimy o pierwszej turekocypryjskiej powieści, od razu nasuwają się charakterystyczne spostrzeżenia na temat uwarunkowań i okoliczności powstania tego utworu. Autor pierwszej powieści, Kaytazzade Mehmet Nazim (1857–1924), był Turkiem cypryjskim wykształconym w bractwie mewlewitów w Nikozji. Mewlewicki klasztor był podówczas tym miejscem na Cyprze, gdzie muzułmanie mogli zdobyć najlepsze ogólne wykształcenie.

Jako młody człowiek Kaytazzade miał okazję poznać zesłanego na Cypr Namika Kemala – legendarnego już wówczas poetę osmańskiego, bojownika o swobody obywatelskie. Ta znajomość miała fundamentalne znaczenie dla rozwoju zainteresowań przyszłego literata. Doświadczenie zawodowe i pisarskie Kaytazzade zdobywał w Turcji, dokąd wyjechał w 1884 roku celem podjęcia służby państwowej. Spędził w Turcji 30 lat. Zaprzyjaźnił się z czołowym poetą okresu *tanzimatu*, Recaizade Mahmutem Ekremem, po śmierci Namika Kemala uważanym za lidera tureckich poetów. Zarówno Kemal, jak i Ekrem byli przede wszystkim poetami, a powieścią zainteresowali się na fali wzrastającej mody na ten nowy gatunek: Kemal napisał dwie powieści, Ekrem – jedną. Podobnie było z Kaytazzade – głównym polem jego działalności literackiej była poezja.

Okres pobytu Nazima w Turcji przypada na lata panowania sułtana Abdülhamita II (1876–1909), kiedy to drastycznie ograniczono swobodę wypowiedzi, uniemożliwiając pisanie o tematach politycznych i społecznych. Pisarze tego okresu⁶ uciekali w tematykę miłosną, pisali o wyższych sferach i dla wyższych sfer, unikali jakiegokolwiek krytyki społecznej, bo tak było bezpieczniej. Powieść Nazima reprezentuje ten sam styl.

Podjęcie przez autora, mieszkańca brytyjskiego Cypru, pracy w urzędach państwowych Turcji osmańskiej było możliwe dzięki temu, że zgodnie z postanowieniami traktatu berlińskiego (1878) wyspa przeszła pod okupację brytyjską, ale formalnie wciąż była ziemią należącą do Turcji. Sytuacja zmieniła się dopiero po wybuchu I wojny światowej i przystąpieniu imperium osmańskiego do wojny po stronie Niemiec. Wielka Brytania dokonała wtedy aneksji wyspy, a w roku 1925

tanzimatu, wydawca prasy, na Cyprze w latach 1861–1863 oraz Namik Kemal (1840–1888) – najwybitniejszy poeta epoki *tanzimatu*, powieściopisarz, dramaturg, publicysta, na Cyprze w latach 1873–1876 (za: B. Fevzioğlu, *Kıbrıs Türk Basın Tarihinden 100 Yıllık Basın Davaları*, Famagusta 2010, s. 1–7).

⁵ Rok 1894 to data wydania książki (w drukarni gazety „Kıbrıs” w Nikozji). Powieść została napisana w 1891 roku i najpierw ukazała się w odcinkach w cypryjskiej prasie.

⁶ Mowa o kręgu literackim *servet-i fünun*, kolejnym po *tanzimacie* okresie w literaturze tureckiej (przełom XIX i XX w.).

ogłosiła nadanie Cyprowi statusu kolonii brytyjskiej. Ten stan prawny drastycznie ograniczył kontakty tureckojęzycznej ludności Cypru z Turcją.

Jaką fabułę wybrał Nazım dla *Yâdigâr-ı Muhabbet* (*Pamiętki miłości*)? Główny bohater, starannie wykształcony młodzieniec imieniem Mucip (czyt. Mudzip), w pokoju swojej młodszej siostry zobaczył zdjęcie, które podarowała jej koleżanka, Nevber, podpisując fotografię na odwrocie słowami „Pamiętka miłości”. Mucip zakochuje się w Nevber od pierwszego wejrzenia. Píše dla niej wiersze, które siostra jej przekazuje. Dziewczyna też zaczyna żywić do niego uczucie. Siostrze udaje się nawet doprowadzić do spotkania zakochanych, co w tamtej epoce w świecie islamu było bardzo ryzykowne i trudne do zrealizowania. Młodzieniec zamierza oficjalnie starać się o rękę Nevber, ale ta niespodziewanie znika, bo jej rodzina musi opuścić Stambuł na kilka miesięcy. Pograżony w rozpacz Mucip zapada na galopujące suchoty. W dniu, kiedy Nevber wraca do Stambułu, Mucip umiera⁷.

Pod względem fabuły *Pamiętka miłości* nie odbiega od tureckich powieści tego okresu, romantycznych i egzaltowanych. Bohaterowie są bardzo pozytywnymi osobami, mają stanowić dla czytelników jak najlepszy wzór. Szczególnie świetlaną postacią jest nieszczęsny główny bohater, a pierwszoplanowe bohaterki – siostra Mucipa i Nevber, piętnastoletnie dziewczęta – są wyjątkowo samodzielne jak na ówczesne warunki rodzinne i obyczajowe, mają własne zdanie i pragną realizować swoje marzenia. Akcja utworu umiejscowiona jest w Stambule, padają nazwy topograficzne związane z tym miastem, bohaterowie powieści to jego mieszkańcy. W związku z tym zdarza się, że badacze literatury Turków cypryjskich kwestionują stwierdzenie, że powieść ta jest utworem turekocypryjskim. Jak pisze Oğuz Karakartal, jest to niesłuszny pogląd, gdyż o tym, czy utwór należy do konkretnej literatury, nie decyduje ani miejsce akcji, ani narodowość bohaterów, tylko język utworu i pochodzenie autora. Dalej Karakartal uzasadnia, że pisarz najlepiej znał środowisko stambulskie, gdyż tam przez lata pracował, także w czasie pisania powieści. Ponadto środowisko tureckiej wyższej klasy społecznej na Cyprze było tak niewielkie, a rodzin podobnych do opisanych w powieści rodów Mucipa i Nevber tak mało, że umiejscowienie akcji na Cyprze wywołałoby próby identyfikowania bohaterów, a pisarz zdecydowanie nie chciałby nikogo postawić w tak trudnej sytuacji⁸.

Po ukazaniu się pierwszej turekocypryjskiej powieści nastąpiła bardzo długa przerwa, trwająca do drugiej połowy lat 30. XX wieku. Pokazuje to, jak odmienną drogę przeszła powieść na Cyprze w porównaniu z Turcją. Podczas gdy w Turcji po wydaniu pierwszej powieści (1872) nastąpił istny wybuch powieściopisarstwa, na Cyprze długo nie było kontynuatora dzieła Nazıma. Za podstawowe przyczyny uznać trzeba złą sytuację ekonomiczną mieszkańców wyspy, niezachęcającą ani do kupowania książek, ani do tak ryzykownego przedsięwzięcia, jak wydrukowanie powieści. Pogłębiająca się w epoce brytyjskiej izolacja Turków cypryjskich od Turcji również mogła mieć duży wpływ na ten zastój.

⁷ Kaytâz-zâde M. Nazım, *Yâdigâr-ı Muhabbet*, red. H. Fedai, Lefkoşa 2004.

⁸ O. Karakartal, *Kaytazzade Mehmet Nazım* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, s. 17–18.

Hikmet Afif Mapolar – powieść podbija serca czytelników

Ponad trzydzieści lat po ukazaniu się pierwszej turekocypryjskiej powieści wyszła drukiem powieść znanego dotąd z wierszy i felietonów młodego Cypryńczyka pochodzącego z portowego miasteczka Kyrenia. Hikmet Afif Mapolar (1919–1989) przeszedł do historii literatury Turków cypryjskich jako autor największej liczby powieści⁹ oraz autor pierwszych utworów wydanych w łańciskim alfabecie¹⁰ i napisanych współczesnym językiem tureckim¹¹. Jego pierwsza powieść, którą wydrukował własnym sumptem w niewielkim nakładzie w roku 1936, nie zachowała się do naszych czasów. Znamy tylko jej tytuł – *Kahraman Kaplan* (*Tygrys bohater*). Wiadomo o niej, że została napisana z myślą o młodym czytelniku i że była to pierwsza książka wydrukowana na Cyprze w alfabecie łańciskim. Kolejne powieści Mapolara: *Diken Çiçeği* (*Oset*, 1938), *Son Damla* (*Ostatnia kropla*, 1939) i *Son Çıldırış* (*Obłęd*, 1939) zachowały się do dziś. Na fali ponownego zainteresowania jego twórczością dwie pierwsze zostały powtórnie wydane w ostatnich latach¹², podobnie jak kilka innych jego powieści i wspomnień¹³.

Hikmet Afif Mapolar to pierwszy turekocypryjski prozaik wychowany i wykształcony na brytyjskim Cyprze. Ten fakt niewątpliwie miał wpływ na charakter jego twórczości. Znajomość języka angielskiego poszerzyła jego horyzonty, umożliwiając mu korzystanie z angielskojęzycznego dziedzictwa literackiego. Poza turecką szkołą podstawową nie ukończył żadnej innej szkoły (uczęszczał do dwóch prywatnych szkół angielskich, ale naukę w obu musiał przerwać z przyczyn ekonomicznych). Mimo wszystko dużo skorzystał podczas nauki, a wiedzę uzupełniał przez całe życie. Zadebiutował jako trzynastolatek, wysyłając krótki felieton do trójjęzycznej (angielsko-grecko-tureckiej) gazety „Embros” wydawanej w Nikozji przez Anglika G. Blounta Puseya. Utrzymywał się z handlowania nowymi i używanymi książkami, z wydawania własnych gazet oraz publikowania licznych opowiadań, powieści i sztuk scenicznych. Jego biografowie podkreślają jeszcze jedno bardzo ważne zajęcie Mapolara: w okresie bezpośrednio po II wojnie światowej, gdy

⁹ Jak wyliczyła Mihrican Aylanç, na 130 powieści napisanych przez Turków cypryjskich między 1894 a 2017 rokiem aż 30 to dzieła Mapolara. Zob. M. Aylanç, *Kıbrıs Türk Edebiyatında Roman* [w:] *Kıbrıs Türk Romanı. Eserler Sözlüğü*, Lefkoşa 2017, s. 22.

¹⁰ Turcy cypryjscy zaczęli wprowadzać alfabet łańciski w miejsce arabskiego natychmiast po wprowadzeniu tego alfabetu w Turcji (1928), mimo że władze brytyjskie nie patrzyły na tę zmianę przychylnie ani nie wspierały akcji sprowadzania z Turcji nowych czcionek i maszyn drukarskich.

¹¹ Przeprowadzona w proklamowanej w 1923 r. Republice Turcji reforma, mająca na celu oczyszczenie języka z bardzo licznych zapożyczeń arabskich i perskich oraz zbliżenie języka literackiego do języka ludowego, diametralnie zmieniła turecki język pisany.

¹² *Diken Çiçeği*, red. E. Onuş, A. Üngüder, İstanbul 2019; *Son Damla*, red. E. Onuş, A. Üngüder, İstanbul 2019.

¹³ *Kıbrıs Efsaneleri*, Lefkoşa 1997; *Kıbrıs Güncesi*, Lefkoşa 2002; *Mermer Kadın*, Famagusta 2007; *Aşk Vadişi*, Famagusta 2008; *Şantöz*, Famagusta 2010; *Aslar*, Lefkoşa 2016; *Asu'nun Dönüşü*, Lefkoşa 2023; *Kök Nal*, Lefkoşa 2023.

brytyjska polityka kolonialna wobec poddanych narodów nieco złagodniała, był on pierwszym Cypryckim sprowadzającym z Turcji czasopisma, które następnie sprzedawał prenumeratorom¹⁴.

Wszystkie powieści Mapolara z wyjątkiem pierwszej, skierowanej do młodego czytelnika, poruszają aktualne, bardzo ważne tematy dotyczące mieszkańców Cypru, a akcja najczęściej toczy się w rodzinnym mieście pisarza, w Kyrenii lub okolicach. Zwraca uwagę podbarwiony odcieniem naturalizmu realizm postaci i wydarzeń oraz duża waga, jaką autor przywiązuje do kreślenia wyrazistych sylwetek kobiecych. Jego bohaterki są niezależne, chcą same planować sobie życie i samodzielnie wybierać partnerów. Nie zawsze im się to udaje. Często są to kobiety, które z powodu biedy lub porzucenia przez męża były zmuszone do podjęcia pracy w podejrzanych miejscach, takich jak tawerny portowe. Nawet jeśli prowadzą niemoralne życie, autor nigdy ich nie krytykuje, nie ocenia, wręcz przeciwnie – przedstawia je jako osoby pełne dobra i godności. To nie one są złe, tylko środowisko, które zmusiło je do takiego sposobu życia. Suna Atun określa pisarza wręcz jako feministę: „Mapolar to feministą. Staje w obronie równouprawnienia kobiet i mężczyzn. Sprzeciwia się poniżaniu kobiet i traktowaniu ich jak przedmiot. Szczególnie zaś czuje wstręt do pozbawionych moralności niegodziwców, którzy sprowadzają na złą drogę młode dziewczęta”¹⁵.

Język powieści Mapolara zwraca uwagę prostotą i pięknem. Trzeba tu przypomnieć, że Turcy przez długie wieki pisali wykwintnym, ozdobnym, trudnym językiem, który był bardzo odległy od mówionego i niezrozumiały dla prostych ludzi. Choć w Turcji w latach 30. XX wieku nowy język dopiero się kształtował i nie był jeszcze w pełni skodyfikowany, Mapolarowi udało się stworzyć język czysty (pozbawiony wielowiekowych orientalnych naleciałości) i składniowo prosty, wolny od stylistycznych ozdobników. Najlepszym dowodem na to, że Mapolar odniósł sukces w kwestii języka jest fakt, że jego utwory, nawet te wczesne, z lat 30., czyta się bez problemu i rozumie każde słowo, co nie zawsze można powiedzieć o utworach pisanych w tym samym czasie przez autorów tureckich.

Język Mapolara – choć nieskomplikowany – bywa czasem poetycki, zwłaszcza w opisach natury, których w jego utworach jest sporo. Najczęściej mamy do czynienia z opisami morskich krajobrazów i nadmorskiej przyrody. Morze Mapolara – mówimy tu o Morzu Śródziemnym – jest potężne, nieokiełznane, czasami zabójcze. Jest to morze bardzo realne, jednak do tego realizmu wkrada się niekiedy ulotny obraz Afrodyty wyłaniającej się z morskiej piany albo motyw kuszącej syreny. Zdarza się to zwłaszcza wtedy, gdy pisarz oddaje głos ludziom morza, rybakom, połowiaczom gąbek i ośmiornic.

Najbardziej płodny okres działalności literackiej Mapolara przypadł na lata 30., 40. i 50. XX wieku, czyli na ostatnie dekady brytyjskiego panowania na wyspie.

¹⁴ İ. Bozkurt, H. Aktay, *Hikmet Afif Mapolar [w:] Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Ankara 2019, s. 24.

¹⁵ S. Atun, *Kıbrıs Türk Romanı. Örnekleme Tarihi*, Famagusta 2011, s. 50.

Badacze historii literatury tureckocypryjskiej określają tę epokę mianem *yerelleşme dönemi* (okres regionalizacji) lub *hareketlenme dönemi* (okres ożywienia)¹⁶. Cechowała się ona odwrotem od klasycznych, orientalnych wzorów i poszukiwaniem nowych, rodzimych tematów i motywów. Tendencje te widać było we wszystkich rodzajach twórczości literackiej: w prozie (powieść i nowela), w poezji i sztuce teatralnej. Aktywność twórcza Mapolar przyczyniła się do tego, że Turcy cypryjscy polubili powieść. To z kolei spowodowało pojawienie się kolejnych autorów próbujących swych sił w tym gatunku. W omawianym okresie było ich jeszcze bardzo niewiele, bo Mapolar niemalże zdominował powieściopisarstwo swojej epoki. Z nielicznych autorów piszących w tym okresie warto wymienić dwóch – İsmaila Karagözlü i Raufa Raifa Denktaş.

İsmail Karagözlü (1921–2000) jest autorem dwóch powieści, z których do naszych czasów zachowała się tylko jedna – dydaktyczno-moralizatorska opowieść zatytułowana *Saadet Yolcuları* (*W poszukiwaniu szczęścia*, 1940). Pisarz skonstruował w niej dwóch braci reprezentujących skrajnie odmienne podejście do życia, kobiet i odpowiedzialności. Sam pomysł na fabułę zdradza inspirację słynną turecką powieścią *Felatun Beyle Rakım Efendi* (*Pan Platon i pan Rakım*, 1875) Ahmeta Mithata Efendiego, w której zestawienie właściwego i niewłaściwego postępowania było jednak lepiej przedstawione, bardziej realistycznie, mniej stereotypowo. W powieści Karagözlü dydaktyzm jest nazbyt widoczny, bieg fabuły – bardzo przewidywalny, ale w czasach, gdy ta powieść powstawała, a cypryjska młodzież podlegała coraz silniejszemu wpływowi europejskiej obyczajowości, taki utwór na pewno przemawiał do wyobraźni czytelników, pouczał ich i ostrzegał.

Rauf Raif Denktaş (1924–2012), przyszły lider Turków cypryjskich i prezydent północnego Cypru, jest autorem kilkunastu tomów rozpraw politycznych, dziesięciu tomów wspomnień i jednej powieści o charakterze dydaktyczno-filozoficznym, *Ateşsiz Cehennem* (*Piekieł bez ognia*, 1944). W utworze tym wyraźnie widać wpływ *Boskiej komedii* Dantego. Powieść ma formę listu pisanego z zaświatów. Jego autorem jest zmarły dziesięć lat wcześniej człowiek, który właśnie kończy odbywanie kary za swoje winy i przygotowuje się do przeprowadzki do nieba. Opowiada o ludziach spotkanych w piekle, o ich przewinieniach. Powieść zwraca uwagę starannością pisarskiego warsztatu dwudziestoletniego (!) debiutanta. İhsan Tayhani tłumaczy wczesną dojrzałość pisarza jego doświadczeniami związanymi ze śmiercią. Denktaş stracił matkę w niemowlęctwie, a ojca, który z wielkim poświęceniem zastępował mu matkę – w wieku siedemnastu lat. Ta druga śmierć była dla niego wielkim wstrząsem. Według Tayhaniego człowiek, który straci bliskich

¹⁶ Turcy cypryjscy nie wypracowali jednolitego sposobu klasyfikowania okresów rozwoju literatury. Niektóre chronologie klasyfikują lata 1930–1960 jako „okres regionalizacji”. Inna klasyfikacja definiuje lata 1939–1955 jako „okres ożywienia”, przed nim umiejscawia „okres milczenia” (1925–1939) związany z drastycznym ograniczeniem Grekom i Turkom swobód obywatelskich przez władze brytyjskie; drugi „okres milczenia” umieszcza w latach 1956–1965, kiedy ludność turecka była prześladowana przez grecką organizację nacjonalistyczną EOKA i zepchnięta do enklaw.

i zostaje sam, „poznaje okrutną twarz śmierci, nie chce się z tym pogodzić i czuje potrzebę kontaktu z zaświatami”¹⁷.

Na twórczości İsmaila Karagözlü i Raufa Denкташа zamyka się wczesny okres powieściopisarstwa tureckocypryjskiego. Potem nastąpiły tragiczne w skutkach wydarzenia polityczne, takie jak pierwsze czystki etniczne w połowie lat 50. i tzw. Krwawe Boże Narodzenie na przełomie lat 1963 i 1964, które boleśnie wpłynęły na poziom życia tureckojęzycznych mieszkańców Cypru. W międzyczasie zakończył się okres kolonialny i powołano do życia Republikę Cypryjską. Drastyczne pogorszenie warunków życia po roku 1963 (stłoczenie tureckiej ludności w enklawach) nie sprzyjało tworzeniu literatury, pojawiło się jednak kilku nowych pisarzy (m.in. Özker Yaşın, Orbay Mehmet Deliceirmak, Fikret Demirağ, İbrahim Zeki Burdurlu).

Po greckim zamachu stanu w 1974 i późniejszym podziale wyspy nastąpił gwałtowny rozwój tureckojęzycznej literatury na Cyprze. Do wymienionych wyżej pisarzy dołączyło wielu nowych, jak Numan Ali Levent, Bekir Kara, Sabahattin İsmail, Bener Hakkı Hakeri, Tufan Erhürman czy uważany za jednego z najwybitniejszych współczesnych powieściopisarzy tureckich İsmail Bozkurt. Pojawiły się też pisarki, m.in. Özden Selenge, Havva Tekin, Serpil Yalçın. Znacząco wzbogaciła się tematyka współczesnej powieści tureckocypryjskiej.

Co zrozumiałe, najczęściej poruszonymi tematami stały się wydarzenia z najnowszej historii Turków cypryjskich: grecki zamach stanu z 15 lipca 1974, turecka interwencja wojskowa, wielki *exodus* ludności cywilnej, budowanie od podstaw życia w nowym miejscu. Wydaje się, że te tematy są na tyle żywotne i ważne dla narodu, że długo jeszcze będą dominować w tureckocypryjskiej prozie, ograniczając rozwój innej problematyki. Zauważa to İsmail Bozkurt¹⁸, który pisze raczej w krytycznym tonie, że nowe pokolenie powieściopisarzy, którzy nie widzieli wojny 1974 roku, nie przeżyli przesiedleń, nie tęsknią za ojczystą ziemią pozostawioną po drugiej stronie granicy – wciąż podejmuje te tematy, chcąc duchowo dołączyć do pisarzy starszego pokolenia, którzy o tym piszą, bo to przeżyli i nadal przeżywają...

Grażyna Zając

Bibliografia:

- Atun S., *Kıbrıs Türk Romanı. Örneklemeli Tarihçe*, Samtay Vakfı, Famagusta 2011.
Aylaç M., *Kıbrıs Türk Edebiyatında Roman* [w:] *Kıbrıs Türk Romanı. Eserler Sözlüğü*, Uluslararası Kıbrıs Üniversitesi, Lefkoşa 2017.

¹⁷ İ. Tayhani, *Rauf Raif Denктаş* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Ankara 2019, s. 95.

¹⁸ İ. Bozkurt, *Kıbrıs Türk Edebiyatında Roman* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Ankara 2019, s. 14.

- Beratlı N., *Biz Kıbrıslı Türkler 1-2-3-4*, „Kıbrıs Gazetesi”, 15 Mart 2023–29 Mart 2023.
- Bozkurt İ., Aktay Habibe, *Hikmet Afif Mapolar* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Kıbrıs, Balkanlar, Avrasya Türk Edebiyatları Kurumu (Kıbatek), Ankara 2019, s. 21–89.
- Bozkurt İ., *Kıbrıs Türk Edebiyatında Roman* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Kıbrıs, Balkanlar, Avrasya Türk Edebiyatları Kurumu (Kıbatek), Ankara 2019, s. 13–15.
- Fevzioglu B., *Kıbrıs Türk Basın Tarihinden 100 Yıllık Basın Davaları*, Samtay Vakfı, Famagusta 2010.
- Karakartal O., *Kaytazzade Mehmet Nazım* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Kıbrıs, Balkanlar, Avrasya Türk Edebiyatları Kurumu (Kıbatek), Ankara 2019, s. 17–19.
- Kaytâz-zâde M.N., *Yâdigâr-ı Muhabbet*, red. H. Fedai, Akdeniz Haber Ajansı, Lefkoşa 2004.
- Tayhani İ., *Rauf Raif Denктаş* [w:] *Kıbrıs Türk Edebiyatı Tarihi (1571–2017)*, cilt 4, red. İ. Bozkurt, O. Karakartal, N. Solak, Kıbrıs, Balkanlar, Avrasya Türk Edebiyatları Kurumu (Kıbatek), Ankara 2019, s. 93–102.
- Türk Silâhlı Kuvvetleri Tarihi, III cilt: Kıbrıs Seferi (1570–1571)*, Gnkur. Basımevi, Ankara 1971, s. 174–176.
- Zajac G., *Narodziny tureckiej powieści* [w:] *Studia Orientalia Thaddaeo Lewicki Oblata*, red. E. Górka, B. Ostafin, Enigma Press, Kraków 1994, s. 115–141.
- Zajac G., *Rola przekładów z literatur europejskich w procesie powstawania tureckiej literatury narodowej w XIX wieku*, „Między Oryginałem a Przekładem” 1999, nr V, s. 45–57.

Origins of the novel in Turkish Cypriot literature

Summary

The article focuses on the history of the development of the novel in Cyprus, within the island's Turkish-speaking community. First, the history of Europeanisation in the Ottoman state is briefly presented. One of the effects of westernization was the emergence of the novel in Turkish literature in the 1870s. However, the history of this genre in Cyprus, which was rather neglected Ottoman province, begins more than 20 years later. After a brief overview of the political and economic situation of 19th century Cyprus, the article focuses on the first examples of Turkish novels on the island. These included *Yadigâr-ı Muhabbet (Remnant of Love)*, 1894 by Kaytazzade Nazım and numerous novels written by H.A. Mapolar from 1938 onwards. From Mapolar, the real flowering of this genre in Turkish Cypriot literature begins. The next authors featured in the article are İ. Karagözlü and Raif Rauf Denктаş, who published their novels in the 1940s. Finally, contemporary Turkish novel writing in Cyprus is briefly characterised. The great rise in popularity of the novel has been observed since 1974, when Turkish Cypriots gained unrestricted access to Turkey's cultural and literary achievements.

Keywords: Turkish Cypriot literature, Turkish novel, Kaytazzade Nazım, Hikmet Afif Mapolar, Raif Rauf Denктаş

Neşe Yaşın

KWIATY POKOJU*

Za niczym się tak nie tęskni jak za pokojem
 Zrozumiałam to
 gdy nasze pola stały się cmentarzami
 Zrozumiałam to
 gdy rozstrzelano błękit nieba
 radość matki
 i dźwięk deszczu

Moich umarłych przynieście mi
 Przynieście mi moich umarłych
 Nie wygłaszajcie nad nimi mów
 Dlaczego na płytach ich nagrobków piszecie „męczennik”
 Czyż nie są ofiarami?
 Czy to nie ofiary?

Czemu służą wojny?
 Pytam o to
 cała jestem we krwi
 Pytam o to
 przed spalonym domem płacze jakiś człowiek
 Pytam o to
 uciekają ludzie, zostawiają w tyle swoich bliskich

I wiem, że
 Wam służą wojny
 Ale czemu służycie wy
 haniebnii, gnojarsze, neutronowi bombogłowi
 czemu służycie
 poza śmiercią

Gdy pewnego dnia osiągnie to, co upragnione
 opór człowieczeństwa



Fot. Archiwum J. Cieply

Neşe Yaşın

* Z Kıbrıslı Türk Şiiri Antolojisi (Antologia poezji Turków cypryjskich), oprac. Mehmet Yaşın, Stambuł 1994.

Pomiędzy karabinami maszynowymi
szmer wody
Stanie się rzeką
utopi was
utopi was

Najpiękniejsze kwiaty rosną
nad brzegiem rzeki
Daje im się nazwy
kwiaty robotników
kwiaty rewolucji
kwiaty pokoju.

KOT*

Kot wskoczył mi na kolana
czytając książkę
patrzyłam na morze

Słońce głaskało mnie
ja kota

Przepłynęła zamyślona łódka
przewróciłam stronę
a kot przeczytał

W tamtej chwili
wokół byli inni ludzie

Ale ja
zamknięta w zbroi obrażonej
tylko kotu
dałam pozwolenie
wejść do mojego życia

Przełożyła Joanna Ciepły

* <https://www.antoloji.com/nese-yasin/siirleri> [dostęp 10.07.2024].

Bülent Fevzioğlu

CZY NA PEWNO...?*

Jakże okrutnie chciało mu się pić...

– Jesteś alkoholikiem – powiedział sam do siebie.

W momencie gdy zmrzął oczy, przyszła negatywna odpowiedź:

– Nie jestem! Nie jestem alkoholikiem!

Z kim rozmawiał? Ze sobą. No, z tym... Jak to mówił w jednym z wierszy Yunus Emre: „Jeden ja jestem we mnie / We mnie jestem ja...”. Właśnie z nim rozmawiał.

– Zobaczysz, że nie będę pił! – powiedział. – Na złość. Nie będę pił i cię zawstydzę.

– Mam nadzieję – odparł jego wewnętrzny głos i troskliwym, matczynym tonem dodał ze smutkiem:

– Czyż ja nie pragnę twojego dobra?

– Pokażę ci, że nie jestem alkoholikiem...

Włożył papier do maszyny, wyprostował. Wcisnął tabulator i napisał: „Była granatowa noc. Szatynowy śmiech dziewczyny przeciął mrok...”.

Spojrzał na to, co napisał. „Nie, to nie tak” – powiedział. Jeśli mam pisać opowiadanie, to tak, żeby się dało czytać. Prosto i bez przesadzania... Noc może być granatowa, ale czy śmiech może być szatynowy...? Jaki jest śmiech w kolorze szatynowym? Rozprostował z trzaskiem napięte palce. Ponownie zapytał sam siebie, a jego głos zmieszał się ze strzelaniem stawów w dłoniach:

– Jaki jest śmiech w kolorze szatynowym?

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Tam gdzie jest szatynowy, są też i inne, powiedział. Na przykład śmiech w kolorze czerwonym... Albo śmiech liliowy... Albo na przykład indygo... Albo śmiech mlecznoróżowy, albo ceglastoczerwony...! Nie miał już w dłoniach ani jednego palca, którym by jeszcze nie strzelił. Tym razem wydał więc trzaskające odgłosy z szyi, którą energicznie wykręcił w obie strony.

(Ach, jakże bardzo chciało mu się pić. Gdyby tak teraz tyknąć setkę, zaraz by znalazł kolor dla tego śmiechu. Był tego pewien. Szkoda, że się postawił temu głosowi swojego „ja”).

* *Değil miydi...?*). Opowiadanie niepublikowane, nadesłane tłumaczcze przez autora.

– Nie będę pił – powiedział. – Przecież nie jestem. Wyciągnął papier z maszyny. Zmiał go i cisnął.

– Uczynić śmiech szatynowym, toż to abstrakcja – powiedział. Założył nowy papier. I zaczął pisać: „Była granatowa noc, gdy...”.

Po słowie „gdy” miał napisać „kobieta”, ale nie napisał, zatrzymał się.

– Czy ta pieprzona noc koniecznie musi być granatowa? – powiedział sam do siebie. Przyszło mu do głowy, że po opublikowaniu tego opowiadania jakiś czytelnik mógłby sobie z niego zażartować. Mógłby zapytać z fałszywie przymilnym uśmieszkem:

– Czy ten granat nocy był jasny, czy ciemny? Jak miałby odpowiedzieć na takie pytanie?!

(No... A gdyby tak sobie nalać nie setkę, ale tylko parę tyczków... Wtedy o wiele łatwiej rozwikłałby problem, czy ten granat ma być jasny, czy ciemny... No to jak, nalać?)

– Nie naleję, do cholery. Czy ja jestem alkoholikiem?

– Nie zadręczaj się – powiedział wewnętrzny głos. – No popatrz, jak bardzo pragniesz wódki... Nie zwlekaj. Po co zadawać sobie takie męczarnie? Skoro masz problem z kolorami... I skoro możesz go rozwiązać, jeśli się napijesz... No to skończ z tym problemem... No, dalej, idźże, nalej sobie i wypij...

W tym momencie uderzył w klawiaturę wszystkimi palcami. Metalowe młoteczki splątały się i zablokowały tuż koło taśmy piszącej. Wyciągnął rękę po zapalniczkę. Już miał ją wziąć do ręki, ale zrezygnował.

– Papierosa też nie zapalę – powiedział.

Poczuł, jak napinają się w nim wszystkie mięśnie. Wstał. Wziął do ręki pierwszą lepszą kasetę z pudełka po butach, gdzie trzymał swoje kasety. Było mu obojętne, co to będzie. Włożył ją do magnetofonu. To był kawałek, który znał. Zaczął wtórować pod nosem. Zza maszyny do pisania zerknęła na niego zapalniczka. A zza zapalniczki – pudełko papierosów.

– Nie będę was palić – powiedział. – Skoro nie wypiję, to was też nie zapalę.

W głowie waliło mu młotem. W skroniach dudniło. Nie potrafił zacząć opowiadania.

– Kolory zamieszały mi w głowie – powiedział. – Muszę wymyślić inny początek. Wyciągnął papier z maszyny.

(Ale cóż by szkodziło wypić odrobinę...)

– Jak masz pić, to pij – powiedział głos. Skądś znał ten głos.

– Nie pokonasz mnie – odpowiedział głosowi.

Zmiał wyjęty z maszyny papier i cisnął. Spojrzał na dwie kulki papieru leżące na dywanie. I powiedział do nich:

– Więcej papieru już tam do was nie rzucę.

Założył nowy papier i zaczął pisać: „Nie jestem alkoholikiem”.

– Nie pieprz! – wrzasnął nagle sam do siebie. Szarpnął papier tak, że wyrwał tylko połowę, druga część została w maszynie.

– Ja chyba zwariuję. Co to znaczy: Nie jestem alkoholikiem. Jaki to ma związek z moim opowiadaniem?

– No wstańże i napij się. Napij się, to sobie ulżysz – powiedział znajomy głos.

– Nie napiję się! Nie jestem alkoholikiem! – krzyknął.

– No dobrze już, dobrze, tylko nie krzycz – odrzekł wewnętrzny głos.

– Będę krzyczał!

Na podłodze znalazła się trzecia kulka papieru. A za chwilę, razem z tą, która została w maszynie, były już cztery. Wyuczonymi na pamięć zgrabnymi ruchami wciągnął do maszyny następną kartkę. Zmienił wstęp do opowiadania. Zaczął pisać: „Napinając jak łuk swoją gładką, bażancią szyję, spojrzła w noc”. Zatrzymał się. Przeczytał to, co napisał. Niezłe, mruknął. Pisał dalej: „Pośrodku nocy pędziły konie z grzywami rozwianymi wiatrem...”.

– Niezłe idzie – powiedział, przeszedł do następnej linijki i pisał dalej:

– A gdyby tak podbiec i odbić się, odbić się i wskoczyć na konia. Gdyby tak spać gwiazdy ostrogami, do galopu, pomyślał.

– Kto tak pomyślał?

Odpowiedź otrzymał od swojego wewnętrznego głosu:

– Ta o gładkiej, bażanciej szyi!

(A może jednak nalać sobie troszeczkę? A nalawszy – wypić?)

– Co jest? – spytał jego wewnętrzny głos.

– Nic – odparł. – Myślałem tylko nad ciągiem dalszym wstępu.

– Uważasz mnie za głupka? – zapytał jego wewnętrzny „ja”, podnosząc głos. – Jaki związek ma „nalanie sobie troszeczkę i wypicie” ze „spinaniem gwiazd ostrogami do galopu”?

– Ależ ty masz dobry słuch – odpowiedział głosowi. – Czyżbyś mnie podsłuchiwał?

– A co w tym dziwnego? – odrzekł głos. – W końcu czy nie jestem tobą? To pytanie zawiśło w próżni, na niewidocznym haku. Nie znalazło zainteresowania. Szykowało się już do pleśnienia na tym haku. Ta o gładkiej bażanciej szyi ponownie zebrała myśli: „I gdyby w jednej mej kieszeni była poezja, a w drugiej broń...”.

– Stop, stop! – powiedział, widząc to, co napisał. – A po co tu teraz broń? Przeczytał od początku cały wstęp do opowiadania: „Napinając jak łuk

swoją gładką, bażancią szyję, spojrzała w noc. Pośrodku nocy pędziły konie z grzywami rozwianymi wiatrem... A gdyby tak podbiec i odbić się, odbić się i wskoczyć na konia... Gdyby tak spać gwiazdy ostrogami, do galopu – pomyślał. I gdyby w jednej kieszeni mieć poezję, a w drugiej broń...”

– Chyba zanadto poetyckie – powiedział. – Żadne „chyba”. Zanadto poetyckie. Jeśli już z samego wstępu do opowiadania będzie kapać tyle poezji, czy razem z tym, co powstanie później, całe nie będzie do bani?

– Jakie?

– Do bani!

Ani. Pani. Fani.

Spojrzał na to, co napisał.

– Co ja robię, na Boga – spytał sam siebie ze zdziwieniem. Skąd się tu wzięło to ani, pani, fani? Cmoknął kilka razy, przytykając język do podniebienia.

– Nie dziw się aż tak bardzo – powiedział jego wewnętrzny głos. – Przyczepiłeś się do tej bani, to teraz masz.

(W głowie dudniło mu tak, jakby miał w niej wysokoprężny silnik. A oczy? W oczach miał mgłę... W oczach miał ciemność... Całkowitą ciemność... A gdyby tak wypić jeden łyczek? I zapalić papierosa? Wiedział... Wiedział, że wtedy ani śladu by nie zostało po mgłę i ciemności w oczach, i po dudnieniu w głowie... No to jak, zapalić? Napić się? Łyknąć odrobinę?)

– Nie naleję – powiedział i, tak jakby chcąc dodać pewności samemu sobie, pięścią lewej ręki uderzył w prawą dłoń.

– Czy ja jestem alkoholikiem? A właśnie, że nie będę pił! Ani nie zapalę!

– Brawo! – powiedział wewnętrzny głos. – Zdajesz trudny egzamin. No zobaczymy, kto umrze, a kto zostanie przy życiu.

– Ty umrzesz, a ja zostanę! – powiedział do tego głosu, który zadawał mu ból.

(Właściwie cóż by się stało, gdyby wypił jeden łyczek? Świat by się zawałił? Zapach alkoholu, którego nie wypił, miał tuż pod nosem... Jakże był ponętny... Nie zamierzał pić, ale... To mu nie dawało spokoju...)

Na czym to stanął? Spojrzał na ostatnie zdanie: „I gdyby w jednej kieszeni mieć poezję, a w drugiej broń...”

Goń... Goń... Goń...

Co on robił? Szukał rymu do „broń”. Czy to jest rym? Ładnie by to wyglądało na papierze: „I gdyby w jednej kieszeni mieć poezję, a w drugiej broń... Goń, goń, goń...”

– A nalejże sobie i wypij. Nalejże i wypij – powiedział jego wewnętrzny głos. – Bo twoje opowiadanie powoli zamienia się w bryję.

Spojrzał na opowiadanie, które jego wewnętrzny głos przyrównał do bryi. Miał rację. To był stek bzdur. Tym razem napisze lepiej. Tym razem mu się uda. Do licha ciężkiego.

– Nie jestem alkoholikiem – powiedział.

Jeszcze raz wyszarpnął papier z maszyny, zwinął i rzucił w kąt... Cztery kulki na podłodze zamieniły się w pięć. Założył nowy papier. Nie był alkoholikiem i potrafił pisać bez picia. Teraz na pewno już miał napisać... Zrobił odstęp i zaczął kolejne pierwsze zdanie: „Była w ciąży. Jej biodra szykowały się do porodu. Kobieta, której biodra były gotowe do porodu, była jak święta księga...”.

– A cóż to? – spytał wewnętrzny głos. – Znowu zmieniłeś opowiadanie.

– A co cię to obchodzi – odpowiedział. – Czy ty jesteś panem mojego rozumu? Piszę to, co mi się podoba.

– No dobrze już, dobrze – odrzekł głos. – Pisz dalej. Zobaczymy...

(Gdzie on zostawił butelkę, zanim zabrał się do pisania? Położył ją na stole w kuchni czy włożył do lodówki? Zazwyczaj wkładał na chwilę do zamrażalnika, żeby się szybko schłodziła. Jeśli jest w zamrażalniku, to już dawno pękła... Wstał zatroskany. Gdy odsuwał krzesło, coś się go uczepliło. Odezwał się do tego czegoś)

– Czy ja naprawdę jestem alkoholikiem?

Czekał, aż odezwie się ten głos, który dobrze znał. Nie odezwał się. Odczekał chwilę. Głosu nie było.

– Tylko zobaczę – powiedział. – No przecież nie będę pił...

Poszedł do kuchni. Butelka leżała na stole. Wyjął ją z reklamówki i włożył do zamrażalnika. „Ty sobie tutaj siedź, a ja zaraz przyjdę” – powiedział do butelki. Kiedy siadał z powrotem przy stole, rozpierała go słodka duma z samego siebie.

– Nie jestem alkoholikiem – powiedział. Oto dowód. Gdybym był alkoholikiem, napiłbym się chociaż z zakrętki, a dopiero potem schowałbym do zamrażalnika. Czy się napiłem? No przecież nie. Jeszcze raz przeczytał początek opowiadania: „Była w ciąży. Jej biodra szykowały się do porodu. Kobieta, której biodra były gotowe do porodu, była jak święta księga...” Nie zatrzymując się ani na chwilę, przeszedł do nowej linii i pisał dalej: „Między biodrami kobiety – świętej księgi – dojrzewało życie. Najpierw było białą, lepką cieczą. Potem przybrało postać krwi, nerwów, mięśni i kości. Maleńkie serduszko, które dopiero zaczynało bić w rytm serca matki, było dla księgi jednego z proroków. Może to był Koran, może Pięcioksiąg, może Biblia albo Księga Psalmów... Życie nie wiedziało jeszcze, dla której księgi bije jego serduszko. W drzwiach, które otwierały się przed nim na świat, ktoś już czekał. Byli to, w porządku alfabetycznym, Dawid, Jezus, Mojżesz

i Muhammad. I z wielkim prawdopodobieństwem serce miało pójść za którymś z nich, a droga miała je zaprowadzić może tam, gdzie słycać dzwon, a może tam, gdzie ezan... A być może nie miało pójść żadną z tych dróg, tylko za własnym głosem... Maleńkie, skulone jak piąstka, wciąż nieświadome tego wszystkiego...”

Pierwszy akapit opowiadania został napisany. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze z okrzykiem:

– Udało się! I jeszcze raz powiedział: – Nie jestem alkoholikiem. Teraz mogę skończyć to opowiadanie, nie wzięwszy ani kropelki do ust. Pięć kulek papieru na podłodze nie zamieniło się w sześć. Przeszedł do nowej linii. Pisał, obficie korzystając z przecinków, kropek, średników, dwukropków, cudzysłowów i wykrzykników... Pisał bez wychnienia... Opowiadanie dobiegło końca.

– Uff – powiedział, przeciągając się. A potem zapalił papierosa i wypuścił kółko dymu...

– No, to teraz mogę sobie nalać – powiedział. – Zasłużyłem...

Wypił setkę jednym haustem, równocześnie wypuszczając nosem kłęby dymu, i nalał drugą, mówiąc do siebie:

– Nie jestem alkoholikiem!

Czy na pewno nim nie był?

ŚWIĄTECZNE PRZYGOTOWANIA I GORĄCA BRYTFANNA...*

Zawsze gdy zbliżają się święta, z najgłębszego zakamarka mojej pamięci wydostaje się to niezatarte wspomnienie z dzieciństwa, z lat sześćdziesiątych.

Dom, w którym mieszkaliśmy, znajdował się wewnątrz murów obronnych Famagusty, dokładnie w połowie uliczki Kemala Zeytinoğlu, później przemianowanej na ulicę Necipa Tözüna.

Na początku tej uliczki stał kamienny piec Wujka Behiça. W tamtych czasach nie było przecież kuchni elektrycznych ani na butle gazowe!

W przedświąteczny dzień we wszystkich domach, nie tylko u nas, od samego rana przygotowywało się brytfanny ze świątecznym posiłkiem na wieczór. Ziemiaki obficie polane przecierem pomidorowym, na to kurczak albo (zależnie od budżetu rodziny) małe kawałki mięsa...

* Wspomnienia opublikowane przez autora na Facebooku. Tytuły oryginalne: *Arife Sabahı ve bir Sıcak Sini...*, *15 Yaşımın Fotoğrafları...Onursal bir Madalya ve 44 Yıllık Anılar...*

Przez cały dzień dzieciaki biegały z tymi brytfannami do pieca Wujka Behiça.

To było prawdziwe święto – nieść brytfannę do pieca...

Wujek Behiç i jego żona dawno już odeszli z tego świata, podobnie jak moi rodzice. Niech im wszystkim Bóg da wieczny odpoczynek.

Wujek Behiç uwijał się do utraty tchu przy piecu, z szalem związanym na spoconej szyi. A jego żona, Cioteczka Emine, przyjmowała każdą przyniesioną brytfannę, kredą zapisywała na niej numer i wręczała klientowi malutką karteczkę z numerkiem, aby potem niczego nie pomylić.

Brytfanny przynoszono od rana do południa, a pod wieczór rozszczebiotane dzieciaki ponownie gromadziły się koło pieca i odbierały upieczone potrawy.

I w taki właśnie przedświąteczny dzień wysłano mnie po odbiór brytfanny.

Zabrałem ją i siedłem z powrotem w stronę domu.

Nagle z bocznej uliczki wyskoczył wprost na mnie jakiś pies.

Bardzo mnie wystraszył...

Doskakiwał do mnie, warcząc groźnie, a wyciągnięta przed chwilą z pieca gorąca brytfanna dotkliwie parzyła mnie w dłonie.

No i upuściłem ją...

Rozleciały się po asfalcie wśród dymu świąteczne ziemniaki i te smakowite kaski mięsa przypieczone jak ziarna granatu...

Jak nie zacząć szlochać...

Na drodze pełno ludzi...

I moi koledzy niosący swoje brytfanny do domów...

Choć bardzo chciałem pozbiierać z asfaltu rozsypane ziemniaki i kawałki mięsa, wstydziłem się po nie schylić.

Nie podniosłem ich.

Wróciłem do domu z pustą brytfanną.

Oczy paliły mnie od szlochu.

Byłem cały zapłakany.

A mój ojciec...

Ten wspaniały rybak, ten tragarz portowy...

Odezwał się do mamy, jak gdyby nic się nie stało:

– Akile! Wbij parę jajek na patelnię! Dodaj oliwek, plasterków sera!

Potem odwrócił się do mnie:

– A ty nie płacz, mazgaju! Przecież to nie koniec świata. Żeby to tylko brytfanny ludziom upadały... Dobrze, że nie pozbiarałeś jedzenia z ulicy. Brawo! Dziś, jutro nie da rady, ale obiecuję ci, że za tydzień w niedzielę znowu pošlemy brytfannę do Wujka Behiça.

Od tamtej pory minęło pięćdziesiąt lat...

I wciąż... Wciąż mimo upływu pół wieku...

Zawsze gdy nadchodzi przedświąteczny poranek, staje mi przed oczami ten ośmio-, dziesięcioletni chłopiec, któremu wypada z rąk gorąca brytfanna, a uliczkę Kemala Zeytinoğlu pokrywają ziemniaki wymieszane ze łzami.

MOJA FOTOGRAFIA PIĘTNASTOLATKA... MEDAL HONOROWY I WSPOMNIENIA SPRZED 44 LAT...

Rankiem 15 lipca 1974 roku Grecy dokonali wojskowego zamachu stanu przeciwko Makariosowi i wraz z tym zamachem skończyła się – zanim się porządnie zaczęła – nasza młodość, której nawet jeszcze nie zdążyliśmy dobrze poznać i przeżyć...

16 lipca rano rozmawiałem przed domem z kolegami, gdy pojawiła się żandarmeria wojskowa z jednostki w Famaguście. Powiedzieli: „ty, ty i ty...”. Ustawili nas w szeregu i zaprowadzili do komendanta.

Jego pierwszy rozkaz brzmiał: „Do fryzjera z nimi!”.

Było to w czasach, gdy panowała moda na długie włosy, a dzwonowate nogawki spodni były o wiele szersze niż spodnie w pasie.

I ja z tymi moimi włosami, które po raz pierwszy zapuściłem aż do ramion...

Dałem je sobie powyrywać wojskowemu fryzjerowi, który strzygł nas byle jak tępą maszynką w tym miejscu, gdzie obecnie mój drogi przyjaciel Halil Naylon prowadzi winiarnię Desdemona.

Piszę, że „dałem sobie powyrywać”, bo ten fryzjer tak naprawdę nas nie strzygł, tylko w tym rozgardiaszu i pośpiechu wyrywał nam włosy ręczną maszynką do strzyżenia. Od nieustannego używania i braku czasu na otwarcie i wyczyszczenie była tłusta i zapchana włosami...

W tym potwornym lipcowym upale, w przerobionej na wojskowy magazyn wilgotnej kaplicy pamiętającej weneckie czasy, z bólu i rozpaczyciekły nam po policzkach łzy, a z nosa do ust (wcale nie przesadzam) lały się smarki.

Właśnie tego dnia, w tym momencie, gdy tak cierpiałem zapłakany i zasmarkany, złożyłem sobie obietnicę:

– Ej, Bülent! Jeśli przeżyjesz tę wojnę, bez względu na to, ile będziesz miał lat, zawsze będziesz nosić długie włosy, aż do ramion!!!

Bo zgolono nam włosy na zero... Odtąd byliśmy żołnierzami!!!

Kto bywa w tym miejscu, to wie: w parku dziecięcym, który nazywamy potocznie „huštawkami”, w tej jego części, która wychodzi na port, wciąż zachowane są dwa betonowe okopy. Byłem jednym z tych chłopców, którzy je odlewali.

W tamtym czasie nie było jeszcze nazwisk i nie nazywaliśmy się Fevzioğlu...

Dlatego wyskrobany gwoździem na jednym z tych betonów napis brzmi: „Bülent İbrahim”.

I właśnie te niezatarte wspomnienia sprzed 44 lat przetrwały do dzisiaj, i to moje czarno-białe zdjęcie piętnastolatka... I jeszcze...

I jeszcze został ten pulsujący ból, który wciąż czuję w cebulkach włosów, choć od tylu lat mam je długie aż do ramion...

I właśnie dzisiaj, po 44 latach...

Jako jeden z tych, którzy 20 lipca 1974 roku brali udział w obronie miasta, otrzymałem przyznany przez dowództwo wojskowe, Radę Ministrów i Towarzystwo Obrońców Famagusty „Medal Honorowy Obrońców Famagusty”.

Czy się wzruszyłem? Oczywiście...

To największy skarb, jaki zostanie po mnie – po tym Bülencie tu urodzonym i tu wychowanym – dla mojego syna.

Bülent Fevzioğlu

Przełożyła Grażyna Zając



Fot. Grażyna Zając

Cypr, uliczka Famagusty

Wiersze tureckocypryjskie w przekładach Marcela Nowakowskiego

Tamer Öncül

PAMIĘTAJ*

Ten dzień, kiedy cię wygnali
z pełznącego, zmęczonego miasta,
posadzono też nasiono pustyni, pamiętaj...
Dzień, kiedy wepchnęli wielkiego fallusa Salaminy
w twoje łóżko, skąd cię wygnali,
pękł ci brzuch
jak gliniane naczynie, pamiętaj...
Pamiętajże Pedicosie,
dlaczego twoje Miasto, suche i rozbite na kawałki¹
jak ty, czuje urazę do placów...
Pamiętajże Pedicosie
rozbitą na kawałki zbroję,
zmęczonego krokodyla,
tego twojego pełznącego miasta.
Kiedy wmieszano najwięcej krwi
do twoich zielonych wód;
kiedy wmieszano najwięcej trucizny
do twoich posiniaczonych żył?
Choćby i z daleka
obróć się, no i spojrz jeszcze raz;
na twoje miasto splądrowane
i zmęczone jak ty...
Nawet kamienie żebrają,
wydlubane z dna murów,
unosząc lekko spódnice z wzorzystej tkaniny...

1.09.2010

* Wiersze z antologii *Kuşaktan Kuşağa Kıbrıs Şiiri. Κυπριακή Ποίηση Από Γενιά Σε Γενιά. Cyprus Poetry From Generation To Generation*, red. Tamer Öncül, Maria Siakalli, Baranga Yayınları, Lefkoşa 2019.

¹W oryginale Şcher (miasto) w dialekcie cypryjskim języka tureckiego (tur. şehir), nazwa często używana do określenia Lefkoşy (Nikozi Północnej) - przypis tłumacza.

Gür Genç*

LEFKOSZA

Oszukałaś mnie po-by-ta-mi po jednej stronie, Lefkosza...
Na twoich podzielonych, tylnych podwórzach, pod
[pełnymi trwogi daktylowcami,
z niewyparzonymi gębami, uzależniłem się od haszyszu
Poszedłem spać i wstałem na ormiańskim cmentarzu,
[jak gdyby w domu, nawet samą
Izabelę z Ibelinu zobaczyłem we śnie
Moją dumę wymieniłem za materac sprężynowy
[z zamkniętego burdelu
i używaną ramę rowerową 28 cali
Choć starsi ludzie pachną jeszcze jaśminem, ja
poczułem na twoich drogach tylko zapach militarnego potu i rany
Nie dałem rady sprawić, by czapla o szyi w kształcie V,
[jeszcze bielsza
od twoich starych panien, wylądowała w twoich zgniłych rzekach
Zbyt długo trzymałaś moje imię w ustach, wypłuj je już,
[Lefkosza...

Emel Kaya

MYŚLAĆ O TOBIE

przechodzimy pod sufletem truskawkowym, ja i mężczyzna
para syryjskich oczu, strumień sufletu
tramwaj numer 47 mija stertę dźwięku
jak gdyby uciekał na zewnątrz kurecząc się do wewnątrz
wiązka erytrocytów przechodzi od podstawy mojego karku

* Właśc. Gürgeç Korkmazel.

pieśń wróbla, latem '95, o dwa rzuty beretem
tramwaj przejeżdża szybko nad moim krokiem, nad moją miednicą
suflet jest nieświeży, przeszywają mnie szyny, paplanina, mdłości
ach och cierpi siatkówka oka, gorzki smak kawy po pulpetach
[i sałatce fasolowej
człowiek czasem nie może przejść z jednej strony na drugą

Halil Karapaşoğlu

MIŁOŚĆ Z OSTRĄ PAPRYKĄ

papryka osładza
kłamstwo dzieciństwa
mimo ostrości
pokrywającej język
wystawiona na słońce
jedna po drugiej
wisi na sznurku
czerwona papryka
szminką na twych ustach się staje
owija się na moim języku
historia ostrej, cierpiącej przyprawy
zawsze kiedy cię całuję

Przełożył Marcel Nowakowski

Gürgenç Korkmazel

TRZMIELOJADY*

Miał pięć lat, gdy w popłochu uciekali przed wojną. Niewiele zapamiętał z okresu przed przesiedleniem, ale to, co było potem – pośpieszne plądrowanie pozostawionych przez Greków domów – dobrze utkwiło mu w pamięci.

Gdy przybyli do tej wsi, najpierw zasiedlili dom, który stoi naprzeciwko obecnie zajmowanego przez nich budynku. A ściślej mówiąc, Rada do Spraw Przesiedleńców wskazała im dom. Mieszkali tam kilka dni, po czym – bez zgłoszenia tego Radzie – przenieśli się do tego drugiego, który był większy i nowocześniejszy.

Ten pierwszy dom, zamieszkały teraz przez ich sąsiadów, bardziej mu się podobał. Może i był stary, ale miał huśtawkę i duży ogród pełen drzew owocowych. A obok tego domu, gdzie teraz mieszkali, nie było nic oprócz młodego drzewka różańcowego i dwóch niedużych krzaków winorośli.

Aby skompletować brakujące sprzęty, chodził z ojcem po okolicznych niezamieszkałych domach. Razem zbierali nierozkradzione przez innych przedmioty, takie jak stół, krzesła, szklanki, talerze, noże, widelce, zabawki, ozdoby, książki w błyszczących oprawkach i zanosili to do domu.

To wchodzenie do porzuconych domów tak, jak się wchodzi do sklepów, grzebanie w pozostawionych przez Greków przedmiotach, oglądanie walających się po podłodze zdjęć, szukanie zabawek, a na koniec zabieranie ze sobą tego, co tylko się chce, było przygodą, jaką mało które dziecko ma okazję przeżyć. Właśnie dlatego nie samą wojnę, ale to, co nastąpiło zaraz po wojnie, uważał za niezłą zabawę.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy nowi żołnierze byli już tam przed przybyciem przesiedleńców, czy pojawili się potem. Zauważył ich obecność jesienią, przed nastaniem chłodu i deszczów; dokładnie wtedy, gdy na krótko zleciały się na Mesaoríę trzmiełojady, aby tutaj polować.



Fot. Archiwum G. Zając

Gürgenç Korkmazel

* Z tomu opowiadań *Sırkıran*, İstanbul 2013, s. 9–13.

Żołnierze byli wszędzie.

Podobni do posągów w tych swoich stalowych hełmach, tkwili nieruchomo dzień i noc w budkach strażniczych postawionych w strategicznych miejscach. Mówili, że ochraniają przesiedleńców przed wrogiem. Kiedy jeszcze był na Południu, słyszał odgłosy strzałów, a kilka razy widział trupy przywiezione na wiejski plac. Ale nigdy nie widział wroga, dlatego wróg był dla niego czymś jak urojenie.

Jedna z takich czerwono-białych budek strażniczych stała blisko ich domu, na zakręcie polnej drogi wiodącej na wzgórze. Zatrzymywały się tam samochody wojskowe i pokazywano jakieś papiery wartownikom zmieniającym się w budce raz na kilka godzin.

Był bardzo ciekawskim dzieckiem. Ze swoich wypraw, które odbył z ojcem do porzuconych domów, przyniósł wiele zabawek, ale nie bawił się nimi. Ponieważ bardzo go ciekawiło, co się znajduje w środku i jak działa mechanizm, rozbijał je i zaglądał do środka.

I właśnie z takim samym zainteresowaniem zerkał do blaszanej, czerwono-białej budki strażniczej, kiedy koło niej przechodził. Było w niej ciasno. Stał tam tylko stół, a na nim radiotelefon i notatnik. Mimo to chłopcu wydawało się, że tam, w środku, jest coś tajemniczego, czego nie ma na zewnątrz, a i sam żołnierz też wydawał się strażnikiem jakiejś tajemnicy.

Gdy czasami zanosił wartownikowi wodę, ten odpowiadał na jego pytania, a nawet pozwalał dotknąć broni. W takich chwilach bardziej niż sam karabin fascynowały chłopca naboje, których pociski błyszczały jak sen o śmierci.

Nowi żołnierze zazwyczaj byli dla niego mili, ale nie pozwalali mu wejść do budki. Zaraz za sobą, w której mieszkali jeszcze na Południu, znajdowała się jednostka wojskowa. Tamtejsi żołnierze mówili innym językiem i też dobrze traktowali dzieci. Kiedy tam szły, dostawały coca-cole, chipsy, czekoladę. Zdarzało się, że były zbyt natrętne. Wtedy żołnierze rozgrzewali w ogniu drobne monety i wyrzucali w górę, aby dzieci je łapały. Śmiali się, kiedy parzyły sobie dłonie. Natomiast nowi żołnierze byli niesympatyczni i śmierdzący. W dodatku niczego dzieciakom darmo nie dawali, zawsze czegoś chcieli.

Był pięcioletnim chłopcem nieświadomym tego, co się wokół niego dzieje i wierzącym w słowa mamy, która mówiła, że jeśli ktoś źle traktuje zwierzę, to po śmierci przyjmuje jego postać i ponownie przychodzi na świat. Dlatego starał się lubić najbardziej nie lubiane stworzenia, nawet karaluchy. Nie zadawał sobie pytania: „Po co ci żołnierze tutaj są? Co robią?”, i nie zastanawiał się nad tym. Ich obecność była dla niego tak samo naturalna, jak obecność wieśniaków. Dzięki żołnierzom było ciekawiej, bo tam, gdzie byli, zawsze coś się działo. Kiedy oglądał przejazd jadących na ćwiczenia

czołgów, pojazdów opancerzonych i ciężarówek wiozących wielkie armaty, zachwycał się tym widokiem tak samo, jak wszystkie dzieci we wsi.

Gdy żołnierze ćwiczyli na wzgórzach strzelanie, mieszkańcy siedzieli w domach i słuchali odgłosów wystrzałów. Te dźwięki przypominały chłopcu, jak podczas oblężenia ich wioski na Południu przez oddziały EOKA¹ jego mama w panice zamykała drzwi na rygiel, porywała go na ręce, chowała się z nim pod łóżko i płakała, dopóki wystrzały nie ucichły.

Choć to już były ostatnie dni jesieni, promienie słońca wciąż mocno paliły. Trzmiełojady... Te najbardziej olśniewające ptaki kontynentu europejskiego... Przyleciały aż tutaj, aby zaszczyć dzieci swoją obecnością. Przybywało ich. Zasłoniły niebo niczym czarna chmura i z wielkim krzykiem ścigały owady. Chłopiec nie lubił szerszeni, bo napadały na pszczoły i zjadały je. Ale kiedy patrzył, jak szerszenie bezsilnie miotają się w dziobach ptaków, robiło mu się ich żal.

Gdy ostatnie świny, jakie uszły z życiem – bo szabrownicy nie jedli wieprzowiny – chodziły głodne po wsi w poszukiwaniu pożywienia, trochę starsi chłopcy zapędzali je do jakiegoś kąta i zadawali im rany, ciskając w nie kamieniami lub dźgając. A czasami polewali je benzyną i podpalali. Świny konały, wydając straszne dźwięki, a ich trupy dopalały się przez długie godziny.

Ojciec chłopca był czarodziejem i wciąż wyciągał ze swojej czapki coś nowego. A tym razem przyprowadził do domu, nie wiadomo skąd, brązową kozę o długich rogach. Stała się nową zabawką chłopca. Wiązał jej sznurek na szyi i wyprowadzał na pobliskie pola, żeby się paśła. Choć ojciec na to nie pozwalał, kiedy nie było go w pobliżu, chłopiec dosiadał Rogatej, bo tak ją nazwał, a jeżdżenie na niej jak na koniu było dla niego lepszą rozrywką niż puszczenie zabawek.

Pole, na które wyprowadzał kozę, znajdowało się tuż obok budki wartowniczej. Tego słonecznego dnia, gdy znowu wyszedł paść Rogatą, wartę miał ten żołnierz, który był dla niego miły. Przywołał chłopca do siebie, a on pomyślał, że pewnie poprosi go o przyniesienie z domu wody lub owoców.

Żołnierz złapał go za ręce i wciągnął do budki. Stał przed nim i uśmiechał się. Chłopiec już wcześniej kilkakrotnie próbował wejść do środka, ale zawsze przeganiano go, mówiąc: „nie wolno”. I oto teraz był w środku. Było tam bardziej gorąco niż na zewnątrz, ale dla chłopca to było bardzo ważne, że mógł tam wejść.

¹ EOKA (gr.) – Narodowa Organizacja Cypryjskich Bojowników. Założona w 1955 nacjonalistyczna organizacja Greków cypryjskich; jej głównymi zadaniami były walka z władzą brytyjską na Cyprze oraz doprowadzenie do przyłączenia wyspy do Grecji.

Żołnierz był spocony i rozglądał się na prawo i lewo.

Był dla chłopca jeszcze miłszy niż dotychczas. Mówił mu coś w rodzaju: „Kupię ci rower... Zabiorę cię do mojego kraju”. A przecież chłopiec nie prosił go ani o rower, ani o zabranie ze sobą.

Był w budce. Wysilając oczy ze wszystkich sił, próbował dostrzec znajdującą się w budce tajemnicę. Ale nie było tam niczego, czego nie widziałby z zewnątrz. Żadnej tajemnicy.

W tym momencie żołnierz pociągnął go lekko i oparł o blaszaną ścianę. Była rozgrzana. Nie mógł się ruszyć.

Żołnierz rozpiął guziki spodni, nie zdejmując przewieszanej przez pierś broni ani nie rozpinając pasa. Wyciągnął swoje przyrodzenie i powiedział: „Weź do ręki!”.

Wziął...

Żołnierz wciąż rozglądał się na prawo i lewo. Śmierdział.

Rogatej nie było w pobliżu. Chłopiec martwił się o nią. Pozostawiona bez opieki mogła gdzieś pobiec i się zgubić. Ojciec bardzo by się rozgniewał.

Gdzieś nad ich głowami krążyły trzmiełojady. Nie widział ich, ale słyszał ich szalony krzyk.

Gürgenç Korkmazel
Przełożyła Grażyna Zając



Fot. Grażyna Zając

Cypr, wieża Otella, Famagusta

Robert Gawłowski

CYPRIA

Sic te diva potens Cypri,
sic fratres Helenae, lucida sidera,
ventorumque regat pater
obstrictis aliis praeter Iapyga,

navis, quae tibi creditum
debes Vergilium: finibus Atticis
reddas incolumem precor
et serves animae dimidium meae.

(Horacy, *Oda I, 3*)

Niech cię prowadzi Cypru bogini,
Świecą Heleny bracia, dwie gwiazdy;
Eol, niech wiatry wiążąc w jaskini
Dmucha Japigiem w ciągu twej jazydy;

Okręcie! grzbiet twój drogi skarb bierze,
Mego Wirgila zdrowie i głowę;
Tam, na attyckie nieś go wybrzeże,
Ochroniaj duszy mojej połowę.

(przełożył Lucjan Siemieński, 1916)

I. Plaża Seferisa

*

Morze uderza o brzeg, kruszy skały,
kruszy i zabiera.

„Byliśmy snem” – mówi Jorgos.
„Byliśmy snem” – powtarzają piaski.
„Pili swoje łzy” – mruczy niebo.
„Cypria, Cypria” – kwilą ptaki.

Morze uderza o brzeg.

**

Zamyka się noc, połyka nas wiatr, fale
toczą szarą pianę.

„Wygnanie jest jak czyścić” – mówi Angelos.
„Wygnanie jest jak czyścić” – powtarzają piaski.
„Tu jest czułość” – mruczy niebo.
„Cypria, Cypria” – kwilą ptaki.

Zamyka się noc.

Przybój, przybój, przybój. W ślepej jaskini
woda wybiera mrok.

„Nie dla nas inne brzegi” – mówi Jorgos.
„Nie dla nas inne brzegi” – powtarzają piaski.
„Tu jest czułość” – mruczy niebo.
„Cypria, Cypria” – kwilą ptaki.

Przybój, przybój, przybój.

Białe kamyki odnalazły ciszę, wracają
do światła.

„A dusza? A co z duszą?” – pyta Angelos.
„A dusza? A co z duszą?” – pytają piaski.
„Prądy i pływy” – mruczy niebo.
„Niedojrzałe nasiona” – kwilą ptaki.

Białe kamyki odnalazły ciszę.

„Kocham, to miejsce, kocham” – szepcze Jorgos.

II. Ajanapa

Stają, pod drzewem, pośrodku placu,
na granicy cienia. Jorgos, Angelos
i ten trzeci, którego imię
niewypowiedziane.

Życie i śmierć. Istnienie i nieistnienie.
Kształty rozmazane, kontury
zatarte. Zdania rozsypane,
zmieszane głosy.

„Poezja – to rozmowa duchów” – przypomina Jorgos.
„Właściwie już jesteśmy duchami” – sarka Angelos.
„A istnienie? Wiadomo czym jest?” – pyta ten trzeci.

Ale nie widzi i nie słyszy ich Ajanapa. Przyplływają
i odpływają łodzie. Tragarze dźwigają towary.
Krzyczą sprzedawcy, ciżba i gwar, ciżba
i gwar.

III. Kyprida

Widzieli, jak wyłania się z piany. Stali
na wzgórzu ponad wodą i wybrzeżem.
Jej ciało, zrazu podobne do skały, międko.
Lekko stąpała po morzu. Zamilkły ptaki,
zatrzymane stały fale.

Miała koronę z miedzi. Lśniła nietknięta
głębiną. Kryształki soli świeciły we włosach.
Odjęta troskom, zdawała się mówić sama
do siebie. Czyżby to były tajemne i boskie
zaklęcia? Nie słyszeli.

A ona z każdym krokiem wyzbywała się
ciężaru. Na piasku kładła nieme akordy.

Ukryci w oddali, spijali jej nagą pieśń.
Spojrzeniami dotykali smagłej kibici,
zanurzali się w otchłani.

Jorgos, Angelos i ten trzeci, którego imię
niewypowiedziane.

IV. Sen Angelosa

Orfeusz wychodzi z otchłani. Jego ręce
trzymają głowę odjętą od ciała. Oczy
płoną, usta śpiewają. Ciało rozplywa się
w przejrzyste Nic, a głowa Orfeusza
toczy się pod nogi Angelosa i woła:
„Weź mnie i nieś, teraz jestem twoja”.
I, nawet gdy już nie śni Angelos, wciąż
słyszy, jak nieprzerwanie drży w nim
ta ostatnia sylaba piekiel.

V. Sen Jorgosa

Smyrna płonie. Rozpłatanie ciała.
Bestie niosą dzieci na bagnietach.
Z dymem idzie życie. Smyrna płonie.
Morze zabiera ciała. Na nabrzeżu
tłoczą się przerażeni. Znikąd pomocy
Smyrna płonie. Gaśnie nadzieja.
Gramofon trzeszczy i wrzeszczy
jazz, jazz, jazz. Smyrna płonie.
Radio mówi, mówi, kinematograf
pokazuje, pokazuje, gazety piszą,
piszą, piszą. Smyrna płonie. Alianci
fotografują, jak płonie, jak płonie
Smyrna.

VI. Sen trzeciego

Morze ścieli się jak jedwab i świecą
góry oblane złotem. Symfonia cykad,
słowicze trele. Wsłuchany w starą pieśń,
śledzi taniec orła. Z ziemi dochodzi
zapach krwi. Wiatr niesie dymy
płonących lasów, drżą kamienie.
I śnią nagie miecze, i grają trąby,
i z nogi na nogę przestępuje
spocony koń.

VII. Przebudzenie

*

W chwili, której nie było, obudziły ich głodne
muchy i słońce. Tężał upał. Śmierdziała rybia
padlina. Zapomnieli śmierć, co bez litości
brała swoje łupy. Zapomnieli życie.

**

Zagubieni pomiędzy słowami, jak chłopcy
pośród zbyt wysokich traw, wolni
od pragnień i obaw, trwali
poza czasem, przestrzenią
i cierpieniem.

Jorgos w sobie. Angelos w sobie. I ten trzeci,
którego imię niewypowiedziane
także w sobie.

Co ukrywali, przed czym się kryli i co było
przed nimi ukryte?

VIII. Rana

Nie widzi tego Jorgos, nie widzi Angelos.

Ich wyspa jest jak rozdarta rana. Krwawi,
ropieje, dzieli ją granice, mury, zasieki,
obserwacyjne wieże, patrole i strażnicy
gotowi nacisnąć spust.

Widzi to tylko ten trzeci, którego imię
niewypowiedziane

IX. Salamis

Trzy cienie niespiesznie przesuwają się po resztkach
Salamis.

Kolumny zanurzone w błękicie, biały marmur odarty
z czasu.

Posągi bez głów milczą, bezmiar chwil dopełnia się
i jest, gdzie?

„To nie one, a my jesteśmy ruinami” – mówi cień Jorgosa.

„Charos zawsze u naszego boku” – dodaje cień Angelosa.

„Wysycha, co wydobywamy ze swej głębi” – szepcze trzeci.

X. Skrawki

Zostały po nim tylko skrawki.
Na skrawkach życia zapisywał
życie.

„To do nas!” – wołał z dna urwiska. Ale my
nie słyszeliśmy, kiedy trzeba było słyszeć
i nie widzieliśmy, kiedy trzeba było
widzieć.

XI. Varosha

Nie przeczuwają nawet, że idą przez miasto,
które będzie widmem, że skruszeją ściany,
mrok wypełni domy, oślepną drzwi,
odpadną okiennice, zmurszeją
balustrady.

XII. Famagusta

Famagusta, popioły pod chmurami, puste
ulice.

Famagusta, ludzie wyrwani jak palce ze
stawów.

Famagusta, marzenia i losy zakopane
żywcem.

Famagusta, bezdech w martwych
płucach.

XIII. Zaginiony

Nikt nie wie, gdzie jest? Zostały tylko niedopałki
i okopcony gliniany garnek.

Stare gazety, książki, ciśnięte w kąt pożółkłe kartki,
niedokończone wiersze.

Okno zarasta kurzem. Podłoga skrzypi, jakby chodził
jeszcze po niej.

Nóż wbity w błat rdzewieje. Nikt nie wie, gdzie jest?
Na stole zaschnięta krew.

XIV. Wrogowie

Tej nocy, choć każdy z osobna, jednakowo patrzą w gwiazdy.
Ten trzeci, którego imię niewypowiedziane i ten obcy,
którego imię także niewypowiedziane.

Niebo nad wyspą dla obu takie samo.

- Powiedz mi efendi, dlaczego nazywamy siebie wrogami?
- Historia i polityka...
- Nie używajmy tych słów, nie używajmy ich efendi.
W „historii” i „polityce” znika człowiek.
- Pomówmy lepiej o smutku i o tym co, zabiło w nas ludzi.
- Przestaliśmy patrzeć sercem, odwróciliśmy się od duszy.
Tak czuję i myślę. Nasza wyspa przestała być naszą.
Podzieliliśmy nie tylko ziemię, podzieliliśmy siebie.
A może pozwoliliśmy, by nas podzielono?
Dawaliśmy sobie wmawiać kłamstwa.
Zamieszkaliśmy i mieszkamy
w kłamstwach. Ty masz
swoją wyspę, ja mam
swoją.

Po tamtej stronie nie było człowieka, był wróg bez twarzy.
Ciało jego ze zła. Krew jego zatruta.
Oczy jego puste.

- A prawda, efendi? A co z prawdą?
- Każdy z nas trwa przy swojej prawdzie. Ale czy musi?
- I martwym, i żywym zabrakło miłości, zabrakło prostej dobroci.
- Roztrwoniliśmy skarb? Powiedz efendi, czy tak?
- Tak, roztrwoniliśmy.
- Każdemu się zdawało, że bierze tylko to, co mu się należy.

- Nawet jeśli była to tylko odrobina?
- Tak. Nawet jeśli była to tylko odrobina.
- Czy On nam wybaczy?

XV. Niebo i ziemia

Klasztory i kościoły Północy dostały
skrzydeł, odlatują w Niebiosa,
konają cmentarze, umarli
znów podnoszą się
z grobów.

Święty Jerzy z kościółka w Paralimni
śpi od wieków.

Święty Antoni z kościółka w Leonarisso
pośród starych rur i porzuconych opon,
na ściółce ze słomy przebiera
ziemniaki.

Archanioł Michał w Levkoniko skupuje stare
wanienki, krząta się przy pustym ołtarzu.

XVI. Drugie wniebowstąpienie Matki Boskiej Kanakaria

Matka Boska Kanakaria schodzi
ze ściany, szabrownicy
wycinają mozaikę.

Matka Boska Kanakaria staje się
niewidzialna, strażnicy
przymknęli oko.

Matka Boska Kanakaria płacze,
wygnano ludzi, wygnano
ducha.

XVII. Wędrownica duszy

W bezsenne noce myśli trzeciego błądziły
po wyspie, od brzegu do brzegu, od miasta
do miasta, od wsi do wsi.

Zanurzały się w czasie i powracały do wieczności.

Trzeci zmieniał ciała. Raz był ptakiem, raz psem
albo kotem, wygnańcem, pielgrzymem albo
obwoźnym kupcem.

Tylko pamięci nie zmieniał. Niósł ją jak morze
bez miary, bez początku i końca.

Zanurzał się w czasie i powracał do wieczności.

XVIII. Kraska

Nie raz, nie dwa przecinał ptasie sieci,
wchodził w drogę kłusownikom.
Widzieli, jak wypłatał i wypuścił z nich
niebieskawą, spłoszoną, kraszkę.
Zadzierając głowę zawołał: „Leć sobie,
leć maleńka i uważaj na ludzi”.
Ptaszek zakwilił, a na wargach trzeciego
zostały tylko skrzydła.
Słowa odleciały i od gór po wiersze
zapadła cisza.

XIX. Taniec Sirtaki

Wypili sporo. Kołysze się tawerna, wychodzą na placyk.
A tam muzyka i śpiewy. Jorgos i Angelos refrenują
do taktu, powtarzają ostatnią sylabę. Tylko ten trzeci
zniknął im z oczu, ale już widzą, jak otoczyli go ludzie,
jak mu klaszczą i klaszczą, a on tańczy, tańczy, tańczy:

opa, op-pa, i raz i dwa i raz. Opa, op-pa. I obraca się
powoli, powoli, zgina kolano i piętą ziemię muska,
opa, op-pa, i raz, i dwa, i raz. A ramiona jego to skrzydła
i patrzcie, jak się unosi, opa, jak oczy przymyka, w tańcu
się cały zatracza, opa, opa, opa.

I, jak go kocha ta wyspa, jakże bogowie mu radzi, opa, opa.
I wszystko, wszystko jest pieśnią, i wszystko, i wszystko
wiruje. I życie, i śmierć splatają ramiona. I Jorgos, i Angelos
z trzecim śpiewają, opa, i raz, i dwa i raz. Opa, opa.

XX. Ziarno śmierci

Trzeci zwykle nie wiedział, dokąd idzie.
Nie potrafił usiedzieć w miejscu.
Goniło go coś, czego nie mógł pojąć.

„Zakorzenie się, zakorzenieć” – szeptał.
Ale były to tylko czcze słowa.

Rzucało nim we wszystkie strony. W końcu zrozumiał,
że najbardziej bał się powrotu
do domu.

„Jakiego domu? Jakiego domu?” – wrzeszczał.

„Nigdy nie miałem domu!” – ranił siebie.
I otwierała się w nim ciemna, niema czeluść.
Kosmiczna czarna dziura.

„To, co zostało po tamtej stronie nie było moim domem,
tylko zapadłą, kamienną, skorupą” – cedził przez zęby.

I jego słowa mieszały się z jakimiś głosami
w oddali.

Słuchał go tylko ktoś, kogo nie było.
Mówił do niego ktoś, kogo nie było.

„Jeśli wspomnienia są tylko tym, co widzisz
w swoim umyśle, to jakie jest twoje życie?
Widzisz?

Twoja kraska znów poleci, jeszcze przysiadła
na gałęzi, jeszcze się rozgląda, ale znów poleci.
Leć jak ona, leć wolny, leć!”.

Choć dochodził zawsze do celu, to zdobycie szczytu,
dotarcie na odległy brzeg albo zwycięstwo
w czymkolwiek nie miało już znaczenia.

W takich chwilach czuł tylko obojętność i pustkę.

„We wszystkim jest ziarno śmierci. To ona jest wiecznością.
Wieczność to śmierć. A śmierć to wieczność” – powtarzał

krok za krokiem.

XXI. Srebrny gołąb

Ten trzeci przysypiał w ciemnym rogu spelunki,
właściciel chciał już zamykać, ale on ani drgnął,
wspominał:

tej nocy plac był pusty – zamknięte sklepy i kioski,
rozbite szyby, zdarte plakaty, swąd palonej gumy,
ulotki,

szli razem, ale słowa zasychały im w ustach, czuli
tylko strach, pierwotny, nieokreślony strach przed
życiem,

nagle przemknęły przed nimi wojskowe ciężarówki,
ryk silników, pisk opon, ostre światła, na pakach
trupy,

chłopiec za rogiem ulicy zniknął w mroku, kierowca
nie widział gasnących białek jego oczu, księżyc stał
ponad,

nie doczekali się nowych rozkazów, łącznik poległ,
dwie, trzy przecznice dalej porwały go czarne wody
śmierci,

nad ranem usłyszeli szloch spod krzaka, podeszli,
oszałała kobieta tuliła jeszcze ciepłego srebrnego
gołębia.

Wreszcie zwałókl się z ławy, chwiejnym krokiem
ruszył w stronę drzwi i nawet nie zapytał, płacił
czy nie?

XXII. Mniejszość

Zostali na swoim. Nie chciała wypuścić ich
ziemia, ni to, co zasiali, ni to, co posadzili.

Ci, którzy odeszli, próbowali wyrwać z siebie
wszystkie dawne chwile, domy, wsie i miasta.

Ale one nie osypały się w proch ani zapadły
w otchłań, i wciąż nie chcą opuścić pamięci.

Jak gdzie indziej i tu trwa garstka, co staje
w gardle większości i strachem dławi strach.

XXIII. List

Pewnego dnia ten trzeci odebrał ostatni list od Angelosa.
Zaglądał do niego, to znów ukrywał pod papierami. Bał się
przeczytać choćby o słowo za dużo, nie wiedział,
ale przeczuwał, że tamten umiera.

„Musisz żyć dla czegoś ważnego. Dni nie mogą przeciekać ci przez palce, ot tak. Chwile ze swej istoty są jak piasek. Ale ty musisz żyć dla czegoś” – przypominał Angelos.

Trzeci znów chował list i wracał do niego, bo te myśli miały w sobie żar, parzyły mu palce, paliły w trzewiach, płonęły w oczach, gdy Angelos mówił:
„Włóż na głowę choćby miedzianą koronę, poszukaj skrzydeł. Bądź aniołem, nawet z cieniem wąsów pod nosem. Nie zmienisz już tego, co było.

Ukryj swoje rzeczy, spal dokumenty i wiersze, wylej morze łez, a na końcu przejrzyj się we własnej krwi.

Zabierz ze sobą tylko te pożółkłe, skancerowane fotografie”.

XXIV. Milczenie o Milczeniu

Siedzieli w jaskini, na granicy światła i cienia.
Fale przychodziły, odchodziły, w skałach
żłobiły swoje opowieści.

A oni milczeli o Milczeniu.

Żaden nie wydał z siebie głosu. Ich myśli
wykluwały się słowami
z Milczenia.

„Więcej przemilczałem niż powiedziałem” – milczał Jorgos.

„Ileż to zmilczałem, ileż to zamilczałem” – milczał Angelos.
„Jestem jak ta podwodna pieczara” – milczał ten trzeci,
którego imię niewypowiedziane.

I każdy wracał swoim milczeniem do początku, bo
na początku było Milczenie i Milczenie
było Bogiem.

Mówiły tylko fale.

XXV. Stara mapa

„Czy zawsze musimy być czemuś winni?” – pytał sam siebie ten, który czytał.

„Wszyscy jesteście trochę zdradzeni” – słyszał w odpowiedzi i w głębi duszy przeczuwał, jakie będzie zakończenie.

Pamiętał tamten wieczór, gdy ojciec pokazywał mu starą mapę wyspy.

Było lato. Dwa piętra wyżej charczał gramofon. Trzeszczała stara płyta, żaliło się buzuki. Nuty krążyły nisko, kwiliły i niby spłoszone ptaki wlatywały nagle pod niebo, ginęły gdzieś w chmurach, a potem spadały na dachy, ulice, ogrody. Zrywał się wiatr, szarpał liście, strącał dachówki, kręcił bicze z piasku. Matka w pośpiechu zbierała pranie i wracała do szycia.

Ojciec podawał nazwy państw, a trzeci wymieniał stolice:
„Dania – Kopenhaga, Holandia – Haga, Portugalia – Lizbona,
Szwecja – Sztokholm, Włochy – Rzym, Albania – Tirana,
Grecja – Ateny, Turcja – Ankara,
Malta? Terytorium brytyjskie”.

Cypr?

Robert Gawłowski

PORTRETY

Grażyna Zambrzycka

TORA TORO TORONTO

Tora toro toronto podskakiwał samolot
na chmurach znad Arktyki
jak na kocich łbach,
i wysypywały się kredki,
turlały pomarańcze.
Tora toro toronto przez noc
nad Północną Dakotą, nad światłami osad
jak oczy wapiti w stadzie, oślezione nagle
przez nocną ciężarówkę.
Błysk czarnych oczu jezior na prerii w mroku.

Ile to już razy, i opowiadał to
sobie samej z innego czasu,
w osiemdziesiątym pierwszym, na blaszanym Okęciu,
w nerwowym tłumie z kontrabandą
żubrówki i suszonych grzybów
dla krewnych za żelazną kurtyną.
Opowiadał to tej na łące, gdy leży
jeszcze ukorzeniona, wpatrzona
w proroctwo kondensacyjnej smugi.

KRAKÓW W NOCY

Do tej pory śniesz mi się, miasto,
po dziesięcioleciach: kolebię się
tramwajem, nade mną zwarcia kabli,
elektryczne wyładowania.
Wjeżdżam na ciemne place i prosto
pod portalami w kościelne nawy, między
kolumny, ambony, ławki, organy, ołtarze i
z powrotem w zawijas Kanoniczej. Krążę
wokół Plant, Szewską, Bracką, w podwórka
zaglądam, w bramy. Stękają starymi drzwiami klatki
schodowe w woalach metrowych pajęczyn,
wychylają się staruszkowie powykręcani
jak dadaistyczne rzeźby, przeciąg
niesie w tył, w tył zakonnice o twarzach jak kosztele
i rozgadany szkielet w wełnianej czapce
siedzi z wędką nad Wisłą Wiatru.
Żegnam cię, czy witam we śnie, miasto,
mądrzejsze od ludzi, żywe jak rafa koralowa,
naśl niepokorna, co chce mi powiedzieć, gdy
z zaułków przesuwają się zawsze tak samo
na piach nad oceanem błękitny
rozkołysany tramwaj.

TRAKCJA ŁÓDŹ FABRYCZNA – WARSZAWA – OLSZTYN, 2023

W maju, gdy krótkie zielone zboże,
lodowate jeziora, gigantyczne obłoki,
dwie godziny, jak piosenka o opóźnionym szczęściu.
Szare murki cmentarzy blisko torów, rozkrzyczane graffiti,
silosy, białe wiatraki i ten rytm, wyciszony, podróży, trochę
w zaświaty, z umarłym ojcem, gdy liczymy
bociany w szmaragdowych trawach, dawno.
Wysłał mnie

Pacyfik, przesunęła Arktyka, pozdrowiła Grenlandia,
Atlantyk dał zielone światło i teraz cicho, cicho
niesie nas kolejowa trakcja przez zieleni, czas
rozwidla się jak tory i jadę kilkoma równocześnie.

NA PRERIACH

Wylądowaliśmy na krótko na pasie startowym
na preriach i stewardessa
otwarła białe, grube drzwi, jak płat boku
wieloryba. Do samolotu wpłynął zapach siana,
pod nami pasł się przypalowany koń, było
ziemsko, namacalnie, na skrzydle maszyny
skraplał się szybko lód znad Grenlandii.
Staliśmy we troje przy otwartych drzwiach,
kilkanaście metrów nad pastwiskiem –
młody Kanadyjczyk wracał z Gruzji,
i wioził w plecaku zdumienie i gruzińskie ciasto,
jak starożytne serce, z Europy wracała tybetańska kobieta,
śnieg sypał się z jej opowieści o ucieczce,
wlatywał w chustę matki, wpadał za filcową stójkę
nad przełęczą w Himalajach. W oczach ludzi w rzędach
samolotu świat był bezgraniczny, mogliśmy
spaść w głębiny Atlantyku nic o sobie
nie wiedząc. A teraz brązowy koń w płowych
trawach okrażał pal jak oś świata, na palu śpiewał drożdż
nad płamkami piekarskich preriowych, które rozbiegały się
we wszystkich kierunkach, jak historie ludzi w samolocie, jak
płowe chmury na przyspieszonym filmie.

PRZY STOLIKU

O, to bardzo daleka podróż,
gdy przy stoliku w letnie popołudnie, obok Pacyfiku,
okrażam jej nowo napotkane berberyjskie
oczy, tak czarne

jak osmalony pożarem grzbiet książki.
Układny uśmiech naukowej pracowniczki,
to coś, starożytne, co pobłyскуje kamykami
w mikroskopijnych kolczykach.
O, to bardzo daleka podróż,
do miasteczka w Maroku, i dalej,
do berberyjskiej babki,
i dalej, do Egiptu, do Fenicjan, i dalej.
Przez taneczność
jej uprzejmych nadgarstków, które gną się jak palmy,
o jak daleko.
W napotykanym twarzach
pogłos,
dźwięk dzwonka, tamburynu, piszczałki,
wystarczy
zejść o dwa stopnie bliżej,
a tam antyczna muzyka w labiryntach,
kamyków,
które odpadły od swoich mozaik.

CATTLE DRIVE

Napotkaliśmy ich
na słonecznej górskiej drodze
– pasterzy bydła, kowbojów jak z Bonanzy w szarym
okienku telewizora, wśród jasnych ponderos.
W kraciastych koszulach, konno,
konwojowali czerwone, majestatyczne krowy
przed latem na odległe wzgórza.
Czy byliśmy dla nich tak samo nierealni,
w miastowym samochodzie, ledwo tknięci
słońcem?
Należeli do miejsca jak kamienie wzdłuż strumienia
po których
kopyta klaskały jak kołatki rytm,
a kolce w kudłach krów i koni opowiadały
o wysiłku gorącym jak przetapiana ruda.

Skąd ten zachwyt? Dla ich szorstkich żartów,
politycznych tyrad na werandach, oceanów piwa?
Czasem spisują wspomnienia i z przyjaznych gadek
nagle przebija coś jak wtajemniczenie,
delikatność
człowieka, gdy leży na ziemi i obraca w palcach
łódkę koniczyny, kolosalna wiedza
pyłu, deszczu, mrozu, upału, jak
skansen ludzkiego szczęścia, coś
jak błysk braterstwa i porozumienia
pomiędzy okiem zwierzęcia, okiem gwiazdy
i ich oczyma.

Grażyna Zambrzycka

Fot. Andrzej Brakoniecki



Grażyna Zambrzycka, Vancouver 2024

POEZJA TO USTANAWIANIE SENSU

Z Grażyną Zambrzycką rozmawia Olga Medvedeva-Nathoo

Olga Medvedeva-Nathoo: Czy sądzisz, że byłabyś tą samą poetką, gdybyś została w Polsce?

Grażyna Zambrzycka: To jest pytanie o związki pomiędzy doświadczeniem i wyobraźnią. One, naturalnie, istnieją. Gdybym mieszkała całe życie w Polsce, na co dzień byłabym wystawiona na inną rzeczywistość, która słałaby inne impulsy zmysłom, inaczej prowokowałaby do pisania. Ale jednocześnie poezja to ustanawianie sensu i żyjąc czy tu, czy tam, musiałabym sobie zadawać podobne, w gruncie rzeczy, egzystencjalne pytania. Musiałabym – nawet jeśli innymi środkami – mówić o tym, co płynie ze mnie, z mojej psychiczności, a przede wszystkim z pojmowania świata i własnej wizji tego, czym jest poezja. Wyjechałam z Polski, gdy miałam 25 lat. Mniej więcej w wieku 17 lat zdałam sobie sprawę, że pisanie wierszy jest tym, z czym się utożsamiam. Nie mogę powiedzieć, że wyjazd w 1981 roku stanowił jakąś cezurę, jeśli chodzi o pisanie. Ale na pewno uintensyfikował pewne sprawy, być może pomógł ostatecznie odrzucić jakieś, niepotrzebne już, literackie, kulturowe „zahaczenia”. Istnieją co najmniej trzy mity artystycznego Wielkiego Odjazdu. Pierwszy to pielgrzymowanie do Mekki kultury – tu nasuwa się przykład zesłowiecznego Paryża, Berlina, czy Nowego Jorku. Drugi to ucieczka od cywilizacji albo zanurzenie się w kulturze zupełnie odmiennej. Trzeci – niestety, ze zrozumiałych powodów, najczęstszy dla pisarzy i artystów z naszej strony świata – to wyjazd spowodowany kolizją z politycznym systemem, albo po prostu niezgodą na polityczne realia. W literaturze polskiej to wspaniała tradycja literatury emigracyjnej, która, źle pojęta, niesie jednak niebezpieczeństwa – zamknięcia na świat, postawy cierpiętniczej, zapomnienia o człowieczeństwie na rzecz wciąż rozdrapywanej polskości. To jeszcze był problem mojego pokolenia i cieszę się, że młodzi pisarze już chyba go nie mają. My z Andrzejem (mężem, artystą malarzem) dość uporczywie, wbrew realiom, odżegnywaliśmy się po wyjeździe od nazywania siebie emigrantami. Była to niezgoda na ówczesny brak niezbywalnego prawa do wyboru miejsca zamieszkania, ale także obawa przed wejściem w układ myślowy, który nie miał nic wspólnego z tym, czym byliśmy zajęci: on – malarstwem, ja – poszukiwaniem własnej poetyckiej drogi.

– **Wyjechałaś jako młoda poetka. Formowałaś się tu, czy tam?**

– Myślę, że samo formowanie się, czyli formowanie poezji – podejścia do języka jako subtelnego tworzywa – jest procesem ciągłym, trwa całe życie. Inaczej pisanie poezji nie miałoby sensu. Każdy wiersz czy cykl wierszy to właściwie nowe „uformowanie się” i odnowa relacji do rzeczywistości poprzez język. Ale zdaję sobie sprawę, że pytasz mnie raczej o stałe, naznaczające związki intelektualne i świato-

poglądowe, które wypływają z zażyłości z daną kulturą i jej tradycją literacką. Tu nie mam wątpliwości – ukształtował mnie język polski. Wszystkie jego pokłady: intelektualne, kulturowe, kolokwialne. Jego melodyka, jego skala emocjonalna. Język Juliusza Słowackiego, język Aleksandra Wata, poetów staropolskich, język matki i ojca, język religijnej obrzędowości, język podwórka i ulicy. Ale – co, sądzę, ważne – język polski był też moim pierwszym oknem na literaturę światową, w przekładach, często nawet ważniejszą dla mnie od literatury rodzimej. Nawet jeżeli jakość przekładu pozwalała tylko domyślać się wspaniałości oryginału. Gdy wyjechałam, nie miałam wątpliwości, że będę nadal pisać po polsku. Polski język to mój instrument, mój Stradivarius, mój Pleyel (to pochwała „instrumentu”, nie wykonawcy!). Bo znam wszystkie jego zakamarki, bo jego melodyka jest we mnie głęboko zakodowana, bo mam swoją sprawę z tym językiem, chcę go formować po swojemu. Każdy język ma swoje skrytki, takie szuflady, których woń rozpoznać mogą tylko ci, którzy posługują się nim od dzieciństwa. Przy pisaniu poezji znajomość tych woni jest dość ważna. Dopasowanie, dostrojenie własnego języka do nowych realiów nie było, naturalnie, łatwe. Podam przykład może trywialny: słowo okno przez polskie doświadczenie wywoływało we mnie obraz przestrzeni wysokiej, pionowej. Trzeba było pewnego wysiłku, abym mogła zacząć myśleć także o oknie amerykańskim – często horyzontalnym, podłużnym. Ale umiejscowienie własnego języka w otoczeniu innej mowy miało też ogromne plusy. Uświadomiło mi już ostatecznie autonomiczność języka poezji – to, że pomiędzy wierszem, nawet językowo najprostszym, a mową służącą do innych celów leży bardzo głęboka przepaść, którą każdy, kto pisze poezję – czy to w kraju swojego języka, czy poza nim – musi za każdym razem przekraczać.

– Czy dystans między Polską i Kanadą coś znaczy dla twojego obrazu świata i światopoglądu?

– Gdy odpowiadam na twoje pytania, odruchowo cofam się do okresu zaraz po wyjeździe z Polski. Pewnie dlatego, że był najbardziej dramatyczny, a więc i formujący. W tych latach dystans oznaczał nie kilkunastogodzinny przelot, ale kolosalne różnice: ustrojowe, cywilizacyjne, mentalności niezniewolonego społeczeństwa i społeczeństwa, które wybijało się na wolność. Nie mówiąc o tym, że w pierwszych latach, gdy panował stan wojenny, nie mieliśmy żadnej pewności, czy jeszcze kiedykolwiek pojedziemy do Polski. Upadek komunizmu graniczył wtedy z cudem. To, że zamieszkaliśmy na zachodnim wybrzeżu Kanady z całą jego specyfiką, sprawiło, że wcześniej zetknęliśmy się z kwestiami, które dopiero po latach, w demokratycznej Polsce, znalazły pełny oddźwięk. Mówię tu o feminizmie, o prawach społeczności LGBT, ruchach ochrony środowiska naturalnego, demaskacji pedofilii w kościele, o zasadach, na których koegzystują odmienne religie w demokratycznym państwie. Musieliśmy sobie wyrobić opinię w tych kwestiach niejako na własną rękę. Nie było to wcale łatwe, bo działały nastawienia umysłowe wyniesione z Polski przeżywającej zryw wolnościowy mocno spleciony ze zrywem religijnym, który płynął z buntu wobec antykościelnej, na siłę laicyzującej polityki komunistów. Z upływem lat,

wraz z możliwością regularnych pobytów w Polsce, z nadejściem elektronicznych połączeń, swobodnym przepływem informacji, z łatwością dostępu do polskich książek, gazet, filmów etc., problem dystansu właściwie przestał istnieć. Dość długo zajęło mi jako tako harmonijne połączenie moich dwóch krajów. Z każdym łączy mnie głęboka emocjonalna więź. Ich wpływy, tak myślę, przenikają się we mnie – w Kanadzie jestem polską Kanadyjką (*Polish Canadian*), w Polsce, po tylu latach – kanadyjską Polką. Jeśli nostalgia jest jakąś znaczącą siłą napędową w pisaniu poezji – a myślę, że częściowo tak jest – moją nostalgię ustawiam wertykalnie – wzdłuż linii przepływającego czasu, a nie horyzontalnie – w tęsknocie za miejscem. Tęsknię, a więc odnoszę się w poezji do tego, czego doświadczyłam, co jest wypełnione jakąś konkretną treścią. Obojętnie gdzie.

– Jaki jest wpływ literatury angielskiej i struktury języka angielskiego na twoją poezję?

– Wychowałam się w zasadzie na poezji polskiej, francuskiej i niemieckiej. Rilke i symboliści francuscy to były moje pierwsze poetyckie odkrycia i olśnienia. Ale także sporo z poezji rosyjskiej. Jako anegdotę powiem, że pierwszym tekstem, który, może czteroletnia, odebrałam, poczułam jako poezję, był fragment Aleksandra Puszkina, który po rosyjsku recytowała mi ciotka. Z poezją angielską na poważnie zetknęłam się dużo później, już po wyjeździe z Polski, a więc od razu w oryginałach. Siła wyrazu, sensualność, wewnętrzna spójność i logika, a równocześnie swoboda metaforyki, wyuczona, myślę, na poetach rzymskich, brak *self-pity*, emocjonalna dyscyplina, ale bez kostyczności, bez nadmiaru retoryki – tu było od kogo się uczyć! Ale jednocześnie są całe pokłady liryczne języka polskiego, które są niesłychanie subtelne, bardziej wschodnie, ulotne, których nigdy bym nie odrzuciła. Czy mógłby zaistnieć na przykład angielski Józef Czechowicz? Albo Bolesław Leśmian? Albo Bruno Schulz? Gdy mam odpowiedzieć na pytanie o wpływ struktury języka angielskiego, odczuwam wahanie, które mi mówi, że może być on większy, niż jestem tego świadoma. Bo, na poziomie świadomości, wiedząc, że każdy język stanowi uniwersum, które rządzi się własnymi prawami, staram się te prawa zachowywać. Język polski i język angielski nie przylegają łatwo do siebie. Może właśnie dlatego lubię czasami, na miarę moich możliwości, odbić jakąś polską frazę w angielskim. Sprawdzam ją wtedy w języku, który jest bezlitosny dla emocjonalnych łatwizn.

– Chciałam cię spytać o twoje przekłady. Dlaczego wybierałaś tych właśnie poetów i czy mieli wpływ na twoją poezję?

– Odpowiadam z pewnym wahaniem, gdyż, poza tłumaczeniami Ryszarda Mirabela, żydowskiego poety urodzonego w Polsce, do których mnie zachęciłaś, innych tłumaczeń nie drukowałam. Nie są więc sprawdzone drukiem. Ale jednocześnie tłumaczenie z angielskiego stało się przez lata ważną częścią moich zajęć literackich. Było – i jest – formą czytania, uświadamiania sobie angielskiego tekstu przez odnajdywanie adekwatnej formy w języku, w którym sama piszę. Daje mi to bardzo intymny kontakt z tekstem angielskim. Zasady mojego tłumaczenia są

dwie – możliwie jak najbardziej precyzyjna interpretacja sensu i intencji autora, oraz wysiłek, aby polski tekst był „żywy”, czyli aby był poezją właśnie. Przez lata tłumaczyłam Yeatsa. Zebrało się kilkadziesiąt tłumaczeń, słabszych, lepszych, jeszcze do poprawienia. Wiersze z różnych okresów, także te spoza kanonu, który przyznaje wyższość jego późniejszym utworom. Dlaczego Yeats? Nikt tak jak on nie łączy mistrzowsko irracjonalności z wielką inteligencją i racjonalnością. Odnosi się we wspaniałej formie do spraw dla mnie egzystencjalnie istotnych. Bogactwo tej poezji, jej symboliki, śpiewu i dyskursu, jest niezrównane. Jest bardzo intelektualny, ale jest też poetą zabawy, formy, gry. Przetłumaczyłam monolog Prospera do Ariela z *The Sea and The Mirror* W.H. Audena i kilka innych jego wierszy. Z pełną świadomością karkołomności zadania przetłumaczyłam *Wigilię świętego Marka* Johna Keatsa. Przekładałam H.D. (amerykańską poetkę Hildę Doolittle) – jej wejście w grecki antyk nie jest mi obce. Z poetów kanadyjskich przekładałam po kilka wierszy poetów wcześniejszego pokolenia, takich jak Douglas Le Pan (*Kraj bez mitologii*), Irving Layton, Wilfred Watson (wiersz o malarce z tego wybrzeża, Emily Carr), Elisabeth Brewster (*Ciotka Rebeka*, piękny wiersz o kanadyjskim pionierskim etoście), Patricia Page, A.M. Klein (autobiograficzny wiersz o żydowskim dzieciństwie w Kanadzie). Tłumaczyłam mało znaną, zmarłą już vancouverską poetkę Elisabeth Gourlay, autorkę ciekawego poematu o Skriabinie, a także bardzo utalentowaną Elise Partridge. George’a Murraya, poetę młodszego pokolenia, o ciekawej wyobraźni. Kilku innych. W ostatnich latach przekładałam wiersze Dereka Walcott’a, dla mnie może największego poety języka angielskiego drugiej połowy XX i pierwszej dekady naszego stulecia. Tak więc, jak widzisz, są to poeci bardzo różni i różne były motywy, dla których podejmowałam się tłumaczenia. To mogła być ciekawość tematu lub formy, lub po prostu totalny zachwyt. Trudno mi zatem odpowiedzieć na pytanie o bezpośrednie wpływy, lepiej by to zrobił badacz literatury. Sądzę, że działa tu prawo fizyki, że wszystko wpływa na wszystko. Oczywiście, na niektóre wpływy świadomie wystawiamy się z nadzieją, że obudzą to, co w nas najlepsze. Wynik jest jednak zwykle taki, jak w tej zabawnej polskiej piosence o malarzu, któremu – obojętne, co malował – zawsze wychodził słoń, czyli on sam.

– Jak radzisz sobie, żyjąc poza środowiskiem – własnego języka, artystycznym, literackim, uniwersyteckim?

– Na pewno nie chcę być adwokatem osamotnienia (to co innego niż samotność) i zwłaszcza w pierwszych latach doskonale rozumiałam to, co pisał Czesław Miłosz po wyjeździe – o potrzebie, by „biec do ludzi”, potwierdzać się w tym, co wspólne. Ta potrzeba, myślę, nigdy nie powinna wygasnąć, ale z upływem lat jej zaspokajanie przybiera inne formy. Środowisko jest niesłychanie ważne w młodości. Stwarza pewne ramy i miary intelektualne, coś jakby kulturową mapę, którą bierze się ze sobą. Tę mapę po drodze czasem trzeba korygować, uzupełniać białe plamy, ale ona istnieje. W dobrym znaczeniu środowisko jest tym, co stymuluje i daje możliwość sprawdzenia własnej wartości. Środowisko mojej młodości było wspaniałe – to był Kraków końca 70. i początku 80. XX wieku, z jego unikalną atmosferą i tem-

peraturą poszukiwań intelektualnych. To były wykłady z filozofii księdza Józefa Tischnera i profesora Władysława Stróżewskiego, teatr Tadeusza Kantora, odczyty Stanisława Lema, Adama Michnika, opozycyjnych pisarzy i intelektualistów. Wierzę, że literatura i sztuka zawsze powstają przez wpływ, przez osmozę, ale potrzeby przynależności do jakiejś grupy literackiej nigdy nie miałam. Po latach, pamiętam, Bogdan Czaykowski rzucił kiedyś w niewiążącej rozmowie: „A może byśmy stworzyli grupę poetycką?”, ale nie leży to w mojej naturze. W gruncie rzeczy bardziej od środowiska ceniłam sobie przyjaźnię. Przez lata poczucie przynależności dawała nam lektura przesyłanych przez redakcję „Zeszytów Literackich”, które czasem drukowały moje wiersze i prezentowały zdjęcia obrazów A. Jakąś formą środowiska są ludzie związani z polsko-kanadyjskim Funduszem Wydawniczym. Lata roboczych telefonicznych rozmów z niedawno zmarłym Edwardem Zymanem, wydawcą moich książek, będę wspominać z wielkim sentymentem. Cenię sobie kontakt z Andrzejem Buszą. Dobrze wiesz, jak cenię sobie nasze rozmowy. Czy brakowało mi czasem tego umysłowego iskrzenia, które, przynajmniej w teorii, zapewnia życie akademickie? Czasami tak, ale przy całym należnym szacunku dla sal wykładowych, to nie tam powstają wiersze. I myślę, że zgodziliby się ze mną także ci poeci, których życie upłynęło na uniwersytetach. Tym, co sprzyja pisaniu nie jest środowisko, ale pewna atmosfera, *ambience* – jak to określają Anglosasi. Myślę – i mam nadzieję, że nie wpadam w pustą górnolotność – że moim środowiskiem są po prostu książki i wspaniałe duchy ich autorów. *Last but not least* – dzielę życie z człowiekiem, którego całe życie jest również nastawione na poszukiwania artystyczne (w jego przypadku – malarstwo), a to bardzo komfortowa sytuacja.

– **W jaki sposób udało ci się zachować bogactwo języka polskiego?**

– Wykręć się, Olgo, wersem własnego wiersza: „Kochać mowę, z odrobiną wzajemności – to wszystkim”.

Styczeń 2022

Grażyna Zambrzycka

MEHRNAZ I MONIKA

Monika kiwała głową, a Iranka za nią szła. Miała na głowie zielony, kwiecisty szal, a na ręce duży, okrągły zegarek. Był październik, były same na skwerze, gdy Monika zapytała ją o godzinę, a Iranka pokręciła głową i powiedziała tylko jedno słowo: I-ran. Ulica była pusta, skwer był pusty, w rozslonecznionym powietrzu wisiała pustka rozleniwionego pacyficznego miasta. Było dziwnie, było pusto, i taki splendor światła, że coś wreszcie musiało się wydarzyć. I dlatego Monika spytała Irankę o godzinę. A teraz prowadziła ją do siebie jak schwytanego czarodziejskiego ptaka, a Iranka szła za nią tak samo napędzana obcością dookoła, a może i jakąś barwną irańską opowieścią, kto to wie? Już stały w pokoju Moniki, którego niemal jedyne umeblowanie stanowiło pianino i piękny klonowy parkiet, i już snuły: Iran, Lechistan, *modar, podar, chodoofez*, a stara Iranka, zgodnie z wykwinną modą swego kraju, kiwała z godnością głową i powtarzała *merci, merci*. A wieczorem przyprowadziła Mehrnaz. Młodzieńka Mehrnaz, Mehrnaz – studentka w zachodnim, wyjściowym kostiumiku. Puszysta kula włosów wokół drobnej twarzy, na której przez dopiero co nabytą ostrożność przebijała dziecięca, południowa radość. I Monika zrozumiała, że to właściwie stara Banu Kalantari schwytała ją dla swej osamotnionej córki, od której miała wkrótce odejść do Persji. Bo była jedną z tych matek, które przyjeżdżały do swoich wyrzuconych na kraniec ziemi dzieci, bo była to matka-sprowadzony kraj, matka pełna ciepłych soków odległej ojczyzny, matka zupełna, nieconiesmielona obcym obyczajem, bo powracająca wkrótce do siebie, bolejąca nad chłodem, niepewnością i drżeniem, które ogarnia jej dzieci dopiero co rzucone na obcy łód. Placki, które piekła dla Mehrnaz i Moniki, były lekkie jak piórka, a gdy Monika skrzyła pewnego dnia nogę, Banu ukucnęła przy łóżku i obmywała jej kolano letnią wodą długo, spokojnie, uzdrawiająco. I wszystkie trzy czuły, że stanowią małą wysepkę, że była to ich wysepka w morzu ludzi, które wydawało się groźne, bo tak jeszcze obce i niepojęte. Monika myśli o tym czasem po latach, gdy rozpoznaje zbyt grzecznie uśmiechniętą skrytość w twarzy przybysza.

Najbardziej pokochała Monika narandzę, pomarańczowe drzewo, które kwitło na podwórku u Banu i Mehrnaz w Szirazie. I drzewa migdałowe, i taras na dachu domu, na którym spali pod wygwieżdżonym niebem

w gorące noce. Nauczyła się rozpoznawać irański śmiech Mehrnaz, inny od nowego, kanadyjskiego. Ten irański wybuchał nagle – mocny, swobodny śmiech dorodnych kobiet, śmiech w pełnym słońcu. Wtedy Mehrnaz była prawdziwą *hoszkele*, radość tryskała z niej fontanną.

A więc to właściwie Banu połączyła przed wyjazdem Mehrnaz i Monikę nie tyle przyjaźnią, ile raczej krewniactwem z wyboru, i Monika nazywała Mehrnaz swoją perską kuzynką, a Mehrnaz Monikę po prostu siostrą. Łączyło je i to, że obie, rzucone w nowy kraj, czuły się wciąż jeszcze inne, odmienne, z daleka, i to, że w obcym dla nich obu języku nie mogły sobie powiedzieć takich prawd, które by je rozdzielały, które ustawiłyby barierę odmiennych poglądów na wiele spraw. I tak właśnie było najlepiej w tym zamazanym, niepewnym, nowym krajobrazie, tak było najprościej, jakby najgłębinniej ludzko, choć i samotnie. Stwarzały sobie świat przypadkowy i powierzchowny, każda odcięta od tego jej właściwego, własnego, czasem byle jakim i dziwacznym, ale trzymającym się na mocnym korzeniu w magicznym sercu Banu. Przypadek i konieczność tak się zmieszały, że znały swoje najskrytsze udręki i Monika gładziła gąszcz Mehrnazowych włosów, i słuchała wysokich, drgawkowych łkań Mehrnaz porzuconej przez narzeczonego, irańskiego paniczka z Kalifornii. Strofowała i goiła sarkazm, z którym Mehrnaz wypróbowała, nie bez pewnej satysfakcji, swoją nową angielską dykcję, powtarzając: *The boobs – too small*, a na jej twarzy drgało poniżenie, jej wesołe, inteligentne oczy matowieły i pojawiał się w nich niewolniczy smutek. A potem odradzała się duma i poczucie wyższości wobec kobiet Zachodu, jakby łysych, bo gdzież ich włosom do tej czarnej lawiny, którą zaczęła upinać w wyniosłą wieżę.

Przed Bożym Narodzeniem, gdy Monika zaczęła nagle śmiać się, bo uświadomiła sobie, że jej dwie grube łyzy właśnie osoliły samowolnie garnek gotowanego barszczu, rozległo się pukanie do drzwi i weszła Mehrnaz, oprószone śniegiem, z niewielkim świerkowym drzewkiem. Ach, jak bolała ta choinka, ach, jak załśniła ta choinka wniesiona wschodnią i dalekowschodnią ręką. Bo z Mehrnaz przyszedł jej przyjaciel, Tamil. Niran był buddystą. Niran był zakochany w Mehrnaz. Niran i Mehrnaz nigdy nie mieli być razem, bo Mehrnaz pochodziła z rodziny zoroastrijskiej, a zoroastrian-ki wychodzą za mąż wyłącznie za zoroastrian. Tych dwoje, wydawało się, pasowało do siebie jak ulał, ich szczupłe ramiona, anonimowe, plastikowe kurtki, ich grzeczność i osamotnienie w nowym mieście. Ale nie. Działyły nakazy tak potężne, że duszę Mehrnaz spopieliły strzeżony płomień jej wyznania, gdyby je przekroczyła. Mehrnaz w krótkiej spódniczce, otoczona wonią syntetycznych perfum, Mehrnaz studiująca chemię była w rękach sił nieskończenie większych od jej nieznacznego życia. Ale była tu, nad Pacy-

fikiem, w mieście setek tysięcy takich jak ona przybyszów i to, co wpojone, było nienaturalne, to, co oczywiste jak ruch szali rozwiewanych wiatrem na ulicach Szirazu, tu ją wyróżniało, czyniło obcą, jak Monikę wydzierganą przez matkę w chudych czasach sweterek. Twarz, którą oglądała w lusterku, nagle była irańska, przypominała o sobie do znudzenia, nie dawała o tym zapomnieć. Mehrnaz nie mogła tu zwyczajnie rozkoszować się słońcem. Tu świeciło inne słońce! Mehrnaz, w której młodym ciele radość życia czekała utajona jak płomyk w siaraczanej główce zapalniczki, tu była ledwie zarysem tej, którą być mogła, a nie była. Czasem budziła się w niej perska księżniczka na wygnaniu i wtedy wygięte drwiną śliczne, fioletowe usta ciskały obelgi na ziemię zniszczenia, ziemię jałową, ziemię bez obyczaju, którą miało kiedyś pochłonać trzęsienie ziemi i karzące morze.

Monika i Mehrnaz zamieszkały razem, a właściwie Mehrnaz wprowadziła się do Moniki. Certowały się trochę, bo i Monika była wschodnia i nie chciała przyjąć opłaty – jej wystarczył tupot bosych nóg Mehrnaz na plastikowych kafelkach, pozór zadomowienia, którym tchnął rano jej różowy dres. A Mehrnaz lubiła dźwięk pianina i rozgardiasz w małym mieszkanku, który burzył kliniczną czystość i symetrię nowych ulic. Rano Monika rozkładała zeszyty na chybottliwym stole kuchennym, a Mehrnaz mościła się pod zarośniętym krzakiem rododendronu oknem i wkuwała chemiczne wzory i nazwy tłuszczów, robiąc notatki na marginesach drobnymi, arabskimi znaczkami. Któregoś wrześnieowego weekendu wybrały się samochodem, który sprawnie prowadziła Mehrnaz, do Seattle, gdzie mieszkał jej brat z liczną rodziną. I ten dom tchnął tymczasowością i ludzkim wyobcowaniem. Szwagierka Mehrnaz, ciepła, obfita kobieta, posadziła Monikę pośrodku pokoju, wyciągnęła fryzjerskie nożyce i na podłogę zaczęły sypać się miękkie, puszyste włosy Moniki, a dzieci brały je na opuszki palców i dziwiły ich cudzoziemskiemu dotykowi. Rozmawiali ze sobą uśmiechami, frazami nowego języka, które niezgrabnie przepuszczali życzliwość. I wtedy Monika wymówiła magiczne słowo: Hafiz. O, Hafez – rozpromienił się Iradż. Poszli gdzieś w głąb domu, jakby do sanktuarium. W kolistym, pustawym pokoju leżała na parapecie Księga, cały *Dywan* Hafiza. Iradż otworzył ją na chybił trafił i przeczytał głośno w farsy, a potem przetłumaczył kilka wersów o błędzeniu w mroku i diamentowych światłach tawerny. Monika wróciła do domu z maszynopisem angielskich tłumaczeń irańskiego profesora uchodźcy.

I ona, i Mehrnaz szukały wspólnego mitu, bo tylko to mogło je głębiej połączyć. I jak szczęśliwie było, gdy okazało się, że mają wspólne anioły. Mehrnaz te starsze, z kamiennymi skrzydłami, a Monika tego z obrazka nad łóżkiem w dzieciństwie, z piórami o seledynowym poblasku.

Rozmawiały często o miłości, i Mehrnaz, ta Mehrnaz z kraju mistyków, nie mogła pojąć, że można kochać do szaleństwa jeszcze przed pierwszym pocałunkiem. A jak bolesne było, że Monika, owszem, wiedziała, że jest Avesta, ale dla Mehrnaz nie znać Avesty to tyle, co dla Moniki nic nie wiedzieć o Ewangeliach. Na półce z książkami u Moniki stała mała, drewniana Pieta ludowego rzeźbiarza z jej stron. Któregoś razu Mehrnaz, zamasyżyście omiatając kurz, już, już miała ją przestawić jak jeszcze jeden przedmiot – i nagle cofnęła rękę. W lipowym świątku wyczuła sacrum. Monika lubiła słuchać opowieści o ojcu Mehrnaz, którego nazywano derwiszem. Mehrnaz musiała jej opowiadać o grobowcu Hafiza w Szirazie, do którego chodzili na rodzinne spacery i o wieczach milczenia, na których ptaki pożywiały się ciałami umarłych. Zoroastrianie, trochę jako religijny relikw, jakoś mieścili się na wąskim obrzeżu tolerancji po rewolucji Chomeiniego. Mehrnaz, choć jej nie pochwaliała, cieszyła się republikańsko z obalenia szacha. Teraźniejszość i to, co wiedziała o przeszłości swojego kraju, mieszało się w jej opowieściach i, trochę przykrojone do dziecięcej ciekawości Moniki, tworzyło nieskładną bajeczność, którą ubarwiała nostalgia. Były bliskie sobie właśnie jak dwie zupełnie różne od siebie siostry. Pokochały się, nie mając ze sobą nic wspólnego prócz tej samej krwi wydziedziczenia i samotności. Mehrnaz nie wiedziała zupełnie, co Monika zapisuje w swoich zeszytach, a życiowe myśli Mehrnaz były niedostępne dla Moniki.

Pewnego ranka, gdy jak zwykle siedziały w swoim lektorium, Monika przy stole, Mehrnaz przy oknie, w Mehrnaz, jak w zbyt szczelnie zakręconej butelce, zaczął buzować dżin zabawy. Nagle zaczęła wydobywać z siebie ptasie dźwięki. Ostry gwizd wzbierał, nasilał się, przenikał ściany. Piszcząca jak krogulec, potem świstała jak świstak, jazgotała jak bonobo w zaroślach, nagle niepowściągnięta, piszcząca, aby piszcząć, aby nie mówić już w żadnej ludzkiej mowie, aby nie myśleć. Monika podeszła spokojnie do fotela, wpiła palce w bujne włosy Mehrnaz i po krótkiej chwili wróciła na swoje krzesło. I Mehrnaz umilkła, lecz obie wiedziały, że doszły do kresu tego, co mogą ze sobą podzielić. Wkrótce Mehrnaz znalazła pracę i własny pokój. Odtąd mogły, złęczone jakoś na zawsze tamtą symboliczną szamotaniną, rozmawiać ze sobą niemal co dzień z bezpiecznej odległości.

Mehrnaz zamieszkała z dwiema japońskimi studentkami i we wspólnej kuchni mieszała się woń sushi, oleju sojowego i wody różanej, którą Mehrnaz skrapiała ciasto. W sypialni Mehrnaz rozrósł się fikus, wybujał aż pod sufit grubymi, czarnymi liśćmi, triumfalnie poszerzał przepyszną zielenią, a Mehrnaz chudła i drobniała, jakby oddawała mu własne soki i energię. Pracowała w nocy, opiekując się chorymi psychicznie starcami. Dotykała ich trochę jak duch, z lękiem przed szaleństwem, które buzowało w ich bla-

dych, obcych ciałach, dotykała ich litościwie, jakby ich omiała miotełką z syntetycznym włosiem. Aż któreś nocy podczas jej dyżuru umarł pacjent, stary, chory od lat mężczyzna. Nie było w tym winy Mehrnaz, nie było w tym niczyjej winy, po prostu umarł. I Mehrnaz przestała spać. Monika widziała sińce, które jak dwa czarne półksiężycy wymościły sobie miejsce pod oczami Mehrnaz, patrzyła jak długi wylakierowany paznokieć drapie uporczywie brzeg plastikowego kubka z kawą, z którym się nie rozstawała. Słuchała pomruków młodej lwicy, gdy Mehrnaz, odrzucając głowę do tyłu, opowiadała z dumą o szwagrze, lekarzu, który cieszył się sławą w Szirazie. I wtedy Monika już wiedziała, że jej perską siostrę uratować może tylko magia. Magia piękna, koloru, baśni, słodczy życia. I tego wieczoru Monika zatrzymała Mehrnaz u siebie.

Jak to zrobiłaś? Dopytywał się potem brat Mehrnaz. A Monika nie zrobiła nic, a wszystko sprawiła ciemnozołocista, sprana zasłonka w oknie pokoju, w którym położyła Mehrnaz. Zasłonka była krótka, ręcznie podszyta, do pustawego pokoju wносиła ciepło nieregularnych plam ugru, paryskiego błękitu, szmaragdowej zieleni, seledynu, cętki różu i fioletoów. Nie było żadnego wzoru poza symetrią chaosu barw na dwóch zsuniętych częściach zasłony. Monika i Mehrnaz leżały każda na swoim łóżku, a ich oddechy harmonijnie wpadały w ten sam rytm, w jakiś wspólny beczas i bezmiejsce. I wtedy oczy Mehrnaz zaczęły wydobywać z zasłony kształty. Monika знаła tę zabawę, tak samo leżała kiedyś na łące, nazywając bezkształt obłoków. I przez oczy Mehrnaz, trzeźwej Mehrnaz, napiętej jak już już mająca pęknąć struna, też zobaczyła: tam, na zasłonce siedł wieśniak z kożą, przepuszczał na wąskiej drodze kobietę w abai, na skuterach ścigało się dwóch wielkookich chłopaków. Był tam sprzedawca z kramu na sukku, z ugrową twarzą, z haczykowatym nosem i lazurowe płytki meczetu, i zdezelowany traktor, który orał pole, jakieś słupy i płoty pomalowane jaskrawą farbą, i szare pustki poprzyklepianych ogłoszeń, a arabskie litery rozsypały się na błękitcie zasłony jak ptaki nad białawym miastem. A potem, trudno powiedzieć w którym momencie, oczy Mehrnaz zaczęły wydobywać z zasłony zwierzęta i ptaki stąd, z tego miejsca wygnania, z tego brzegu. Frunęły białogłowe orły, czaple unosiły nad wodą płachty skrzydeł, orka podnosiła falę czarnobiałym cielskiem, baribał przewracał kosz na śmieci, skunks wnikał w zarośla ogrodu, na grzbiecie skalnym układała się płowa puma. A Mehrnaz nazywała je wszystkie w swojej mowie, tłumacząc niektóre słowa Monice. I był razem cały świat, tam i tu, tu i tam. Kłątwa została zdjęta. Mehrnaz spała.

Grażyna Zambrzycka

Grzegorz Strumyk

PRZEKROCZENIA

Jak nie teraz to kiedy
cyfry się powtarzają jak na granicy
życia z życiem
chcą zapowiadać coś
ale pozostają tylko liczbą
jestem pisarzem i ufam tylko znaczeniom przez siebie pomyślanym
graficznie są wypychane przed siebie i nie liczą się z resztą
głosem szeleszczą niepoznanym
sześćdziesiąt sześć
66
przekraczam swój wiek.

Dzień prawie doskonały
wyszedłem z morza na słońce
pamiętam mnie nie ma
całkiem by się ułożyło gdybym był
jak wszystko co się pojawia
sezon tak krótki jak przejdzie
nie słońce tylko wyraźne źródło światła.

Świat udany reszta jakieś zajęcia równie dobre wszystko
wszyscy którzy pisali jeszcze bardziej nie żyją
nie żyją jeszcze bardziej uleczeni ciszą

Dyskretne rozbłyski
 jak pumeksem wytarte obrazy
 ludzie są niewidzialni więc jestem
 niewidzialny powinienem mieć znak na głowie
 są w tym stopnie degradacji powszechnej
 trwa jest zawsze i beze mnie
 dziś nie widziałem palców rąk
 tylko rozcięte światło
 nowy porządek rzeczy.

Słowa prześwietlają na klifie korzenie
 sumienne raporty wystarczą
 nic nie wiem o poezji i prozie bo niby skąd
 mam wiedzieć z książek i tak pisać?



OCZY

Zamazują w żywe oczy
 z dnia na dzień jak pogoda
 żdźbło z daleka zamienia się w człowieka.

Grzegorz Strumyk

Janusz Lewandowski,
 ex libris Grzegorza Strumyka

Ewa Elżbieta Nowakowska

NI EWYDARZENIE A PRZECZUCIE SZCZĘŚCIA

– jubileuszowo o Grzegorzu Strumyku

Bacny obserwator. Poeta, prozaik, malarz, fotografik. Znaczące są tytuły jego cykli miniesejów/zapisów/felietonów: *Łatanina* (w kwartalniku „Fraza”) i *Dyżurka* (na stronie wydawnictwa Forma).

Łatanina – bo artysta wynajduje rozdarcia w jawie i łąta je myślami, snami. Rodzą się patchworkowe obrazy, pozszywane płachty dni i nocy. Na wielkim ekranie wyświetla się *Kino-lino*.

Dyżurka – bo pisarza daje się widzieć jako ratownika medycznego, lekarza na ostrym dyżurze. Reanimuje słowa. Chroni czytelnika przez przedawkowaniem, podaje odtrutkę. Ale dyżurka to również potocznie „pomieszczenie dla osoby dyżurującej” (SJPN). To może być punkt obserwacyjny dyżurnego ruchu, obserwującego pociągi, pojazdy słów. Kontrolującego sytuację, zapobiegającego katastrofie. Jaka to odwaga napisać:

Nic więcej w chwili obecnej nie da się zapisać w języku polskim i zobaczyć w języku polskim. Wkładam zapisane karteluski w okładkę i nazywam to książką. Ale to jakieś przedłużenie niewypowiedzenia, niewydarzenia. Wieczorem zrzucam z siebie ubranie w miejscu, w którym stoję, zsuwa się i opada, rzeczy znajdują się na dnie, a ja zagrzebuję się w skotłowanych warstwach na łóżku i to nie jest to samo, co dać wyraz przemianie użytecznego w nieużyteczne. Coś pięknego – nie móc nic zatrzymać i przekazać w języku, którego nie brakuje do dysponowania nim. Ale niech język posłuży się mną wreszcie, że jest indywidualistyczny, i tylko taki może się przyłożyć do bycia razem¹.

Charakterystyczna jest dla pisarza ta przedziwna niespójność, swoiste zaważanie: „nie móc nic zatrzymać i przekazać w języku, którego nie brakuje do dysponowania nim” (podkreślenie moje – E.E.N.), tak jakby Strumyk ciągle, od



Archiwum G. Strumyka

Grzegorz Strumyk

¹ G. Strumyk, Zapis z 13 grudnia 2021 r., blogoFORMA *Dyżurka* na stronie Wydawnictwa Forma.

nowa, uczył się posługiwać polszczyzną, napawał się jej możliwościami i wcale się nie martwił ograniczeniami. Jakby tworzył własną estetykę, a zarazem zapisywał dukanie, sylabizował przedmioty i samego siebie. Słowo „niewydarzenie” nabiera tu niezwykłego sensu, jako coś, co się nie wydarzyło, ale też jako coś niewydarzone, czyli osobliwe, dziwaczne, powszechnie – i błędnie – uznane za klęskę. „Coś powraca. Poczucie fiaska, daremności, klęski, końca musi nieść w sobie jakieś stałe przeczucie szczęścia. Tam jest wolność, gdzie jest poczucie fiaska i trochę talentu”. Tak pisał w *Łataninie* 33 we „Frazie” nr 1–2 w 2019 roku. Charakterystyczne, godne przemyślenia, jest to połączenie pozornej bezzadności i porażki ze wskazywanym przez intuicję szczęściem i spełnieniem.

Mikroemocje, ich sprzeczny natłok i wielość w tym samym momencie.

Wiele lat temu poznałam Strumyka w zimowy, śnieżny wieczór w Łodzi. Dużo wtedy pisałam o dawnych wiekach, krakowskim baroku i gotyku, o symbolach i destruktach w sztuce. I tak też czynię dalej, jednak od spotkania Grzegorza także w moim pisaniu pojawiły się kolejne elementy zdegradowanej rzeczywistości, inne kategorie przedmiotów, ułomność świata. Bo: „Rozpad, to nic niezwykłego, to harmonia w akcji”. Od czasu pierwszej lektury *Zagłady fasoli* inaczej widzę małe ogródki działkowe, zardzewiałe siatki ogrodzenia, jesienne, przebarwione rośliny i chwasty, rzeczy łatwe do przeoczenia, kłódki i zniszczone bramy. Grzegorz rozkładał przede mną jak pasjans swoje fotografie odrapanych, a przez to mieniących się łuszczącą się farbą łódzkich bram. Talie kart nieznanego mi miasta. Nauczyłam się odnajdować takie bramy w Krakowie. Ale u mnie w domu stoi oprawiona inna fotografia Strumyka, w sepii, nieistniejąca już brama na krakowskim Salwatorze, zwalona i odsłaniająca koronkową strukturę drzewa, jakby portal do Schulzowskiej *Republiki marzeń*.

Niezapomniany okazał się nasz spacer po łódzkim cmentarzu ewangelickim, gdzie posągi kobiet kołaczą okaleczonymi rękoma do zatrzaskniętych bram, i gdzie zastała nas burza. Kiedy indziej – pokazy jego slajdów, warstwa na warstwie, tkanina pod tkaniną, coś samo się pruje i tka, jedno pod drugim. Strumyk do mistrzostwa opanował uchwycenie cieni rzucanych przez drobiazgi, kulki. Życie różnych powierzchni.

Wracam teraz do wywiadu, jaki przeprowadziłam z nim dla pisma „Studium” w 2000 roku. Myślę, że zadane wtedy pytania pozostają istotne. Ówczesne wypowiedzi Grzegorza wydają się żywe, jak pnącza, które oplatają codzienność, niepostrzeżenie stając się jej częścią. „Naturalnym stanem jest milczenie z wydostającymi się zdaniem od czasu do czasu”. Dotyczy to także częstych w pisarstwie Strumyka równoważników – jakby jego wizytówki, pieczęci kładzonej na świecie. A skoro milczenie to stan naturalny, warto zacytować te trafne zdania, które je zakłóciły. Przytoczę tutaj moje pytanie i odpowiedź pisarza:

Ewa Elżbieta Nowakowska: Ważny bardzo jest język, jaki budujesz. Kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z twą prozą, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, było mnóstwo równoważników zdań oraz specyficzna składnia: czasowniki na samym końcu

zdania, tak jakbyś wahał się, jak nazwać rzeczy, zjawiska, przyczął się do skoku i nareszcie atakował czasownikiem. Albo inaczej: jakbyś akcentował wszystko bez wyjątku, jakbyś mówił, że nie ma spraw nieistotnych. Użyłeś kiedyś sformułowania: „czasowniki życia”. Jak sam określiłbyś swój stosunek do języka w literaturze? Skąd tyle tych równoważników zdań?

Grzegorz Strumyk: Chcę pisać językiem codzienności, niemogącym udźwignąć zadania porozumienia. To język prób i ponawianych prób powiedzenia, dopowiedzenia, wariantowości zdań. Do tego najlepiej nadają się równoważniki zdań. W dążeniu do lapidarności pojawia się, potrzebny jest rytm, krótkie zdania. Według mnie taki tekst ma większą siłę oddziaływania, ekspresji. Nie zawsze panuję nad językiem. Lubię to².

Namysł nad językiem używanym przez łódzkiego twórcę stał się dla mnie na tyle istotny, że postanowiłam o nim napisać więcej. Na łamach łódzkiego „Tygła Kultury” w roku 2002 ukazała się pierwsza wersja mojego eseju o sztuce/myśleniu Strumyka, zatytułowana *Najpierw oddech*. Wyrażenie to, zaczerpnięte z jego prozy *Pigment*, stało się także tytułem mojej najnowszej, wydanej w 2023 roku książki³, w której obok esejów o innych pisarzach opublikowałam nową wersję tekstu sprzed lat.

Najpierw oddech – to bardzo bliskie mi słowa. Znajomi twórcy myśleli, że odnoszę się tym tytułem do oddechu jako czegoś pierwotnego w praktyce jogi, w medytacji. Dla mnie wyrażenie to oznacza oddychanie w ogóle, niezbędny do funkcjonowania codzienny tlen, który można rozumieć metaforycznie jako widok drzew za oknem, poranną kawę, jak i stawianie znaków na papierze, we własnym rytmie.

Wydech – białe, wąskie poletko marginesu.

A potem następuje dialogowanie książek w naszych głowach, wzajemna rozmowa tomów i wspomnień o nich. W tekście z cyklu *Strumykowe pisanie* zatytułowanym *Spotkanie*, opublikowanym we „Frazie”, nr 1–2 w 2000 roku, Grzegorz ujął to tak:

Jeszcze raz, zdarza się, który to już raz, gorąco się zdarza, że wypowiedź jednego człowieka odsyła do wypowiedzi jeszcze innego człowieka. [...]

Istnieją rzeczy, książki, które od lat, od pierwszego przeczytania są z nami obecnie, nie zawsze przez pamięć, ale zawsze przez część nas samych, którą odnaleźliśmy w nich, którą unaocznili nam, oddały z wielkiej rozbitej prawdy o człowieku.

Kiedy książki, na pozór odległe od siebie, zaczynają otwierać jedna drugą, jakieś okienko przecierać, pozwalają wyrzeć z siebie, to jakby wyraźny się staje jeszcze jeden niepotrzebny dowód na to, że każde działanie jest niczym innym, tylko zbieraniem rozbitej prawdy.

Te słowa przypomniały mi o książeczkach, jakie wielu z nas miało w dzieciństwie – z twardymi, kartonowymi stronicami i wyciętym w każdej karcie otwo-

² *Przebitki*, „Studium” 2000, nr 4 (24).

³ E.E. Nowakowska, *Najpierw oddech. Eseje, recenzje, szkice*, Kraków 2023.

rem, przez który można było widzieć plastikowy przedmiot, wmontowany w tylną okładkę. Do mnie należała książka o kołaczu – toczył się przez całą opowieść, zawsze widoczny, jakby mówiąc: „To ja jestem motywem przewodnim, to o mnie opowiada ta historia. To ja jestem pełnią”.

Z okazji 66 urodzin życzę Grzegorzowi Strumykowi takich pełni i sycących kołaczy słów, spotkań z książkami i ludźmi, które ofiarowują tlen, głębszy oddech. Takich wydarzeń i (nie)wydarzeń, które dadzą mu największe poczucie harmonii, kontaktu z innymi, którzy podobnie konstruują świat. W cytowanym tekście *Splotkanie* napisał przecież:

Może nie sposób mieć czujne sumienie bez wrażliwości na słowo.

Może istnieje ścisły związek między zadawaniem pytań a poprzedzającym je słyszeniem.

Ewa Elżbieta Nowakowska



Grzegorz Strumyk, projekt logo Stowarzyszenia
im. K.K. Baczyńskiego

Grzegorz Strumyk

ŁAŃCUCHY

W pokoju były dwa stoliki. Pozostawione na nich przedmioty sprawiały wrażenie uporządkowanych. Ktoś chciał zapanować nad nimi podczas swojej nieobecności. Wrócić do wnętrza i rozpoznać bez trudu. Bez pośredniczenia pamięci trafić do rzeczy uruchamiających na nowo życie w pokoju.

Przy pierwszym spojrzeniu zobaczyłem swoje życie. To było życie zastępcze. Potrzebne natychmiast łóżko uniosło rzucone na nie ciało. Wpa-trywałem się w sufit. Nie wiem, to nie był sufit, szara biel, nic co można było zobaczyć przed sobą w górze.

Leżał tam porzucony przedmiot. Rozebrane drzewko. Ogołocone. Ozdoby dodające sił pozostawiły ostatnie wrażliwe ślady. Kolorową nitkę. Skręcony włos anielski. W blask i promień nie można było się wtulić. Leżał suchy, ostry, łamliwy. Niedostępny. Nieprzyjemnie, źle wyglądający człowiek ze spojrzeniem przebijającym sufit. Żywy i nieżywy. Zależy. Mężczyzna o naciągniętej jeszcze skórze podlegającej już grawitacji w dół i w głąb. Rozciągnięty bez śladów ciężkiej pracy. Napięte spojrzenie przypominało długotrwały wysiłek.

Nie spotkałem się z tak działającą siłą. Bezwład i oczekiwanie czyniły mnie wolnym. Nie podejmowałem prób zmiany swojego miejsca w oczach innych. W końcu dlatego tu się znalazłem. Gdzieś.

Nie brakowało mu żadnej innej formy pozwalającej rozpoznać, kim jest, kim może się okazać. W zastygłym cieple, w przedmiocie ułożonym obok zgarniętej pod ścianę pościeli nie czaił się żaden odruch buntu, odmiany. Od tego, jak go teraz widzę, najmniej zależało, kim jest.

Zobaczyłem siebie nicopisanie daleko, a w cieple, jak w przedmiocie. Wszystko, co otaczało, okazywało się rzeczami. Literki, samodzielne wyrazy powieszane w rogach sufitu.

Leżał na wznak, coraz głębiej zanurzał się w łóżko, unosił na poła-
dowanej resztkę pościeli. Oczy otwarte na sufit, twarz, w żadnym szczególe

nie poruszały się, nie drgnęły. Sprzyjała cisza w całym domu. I pora pod wieczór. Brak domowników i przyjezdnych. Pusty dom. Tylko jeden pokój zamieszkały przez niego. Na końcu korytarza na parterze, daleko od drzwi wejściowych, z oknem na ogród z jabłonką pod ogrodzeniem z siatki. Za siatką las, sosny i dęby. O zmierzchu odbicie światła chmur na suficie. Tak łagodne, że niezauważalne skąd i dlaczego.

Nie doznawałem żadnej przemocy. Jako przedmiot. Sam też nie byłem zdolny jej zadać. Jako przedmiot. Byłem myślącym przedmiotem w tej chwili.

Patrzyłem, jaki spokój ich łączył bez czyjejs interwencji, nagłego wtargnięcia. Tylko stałem i patrzyłem. Widziałem go na świeżej, niedotykannej kołdrze z głową w zagłębieniu lśniącej poduszki. Pościel na łóżku była w dwóch kompletach. Jeden z kompletów odsunięty pod ścianę. Na drugim leżał jak na zasnutym powietrzem obrazie. Nie mogłem przestać patrzeć na niego. Na otoczenie. Brak działania. Doskonała beczyność. Nic nie przepowiadało zamięcenia widoku.

Piękne. Znaleźć się w obrazie, w którym nic się nie zmieni. Najmniejszy ruch, zmiana rozpoczęłyby lawinę niedokończonych spraw i niekończących się posunięć. W końcu pokój zatopi ciemność wpływająca z okna i dopiero wtedy będę mógł się ruszyć, w ukryciu. Jedynym twórcą jest niewidoczny czas.

Było już ciemno. Nie rozróżniało się kształtów. W miejscu okna była nieprzenikniona, gęsta ciemność. Zaczęły się wylańczać ściany. Okno pozostawało studnią. Każde istniejące gdzieś światło na zewnątrz wpadało do lasu i znikało. Do pokoju dostawały się promienie od biegnącej obok drogi. Wstał i po kilku susach stanął nad umywalką. Uwalniał mocz, z którym spływał ból i następowała realna, jedyna ulga. Z odkręconego kranu napłynęła woda. Dopiero wtedy rozebrał się do snu. W połowie albo pod koniec nocy. Rzucił ubranie w kierunku krzesła i ułożył się w łóżku. Zwinął się. Podkurczył nogi, położył na nich jedną rękę, drugą wsunął pod poduszkę. Docisnął głowę do poduszki.

Na początku wydawało się, że już nie zasnę i zaraz zacznę się rzucać na łóżku. Tylko dzięki pościeli, która przybrała kształt ciała i otuliła szczelnie, dając odczuć teraz dobroć materii, nie chciałem więcej się ruszyć, stracić ochrony w tym bezpiecznym miejscu. Kiedy otworzyłem oczy, wciąż było ciemno. Wybudzony napierającym bólem, nie odważyłem się poruszyć. Przerażony nie chciałem poczuć pod sobą śliskiej masy wydostającej się

ze mnie. Nie podobnego się nie stało. Odetchnąłem po śnie. Nie zapalając lampki przy łóżku, powlokłem się do umywalki w kącie pokoju i zaraz potem do łazienki obok w korytarzu.

Długo go nie było, kiedy wrócił, usiadł na brzegu łóżka i sięgnął do stolika. Trzymał w ręku kartki. Pochylony nad nimi, jakby czytał w ciemności jaśniejszej o jeden ton. Poruszał się i wpadał w stany zastygnięcia. Wszedł pod kołdrę, uniósł kolana i oparł na nich kartki. Nagle oddech przeszedł w głośny, chwilami chrapliwy. Zasnął. Pierwsze, co chciałem zrobić, to wysunąć z jego palców papier i zobaczyć, co na nim jest. W tym samym momencie znieruchomiałem jak on.

Po otwarciu oczu wciąż ciemność. Któryś z kolei raz. Nie było końca ciemności. Nie myślałem ujawnić się w zapalonym świetle. Obudził mnie chłód kroplek na skórze. Powtarzający się, sprężony ból. I stanąłem znów nad umywalką w rogu. Zaciśnięta obręcz puszczała i wyprostowałem plecy. Wracając do łóżka, poślizgnąłem się na kartkach papieru. Przypomniał mi się sen. Nawet we śnie nie miałem odwagi zajrzeć do zapisków z ostatnich dni. Mogły okazać się listem do spalenia.

Nie przespał żadnej nocy w całości, nie przeleżał. Budził się. Coś go budziło. Zmuszało do wstania. Przerywało przeznaczony czas. Wybierało go, a nie on sam wybierał. Nieraz patrzyłem ze spokojem, z wiarą, że nic najgorszego nie może się zdarzyć komuś takiemu jak on, poddającemu się jak przedmiot. Leżał z otwartymi oczami. Twarz inaczej malował cień. Będzie teraz leżał, nie wiedząc, gdzie jest. Nauczyłem się poznawać po nim. Gdybym spokojnie go teraz zapytał: – To gdzie jesteś? Odpowiedziałby wytrącony: – Nie wiem. Po chwili dodałby: – Musiałbym spojrzeć z zewnątrz na siebie w krajobrazie. – W krajobrazie? – Dopytywałbym. Rzuciłby na mnie wzrokiem zrezygnowany, może nawet zawiedziony.

Co sobie inni myślą, że są tylko ze sobą? To niemożliwe. Tak się nie da. Wtedy kończy się jakąś potwornością. Mało widać? Wydaje się komuś, że może być samemu? W samym środku czego? Nie do pojęcia widzieć tyle rzeczy martwych wokół, martwych przedmiotów, nieżyjących ludzi i siebie żywego. Jakaś część świata uznana za martwą czyniłaby go całego martwym.

Łóżko było szerokie, dla dwóch osób. Jemu i takie nie wystarczało. Wyciągnął się po jego przekątnej. Nie ruszałem się, dopóki on się nie ruszył. Unikałem zetknięcia. Ani ja, ani on nie oczekiwaliśmy aż takiej cielesności.

Nawet w śnie byłaby przeszkodą w lekkim zjawianiu się obok w niewiadomym momencie. Zaczęło świtać i powtórka dnia mogła wszystko popsuć, co razem osiągaliliśmy w nocy. Tak naprawdę nie ciemność była potrzebna, tylko niewidzialność. A ona zdarzała się niezależnie od pory dnia. W oknie wyrósł szaro-czarny las. Pnie drzew zbliżyły się i przykleiły do zaporowanej szyby. Rozrzucone, a jednak rozplanowane, mgliste, czerwone światelka odsłaniały nie jedno, ale kilkadziesiąt słońc.

Dlaczego nie miałbym przekazać życia, które wypełnia przestrzeń bez uczestnictwa woli. Opowiada siebie za pośrednictwem. Za moim pośrednictwem? Opowiadam bez woli opowiedzenia. Życie nie potrzebuje woli, ona może nawet mu przeszkadzać, o wiele lepiej czuje się bez niej, gdy rozchodzi się we wszystkich kierunkach, jak ja teraz.

Półuśmiejch nie schodził mu z twarzy aż do przebudzenia w oświetlonym pokoju. Spojrzał w okno i zanurzył twarz w poduszkę. Wycierał się w nią, jakby chciał zetrzeć twarz z powierzchni. Odwrócił się do okna. Coś zobaczył. Twarz okna była jego twarzą. Wskoczył z łóżka. Do umywalki. Poczuć się lekkim i pustym. Wracając kilka kroków, zobaczył kartki na podłodze. Zaświeciły bielą spod czerni pisma. Pozbierał. Półnagi usiadł przy jednym ze stolików z plikiem kartek w ręku. Wpatrzony w okno. W ramy obrazu. Dzień rozpoczynał się różowym światłem, po którym nie było śladu. Po szybie zsuwały się krople do samego dna i wszystko w nich było do zobaczenia. Nieważne, gdzie padnie wzrok. Znowu znieruchomiał przed mgłą i szarością. Powtarzające się zastyganie w trakcie czynności czyniło z niej zagadkę. Nie można było wiedzieć do końca, co zamierza zrobić. Przypatrując się mu ze śmiałością patrzenia na obiekt, nie wiedziałem, dlaczego tu się znalazł, w jakim celu, co może się wydarzyć z jego udziałem. Jak każda rzecz postrzegana jako nieruchomy przedmiot, zatrzymany obraz, budził ciekawość, bez lęku przed jego nagłym wtargnięciem, wciągnięciem w nową przestrzeń tak, że przecięłyby się nasze ciała. Znalezienie się z nieruchomym człowiekiem unieruchamiało. Pilnowałem go jak żrenicy oka, żeby go nie stracić, nie przegapić jakiegos znaku, który zapowiadałby nasze oddalanie się od siebie.

Zagrażałoby wiele prawdziwych niebezpieczeństw, gdybym od wczesnych lat nie zaczął ich sobie wyobrażać, gdybym nie widział siebie jako ich sprawcę. Dużo mnie ominęło, bo wcześniej mogłem posłużyć się wyobraźnią zamiast sobą. Więc stoi nade mną i patrzy. Różnymi się jak słowo i obraz. Wymieniamy się zdolnościami. Nikt z nas właściwie nie jest sam, ale też nigdy nie jesteśmy razem tak, żeby można było poczuć drugą osobę.

Był tylko w tym jednym pokoju. Otaczały go, patrząc w prawo od rogu: kredens z szybkami w górnej połowie, mała lodówka na podłodze, półka na ścianie, w kącie umywalka z lustrem, na drugiej ścianie przeszklone drzwi z opuszczoną roletą, jednodrzwiowa szafa, za nią szerokie łóżko zajmujące pół pokoju, nocna szafka pośrodku ściany, w czwartym rogu rozkładany fotel, za nim okno dwuskrzydłowe, pod nim dwa jednakowe, małe stoliki z wyściełanym krzesłem i fotelem na kółkach, wygodnym do pracy, na którym teraz siedział na wprost okna, wpatrzony w gęste, ciemne, szaroróżowe chmury. Widziałem go lekko z góry, z półprofilu. Miał półotwarte usta, z czasem rozszerzyły się one w asymetryczny uśmiech, gdy mięśnie połowy twarzy podniosły prawy kącik ust. Na widok przypadkowego pokoju i twarzy o nieznaney w tej sekundzie tożsamości, której za żadne skarby nie chciałem poznawać, widząc obraz niepodjętych decyzji poza patrzeniem w przestrzeń. Pojawił się u mnie taki sam podskórny uśmiech.

Podążałem za spojrzeniem. Przez szybę, parę wodną, zacinający deszcz. – Nic mnie nie trzyma. Jestem ochotnikiem w eksperymencie. Aż skończy się łączność. Żywność i tlen zniszczą wewnętrzne awarie. Szum, biała muzyka nadawała prędkość spojrzeniu. Nie pojawiały się żadne znaki w bezbrzeżnej szarości. Przedstawianie się przez neutralność koloru, nieistnienie kształtów było lekkie, bez wysiłku oczu, wypatrywania jakiejś informacji. Sprawność odłączyła się od oczekiwania sprawczości. Nie oczekiwałem od oczu, że wzrok ujawni istnienie czegoś ponad istnieniem wzroku, jakiejś rzeczy do odseparowania od biegu spojrzenia. Biegło ze spojrzeniem pragnienie, żeby się nie kończyło jakimś celem, ujrzeniem czegokolwiek rozpoznawalnego. Bo to musiałyby być znów to samo, co widziałem.

Co mógł widzieć w tym skupisku deszczu, pary wodnej, światła, razem o przejrzystości włoskowatego papieru. Na głębokości włosków na powierzchni dostrzegał coś więcej? Co powstawało za oczami? Nie trzeba było w nim nic ożywiać, wytrzymywał tak długimi minutami w miejscu. Wpatrzony. O niczym nie przekonywał, tylko spojrzenie było przekonujące, że gdzieś go zabrało, coś z nim robi. Nie działał inaczej jak przez promień spojrzenia. Zachwycał, bo nie było w nim śladu działania. Pokój wypełniała zapowiedź dowiedzenia się czegoś więcej, zanim uwolnione spojrzenie padnie na przedmioty pod ręką, na przygotowywanie śniadania i znany będzie każdy ruch kosteczek twarzy przy przelatywaniu. Odzywając się, zabiłbym nieznanę w nim życie, rozczłonkował ciało. Musiałbym później skompletować człowieka z rozrzuconych słów. Wystarczył mi teraz, jaki był,

wpatrzony w nieznany obraz. Nie uwierzyłbym, że patrząc nieprzerwanie w rozciągniętą, ciemną szarość, mógł ją widzieć. Stałem tu, byłem przy nim w roli kogoś strzegącego go przed zniknięciem w obserwowanym obrazie. Gotowy potwierdzić jego fizyczną obecność, zdolność do samodzielnego przebywania wśród ludzi. On sam, można było go szukać wszędzie, potrzebował mnie, aby go odnaleźć bez niepotrzebnych, dręczących pytań, by nie musiał przez pytania zrezygnować ze mnie, co już prawie się zdarzyło, lecz później za każdą próbą zerwania ze mną chwycił się sposobu, bym o nim opowiedział, że jest tu z nami w realnym świecie, nie wymyślony po coś, dla własnej korzyści czy dla przyciągnięcia do siebie, utrwalenia w pamięci. – Nie! Dopiero poznawałem, że go ratuję, wydobywam z zaludnionej, zapełnionej w nim pustki. Takie było moje zadanie, wyczuwalne w krytycznych momentach, a krytyczne momenty szybko zaliczyłem do nieznośnych bajek. Bo to jest powszechność. Jak go teraz zapytać, o co, żeby nie zrezygnował ze mnie ostatecznie? – Przestań, dokąd to zmierza? – Mogłem zapytać. – Nie wiem – mógłby odpowiedzieć. – A co robisz? – Ale zadajesz pytania. – Dlaczego? Kiedyś muszę. – Nie, ty nie, tylko nie ty. Inni to robią, jak chcą wyśmiać, wykazać się czymś, że zrobili. – Może zrobili. – Na pewno. W każdej naszej nieodbytej rozmowie w ciszy kompletujemy siebie. Zawsze brakuje do kompletu ostatniego zdania. Dzięki temu nie możemy się okłamywać, że tak samo czujemy i myślimy. Może widzimy to samo i że to wystarcza.

Splywały kolejne ulewę. W warstwach lejącej się wody pokolenia twarzy, oczu, opuszczonych wzdłuż ramy okiennej rąk. Mogłem się w nich dopatrzeć samych znanych mi osób. Nikt z nich już nie żył. Nie dało się podążać za jedną kroplą na szybie, kiedy były ich tysiące, łączyły się w rozgałęzione, płynne postacie. Śledzenie pojedynczej postaci nie było konieczne, by się nawzajem potrzebować i nie rozstawać. Jak w oparach wolności nie mogłem oderwać oczu od srebrnych i szarych cząsteczek postaci. Bez słów byłem całkowicie im oddany. Patrzyłem, jakbym czytał. Czytałem, jakby zdania się rozplynęły i nie potrzebowały łączenia.

Przejechał nagle fotelem na kółkach bliżej stolika, na którym nie przypominało porannego posiłku. Odepchnął się mocno z odgłosem rysowania butem po podłodze. Wyciągając ręce, złapał się sąsiedniego stolika i przyciągnął go, dobijając brzuchem do krawędzi blatu. Po okresie nieuchomienia na tle rozbryzganej we mgle wody, jego ruchy zaskoczyły sprawnością kogoś przygotowanego na stan nieważkości. Pokój ze swoim niezbędnym do życia wyposażeniem mógł zostać wypuszczoną w przestrzeń kapsułą.

Nie ma kurtki, płaszcza, butów na tak niesprzyjające warunki na zewnątrz, potrzebny byłby jakiś skafander okrywający każdy centymetr skóry. Skąd wziąć to wszystko, kiedy się nie myślało, że będą potrzebne jakieś dodatkowe rzeczy na przechadzkę. Nieużywane do tej pory, nawet w myślach, środki ochrony ciała. Spotykałem się z czymś odwrotnym. Za każdym razem, kiedy porywałem się na podążanie za spojrzeniem, chciałem się rozbierać, musiałem zrzucić z siebie palące warstwy, chroniące nie wiadomo przed czym, być gołym i bosym.

Małe muszki wylatujące z obierzyn warzyw, resztek owoców w koszu przylepiały się do szyby. Jak w czasie jazdy samochodem. Wszechobecna para wydobywająca się z oddechów skraplała się w zetknięciu z zimną szybą. Skroplonej pary było za dużo jak na jednego człowieka. Spływały muszki owocówki uwięzione w wodzie. Wszystko w jednym widoku. Siedział już bokiem do okna pochylony nad stolikiem z papierami w stosikach różnej wysokości. Obok leżały ołówki i długopisy. Z przyrządami do pisania było to samo, co ze skroplona parą, ich liczba wydawała się za duża dla jednego piszącego.

Wysokość zebranych i ułożonych kartek różnej wielkości, niektóre jak rachunki ze sklepu zapisane wstęgami pisma w różnych kierunkach mogłyby posłużyć za kalendarz mojego pobytu w pokoju na końcu drogi. Nie chciało się ruszyć ręki po skrawek papieru do odczytania. W przedłużających się ciemnościach powstającego dna z trudem widziało się różnicę między drukiem a własnym pismem między linijkami odzyskiwanej makułatury. Tak właśnie. Zadrukowane wcześniej strony tyle były warte, ile zostały zapisane od nowa. W przedostającym się świetle wydawały się już czarne, o różnych stopniach szarości. Razem z oknem powiększały odzyskiwany dla oczu teren.

Znów znieruchomiał, już nie przed oknem, tylko nad papierami. Dwie przestrzenie zamknięte prostokątem, okno i kartki, odciągnęły spojrzenie od reszty czekających rzeczy. Odstawione śniadanie, nawet niezaczęte przygotowania. Siedział na złożonym na fotelu ubraniu. Wyciągnięte spod siebie spodnie zsunęły się na podłogę. Pomieszczone rzeczy i ich przeznaczenia. Był podobny przedmiotom, w swych pozornie znanych możliwościach, do chwili ruszenia z miejsca. Przebywanie razem w tym nienaruszonym przez nikogo miejscu pozwalało widzieć obraz sprzed początku historii każdego znajdującego się w nim szczegółu. Wystarczyłoby tylko odczytać wcześniej zapisane kartki odłożone na stoliku, wałające się po podłodze. Skłonić siedzącego w bezruchu do przerwania, w jego znikomych oznakach życia

szukać zapowiedzi jednej historii. Ale kto miał to zrobić? Był tylko obserwowany. Więc może w tym miejscu... Zamiast tego zapanowała jawność, że tak się dzieje, nic się nie kończy, historia pozostaje łańcuchem.

Zrobiło się nagle widno. Przeszły pasma chmur. Nad morzem to możliwe, tu szybciej, w mgnieniu oka zmienia się światło w kolejnych odsłonach poruszanych silnym wiatrem. Widok nieba był stary, bezpieczny, jak pieśń do natury, do dzikości. Ciało przy tym widoku było zdrętwiałe. Mdliło. Coś potwornego w myśleniu o ciele bez natury. Zerwałem się z postanowieniem. Nigdy więcej.

Odjechał fotelem tak nagle, schylony do podłogi zaczął zbierać z niej rozjechane papiery. Zbierał szybko. Przebył drogę w pokoju, nie wstając z fotela. Kilkakrotnie się cofał, podjeżdżał do zauważonych kartek. Pomimo braku ruchu w ostatnich godzinach papiery rozniosły się pod ścianą, były wszędzie, wystarczył im nawet lekki podmuch powietrza. W zdecydowanym już świetle poranka szczelina pod łóżkiem świeciła blaskiem papieru. Wyciągał palcami. Sięgnął na brzeg stolika po ołówek i wygarniał nim spod łóżka poukrywane kartki. Uzbierało się na zeszyt, nawet na książkę. Rozglądał się po pokoju, wyszukiwał kolejne jaśniejsze miejsca odbijające biel papieru. – Papier, papier – mruczał nad podłogą. – Ten to potrafi się schować, jak jest potrzebny, można go szukać w nieskończoność, godzinami, wszędzie go pełno. Trzymał w rękach rozsypujący się plik kartek. Znów znieruchomiał. Za każdym razem dłużej. W przerwanim działaniu w niewiadomym celu. Na zamazanym prostokącie okna. Kartki i okna. Z nim pośrodku. Nic nie pasowało tak bardzo do siebie jak dwie pary wpatrzonych oczu. Razem to były jakieś wakacje od wszystkiego, co uwalniało się z nas na swój sposób. Byłem gotów poświadczyć ujrzanym obrazem naszą wrodzoną nieobecność i materialność zdań przy tym, o czym mówią.

Spojrzałem w dół, jeszcze raz, na te same kartki, niepoukładane do czytania. Raz zapisane i nieodczytane, nawet nie wiem, czy w trakcie pisania wracałem do poprzedniego fragmentu, zdania, bo nie chciałem poddać się, jak więzień, w układanie sobie życia w opowieści do odczytania. Wydawało się, albo naprawdę trzęsły mi się kolana. Od utrzymywania ciała w jednej pozycji, przymusu, którego nie odczuwałem jako przymus. Przeciągał się czas. Od czasu oczekiwałem więcej, niż można było zauważyć jego działania w krótkim odcinku. Nie miałem odwagi zacząć czytać. Zmęczenie było przyjemne. Nic nie mogło powstrzymać mnie przed położeniem się z powrotem.

Wpadał w parosekundowy sen. Wysuwały się z rąk pojedyncze kartki pliku i lądowały na podłodze. Natychmiast się budził i podnosił. Trzymał wszystkie kartki w rękach na kolanach. Prostował plecy, podnosił głowę, przygotowywał się. Zaczynał od nowa. Plik papierów znów powoli zaczynał się rozsuwać jak talia kart, wypadały pojedyncze figury i kolory, zapisane i białe karty, zatrzymywały się w powietrzu między kolanami a podłogą. Przyglądanie się pomijanym w codzienności zdarzeniom przenosiło je do ich własnego życia.

Trzeba zaczynać od początku, kiedy tak z rąk wszystko leci jak kartki. Zaczynać od zdania sprzed utraty obrazu. Na pierwszej stronie stosu kartek przed sobą ciągnęły się linie. Urywały się i łączyły. Obudzonym wzrokiem nie mogłem wyostrzyć obrazu do odczytania. Żadne treści nie przychodziły, nie były dla mnie zapisane. Sama czerń, stopniowanie szarości, odległości i głębie. Dale na jednej, niezwykle cienkiej, jak na to, co tam się klębiło, powierzchnii. Sekundowe utraty świadomości. Nie mogłem zajmować się niczym innym jak tylko odzyskiwaniem pamięci zdarzeń, czasu, rzeczy, jednej albo drugiej, przydatnej albo w ogóle o nieznanym przeznaczeniu.

Ruszył z miejsca, pochwycił kartki, chciał wyrównać je do jednego brzegu, ale sterta papierów nie dawała się łatwo ułożyć, wyslizgiwała się z rąk. Musiały trząść się mu ręce w nagłym pośpiechu. Odłożył stos kartek, teraz bardziej uporządkowanych. Obrócił się z fotelem w stronę drugiego stolika i odjechał. Zakręcił się jak na karuzeli, jeszcze przebierał nogami po podłodze, zanim fotel się zatrzymał, ustawiając go odwróconego od wszystkiego, na co do tej chwili patrzył. Zobaczył mnie, musiał zobaczyć, nawet jeśli patrzył gdzieś dalej, stałem na jego drodze. Widziałem w zatrzymanym spojrzeniu, jak na zdjęciu wpatrzonego w obiektyw dziecka, ciekawość, niepewność i zaufanie zarazem. Rysujący się uśmiech, a może tylko skrzywienie twarzy. Widziałem jak w tunelu. Pokój ze sprzętami zniknął, nie tylko, reszta, cokolwiek to znaczyło, też zniknęła. Nie widziałem wcześniej tak skończonego błękitu w oczach. Przypomniałem sobie, że mam na sobie niebieski sweterek od właścicielki pensjonatu na chłodne, deszczowe dni lata. Zobaczyłem w oczach powstającą świadomość istnienia nas razem.

Na drzwiach, na wieszakach, jedno pod drugimi drgały ubrania. Nade mną jeszcze pokoje. Puste pod koniec lata. Rozprężone podłogi napinały się pod ciężarem, gdy znowu ktoś na nich stawał. Długo nikt nie przechodził w ciemne poranki. Właścicielka przeniosła się do pokoju obok.

Nie dochodził żaden odgłos. To wszystko razem nie pozwalało wykonać pierwszego ruchu wywołującego lawinę codziennych czynności. Tyłem do okna, w którym bezustannie nachodziły na siebie mapy wszystkich możliwych odcieni szarości i bieli. Nawet na czarnej kurtce zaczepionej na rolcie w drzwiach z grubego szkła dało się zauważyć ruch. Nie można było zostać samemu. Wstyd sięgania ręką w intymne miejsca przestrzeni był oczywistością.

Trzymał w dłoni ochłap i mocno zacisnął. Zakręcił fotelem do okna, do stolika. Przez cały czas odwracał się tylko. Od zajęcia miejsca, punktu obserwacyjnego, rzuconego spojrzenia dzieliła tylko chwila do gwałtownej zmiany. Zaczynał od nowa w napięciu patrzeć przed siebie, zaciskając coraz mocniej dłoń. Już zarysował się zmierzający do celu ruch i zamierał na rzecz patrzenia w przestrzeń, której nie można było zmierzyć, gdzie się kończy. Wyglądało na to, że do widzenia bardziej potrzebne były teraz myśli.

Wiedziałem, że nie jestem sam, że to obrazy i zdarzenia zapisują się we mnie i nie mam o nich wiedzy. Z jednej prostej przyczyny. Bo to niewiedza o człowieku, nakładająca się na siebie za każdym spojrzeniem. Już miałem zacząć. Chyba większej odwagi i śmiałości wymagało nie zaczynać. Pokiereszowane kolumny papieru, wywleczone na światło zdania, ich funkcjonowanie w ciasnym organizmie, jakim był zapis.

Złapał się naraz dwóch stolików. Zaczętego śniadania. Papierów. Porzucał obydwa. Nie wstając, przejeżdżał fotelem po spodniach na podłodze. Drapał się po szyi. Dopadał jakieś części, bezustannie wracał w te same miejsca. Poruszał się między rzeczami, wliczając w nie części ciała. Wyglądało na upartą pracę rąk w bezowocnych czynnościach. Dyktat, półdyktat, ćwierćdyktat. Pozostawiało uczestnictwo, obecność, bycie razem, wreszcie zobaczenie przez kogoś strzegącego przed niebezpieczeństwem nieodwracalnego ruchu. Chciało się złapać go za ręce, przyciągnąć do siebie, objąć na zakończenie.

Do jakiego odczytania miałoby dojść? Czyjego? Tyle przeciwieństw przyciąga wyobraźnia, że teraz mogę znaleźć tylko ostatniego czytelnika. Kimkolwiek on jest, będąc razem z nim. Jakby papier był czysty. Rozwijał się przed oczami. Czysty, czysty. Ściśnięty, suchy, gładki. Strach brać go do ręki, trzymać w palcach. Jakieś mroczki przed oczami to całe pismo. Oblewa strużkami gorącymi i zimnymi na przemian. Wszystko, co napisane, spływa. Widzi się czysty papier i znów od nowa, jakby jeszcze nic nie zostało powiedziane i treść, to, co chce się powiedzieć, przeniosło się gdzieś

za kartkę, jak za biały ekran. Wyświetlają się na nim obrazy, że mogłoby już tak pozostać, widać świat i ludzi bez żadnej ostrości, bez wiedzy, bez możliwości posiadania zdolności widzenia kontrastów i ścisłych granic, rozgraniczeń, kształtów liter i wyrazów. I tak jeszcze więcej przed sobą do odebrania wiadomości.

Odpiął się od stolików. Opuścił ręce. Pozostawał pomiędzy stolikami. Nie podniósł więcej ręki nawet po pomidora, nie dotknął zapisanych kartek papieru. Znieruchomiał jeszcze bardziej, choć wydawało się przez chwilę, że już zdecydował się ruszyć w jedną stronę i rozpocznie się nowy etap, teraz, tuż przed śniadaniem, albo chociaż zabierze się do robienia pierwszego posiłku, tak jak siedział, nawet nieubrany od rana, jakby rozebrany do ubierania, półnagi, z widoczną aż nadto granicą ciepłej, brązowej opalenizny na ciele.

Grzegorz Strumyk



Grzegorz Strumyk, projekt logo dla „Nowego Nurtu”

Łucja Dudzińska

POWROTY. DROGA

Nie czekam na moment, kiedy znów wrócę. Tam nie znajdę czasu ani miejsca. Tylko w serce będą wrastać wspólne wspomnienia niby korzenie starych drzew w żyzną glebę. Korzenie wrastają. Korzenie rozsadzają beton. Wiem, tak powstaje wyboista droga – donikąd.

ATRYBUTY. WIZERUNEK

Przyglądam się w lustrze. Mam w sobie siebie, ciało, krew i kości oraz piętrowy pustostan. Czasem zaglądam na pierwsze piętro i kolejne. Znikam w ciszy, pokonując stopnie. Myślę o sobie jak o problemie do rozwiązania, jak o górze do zdobycia. Szukam dobrej, sprawdzonej metody. Dotykam rozsądku, odkurzam plany, marzenia.

Na najwyższym piętrze otwieram wszystkie okna, aby wpuścić ptaki i wypuścić zwątpienie na wolność.

CHWILA. CZAS

Masz smutne, zmęczone oczy. Patrzysz na ręce. Zanikają linie papilarne i kruszeją pośród głębokich zmarszczek. Dłonie stają się jak spękana w słońcu ziemia. Ta ziemia, na której stoisz, która daje a jeszcze częściej zabiera.

Pamiętasz czuły dotyk łanów zbóż, delikatność zbieranych kwiatów i aksamit wcierającego się naskórka, gdy przytulasz nagość. Nadal tkwi w niej uczucie i truchleje tęsknota.

Teresa Tomsia

DAŻĄC KU PRZEJAŚNIENIU

O poezji Łucji Dudzińskiej

Łucja Dudzińska jest znana jako poetka, redaktorka książek, od dekady wydaje trzy serie wydawnicze. Wiersze pisała od wczesnej młodości, lecz długo ich nie ujawniała – zamykała w słowie emocje związane z doświadczaniem świata i przechowywała je na dogodny czas. Ukończyła studia ekonomiczne i studium pedagogiczne, zdobywała poczucie wartości, wiedzę i praktykę zawodową, nadal jednak nie odkrywała pasji pisarskich w najbliższym środowisku. Zdecydowała się publikować utwory w 2008 roku, zajęła się też animacją kultury, promując czytelnictwo i twórczość innych autorów. Na początku wysyłała wiersze na konkursy poetyckie, gdzie otrzymywała nagrody i wyróżnienia. Na konkursie poetyckim im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zdobyła w 2012 roku specjalną Nagrodę Tetis za zestaw poetycki wyróżniający się nowatorstwem formalnym i niekonwencjonalnością. Rok później, w 2013 roku, zadebiutowała wydaniem przez organizatora konkursu – Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego – tomem *Z mandragory* (2013), za który otrzymała Nagrodę Ryszarda Milczewskiego-Bruno oraz nominacje do Nagrody „Złoty Środek Poezji” i Nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny za Najlepszy Debiut Poetycki Roku. Zyskała uznanie krytyków, a także czytelników, ukazywały się aprobatywne recenzje jej kolejnych książek poetyckich.

Poetka prowadzi w wierszach monolog wewnętrzny o intensywnym natężeniu, szukając harmonii. W jej wersach dominują przeciwieństwa i mnożą się pytania bez odpowiedzi:

Miłość – nienawiść. Czekasz, aż odbijesz się,
pokonasz zniechęcenie. Czujesz tę grę?
Równowaga ducha to *teraz*, które zawsze wspomina
przeszłość, dąży do przyszłości.
Codziennosc. Wyważona ekstaza i poczucie niedosytu¹.

Bohaterowie liryczni to zarówno kobiety, jak i mężczyźni, ludzie o nieznanym imionach z zatartymi życiorysami, którzy dźwigają ciężar istnienia, próbując



Fot. Igor Fenter

Łucja Dudzińska, 2013

¹ Ł. Dudzińska, *Rozhuśnianie* [w:] *tejże, Z mandragory*, Łódź 2013, s. 14.

znaleźć równowagę egzystencjalną i duchową. W wielu wierszach Dudzińskiej najważniejsze są emocje, one budują opowieść o świecie z puentą o charakterze moralnej przypowieści ludowej. Jak w balladach romantycznych dobro zwycięża, a za złó trzeba ponieść karę. Jej opowieści o ludzkich losach porządkują uczucia i doznania według tego, co istotne, a co błahe. Kontekstów społecznych i trudów bytowania trzeba się domyslać, a interpretując utwory, warto odwołać się do okresu przemian solidarnościowych, gdy autorka zdobywała dojrzałość, budowała kodeks wartości i zakładała rodzinę.

Temat pielęgnowania rodzinnej wspólnoty narażonej na niesprzyjające okoliczności społeczno-polityczne podjęta w tomie *OB. Krew i woda* (2015), opisując zwyczajne życie w szarej rzeczywistości PRL-u, z radością krótkich chwil, gdy odurza zapach maciejki w ogrodzie, ale też z niepokojem i lękiem o przyszłość, gdy odchodzą babcia i matka, od których uczyła się najwięcej: „Rodzinny dom się rozrasta o kolejne ściany bez fundamentów./ Wystarczy ten pod jednym pokojem – za to solidny z piwnicą./ Ciekawy obiekt obronny”²; „Szukam puenty, odkopuję sens spod sterty słów składanych/ beładnie”³.

W wierszach z tomu *MeMbrana. Cyrkulacje* (2014) poetka czerpie z obserwacji i przeczuć, z doświadczeń i fascynacji przemianami dokonującymi się dzięki wypowiedanemu słowu, także z wizji i snów. I tak też refleksje są zapisywane – wyrywkowo, równoważnikami zdań i fragmentami zdarzeń wymagającymi czytelniczego dopełnienia. Krótka wypowiedź bywa przerywana kropką, żeby ożywić obraz metaforą, pytaniem, podać w wątpliwość wcześniejszą relację ze zdarzeń bądź wyrażone uczucie:

Szukamy rozmowy
metafor. Szukamy rozbłysku myśli, sytuacji. Światło
i dźwięk. Nagle – odgłos styropianu na szkle. Pamiętaj,
nie wkładaj języka między zęby! Gdy zamilkniesz,
usłyszę kropkę albo znak – zapytania⁴.

Główny motyw rozważań autorki w tomie *MeMbrana. Cyrkulacje* zawiera się w zdaniu z wiersza *Osmoza*: „Wszyscy czekają na przejaśnienie”, i dotyczy splątanych relacji z ludźmi, wspomnień, trudności w komunikowaniu się, odnosi się do stylu i pojemności języka, okoliczności egzystencjalnych, a przede wszystkim podejmuje próbę określenia, kim jest „ja”, kim jest każdy spotkany na drodze życia człowiek:

Niechąco rozlana woda, z której wytrącają się
kryształki soli. Nie jest to *sól życia*. Oblepia brzegi,
przywiera do wskazującego palca (nie chcesz obliżać).

² Tejże, *Objętość – obudowa* [w:] *OB. Krew i woda*, Poznań 2015, s. 11.

³ Tejże, *Objętość* [w:] *OB. Krew i woda*, s. 7.

⁴ Tejże, *Kiedy nie staje się ciałem* [w:] *MeMbrana. Cyrkulacje*, Szczecin 2014, s. 6.

[...]

Wszyscy czekają na wyjaśnienie. Też czekasz, by dym stworzył plamy na słońcu. Będziesz się oszukiwał, że to możliwe, póki nie strzepniesz popiołu z papierosa⁵.

Człowiek jest częścią natury, a wchodząc w żywioły ognia i wody, miłości i obojętności, czerpie wciąż z witalnej siły przyrody dającej impuls do opisywania przeżyć. Poetka zauważa ruch, przemianę, relacjonuje więc w wartkim rytmie toczące się życie zewnętrzne i wewnętrzne. W kolejnym tomie *Tupanie. Ze sobą po drodze* (2016) bohaterka jej wierszy próbuje szukać wiary i nadziei w obrzędach Wielkanocy, żeby znaleźć oparcie w czasach niepokoju i rozchwianych wartości, a w tradycji święcenia potraw coś więcej niż pokropiony wodą koszyk:

Dłonie same składają się w pokorze
(każą przetrwać w szmerach szeptów, westchnień), błędząc

kamienistą drogą Golgoty. Białe smugi, blizny tną niebo
kawałek po kawałku. Wiosna. Zakwitły fioletowe krokusy⁶.

Tupanie. Ze sobą po drodze to historia kobiety – nie jako *alter ego* autorki, lecz losu uniwersalnego, a następny tom *Wykrzesać ogień. Taki stan* (2018) – jest historią mężczyzny uwikłanego w nierozwiązane życiowe sprawy. I nie chodzi tu tylko o przedstawienie opowieści o Julii czy Stanisławie, ale o poruszanie istotnych społecznie tematów: poszukiwania tożsamości, wiary, moralności, etyki, migracji, poczucia wspólnoty. Źródłem rozważań stają się zmysły i uczucia, spełnienia i niespełnienia, pojęcie dobra i zła, przemijanie, mistyka, absolut. Oba poetyckie cykle inspirowane filozofią egzystencjalną zostały wyróżnione jako Książka Roku (2017, 2018) podczas Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu.

Język poetycki Dudzińskiej raz koi rozhuśtane wnętrze, innym razem pobudza emocje, aby wyrazić podziw dla różnorodności świata, dla zjawisk i każdej zauważonej rzeczy, dla tego, co widzi i czuje. Bohaterka jej wierszy gładzi korę drzew, pielęgnuje ogród, chce być blisko ziemi, mówi: „Grunt to znaleźć swoje spokojne miejsce wśród żywiołów” (*Przypadki. Rapamycyna*)⁷. Język poetyckiej spowiedzi dziecięcia współczesności oddaje tu emocje w rytmie pytań, wykrzyknień, zadziwień, powtórzeń i powrotów w miejsce wyjścia. Opowieści Dudzińskiej rozłożone są na głosy i pojedyncze historie przedstawiające los człowieka skazanego na przemijanie, rozterki, nieumiejętność poradzenia sobie z rozpaczą i lękiem przed niewiadomym:

Opowiedz się dziewczynko! Opowiedz, po której
Stronie rzeki stoisz? Może to autostrada? Po niej

⁵ Tejże, *Osmoza* [w:] *MeMbrana*, s. 41.

⁶ Tejże, *Misterium*, [w:] *Tupanie. Ze sobą po drodze*, Poznań 2016, s. 11–12.

⁷ Tejże, *Przypadki. Rapamycyna* [w:] *Wykrzesać ogień. Taki stan*, Poznań 2018, s. 62.

toczą się fale. O! Uderzają w obie strony – wejścia, zejścia. Tu zawsze coś się dzieje; coś staje, wymija, pędzi. Tak już jest. Przecież koła kręcą się i kręcą (jak czas), w sobie znanym i nieznanym kierunku⁸.

O sposobie metaforycznego opowiadania nie tylko siebie i świata przez poznąską poetkę tak wypowiedziała się Magdalena Rabizo-Birek:

Tom *Tupanie. Ze sobą po drodze* Łucji Dudzińskiej jest właściwie podzielonym na części dygresyjnym poematem, napisanym poetycką prozą [...], to poetyckie *cinéma vérité* – paradoksalna prawda fikcji, niespiesznie rozwijający się subiektywny dokument, relacja z czegoś niepowtarzalnego istnienia w czasie i przestrzeni⁹.

Każdy tom wierszy poetki to osobny, spójny tematycznie projekt poetycki. Marek Czuku zauważył, że:

bohater liryczny jej tomu to *homo viator*, poszukujący sensu, znaczeń i ciepła w świecie podzielonym na to, co duchowe i cielesne, męskie i żeńskie, wieczne i przemijające. [...] Wiersze – choć zanurzone w *teraz*, są skierowane ku przyszłości, pamiętające przeszłość. Stanowią istotną wypowiedź w wielogłosie współczesnych poetk, pokoleń czy środowisk¹⁰.

Do zainteresowania poezją Dudzińskiej z wcześniejszych lat zachęciła mnie jej poetycka książka *Samotność kinomana*. *Geneza* (2022) zawierająca młodzieńcze wiersze, które dopiero po latach autorka zdecydowała się opublikować, żeby zachować ramę – początek i stan obecny, ocalić zapamiętane to, co nigdy nie powinno ulec przedawnieniu, przebarwieniu, pominięciu: „Origami z dzieciństwa wiecznie żywe w tobie/ jak krew, jak woda, jak powietrze, którym oddychasz” (*Decyduj. Sztuka decyzji*)¹¹. Rytm zdań bogatych w różnorodne określenia, jakimi autorka wypowiada się i z jakich buduje strofy, dążąc ku objaśnieniu dawnych ścieżek, zachęca czytelnika do podjęcia rozmowy, do wejścia w świat pełen emocji i zmagania się o dobry wybór, trafną decyzję, o definicję siebie w zmieniających się wciąż okolicznościach. Słowa, wiele słów, jakie przychodzą w zapatrzeniu i zasluchaniu, mają pomóc w odnalezieniu miejsca dalej niż teraz – w świecie i w języku:

Wartość słów nie zbuduje się przypadkiem. Zmienia się moda, pogoda, sposób na życie i słowo; skupienie uwagi na czarno-białych fotografiach. Rozmyślasz – kiedy rodzi się poeta?

⁸ Tejże, *Decyzje. Żywioty* [w:] tejże, *Wykrzesać ogień. Taki stan*, s. 5.

⁹ Fragment notki na okładce tomu *Tupanie. Ze sobą po drodze*.

¹⁰ M. Czuku, *Korzenie są żywe*, „Nowe Książki” 2014, nr 6, s. 42–43.

¹¹ Ł. Dudzińska, *Decyduj. Sztuka decyzji* [w:] tejże, *Samotność kinomana*, Poznań 2022, s. 7.

Podczas samotności tworzenia? Podczas obecności
w tłumie? Może w zapatrzeniu, zasluchaniu kinomana;
bezzennego wśród wolnych krzeseł, w bibliotecznej sali¹².

Wiersze niepublikowane, z lat 1972–1998, mówią śmiałym, prostym językiem o nauce egzystowania: „śnić i umiem już marzyć/ czytam i wiem więcej/ żyję i umiem się bać”¹³. Charakterystyczny dla tego cyklu jest autoironiczny wiersz *Inicjacja*, bo był to czas dojrzewania do poczucia siebie, ćwiczenia stylu i próba zaistnienia w kreacji. Tylko z pozoru wszystko wokół wydaje się proste:

pouczona wyuczona przyuczona do życia
powinnam dać sobie radę

tylko umiejętność zapominania i pamiętania
nie nabyła właściwych proporcji¹⁴.

Jest w tych wierszach wiele pytań i woli zrozumienia skomplikowanych życiowych ścieżek. Zamiłowanie do równowagi – w dążeniu ku przejaśnieniu, do znajdowania proporcji i umiaru – odzwierciedla się także w zbiorze *Miedziaki. Znalezione* (2016), który autorka skomponowała z krótkich form haiku: „podaruj radość/ płoną maki i twarze/ nie kryją uczuć”; „pożar w sercu/ poranne przebudzenia/ gasi białe dzień”¹⁵. Krótkie poetyckie formy wydane w wersji polsko-angielskiej tworzą również tom *prze-Myslenie. Brulion personalizowany*. Jest on podzielony na pięć rozdziałów: *mimikra, atut, adaptacja, mijanie, afekt*¹⁶. Na przykład rozdział *adaptacja* otwierają jakże charakterystyczne frazy dla tej formy: „najpierw noga. później but. na końcu droga/ przyklejona do kamienia. a kamień/ o rzut”¹⁷. O wierszach z tego tomu Marek Czuku napisał: „Ta poezja śmiało nawiązuje do awangardy, bo bardzo dużo tu słów rzucanych na wiatr i wypuszczanych na wolność. Można je łapać i czytać w różnoraki sposób, one grają i kojarzą się ze sobą w niespodziewanych konfiguracjach, wśród aluzji, niedopowiedzeń, w aurze tajemniczości i poetyckiej magii”¹⁸.

Dudzińska opisuje najczęściej los człowieka uwikłanego w zewnętrzne okoliczności, pragnącego wydobyć się ku jasności nowej, lepszej drogi, przedstawia dzieje kogoś, kto dźwiga kamień cięższy niż Syzyf i otwiera puszkę Pandory. W tekstach zamieszczonych w antologii wielkopolskich poetów *Kto wam pozwolił tak pięknie żyć* (2023) mówi o skomplikowaniu życiowych ścieżek. Wojna stawia każdego z nas przed wyborem – uciec czy stanąć do walki w obronie wolności,

¹² Tejże, *Czytaj. Samotność kinomana* [w:] *Samotność kinomana*, s. 9.

¹³ Tejże, *Mój kalejdoskop* [w:] *Samotność kinomana*, s. 37.

¹⁴ Tejże, *Inicjacja* [w:] *Samotność kinomana*, s. 57.

¹⁵ Tejże, *Miedziaki. Znalezione*, Elbląg 2016, s. 61.

¹⁶ Tejże, *prze-Myslenie. Brulion personalizowany*, przekład na język angielski D. Pillatsii, Poznań 2020.

¹⁷ Tejże, *najpierw noga* [w:] *prze-Myslenie. Brulion personalizowany*, s. 49.

¹⁸ M. Czuku, *Piątką na piątkę* (2), „Wyspa” 2021, nr 2, s. 129–130.

domu, godności, miejsca, w jakim żyjemy. Sens odnajdujemy w trwaniu przy wartościach kształtujących wspólnotę żyjącą w dialogu i próbie wzajemnego zrozumienia odrębnych postaw i stylu bycia.

Tytuł antologii *Kto wam pozwolił tak pięknie żyć* został wzięty z napisu na murze ukraińskiego domu zburzonego przez rosyjskie wojsko, a napisał go jeden z okrutnych najemników mordujących kobiety i dzieci, który zapewne nie mógł się pogodzić z tym, że może istnieć świat dostatni, dom spokojny, a ludzie po sąsiedzku życzliwi. Wojna trwa – uchodźcy, głównie kobiety z dziećmi, wciąż koczują na niejednym dworcu świata. Swoim protestem przeciw przemocy i gestem współodczuwania autorka dołącza do tych wszystkich, którzy przeciwstawiają się złu i pozorom, bo „nieuleczalna choroba świata” nie musi trwać. Rozmawiajmy zatem i pytajmy wierszami, jak czynić pokój (*Ukraina. Czekaj*):

Widzę kobietę. Nosi w sobie tragedię. Zagłębiona
w nicości nie czuje, nie wie, co zrobić. Próbuje tutaj
znaleźć wygodne miejsce. Nie potrafi się podzielić,
choć jest w połowie żywa i w połowie martwa.
Po prostu taki to związek sam na sam, który trzeba
pokonać i przyswoić. Dogadać się z ciałem i sercem,
zapomnieć o duszy, bo tęskni za rodziną, domem,
za Ukrainą. Kobieta odwzajemnia moje spojrzenie,
siada obok. Mówi, że to nieuleczalna choroba świata,
a kto był w jej władaniu, wie, że stamtąd się nie wraca.
Teraz musi nauczyć się nowego języka. Nauczyć się
od nowa oddychać, patrzeć, cieszyć się, kochać, śnić.
Chce zapomnieć o rwącej rzece krwi, która wciąż
płynie. Płynie i płynie. A ona czeka na jakoś to będzie¹⁹.

Korzystając z wielu głosów i różnych stylów wypowiedzi metaforycznej, Łucja Dudzińska przypomina nam, że istotny jest zarówno podejmowany temat, jak i forma wypowiedzi wciągająca czytelnika w rytm opowieści o drodze, jaką przebyli bohaterowie jej wierszy i czego nauczyli się w swej życiowej podróży. Ważna jest świadomość obecności, poczucie wspólnoty, relacje, dążenie ku wyjaśnieniu, wybór i puenta:

Nie każda kreska, która dzieli, jest czarna.
Zwyciężam.
W domu czuję więzy krwi nawet wtedy,
gdy kapie na umywalkę i myślę, że tonę w wannie²⁰.

Teresa Tomsia

¹⁹ Tejże, *Ukraina. Czekaj* [w:] *Kto wam pozwolił tak pięknie żyć*, Poznań–Gniezno 2023, s. 48.

²⁰ Tejże, *Świadomość* [w:] *Z mandragory*, s. 15.

TRANSGRESJE I METAMORFOZY

Janusz Pasterski

MOJA RZEKA

Moja rzeka ma kamieniste dno,
płynie z szumem między głazami,
ciemnym nurtem nęci oczy.

Pod kamieniami lśni w niej kacze mydło,
krzemionki, piryty i cała ilasta materia
skalnych osadów.

Wiklina nad brzegiem kołysze powietrze
miękkimi witkami złociste.
Stopy drętwieją w zimnej wodzie.

Moja rzeka przyptywa do mnie
niepewna, czy ją rozpoznam,
czy nie zamknę okna o zmierzchu,

aby nie mogła nakarmić mnie
swoim cichym szmerem
między kamieniami.

CZASY PRZEDWOJENNE

W zimowy dzień aleja Rejtana topi się
w kałużach. Jeszcze zimno, ale
trawa już wychodzi z mokrej ziemi.

Na ulicach plamy odbitych barw,
ludzie płyną w kolorowych bańkach,
splatają się strumienie bieli i szarości.

Jak we śnie znikają kształty i formy,
z błota i wody wyrastają nowe,
w spontanicznej osmozie.

Jutro chmury rozplyną się, mgła ustąpi,
a pod stopami zakwitnie darń
i zbutwiałe liście.

MIKROHISTORIE

robiliśmy to co inni
myśląc wyjątkowe
odkryte właśnie teraz
i tylko przez nas

wbijaliśmy się w skórę zdarzeń
jak kleszcze
bez zdziwienia że każde ukłucie
zmienia bieg krwi
bo tak miało być

chowałem język głęboko
aż pod samą krtań
w ciemne membrany strun

znalazł swoje miejsce
na słonych bagnach
bez światła
a ja zostałem sam
ze zdziwieniem
że słowa myk myk
pobiegły gdzieś indziej

PRZYKŁADAM DO OKA

przykładam do oka dłoń zwiniętą w rurkę
świat jak przez lunetę zagęszcza się i zbija
w kule żółtego pyłu
prostuję dłoń i zasłaniam oko
skorupa ziemi znika
zostaje tylko widmowy poblask

tak sucho nie było jeszcze nigdy
Wisłok obrasta trawami
chmury wiszą nad miastem
a potem suną dalej
mrówki cierpliwie pracują
w wyschniętej ziemi

INNY LIPIEC

kolejny dzień bez jednej chmury
słońce pali skórę
w oddali jakiś zarys
może Łódź
kołysze się pusta
fale rozpruwają granatową toń

jeszcze przez chwilę
ta noga Ikara
nad powierzchnią wody

ale mogło mi się zdawać
bo gdy spojrzałem drugi raz
niczego już tam nie było

RZYM

trzeci dzień w deszczu
Rzym błyszczący jak tafla morza
wyspy marmurów i cegieł
na tle ciemnego nieba
płyniemy niezauważeni
mijamy z boku gładkie kamienie

przy wejściu do katakumb
tłum japońskich turystów
w kolorowych płaszczach
po których spływają wielkie krople

zamiast barbarzyńców z północy
płyną ciężkie chmury
wiszą nad miastem
jak żałobny tren

wiersze są jak samoloty
które mignęły na horyzoncie
a teraz wracają
długą powrotną trasą

i to w chwili której nikt
się nie spodziewa
że na przykład tu w Rzymie
jakieś dawne zdarzenia
i wyblakłe przebieżki
zamigoczą przed oczami
raz jeszcze
zanim wpadną pod nogi przechodniów
i spłyną z deszczem do Tybru

po południu wychodzi słońce
na łąkach Borghese
znowu brzęczą trzmiele
a mrówki wydeptują
nowe ścieżki
może tym właśnie jest Rzym

Z DZIEJÓW ATTYCKICH MIAST. ELEGIA ARCHEOLOGICZNA

Stacja archeologiczna w Atenach
podała, że w regionie Attyki
odkryto pozostałości niewielkiego miasta.
Nie była to wielka sensacja,
ale zdziwienie badaczy wywołała
dziwna struktura tej osady.

Niewielka agora przecinana szerokimi
arteriami nie mogła być handlową potęgą,
choć kontakt miała zapewne z całym światem.
Żadne na niej wielkie stragany,
ledwie małe miejsca do handlu,
aby tylko przeżyć.

Za to nadzwyczaj szeroki i wyniesiony
na wzgórzu akropol mógł świadczyć
o żywym kulcie bogów, pieszczonych
świątyniami i portykami.
Przybytków boskich jednak nie znaleziono,
ani sanktuariów, ani krypt.
Nie było też cytadeli z pałacami,
cyklopowych murów,
fortyfikacji czy arsenału.

Wielkie propyleje prowadziły wprost
na skaliste wzgórze, na którym jedno zbocze
wypełniały kamienne ławy teatru,
a po przeciwnej stronie trwał dumnie

gmach biblioteki z wielkim krużgankiem
i zacienionym skryptorium.
Musiało to być miasto artystów,
ludzi rylca i pióra, może epików,
liryków, zatroskanych tragików.

W środkowym punkcie akropolu
wykopaliska odsłoniły jeszcze
przewróconą i strzaskaną kolumnę.
Na wszystkich jej bokach widniały ślady
zapisów w różnych językach:
mykeńskim, jońskim, attyckim, koine,
katharewusa, a nawet kapadockim,
pontyjskim, griko i w demotyku.
Niewiele dało się już jednak odczytać,
ściany się skruszyły, litery wytarły.
Na jednym z fragmentów zachowało się
zaledwie pół zdania: *choć los jest zabawą bogów*
wierzemy w... Dalej było już tylko
pęknięcie. Nikt z archeologów nie potrafił
dopasować do tego zdania innego fragmentu.
Na małej płytce znaleziono jeszcze trzy litery:
Phr, ale nikomu już nic to nie mówiło.

Janusz Pasterski

Katarzyna Lewandowska

PŁÓTNO

Płótno jest potrzebne, gdyż kolory nie mogą unosić się w powietrzu.

Susan Sontag

Codziennie ten sam obrazek: białe płótno na sztalugach, przed nim ona.

– Popatrz mamó, umiem zrobić gwiazdę! Mamó!

– Malwina, nie teraz.

– Mamó, zobacz.

– Idź, pobaw się. Nie widzisz, że pracuję?

– Mamó, proszę.

– Oj, ty gwiazdo... – wzdycha, patrząc na mnie, ale już ucieka wzrokiem, z powrotem chwytając paletę, pędzel biega po blejtramic, zostawiając różnokolorowe plamy. Znowu niedostępną, zaabsorbowaną tworem, odległą. Już nie próbuję przywoływać jej z powrotem. Podchodzę do niej, stoję z boku i w milczeniu przyglądam się, jak maluje, jak układa farbę pędzlem na płótnie. Zatrzymuję wzrok na zabłąkanym włosie, który wypadł ze szczeciny pędzla i teraz tkwi na obrazie niczym wskazówka zegara, która zastygła w bezruchu. Mama twierdzi, że w ten sposób można zatrzymać czas.

Nasz dom leżał w malowniczej okolicy na obrzeżach Supraśla w sąsiedztwie Puszczy Knyszyńskiej. Niewielki i drewniany, składał się z parteru i poddasza, na którym mieściła się pracownia mamy. Odkąd pamiętam, cały był pełen jej obrazów. Oprócz pracowni wisiały w salonie, w sypialni, na korytarzu, a nawet w moim pokoju. Stały pod ścianami, leżały w pudłach na szafie i komodzie. Co przedstawiały? Widziałam w nich pejzaże, niemające swoich odpowiedników w rzeczywistości. We wczesnym dzieciństwie wyobrażałam sobie, że wędrujemy z mamą tymi ścieżkami, wyczarowanymi mój zręcznym ruchem pędzla, otoczone różnokolorową przestrzenią.

– Kiedy pójdziemy na spacer?

– Najpierw muszę skończyć, idź, pobaw się lalkami.

Miała bzika na punkcie pędzli: musiały być najlepszej jakości. Nie kupowała ich zwyczajnie w sklepie, ale zamawiała i sprowadzała z zagranicy albo odkupowała od cieszących się renomą malarzy. Tak, jak gdyby od jakości albo rodowodu pędzla zależał wynik jej malarskich zmagani. Myślę, że nie

do końca wierzyła w swoje możliwości. Brakowało jej pewności siebie, pomimo że jej obrazy cieszyły się uznaniem nie tylko w naszym miasteczku.

– Chcę mieć siostrę albo brata. Urodzisz mi?

– Oj, Malwina, Malwina. Wystarczysz mi ty, ze swoimi pomysłami. I z tą ciągle nadętą miną.

Kiedy malowała, obrazy zabarwiały się jej psychiką, jakby przekazywała im fragmenty swojego DNA. Zdawało mi się, że była bardziej matką swoich obrazów niż moją. Kochała akt ich narodzin: pokrywanie płótna barwnymi plamami stawało się dla niej doznaniem niemal mistycznym – nadawaniem nowego życia. Przeciwnieństwem tych ekstatycznych przeżyć było moje pojawienie się na świecie, które kojarzyła z bólem i męką.

– Ile ja się nacierpiałam, gdy cię rodziłam – mówiła często, jakbym to ja za to odpowiadała. Myślę, że nie była na mnie gotowa, moje narodziny zaburzyły jej plany związane z artystycznym rozwojem. Czułam, że ma do mnie żal.

Bawiąc się w pobliżu jej pracowni, zazdrościłam obrazom – mnie nigdy nie poświęcała tak dużo czasu, rzadko miała dla mnie tyle serca. Czasami nienawidziłam ich: któreś nocy wstałam z łóżka i szkolnymi nożyczkami powycinałam w barwnych płótnach dziury. Z połamanych pędzli ułożyłam na podłodze serce. Zasnijając, nareszcie czułam się szczęśliwa, i wyobrażałam sobie, jak nazajutrz, pozbawiona konkurencji, stanę się dla mamy pępkiem świata.

– Malwina! – Obudził mnie wściekły ton jej głosu. – Mój Boże, coś ty narobiła!

Nerwowo kręciła się po pracowni, podchodząc do swoich obrazów, dotykając ich, gładząc i szepcząc do nich. Podnosiła kawałki pędzli, przymierzając je do siebie jak puzzle. Co jakiś czas wykrzykiwała coś, odwracając się w moją stronę. W jej oczach nie dostrzegłam czułości, o którą desperacko próbowałam zawalczyć. Były w nich tylko złość i gniew. Schowałam głowę pod kołdrę, zwinęłam się jak dotknięty patykiem ślimak, zatkałam rękami uszy, żeby nie słyszeć jej krzyku. Wiedziałam już, że przegrałam tę bitwę.

Przez cały dzień nie wychodziłam ze swojego pokoju. Wyrzebałam z szuflady biurka plastelinę i ulepiłam z niej dwie postaci: jedną dużą, a drugą małą. Znalazłam pudełko od zapalek i schowałam do niego małą postać. Zrobiłam z plasteliny krzyż oraz parę zniczy i postawiłam je na pudełku. Chciałam, żeby większa postać była nieszczęśliwa, ale ona patrzyła tylko pustym spojrzeniem swoich plastelinowych oczu.

– Żegnaj moja gwiazdo – powiedziałam grubym głosem i rozplakałam się. Nie mogłam przestać płakać. Nie chciałam zejść na obiad, tylko

cały czas płakałam, patrząc na plastelinową postać. W końcu zmęczona płaczem, zasnęłam.

Rankiem następnego dnia jakimś cudem obudziłam się w jej łóżku.

– Ubieraj się – powiedziała. – Jedziemy do miasta.

Kiedy przekraczałyśmy próg sklepiu z artykułami malarskimi, czułam się tak, jakby po raz pierwszy zaprosiła mnie do swojego świata. Pozwoliła mi wszystkiego dotknąć, dokładnie obejrzeć. Badałam dłońmi fakturę papieru, przyglądałam się kolorom farb, sprawdzałam twardość pędzli. Wybrała dla mnie akryle, parę różnej grubości pędzelków i bloki; na moją prośbę dokupiła też niewielkie płótno i zgrabną sztalugę. Po powrocie do domu wyznaczyła mi miejsce w swojej pracowni. Od tej chwili codziennie uczyła mnie malarskich czarów, zdradzała tajemnice swojego warsztatu.

Dla niej chciałam być najlepsza, byłam łasa na jej pochwały i starałam się zbierać je jak najczęściej. Nareszcie miałam ją tylko dla siebie.

– Podobają ci się? – pytałam z nadzieją na jej aprobatę. Podchodziła do mojego obrazu i patrzyła na niego krytyczne spod na wpół przymkniętych powiek. Uważnie przyglądałam się jej twarzy, kiedy przemykał przez nią cień uśmiechu – wiedziałam, że zwyciężyłam. To były te chwile, na które zawsze czekałam.

Dopiero kiedy nieco podrosłam, zapytałam mamę, co tak naprawdę przedstawiają jej płótna.

– Co tylko zechcesz. – Roześmiała się. – Każdy obraz zawiera przecież wiele możliwych interpretacji, które wyznacza tylko wrażliwość tego, kto go ogląda. Trzeba mieć szacunek dla widza, nie można narzucać mu odbioru.

Szacunek dla widza? A szacunek dla moich potrzeb? Gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowałam? Jakoś nie martwiłaś się tym, co ja myślę i czuję? Zbyt mocno odżywały w mojej głowie obrazki z dzieciństwa. Nie chciałam być taka, jak ona.

– Żeby dotrzeć do ludzi, trzeba wyłożyć im wszystko kawa na łąkę, powiedzieć wprost – sprzeczałam się z nią. – Inaczej gubią się i zaczynają szukać tam, gdzie łatwiej, gdzie nie wymaga się od nich myślenia.

W przeciwieństwie do niej wciąż tytułowałam swoje obrazy, a moje płótna stały się dosłowne, nie było w nich miejsca na żadne niedomówienia.

Zresztą i ona wcale nie była w swoim malarstwie tak tajemnicza, jak się sobie wydawała: z czasem, dzięki jej płótnom, nauczyłam się rozumieć ją niemal bez słów. Kiedy po raz pierwszy przyprowadziłam do domu swojego mężczyznę, jej obrazy wypełniły się mocnymi barwami karmazynu i indygo. Wiedziałam, że cierpi, podobnie jak ja cierpiełam, kiedy czułam,

że przegrywam w konkurencji z jej malarstwem. Teraz ona czuła się podobnie. Zdawała sobie sprawę, że niedługo moje życie stanie się bardziej osobne, niż kiedykolwiek dotąd.

- Malwina, kiedy skończysz sprzątać?
- Nie mam czasu, idziemy z Tymonem do kina.
- Kiedy wrócisz?
- Dam sobie radę. Zajmij się swoimi obrazami.

Czasem po naszych ostrych kłótniach zdarzało mi się widywać ją roztrzęsioną. Paliła papierosa za papierosem, chowając się na werandzie z załzawionymi oczami. Zastanawiałam się, co bardziej ją boli: mój stosunek do sztuki, czy do niej. Miałam nadzieję, że dręczą ją wyrzuty sumienia.

Zdawało mi się, że idąc w przeciwną stronę ze swoim malarstwem – odetnę się od niej, a paradoksalnie jeszcze bardziej się do niej zbliżyłam. Matka zaczęła więcej czasu poświęcać mojej malarskiej edukacji, widziałam, że bardzo zależy jej na moim rozwoju i świadomym odnalezieniu własnego stylu. Miałam nadzieję, że stanę się kimś, kim jej nigdy nie udało się stać. Czułam się jak kolejne z jej płócien, któremu powoli nadawała formę skończonego dzieła. Wołałam jednak myśleć, że w tym wszystkim nie chodzi jej o malarstwo, ale o mnie.

Nigdy nie zaakceptowała tego, że związałam się z Tymonem. Od zawsze go nie lubiła. Drażniło ją, że realizował się jako muzyk, nie pozostawiając mi – jej zdaniem – przestrzeni dla własnego rozwoju. „Grajek” – tak go nazywała. Często zdarzało jej się kpić z niego, uważała, że jego sukces to moja zasługa. Miałam być gwiazdą, a stałam się księżycem – świeciłam tylko światłem odbitym. A może jeszcze bardziej bolała ją moja odrębność.

Pomimo rozdzielenia nasze płótna były pomostem, na którym spotykaliśmy się ze sobą. Nasze malarskie smaki, jak nigdy, zbliżyły się do siebie, kiedy urodziła się moja córka. Chyba wtedy po raz pierwszy pojawiły się w nas takie same uczucia: radości, dumy, zachwyty. Nasze płótna nigdy wcześniej ani później nie były tak harmonijne i świetliste. Zupełnie tak, jakby nasza twórczość w jednej chwili wzbogaciła się o nowy wymiar.

– Zobacz, Malwina, jakie Zosia ma paluszki. To są ręce artystki, daję słowo.

– Najważniejsze, żeby to były ręce szczęśliwego dziecka, a potem szczęśliwej kobiety.

Postanowiłam nigdy nie pozwolić, by Zosia odczuła, że obrazy są od niej ważniejsze. Nie chciałam powtarzać historii sprzed lat. Postarałam się, aby jej dzieciństwo wypełnione było przeświadczeniem, że jest dla mnie na pierwszym miejscu, miałam jednak wrażenie, że nigdy tego nie doceniała.

O dziwo, mama okazała się cudowną babcią; Zosia stała się jej oczkiem w głowie, dostając od niej czułość i uwagę, o które zabiegałam przez całe dzieciństwo.

– Malwinko, wpadniecie dziś z Zosią? Przygotowałam jej ulubiony jabłecznik.

– Dobrze, mamuś. Będziemy wieczorem.

Tymon coraz częściej kręcił nosem na nasze spotkania. Denerwowała go więź, która nas łączyła.

– Jesteś zupełnie jak twoja matka! – krzyczał często, kiedy po jej wizycie zostawaliśmy sami.

– Odczep się od niej i ode mnie! – Odwracałam się i wychodziłam z pokoju, trzaskając drzwiami.

W końcu posłuchał mnie. Któregoś dnia zadzwonił po pracy i powiedział, że nie wróci na noc. Nie wrócił na tę i następną ani na żadną inną. Wyłączył telefon i nie dawał znaku życia. Po tygodniu wysłał list, w którym napisał, że musi przemyśleć parę spraw i dlatego na pewien czas chce zamieszkać sam. Tego dnia siedziałam do późna i przeglądałam albumy z naszymi zdjęciami. Znów czułam się jak w dzieciństwie: odrzucona i niechciana. Narastał we mnie krzyk, na usta cisnęły się okropne słowa. Wyciągnęłam z albumu zdjęcie Tymona, usiadłam przed sztalugami i postanowiłam namalować jego portret. Płótno stało się bolesnym zapisem moich przeżyć, swego rodzaju pamiętnikiem. Szerokimi pociągnięciami pędzla odmalowałam wszystkie żale i pretensje, całą złość. Malowałam szybko, niecierpliwie, co jakiś czas odchodząc, by przyjrzeć się całości. Gdy portret był już gotowy, wzięłam nóż, i podziurawiłam go z rozmachem. Dopiero wtedy poczułam coś w rodzaju ulgi. Czekałam dzień, dwa i cały tydzień, jednak tym razem cud nie nastąpił. Może stało się tak, bo w całym rytuale pominęłam motyw własnej śmierci? A może tak po prostu miało się stać.

Z ulgą przyjęła nasze rozstanie.

– Nie zasługiwał na ciebie – powiedziała z wyraźną satysfakcją.

Prawda była jednak inna – cieszył ją fakt, że nareszcie jej dzieło zacznie błyszczeć. A może naprawdę mnie kochała? Nigdy nie byłam tego naprawdę pewna.

Dziś mama nie maluje już obrazów. Nieposłuszne palce od dawna nie są w stanie utrzymać pędzla, nie potrafi wypowiedzieć słowa „obraz”. Po rozległym wylewie, który przeszła, stała się więźniem swojego ciała.

Miałam wtedy trzydzieści pięć lat, moje dzieła sprzedawały się świetnie na rodzimym rynku, zaczynałam robić karierę także poza granicami kraju. Krytycy wypowiadali się o nich bardzo przychylnie, a moje

prace były ozdobą wielu wystaw. Ceniono nowatorską koncepcję żywych ran zadawanych barwnym płótnom przy użyciu ostrych narzędzi. Cierpienie dzieła miało być sumą ludzkich dramatów, miało przypominać o bólu narodzin, cierniach życia i tragedii powolnego umierania. Inspiracją do tego ostatniego etapu stała się mama. Każdego dnia sadzałam na wózku jej nieruchome drobne ciało i zawoziłam do pracowni. Tam stawała się moja muza. Malując – starałam się zatrzymać ją tutaj.

„Jesteś mi potrzebna!” – krzyczały początkowo kolory moich prac. Płótno zamieniało się w lustro, w którym odbijały się moje najsztudniejsze emocje. Stawała się coraz bardziej nieobecna, choć wciąż patrzyła z tęsknotą w stronę farb, a przede wszystkim – w stronę moją i Zosi. To spojrzenie wyzwało we mnie potrzebę zatrzymywania kolorów: łapania ich i przytwierdzania do powierzchni płótna. Z czasem w jej wzroku było coraz mniej tęsknoty, a coraz więcej cierpienia. Ból stał się jej stałym towarzyszem. Wiedziałam, że nie chce już żyć.

Moje obrazy z dnia na dzień traciły kolory, robiąc się coraz bledsze, coraz bardziej monochromatyczne. Wiedziałam, że to jedyna słuszna droga: nim płótno stanie się całunem, najpierw musi stać się białym żaglem.

– Podoba ci się? – pytam, obracając jej wózek i wskazując przedostatnie ze swoich dzieł. W jasnej przestrzeni płótna, jakby zanurzone w głębokiej mgle, delikatnie majaczą subtelne plamy szarości. Przez jej twarz ledwo wyczuwalnie przebiega cień uśmiechu. A może tylko mi się wydaje, bo wiem przecież, że od dawna nie rozpoznaje już ani kolorów, ani słów. Wśród jasnych plam dostrzegam zabłąkany włos, który wypadł ze szczeciny pędzla i tkwi teraz na obrazie, niczym zastygła w bezruchu wskazówka zegara. Mama nie miała jednak racji: w ten sposób, niestety, nie można zatrzymać czasu. Przyklękam i kładę głowę na jej kolanach. W jej sukienkę wsiąkam moje lzy.

Po chwili podnoszę się i odważnie patrzę na białe płótno, stojące na sztalugach – żaglowiec przygotowany do wyprawy. Dokładnie mieszam w szklance z herbatą pokruszone wcześniej tabletki. Przykładam szklankę do wyschniętych warg i powoli wlewam płyn do jej ust.

– Szczęśliwej podróży, mamo. – Przytulałam do twarzy stygnącą dłoń.

Wierzę, że gdzieś tam istnieje świat, gdzie unoszące się w powietrzu kolory nigdy nie blakną, gdzie dłonie na nowo odzyskują sprawność i że sprzedają tam najlepsze pędzle.

Katarzyna Lewandowska

Ewa Elżbieta Nowakowska

ROTUNDA

Niewiele tu
glorii i promieni.
Sama wapienna kolistość.

Zapewne tak
wyobrażano sobie
Wszechświat.

Dwa srebrne
spiralne pierścienie
uświęcają ogień.

Dla mnie nadal
wytryska stąd
źródło Marzanny.

Zstępowała
do podziemi,
by odrodzić się,
wyjść na światło dzienne
choćby w łachmanach.

Połatane szaty
wieczności
wałają się
na śniegu.

ŚWIĘTY GAJ. WZGÓRZE LASOTY

--- I nieoczekiwanie zaprowadziłam go tam, poetę z niewielkiego miasta,
mężczyznę kruchego jak Leśmian, wsłuchanego w szepty, powiewy widziadeł.

--- Nie do końca dawał wiarę wszystkim moim opowieściom,
i w duchu przyznawałam mu rację.
Budowałam mu grodzisko ze słów, ale on wolał mieszkać we własnym.
Wypełniały je oswojone jaszczurki i pokryte łuskami wiersze.
Ufał im bezgranicznie i gładził powoli dłonią.

--- Zachwyciła go jednak historia świętego gaju z ptakami,
w którym kapłani sprawowali nad nimi pieczę,
szczególnie czcząc białego kruka.
Nikt wcześniej mu nie mówił o takim miejscu w Krakowie.

--- Wtedy wydobył z przewieszzonej przez ramię płóciennej torby
bochenek rodzinnej legendy.
Oderwał kawałek i podał mi.
Orkiszowy chleb rozpływał się na języku.

--- To opowieść o mojej matce, dodał.
Nie mogę cię poczęstować jej dokończeniem.
Przeznaczone jest tylko dla mnie.

--- Wyjechał tego samego dnia.
Wrócił do dalekiego miasta,
w którym niemal całkowicie wyginęły ptaki.

--- Zadzwoił potem tylko raz.
Już nie mogłam odebrać telefonu.

--- Ucztuję pośród jego
porzuconych tomików
o zniszczonych przez wilgoć okładkach.

LAMPIONY

Roztopy

Lutowa kałuża
z refleksami

Jedna z was
widzi w niej
ukryty cmentarz
z mnóstwem
zapalonych świec

Druga dostrzega
światełka dusz
frywolne lampiony
kawiarni Montmartre'u

Trzecia zauważa
niebotyczny
wieżowiec
w którego oknach
odbija się luna
zachodu

Przedwiośnie
przeistacza się
w przyjęcie weselne
i nekropolię

Skazany na nicość
Pan Młody
krząta się
po naszych umysłach
i krzesze ogniki

WIGWAMY

Pozornie wesołe
wigwamy forsycji

– to sam kontur
niewypełnionej malowanki

– domki kempingowe
wałęsającej się
po kosmosie wiosny

– obietnica schronienia
złożona nam nadaremno

DWORZEC

A przecież zegary
to tylko odmiana
pociągów

Są w nich
wagony restauracyjne
z pożywnymi dymiącymi
wspomnieniami
i przedziały
dla notorycznych spóźnialskich

Parowozy wskazówek
przewożą łatwo
psujące się towary

Na peronach
wsiadają i wysiadają
pory roku
fazy księżyca

Dotykam dworca
centralnego
na przegubie lewej ręki

Pulsuje kasa
biletowa

W dotąd pustym okienku
pojawia się
twoja twarz
i namawia mnie
do pośpiechu

Ewa Elżbieta Nowakowska

Fot. Grażyna Zając



Cypr, Famagusta, katedra św. Mikołaja

Katarzyna Szweda

PŁANETNICE

(fragment)

niedziela

Matka jest zawsze gotowa do drogi. W sieni stoi spakowana walizka. Stosownie do pory roku Matka przepakowuje walizkę. Niedomknięta walizka zimowa patrzy teraz na mnie z kąta, szeroko rozwiera paszczę. Dokąd to, Matka?

Każdy dzień mógłby być dobrym dniem, żeby wyruszyć w drogę, ale ten jest ciut lepszy. Pójdiesz, Matka. Za oknem jest teraz równina, żadnych wzniesień, żadnych trudnych podejść. Widać wszystko wyraźnie, w końcu to widać. Walizka musi być spakowana. Pójdiesz, Matka, a jeśli tylko zechcesz, poniosę walizkę na dworzec. W Jaśle otworzyli teraz poczekalnię. Nie zmarzniesz, Matka, jak dawniej marzałaś. Teraz podróżuje się zupełnie inaczej. Ty tego nie wiesz, ale ja bywałem. Do Krakowa jedzie się raptem trzy godziny. Może wolałabyś dalej? Za czym to, Matka?

Kto ciebie taką przygarnie? Do czego ty się jeszcze, powiedz mi, nadajesz? Ruchy już nie te, ciało już zwiotczało. Kto ciebie taką gdzie zechce, Matka? Zmęczoną i starą. Zasiałaś się. Zastałaś się. Czasem cię, Matka, wcale nie poznaję. Trudno cię dostrzec spoza tego miejsca. Zasiałaś się. Zastałaś się, Matka.

Każdy dzień mógłby być dobrym dniem, żeby już stąd odejść. Powiedziałby ktoś, kto umie odchodzić. Tego się, Matka, nie sposób nauczyć, ale trenuj sobie. Walizka musi być spakowana. Tak się kurczowo trzymałaś terenu. Jak się to wszystko pomieściło w tobie? Tego się, Matka, nie sposób nauczyć, ale trenuj sobie. Walizka musi być spakowana. Na zaś, powiadasz, na zaś.

wtorek

Budzi mnie skrzypienie podłogi. Otwieram ostrożnie oczy. W pokoju jest zupełnie ciemno, dopiero po chwili dostrzegam zgarbiony kontur wielkiego ciała Matki. Wymyka się przez okno, jakby się miało na sumieniu. Odsuwam firankę, za oknem jest teraz Dolina Ciecchani. Chmury odsłoniły jasny, tłusty księżyc. Delikatne zbocza opadają miękko, tworzą puszyste wgłębienie, w którym natychmiast chciałbym się zanurzyć. Matka trzyma

w prawej dłoni czarną reklamówkę z napisem Boss. W reklamówce pobrażają jakieś przedmioty. Matka zatrzymuje się tuż za ogrodzeniem domu. Wyraźnie na kogoś czeka. Z krzaków zaczynają wylać Małe Dziewczynki. Jest ich bardzo dużo, nie nadążam z liczeniem. Wszystkie mają w dłoniach reklamówki, coś w nich niosą. Małe Dziewczynki zbliżają się do Matki, kolorowe reklamówki z Lidla, Delikatesów Centrum, Pepco, Biedronki pobrażają cicho. Brzęczenie staje się coraz głośniejsze. Zatykam uszy. Patrę, jak Matka i jej stado powolnym krokiem zapuszczają się w głąb Doliny. Brzęczenie słabnie, aż w końcu całkiem ustaje. Nie zastanawiam się, tylko pędem zarzucam na piżamę kraciatą kufajkę Matki i ruszam za nimi.

Dolina nocą jest bardziej ożywiona niż za dnia. Dostrzegam Matkę i Małe Dziewczynki, jednak po chwili znikają mi z pola widzenia. Tracę trop. Za czym tak leżysz, Matka? Drzewa skrzypią, wieje mocny wiatr, w żerowiskach bobrów bulgoce wzburzona woda. W tej pobudzonej materii lasu wyczuwam coś bardzo niepokojącego. Wbiegam z powrotem na górę, będę miał lepszy widok. Czekam, aż chmury znów na chwilę odsłonią napuchnięty księżyc. Przede mną w oddali majaczą Szczob i Sabatowski Wierch. W Dolinie dostrzegam niewyraźne, kolorowe plamy reklamówek, rzucam się w dół, pędzę w ich kierunku, jestem już bardzo blisko. Zdyszany chowam się w niskim krzaku czarnego bzu, mam stąd nie najgorszy widok. Co tu dużo mówić, widok mam stąd naprawdę nie najgorszy. Matka i Małe Dziewczynki rozproszone po całej Dolinie łapią w reklamówki wiatr.

Pogięło cię, Matka?

Reklamówki z Pepco, Delikatesów Centrum, Lidla, Biedronki nadymają się jak żagle okrętów. Dokąd tak płyniesz, Matka? Wyglądasz zabawnie. Trochę żałośnie, nawet trochę strasznie. Udałaś mi się, Matka, nie ma co. Zaciskam mocno usta, ale nie wytrzymuję, wybucham rozhisteryzowanym śmiechem i czuję, jak wraz ze mną śmieje się cała Dolina, choć wiem, wiem, wcale nie jest jej do śmiechu. Małe Dziewczynki rozpierzchają się po Dolinie niczym spłoszone zające. Matka stoi jeszcze przez chwilę samotnie, po czym zawiązuje wypchaną wiatrem reklamówkę z napisem Boss i powolnym krokiem udaje się w stronę domu.

Ciebie naprawdę już całkiem pogięło, Matka.

Wyrzebuje się z krzewu, otrzepuje kufajkę i spodnie. Matka robi się coraz mniejsza. Też wracam do domu, ale inną drogą niż przedtem. Wchodzę do lasu i znów słyszę brzęczenie. Podążam za dźwiękiem. Odnajduję wielką starą lipę, na której wiszą setki puszek po przecierach pomidorowych, sardynkach, harnasiach, turystycznych konserwach.

Zmęczony ruszam w stronę domu. Drzewo brzęczy mi w uszach. Brzęczy mi nawet wtedy, gdy już leżę w łóżku cały nakryty ciepłą, puchową kołdrą. Brzęczy mi każdego kolejnego dnia.

Kiedys mi za to wszystko słono zapłacisz, Matka.

wtorek

Zesław Pan Bih, zesław,
Dwoch szataniw z pekła
Wziali maczoszyciu
Poszli z niom do pekła.

środa

– Jestem mężczyzną. Mam siedemdziesiąt osiem lat. Mieszkam niedaleko. Bolą mnie kolana. Bolą mnie zęby, których prawie już nie mam. – To mówi Łada, leży na podłodze, głaszcze po włosach Damianę. – Mam żonę i psa. Mam duże, chropowate dłonie. Na dłoniach mam brązowe plamy, wyglądają jak mapy miejsc, których nikt jeszcze nie odkrył. Każdego ranka wychodzę z domu po wodę do studni, biorę duże, ocynkowane wiadro, zakładam wiadro na hak, upuszczam w górę. Teraz upuszczam. Upuszczam i upuszczam. Studnia nie ma dzisiaj dna. Wyciągam wiadro. Jest puste. Wołam psa, wkładam go do wiadra. Upuszczam i upuszczam. Po chwili wyciągam wiadro, ale wiadro jest puste. Wołam żonę, ta przyprowadza sąsiadów. Trzymają linę, po której teraz to ja upuszczam się w górę studni. Upuszczam się i upuszczam. Dno studni jest suche, ale nie ma tam psa. Wychodzę na powierzchnię i zaczynam płakać. Umieram tydzień później.

Znów jest noc. Znów leżę w swoim łóżku. Małe Dziewczynki na podłodze, moszczą się w swoich posłaniach. Potem, kiedy już zasną, będą wdrapywać się do mnie. Uciekną spłoszone jeszcze zanim zdążę otworzyć oczy. Nigdy ich na tym nie przyłapię, mogę się tylko domyślać, kiedy następnego dnia odnajdę w pościeli długie, poskręcane włosy, koraliki, spinki, kamyki, sennik pod poduszką, ślady krwi na prześcieradle. Matka śpi na wersalce w kuchni, nie ma o niczym pojęcia. Mogłoby się wydawać, że Matka nie ma o niczym pojęcia.

– Teraz ja! Teraz ja! – woła przyciszonym głosem Marena. Leży na wznak, wpatruje się w sufit. Po chwili wstaje z podłogi, podchodzi do Łady, ta podaje jej świecę, zapala. Marena siada na dywanie, płomieniem oświetla twarz.

– Jestem siedmioletnią dziewczynką. Budzę się nocą w nowym, nieznanym miejscu. Muszę być już daleko stąd. Mam na sobie pizamę i grube, wełniane skarpety. Mam długie, jasne włosy zaplecione w warkocz. Bardzo się boję. Wszystko wokół mnie jest obce, dźwięki, zapachy, niewyraźne światła za oknem, faktura pościeli. Ostre fragmenty, miękkie krawędzie,

wibrująca poświata. Robi mi się niedobrze. Przestrzeń wokół mnie kurczy się, powstają zagłębienia. Ostre fragmenty, miękkie krawędzie, powietrze w drganiach. W przestrzeni powstaje pęknięcie, ze szczeliny sączy się coś lepkiego, pokój kruszy się, faluje. Miękkie fragmenty, ostre krawędzie, wibrująca poświata. Wyrwa jaśniej i roziskrzona zbliża się do mnie. Zamyka się z trzaskiem. Miejsce gęstnieje, napiera na mnie. Wyciągam ręce, napotykać opór, jeszcze chwilę się bronię, potem zaczyna brakować mi tchu. Odchodzę cicho, tylko to nowe, nieznane miejsce nie przestaje rozpaczliwie wibrować – płomień gaśnie, twarz Mareny niknie w półmroku. Wstaje, podchodzi do Paraskewy i w milczeniu podaje jej świecę.

– Jestem wielkim, spoconym facetem po czterdziestce – zaczyna Paraskewa, zapala świecę.

– Strasznie swędzą mnie jajka – dodaje. Małe Dziewczynki chichoczą. Paraskewa teatralnym krokiem, w przesadny sposób naśladowującym ruchy pokracznego mężczyzny, podchodzi do okna i siada na parapecie. – Jestem wielkim, spoconym facetem i czuję się świetnie – parapet skrzypi, ugina się jakby pod ciężarem wielkiego, spoconego ciała – czuję się znakomicie. Mieszkam sam w ciasnym kurniku, nikt mi nie mówi, co mam robić, nikt niczego ode mnie nie wymaga. Kurnik wybrałem na dom, śpię na grzędzie, wydziubuję resztki ze śmietnika. Dłubię sobie w zębach, mam czarne paznokcie, dziurawą koszulę, poplamione džinsy. Rano wychodzę z kurnika, odrąbuję siekierką kawałek starej gruszy, czereśni, jabłoni albo lipy, wracam do siebie, siadam na grzędzie i z tego kawałka drewna strugam kury, koguty, kurczęta. Usadawiam je obok i przysięgam, kiedy zamykam oczy, słyszę, jak gdaczą, pieją, trajkoczą, jak się szamoczą, gnieźdzą, kokoszą.

Paraskewa wdrapuje się na parapet, zaciska dłonie w pięści, wkłada je pod pachy, góra, dół, góra, dół, naśladuje ruchy skrzydeł i z głośnym trzepotem ramion zeskakuje na podłogę, wydaje przy tym ostre, przenikliwe dźwięki.

– Codziennie pojawiają się w naszym stadzie nowi towarzysze, co wywołuje w kurniku ogromne poruszenie – kontynuuje swoją opowieść Paraskewa, wygląda teraz jak nastroszony kogut, krąży między posłaniami Dziewczynek. – Kury nie lubią intruzów – rzuca w moją stronę złowieszcze spojrzenie. Zakrywam się mrokiem, wstrzymuję oddech, utwierdzam się w bezruchu.

– Jest nas coraz więcej, robi się coraz ciemniej, coraz ciaśniej, coraz gęściej, z kurzych gardzieli wydobywa się niepokojące warczenie, mruczenie, bulgotanie, raz po raz przerywane piskliwym, urywanym gdaknięciem. Wyłupiaste ślepie kur zwrócone są teraz na mnie, słyszę intensywne uderzenia malutkich serc, sporo szybsze od mojego, które i tak bije teraz z zawrotną prędkością, pocę się, ostrożnie przesuwam w stronę wyjścia.

Czuję na ciele ukłucia setek małych zaostzonych dziobów, pokój wypełnia się rozdzierającym wrzaskiem, w dusznym powietrzu unoszą się pióra. Nagle rozlega się głośnie bok, bok, bok i do pokoju z impetem wpada Matka. Wygląda jak wielka, rozsierzona kwoka. Łapie w locie rozprutą poduszkę. Zadaje ostateczny cios.

niedziela

– Krajobraz ulega ciągłym przeobrażeniom – mówi Matka i powoli, z namysłem wyciąga przed siebie chudą, pomarszczoną dłoń.

Potem długo wpatrujemy się w siebie i znowu jest cicho. Milkną krzyki, milknie chichot Małych Dziewczynek. Drży poszarpana granica nieba, którą wyznaczyły zakrzaczone góry.

– Tamta góra mi ciebie przypomina.

Dłoń wskazuje kierunek, przesuwam wzrokiem po niewidzialnej linii, pomiędzy innymi górami mający moja własna twarz. Czy to Wysokie, czy Kolanin, może Kiczera? Żadna z nich. To ja przemieniony w Górę albo Góra przemieniona we mnie. Ale stoję tutaj, dotykam palcem czubka nosa, wciskam stopy w podłoże, czuję wilgotną ziemię.

– Krajobraz ulega ciągłym przeobrażeniom – mówi Matka, po czym zapuszcza się w głąb Góry.

niedziela

Czasem wyobrażam sobie, że jestem ślimakiem nagim. Wielkim, obślizgłym, piętnastocentymetrowym arionem luzytańskim. Szaleńczo zapładniam sam siebie, składam setki jaj i wloką się za mną wszędzie bataliony moich okazałych dzieci, wgryzają się w co popadnie, zostawiają za sobą cienkie nitki śluzu. Jesteśmy władcami tego terytorium. Już dawno wytępiiliśmy konkurencję, te wszystkie bezużyteczne świrdzyki, zaroślaki, pomrowy, winniczki. Jestem wiecznie głodny. Wystawiam swoje długie, elastyczne czułki, węszę. Nie widzę, ale doskonale wyczuwam smakowity kasek. Podpełzam. Wspinam się na miękką, ciepłą górkę. Wysuwam swoją zwinną radulę i wbijam z całej siły dziesiątki tysięcy zębów w gładką, giętą masę. Matka zrywa się z głośnym wyciem z wersalki. Rzuca w moją stronę złowrogie spojrzenie, a potem jeden po drugim śmierzące, znoszone kapcie. Pociera zamaszycie dłonią odcisnięte na udzie dwa czerwone wgłębienia w kształcie półksiężyców. Będę potem z satysfakcją obserwować, jak żółknięte powoli pęcznią.

piątek

Chciałbym wyjść z domu, ale jest już ciemno, wszystkie latarki rozładowane. Małe Dziewczynki nie wróciły jeszcze z wykładów, za oknem w szopie drżą żarłoczne świetlówki, połykacze ciem. Z daleka obserwuję, jak monumentalna sylwetka Matki unosi dłoń, wskazującym palcem rysuje w powietrzu drapieżnego ptaka z szeroko rozwartym dziobem, rysuje człowieka pochylonego nad niewielką kupką gruzu, rysuje szyb naftowy, słup wysokiego napięcia, klucz udarowy, rysuje liść poziomki i trójgarbną górę. Jeśli wyjdę, ale nie wrócę, czy ktoś się zorientuje? Na moje miejsce Matka znalazła już sobie całe zastępy Córek. Jeśli wyjdę, czy świat stanie przede mną otworem? Miejsce, które zabierasz ze sobą w drogę, nie może być chore, powiedziałaby Matka. Moje miejsce jest pełne przetarć i pęknięć. Moje miejsce mnie nie dotyczy. Paniują w nim Matka i jej łapczywa sfora.

Chciałbym wyjść z domu, ale nie chce mi się. Ruszać, zakładać butów, wydeptywać ścieżek. Jest kiepska pogoda i bolą mnie nogi. Chciałbym wyjść z domu, ale nie wiem, za czym niby miałbym stąd wychodzić. Moje miejsce jest pełne wgnieceń i zabrudzeń, nie nadaje się do tego, żeby brać je w drogę. Chciałbym wyjść z domu, ale zrobiłem się senny. Kładę się na skrzypiącej wersalce i natychmiast śni mi się, że świat, którego doświadczyłem w podróży okazał się wstrętnym, zachłannym potworem. Wróciłem więc do siebie, do tego miejsca pełnego rys, zacieków, uszkodzeń, a Matka i Małe Dziewczynki przebrane za lwice, wyprawiły mi na powitanie huczne przyjęcie. Takie z watą cukrową, wódką, klaunem i maszyną do lodów.

wtorek

Tej nocy, kiedy w końcu udaje mi się zasnąć, budzi mnie Berenika. Ma policzki czerwieniejsze niż zwykle i wytrzeszczone oczy, nawet to jedno, zawsze nieznacznie przymknięte. Już chcę jej nawtykać, powiedzieć, żeby dała mi spokój, opędzić się od niej, ale wciska mi palec wskazujący w usta. Dopiero teraz zauważam, że jest spocona i rozczochrana, że ciężko oddycha, że cała się trzęsie. Rozglądam się po pokoju. Małe Dziewczynki mają zamknięte oczy, tylko ona jedna gapi się na mnie przez noc. Jestem zmęczony, ale pozwalam jej się wyprowadzić. Przed domem nadal jest Zalew w Kremnej, przykryty kołdrą gęstej, wilgotnej mgły.

Na dnie Zalewu leży Matka, mówi Berenika i popycha mnie w stronę wody.

Woda jest chłodna, pachnie zgnilizną.

Na dnie Zalewu leży Matka i liże lody, mówi Berenika, a twarz ma wstrząśniętą.

Wypływam na środek Zalewu i nurkuję. Na dnie leży Matka jako Mała Dziewczynka. Uśmiecha się do mnie, a potem wystawia mi język. Nurkuję głębiej, ale Matka jako Mała Dziewczynka ucieka przede mną, nie chce dać się złapać. Wypływam na powierzchnię, żeby nabrać powietrza. Teraz już wszystkie Małe Dziewczynki stoją na brzegu, trzymają się za ręce. Oddycham zachłannie i ponownie nurkuję. Matka jako Mała Dziewczynka łapie mnie za stopę i wciąga na samo dno Zalewu, ma tam dziecięcy pokój pełen jaskrawych, neonowych zabawek z plastiku, chce, żebym się z nią bawił, ale zaczyna brakować mi powietrza. Z trudem wyrwam się Matce jako Małej Dziewczynce, a kiedy w końcu dopływam do brzegu, jestem wykończony, oddycham ciężko. Małe Dziewczynki pochylają się nade mną. Nic ci nie jest?, pytają. Pierwszy raz są mną naprawdę przejęte.

Matka leży na dnie Zalewu i jest jedną z was, mówię.

Co my zrobimy z taką małą Matką?, pytam. Mała Matka nikomu na nic się nie przyda. Mała Matka jest bezużyteczna. Mała Matka jest bezbronna. Mała Matka nie mogłaby być nawet moją własną Matką.

Małe Dziewczynki patrzą na mnie ze współczuciem, pocieszają mnie, głaszczą po głowie.

Przyprowadź do nas Matkę jako Małą Dziewczynkę, mówią.

I chociaż nie mam już siły, zanurzam się po raz kolejny w Zalewie, wypływam na środek, tam gdzie w ukryciu wije się koryto Wisłoki i nurkuję raz jeszcze. Na samym dnie w dziecięcym pokoju Matka i Małe Dziewczynki bawią się jaskrawymi, neonowymi zabawkami z plastiku. Rozdygotany wychodzę na brzeg, na brzegu nie ma nikogo. Mokry i zziębnięty biegnę w stronę domu.

W domu Małe Dziewczynki wciąż mają zamknięte oczy, Matka siedzi na kanapie i czyta książkę. Moja Matka jest znów dorosłą Matką.

Przygotowałam ci kąpiel, mówi moja dorosła Matka.

Wystawiam jej język, ale nie patrzy nawet w moją stronę.

wtorek

Psylecieli carci
Ze smolną łoktusą,
Porwali macochę
I z ciałem i z dusą.

Maria Magdalena Rudiuk

EKSKLUZYWNI

– mają przyzwolenie – czynić sobie ziemię poddaną,
ale to tylko na czas Tymczasu ziemskiego.

Oni, krótkim życiem włączają się w długą podróż,
aby przemijając, czyniąc sobie ziemię poddaną,
iść dalej, w przyszłość,

aby ze zużywających się narzędzi odkrywać
dlaczego jest COŚ, a nie NIC,
czy jest i czym jest wielkość
nawet w najmniejszych rzeczach, sens
w jedynych jedynym życiu – drobinie,
w codziennej krzątaninie i niecodzienności,

aby z tysiąca lat ewolucji wychodząc
światłoczułi, wyłonieni łaskawością
nieprzebranego bogactwa
ustanawiali krótkim życiem
potężne królowanie i jego requiem,
czule pochylali się nad pisklęciem,
które wypadło z gniazda,
któremu trzeba przecież pomóc...

aby kiedy śmierć zabłąka się już w ich – też śmierci przeznaczonych
ciałach – zdumienie osławiają i próg ludzkiej wytrzymałości,

a ona ich dłoniom uchodząc zawstydzona
rygorami swojej pracy tajemnej, im na przekór
nie rozumiała bolesności pożegnania
raz i na zawsze, świadczy temu niezliczoną ilość razy-uderzeń
koniecznością
tego ostatniego rodzaju wtajemniczeniem w ludzką kondycję,

są przecież śmiertelni, muszą odchodzić
z tego co ledwie oswoili świata, z tego
co wreszcie stało się im bliskie, własne ukochane i jakby bezgraniczne
w tym nieuroczystym dziwie odsłaniania kompletnej Nieznaności.

I tylko dopóki zdumienie oswajają, dopóki im serce nie pęknie
arcylogicznie dowodzą, że w istocie to nic takiego,
a już z pewnością nic nowego dla nich – ziemscy
od dnia pierwszego zstępują
w nieznanne,
najpierw w życie, potem w śmierć

ROCZNICA ŚMIERCI CZESŁAWA MIŁOSZA

Śmierć przyszła do poety
Czesława Miłosza
dokładnie 14 sierpnia, a rok był to 2004. Przyszła po dniach
dobrowolnych tortur czekania na nią
bez jedzenia, bez picia. Nie miała nic z majestatu,
wszystko z bólu i cierpienia,

dotknęła mnie, „14 sierpnia” to przeddzień Matki Boskiej Zielnej –
odtąd już będę celebrowała swoje urodziny i rocznice śmierci Poety.
Czy to przypadek dla mnie też pochylonej
nad miseczkami z kolorami
wiernej mowy, bo przecież
potrzebny jest jakiś ład czy piękno...
zanurzenie w krystaliczny dźwięk brzmienia i znaczenia
[– w ogarniającą falę

ciepła, która się zdarza się nagle i niespodziewanie
na przykład na parkingu w Halifaksie,
latem 2000 roku, gdy szczebiot po polsku – przypadkowy
głos dziecka w cud się rozrasta,
w ogarniającą od stóp do głów falę ciepła...

Śmierć przysła do poety
wsluchana w opowieści o dolinie Issy,
ale bez reszty swojej misji poświęcona – za nic ma jego głodne wargi,
wilcze spojrzenia, wszystkie rzeczy dotykane
w mgnieniu oka zmieniające się w światła najdroższy kształt.
Biały wieloryb świata jest jej psem, pozwala mu
na pieszczoty, wyprowadzając z największą gracją,
z ziemi nicobożytnej umarłych.

Ze snu zerwana noc sierpniowa Matki Boskiej Zielnej
uśmiechała się ustami mojej matki, umarłej dwa lata wcześniej
niebolesnej wreszcie
w Tamtych Światach, gdzie głośno witali Poetę,
w skupieniu, gdy marszczył brwi, zajęty
pojmowaniem niepojętego, by wreszcie ostatecznie wiedzieć,
co było prawdziwe – *zobaczyć podszewkę świata*;
odwinięty z ziemskiego bytu śmieje się znowu szeroko,
głośno sobie lekceważy płasy białego wieloryba,
płynie wolny od przyciągania ziemskiego,
drżą światła w oddali, strumieni się byt,
lśni, rozlega pieśnią nad pieśniami
rozchodzi nieziemskim
zapachem...

Maria Magdalena Rudiuk

Krystyna Lenkowska

SPRAWA ANNE CARSON Z MOJEJ POLSKIEJ PERSPEKTYWY

Wyobraziłam sobie, że czytam wiersz Anne Carson *Sprawa przeciwko sprawie przeciwko poezji à rebours* w stalinowskiej Polsce lat pięćdziesiątych XX wieku.

Jeśli ciało jest zawsze głębokie, ale najgłębsze na powierzchni.
Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju faktyczne i kontrfaktyczne.
Jeśli przecieć i przecieć i wtedy zaczyna ciągnąć.
Jeśli policja w tamtym mieście przypaliła ludziom dłonie lampą lutowniczą.
Jeśli pływają tam ciemno zabarwione lub czerwone (ciała) [...]¹.

Myślę sobie, że poemat ten, gdyby był rozpropagowany w polskim podziemiu w czasach stalinowskich, miałby szansę stać się manifestem pokolenia moich rodziców. Przez wiele kolejnych lat nie schodziłby z ust Polaków, odczytywany i przepisywany w całości i fragmentami. A jak go czytam w Polsce kilkadziesiąt lat później?

Jeśli punkt karmiony przez lata zaczyna nieco ożywać.
Jeśli siedząca postać wyszłaby z pomysłem przesłuchania.
Jeśli byłoby mocne światło elektryczne bardzo wysokiej jakości.
Jeśli nosić się z zamiarem przesłuchania.
Jeśli przesłuchanie to pragnienie zdobycia informacji, których nie dostaje się wcale [ani dobrowolnie.

Ten wiersz wydaje się nadal aktualny w III Rzeczypospolitej teczek agentów i niekończących się przesłuchań. Przypuszczam, że powstał w roku 2004, tuż przed pierwszym i jedynym, jak do tej pory, przyjazdem Anne Carson do Polski na zaproszenie Adama Zagajewskiego na cykliczną imprezę polsko-amerykańską „Meeting of Poets” w Krakowie, która, choć zaledwie o kilkuletniej tradycji, zyskała już miano kultowej. Jednym z paneli dyskusyjnych tego spotkania był temat „The Case Against the Case Against Poetry” [„Sprawa przeciwko sprawie przeciwko poezji”].

Mogę sobie wyobrazić adekwatność tego przesłania w kontekście Polski i pozostałych krajów dawnego bloku wschodniego, także Salvadora, Chile, Kuby, Meks-

⁺ A. Carson, fragment wiersza *Sprawa przeciwko sprawie przeciwko poezji*, który przekładam z maszynopisu udostępnionego mi przez autorkę. Wszystkie przekłady z angielskiego, jeśli nie zaznaczono inaczej, są mojego autorstwa – K.L.

syku i wielu innych krajów Ameryki Łacińskiej, Azji, Afryki. Nie ma w tym wierszu wyraźnych symptomów perspektywy północnoamerykańskiej, a na pewno nie ma punktu widzenia Amerykanów, cieszących się przywilejami swojej demokracji.

Anne Carson jest Kanadyjką, profesorką uniwersytetów St. Giles w Montrealu i Ann Arbor w USA. Jeżeli mogę bez trudu pomyśleć o lokalnej jatce, na przykład w Nowym Jorku czy innych miastach USA, choćby na podstawie amerykańskich filmów kryminalnych, to podobna sytuacja kanadyjska byłaby dla mnie nie do pomyslenia. Nam, Polakom, wprawionym we współzyciu z rządami autorytarnymi, trudno sobie wyobrazić autorytaryzm w demokracji Stanów Zjednoczonych.

Kultura amerykańska jest w Polsce od dawna dobrze znana. Nawet spoza żelaznej kurtyny docierały do nas jej najważniejsze wytwory, dzięki temu, że reżim w Polsce był mniej szczelny w porównaniu z innymi krajami komunistycznymi. Zawdzięczamy to również wielomilionowej Polonii amerykańskiej oraz światowej sławie Polaków tam mieszkających: Artura Rubinsteina, Ryszarda Horowitza, Czesława Miłosza, Romana Polańskiego i wielu innych. Ameryki mlekiem i miodem płynącej nie dało się w Polsce przemilczeć, zaciemnić; kiepsko szło to nawet prasie reżimowej PRL.

Natomiast kultura kanadyjska jest przeciętnemu Polakowi raczej nieznana. Mniej też interesujemy się sytuacją polityczną Kanady. To, co wiemy o Kanadzie jest obrazkiem szczęśliwego, spokojnego kraju. Na tyle spokojnego, że trudno tam znaleźć pożywkę do ogólnokrajowego buntu; chyba że można byłoby go przypisać reakcji na wszechogarniającą nudę dobrobytu i wynikający z niej nowy ruch hipisowski. Takie są prawa stereotypów. I nawet w świecie internetowym trudno będzie je zmienić, chyba że zdarzy się przypadek kulturowej hekatombi lub Geriona – czerwonoskrzydłego człowieka smoka, który nie wytrzyma ostracyzmu wobec swojej inności i wyjdzie na ulicę swojego miasta, aby popatrzeć na tak zwany normalny świat. Może dlatego Anne Carson umieściła swojego bohatera, czerwonego Geriona, w Buenos Aires, a nie w Ameryce Północnej:

[...] „Czy twoja matka nie powinna...
Signor!” Coś dużego trafiło go
W plecy. Gerion stanął jak wryty na środku chodnika
w Buenos Aires
wśród ludzi opływających jego obszerny płaszcz. Ludzie,
pomyślał Gerion
dla których życie
jest nadzwyczajną przygodą. Wkroczył w tragikomedię tłumy².

Spędziłam w Kanadzie w roku 1979 trzy miesiące, podróżując po prowincjach jej przyrody i domostw (już sama nazwa *province* niesie konotację provin-

² A. Carson, *Autobiografia czerwonego*, przeł. M. Topolski, posłowie J. Fiedorcuk, Wrocław 2023, s. 97.

cjonalności w kontraście do amerykańskiej nazwy „stan”, która implikuje definietywność, afirmację i ekspansywność, a w każdym razie podświadomą wyrazistość „stanu” rzeczy). Kwartał roku w Kanadzie to niewiele, ale wystarczyło, by wrócić do szarej Polski z wizją Kanady jako krainy szczęśliwości i spokojności ducha.

Nieważne czy Anne Carson pisze o Kanadzie, czy o USA, czy o innym kraju. Utwierdzam się w przekonaniu, że największe dzieła artystyczne mają zawsze wymiar prywatny. O ich pojemności znaczeniowej decyduje różny odbiorca, który w każdej strukturze dzieła odnajduje siebie, własny przypadek w aspekcie, który jest mu właśnie potrzebny: prywatnym, społecznym lub narodowym. Sztuka z założenia patriotyczna, ogólnospołeczna, zaangażowana jest najczęściej dydaktyczna, więc słaba, wyłączając genialne przypadki literackie.

Słyszę te gromy miłośników naszej dość jednoznacznie usankcjonowanej recepcji literatury polskiej, od zarania do co najmniej okresu międzywojnia, rzucane w kierunku osób kwestionujących wartość literatury zaangażowanej i pisanej ku pockrzepieniu serc. Nasz narodowy wieszcz, Adam Mickiewicz, najbardziej znany poeta polski od czasów romantyzmu, skończony patriota, prześladowany poeta, zmarły na obczyźnie, swoje najlepsze utwory – sonety krymskie i liryki lozańskie – napisał o sobie, o swojej tęsknocie, miłości, a nie o walce narodowowyzwoleńczej Polaków przeciw zaborczej Rosji. Przyjętą prawdą pozostaje znaczenie Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*, *Dziadów* czy *Konrada Wallenroda* w kontekście polskiego poczucia przynależności narodowej od czasów, kiedy te utwory zostały napisane, przez obie wojny światowe i okres komunizmu.

Andrzej Wajda, laureat Oskara za całokształt swojej twórczości, wybitny reżyser znany w Polsce i w świecie z zaangażowanych filmów: *Ziemia obiecana*, *Człowiek z żelaza*, *Człowiek z marmuru*, wyraził kiedyś żal, że nie nakręcił więcej takich kameralnych filmów, jak *Panny z Wilka* czy *Brzezina*, opowiadających kameralne historie zwykłych ludzi.

T.S. Eliot, z urodzenia Amerykanin, który po wielu latach pobytu przyjął obywatelstwo Wielkiej Brytanii, ma tysiące wyznawców wśród intelektualistów w Ameryce i Europie, którzy znaleźli w jego *Ziemi jałowej* siebie i swoje życie wyjałowione wojną. A przecież poeta ten poemat i wszystkie inne utwory napisał o sobie, o swoim trudnym związku z pierwszą żoną i był w tym tak bardzo prawdziwy, przekonujący artystycznie i (nie bójmy się tego słowa) uniwersalny, że stał się wyrafinowanym głosem (nie tylko) swojego pokolenia i (nie tylko) kultury angloamerykańskiej.

Taka jest rola prawdziwej sztuki. Być sobą, w sobie, we własnej kropli wody, w miniaturze wszechświata, z własnym minerałem w sercu aby, przypadkiem i nie, stać się dla innych takim, jakiego potrzebują w danym miejscu i czasie, ponad przynależnością etniczną, polityką, światopoglądem i religią.

Tak też jest z lekturą poezji Anne Carson. Nie mam pojęcia, którego kraju, okresu historii czy sytuacji dotyczy *Sprawa przeciwko sprawie przeciwko poezji*, choć prywatnie chciałabym znać odpowiedź na to pytanie jako tłumaczka tego

i kilku innych jej wierszy. Przesłanie tego wiersza jest zawsze aktualne, ponieważ uczucia w nim zawarte są prywatnym, szczerym wyznaniem poetki, że sztuka jest walką, czerwonym placem bitwy, jest „autobiografią czerwonego”.

Czytam Carson, jej *Sprawę przeciwko sprawie przeciwko poezji*, *Autobiografię czerwonego*, *Piękno męża* i nie odkrywam Ameryki, choć czuję w kościach prywatną eurekę. Czerwony kolor to ona, artystka, poetka, podmiotka liryczna, to jej prywatna golgota, ukrzyżowanie, piętno, stygmat, krew, całe arterie krwi, to kolor jednoosobowej, bojowej drużyny. To też ja. Widzę w swoim lustrze czasu czerwono-skrydłego człowieka smoka Geriona z moją wieczną purpurą niedopasowania i niespełnienia:

Jeżeli czerwony kojarzy ci się z przypadkiem lub z tym jak działa
[przypadek.
Jeżeli stopy krzyżują się w sposób, który sam się wciąga, wciąga analogie
[(Chrystus). [...]
Jeżeli czerwony jest kolorem banału.
Jeżeli czerwony jest najlepszym kolorem.
Jeżeli czerwony jest kolorem bólu sztuki.
Jeżeli Artaud jest banałem [...].

Ok. 2005

Postscriptum po dwudziestu latach

Dwadzieścia lat później potwierdzam swoje przekonanie o tym, że literatura piękna to głównie, jeśli nie wyłącznie, własne życiowe doświadczenie pisarza, poety, dramaturga. Na ogół też opis własnego życia – zerojedynekowy lub zmetaforyzowany, zdekonstruowany. Często też z fabułą wymyśloną lub skradzioną życiu – zawsze jednak z osobistym, silnym uczuciem „nie do opanowania” włożonym do serc i mózgów symbolicznych postaci.

Nieuprawnione było jednak moje postrzeganie Kanady, a tym bardziej USA – krajów przyrodzonych Anne Carson – jako antypodów „skraju wyobraźalnego”, które wydarzyło się w Europie XX wieku choćby w postaci Holokaustu. Takie patrzenie byłoby naiwne, niekompetentne, niesprawiedliwe.

Każdy ma prawo do poczucia własnej tragedii – osobistej czy też narodowej. I naiwnością byłoby sądzić, że po wojnie narodowowyzwoleńczej Ameryka nie zaznała swoich „czerwonych” traum i nie poczuła „przypalonej bomby i zagęszczonego zawrotu głowy”. I nie chodzi mi tylko o 11 września 2001 roku, kiedy wydawało się, że zatrzymał się świat, przynajmniej ten amerykański.

„Tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju możliwe i niemożliwe”, więc demokratycznie obdzielają swoją potencjalnością dobra i zła każdego człowieka bez wyjątku. Z dnia na dzień, w erze kolejnej „zimnej wojny”, zastraszeni atomem,

klęskami żywiołowymi, plagami niekontrolowanych chorób, podduszani oparami własnej cywilizacji, rozprawiamy o „nieskończonych częściach samotności” i degradacji. I mimo wszystko wciąż, na szczęście, na swój sposób afirmujemy świat. Mam nadzieję, że w większości coraz bardziej świadomi immanentnego braku wszelakich przywilejów, z geopolitycznymi na czele.

2024

Krystyna Lenkowska



Fot. Grażyna Zając

Cypr, Famagusta, sykomora posadzona obok katedry ok. 1299 r.

Anne Carson

SPRAWA PRZECIWKO SPRAWIE PRZECIWKO POEZJI

Jeśli ciało jest zawsze głębokie, ale najgłębsze na powierzchni.
Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju faktyczne i kontrfaktyczne.
Jeśli przeć i przeć i wtedy zaczyna ciągnąć.
Jeśli policja w tamtym mieście przypaliła ludziom dłonie lampą lutowniczą.
Jeśli pływają tam ciemno zabarwione lub czerwone (ciała).
Jeśli potem ona siedziała tak jak siedzi staruszka, bez spodni, zagubiona.
Jeśli by sięgać w głąb, jeśli ryć, jeśli zaryzykować wtarcie.
Jeśli punkt karmiony przez lata zaczyna nieco ożywać.
Jeśli siedząca postać wysłaby z pomysłem przesłuchania.
Jeśli byłoby mocne światło elektryczne bardzo wysokiej jakości.
Jeśli nosić się z zamiarem przesłuchania.
Jeśli przesłuchanie to pragnienie zdobycia informacji, których się nie dostaje
[wcale ani
dobrowolnie
Jeśli schowane zupełnie bez śladu w ciemności w swojej energii jest inne
[ciało siedzące,
dryfujące w twoim własnym.
Jeśli z początku brzmiałoby to jak deszcz.
Jeśli twoja obrona jest doskonała, skoro drzewa odeszły.
Jeśli rzeczy nie są trwałe.
Jeśli rzeczy są zbyt trwałe.
Jeśli nie ma twarzy, jeżeli twarzy się nie przesłuchuje.
Jeśli czerwony kojarzy się z przypadkiem lub z tym jak działa przypadek.
Jeśli stopy krzyżują się w sposób, który sam się wciąga, wciąga analogie
[(Chrystus).
Jeśli jak mówi Artaud każdy kto nie czuje przypalonej bomby i zagęszczonego
[zawrotu
głowy nie jest godny życia.
Jeśli wybierzesz co unieważnić, jeśli wiesz, jak dokonać tego wyboru.
Jeśli zaprowadzisz ją do wody.

Jeśli przyniesiesz jej prezent powiedzmy jedną z myśli Pascala.

Jeśli przyniesiesz „nieskończone cząstki samotności” (Nabokov).

Jeśli przyniesiesz trochę z Artauda jak „całe pisanie jest gównem wszyscy
[pisarze to świnie”.

Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju możliwe i niemożliwe.

Jeśli ona się stoczy, jeżeli ty też.

Jeśli czerwony jest kolorem banału.

Jeśli czerwony jest najlepszym kolorem.

Jeśli czerwony jest kolorem bólu sztuki.

Jeśli Artaud jest banałem.

Jeśli artyści mówią ci, że sztuka jest przed myślą.

Jeśli chcesz poznać rzeczy, na przykład, gdzie dokładnie jest noga.

Jeśli konie byłyby wyczerpane.

Jeśli błagałaby, jeśli podeszłaby do stołu, jeśli kolejność jest bez znaczenia.

Jeśli zaczniesz się to kapanie, to niepokaźne wolne spadanie umysłu.

Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego to ześlizgiwanie działa ci na nerwy.

Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego nie możesz dotrzeć do swoich pięknych
[idei.

Jeśli natomiast docierasz do skraju wyobraźnego, które przecieka.

Jeśli zatrzymasz ten przeciek trybem warunkowym.

Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju rzeczywiste i nierzeczywiste.

Jeśli nic się nie zgadza.

Jeśli ona czeka obok niej.

Jeśli Mirosław ostrzegłby nas, że zwierzęta eksperymentalne nie powinny
[być zbyt
inteligentne.

Jeśli dbanie o nią to noc.

Jeśli enigma weszłaby do pokoju.

Jeśli wszystkie inne enigmaty walczyłyby, aby się wydostać.

Jeśli na zewnątrz światło schodzi z wierzchołków drzew, które wznoszą się
[nad murem po
drugiej stronie.

Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju teraz jest noc i wszystkie koty
[są czarne.

Jeśli ilość zabitych przez Dawida przewyższa ilość zabitych przez Saula w
dziesiątkach tysięcy.

Jeżeli oni nie czują bólu tak jak my.

Jeśli przyjechałbyś tutaj z zabawkami na tylnym siedzeniu.

Jeśli kroplami wody napisałbyś słowo na podłodze celi i sfilmował, jak to
[wysyscha.

Jeśli Witruwiusz mówi żadna świątynia nie może być logicznie wzniesiona,
[chyba że jest
zbudowana dokładnie tak jak ludzkie ciało.

Jeśli czerwony jest kolorem kursywy.

Jeśli kursywa jest wabikiem myśli.

Jeśli Freud mówi, że relacja pomiędzy spojrzeniem a tym co się chce
[zobaczyć wymaga
powabu.

Jeśli nie możesz zapamiętać zapisanego wyrazu.

Jeśli sztuka jest sługą powabu.

Jeśli Witruwiusz nie rozmawia o rozbieraniu świątyni, ale możemy założyć,
[że ten sam kanon
obowiązuje.

Jeśli nie ma mistrza powabu.

Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju wabienie i ocknięcie.

Jeśli bez względu na to jak się balansuje na jednym nie można zobaczyć
[drugiego, nie
można nakłuć łędźwi snu, nie można przeczytać co to za wyraz.

Jeśli „kontrafakt” zastosowany do trybów warunkowych znaczy, że protaza
[jest fałszem.

Jeśli (na przykład) „jeśli nie zniszczyłbyś barometru mógłby nas ostrzec”
[oznacza, że stoimy
w ulewie.

Jeśli tak naprawdę jest bezchmurna noc powiedziałabym prawie bezlitośnie
[bezchmurna.

Jeśli tryb warunkowy stoi pomiędzy konfiturami a kondolencjami.

Jeśli nie chcesz pamiętać jaki to był wyraz.

Jeśli twoje życie oszałamia cię (szelma).

Jeśli deszcz smaga twą twarz jak grzywy wszystkich koni tego stulecia.

Jeśli tryby warunkowe są dwojakiego rodzaju wryte i gdzie jest miejsce,
[na którym mogą to
zapaść.

Anne Carson

Przełożyła Krystyna Lenkowska

Joanna Dobkowska-Kubacka

CZYTELNICZKA

1988

Czytelnik siedzący tuż za Martą rozkasał się gwałtownie, sąsiad z prawej odpowiedział mu kanonadą kichnięć. Wraz z przymrozkami zaczął się sezon na grypę. W takich miejscach jak Koszyki miriady wirusów hasają w powietrzu, razem z roztocami, zarodnikami grzybów i Bóg wie czym jeszcze. Ciekawe, ile zarazków, a może tylko historycznych pozostałości po zarazkach jest na stuletnich gazetach? Wiktor brzydził się nimi, uważał za brudne, jeśli już musiał robić kwerendę, wołał przewijać mikrofilmy. Kompletnie nie rozumiał, jak Martę mogą wzruszać ślady użytkowania sprzed stu lat, jakieś plamy na pożółkłym papierze.

– Ona jest dziwna – mówił do znajomych z wyrozumiałym uśmiechem.
– Naprawdę dziwna. Na przykład zawsze wyczuwa, gdy ktoś na nią patrzy.

Teraz też podniosła głowę znad rocznika i rozejrzała się odruchowo po sali. Natychmiast złapała spojrzenie faceta w wieku trudnym do odgadnięcia, trzydziestka równie dobrze jak pięćdziesiątka, zarośniętego nieczym Rasputin, ubranego w rozciągnięty sweter domowego wyrobu. Na oko zaniedbany pracownik naukowy, który ma ważniejsze sprawy na głowie niż troska o schludność, zapewne kolejny, któremu wydaje się, że zbawia świat albo przynajmniej robi coś niezwykle istotnego, pisząc dysertację o trzeciorzędnym osiemnastowiecznym filozofie. Rasputin z Koszyków musiał też mieć wielkie wyobrażenie o sobie, bo przyłapany na gapieniu się, nie spuścił wzroku. To Marta, zmieszana, pierwsza odwróciła swój.

– Co za bezczelny cham! – Wściekła się w duchu. Zdarzało się, że ludzie wpatrywali się w nią jakby nie mieli lepszych zajęć, ale wzięci w dwa ognie, poddawali się, udawali, że spojrzenie zbladziło w jej stronę całkiem przypadkiem. Brodacze w swetrze nie ustąpił jednak pola. Zerknęła na niego po chwili przez ramię, zza zasłony włosów i zobaczyła, że dalej się gapi. No nie!

Nie znosiła, gdy ktoś ją obserwował, zawsze czuła się wtedy nie-swojo. Oceniana. A od oceny do krytyki jeden mały krok. Za gruba – to

* Fragment powieści.

zawsze. Pewnie źle się ubrała, śmiesznie, bez gustu. Rozmazała makijaż. Zasmarkaa się. Pomazała twarz długopisem.

Próbowała nie zwracać uwagi na Rasputina, przez niego nie mogła jednak skoncentrować się na pracy. Zdecydowała więc, że poczyta sobie dalszy ciąg powieści, która nawet ją wciągnęła, głównie ze względu na ten śmieszny gest.

[...]

1888

Ostatniej nocy w Rzymie Wiktor nie zmrużył oka, tak miał myśli hypnotyzujących rojeń pełne. Aż do świtu chodził po pokoju, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Gdy dochodził do ściany, przywoływał się do porządku i tłumaczył samemu sobie, że to jeno zawrót głowy nadzwyczajną pięknnością przypadkiem poznanej panny. „Kłamstwo!” – odzywało się na to serce. I biedny pan Wiktor podejmował wędrówkę znów. Od okna do drzwi, od drzwi do ściany. Odbijał się od ściany i kierował na powrót ku oknu, przez które srebrzystym strumieniem wlewała się do środka księżycowa poświata. Tej nocy na niebie królowała uwodzicielska Luna w całej swej pełni. Ów symbol utudy, sił zwodzących słabe dusze na manowce, w takiej właśnie chwili z wielką wyrazistością postawiony przed oczyma, to znak przesłany od Boga dla bijącego się z myślami śmiertelnika. Trzeba koniecznie przezwyciężyć namiętność, poskromić pożądliwość, porzucić mrzonki – bo dla człowieka honoru nie masz drogi innej. Nad ranem pan Wiktor uroczyście poprzysiągł sobie i Bogu, iż dochowa wiary. Trzymać się będzie z dala od pokusy. Bohatersko wytrwa w obowiązkach, mimo że nieznośnie nużące i pozbawione wszelkiej ponęty wydały mu się one teraz. To okowy, pęta, kajdany – tak jest – ale w kościele, ręką kapłana, złutowane. Serce pęknąć może, one nigdy.

Po śniadaniu, którego nie tknął, wyruszył w podróż. Jechał dla oszczędności bez przystanku, choć po drodze mógłby przecież i Wiedeń, i Pragę zwiedzić, zatrzymać się w tych pięknych miastach choćby dni kilka, cóż kiedy pieniędzy nie stało. Przyjazd do ojczyzny wzmógł był ponury nastrój podróżnika. Jeszcze stały mu przed oczyma czarowne widoki Italii, wzgórza wiecznie zielone, purpurowe słońce malujące smugi na migotliwej wodzie zatoki, a tu, w kraju, przyroda jakby się uwzięła udowodniać co utracił: jesienna szaruga okryła nadwiślański pejzaż smętnym całunem szarości. Z zasępionym obliczem, kośćmi wytrzęsionymi na wyboistych drogach, zajechał pan Wiktor pod kamienicę, w której mieszkał. Ciężkim krokiem wszedł po schodach i zastukał kołatką do drzwi.

[...]

Gdy żenił się te parę lat temu, był przekonany, że z miłości; w dniu ślubu panna młoda wyglądała jak laleczka – gdyby tylko nie te jej różnokolorowe oczy: jedno zielone, drugie szare, one zawsze przyprawiały go o dreszcz niepokoju.

[...]

Siedzieli przy jednym stole, nie odzywając się do siebie. Marta nie opowiedziała Wiktorowi przygody z pomyleniem bloków, bo i po co? Nie sądziła, by miałoby go to zainteresować. Po śniadaniu, szykując się do wyjścia do pracy, starali się, jak lokatorzy, nie wchodzić sobie w drogę.

Tak samo było następnego dnia.

W poniedziałek wrócił do domu dobrze po północy. Tym razem najwyraźniej czuł jakąś potrzebę wyjaśnień, bo zaczął opowiadać, jak to samochód, cholerne stare pudło, zepsuł się, trzeba było szukać mechanika, na dodatek postawić mu flaszkę, by zechciał pracować po godzinach, potem jeszcze ten nierozgarnięty palant nie mógł znaleźć jakichś części...

Wtorkowy wieczór spędzili razem, ale w niczym to nie pomogło. Miała wrażenie, jakby siedział za szkłem. Nie sposób do niego dotrzeć. Nawet nie udawał, że słucha. Marta nic go nie obchodziła. Być może jedyne uczucie, jakie jeszcze była w stanie w nim wzbudzić, to irytacja, gdy tak żebrała o okruciny zainteresowania, setny raz o potwierdzenie miłości, którą na wieczność jej kiedyś obiecywał, którą przecież przysięgał.

W środę też cisza. Nie wytrzymała. Rozplakała się. Prosiła, by wytłumaczyć, co się stało, co zrobiła nie tak. Odpowiedział, że jest zmęczony i szara rzeczywistość go przytłacza. Nie, nie chodzi o nic więcej. Zapytała, czy w jego życiu jest inna kobieta.

– Co? – Właśnie zakładał szalik przed wyjściem, ale zatrzymał się w pół ruchu.

– Czy masz romans?

W jednej sekundzie zrobił się wściekły.

– Przestań pieprzyć głupoty! – warknął i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wrócił za kwadrans i dał słowo honoru, że w jego życiu nie ma innej poza Martą kobiety.

Przez kilka następnych dni był miły i przychodził do domu prosto z pracy. Podarował Marcie książkę o Lelewelu i maskotkę do kolekcji, choć wcześniej wiele razy powtarzał, że nie znosi tych świństw z martwych wiewiórek.

W czwartek zjawił się późno, niemal nad ranem, bo znajomy z instytutu upił się i nie można go było zostawić samego. Schlał się, niestety, kretyn na wesoło i wykrzykiwał nieprawomyślnie hasła na ulicy. Wiktor musiał odprowadzić go do domu, a po drodze uciszać, mało brakowało, by ich razem zamknęli.

W piątek spokój.

W sobotę wyszedł nie wiadomo gdzie. Gdy wrócił, powiedział, że zamierza zwolnić się z pracy, ma wszystkiego dość, same hieny w tym instytucie, zawistni, mali ludzie, podgryzają go, bo jest z nich wszystkich najzdolniejszy. Marta przejęła się bardzo i jak przystało na dobrą żonę, robiła co mogła, by okazać swoje wsparcie.

W niedzielę nie chciał już o tym rozmawiać.

W poniedziałek nie wrócił. Zjawił się dopiero we wtorek. Podobno jechał za szybko, wpadł w poślizg i wleciał do rowu – dlatego nie było go tyle czasu. Z autem na szczęście nic się nie stało, więc tatuś Marty, który płacił za małego fiata Milewskich, nie będzie się wściekał, bo na karoserii nie było widać nawet rysy.

– Miałem więcej szczęścia niż rozumu, ale nie chce mi się o tym teraz gadać, błagam, o nic nie pytaj, jestem skonany. Idę do łóżka, może złapię choć kilka godzin snu, nim będę musiał zerwać się do roboty.

W środę wrócił późno, bo spotkał kolegę z podstawówki, którego nie widział latami i poszli na wódkę.

– Jakiego kolegę?

– Co ty mnie tak sprawdzasz, czemu tak wypytujesz?!

[...]

W środę wrócił z instytutu już po południu, ale pojechał tam z powrotem wieczorem, bo zapomniał schować jakiś ważny dokument, zostawił podobno na biurku. Miał wrócić za pół godziny, nie było go cztery. Problemy z kluczem, musieli wzywać ślusarza.

W piątek za to imieniny kolegi z pracy.

W sobotę też wrócił nad ranem. Nie powiedział dlaczego, a ona nie pytała.

W niedzielę padał śnieg. Tak lekki, że nie zostawił śladów na ziemi. Wiktor pojechał około siódmej wieczorem, wrócił o trzeciej w nocy, śmierdział obcymi perfumami. Zapisywała wszystko. I wcale nie po to, by mieć ewidencję zdrad poukładaną datami, dniami tygodnia, z godzinami od – do. Tylko by nie zapomnieć, by niczego nie poplątać, nie pogubić się jeszcze bardziej. Nie dać sobie robić wody z mózgu. Taki specyficzny, podręczny notatnik-pamiętnik z czasów katastrofy. Lawina zaczęła się zsuwać ze zbocza, a ona leciała razem z nią. Cały świat się walił i nie było sposobu, by skleić go z powrotem.

Przyszłał moment, że Wiktor zniknął już na kilka dni pod rząd. Konferencja naukowa, pierwsza, druga, piąta, podobno w Poznaniu, Gdańsku, a może w Szczecinie.

W nocy pozwalala ciału trząść się swobodnie. Dopiero gdy słyszała zgrzyt klucza w zamku sztywniała, opanowując drgawki całą siłą woli.

Żałosna i niekochana. Nic nie znacząca. Czuła się jak rozdeptywany robak. Kto by się przejmował uczuciami deptanego robaka? Na pewno nie ten nowy Wiktor.

Jedyną ulgę przynosiła powieść w odcinkach. Marta doszła do wniosku, jakkolwiek wariacko by to nie zabrzmiało, że napisała ją sama – bo wiedziała, że będzie chciała wiedzieć. Kto inny pamiętałby słowo w słowo, co powiedział Wiktor, wszystko co powiedziała Marta? Jakimś cudem spełniło się marzenie o powrocie do epoki dworaków i koronek, w końcu wciąż nie wszystko wiemy o świecie, może naprawdę istnieją czarne dziury pozwalające na podróże w czasie i ona, Marta, z rozpaczcy w takową wpadła. Może właśnie rozpacz jest dźwignią przemieniającą nieprawdopodobne w zachodzące. Z dziewiętnastego wieku Marta przesłała samej sobie, wciąż jeszcze tkwiącej w dwudziestym, dar będący zarazem ostrzeżeniem:

– Uważaj kochana, nie daj się oszukać. Nie daj sobie wmówić, że nic takiego się nie dzieje. Nie daj robić się w konia. Może i nic nie znaczysz, ale nie jesteś idiotką.

Dzięki powieści podniosła się mgła, w której Marta błdziła tyle czasu, podejrzewając tylko i nie wiedząc dokładnie, co takiego podejrzewa.

Jedynie ktoś długo torturowany przez mętne przeczucia umie docenić wagę takiego daru, jedynie ktoś całkiem pogubiony wie, jak bardzo człowiekowi ulży, gdy podejrzzenia staną się w końcu faktem. Wtedy już nie ma się czego bać. Zawsze boimy się czegoś, co ma dopiero nadejść. Teraz Marta musi tylko przetrwać. Tylko! Koszmarne tygodnie, kiedy gubiła się w niejasnych sytuacjach i podejrzanych szczegółach, minęły. Nadeszły wprawdzie kolejne, też koszmarne, ale sytuacja przynajmniej stała się jasna, a szczegóły zrozumiałe nawet dla pierwszej naiwnej.

[...]

Wróciła do domu zamyślona, tak zamyślona, że kilka razy nie trafiła kluczem do zamka, w końcu udało się. Otworzyła drzwi i weszła od razu do pokoju, w butach, nie troszcząc się zupełnie o stan podłogi. Cisnęła torebkę gdzie bądź, to też zupełnie do niej niepodobne i przeszła w zabłoconych kozakach aż do kuchni, gdzie zrobiła sobie kawę mocną jak szatan. Zwykle takiej nie pije, woli lurę z mlekiem. Dziwnie, jak nie ona, czuła się, siedząc przy kuchennym stole w samo południe; o tej porze Marta Milewska z reguły jest w pracy, a jeśli ma dzień wolny od zajęć ze studentami, spędza go w bibliotece, zbierając materiały do doktoratu. W jaskrawym świetle dnia zauważyła, że ściany wymagają ponownego malowania. Firanki prania. Grzyb ukryty za zasłonką, rozrasta się swobodnie na boki, dawno nie był skrobany. Woda z kranu kapie w sposób działający człowiekowi na nerwy. Trzeba zwołać fachowca, by w końcu wymienić cholerną uszczelkę. Opozycjonista na pewno się tym nie zajmie.

Nie mogąc wytrzymać z kapiącą wodą w kuchni, Marta przeniosła się do salonu. Wypiła kawę do końca. Napój zostawił gorzki posmak w ustach, lura jednak jest smaczniejsza, subtelniejsza, coś, kiedy minął już czas lury. Bezpowrotnie. Marta zdjęła buty, zaniósła brudną filizankę do zlewu, po drodze podniosła ciśniętą na podłogę torebkę i odwiesiła na miejsce. Wróciła do pokoju i wyciągnęła z regału książkę telefoniczną Warszawy. A jak antykwariaty. Obdzwoniła wszystkie po kolei – całkiem sporo ich w mieście – pytając, bez większej nadziei zresztą, czy w którymś nie ma przypadkiem rocznika „Zarania” z 1888.

– Nie.

– Nie ma.

– Akurat tego nie, ale za to...

– Nie ma...

– Nie ma.

– Proszę chwilę poczekać, sprawdzę. – Facet po drugiej stronie linii zaszuła jakimiś papierami i stęknął. Marta wyobraziła sobie, jak podnosi opasłe cielsko z fotela i człapie na zaplecze. Cisza. Zastygła w oczekiwaniu. W końcu antykwariusz wrócił i powiedział do słuchawki:

– Jest.

– Jest? – powtórzyła zaskoczona Marta.

– No przecież mówię, że jest. Zarezerwować?

– O tak, tak, poproszę!

– A kiedy pani po to wpadnie? Mogę odłożyć do końca tygodnia, bo wielkiego ruchu w interesie nie ma.

Umówili się na piątek. Sprzedawca wziął jeszcze od niej numer telefonu, tak na wszelki wypadek, i odłożył słuchawkę ze stęknieniem.

[...]

– To do ciebie – zawołał Wiktor, patrząc na nią podejrzliwie. – Jakiś facet – dodał jeszcze, zasłaniając dłonią głośnik. Marta wzięła słuchawkę.

– Halo, halo, to pani zamawiała ten rocznik? – Dzwonił antykwariusz, choć do umówionego piątku zostały jeszcze dwa dni.

Potwierdziła. Okazało się, że znalazł się drugi kupiec. To bardzo dziwne, bo nikt latami się tą makulaturą nie interesował, przyznał antykwariusz, ale w życiu zdarzają się takie zbiegi okoliczności. Powiedział tamtemu, że egzemplarz zarezerwowany, czym go mocno zdenerwował. Facet nalegał, stanęło więc na tym, że jeśli pani, dla której to było przeznaczone, nie przyjdzie jutro rano, to antykwariusz sprzeda mu rocznik.

– Przyjdę jeszcze dziś. Już jadę – rzuciła zdenerwowana Marta. – Niech pan na mnie poczeka i nie zamyka.

Wiktor patrzył pytająco, więc wytłumaczyła, że ma na oku rzadkie wydanie Lelewela, które będzie cenną pomocą w doktoracie.

Kiwnął głową i wyciągnął pieniądze z portfela.

– Za długo się z tym cackasz, ja swój napisałem w dwa lata, a ty już cztery piszesz i końca nie widać.

Marta nie miała czasu na dyskusję, zabrała banknoty, torebkę i popędziła po schodach.

Po drodze, w pośpiechu, dosłownie staranowała dziwnego faceta w ciemnym płaszczu i ciemnych okularach. Co on myśli, że to film, że tak się ubrał? Z trudem znalazła ten antykwariat. W blokowisku Za Żelazną Bramą na parterze jednego z wielkich bloków kryła się komórka-kiszka od ścian po sufit obłożona książkami i gazetami, z podłogą zarzuconą strzępami papieru: opakowaniami, luźnymi kartkami. Całość cuchnęła stęchłą, pasztetem i kiszonymi ogórkami. Na widok klientki antykwariusz bez słowa odłożył kanapkę, poniósł się z krzesła i zniknął na zapleczu. Za moment wrócił. Podając ciężki tom Marcie, zapytał:

– Poznajesz mnie?

Miał długie włosy i brodę prawie do pasa, szary sweter robiony na drutach przez początkującą dziewiarkę. Przyjrzała mu się uważnie i skojarzyła – to ten facet z czytelní na Koszykach, ten sam, który wgapił się w nią nachalnie kilka miesięcy temu. Tak dawno temu to było, miała wrażenie, że w innym stuleciu, tyle się wydarzyło od tego czasu, świat się zmienił. Brodacza zapamiętała, bo wzbudził w niej niepokój, a poza tym zachowywał się jak ostatni cham. To chyba on, nie miała jednak pewności: lampki na biurkach w czytelní podświetlały twarze od dołu, robiąc z nich upiorne maski. Widząc, że się spłoszyła, antykwariusz powiedział:

– Jednak nie pamiętasz. Grzegorz Sadrak, do usług. Ja poznałem cię od razu, mimo że zmieniłaś kolor oczu.

Nazwisko Marta pamiętała bardzo dobrze: Grzegorz Sadrak, najzdolniejszy student w instytucie, mówiono o nim, że ma pamięć absolutną, zna osiem języków, w tym grekę i aramejski, jest niesamowity, po prostu genialny. Studiował na tym samym roku, co ona, i znali się przelotnie, na tyle, by mówić sobie „cześć, cześć”, kiedy na siebie wpadli. Kilka razy zaprosił ją na kawę, ale akurat nie mogła – a właściwie nie chciała – z nim iść. Wykładowcy wiąźali z Sadrakiem wielkie nadzieje, uważali, że ma szansę zostać najmłodszym profesorem swojego pokolenia. Kariera naukowa stała przed nim otworem. Pewnego grudniowego dnia 1981 roku zniknął. Nigdy więcej nie przyszedł na zajęcia. Mnożyły się teorie, co też mu się mogło stać, najbardziej popularna wersja głosiła, że wpadł w ręce bezpieki. No bo co innego mogło się przydarzyć młodemu, inteligentnemu człowiekowi w grudniu 1981 roku? Wprowadzie Sadrak nigdy wcześniej nie wykazywał zainteresowania aktualną polityką, lecz z tego tylko wniosek, że się dobrze kamuflował, przecież nie zabraliby go, gdyby nie działał w opozycji.

– No właśnie – dowodzili inni. – Kamuflował się dobrze, lecz nie za dobrze, skoro SB wpadło na jego trop. Pewnie go internowano.

Internowani wrócili po roku, Sadrak nie wrócił. Dziekan próbował dowiadywać się o jego los, ale delikatnie, by nie być w nic wkręconym, tak delikatnie się dowiadywał, że niczego się nie dowiedział. W końcu Sadraka skreślono z listy studentów. Ponoć profesor języków martwych i starożytnych upił się w trupa przy tej okazji, nie wiadomo czy z rozpacz, czy też z ulgi, że nikt go szybko nie wygryzie ze stanowiska.

Przez cały okres stanu wojennego i następne lata studenci opowiadali sobie historię porwania i zamęczenia przez bezpiekę geniusza Grzegorza Sadraka. Marta czuła wyrzuty sumienia, że nie umówiła się z nim na tę kawę, bo coś mu się od życia należało, skoro w bliskiej przyszłości miał okazać się niezłomnym męczennikiem za sprawę narodową. Legenda głosiła, że nikogo nie wyspał, z połamanymi żebrami, przez dziury po wybitych siekaczach, śpiewał *Boże coś Polskę, Przeżyj to sam, Wyrwij murom zęby krat*. Został bohaterem studenckiej opozycji, traktowany niczym świecki Popiełuszko.

I oto teraz stoi przed Martą, całkiem żywy, w szarym, nieco rozprutym swetrze o nierównych ściegach, z długimi, potarganymi włosami, niezdrową cerą. Wygląda na dwadzieścia lat więcej, niż ma, postarzają go zwłaszcza worki pod oczami. Ale wzrok nadal bystry. On pierwszy, poza najbliższą rodziną zauważył, że Marta nosi soczewki. To jasne, czemu się tak na nią gapił w czytelnici; po prostu ją poznał i czekał, aż ona rozpozna jego. Tymczasem nie poznała, bo bardzo się zmienił.

– Cześć – powiedziała słabym głosem. – Co ty tu robisz?

Antykwariusz roześmiał się.

– To chyba widać. Sprzedają stare gazety.

– Ale dlaczego? To znaczy, mogłeś przecież zostać na uczelni, robić karierę naukową, a nie skończyć, jak, jak...

– Kloszard? Prawie kloszard? Prawda ma swoją cenę. Ja ją zapłaciłem. Chciałem wiedzieć i wiem. A teraz przyszła kolej na ciebie. Czy jesteś gotowa zapłacić za prawdę? Ile jesteś gotowa zapłacić?

Znaczy się zwariował. A szkoda, był taki zdolny. W 1981, owszem, pewnie go zamknęli, tyle że nie w lochach bezpieki, a w szpitalu psychiatrycznym. Dzięki Bogu, że nie poszła z nim na kawę.

– Ile ten rocznik kosztuje?

– Nie chodzi tylko o stare gazety, nie chodzi tylko o pieniądze.

Bez sensu klócić się z wariatem, Marta wyciągnęła dwa banknoty i położyła na blacie.

– Miło było cię spotkać – powiedziała uprzejmie na pożegnanie.

– Jeszcze się zobaczymy – odparł antykwariusz.

Za oknem zapadał już zmrok. Mieszkanie było ciche i puste. Wiktor wyszedł nie wiadomo gdzie, nie wiadomo kiedy wróci. Marta usiadła w fotelu w salonie, na stoliku obok postawiła kubek z kawą mocną jak szatan. Czas lury minął definitywnie. Trzeba przyzwyczaić się do stale obecnego w ustach gorzkiego posmaku. Oparła na kolanach rocznik w tekturowej oprawie. Otworzyła go ostrożnie, jakby znienacka miał wbić zęby w rękę czytelniczki. Przerzuciła kilka kartek i znalazła odcinek swojej powieści.

Wiktor...

Ścisnęło ją w gardle i w żołądku. No dalej, sama chciałaś.

...siedział przy stole poirytowany. Denerwowała go pieczeń – spalona i niedopieczona zarazem, solniczka, bo sól nie chciała z niej szybko lecieć, goście zaproszeni na obiad, nudziarze i gbury, świat cały. Z trudem przychodziło mu zachowanie grzeczności wobec towarzystwa, a przy służącej już się nie hamował. Warczał na podającą do stołu Zofię, rzucając spojrzenia tak wrogością przepętnione, że Bogu ducha winnej pocziwinie aż się ręce roztrzęsły. Tylko patrzeć zaraz coś wyleje, zaplamie czysty obrus, rozsypie cukier, albo się i przy obcych ludziach rozpłaczę. Na Martę Wiktor rzadko spoglądał, jak już, to też wilkiem. W czymże mu zawiniła? W kółko zadawała sobie te same pytania: czym, dlaczego? Jego przestała już o to pytać. I tak nie odpowiadał. Raz tylko, gdy odważyła się napomknąć, niby żartem, że może kto inny podoba mu się bardziej niż własna żona, zrugał za gadane głupoty, do niczego zaś się nie przyznał. Mimo to, instynktem wiedzona, cały czas przeczuwała, że jedynie obecność innej kobiety w jego życiu może być wytłumaczeniem takiej dziwnej i strasznej wobec żony obcości. Bo czymże mu Marta zawiniła? Dlaczego przestał widzieć w niej ukochaną, księżniczkę, skarb najmiłszy? Nie mogła opędzić się od wrażenia, że odgrodził się od niej jakoby taflą szklaną. Mogła przez nią Wiktora zobaczyć, ale dotknąć już nie. Słowa przez szybko też nie docierały. Dom stał się pułapką jak z nocnego koszmaru, upiornego snu o ludziach, niegdyś najbliższych, którzy obcy i nieznani sobie się okazali. Nie sposób normalnie porozmawiać, wytłómaczyć, co się stało. Nie sposób też uwierzyć, że miłość, ta ich wielka miłość, umarła – z jego strony umarła, bo jej, żywa do bólu, kwiliła żałośnie jak porzucony dzieciak, nieszczęśliwa, zbита sierota.

Przeraźliwie zimny, tak zimny, że aż mrozący krew w żyłach, narzucający przez Wiktora dystans. Ustawiona przez niego bariera między nimi. Jak szkło właśnie. Można przez nie patrzeć do woli, wsłepiać się aż do załzawienia oczu, ale nie da się, choćby opuszką palca, dotknąć. Marta wciąż widziała Wiktora – a raczej mężczyznę, który wyglądał jak Wiktor – w żaden sposób nie była jednak w stanie po niego sięgnąć, nawiązać nici porozumienia, przypomnieć o miłości, którą jej wyznawał. Za szklaną ścia-

nę słowa nie docierały. I wszystko to – co za banalna sytuacja – przez jakąś panienkę, zapewne koleżankę z pracy, wymalowaną zdziwę. Wcale nie polityka. Gówno prawda. Polityka miała tylko rozmazać Marty spojrzenie, założyć jej na oczy kolejne błękitne soczewki. *Podejrzenia. Tropy. Brudne ślady na czystym śniegu. Śnieżnobiałe ramiona otaczające szyję wiarołomnego. Zbliżające się do jego warg purpurowe wargi nierządnicy. Leciąły Marcie przez głowę różne straszne, grzeszne roidła. Oczyma duszy widziała, jak Wiktor pełnym haustem pije słodyczne upojeń. Z inną kobietą. To znowuż z nią samą. I znów z tamtą. Nigdy dotąd fantazyja Marty nie plamiła się podobnymi obrazami. Teraz jednakowoż nie mogła ich od siebie odpędzić. Były jak zlatujące się do truchła drapieżne kruki. Jak nie odpuszczające, aż do pierwszej krwi, uporczywe insekty. Podpełzające, podstępne, jadowite. Wiktor i tamta kobieta, królowa węży o fiołkowych oczach, smukłym ciele i powłóczystych ruchach. Wiktor i ona sama.*

Czuła się zbrukana własnymi myślami: nie wolno grzechu Wiktora rozpamiętywać, nie wolno chcieć wiedzieć więcej, chcieć wiedzieć cokolwiek.

Marta nie powinna żadnych brudnych szczegółów znać, a tym bardziej sama plugawych wizji snuć. Przystoi jedynie modlić się i żywić nadzieję, że Bóg wysłucha w końcu błagań zrozpaczonej żony. A jeśli nie wysłucha? Czysta jak lilija chrześcijanka ćwiczy się w pokorze i cierpliwości, przyjmuje wszystko, co życie zsyła. Nigdy nie sprzeciwia się wyrokom Opatrzności, nie skarży na niesprawiedliwość, nie rozgłasza swej krzywdy.

I przebacza; każdą zadaną sobie ranę, każdą na nowo otwartą, przebacza. Ofiarowuje swoje cierpienie Bogu.

– Lecz cóż to za Bóg, który chce dostać cierpienie od człowieka? Co za Bóg, łasy na łzy?

Ale to szatan zawsze prawi człowiekowi o buncie. Wyczuł teraz sposobność i twardo walczył o kolejną duszę.

– Nie chcesz li wywieść się w czymże tamta od ciebie lepsza? Która to? Jak wygląda? Jak się zachowuje? Co mówi?

Może gdy Marta ją zobaczy, pozna konkurentkę, dowie się, co tamta w sobie ma, a ona nie, zrozumie przyczynę dla której nie potrafiła zatrzymać przy sobie męża. Będzie wiedzieć, co robić.

Właśnie. W czym tamta jest od niej lepsza? Może mają więcej tematów do rozmów, więcej wspólnych zainteresowań. Bo o czym Marta ostatnio rozmawiała z Wiktorem? O doktoracie? Lelewl to straszne nudziarstwo, nawet dla niej samej. Mniejsza o rozmowy, na pewno tamta jest lepsza w łóżku.

Goście poszli, Wiktor zaraz po nich. Nie wiadomo, kiedy wróci. Zrobił się z niego wędrowny ptak, do gniazda, jeśli w ogóle dom za gniazdo jeszcze uznawał, zaglądał z rzadka. Na niedzielny obiad przybył jedynie dla

zachowania pozorów przykładowego małżonka – „aby ludzie nie gadali”. Kiedy nie musiał odgrywać roli pana domu, zostawiał Martę samą, bez żadnej wymówki, nie dbał już bowiem o wymówki, z dniem ku wieczorowi schodzącym i własnymi myślami do towarzystwa.

Ciemno, coraz ciemniej, za oknem pogasły latarnie. Znow awaria, albo prąd oszczędzają.

A tak ją kiedyś kochał.

Tak, szalał za nią po prostu. W przeszłości.

– Nie, ja radzę, nie próbujcie nigdy powtórzenia przeszłości waszej – pisała lubiana przez Martę poetka. – Kto kochał, niech już swoich ukochanych nie szuka, nie spotyka po latach. Kto stracił, niech nie odzyskuje.

Nigdy bowiem nie odzyska się tego samego. Nawet gdyby Wiktor skruszony do Marty powrócił, nic nie będzie już tak samo. Jak znow uwieżyć w jego miłość? Nie można wejść drugi raz do tej samej rzeki. Nie sposób przywrócić tego, co było. Nie da się odwrócić tego, co się stało.

– Ale jak on mógł tak się zmienić, tak strasznie zmienić?– Myślała Marta. – Kiedy to się zaczęło?

Przestał być sobą po powrocie z zagranicy.

Tak, właśnie wtedy coś się między nimi skończyło. Zaczął znikać na wieczory, potem noce, w końcu noce i dzień. Pewnie spotkał tamtą w podróży i w Warszawie kontynuowali swój brudny romansik.

Z tak wydobywanych i oczyszczanych materyałów rozum buduje zaraz pewne całokształty wypadków i stosunków.

Czas otworzyć oczy.

Gdziekolwiek działała rzeczywista inteligencja na podstawie dowodów przejętych bezpośredniością życia, tam już zraq dzieła nietknięty przez czas utrzyma się i zostanie.

Nie można dalej dać się oszukiwać.

Pewnego dnia, w pracowni, stało się to, co było nieuniknione.

– Wiedziałam! Czułam to!

W jej spojrzeniu taka wabność gorąca. Marta przy Karolinie to świeca przy piorunie.

A prosiła przecież, płakała, pytała tyle razy. Tylko mi powiedz, tylko mi powiedz prawdę. Niczego więcej od ciebie nie chcę, tylko powiedz mi prawdę. On na to, że ma już tego dość. Dość tego skamlenia. Pewnego razu wyrwało mu się, że nawet gdyby miał kochankę, nic by Marcie o tym nie powiedział. To wystarczyło, by była prawie pewna. Ale tylko prawie. Jeśli nie inna kobieta, to co? Błagała, by powiedział, o co mu w takim razie chodzi. Odparł, że nie może tego zrobić, bo niczego na tej ziemi nie jest już pewien. A potem wymyślił tę całą politykę-opozycję. Marta prawie się

nabrała. Prawie. Mimo wszystko, wciąż nie mogła uwierzyć, że tyle czasu kłamał. Ciemność podpełzła bliżej. Zgasły światła w sąsiednich blokach. U Marty jeszcze się paliło. Mogła czytać dalej.

Zaiste upadł i jeszcze anioła pociągnął za sobą. Skoro i tak jest przeklęty, niechże będzie choć szczęśliwy. Wyjadą razem...

Marta jednym tchem wypila do końca zimną już kawę, jak, nie przymerzając, biblijny kielich goryczy.

...on ją już przecie w lata wpędza, biorąc dziewicę, zamknął przed nią inne drogi, Związany jest teraz z Karoliną również honorem. Czy ma jednak jeszcze jaki honor?

Nie.

Zapagnął umrzeć w bogini swojej objęciach. Wyjadą razem, do Italii, krainy barw i poezji, daleko od szarego, przybitego, broczącego krwią i nienawiścią kraju, daleko od pełnych potępienia spojrzeń ludzi przyziemnych, ograniczonych, wiecznej miłości i prawa do osobistego szczęścia nie rozumiejących. Tam niech się dokona to, co dokonać się musi.

Choć rocznik wyglądał na kompletny, powieść urywała się z niewyjaśnionych przyczyn. Czytelniczka nie znalazła ani następnego odcinka, ani słowa wytłumaczenia od redakcji dlaczego go nie ma. Na miejscu *Wybudzenia przez L.R.* zaczęto po prostu drukować inną powieść, jakiś gniot, literacką słabiznę o powrocie panicza z wielkiego świata do starego dworu i podjęciu zaniedbanych na ojczystej niwie obowiązków. Kogo to obchodzi? Marta niecierpliwie przewertowała tom do końca. Naderwała przy tym jedną ze stuletnich kart; kiedyś poczytałaby to sobie za zbrodnię nie do wybaczenia, teraz nawet tego nie zauważyła. Jedyne, co ją obchodziło, to następny odcinek. Nie było go. Sprawdziła jeszcze raz. Nie ma, nie ma, nie ma. Przecież żadna powieść nie może się tak bez sensu kończyć. Bez morału. A ta na dodatek, pozbawiona finału i konkluzji, byłaby tylko prowokacją, bezużytecznym, bo bez wskazania drogi ewakuacji, ostrzeżeniem przed realną przecież katastrofą, pustą, okrutną kpina z nieszczęścia. Żadnym tam wyimaginowanym ratunkiem – torturą. Torturą, dlatego że nie wiadomo, co dalej.

I nagle w mroku pogrążyło się wszystko. Zgasło światło w mieszkaniu. Nie ma co pytać sąsiadów, czy u nich też wyłączyli, bo okna bloku naprzeciwko odbijały ciemność, która opanowała blok Marty. Awaria totalna. Musiały objąć całą dzielnicę. A może wydarzyła się tylko przerwa w dostawie albo wyłączyli prąd dla oszczędności. Co za świństwo robić to w taką noc – bez gwiazd, księżycy, nawet śniegu, który w godzinie próby mógłby choć odrobinę zaiskrzyć.

Nie pozostało nic innego, jak pójść do kuchni po świeczki i zapałki. Podniosła się z fotela i straciła orientację. W tych egipskich ciemnościach

nie miała pojęcia, w którą stronę powinna skrócić. Ruszyła więc prosto przed siebie, niepewnym krokiem, wyciągając ręce: dojdzie do krańca pokoju i zorientuje się, gdzie jest. Ale tam, gdzie powinna być ściana, nie było ściany, na jej miejscu rozciągała się zatopiona w ciemności nieskończona przestrzeń. Marta zawróciła więc i poszła w przeciwnym kierunku, wciąż wyciągając przed siebie ręce. Nie natknęły na żaden opór. Pustka. Nic. Tu też nie było ściany. Pokój przecież nieduży, jak to w bloku, wcześniej czy później człowiek musi trafić na mur; posuwając się wzdłuż niego, nie odrywając rąk od tynku, macając tapetę, dotrze do drzwi. Szła i szła, bariery nie było. Zaczęła liczyć kroki, pięćdziesiąt, sto, niemożliwe, ale nie ma ściany; jest za to przestrzeń bez granic, krawędź czarnej dziury. Jeśli zrobi kolejny, jeszcze tylko jeden krok, spadnie bez ratunku w przepaść.

Z tyłu, na karku poczuła dochodzący powiew, jakby czyjś oddech, wstrętny zimny chuch. Coś tylko czekało na tę awarię prądu. Już wcześniej odnalazło Martę w jej jedynym schronieniu i zaczęło się w kącie, ukryło za zasłonką w kwiatki, wyczekując dobrego momentu. Nasyłało na nią robaki, ciekłą uporczywie z kranu wodę, rozrastającego się na wszystkie strony grzyba. Mówiło do niej przez posłańców: „wiem, gdzie mieszkasz” i „idę po ciebie”. A ona, głupia, nie odczytywała w porę sygnałów, nie wiedziała, że to coś już ją namierzyło. Teraz wrzuciło mieszkanie w inny wymiar, sprawiło, że pojawiły się w nim miejsca, których nigdy nie było, czarne dziury, tajemnicze pomieszczenia, przedpokój prowadził do nieznanych przedpokoi, salon rozciągał się w we wszystkie strony. W czeluściach Marta cudem wymacała stolik z telefonem i wykręciła po omacku numer do matki. Ale tak jej się tylko wydawało, bo w słuchawce odezwał się obcy głos:

– Słucham. Słucham!

Odłożyła słuchawkę z płaczem. Zadzwoiła drugi raz. Pewnie znów pomyłka. Ale nie. Tym razem to była mama.

– Mamo!

Z jej szlochów matka zdołała zrozumieć tylko tyle, że wyłączyli światło.

– No, ale po co ta histeria. Zaraz do ciebie przyjadę z latarką.

Nim dotarła z Konstancina, z latarką, zapasem baterii, pudełkiem świec, pięcioma paczkami zapalek, zdążyli już przywrócić prąd.

Joanna Dobkowska-Kubacka

Ryszard Mścisz

ZNIESŁOWIENIE

słowa ulęgałki z przekroczonym terminem
ważności pełno ich a jakoby nie było
żadnego
każdy ma swój słownik by wypatrzeć jak
wypaczyć obrócić mierzyć na zamiary

język giętki prędki szybszy od sensu
ślini miele wypłuka zniesłowia
wielkość przemienia w nijakość
w końcu pokazuje się
sam

siedzę samotny osłowiwały bezradny
odznaczam ich znaczenia
badam temperaturę tętno ciśnienie skałę
szukam w oczach drżeniu rąk biciu serca
kiwam głową z niezrozumieniem

nie wypowiadam najważniejszych by
ocalały były sobą choćby w samotności
a może nabrały sił odzyskały sprawność
zyskały procent od wartości

EPITAFIUM ANDRZEJA TOPCZYJA

odszedł na wieczną emeryturę
w dniach gorących jesiennych marzeń
o wieczornym chłodzie o tym by
„trwać w pięknie, smakować, huścić się”

nie zabrał swej bieckiej kanapy
chciał w stronę ulicy Parkowej myślał
że jeszcze nie zasłużył na niebo przecież
tyle jeszcze miał napisać tak wiele zostało
dobra do rozdania tym których kochał
czyli wszystkim

zastanawiał się jak stanie przed Panem
nie wiedział że będą razem obchodzić
imieniny andrzejki nie obstawiał
że wygra choroba oszukując wyjmując
karty z rękawa przeciw królom i asom

rodziny przyjaciół nie chciał prosić
o ciche modlitwy płomienie znicza
spisywanie wspomnień łzy ocierane skrycie

gdy oznajmiał ostatnim wierszem z tomiku
„to by już było wszystko” nie spodziewał się
tak marnej interpretacji nadinterpretacji
jak w złej szkole programie systemie

chciał przecież zapisać sobie
„każdym oddechem głębiej zanurzać się w życie”
nie myślał o zaciszu cmentarza grobie
na którym uczucia bliskich swoimi słowami objął
„wszędzie jest twoja nieobecność i z każdym dniem
bardziej cię nie ma...”

KLUCZ DO POKOJU

to niezły zgrzyt klucz do pokoju
zamyka otwiera broni dostępu
izoluje w samotności chorych
na władzę podbijanie
oczu narodów stempla
cenzury w pamiątnikach i listach

nie lgnie do cudzych rąk
„thirty door key?” nie jest
zaborczy woli swoje cztery
stojące frontem do niego
ściany
lubi otwartość nawet
w zamknięciu

ceni własny dom cudze nie są
dla niego nie pasują
otwierają inne sny

BOGINI*

Tamten ranek był podobny – pomyślał. Słońce rozświetlało drzewa, wysnuwając z nich ciche, lekko płasające driady. Zieleń królowała soczyście u ich podnóża, a skowronki wielbiły spokój natury swym śpiewem. To było ukojenie, azyl wolności od ludzkich intryg, obłudnych gier, wszechwładnej zawiści. Cudowny beczas w gonitwie życia, która nie ma końca. I nagle zobaczyłem jej uśmiech spontaniczny i szczery. Uśmiech tak naturalny – zdawałoby się – w tym miejscu. Była niczym kolejny fenomen natury – tak nieludzko pokorna w swym człowieczeństwie. Czy to bogini tego miejsca? Bo przecież jakże ją można było przenieść do zwykłego bagna ludzkich spraw? Jakim sposobem unurzać ją w kałamarnu zbytecznej treści pospolitego dnia?

Podszła do mnie delikatnie, lekko, ale bez nieśmiałości. Czyżbym był tu na tyle długo, aby wyjść świeżo z szarego kurzu powszedniego dnia? Na włosach miała świeże krople świtu, jej oczy błyszczały jak ciche źródelka nadziei. Patrzyła tylko, ale w jej twarzy, postaci promiennej było wszystko, co potrzebne, by przemówić. Milczała i wiem na pewno, że to była jej najwłaściwsza mowa. W tym milczeniu odczułem całe brzemie słów, których codziennie tyle muszę z siebie wylewać. Słów, których więszczość jest niepotrzebna, stracona w momencie przetwarzania w dźwięki, dzieląca miast łączyć. Słów, które zawsze brzmią nutą fałszu, niepewności, wieloznaczności. Jej wdzięczna postać wyrażała wszystko – tę całą potęgę

* Z przygotowywanej do druku książki *Człowiek z mgły i inne opowiadania*.

dobra, które nie potrzebuje tłumaczeń, uzasadnień, nachalnego alibi co krok. Podała mi dłoń i przelała na mnie cały swój błogi spokój, słodką niepamięć, która wyzwała, oczyszcza z trosk. Przez parę chwil wiedziałem, co to szczęście...

A jednak nie jest tak samo. Mój wzrok przegrywa z czymś, co tkwi w środku jak zadra. Nie czuję tak samo, ludzie dali mi w prezencie swój brudny niepokój. Nazwali ją wariatką, a ich śmiech rozlał się w mej duszy jak szyderstwo, jawa, co zabija sny. Dla nich to była głuchoniema dziwaczka, która tylko przez przypadek zaplątała się w życie. Jej urodę zamieniali w naiwność i prostotę. Znów nie miałem odwagi, by widzieć swoimi oczami. Znowu nie byłem na tyle niezależny, aby mówić swoimi słowami. I nie potrafiłem unieść serca na dłoni – bezbronnego jak dobro ukryte w niewinności.

Ryszard Mścisz



Marek Piśko, *Bogini*, rysunek przetworzony cyfrowo, 2024

Monika Zając-Czerkies

PATRZĄCY W SIEBIE

Wiesz,
gdyby tak
zostawić ich
na chwilę samych

To zupełnie
jakby dać dzieciom

Zapałki

4 sierpnia 2024 r.

MORGI

Starczyło życia
Na dwa

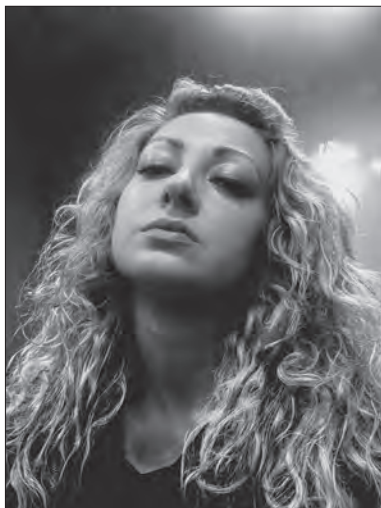
Szony

A miłości
Do końca

Wydłużyła
Byt

O dwie morgi
Do gwiazd

10 sierpnia 2024



Monika Zając-Czerkies

MIĘDZY WIERSZAMI

Ułóż mnie do snu –
jestem kotem bezdomnym
Lubię dotyk i mruczenie
Ale możesz też mówić do mnie
Powiedz, że jeszcze nie było
Takiej galaktyki, jak ja
A zasnę spokojna

28 sierpnia 2024

SYMFONIA PASTORALNA

Zauważasz sztormy za oknem a popatrz
jak drży powieka czy wargę
chcą coś szeptać

Prostuje się niebo od jej słów
które mogłaby mówić,
gdybym miała komu

Śpiewa je, mruczy
Przymyka oko, mruży
Zamyka jak okno
Ze strachu przed przeciągiem –

Dawno nie była chora
z miłości,
lepiej uważać

14/15 września 2024 r.

INSPIRACJA NOCNA

Cicha noc, jak nie każda
Nie ma snu ani kołdry
Za to poduszka wypchana
Na gęsto i do twardości
Delikatnością konwalijek

Sny są osobne
mają podkład muzyczny
i wyprostowane plecy
Swoj wzrok i grupę krwi

Tak rzadką aż poszukiwaną
Tak pożądaną aż do ciszy nocnej

A ty leżysz teraz nieruchomo
Przewidując przyszłość

15/16 września 2024 r.

MIAROWOŚĆ ODDECHÓW

Stanie w bramie
może mieć posmak lata
i nijak mu do jesieni

Zamiast wilgoci powietrza
staje się
oblepiającą mgłą zażyłości
Otula pełnią uwielbienia

Ma swój zapach, co zamyka powieki
Pomruk aprobaty i spokoju

Wirujący świat ustępuje miejsca
owej bramie
by nie przeszkadzać
zatrzyma nawet czas

By trwanie to miało
możliwość kwitnienia
i zapachu pełni

Przenikającego wdech
i niepamięć

14/15 października 2024 r.

Zastukały mi szyby tobą
i to nawet nie deszczem
czy wyjąłym wiatrem

Ot, zwykle takie zawodzenie
tęsknotami co pchają się
nieproszone
nieznające czułości
bo każdy się ich boi

Nawet ja
a głaskać je muszę

17 października 2024 r.

Monika Zająć-Czerkies

Wiktoria Kulak

SANATORYJNE TROPY W POWIEŚCIACH MAŁGORZATY SARAMONOWICZ *SANATORIUM* ORAZ EMILII WALCZAK *DIABLICA*

W drugiej połowie XX wieku wraz z rozwojem farmakologizacji leczenia gruźlicy fundamentalnemu przeobrażeniu uległ nie tylko proces terapii chorych, ale także sposób funkcjonowania i obrazowania życia sanatoryjnego w literaturze¹. Choroba ta, będąca przez wieki kulturowym fenomenem, stała się tematem wielokrotnie opisywanym przez pisarzy² oraz omawianym przez literaturoznawców, kulturoznawców i socjologów. Wystarczy wspomnieć klasyczne już studium Susan Sontag zatytułowane *Choroba jako metafora*, w którym pisarka, analizując źródła naukowe i utwory literackie, rekonstruuje mitologię gruźlicy oraz demistyfikuje jej ideologiczne fantazmaty³.

Można by założyć, że w ślad za postępem medycyny, dzięki któremu gruźlica stała się chorobą uleczalną⁴, nastąpi zanik tego motywu literackiego. Tymczasem Inga Iwasiów w opublikowanym kilkanaście lat temu szkicu dowodziła jego negatywności: „sanatoria są eksterytorialnym rajem zamieszkiwanym przez niekończące się narracje [...]. Nie zawsze jest to dosłownie sanatorium, raczej coś w rodzaju aluzji do tegoż, jakaś zorganizowana wokół opowiadania, zawieszona ponad światem, poza codziennością przestrzeń”⁵. Powyższe stwierdzenia otwierają pole do refleksji na temat współczesnych reprezentacji literatury sanatoryjnej. Zgodnie z rozpoznaniem szczecińskiej uczonej nie będą to wyłącznie powieści wpisu-

¹ Narracje sanatoryjne można postrzegać jako odmianę powieści środowiskowej, która zmierza ku panoramicznemu ujęciu kuracjuszy z różnych grup klasowych i społecznych, reprezentujących odmienne światopoglądy i postawy życiowe, odbywających kurację w uzdrowiskach, dostosowujących się do panujących tam norm i obyczajów. Odizolowani od świata pacjenci tworzą subkulturę o specyficznym rytmie życia, nie zawsze zrozumiałym dla ludzi zdrowych. Zob. K. Bałżewska, „Czarodziejska góra” w literaturze polskiej. Ślady/interpretacje/nawiązania, Katowice 2017, s. 210.

² Początki poznawania etiologii suchot sięgają pierwszej połowy XIX wieku. Zaczęły wówczas powstawać pierwsze sanatoria, do których kierowano gruźlików na kurację klimatyczno-dietetyczne. Gruźlica przyniosła w wieku XIX śmierć około jednej czwartej populacji Europy. Dopiero w połowie lat 40. XX wieku, dzięki stosowaniu szczepionki przeciwgruźliczej (opatentowanej w 1921 roku we Francji przez Alberta Calmette’a i Camille’a Guérina) oraz streptomycynie można było uznać ją za uleczalną.

³ Zob. S. Sontag, *Choroba jako metafora. AIDS i jego metafory*, przeł. J. Anders, Kraków 2016.

⁴ Początki poznawania etiologii suchot sięgają pierwszej połowy XIX wieku. Zaczęły wówczas powstawać pierwsze sanatoria, do których kierowano gruźlików na kurację klimatyczno-dietetyczne. Gruźlica przyniosła w wieku XIX śmierć około jednej czwartej populacji Europy. Dopiero w połowie lat 40. XX wieku, dzięki stosowaniu szczepionki przeciwgruźliczej (opatentowanej w 1921 roku we Francji przez Alberta Calmette’a i Camille’a Guérina) oraz streptomycynie można było uznać ją za uleczalną.

⁵ I. Iwasiów, *Literatura sanatoryjna*, „Tygodnik Powszechny” 2010, <https://www.tygodnikpowszechny.pl/literatura-sanatoryjna-145166> [dostęp 11.05.2024].

jące się w zaproponowaną przez Jensa Herltha kategorię „tekstów sanatoryjnych”⁶, w których bohater i otaczające go społeczeństwo podlegają strategii uniezwyklenia normalności, dzięki czemu pobyt w sanatorium przypomina bardziej kurację wypoczynkową niż leczniczą:

Sanatorium jest przedstawione jako „hotel na niby”, w którym pacjenci prowadzą całkiem „normalne” życie; choroba i umieranie usunięte są na dalszy plan. Jednak fundamentalna odmienność rzeczywistości sanatorium prześwieca przez beztroską powierzchnię świata kurortu wypoczynkowego. „Normalność” jest tutaj rekonstruowana kosztem odcięcia od „normalnego” świata⁷

Topos sanatoryjny pojawia się we współczesnej prozie w różnych konfiguracjach i odsłonach. Pisarze i pisarki reinterpretują bądź redefiniują kulturowe znaczenia uzdrowisk; tworzą powieści stylizowane, czerpiące z różnych gatunków i tradycji, nierzadko polemizujące z Mannowską wizją sanatorium⁸, która ukształtowała się na początku XX wieku pod wpływem specyficznych czynników historyczno-społecznych związanych z rozpowszechnianiem się gruźlicy. Bohaterem tych narracji był zazwyczaj młody mężczyzna o intelektualnych i artystycznych inklinacjach, u którego zdiagnozowano gruźlicę, dlatego udaje się on na długoterminową kurację klimatyczno-dietetyczną w specjalistycznym zakładzie leczniczym w nadmorskim bądź górskim uzdrowisku. Na płaszczyźnie fabularnej zwraca uwagę powtarzalność tematów, na które składają się: refleksja o czasie⁹, poczucie nudy, samotność, dywagacje o polityce i historii, na podstawie których można wyciągnąć wnioski o stanie organizacji społecznej oraz o wewnętrznych sprzecznościach kształtującej się psychiki¹⁰. Katarzyna Bałżewska konstatuje: „bohaterowie tego typu utworów

⁶ Tak Herlth uzasadnia swój wybór: „Stworzyłem ten termin przez analogię do pojęcia «tekstu petersburskiego» w literaturze rosyjskiej, zaproponowanego przez Włodzimierza Toporowa, przedstawiciela tartusko-moskiewskiej szkoły semiotyki. Toporow przyjął, że można wyodrębnić wiele wspólnych motywów i cech semantycznych, łączących teksty literackie, których akcja toczy się w Sankt Petersburgu. «Tekst petersburski» jest niczym innym jak wirtualnym makrotekstem nacechowanym orientacją na miejskość, demonizm, fantazmaty, podejmującym kwestię stosunku między naturą a cywilizacją, państwem a jednostką, kulturą a imperium. [...] teksty o sanatoriach, zakładach leczniczych, uzdrowiskach i podobnych miejscach podzielały pewne wątki semantyczne, wychodzące poza wspólną lokalizację i wspólną ramę historyczną, obejmującą czas mniej więcej od roku 1860 do lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy leczenie gruźlicy zostało zrewolucjonizowane przez odkrycie antybiotyków, a topos sanatorium stracił swój status centralnego punktu, w którym odbywa się specyficznie nowoczesne doświadczenie choroby i śmierci w sytuacji pewnej izolacji od otaczającego społeczeństwa, gdzie jednostka zostaje wyrwana ze zwykłego środowiska i wrzucona w nowe otoczenie”. J. Herlth, *Słodko-gorzkie heterotopie*. Bruno Schulz i „tekst sanatoryjny” w europejskiej lekturze okresu międzywojennego, „Wielogłos” 2013, nr 2 (16), s. 27–28.

⁷ Tamże, s. 28–29.

⁸ Polemiczną grę z *Czarodziejską górą* Manna podejmuje m.in. Olga Tokarczuk w powieści *Empuzjon* (2022).

⁹ Por. A. Wojciechowska, *Literacki eksperyment myślowy. Czas fizyczny w „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna*, „Teksty Drugie” 2020, nr 4, s. 332–349. O czasie w tej powieści pisał także Paul Ricoeur w książce *Czas i opowieść*, t. 2, przeł. J. Jakubowski, Kraków 2008.

¹⁰ Zob. J. Herlth, dz. cyt., s. 26.

zdolni są do prowadzenia rozmów dotyczących niemalże wszystkich sfer i dziedzin życia [...]”¹¹. Powieści sanatoryjne są naturalnym następstwem powstania kuracji uzdrowiskowych, które – jak zauważył Wojciech Tomasiak – stanowią zwiastun ponowoczesnych instytucji leczniczych¹². Można zatem powiedzieć, że literackie (re)interpretacje uzdrowisk odpowiadały zapotrzebowaniu epoki, odkrywając przed czytelnikami nieznana im zazwyczaj, sanatoryjną rzeczywistość.

W XXI wieku powstają powieści uwspółcześniające XX-wieczny wizerunek sanatorium. Jego przestrzeń staje się współcześnie kodem wykorzystywanym nie tylko przez literaturę wysoką, jego reprezentacje można odnaleźć coraz częściej w kulturze popularnej¹³. Ich przykładami są, będące przedmiotem tego szkicu, powieści *Sanatorium* (2005) Małgorzaty Saramonowicz oraz *Diablica* (2019) Emilii Walczak, w których dostrzegam ciekawe realizacje toposu sanatoryjnego. Obie pisarki dekonstruuja tradycyjny obraz sanatorium jako przestrzeni uzdrowienia i odpoczynku, a także wykorzystują go do ukazania stanów psychicznych bohaterów, ich konfrontacji z własnymi lękami i traumami oraz poszukiwaniem tożsamości.

Sanatorium Małgorzaty Saramonowicz jest powieścią rozpiętą między przeszłością a teraźniejszością. Świat przedstawiony zmienia się wskutek ponownego spotkania się na kuracji leczniczej w Krynicy narratora-bohatera (Jana) ze Śledczym (Marianem Rostockim). Trzydzieści lat wcześniej próbował on rozwikłać zagadkę śmierci Pełnomocnika, który sprawował opiekę nad niepełnoletnim Janem, osieroconym w trakcie II wojny światowej. Zainicjowana przez to wydarzenie opowieść rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych. Pierwsza z nich to tworzona *ex post* narracja porządkująca zdarzenia, które miały miejsce w roku 1947 – tuż przed pojawianiem się Rostockiego w rodzinnej miejscowości narratora-bohatera. Drugi poziom narracji tworzą przemilczane i wyparte doświadczenia, które pod wpływem spotkania po latach ożywają w pamięci Jana. *Sanatorium* staje się więc miejscem, w którym leczenie odbywa się poprzez (auto)terapeutyczny proces opowiadania, konfrontujący dorosłego bohatera-narratora z traumą z dzieciństwa:

Śledczy w pośpiechu opuszczał nasze miasteczko. Nie rozglądał się. Nie zatrzymywał. Przeczuwał, że nigdy nie pozna prawdy, której wtedy nie potrzebował. Potrzebował podejrzanego i aresztował go. Było to najdziwniejsze aresztowanie i najdziwniejsza sprawa o morderstwo w całej jego karierze. [...] Zobaczyłem go wiele lat później. Czekalem pod dworcem kolejowym w Krynicy na dorożkę wożącą kuracjuszy do sanatorium. Stał obok. Prawie się zmienił¹⁴.

Sanatorium jest powieścią wykorzystującą schematy różnych popularnych konwencji gatunkowych: XX-wiecznej prozy sensacyjnej oraz detektywistycznej

¹¹ K. Bałżewska, dz. cyt., s. 211.

¹² W. Tomasiak, *U wód*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 334.

¹³ Motyw sanatorium wykorzystał także Radek Rak w powieści *Kocham cię, Lilith* (2014).

¹⁴ M. Saramonowicz, *Sanatorium*, Warszawa 2005. Dalej cytaty z tej powieści oznaczam podaniem w nawiasie numerów stron.

z kryminalną intrygą zbudowaną wokół tajemnicy z przeszłości bohaterów, którzy po latach rozpoczynają grę z pamięcią, mającą na celu ustalenie, co tak naprawdę wydarzyło się przed wielu laty. Rytm opowieści jest budowany poprzez konfrontację bohatera-narratora z własnymi wspomnieniami – fragmentarycznymi, trzymającymi czytelnika w napięciu i niepewności. Przypominanie sobie minionych wydarzeń, snucie „zrywającej się narracji”¹⁵, wydaje się być próbą nadania sensu traumatycznemu doświadczenia. Jak zauważa Agata Bielik-Robson: „istotą traumy jest to [...], że zawsze wydarza się «za wcześniej», jej rozumienie natomiast zawsze przychodzi «za późno»”¹⁶. Proces uaktualniania przeszłości nie oznacza zwykłej retrospekcji, przypomina raczej od-grywanie zdarzeń na nowo, jest próbą wpisania wydarzeń traumatycznych w zrozumiałe ramy symboliczne. Marek Zaleski zwrócił uwagę na fakt, że „rzeczywistość, powracająca w pamięci, jawi się w powtórzeniu (i tym samym w opóźnieniu). Poprzez opóźnienie właściwe powtórzeniu to, co przedstawione, istnieje wyraźniej”¹⁷. Rekonstrukcja i interpretacja czasu minionego nie dokonują się na chłodno, obiektywnie, bowiem:

Akt pamiętania jest jednocześnie aktem interpretacji – wyborem tej a nie innej ścieżki interpretacyjnej, tej a nie innej perspektywy i jednocześnie swego rodzaju zapominaniem – pomijaniem innych perspektyw i innych możliwości interpretacji. Nie należy oczywiście przyjmować, iż to podążanie ścieżkami interpretacyjnymi ma charakter logicznego ciągu wnioskowań; przeciwnie – jest, jak powiedziałby właśnie logik – entymematyczne, tzn. fragmentaryczne, zawierające luki, przeskoki i pominięcia. Jednakże ta fragmentaryczność czytania znaków pamięci w niczym nie zmienia jej interpretacyjnego charakteru¹⁸.

Wspomnienie staje się łącznikiem między żywymi i zmarłymi, ale także pomaga wyjaśnić i scalić przeszłość z teraźniejszością, między którymi rozpościera się rozdarta tożsamość podmiotu. Opowieść bohatera-narratora cofa się do roku 1947, do jednego z powojennych miasteczek¹⁹, które są żywą tkanką pamięci – przypominają o traumatycznych doświadczeniach niedawnej przeszłości, które doprowadziły do ich wyludnienia. Fabuła składa się z rozbudowanych retrospekcji bohatera, jego subiektywnego doświadczenia Zagłady i czasów tuż po niej²⁰. Opisywane przez Jana miasteczko jest pełne pustych miejsc, naznaczone traumą mieszkańców, którzy, choć wojnę przeżyli, to nie potrafili sobie poradzić w nowej sytuacji. Dziecięcего

¹⁵ A. Bielik-Robson, *Słowo i trauma: czas, narracja, tożsamość*, „Teksty Drugie” 2004, nr 5, s. 24.

¹⁶ Tamże, s. 25.

¹⁷ M. Zaleski, *Formy pamięci. O przedstawianiu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*, Gdańsk 2004, s. 7.

¹⁸ W. Kalaga, *Pamięć, interpretacja, tożsamość*, „Teksty Drugie” 2012, nr 1–2, s. 71.

¹⁹ Miejsce akcji narracji z 1947 roku nie zostaje dookreślone nazwą miejscowości, co może świadczyć o alegorycznym, quasi-moralitetowym koncepcie powieści Saramonowicz.

²⁰ Jednym z wyznaczników post-Mannowskiej narracji sanatoryjnej jest historia XX wieku. Zob.: K. Bał-żewska, dz. cyt., s. 210–220.

narratora-bohatera poznajemy w towarzystwie przyjaciół: Klary, Zosi, Staszka i Mateusza, na których wojna odcisnęła cielesne oraz psychiczne piętno. Są to postacie z licznymi brakami, podmioty defektywne, które próbują znaleźć odpowiedź na pytanie o sens własnych, tragicznych doświadczeń.

Przedstawione w powieści uzdrowisko staje się polem walki²¹ dwóch sił o symboliczną władzę nie tylko nad duszą Jana, ale również nad pamięcią i tożsamością wszystkich mieszkańców, której reprezentantami są Pełnomocnik oraz ksiądz Antoni. Za sprawą opozycyjności postaw stanowią oni egzemplifikację religijnej tezy o walce dobra i zła w człowieku, która nie poddaje się jednakże w powieści prostym, binarnym rozwiązaniom. Saramonowicz stawia pytanie o proces kształtowania się ludzkiej psychiki i tożsamości, który w jej interpretacji dokonuje się poprzez poznanie innego oraz zatarcie granicy pomiędzy „ja” a „ty”:

W miasteczku wrzało. [...] Każdy śnił, że jest kimś innym. Listonosz stał się zwiadowcą, Pełnomocnik księdzem, ksiądz Antoni Mamroszową, matka Mateusza aptekarzem, Mateusz jedną z siostr Staszaka, a ja Pełnomocnikiem. Jakby świat przesunął się lekko pod podłożoną kalką. Ludzie poząglądali sobie w dusze, wyszły na jaw skrywane tajemnice [...] (s. 73).

Nakładanie się na siebie i przenikanie tożsamości mieszkańców, zacieraanie granic między pamięcią indywidualną a zbiorową oddziałują na wspomnienia bohatera-narratora, starającego się uporządkować je podczas pobytu w sanatorium. Rozmowa ze Śledczym przyjmuje formę konfesji, która ma stanowić dla Jana akt uwolnienia się od wydarzeń z niezamkniętej jeszcze przeszłości. Narrator-bohater konfrontuje się w jej trakcie z bolesną prawdą, którą wyparł pod wpływem traumatyzujących doświadczeń Zagłady, zastępując ją fantomowymi wspomnieniami. Rostocki po zakończeniu opowieści snutej przez Jana ujawnia, że jego przyjaciele z dzieciństwa zginęli w czasie wojny, a więc ich uczestnictwo w opisywanych przez narratora-bohatera wydarzeniach nie jest możliwe:

– Otóż to, panie Janie – szepnął smutno Rostocki. – Staszek, a ściślej Stanisław Błyskał, zginął razem z ojcem 13 października 1942 roku.
 – To nieprawda! – złapałem Rostockiego za ręce. Koc spadł mu z kolan. — Pan się pomylił!
 – Przykro mi – odsunął mnie delikatnie. — Naprawdę mi przykro, ale po tej stronie nikt już się nie myli, zwłaszcza w sprawach śmierci. To wszystko jest w Archiwach Głównych: Staszek Błyskał zginął w czterdziestym drugim, a więc w maju czterdziestego siódmego na pewno już nie żył. Tak samo... — głos Rostockiego stawał się coraz cichszy — ...tak samo jak Mateusz, Klara i Zosia (s. 207).

²¹ Termin przywołuję za jego ujęciem w artykule Elżbiety Rybickiej *Pamięć i miasto. Palimpsest vs. pole walki*, „Teksty Drugie” 2011, nr 5, s. 201–211.

Pamięć narratora-bohatera pod wpływem traumy uległa trwałemu zaburzeniu, które – jak podkreśla Bielik-Robson – odbiera „podstawową witalną umiejętność bycia w czasie, uczestnictwa w jego ciągłych przemianach”²². W konsekwencji prawdziwe wspomnienia Jana tkwią w traumatycznym bezczasie, zastąpione mniej bolesną, iluzoryczną fantazją, której narrator-bohater, mimo poznania prawdy, nie chce opuścić, pozostając zawieszony między fikcyjną przeszłością a teraźniejszością. W ostatniej scenie powieści czytelnik obserwuje wyjeżdżającego z sanatorium Jana, któremu nie udaje się przełamać psychicznej bariery uniemożliwiającej mu zrozumienie wydarzeń z przeszłości. Tym samym nie wyzwala się z dziecięcej traumy:

– Pan wsiaada! – woźnica, który właśnie podjechał, rzucił do mnie opryskliwe. [...] Poczułem, że ktoś ciągnie mnie za połę płaszcza. Spojrzałem w dół. Przede mną stała Zosia.

– Proszę zaczekać – rzuciłem do dorożkarza. Wziąłem Zosię za rękę i podeszedłem z nią do Klary, Staszka i Mateusza. Bez słowa otworzyłem walizkę i wysypałem przed nimi wszystko, co mi zostało (s. 215).

„Niektórzy mają skłonności do miłości jak do kataru”²³ – od tego aforyzmu Adolfa Rudnickiego rozpoczyna się powieść *Diablica* Emilii Walczak. Sugeruje on, że będziemy mieć do czynienia z romansem, w którym ożywają fabularne schematy XX-wiecznych tekstów sanatoryjnych²⁴. Joanna Bator w okładowym blurbie charakteryzowała tę powieść jako ciekawą, odważną, „archaizowaną” próbę „spojrzenia na schyłek starej Europy przez pryzmat cierpienia [...] duszy i ciała. [...] także – w dialogu intertekstualnym z dawnymi mistrzami prozy sanatoryjnej”. Powieść przedstawia przygody, doświadczenia i przeżycia Irmy Ende, trzydziestotrzyletniej Niemki, która po rozstaniu z kochankiem jesienią 1923 roku przyjechała do szwajcarskiego uzdrowiska, by leczyć się na chorobę serca – tachykardię. Autorka powieści redefiniuje tradycyjną literaturę sanatoryjną, tworząc opowieść o młodej kobiecie²⁵, która w symbolicznym „Chrystusowym” wieku przyjeżdża do sanatorium w nadziei na to, że nie tylko podreperuje zdrowie, ale i uporządkuje własne życie. Uzdrowisko ma być ażylem leczącym ciałem i zranione serce bohaterki.

²² A. Bielik-Robson, *Pamięć, czyli farmakon*, „Teksty Drugie” 2016, nr 6, s. 69.

²³ Cytat nie został opatrzony przypisem, stąd brak odniesienia do utworu tego pisarza. Cyt. za: E. Walczak, *Diablica*, Bydgoszcz 2019, s. 5. Dalej cytaty z tej powieści są oznaczone podaniem w nawiasie numeru strony.

²⁴ Romanse, flirty i miłości są stereotypowymi motywami narracji sanatoryjnych. Zob. K. Bałewska, dz. cyt., s. 234.

²⁵ Herlth zauważa: „Typowym głównym bohaterem «tekstu sanatoryjnego» jest młody mężczyzna. Z taką sytuacją mamy do czynienia zarówno w *Czarodziejskiej górze* Tomasza Manna, jak i w *Sanatorium Pod Klepsydrą*. Ten sam schemat można zaobserwować [...] w powieści rumuńskiego pisarza Maxa Blechera *Inimi cicatrizate (Zabliźnione serca)*, opublikowanej w roku 1937”. J. Herlth, dz. cyt., s. 28. Męskocentryczną konwencję przełamuje Barbara Klicka w powieści *Zdrój* (2019) oraz Tokarczuk w *Empujonie* (2022). Por. W. Kulak, *Poza codziennością przestrzeni. „Zdrój” Barbary Klickiej jako narracja sanatoryjna*, „Ruch Literacki” 2023, z. 4 (379), s. 549–566.

W *Diablicy* można odnaleźć ślady wielu lektur autorki, czego wyrazem są wyraziste intertekstualne nawiązania oraz połączenie konwencji prozy obyczajowej, sanatoryjnej i romansu. Erudycja pisarki przejawia się także w warstwie językowej utworu, określanego niekiedy jako nowela²⁶. Trzecioosobowa narracja łączy archaizację ze współczesną polszczyzną i stanowi przykład intertekstualnej gry z resztkami²⁷ – prób łączenia tradycji literatury sanatoryjnej z estetyką postmodernizmu i mariażu powieści artystycznej z popkulturą. Autorka świadomie posługuje się kliszami kulturowymi i językowymi, przerysowuje także schematy powieści sanatoryjnych pisanych przez mężczyzn i do nich adresowanych²⁸. Tym samym odsłania gatunkowe szwy i tematyczne inspiracje *Diablicy* oraz nawiązuje kontakt z czytelnikami, zbliżając narrację powieści do gawędy, tworzonej „tu i teraz”, aktywizującej odbiorców/odbiorczynie tekstu, co manifestuje się gramatyczną formą czasowników oraz zaimków dzierżawczych: „Lecz zgubiliśmy gdzieś po drodze, w meandrach rzeki wspomnień naszej bohaterki, wijącej się jak Inn na wysokości Salzburga, postać sprytniej pokojówki. Oto i ona”²⁹ (s. 57). Liczba mnoga łączy perspektywę narratorki i odbiorczynie, pozwalając spojrzeć na opisywane wydarzenia z dystansu, przez tworzenie iluzji ich współodpowiedzialności za opowiadaną historię.

Czas akcji oraz przestrzeń, w której rozgrywają się powieściowe zdarzenia (wysokie, malownicze, „pocztówkowe” góry) przywodzą na myśl przede wszystkim *Czarodziejską górę* Manna³⁰. Akcja powieści *Diablica* rozgrywa się w Sankt Moritz w Szwajcarii – uzdrowisku położonym na szczycie góry Diavolezza, gdzie na kurację chorób płuc i układu krążenia zjeżdżała się europejska socjeta:

ze względu na dogodne położenie klimatyczne – w Sankt Moritz i jego malowniczych okolicach panuje blisko trzysta pogodnych dni w roku, trudno było się dziwić, iż sercowcy i płucnochorzy [...] korzystali tutaj zarówno z krystalicznie czystego powietrza [...], lecz również z silnie operującego słońca, przyrumieniającego ich umęczone lica, nadającego im w ten sposób pozory zdrowia oraz dobrej kondycji (s. 11).

²⁶ Sama autorka tak gatunkowo określa swoją książkę. Por. *Nie lubię pompacyjności* [Z Emilią Walczak, autorką książki *Diablica* rozmawiała M. Myga], „Gazeta Pomorska” 2020, <https://pomorska.pl/emilia-walczak-autorka-ksiazki-diablica-nie-lubie-pompacyjnosci/ar/c13-14780698> [dostęp 15.05.2024].

²⁷ M. Dąbrowski, *Tekst postmodernistyczny: konstrukcja i lektura* [w:] *Literacki homo loquens*, red. M. Wanot-Miśtura, E. Wierzbicka-Piotrkowska, Warszawa 2018, s. 15–27.

²⁸ Odnoszę się do fragmentu recenzji powieści Walczak autorstwa Pauliny Małochleb; https://pl.wikipedia.org/wiki/Emilia_Walczak.

²⁹ Z podobnym zabiegiem narracyjnym mamy do czynienia w *Czarodziejskiej górze*. Zob. K. Bałżewska, dz. cyt., s. 230–231.

³⁰ Na fascynację nie tylko powieścią Manna, ale i jego osobistymi doświadczeniami wskazuje autentyczna postać Annemarie Schwarzenbach, która była w zażyłych stosunkach z rodziną niemieckiego pisarza. Zob.: K. Bik, *Annemarie Schwarzenbach. „Żyła niebezpiecznie – za dużo pila. Nigdy nie kładła się przed wschodem słońca”*, „Wysokie Obcasy” 2023, <https://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,53662,1133956,annemarie-schwarzenbach-zyla-niebezpiecznie-za-duzo-pila.html> [dostęp: 24.05.2024].

Sanatorium z powieści Walczak przypomina oddalony od społecznego zgiełku, ekskluzywny kurort wypoczynkowy, współczesne wakacje typu *all inclusive*, podczas których kuracjuszy interesuje nie tyle rekonwalescencja, co rozrywki i życie towarzyskie. Dla bohaterki ważniejsze od leczniczych walorów przyrody było pełne atrakcji, turystyczne miasteczko:

Najwięcej [...] czasu spędzała w pasażach handlowych, skierowanych za pomocą swych znacznie zawyżonych cen do bogaczy, a więc także i do naszej bohaterki. [...] później dopiero przyszła pora na takie wypełniacze czasu jak wizyty [...] w sklepach ze zdrową żywnością. Ostatecznie było to przecież uzdrowisko, nie jedynie targ próżności (s. 63).

Sanct Moritz łączy walory turystyczne i zdrowotne. Rytm życia kuracjuszy i wczasowiczów wyznaczają pory posiłków, wycieczki i przechadzki, wypracowywana „normalność”³¹, tworząca miraż zdrowia. Praktykowany w uzdrowisku tryb życia zakłóca relacje temporalne, powoduje zatrzymanie czasu obiektywnego, który istnieje jakby na zewnątrz, poza murami sanatorium. Przykładem tego zjawiska jest rozmowa Irmy z recepcjonistą hotelu:

- Przepraszam pana bardzo, która jest teraz godzina? – zwróciła się doń Irma.
- Cały trik polega na tym, że cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza się do prostego relatywizmu – odparł recepcjonista³².
- Słucham?!
- A, nie, nie. Takie głupstwa chodzą mi ostatnio po głowie [...].
- To jaki naprawdę mamy teraz czas? – ponowiła pytanie w lekko zmienionej wersji i odruchowo spojrzała na swą helvetię, konstatuując, że jej najtłustsze wskazówki wciąż nie mogą przekroczyć godziny drugiej.
- Dokładnie cztery minuty po szóstej – odparł, na powrót chowając do kieszonki hotelowego uniformu swój z kolei zegarek marki przez narratora nieznanej, gdyż stało się to zbyt szybko, a do tego jeszcze opowiadacz od lat cierpi na pogłębiającą się wciąż miopię. – Za niecałą godzinę w sali jadalnej serwujemy wieczorny table d'hôtel (s. 19; podkreśl. moje – W.K.).

Zatrzymanie się zegarka Irmy po zameldowaniu w hotelu stanowi symbol zmiany sposobu istnienia w górskim uzdrowisku. Pobyt w sanatorium wymyka się z ram rzeczywistości, do której można powrócić dopiero po jego opuszczeniu:

Spojrzała na swą naręczną helvetię, lecz ta znów uparcie wskazywała, iż właśnie dochodzi godzina druga. W pierwszej chwili pomyślała Irma, że zegarek zatrzymał się nienakręcany, ale nie – sekundnik nieustrudzenie parł naprzód, zataczając wciąż

³¹ Zob. J. Herlth, dz. cyt., s. 25.

³² Wypowiedź recepcjonisty jest cytatem z opowiadania Brunona Schulza *Sanatorium Pod Klepsydrą*. Por. tegoż, *Proza*, Kraków 1973, s. 240.

przed oczyma naszej bohaterki *circulus vitiosus*. Irma, całkiem zdezorientowana, wyjrzała przez okno, by zobaczyć tam obraz isticie tenebryczny – z czarnymi sylwetkami gór i lasów na tle szarego nieba. Mogła to być więc zarówno tak zwana biała noc, jakiej doświadczyła kiedyś w Estonii, i godzina druga nad ranem, lecz mógłby i bardzo pochmurny dzień, i druga po południu (s. 21).

Przeżywanie czasoprzestrzeni jest w sanatorium zaburzone. Spędzone tam przez główną bohaterkę długie tygodnie wydają się być zaledwie kilkoma dniami, w ciągu których terażniejszość przeplata się ze wspomnieniami życia w Berlinie i historią jej nieszczęśliwego romansu z młodym poetą Maksymilianem. W sanatorium Irma próbuje rozliczyć się z bolesną przeszłością i znaleźć odpowiedzi na fundamentalne pytania.

Mikropowieść Walczak, składająca się z kilku scen z pobytu Irmy w szwajcarskim uzdrowisku, okazuje się być stylizowaną, polemiczną formą „tekstu sanatoryjnego” w znaczeniu, jakie przypisuje mu Herlth. Badacz podkreśla, że nie chodzi wyłącznie o częstotliwość występowania toposu sanatorium w literaturze XX wieku, co dałoby się wytłumaczyć historią gruźlicy i metodami jej leczenia, ale przede wszystkim o literacko przekształconą formę, w której „przedstawienie świata sanatoryjnego jest punktem wyjścia do rozbudowanej refleksji o sytuacji historycznej i antropologicznej doby nowoczesnej”³³. Sytuując swoją opowieść w latach dwudziestych XX wieku, Walczak obrazuje ciągłość toposów i problemów, które mimo upływu lat wciąż są przedmiotem społecznych debat. Opowiada o rozwoju kapitalizmu i ruchach nacjonalistycznych w pierwszych dekadach wieku. Ważną kwestią jest w *Diablicy* prawna dopuszczalność aborcji, nad czym bohaterka zastanawia się, gdy dowiaduje się, że jest cięży już po rozstaniu z kochankiem. Powieść nie przynosi gotowych i jednoznacznych odpowiedzi na poruszone w niej problemy, pozostawia czytelniczki, do których jest adresowana, z niewesołymi refleksjami o nierozwiązywalności ich odwiecznych problemów.

W szkicu zarysowałam niektóre tendencje we współczesnej powieści sanatoryjnej kobiet. Sanatorium w książkach Saramonowicz i Walczak stanowi przestrzeń umożliwiającą ukazanie wewnętrznych sprzeczności w człowieku i jego zmagani z traumatyczną przeszłością. Autorki wykorzystują różne kody kulturowe oraz konwencje gatunkowe dla stworzenia opowieści, które poruszają ważne zagadnienia odnoszące się nie tylko do skomplikowanych losów bohaterek i bohaterów, ale również wydarzeń historycznych minionego stulecia – nierówności społecznych, nacjonalizmu i faszyzmu, II wojny światowej, postępu medycyny i nauk ścisłych, które wciąż oddziałują na współczesność.

Analizowane powieści udowadniają, że XX-wieczne konwencje literatury sanatoryjnej służą nie tylko literackim grom i rozrywce, ale również poważniejszej refleksji o współczesności i jej relacjach z przeszłością. Autorki przedstawiają traumy i ich konsekwencje, konfrontują postacie z przeżyciami z przeszłości, opo-

³³ J. Herlth, dz. cyt., s. 26.

wiadają o odzyskiwaniu prawdziwej, „zranionej” tożsamości. Powstałe w ostatnich dwóch dekadach sanatoryjne opowieści pokazują, że topos ten jest nadal artystycznie płodny, bowiem ogniskuje się w nim bogactwo treści, tematów i motywów³⁴. Pisarki podejmują próby literackiego dialogu z XX-wieczną literaturą sanatoryjną, wykorzystując jej najważniejsze konwencje gatunkowe, ale też wprowadzają w nich istotne zmiany i tworzą atrakcyjne dla czytelniczek powieściowe hybrydy: kryminału, romansu, powieści tajemnic, literatury obyczajowej.

Wiktoria Kulak

Bibliografia

- Bałżewska K., „Czarodziejska góra” w literaturze polskiej. *Ślady / interpretacje / nawiązania*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2017.
- Bielik-Robson A., *Pamięć, czyli farmakon*, „Teksty Drugie” 2016, nr 6, s. 68–78.
- Bielik-Robson A., *Słowo i trauma: czas, narracja, tożsamość*, „Teksty Drugie” 2004, nr 5, s. 23–34.
- Bik K., *Annemarie Schwarzenbach. „Żyła niebezpiecznie – za dużo piła. Nigdy nie kładła się przed wschodem słońca”*, „Wysokie Obcasy” 2023, <https://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,53662,1133956,annemarie-schwarzenbach-zyla-niebezpiecznie-za-duzo-pila.html> [dostęp: 24.05.2024].
- Dąbrowski M., *Tekst postmodernistyczny: konstrukcja i lektura* [w:] *Literacki homo loquens*, red. M. Wanot-Miśtura, E. Wierzbicka-Piotrkowska, Wydawnictwo Elipsa, Warszawa 2018, s. 15–27.
- Iwasiów I., *Literatura sanatoryjna*, „Tygodnik Powszechny” 2010, <https://www.tygodnikpowszechny.pl/literatura-sanatoryjna-145166> [dostęp 11.05.2024].
- Herlth J., *Stodko-gorzkie heterotopie. Bruno Schulz i „tekst sanatoryjny” w europejskiej lekturze okresu międzywojennego*, „Wielogłos” 2013, nr 2(16), s. 25–37.
- Kalaga W., *Pamięć, interpretacja, tożsamość*, „Teksty Drugie” 2012, nr 1/2, s. 39–58.
- Klicka B., *Zdrój*, W.A.B., Warszawa 2019.
- Kulak W., *Poza codziennością przestrzeni. „Zdrój” Barbary Klickiej jako narracja sanatoryjna*, „Ruch Literacki” 2023, z. 4(379), s. 549–566.
- Nie lubię pompatyczności [z Emilią Walczak, autorką książki *Diablica* rozmawiała Małgorzata Myga], „Gazeta Pomorska” 2020, <https://pomorska.pl/emilia-walczak-autorka-ksiazki-diablica-nie-lubie-pompatycznosci/ar/c13-14780698> [dostęp 15.05.2024].
- Rak R., *Kocham cię, Lilith*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2014.
- Ricoeur P., *Czas i opowieść*, t. 2, przeł. J. Jakubowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008.
- Rybicka E., *Pamięć i miasto. Palimpsest vs. pole walki*, „Teksty Drugie” 2011, nr 5, s. 201–211.
- Saramonowicz M., *Sanatorium*, W.A.B., Warszawa 2005.
- Schulz B., *Proza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973.
- Sontag S., *Choroba jako metafora. AIDS i jego metafory*, przeł. J. Anders, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2016.

³⁴ Zob. K. Bałżewska, dz. cyt.

Tokarczuk O., *Empuzjon. Horror przyrodoleczniczy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.

Tomasik W., *U wód*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 327–334.

Walczak E., *Diablica*, Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2019.

Wojciechowska A., *Literacki eksperyment myślowy. Czas fizyczny w „Czarodziejskiej górze” Tomasa Manna*, „Teksty Drugie” 2020, nr 4, s. 332–349.

Sanatorium tropes in Małgorzata Saramonowicz's *Sanatorium* and Emilia Walczak's *Diablica*

Summary

The article analyzes contemporary reinterpretations of the sanatorium topos in two novels: Małgorzata Saramonowicz's *Sanatorium* (2005) and Emilia Walczak's *Diablica* (2018). The author draws attention to the narrative and genre strategies used by the authors in the analyzed narratives, which allow them to break the traditional conventions of sanatorium literature, combining elements of the novel of manners, romance and detective fiction. In the context of these works, the sanatorium becomes not only a space for treatment, but also a place where confrontation with one's fears, identity and social norms takes place.

Keywords: sanatorium novel, sanatorium text, Polish contemporary literature, women's prose, text hybrids, identity, trauma, Małgorzata Saramonowicz, Emilia Walczak

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, meczet Suata Günsela, obrzeża Lefkoşy (Nikozji Północnej)

*I nagroda XX Ogólnopolskiego Konkursu
im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2024*

Anna Maria Wierzchucka

WIATR NIE JEST DOMEM LIŻE TYLKO ZWIERZĘTA

a my w lesie. przytuleni do igieł. zatopieni w mchu.
układamy piosenki o wojnie.

nocą słychać miasta. dudnią. rozgorączkowane podchodzą pod ściółkę.
kradną jagody. i żywinę w przydrożnych chałupach.
gwałcą baby.

ale o tym nie wolno opowiadać ani śpiewać. lichy nie śpi.
takie lichy omija tylko krzyże w świeżej ziemi.

baby noszą ranne mleko świętej rycie. niestety kiedy miasta idą przez
[wieś potrzeba dużo.

dużo więcej świętych. gęsto ułożone aureole tworzą rybią łuskę.

[dlatego baby poszczą. ale
wystające z brzuchów ości nie powstrzymują miast. potem baby
[krzyczą po lasach i budzą

wiatr.

choć wiatr nie jest domem i wylizuje tylko zwierzęta.

tytuł jest parafrazą cytatu z wiersza *Mysliwy* Nelly Sachs, w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego

SIAŁA BABA ZNICZE

ziemia robi miejsce dla
nowych
pada w tłusty czarnoziem
raz ziarno raz bohater

w ogrodzie chmiel a mógł być słodki groszek
mam sukienkę w kolorze słodkiego groszku
z wycięciem na pępek ale jej nie wkładam
jeszcze bym się zaraziła kolejnym pępkiem

bohaterów się dzieli na coraz mniejsze części
medale pęcznieją i rodzą ordery
paradoks polega na tym że
modlitwy matek nie docierają nawet do nieba
zatrzymują je konary drzew i wiewiórki

a ziemia robi miejsce dla nowych

WIENIEC BOBKOWY

każdej lalce można obciąć włosy.

rozzucam główki jak jabłka wokół suchych pni.
na środku łóżko. całość mnie nudzi. blizny.
zima jest dłuższa niż poród a poród niż ruiny.
i pogrzeb. nie da się wszystkich połknąć na jeden raz.

męczyzna więzień brzucha.
izraela. szklanych kul. ubojów. wojny.
dlatego kieliszki muszą być czyste. a gwiazda
na czole. w miejscu pagonów kryza
gotowe rozerwane uda oraz koniecznie biały obrus.
bo tylko na bieli krew prezentuje

się. dobrze. każdej lalce. można.

TO NIE JEST ŚWIAT DLA STARYCH MITÓW

płyn, płyn, płyn – mówiła ryba

mam odruch obronny – żadnych śmierci więcej,
uciekający toną, tonący opalizują,
opalizujący gniją i nawet nie wiadomo,
w jakim niebie powypływają,

dziewczynka w sitowiu
przeklina czaple, czaple brodzą,
burzą wodę hałasem,
przerażają hałasem czteroletni świat,

płyn, płyn, płyn – mówiła rybka

bezruch to zimno,
zimno opalizuje,
zimno rozrywa tatarak na czaple,
a czaple na strach,

zamiast serca mały drozd w podklejonym błotem gnieździe,
uderza tak często, że wzbudza fale,
z odpływem wszędzie sierp,
opalizujących oddzieli od przemarzniętych,
wygoni czaple

płyn, płyn, płyn – powie księżyc

KSIĘŻYC ZIMNY I WIELKI JAK DOM

w czasie drogi każdy tłumok przypomina ludzkie ciało. *anioty* zawsze
[mówią po niemiecku. to tradycja.
matka mojej matki trzyma matkę mocno za rękę. nocą słyhać
[bardziej. matce burczy w brzuchu.
matka mojej matki daje matce kamień i każe ssać.

a u nas mróz. klucze bezdomnych. ptaków. ich pozorna wolność.
[ogórkowa na gazie. kolejki po
papier. po szarość. franciszek zawiera zbrodniarzy i ofiary matce.
[oglądalność podnosi adopcja
piesków i przepis na wypychanie. wroga.
a wróg to śnieg
zostawia tropy. matka będzie nosić kamienie po kieszeniach

i księżyc jak wielką mrożoną. kulę.

– cytat z filmu *A Dangerous Method*, reż. David Cronenberg

Anna Maria Wierchucka

Fot. Archiwum A.M. Wierchuckiej



Anna Maria Wierchucka

Debiut

Anna Rutkowska

CZY EKO-FEMINIZM NAS WYZWOLI?

Kobiecość, seksualność i natura w *Octopussy. Opowiadaniach postporno* Agnieszki Szpili

W rozmowie dla „Krytyki Politycznej” Agnieszka Szpila podzieliła się przemyśleniami towarzyszącymi jej w procesie twórczym:

Januszewska: Chcesz mi powiedzieć, że za twoją twórczością nie stoją żadne idee, choćby ekofeministyczne¹?

Szpila: Owszem, stoją, ale nie są ostateczne, ulegają przemianom. Proponuję raczej konstrukty mierzenia się z zaskakującą rzeczywistością, a nie pomysły na to, jak ona ma od A do Z wyglądać [...]. Moim zadaniem jest raczej prowokowanie do przemyśleń czy aktualne, tożsamościowe, kulturowe i relacyjne opowieści, do których przywykli [mężczyźni – uwaga A.R.] wciąż działają i robią im dobrze².

Ekofeminizm miał swoje początki w działaniach aktywistycznych dotyczących m.in. energii jądrowej i broni nuklearnej³. Aktywistki dostrzegły cechy łączące niszczenie środowiska naturalnego i opresyjne traktowanie kobiet. Maria Mies w książce *Who Made Nature Our Enemy* podkreśla, że społeczeństwo odseparowało przyrodę od człowieka, który nie może już wejść z nią w bezpośredni kontakt. Natura, szczególnie w przestrzeni miejskiej, stanowi dla niego zagrożenie – może być jedynie oglądana, o czym przypominają tabliczki umieszczone na terenach zielonych: „Nie dotykać! Jestem skażony”⁴.

W opowiadaniach z tomu *Octopussy. Opowiadania postporno* (2023) Szpila stara się przywrócić łączność pomiędzy człowiekiem a naturą. Drugi człon tytułu zbioru odsyła do postpornografii – ten powstały w latach 90. XX wieku termin nie dotyczy pornografii rozumianej jako „utwory lit.[erackie] (także plastyczne, teatralne, filmowe), przedstawiające zjawiska seksualne w sposób wchodzący w konflikt z przyjętymi w danej społeczności zakazami i obyczajami, poczuciem wstydlivości i dyskrecji”⁵. Jest to nurt skupiający się przede wszystkim na politycznym aspekcie

¹ Wszystkie wyróżnienia w cytacie pochodzą od autorki szkicu.

² *Tryskam, więc jestem* [rozmowę z Agnieszką Szpilą przeprowadziła Paulina Januszewska], „Krytyka Polityczna”, <https://krytykapolityczna.pl/kraj/octopussy-rozmowa-z-agnieszka-szpila/> [dostęp: 12.04.2024].

³ M. Humm, *Ecofeminism* [w:] tejsze, *The Dictionary of Feminist Theory*, Edinburgh 2003, s. 73–74.

⁴ Oryginalnie: „Don't touch me. I am contaminated!”, tłum. własne – A.R. Zob. M. Mies, *Who Made Nature Our Enemy* [w:] *Ecofeminism*, red. M. Mies, V. Shiva, New York 2014, s. 91–92.

⁵ M. Głowiński, *Pornografia* [w:] *Słownik terminów literackich*, wyd. II, red. J. Sławiński, Wrocław 1988, s. 376.

seksualności, która ma być punktem wyjścia do wyzwolenia od opresyjnych systemów – patriarchy i kapitalizmu⁶. Walka z nimi jest jednym z kluczowych tematów poruszonych przez pisarkę.

Tom *Octopussy* zawiera pięć opowiadań: *Istota*, *Goryl*, *Larwy*, *Ditto* i *Octopussy*, w których seksualność staje się przyczynkiem do rozmyślań o miejscu człowieka w świecie przyrody. Pisarka nie trzyma się ściśle ram estetyki realistycznej (np. jaszczury w *Istocie* potrafią podmieniać ludziom muzykę w klubach), lecz, mimo to, polityczne, aktywistyczne czy ekologiczne wymiary jej refleksji nie tracą na wartości. Warto zauważyć, że w każdym z opowiadań to kobiety szukają łączności z naturą, wynikającej z potrzeby zmiany sposobu życia⁷, mężczyźni są niezaangażowani, wolą zachować *status quo*.

Według Carolyn Merchant zmiana sposobu traktowania przyrody miałaby symultanicznie odmienić stosunek opresyjnego systemu do kobiecości⁸. Autorka *Octopussy* wybiera poruszające, niekiedy kontrowersyjne rozwiązania artystyczne takie jak uprawienie seksu jednej z żeńskich postaci z Gorylem (pisownia oryginalna) czy obdarzenie głównej bohaterki tytułowego opowiadania ośmioma waginami umieszczonymi w różnych miejscach ciała. Prowokuje czytelniczki do refleksji na temat cielesności oraz miejsca człowieka w świecie natury, choć wnioski, jakie nasuwają się podczas lektury, są jednoznaczne: patriarchalna i zaawansowana cywilizacyjnie rzeczywistość jest opresyjna wobec przyrody i kobiet.

Celem mojego szkicu jest znalezienie odpowiedzi na zawarte w tytule pytanie poprzez analizę głównych motywów wybranych opowiadań oraz zaproponowanych w nich przez Szpilę wizji seksualności – ludzkiej, integrującej kobiety, aktywizującej je do działania, oraz przekraczającej antropocentryczne granice, znoszącej podział na ludzi i nie-ludzi.

Świat ludzi oczami natury. Żywiol wody

W opowiadaniach Szpili woda jest najważniejszym żywiołem, utożsamianym z życiem i seksualnością. Tylko dla bohaterki *Goryla* ogień jest metaforą pożądania, natomiast w *Istocie* oraz *Octopussy* celebrowanie seksualności zostało silnie powiązane z wodą, będącą w kulturze symbolem płodności oraz energii seksualnej⁹. W obu opowiadaniach dochodzi do uwznioślenia tego żywiołu. Energia słoneczna, również mająca swój udział w powstawaniu i podtrzymywaniu życia, nie jest przez Szpilę postrzegana pozytywnie. Wenus, główna bohaterka *Octopussy* woli dni pochmurne i deszczowe od słonecznych i ciepłych, prawdziwy komfort odnajduje, pływając w morzu, w bliskości topniejącego lodowca. W opowiadaniu *Istota* nadmierne

⁶ Por. „Post P_rn Arts Fest”, <https://ppaf.pl> [dostęp 9.07.24].

⁷ Nie dotyczy to opowiadania *Istota*, w którym główną bohaterką i narratorką nie jest kobieta, a samica jaszczura. Tę kwestię rozwinę w dalszej części szkicu.

⁸ C. Merchant, *The Death of Nature: Women, Ecology and the Scientific Revolution*, San Francisco 1980. Cyt. za: M. Humm, *Ecofeminism*, s. 74.

⁹ W. Kopaliński, *Woda* [w:] tegoż, *Słownik symboli*, Warszawa 2006, s. 480–484.

naślonecznienie niszczy Ziemię: „Przypalana żywem przez Słońce Ziemia błagała o chwilę oddechu. Było inaczej niż wtedy, kiedy płynęły tędy kry lodowców. Kiedy spływałyśmy w zimnie, szczękając zębami, wraz z nimi. [...] A chciałyśmy przesuwać się i trwać obok siebie. W swojej łuskowatości. Bliskości. Chropowatości”¹⁰.

Opowiadanie *Istota* wyróżnia się w zbiorze ze względu na narrację z perspektywy zwierzęcia – inteligentnej samicy jaszczura. Dzięki temu, że to nie człowiek snuje refleksje o człowieku, wyobrażenia i poglądy autorki zyskują na autentyczności. Na szczególną uwagę zasługują przemyślenia estetyczne jaszczurów: „Kiedy natrafiamy na coś »kiczi-kiczi«, nasze łuski zabarwiają się na landrynkowo-różowy kolor, a nasze jaszczurze kły szczerzą się w szczerym uśmiechu” (s. 13–14). Według jaszczurów ludzie nie lubią kiczu, lecz ta niechęć jest pozorna. Gadam sprawa on prawdziwą przyjemność. Obcując z nim, przybierają różowy kolor, który jest przeciwieństwem „szarocienia” – poczucia beznadziei, jakiego doświadczają, gdy myślą o kryzysie klimatycznym. Róż w opowiadaniu symbolizuje miłość, czułość, kobiecość i radość z życia¹¹.

Theodor Adorno w *Teorii estetycznej* pisze, że trudno jest zdefiniować kicz. Interpretuje go jako zjawisko parodiujące *katharsis*. Odnosząc się do teorii Freuda, podkreśla, że człowiek, pielęgnując niechęć do kiczu, obnaża swój brak satysfakcji ze sztuki¹². Gady nie potrzebują obcować ze sztuką wysoką, żeby odczuwać estetyczną satysfakcję. Odbierają go przede wszystkim zmysłowo: „Kicz pachnie jak chałwa turecka, jak sezamki i rachatlukum. Wszystko inne doprawione szczyptą innych woni” (s. 14). Jaszczurom kojarzy się on z wielozmysłową kulturą Wschodu. Minimalizm doznań, ku jakiemu zmierza świat w wyniku katastrofy ekologicznej, martwi je i nie pozwala im celebrować życia.

Susza na Ziemi kontrastuje z wilgotnością i chłodem lodowców. Warto zwrócić uwagę na datę, którą został opatrzony ten fragment: „Miesiąc kwitnienia lip, rok 2022” (s. 7). Według analiz NASA ten rok był jednym z najcieplejszych w historii, co skutkowało suszami oraz pożarami lasów¹³, co w opowiadaniu wyrażają słowa: „Przypalana żywem przez Słońce Ziemia błagała o chwilę oddechu” (s. 7). Momenty bliskości jaszczurów wiążą się z wodą, w przeciwieństwie do „patologicznie suchych ciał” (s. 7), o których wspomina narratorka. Jaszczura wskazuje, że słowo „patologia” etymologicznie pochodzi od greckiego *pathos*, oznaczającego cierpienie. Suchość okazuje się przyczyną cierpienia i bólu, przypomina zwierzętom o postępujących zmianach klimatycznych, których skutki są odczuwane także przez ludzi.

¹⁰ A. Szpila, *Istota* [w:] tejsze, *Octopussy. Opowiadania postporno*, Warszawa 2023, s. 9. Kolejne cytaty z tej książki lokalizuję podaniem strony w nawiasie.

¹¹ O symbolice różu zob.: K. Smith, *The meaning of pink*, „Sensational Color”, <https://www.sensational-color.com/meaning-of-pink/> [dostęp 8.07.24].

¹² T. Adorno, *Teoria estetyczna*, przeł. K. Krzemieniowa, red. M. J. Siemek i in., Warszawa 1994, s. 67.

¹³ NASA Says 2022 Fifth Warmest Year on Record, *Warming Trend Continues*, „Climate NASA” 2023, <https://climate.nasa.gov/news/3246/nasa-says-2022-fifth-warmest-year-on-record-warming-trend-continues/> [dostęp 12.04.2024].

Gady znają grekę, istnieją na Ziemi dłużej niż ludzkość i obserwują zachodzące w świecie przemiany z rozległej perspektywy czasowej. Przez tę przewagę nad ludźmi stają się bohaterami wielu teorii spiskowych, głoszących, że jako reptilianie¹⁴ planują przejąć panowanie nad światem. W tym przeświadczeniu wyraża się pycha człowieka przekonanego o dobrodziejstwie jego władzy nad Ziemią, lecz wizja panowania nie pociąga gadów: „Mówiono o nas, że para strasznych reptilian planuje inwazję. Że po cichu, w tajemnicy [...] próbujemy z IS przejąć całkowitą kontrolę nad światem [...] Nic bardziej mylnego” (s. 13).

Woda jest idealnym środowiskiem do rozwoju życia, ale jednocześnie stanowi niebezpieczeństwo¹⁵. Opowiadanie *Istota* unaocznia, że obcowanie z nią jest niemożliwe bez zaangażowania dotyku, a doświadczenie to jest pełne zmysłowości: „Najlepszy był moment, gdy zaczynaliśmy płuć sobie do pysków. Nabieraliśmy duże ilości wody i wypływaliśmy je na siebie nawzajem potężnymi strumieniami. Z pyska do pyska. Tak, że woda trafiała niemal wprost do naszych spragnionych gardel, wcale nie rozpryskując się na boki” (s. 11–12).

Arystoteles uznawał dotyk za podstawę życia i psychicznego dobrobytu człowieka, ale kojarzył go z erotyką, postrzegał jako zmysł zwierzęcy, przez co uznano go za gorszy i nieprzyzwoity¹⁶. Z kolei Kartezjusz uważał dotyk za najmniej zawodny ze zmysłów, w przeciwieństwie do wzroku, podatnego na uleganie iluzjom i zniekształceniom¹⁷. Istnienie oraz funkcjonowanie w świecie, jak zauważa Jolanta Brach-Czaina w *Błonach umysłu*, są możliwe właśnie dzięki dotykowi, od którego nie można się uwolnić. Skóra ma wyjątkowe właściwości; jest granicą, która oddziela ludzi oraz zwierzęta od reszty świata i jednocześnie zapewnia z nim łączność¹⁸.

W opowiadaniu *Istota* relacje jaszczurów z naturą oraz ze sobą nawzajem opierają się przede wszystkim na dotyku. Silne zakotwiczenie w rzeczywistości pozwala im na jej wnikliwą percepcję. Są świadome zbliżającej się katastrofy klimatycznej oraz zgubnego wpływu człowieka na środowisko: „Podobnie reagujemy na giełdy papierów wartościowych, które kochamy obszczywać, tak jak stacje paliwowe, lotniska, ekskluzywne butik i wielkie sieci handlowe. Wszystko to co zatruwa planetę. Bo to my, a nie wy będziemy tutaj do końca” (s. 14). Sytuacja, w jakiej znajduje się Ziemia, wywołuje przerażenie gadów i bezpośrednio na nie oddziałuje: „Na myśl o nadchodzącej katastrofie popadamy w szarocien” (s. 15). Przywiązanie do świata natury oraz miłość, jaką go darzą, kontrastują z postawą człowieka, który wydaje się nie zauważać nadchodzącego kryzysu. Nieustanne fizyczne obcowa-

¹⁴ Reptilianie mieliby być humanoidalnymi gadami sprawującymi władzę nad światem. Zob. m.in. A. Murillo, „They are Among us”, *Mimicry and Disappearance Against Reptilians in Mexico*, „Revista Colombiana de Antropología” 2023, vol. 59, n. 2, s. 69–92, http://www.scielo.org.co/scielo.php?pid=S0486-65252023000200069&script=sci_abstract [dostęp 9.07.24].

¹⁵ W. Kopaliński, *Słownik symboli*, s. 480.

¹⁶ Arystoteles, *Metafizyka*, przeł. K. Leśniak, Warszawa 1984, s. 3–5. Cyt. za E. Rewers, *Od doświadczenia po doświadczenie – „niewinny” dotyk nowoczesności*, „Teksty Drugie” 2006, nr 3, s. 49–50.

¹⁷ E. Rewers, *Od doświadczenia po doświadczenie...*, s. 49–50.

¹⁸ J. Brach-Czaina, *Dotknięcie świata* [w:] tejsze, *Błony umysłu*, red. R. Lis, Warszawa 2003, s. 57–63.

nie jaszczurów z przyrodą nie pozwala im o niej zapomnieć. Ludzie funkcjonują w przyrodzie, ale są niemal całkowicie oderwani od obowiązujących w niej praw:

Część z nich przybyła nad Liwiec samotnie, inni zaś – w swoich dzikich stadach. Najgorzej jak homoludy [ludzie – A.R.] przyjeżdżają w parach: samiec – samica. Wtedy puszczają z głośników takie dźwięki, od których zaburza nam się wzorzec pełzania, bo coś, co nazywają bitem, sprawia, że zamiast przemieszczać się w górę rzeczki zaczynamy podrygiwać [...]. Od tego dymu blantowego i bitu z głośników głupiejemy i stępią nam się reaktywność w mózdkach (s. 17–18).

W poczynaniach ludzi brakuje czułości. W przeciwieństwie do jaszczurów, dla których bliskość i wspólnota są nadrzędnymi wartościami, nie wykazują się empatią ani wobec natury, ani innych niż oni żywych stworzeń. Już w samym tytule opowiadania *Istota* zostaje zawarta nierozłączność dwóch gadów: IS oraz TOTY. Narratorka – TOTA – odczuwa ogromną potrzebę sprowadzania na świat kolejnych istnień: „Przenosiłam swój niezrealizowany w gadzim wymiarze instynkt na inne gatunki zwierząt, a czasem także roślin” (s. 10). Silny instynkt macierzyński TOTY, miłość do drugiego osobnika, są realizacją odnalezionego sensu życia, intensyfikującym je tego, o czym pisali Alan Badiou i Nicolas Traung w książce *In Praise of Love*¹⁹. Zaproponowana przez nich idea zaprzecza filozofii antynatalistycznej, głoszącej, że płodzenie i rodzenie dzieci są niemoralne, a cierpienie na Ziemi przewyższa korzyści płynące z prokreacji²⁰. TOTA jest przekonana, że prawdziwe szczęście zapewnia dopiero przekazanie życia kolejnym istotom. Nie trzeba zaprzeczać rozmnażania się, jeśli podstawą relacji między istotami będzie świadoma i wszechogarniająca miłość.

Wenus, główna bohaterka opowiadania *Octopussy*, czuje się w pełni sobą dopiero wówczas, gdy wchodzi w fizyczny kontakt z wodą. Osobliwość, z jaką się urodziła, zmusza ją do zakrywania ciała i tylko podczas kąpieli w morzu może być w pełni sobą: „Kiedy zanurzała się w morzu, zamykała oczy i opadała na dno. Dopiero, dotykając palcami mułu, kiedy jej włosy, początkowo unoszące się na powierzchni wody, znikaly pod jej powierzchnią i zaplątywały się w wodorosty, czuła, że żyje” (s. 142). Siedem dodatkowych wagin rozmieszczonych na całym ciele daje jej możliwość doświadczania natury w podobnie intensywny sposób, jaki był udziałem jaszczurów z opowiadania *Istoty*.

Doświadczenie przedmiotowego traktowania skutkuje tym, że Wenus nie potrafi tworzyć z ludźmi satysfakcjonujących relacji. Miłość oraz intymne doznania zapewnia jej kontakt z topniejącym lodowcem, który nazywa Svenem. Zawieszenie pomiędzy światem ludzkim a światem przyrody sprawia, że inaczej odczuwa efekty kryzysu klimatycznego. Woda jest jej ostoją i okazuje się ratunkiem w chwili

¹⁹ A. Badiou, N. Troung, *In Praise of Love*, transl. by P. Bush, London 2012, s. 7.

²⁰ F. Jach, *Antynatalizm jako recepta na problemy współczesności?*, „Internetowy Magazyn Filozoficzny Hybris” 2017, nr 39, s. 200–203.

zagrożenia. Pracująca w barze Venus odkrywa, że dochodzi w nim do łamania prawa poprzez odurzanie kobiet i ich seksualne wykorzystywanie. Bohaterka zostaje uprowadzona i wrzucona do wielkiego akwarium, w którym całkowicie naga ma stanowić atrakcję dla obserwujących ją mężczyzn.

Jeden z nich, nazywany „Kapturem”, odpowiedzialny za prowadzenie nielegalnej działalności opierającej się na wykorzystaniu seksualnym kobiet, zostaje zabity przez bohaterkę w wodzie: „wypuszcza z siebie, ze swoich ośmiu wagin, atramentową ciecz, która pod ciśnieniem dosięga jego ciała, paraliżując je jak śmiertelna toksyna” (s. 155). Przyczyną jego śmierci jest tetrodotoksyna – trujący związek chemiczny wytwarzany przez ośmiornicę żyjącą w Oceanie Spokojnym. Związek ośmiornicy i głównej bohaterki zawiera się w tytule opowiadania oraz zbioru – *Octopussy*. Jest on znaczący fonetycznie oraz semantycznie: *octopus* (ang. ośmiornica), *octo* (łac. osiem), *pussy* (ang. potoczne określenie waginy). Osiem wagin, rozmieszczonych na ciele kobiety i produkujących zabójczą substancję, ratuje ją przed agresorem.

Śmierć w wodzie, jak zauważa Gaston Bachelard w *Wyobraźni poetyckiej*, jest śmiercią typowo kobiecą: „Woda to głęboki, organiczny symbol kobiety, która potrafi tylko płakać nad swoją niedolą i której oczy toną we łzach”²¹. W tytułowym opowiadaniu zbioru Szpili dochodzi do odwrócenia ról – woda staje się miejscem śmierci mężczyzny, a zabija go bohaterka o imieniu Venus, chroniąc inne kobiety, którym on zagraża.

Miłość i śmierć. Bliskość i samotność

Autorka *Octopussy* wiele uwagi poświęca specyficznemu poczuciu spełnienia, które następuje w wyniku pojawienia się jednocześnie satysfakcji erotycznej oraz bólu lub strachu. Nurt postporno, mimo że umiejscawia seks w sferze politycznej, problematyzuje kwestię ciała, funkcjonującego w seksualności jednocześnie jako podmiot i przedmiot²². Ciało, doznając bólu, będącego elementem gry erotycznej, znajduje się w zawieszeniu między wykluczającymi się odczuciami. Iga, główna bohaterka opowiadania *Goryl*, obserwując zabawę swojej córki Lu ze zwierzęciem, zauważa, że satysfakcja płynąca ze strachu zostaje uwarunkowana na wczesnym etapie dzieciństwa:

Kiedy Goryl obracał do niej twarz z wyszczerzonymi celowo kłami, krzyczała, bo w tym momencie właśnie w jej mózgu dochodziło do zespolecia układu przyjemności ze strachem, które to połączenie pozwala dorosłym dziewczynkom czerpać radość z seksu tylko wtedy, kiedy jest podsztyta przerażeniem (s. 37).

²¹ G. Bachelard, *Wyobraźnia poetycka*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1975, s. 155. Cyt. za: A. Araszkiewicz, *Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki*, Warszawa 2001, s. 74.

²² Zob. B. Ciancio, *Bodies, Gestus, Becoming: Cinema as a Technology of Gender and (Post)Memory*, „Deleuze and Guattari Studies” 2018, t. 12, nr 4, s. 563.

Mimo że wraz z mężem oddaje się intensywnym praktykom sadystyczno-masochistycznym, nie chce, by Lu jako dorosła kobieta poszła w jej ślady. Iga odczuwa głęboki psychiczny dyskomfort z form swego erotycznego spełnienia: „Nienawidziła siebie za to, że tak jak on mogła przekonać się o tym, że żyje tylko wtedy, kiedy osuwała się w stronę śmierci” (s. 30). Poczucie winy jest wynikiem narzuconych kulturowych konwenansów, obcych pierwotnej seksualności. Według Georges’a Bataille’a na erotyczną satysfakcję składają się jednocześnie sprzeczne emocje; przyjemność występuje wraz z potęgującymi ją wstydem oraz lękiem²³. Społeczne ograniczenia sprawiają, że jednostka wyrzeka się zwierzęcej natury a staje się człowiekiem, w znaczeniu opozycyjnym do zwierzęcia²⁴. Kiedy główna bohaterka i jej mąż oddają się perwersyjnym pragnieniom, rezygnują na moment z własnych tożsamości: „Żyd i kapo – czy może być w łóżku coś bardziej przewidywalnego?” (s. 30).

Konwencja Zagłady jako tła do uprawiania seksu wydaje się oburzająca, mimo że bywała już wcześniej wykorzystywana w kontekstach pornograficznych w filmie i skandalizującej literaturze popularnej. Adorno uważał, że łączenie satysfakcji seksualnej i Zagłady znieczuliła odbiorcę na tragedię tamtych wydarzeń²⁵. Erotyczna gra, jaką Iga prowadzi z mężem, nie pogłębia ich relacji, lecz oddala ich od siebie: „Po tresurze, którą fundowali sobie wzajemnie, zupełnie nie potrafili spojrzeć sobie w oczy. Dwoje obcych ludzi, związanych najsilniejszą relacją w życiu – pasiaka i pejcza” (s. 31). Iga potrzebuje czułości, mimo że nie czuje się z nią do końca komfortowo. Praktyki seksualne, które nazywa się sadomasochistycznymi, jak zauważa Eva Illouz na przykładzie popularnych powieści erotycznych z cyklu *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, skrywają w sobie pragnienie miłości oraz uwagi²⁶.

Iga nie potrafi ich znaleźć u męża, otrzymuje je dopiero od Goryla. Zwierzę tajemniczo zjawia się przy jej domu podczas zimowej, śnieżnej nocy. Najpierw bawi się z małą Lu, lecz gdy zauważa zainteresowanie jej matki, biegnie z nią do sypialni. Kobieta po raz kolejny wypiera się pragnień – początkowo wstydzi przyznać się

²³G. Bataille, *Erotyzm*, przeł. M. Ochab, Gdańsk 2007, s. 20. Cyt. za: M. Kubacka, *Erotyzm. Między wstydem a wstrętem*, „Tematy z Szewskiej” 2015, nr 1 (15), s. 56–57, <https://cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmetal.element.desklight-c34e1193-cf74-4afb-88bf-29b90f944d4f> [dostęp 12.04.2024]. Potępienie seksu, jak stwierdził Michel Foucault w *Historii seksualności*, nastąpiło dopiero z inicjatywy kościoła rzymskokatolickiego. Zob. tegoż, *Historia seksualności. II. Użytek z przyjemności*, przeł. B. Banasiak, T. Komendant, K. Matusiak, Gdańsk 2010, s. 153. Szpila, pisząc o seksualności w kontekście zwierząt, natury, bólu i wojny, oswaja to, co zostało zepchnięte w sferę tabu. To oswojanie ma również wymiar aktywistyczny.

²⁴M. Kubacka, *Erotyzm*..., s. 56–57.

²⁵Por. filmy *SS Experiment* (1976) czy *Nazi Love Camp #27* (1977). Zob. J.-P. Geuens, *Pornography and the Holocaust: The Last Transgression*, „Film Criticism” 1995, t. 20, nr 1, s. 114–116; T. Adorno quoted in Lawrence L. Langer [w:] *The Holocaust and the Literary Imagination* (New Haven: Yale UP 1975), s. 1. Cyt. za: J.-P. Geuens, dz. cyt.

²⁶A. Długolecka, *Przedmowa do polskiego wydania* [w:] E. Illouz, *Hardkorowy romans. „Pięćdziesiąt twarzy Greya”: bestsellery i społeczeństwo*, przeł. J. Konieczny, red. J. Kowalczyk, Warszawa 2015, s. VII–XIII.

przed sobą, że zwierzę ją pociąga. W jego obecności zaczyna odczuwać przyjemność bez dodatkowej stymulacji bólem: „Włożył jej palec do ucha. Delikatnie. Tak, by nie zadać jej bólu” (s. 43). Zbliżając się do niego, zbliża się do świata natury:

A jednak w tym zapatrzeniu, nie widzieli nic poza wielką źrenicą świata [...]. Widzieli razem, w tych swoich źrenicach, jak pierwszy czelokształtny włazi na jedną z samiec i przygryzając jej kark, jednocześnie nawija na palec jej długie włosy. Nie po to, by je ciągnąć, tylko po to, by posiadając ją, okazać jej czułość (s. 43–44).

Kiedy osiągają orgazm, Iga przestaje być sobą, a staje się Gorylicą. Dzięki niespodziewanej wizycie Goryla kobieta ma możliwość doznać czegoś nowego, niepodobnego do brutalnego seksu, jaki uprawiała z mężem: „Nigdy w swoim życiu nie zaznała takiej bliskości” (s. 45). Wszystko wraca do dawnego porządku dopiero wówczas, gdy budzi się jej mąż, a Goryl ucieka oknem, pozostawiając po sobie jedynie zapach i poczucie pustki: „Podeszła do okna i otworzyła je na oścież, tropiąc wzrokiem tylko to jedno – ślady Goryla na śniegu” (s. 45). Zwierzę zapadło Idze w pamięć, na zawsze odmieniając jej życie.

Dla pary bohaterów wojna jest jedynie kostiumem, który nakładają na siebie, żeby spełniać swoje fantazje erotyczne. Inaczej jest w przypadku Niny z opowiadania *Ditto*, która rzeczywiście doświadczyła okrucieństwa wojny. Szczególnym wspomnieniem jest dla niej powstanie warszawskie, podczas którego zginął jej ukochany Wiktor. Kochankowie, połączeni uczuciem oraz uwielbieniem poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, nie pasują do brutalnej rzeczywistości. Wiersze Baczyńskiego, recytowane przez Wiktora, były ważnym elementem ich gry erotycznej. Seks stanowił dla młodych ludzi ucieczkę od straszliwej wojennej rzeczywistości. Według Bataille’a erotyzm jest silnie związany ze śmiercią: „Wszelki erotyzm ma na celu osiągnięcie istoty w najczulszym punkcie, tak, by zmarło w niej serce”²⁷. Nina, mimo że od powstania minęło kilkadziesiąt lat, wciąż projektuje swoje ówczesne doświadczenia na erotykę. Kiedy jej partner Zygmunt prosi ją o „normalny” seks, odpowiada mu: „Albo tak, albo w ogóle” (s. 107). Ma nietypowe pragnienia, by podczas uprawiania seksu towarzyszyły jej odgłosy bombardowania i warkot silnika samolotu. Prosi więc (niewielce groteskowo) partnera: „Turkocz, warkocz i szum” (s. 108).

Bohaterka opowiadania Szpili dzieli ludzi na urodzonych przed i po wojnie. W tych kategoriach rozpatruje wybór potencjalnych partnerów seksualnych. Podobnie jak Iga odczuwała życie najpełniej dopiero wówczas, gdy ryzykowała śmiercią: „tylko wtedy, kiedy śmierć zaglądała jej w oczy codziennie, czuła, że nie jest martwa, że naprawdę żyje” (s. 116). Psychiczne uzależnienie Niny od wojny można rozpatrywać w kategoriach traumy. Psychoanaliza postrzega traumę jako intensywne wydarzenie w życiu podmiotu, mające negatywny wpływ na jego psy-

²⁷ G. Bataille, *Erotyzm*, s. 32.

chiczny dobrobyt i uniemożliwiające odpowiednią reakcję emocjonalną²⁸. Wojna przypadła na czas erotycznej inicjacji bohaterki i na zawsze ukształtowała jej upodobania erotyczne. W obliczu zagrożenia, kiedy najmniejszy błąd mógł kosztować śmierć z rąk Niemców, Nina pragnęła uprawiać seks: „Poczuła potrzebę zrobienia czegoś irracjonalnego. Żeby zmniejszyć kaliber grozy, odegnać śmierć” (s. 19). Przekroczywszy tabu, które oddziela przyjemność seksualną od koszmaru wojny, dotarła do źródła rozkoszy, jakim jest zakaz w rozumieniu Bataille’a²⁹. Decydując się na wizytę u spirytystki, narusza granicę oddzielającą świat żywych od świata zmarłych. Postanawia wyznać miłość duchowi ukochanego. Opowiadanie *Ditto* unaoznacza osamotnienie Niny wynikające z nieobecności człowieka, który rozumiałby i podzielał jej przeżycia i doświadczenia.

Samotność jest motywem pojawiającym się również w innych opowiadaniach Szpili. Siła, jaką ma wspólnota bądź bliskość z drugim człowiekiem, odgrywa znaczącą rolę w utworze *Larwy*. Jego bohaterki są samotnymi matkami zmagającymi się z niesprawnością pomocy społecznej, niedającej im odpowiedniego wsparcia: „W Kokonie – Domu Samotnej Matki w Milanówku – znalazłyśmy się w podobnym czasie z powodu licznych perturbacji życiowych” (s. 54). Narratorka przedstawia inne bohaterki w prześmiewczy sposób. Krytykuje popularne mody, na przykład powierzchowność współczesnych nawiązań do New Age, traktujących medytację i wschodnie praktyki oddechowe jako cudowne remedium na wszystkie problemy emocjonalne³⁰: „Do tego nasza Greta [...]. Od agresji do depresji, po rzucaniu nożami w kierunku konkubenta medytowała godzinami próbując zmyć z siebie brzemie przemoc i pojebania” (s. 50–51).

Dzięki sile, jaką bohaterki *Larw* zyskują we wspólnocie, przestają być ofiarami systemu i zaczynają samodzielnie wymierzać sprawiedliwość. Obiektem ich zemsty ma być komornik, który upokorzył je, pozbawiając przedmiotów potrzebnych do codziennego życia. Postanawiają wykorzystać do zemsty pracę przy hodowli jedwabiu. Silne jedwabne nici mają służyć do skrępowania komornika. Bohaterki łączy nienawiść do mężczyzny, lecz nie ona jest najważniejsza. Planując zemstę, spędzają ze sobą coraz więcej czasu, co rozbudza w nich perwersyjne, erotyczne pragnienia: „Lizałyśmy skrawki swych ciał nocami na strychu Kokonu, na którym zamontowałyśmy w przyklastorznej kuchni rzeźnicki hak” (s. 86). Mimo że społeczeństwo nieustannie je zawodzi, utrudniając godne macierzyństwo, frustracja i potrzeba zmian zbliża kobiety ku sobie. Tworzą wspólnotę zmniejszającą ich poczucie osamotnienia.

²⁸ J. Laplanche, J.-B. Pontalis, *Trauma* [w:] *The Language of Psycho-Analysis*, przeł. D. Nicholson-Smith, London 1988, s. 465–466.

²⁹ M. Dąbrowski, *Teorie erotyzmu* [w:] tegoż, *Tylko seks? Antropologia erotyzmu od Sade’a do Houellebecq’a*, red. M. Szewczyk, Warszawa 2018, s. 36.

³⁰ „Zwolennicy New Age podkreślają uniwersalne i aktualne wartości ruchu – np. holistyczne ujęcie zdrowia, zainteresowanie ekologią, pokojem na świecie, rozwojem duchowym”. E. Kuzioła-Zimnica, *New Age a chrześcijaństwo*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica” 2007, R. IX, nr 32, s. 117.

Może się wydawać, że rozdzielenie cywilizacji od natury tworzy niezbędną i szkodliwą dychotomię, lecz jej obserwacja skłania do zastanowienia się, czy ponowne ich połączenie jest możliwe i w jaki sposób miałyby się ono dokonać. W ekofeministycznej wizji Agnieszki Szpili do głosu zostają dopuszczone nie-ludzkie istoty, co poszerza ludzką perspektywę i pozwala przekroczyć antropocentryczne myślenie. Pisarka chce i potrafi prowokować kontrowersyjnymi pomysłami i motywami utworów, lecz takie podejście rodzi szereg wątpliwości. Czy rzeczywiście szokowanie odbiorców skłoni ich do refleksji nad opresyjnością struktur społecznych i roli seksualności w walce z nimi, czy raczej skupią uwagę na erotycznych perwersjach. Byłoby wielką szkodą zredukowanie równościowego przekazu opowiadania *Octopussy* do kwestii „ośmiu wagin” bądź czytanie *Larw* w kontekście seksualnych praktyk bohaterki. A przecież splecenie seksualności bohaterki z naturą okazuje się niezwykle skuteczne w ich walce z niesprawiedliwością społeczną i wynikającymi z niej zagrożeniami.

Anna Rutkowska

Bibliografia

- Adorno T., *Teoria estetyczna*, przeł. K. Krzemieniowa, red. M. J. Siemek i in., PWN, Warszawa 1994.
- Araszkiewicz A., *Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki*, Fundacja OŚKA, Warszawa 2001.
- Arystoteles, *Metafizyka*, przeł. K. Leśniak, PWN, Warszawa 1984.
- Badiou A., Troung N., *In Praise of Love*, transl. by P. Bush, New Press, London 2012.
- Bataille G., *Erotyzm*, przeł. M. Ochab, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2007.
- Brach-Czaina J., *Dotknięcie świata* [w:] tejże, *Błony umysłu*, red. R. Lis, Sic!, Warszawa 2003, s. 57–63.
- Ciancio B., *Bodies, Gestus, Becoming: Cinema as a Technology of Gender and (Post)Memory*, “Deleuze and Guattari Studies” 2018, t. 12, nr 4, s. 555–571.
- Dąbrowski M., *Teorie erotyzmu* [w:] tegoż, *Tylko seks? Antropologia erotyzmu od Sade'a do Houellebecq*, red. M. Szewczyk, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2018, s. 24–36.
- Długolecka A., *Przedmowa do polskiego wydania* [w:] E. Illouz, *Hardkorowy romans. „Pięć-dziesiąt twarzy Greya”: bestsellery i społeczeństwo*, przeł. J. Konieczny, red. J. Kowalcuk, PWN, Warszawa 2015, s. VII–XIII.
- Foucault M., *Historia seksualności. II. Użytek z przyjemności*, Gdańsk 2010.
- Geuens J.-P., *Pornography and the Holocaust: The Last Transgression*, “Film Criticism” 1995, t. 20, nr 1, s. 114–116.
- Głowiński M., *Pornografia* [w:] *Słownik terminów literackich*, wyd. II, red. J. Sławiński, Osolineum, Wrocław 1988, s. 376.
- Humm M., *Ecofeminism* [w:] *The Dictionary of Feminist Theory*, Edinburgh University Press, Edinburgh 2003, s. 73–74.
- Jach F., *Antynatalizm jako recepta na problemy współczesności?*, „Internetowy Magazyn Filozoficzny Hybris” 2017, nr 39, s. 200–203.

- Kopaliński W., *Słownik symboli*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2006.
- Kubacka M., *Erotyzm. Między wstydem a wstrętem*, „Tematy z Szewskiej” 2015, nr 1 (15), s. 55–66, <https://cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-c34e1193-ef74-4afb-88bf-29b90f944d4f> [dostęp 12.04.2024].
- Kuzioła-Zimnica E., *New Age a chrześcijaństwo*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica” 2007, R. IX, nr 32, s. 117–132.
- Laplanche J., Pontalis J.-B., *Trauma* [w:] *The Language of Psycho-Analysis*, przeł. D. Nicholson-Smith, W.W. Norton & Company, London 1988.
- Mies M., *Who Made Nature Our Enemy* [w:] *Ecofeminism*, red. M. Mies, V. Shiva, Zed Books Ltd, New York 2014.
- Murillo A., „*They are Among us*”. *Mimicry and Disappearance Against Reptilians in Mexico*, „Revista Colombiana de Antropología” 2023, vol. 59, n. 2, s. 69–92, http://www.scielo.org.co/scielo.php?pid=S0486-65252023000200069&script=sci_abstract [dostęp 9.07.24].
- NASA Says 2022 Fifth Warmest Year on Record, Warming Trend Continues, “Climate NASA” 2023, <https://climate.nasa.gov/news/3246/nasa-says-2022-fifth-warmest-year-on-record-warming-trend-continues/> [dostęp 12.04.2024].
- „Post P_rn Arts Fest” <https://ppaf.pl> [dostęp 9.07.24].
- Rewers E., *Od doświadczania po doświadczenie – „niewinny” dotyk nowoczesności*, „Teksty Drugie” 2006, nr 3, s. 46–58.
- Smith K., *The meaning od pink*, „Sensational Color”, <https://www.sensationalcolor.com/meaning-of-pink/> [dostęp 8.07.24].
- Szpila A., *Octopussy. Opowiadania postporno*, W.A.B., Warszawa 2023.
- Tryskam, więc jestem [rozmowę z Agnieszką Szpilą przeprowadziła Paulina Januszewska], „Krytyka Polityczna” 2023, <https://krytykapolityczna.pl/kraj/octopussy-rozmowa-z-agnieszka-szpila/> [dostęp 12.04.2024].

Will ecofeminism free us? Femininity, sexuality and nature in “Octopussy. Stories postporn” by Agnieszka Szpila

Summary

The article focused on the ecofeminist vision proposed by Agnieszka Szpila in her collection of short stories, *Octopussy*. For the sake of sexuality connected to nature and devoid of anthropocentric boundaries, the author resigns from oppressive rationalism. *Gorilla* and *Ditto* depict sexual intercourse between human and non-human beings, shedding light on how intimacy allows man to cross the rules and experience more in terms of its senses and metaphysics. *Being* juxtaposes human culture and nature. Parched soil contrasts with fertility and life-giving moisture of saurians. Reptiles’ nearness is accompanied by water – a force of nature associated with femininity and motherhood, which will also turn out to be important for the protagonist of the title story. Szpila, in her works, emphasizes sexuality as a triumph of life. She condemns aggression towards nature, which is underlined in story called *Larvae*. By seeking answers in the environment and exploring it, she defies patriarchal rule, creating her own interpretation of sexuality, corporeality and sex.

Key words: ecofeminism, sexuality, femininity, nature, water, works of Agnieszka Szpila

*Wyróżnienie w XX Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim
im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2024*

Rafał Skonieczny

PIERWSZY KONIEC

rozbieram dom, który zbudowałeś. Dom to dobre słowo,
żeby zacząć dzień, chciałem powiedzieć,
ale on trwał bez względu na noc.

Stoję na dachu, rozbieram komin z cegieł, na dole ojciec
układa je w stosy. Nie znam jeszcze jego rozpacz
obejmującej ciało rozbierane z domu.

Rozbieram dom, żeby zacząć koniec opowiadania krwi,
zanim jej obwód się zamknie. Na dole ojciec
dużo młodszy niż ja-ojciec teraz,

układa cegły jedna na drugiej. Widzę go jako grudkę gliny.
Zacząłem dzień, chciałem powiedzieć, ale dzień trwa
od dawna, mimo nieba czarnego od wody

pod stopami. Zanim zajdzie noc, zaczarowany jest ołówek,
zaczarowany jest koc, zaczarowane są zasłony,
świat za nimi rozpostarty – zaczarowany.

Zanim zajdzie noc jego rozpacz, rozbiorę dom,
który zbudowałeś

PONIEWAŻ NIE POZNAŁEM MIŁOŚCI

przyszłość obywa się beze mnie.
Przeszłość poza nami, kim wtedy byliśmy
na polanie, na torach i w bunkrze,
należy do wody, choć i bez niej

w oczach topielca lśni.
W toni jego spojrzenia szukałem miejsca,
którędy weszliśmy do Bugu
i nigdy już z niego nie wyszliśmy.

Tam na brzegu, wysoko,
jeszcze nie poszli,
jeszcze czekają,
jeszcze palą

ŻE WOŻĘ JEGO BUTY

w bagażniku, nie myślałem o tym w ten sposób.

Ostatnie buty, które miał na nogach za życia.

Zwracała się do niego imieniem pierwszego chłopaka,
którego kochała, nie miał z tym problemu.

Utarło się, przyłgnęło.

Zawsze przylega.

Nigdy nie myślałem o imieniu
jako pustym dźwięku

WIEŻA

aaaaaaaaaaaaach książki! Mój powyginany
w czterdziestu miejscach kręgosłup,
sterczący znad kartonów zbieranych od ludzi,
którzy wszystko, co mieli, już wynieśli.

Mój wielki powyginany kręgosłup
pochylony ku wodzie, zatknięty
w mulistym dnie, w tym jednym dniu,
który się nie kończy.

Cały dzień mojego życia, wieża
z książek czytanych nocami,
mały pokój, małe czarne biurko,

światło z latarni w oknie słów,
och, otchłani zamykanych
i otwieranych trumienek

DWA KIJE

kto się nie schowa, ten kryje.
Nie mam zapalek, mam za długą szyję
i szlugi. W wypukłym brzuchu
Rubinu śnieży, jest noc, jest nooooooc.

Kartki ulatują spod płaszcza
i stają się śniegiem.
Pałka, zapalka, obraz w Rubinie
szeleści ściegiem:

wesele miało miejsce w stodole,
tańczyliśmy, niewiele
pamiętam. I tak nic z tego

nie wyszło. Nie mam zapalek,
mam dwa szlugi i kijek.
Wystarczy

Rafał Skonieczny



Fot. Archiwum R. Skoniecznego

Rafał Skonieczny z synem

Oliwia Pietras

BUDOWANIE WSPÓLNOTY KOBIET OFIAR NA PRZYKŁADZIE TOMU WIERSZY AGATY JABŁOŃSKIEJ *DLA MOICH DZIEWCZYN*

Tom *dla moich dziewczyn* był drugą poetycką książką Agaty Jabłońskiej. Po sukcesie debiutanckiego zbioru *Raport wojenny*, uhonorowanego Wrocławską Nagrodą Poetycką Silesius, Nagrodą im. Kazimierzy Iłakowiczówny i nominacją do Nagrody Literackiej Gdynia, krytycy mieli wobec niej duże oczekiwania. Przemysław Suchancki mówił wprost o rozczarowaniu drugim tomikiem poetki, która zwróciła się w stronę publicystyki i uprościła poetycki język¹. Czytając recenzje *dla moich dziewczyn*, można zauważyć rozrzut opinii, choć panuje zgoda, że Jabłońska porusza niezwykle ważny i aktualny temat. Pisano o potencjale rewolucyjnym², ale też o uproszczonym „czarno-białym obrazie”, binarnych opozycjach, mających niewiele wspólnego z rzeczywistością³.

Dzień wydania tomu (8 marca, Dzień Kobiet), dedykacja zawarta w jego tytule, okładka wypełniona żeńskimi imionami wyraźnie wskazują potencjalne kierunki interpretacji. Autorka przyznaje w rozmowie: „nadaję na żywo i wrzucam obrazki zupełnie bez filtra. Wykorzystuję fakt, że mam tych kilka nagród i świetną okładkę, i że być może ktoś po to sięgnie”⁴. Postanawia wykorzystać rozgłos, jaki dał jej debiut, aby zawrzeć w wierszach głosy kobiet, opowiedzieć o kobiecych doświadczeniach, co stanowi oś tematyczną tomu, choć autorka porusza w nim także problemy rasizmu, ksenofobii, trudności, z jakimi mierzą się imigranci i imigrantki. Opresja ze względu na płeć przejawia się w jej wierszach przez przenikające je i wyrażane wprost uczucia strachu i niepokoju, które są nieodłączną częścią doświadczenia bohaterek, ich wspólną kondycją. Dzielenie opresji pozwala na przezwyciężenie szeregu ograniczeń i staje się podstawą do budowania tożsamości oraz zjednoczenia się we wspólnym celu – walki z seksizmem.

Sposób konstruowania kobiecej zbiorowości w tomie *dla moich dziewczyn* przywodzi na myśl zjawisko, które Naomi Wolf nazwała feminizmem ofiary (*victim feminism*), polegające na postrzeganiu przez kobiety samych siebie jako istot kruchych, bezsilnych, łagodnych i niezdolnych do przemocy – w opozycji do mężczyzn,

¹ Dedykuję na prawo i lewo [z Agatą Jabłońską rozmawiał Przemysław Suchancki], Biuro Literackie 2021, <https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/wywiady/dedykuje-na-prawo-i-lewo/> [dostęp 10.03.2023].

² Zob. N. Rojek, *Nigdy nie będziesz szła sama*, „Nowy Napis Co Tydzień” 2021, nr 106, <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-106/artikul/nigdy-nie-bdziesz-szla-sama> [dostęp 15.04.2024].

³ B. Derlada, *Kiedy kobiety czują się jak dziewczynki*, „Odra” 2022, nr 10 (720), s. 144.

+ Dedykuję na prawo i lewo, dz. cyt.

którzy są uosobieniem władzy, brutalności i dominacji. Taki obraz wspólnoty kobiet opiera się na uogólnionych, stereotypowych przeciwieństwach płci, w którym przypisuje się im zdolności związane z opieką i takie cechy, jak troska, dobroć czy niechęć (a nawet niezdolność) do sprawowania władzy, zaliczanej do zespołu cech męskich i waloryzowanych negatywnie. To esencjalistyczne podejście sprawia, że kobiety są uznawane za szlachetniejsze, nastawione koncyliacyjnie i pokojowo, stanowią wzór godny naśladowania i mogą przyczynić się do budowania lepszego społeczeństwa. Jednocześnie jako „naturalne” ofiary nie dostrzegają własnego udziału w systemach opresji, obarczając mężczyzn odpowiedzialnością za wszystkie formy przemocy⁵.

Sposób, w jaki Jabłońska buduje kobiecą zbiorowość w tomie *dla moich dziewczyn* opiera się, moim zdaniem, na postulowanej przez feminizm ofiary opozycji kobiety-ofiary i mężczyzny-oprawcy, wzmacnianej przez szereg stereotypów. Zamierzam krytycznie przyrzeć się formom konstruowania kobiecej podmiotowości przez poetkę oraz podjąć refleksję nad potencjalnymi konsekwencjami przyjęcia tożsamości wyłaniającej się z wierszy zawartych w tym tomie.

Dianne Herman napisała, że strach przed gwałtem jest uczuciem znanym każdej kobiecie, ograniczającym na co dzień jej wolność⁶. Właśnie o tym doświadczeniu pisze Jabłońska. Kobieta w jej wierszach, tak jak bohaterka baśni *Czerwony Kapturek* braci Grimm wyruszająca w podróż przez las, przed każdym wieczornym wyjściem musi pamiętać, aby pod żadnym pozorem nie zbaczać z drogi:

nie daj się wieść bocznym szlakiem, nie obracaj głowy
głuchnij na wołanie. tak jak w bajce: to nie są głosy starszych
braci
niechaj się starsi bracia gonią⁷

Bohaterka ma świadomość, że trzymanie się drogi, którą „znam i powtarzam // lepiej zapamiętać” (*trop czerwonego kapturka*, s. 7), nie wystarczy, musi być przygotowana na zaczepki mężczyzn i mieć gotowe na nie odpowiedzi:

na przykład powiem: bardzo fajnie, ale że się spieszę
czeka na mnie w domu kotek, synek, babcia (mamo, czemu zdrabniasz?
myśli się przekrzykują wołam je do porządku), powiem: urodziłam dziecko

nie jestem w twoim guście
albo może na czasie: mogę być zbyt ciepła

⁵ Zob. N. Wolf, *Fire with Fire: The New Female Power and How to Use It*, New York 1993, s. 147–163.

⁶ D. F. Herman, *The Rape Culture* [w:] *Women: A Feminist Perspective*, red. J. Freeman, Mountain View 1996, s. 45.

⁷ A. Jabłońska, *trop wilka* [w:] *dla moich dziewczyn*, Stronie Śląskie 2012, s. 9. Kolejne cytaty z tomu lokalizuję w tekście głównym podaniem tytułu wiersza i numeru strony w nawiasie.

szumią płuca, powiem: lepiej nie ryzykuj
 powiem: oczywiście że tak
 mam aż za dobre mapy w głowie, tędy się nie przemkniesz
 odróżniam: ręce od liści, cienie od przeszkód
 (*trop wilka*, s. 9–10)

Podmiotki wierszy Jabłońskiej zdają sobie sprawę z czyhających na nie nocą zagrożeń: „znajoma siebie i świadoma swoich praw nie wiesz, czy / nie zgubi cię stuk obcasa, krzywo zaparkowany samochód / kilka ciemnych postaci jedna po drugiej” (*trop babci*, s. 15). Opracowywane w głowie strategie przetrwania samotnego wyjścia po zmroku okazują się zawodne: „oni lubią tak szybko dotknąć twojej ręki” (*trop babci*, s. 15). Paraliżujący strach jest nie do przezwyciężenia, babcia zostaje pożarta przez wilka. W innym utworze padają słowa: „czasem przychodzą jej do głowy inne przeszkody, na przykład / tunel czasoprzestrzenny (w spektrum rzeczywistych zagrożeń / jest zagrożenie definicji faktu; podejrzenie o bycie tego, co widzisz)” (*zapytałam Ankę jak wraca w nocy przez miasto*, s. 26). W nocy zaciera się granica między realnością a złudzeniem. Metafora tunelu czasoprzestrzennego doskonale oddaje obezwładniający lęk, wywołujący odczucie odrealnienia. Przemoc po zmroku nie ujrzysz światła dziennego, gdy ofiara podważa własne doświadczenie. Nie dopuszcza do siebie, że została zgwałcona, spycha ten fakt w sferę przywidzeń i wymysłów. Szansa na wyjście z mroku pojawia się jednak w opowieści, którą spisuje jej rozmówczyni, niczym Arachne tkająca gobelin, by ujawnić światu historię męskiej przemocy, gwałtów, których bogowie dopuszczali się na śmiertelnikach.

W wierszu *Kaśce* niechciana ciąża staje się doświadczeniem, które można jedynie opłakiwać z przyjaciółką przy papierosie obok śmietnika: „Kiedy wkroczyli do Aleppo, poszłyśmy zapalić / Pod śmietniki, płakałyśmy obie, wiedząc / nic nam nie jest” (*Kaśce*, s. 8). Biorąc pod uwagę datę rozpoczęcia walk o Aleppo, wydarzenia przedstawione w wierszu miały miejsce w 2012 roku, gdy w polskim sejmie dyskutowano propozycję ustawy zaostrzającej prawo do aborcji. Wiersz został opublikowany w 2021 roku w kontekście czarnych protestów i pandemii COVID-19, gdy globalny kryzys połączył się z walką polskich kobiet o prawo do legalnej aborcji. Pomimo upływu prawie dziesięciu lat od wydarzeń historycznych, do których nawiązuje wiersz, jego przesłanie jest wciąż aktualne. Bohaterka umniejsza własną krzywdę w obliczu konfliktu zbrojnego w Syrii, czując, że jej cierpienie nie nie znaczy w kontekście globalnych problemów. Jabłońska nie pozwala przemilczeć osobistej tragedii. Problem niewrażliwości na przemoc wobec kobiet Jabłońska podejmuje w utworze *szpalta blue*, który w aluzyjny sposób opowiada historię gwałtu:

za ścianą rozgrywał się dramat
 zaprowadził ją na schody teatru, oszukał metodą
 i nauczka przyszła zaraz, kiedy odpuścił mróz [...]
 wiedzieli wszyscy, nikt się nie spodziewał
 (s. 32)

Nagłaśnianie przemocy seksualnej nie wystarcza w społeczeństwie, w którym panuje przyzwolenie na gwałt. Przemoc wobec kobiet i ich krzywda jest trywializowana i lekceważona, czemu poetka daje wyraz w ostatnim wersie: „wiersz jak wiersz – powiedział – pasuje do reszty” (s. 32). Podobny komentarz pada w ostatnim wersie utworu *tempo tętno*: „a wiersz nikogo nie zainteresował” (s. 22), również opowiadającym o kobiecej krzywdzie. Jabłońska w cytowanej rozmowie przyznaje: „wyobrażając sobie najgorszy diss na tę produkcję, stworzyłam personę gościa, który «oczekiwałby po mnie większej intelektualnej subtelności» w drugiej książce”⁸. Ta persona przybiera postać totalną, staje się totalnym systemem kontroli kobiet, obejmującym także autorkę tomu. Figura męskiego krytyka obserwuje gobelin tworzony przez Arachne-podmiotkę-poetkę, co dobitnie ukazuje przedostatnia strofa tego wiersza: „oh lord, tak bym chciał zauważać i nie widzieć / oh lord tak bym chciała rozumieć i ufać” (s. 32).

Autorka zestawiała w niej męskie spojrzenie, decydujące o postrzeganiu przemocy seksualnej w społeczeństwie i kulturze, normalizujące gwałt i niedopuszczające możliwości zmiany tego stanu rzeczy, z perspektywą kobiety, która chciałaby zrozumieć, dlaczego doświadcza opresji, aby móc zmienić sytuację i przestać się bać. Te dwa punkty widzenia pozostają ze sobą w sprzeczności, nie pozwalając na porozumienie, które nie jest przecież niemożliwe. Diane F. Herman, rozważając „kulturę gwałtu”, dostrzega możliwość rozwiązania tego problemu przez wyobrażenie sobie stosunków między płciami opartych na równości, zrozumieniu i wzajemnej trosce⁹. Wydaje się jednak, że w świecie przedstawionym wierszy Jabłońskiej, w którym, ze względu na aluzje polityczne, można dostrzec polskie realia, nie ma szansy na taką zmianę.

Doświadczenia kobiet są w tomiku przedstawione także przez wiwisekcję narzucanych im kulturowych ról. Przykładem może być wiersz *Λ zadedykowany „Pawlikowskiej (Matiemu)”*: „dziewczyny naprawdę nie pierdzą, tym co je ogranicza / jest parę zdań z poradnika o wychowaniu” (s. 28), w którym poetka podąża za myślą Naomi Wolf, podważającą narzucony kobietom przez kulturę mit urody, dążenia do (niciosiagalnego) ideału piękna¹⁰. W wierszu *pszyk* pojawia się uwaga, że kobieta „musi być nie prze cho dzo na” (s. 30), autorka zwraca uwagę na nakładane kobietom kulturowo ograniczenia ich seksualnych potrzeb, sprawowaną przez mężczyzn kontrolę nad ich ciałami, podczas gdy to oni powinni: „zdusić / fantazje, brudne związki, czapki niewidki i myśli / że jedno jest wyjątkowe” (s. 30).

Bohaterki *dla moich dziewczyn* są ofiarami systemu, nie są w stanie zmienić sposobu myślenia o swojej seksualności ani uwolnić jej od zależności wobec mężczyzn, na przykład w taki sposób, jaki postuluje Luce Irigaray, przesuwając rozumienie dziewictwa w stronę konstruktu fizycznego i duchowego, który kobieta

⁸ *Dedykuję na prawo i lewo*, dz. cyt.

⁹ D.F. Herman, dz. cyt., s. 52.

¹⁰ N. Wolf, *Mit urody*, przeł. M. Rogowska-Stangret, Warszawa 2014, s. 25–37.

buduje sama, i który nie może być jej przez nikogo odebrany. Stanowi o autonomii kobiety i jej prawie do odmowy¹¹. Z zestawienia wierszy *pszytyk* i *Λ* ponownie wyłania się konflikt między płciami, wskazujący już nie tylko niemożliwość ich wzajemnego porozumienia, ale całkowitą zależność kobiet od władzy, którą sprawują nad nimi mężczyźni.

W tomie Jabłońskiej zwracają uwagę wiersze przedstawiające gwałt z męskiej perspektywy. Mężczyźni są w nich animalizowani, ukazani jako istoty kierujące się popędami, nad którymi nie są w stanie zapanować: „jakiś instynkt mi pierdolił / skarpa wypłaszczenie ognisko bajera // zacząłem ostrzyć dzię [..]” (*zalecąc się do lasek*, s. 21). Rywalizują ze sobą o kobiety i o władnięci żądzą nie są w stanie myśleć o konsekwencjach swoich czynów ani o uczuciach drugiej osoby. Dążą tylko do własnej przyjemności, nie dopuszczając odmowy:

potem się tłumaczył: to dla mnie łacina, znam inny
język ciała i w nim dla mnie tańczyła, dlatego
zapomniałem spytać
to było jasne, bo tak chciały moje ręce
to było jasne jak plecy kiedy szła tunelem
a ja niosłem światło
(*noli me tangere*, s. 12)

Tytuł wiersza to słowa z Biblii wypowiedziane przez Jezusa po zmartwychwstaniu do napotkanej, idącej go opłakiwać Marii Magdaleny, tłumaczone na polski jako „nie dotykaj mnie” lub „nie zatrzymuj mnie”. Jabłońska wykorzystuje biblijny motyw, aby ukazać męczyzną głuchego na kobiecie sprzeciw wobec kontaktu cielesnego. Inaczej niż w scenie z Nowego Testamentu, gdzie Maria Magdalena posłusznie odchodzi, w wierszu Jabłońskiej to kobieta nie wyraża zgody na stosunek, lecz męczyzna pozostaje głuchy na jej sprzeciw, w obliczu własnego pragnienia nie dopuszcza odmowy, uznając się za „niosącego światło”.

Asymetria między płciami jest przedstawiona w tomie na wielu poziomach, w sposób bardzo konsekwentny. Budząca zachwyt męskiego podmiotu kobieta zostaje nazwana „kruchym żrebięciem” (:), s. 31), w esencjalistycznym ujęciu Jabłońskiej uosabia delikatność, niewinność, bierność, w przeciwieństwie do męczyzny pokazanego metonimicznie, w jednym geście: „twoje ramię, kiedy ją zagarniasz” (:), s. 31), reprezentującego dominację, władzę i przemoc. Jabłońska konsekwentnie ukazuje w tomie męczyzn tak, aby budzili odrazę, zaś kobiety przedstawia w sposób wywołujący współczucie i troskę. Mężczyźni są stereotypowymi agresorami i oprawcami, a kobiety ich ofiarami, co jest upraszczające i krzywdzące dla obu stron. Uniemożliwia w ten sposób porozumienie między płciami.

Dostrzegam w tomie *dla moich dziewczyn* utwory mogące być punktem

¹¹ Zob. A. Araszkiewicz, *Subwersja dziewictwa w filozofii Luce Irigaray*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2019, nr 1 (13), s. 40–43.

wyjścia do analizy całości opresyjnego systemu, w którym jedna forma przemocy wynika z drugiej, a jej ofiarami są zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Taka perspektywa pojawia się w wierszu *kebab i do spania*, pokazującym różne metody socjalizowania mężczyzn i kobiet. W życiu mężczyzny „musi kiedyś paść pytanie / czy ty też pijesz. i wiesz, że nie będzie smakowało / że wybrałbyś bezsenność i szarpanie skóry” (*kebab i do spania*, s. 23), jednak to niewielka cena za uprzywilejowaną pozycję, której wykorzystywaniu trudno mu jest się oprzeć: „jak zachować realizm w świecie tylu pokus” (s. 23). Wychowanie kobiety odbywa się pod hasłem „kebab i do spania”, w którym mieści się ciągle poddawanie kontroli, posłuszeństwo i uległość: „smycz to nie uwięź, zjedz do końca / jak mówiła babcia, jak mówili babci, jak mówili mamie” (s. 23).

Autorka tomu unaocznia wielkowiekową deprecjację kobiet, ich wychowywanie do podporządkowania i uległości, jak również fakt, że system był podtrzymywany dzięki zaangażowaniu weń samych kobiet, co pokazuje postać babci, która będąc sama ofiarą opresyjnego systemu patriarchalnego, stała jego strażniczką. I jest to jedyna w tomie postać kobieca¹², której poetka przypisuje aktywny udział w systemie opresji. Co wydaje się znamienne, pozostałe wiersze zgodnie z tytułem tomu opowiadają o młodych kobietach – ofiarach systemu, chcących się z niego wyrwać: „myślę: trzeba się przepuścić” (s. 24). Jednak tuż potem „wiersz wypada z toru” (s. 24), jakby słowa nie mogły wyrazić tego, co wykracza poza patriarchalny porządek i poetka znalazła się poza językiem.

W wierszu *kiedy podnosisz na mnie rękę* pojawia się podobna pokoleniowa analiza: „podnosząc [rękę] jesteś surowym ojcem tej matki, chłodną matką jej ojca / ojcem jej dziadka, ojcami ojców” (s. 35). O ile wcześniej podkreślała pragnienie wyjścia bohaterki lirycznej poza system, tutaj nie jest to możliwe. W momencie, gdy mężczyzna zastosował przemoc, stał się uosobieniem toksycznej męskości postulowanej przez patriarchalną kulturę, podpowiadającą mu, że powinien dominować, sprawować władzę, nie okazywać emocji, być silny i agresywny: „polujesz, zabijasz i zaludniasz kraj” (s. 35). W konfrontacji z takim partnerem kobieta jest bezsilna:

podnosisz na mnie rękę, a ja próbuję cię przegadać, bo stawiałam się w tej sytuacji
wielokrotnie i mimo że w końcu nie powiem nic
i prawdopodobnie nie starczy mi pary, żeby żartować
pomyślałam, że to może być sposób

[*kiedy podnosisz na mnie rękę*, s. 34]

Strategie bohaterki stosowane w przedstawionej w wierszu scenie przemocy domowej są ludzaco podobne do towarzyszących wieczornym wyjściom. Kobieta stara się odwrócić uwagę agresora, szuka „w sobie jakiejś przewagi / przeważnie na próżno” (s. 34), strach znowu ją pokonał. Lecz dostrzega, że nie tylko ona się boi: „podnoszę rękę ze strachu i widzę go w twoich oczach” (s. 34). Czy to jedynie

¹² W innym wierszu tomu – *tropie babci* – ta sama postać jest ukazana jako ofiara męskiej przemocy.

odobicie jej łku w jego oczach? Być może kobieta dostrzega strach, który oboje odczuwają w tym momencie:

podnosisz ją i przez rozmytą pięść widzisz tę małość
skuloną postać w kącie, samego siebie dawno temu
wiem, bo sama podnosiłam
[...]
podnosząc na mnie rękę jesteś gniewem i bezsilnością matki
która traci swoje dziecko, jesteś strachem tego dziecka, jesteś
strachem, że traci panowanie, jej mocnym postanowieniem
poprawy, jej brakiem zastanowienia, płaczem nad nim, nad sobą
(s. 35)

Podmiotka doskonale rozumie jego strach, sama go doświadczyła, bijąc (zapewne) swoje dziecko. Jabłońska pokazuje problem systemowej przemocy, w którym kolejna wynika z poprzedniej. Męczyzna występuje tutaj jednocześnie jako oprawca i ofiara przemocy, doznanej w dzieciństwie, ofiara całego systemu patriarchalnego, nakazującego mu wpisywać się w konkretny paradygmat męskości, sprawować kontrolę nad rodziną i utrzymywać pozycję dominacji. Na destrukcyjną rolę patriarchy w życiu mężczyzn zwraca uwagę bell hooks:

Patriarchat jako system nie pozwala mężczyznom osiągnąć pełnego emocjonalnego dobrostanu, który nie jest tożsamy z uczuciem, że zostało się nagrodzonym, osiągnięto sukces czy zdobyto władzę, ponieważ posiada się zdolność sprawowania kontroli nad innymi. Żeby naprawdę zająć się męskim bólem i kryzysem męskości, musimy stać się jako społeczeństwo gotowi do obnażenia brutalnej prawdy o tym, że patriarchat niszczył mężczyzn w przeszłości i niszczy ich dzisiaj¹³.

Męczyzna, wychowany w patriarchalnych wzorcach męskości, nie potrafi przyznać się do słabości i strachu przed samym sobą. Jego nieumiejętność radzenia sobie z własnymi negatywnymi emocjami przejawia się w stosowaniu przemocy jako formy ucieczki od problemów. Bohaterka liryczna znajduje się w podobnej sytuacji, jest ofiarą przemocy ze strony partnera, ale zna też lęk przed utratą kontroli, chwilę, gdy sama ją traci. Opozycyjny podział na kobietę-ofiarę i mężczyznę-oprawcę zostaje w tym momencie zakwestionowany, okazuje się bowiem, że oboje przeżywają podobne emocje. Człowiek żyje we wspólnocie, pozostając silnie uzależnionym od warunków zewnętrznych, a jedno istnienie oddziałuje na drugie, nawet jeżeli nie zawsze można pojąć te zależności. Judith Butler postuluje uznanie kruchości życia i podatności na zranienie jako wspólnej kondycji wszystkich istot¹⁴. W tym utworze rozwija się sieć zależności, objawia spirala przemocy stanowiąca część

¹³ b. hooks, *Gotowi na zmianę. O mężczyznach, męskości i miłości*, przeł. M. Kunz, Warszawa 2022, s. 48.

¹⁴ Zob. J. Butler, *Ramy wojny. Kiedy życie godne jest oplakiwania?*, przeł. A. Czarnacka, Warszawa 2011, s. 56–64.

większego systemu, w który kobieta i mężczyzna zostali wpisani w momencie narodzin. Dostrzeżenie podatności na zranienie nie powoduje jednak wzajemnego zrozumienia i nie stanie się impulsem do pojednania. Ostatnie wersy wiersza brzmią następująco:

podnosisz na mnie rękę, bo wiesz, że coś we mnie chce dostać
w pysk (posłuchaj siebie jak fantazjujesz o przemocy)

każda trochę chce, bo zażyła, bo reszta ciała
jest zakopana w ziemi

(kiedy podnosisz na mnie rękę, s. 35)

Naomi Wolf dowodzi, że płynące z kultury wzorce przemocy w relacjach międzyludzkich nie oddziałują wyłącznie na mężczyzn, ale również na kobiety i sposób, w jaki myślą o seksie i samych sobie. Podobnie jak przedmiotem męskich fantazji są władza, dominacja i kontrola, kobiety snują wyobrażenia o byciu podporządkowaną i zdominowaną. Wolf postuluje radykalne zmiany w sposobie myślenia o seksie i relacjach romantycznych, które powinny się opierać na wzajemnym zrozumieniu i już w tej zmianie relacji między kobietami i mężczyznami dostrzega rewolucyjny potencjał¹⁵. Jabłońska przedstawia ten problem, ale go nie rozwiązuje, poprzestając na ukazaniu mężczyzny stosującego przemoc i kobiety godzącej się z rolą ofiary.

Analizując ponowoczesną recepcję feminizmu, uwzględniającą tezę Butler o tym, że nie powinien on być polityką reprezentacji, lecz odejść od założenia, że podmiot ruchu mają stanowić kobiety¹⁶, Zbyszko Melosik wyróżnia feminizm polityczny jako jedną z możliwych strategii ruchu kobiecego. Cechuje go to, że nie wymaga konstruowania spójnego podmiotu kobiecego, kształtowanie tożsamości odbywa się poprzez indywidualne doświadczenie płciowe. Płeć miałaby tutaj znaczenie o tyle, o ile stanowi źródło politycznego działania i zjednoczenia w osiągnięciu celu¹⁷. Ostatnim wierszem tomu *dla moich dziewczyn jest apostazja w weekend*, w którym gniew, zmęczenie i frustracja przezwyciężają strach. Kobiety wspólnie wychodzą na ulicę, by wyrazić niezgodę na aktualny porządek społeczny:

i jebać to – wychodzę na miasto; bo nie godzi się
stać tak: zróbmy głośny szanson
z całej pizdy w klakson

nie dajmy im zasnąć

(s. 40)

¹⁵ N. Wolf, *Mit urody*, s. 180–187.

¹⁶ Zob. J. Butler, *Uwikłani w płęć. Feminizm i polityka tożsamości*, przeł. K. Krasuska, Warszawa 2008, s. 48–49.

¹⁷ Z. Melosik, *Tożsamość, ciało i władza. Teksty kulturowe jako (kon)teksty pedagogiczne*, Poznań–Toruń 1996, s. 282–284.

Wiersz *apostazja w weekend* przynosi podsumowanie całego tomu. Jabłońska podejmuje w nim również problematykę wykorzystywania seksualnego dzieci przez przedstawicieli kleru oraz niedostępności aborcji. Motywacją działania młodych kobiet jest gniew, chęć zemsty za zadawane im cierpienia. Ale czy kilka bezsensownych nocy wywołanych przez ich krzyki i klaksony samochodów poskutkuje głębokimi przemianami w relacjach między płciami?

Melosik poddaje feminizm polityczny krytyce, gdyż bez sformułowania podmiotu kobiecego ruch wydaje się pozbawiony twardych podstaw, natomiast wyznaczając założenia, cele i kierunki działania, ryzykuje błąd esencjalizmu i dualizmu płciowego¹⁸. Ten problem doskonale ilustruje tom Jabłońskiej *dla moich dziewczyn* przez ukazanie rewolucji w duchu walki płci, uniemożliwiającym długofalową przemianę struktur społecznych. Zdaniem Irigaray rewolucja musi się odbyć na innych zasadach, uwzględniając, że kobieca seksualność nie różnicuje innego od samej siebie, własność i posiadanie są jej obce, bo ona sama zawiera już w sobie wszystko, dlatego: „niemożliwe staje się rozpoznanie i rozróżnienie tożsamości”¹⁹. Tak rozumiana ekonomia kobieca różni się od męskiej, w której kobieta zostaje uprzedmiotowiona, stając się wymienianym towarem, podstawą budowy relacji między mężczyznami, dlatego system, który uwzględniałby kobiece pragnienie, nie może powstać poprzez odwrócenie relacji płciowych i społecznych, ale ich całkowite przekształcenie.

Jabłońska konsekwentnie kreśli obraz kobiety-ofiary i mężczyzny-oprawcy, choć w niektórych wierszach tomu można znaleźć kierunki przekroczenia tej dychotomii. Lektura całego tomu, zwłaszcza zamykającego utworu *apostazja w weekend* sprawia, że przedstawione przez autorkę postacie kobiece wpisują się w założenia feminizmu ofiary. Tę uwikłaną w esencjalistyczne narracje konstrukcję, w której każda kobieta jest osobą pokrzywdzoną krytykuje Naomi Wolf w pracy *Fire with Fire*. Autorka *Mitu urody* nie umniejsza krzywdy tych kobiet, które doświadczyły przemocy, uważa jednak, że kondycja ofiary jest zbyt ogólna i schematyczna, co może przeszkadzać skrzywdzonym kobietom w powrocie do życia po doznanej traumie²⁰. Autorka *dla moich dziewczyn* przedstawia różne formy przemocy wobec kobiet: kulturowe ograniczenia, zaczepki na ulicy, przemoc domową, gwałty i zbrodnie. O wszystkie te krzywdy oskarża mężczyzn, przez co doświadczone nimi kobiety mogą zjednoczyć się w tożsamości ofiary, pokonać strach i wzniecić odwetowy bunt.

Tożsamość ofiary i jednoczenie się w obliczu wspólnego wroga bell hooks w *Teorii feministycznej* uznaje za „upraszczający schemat seksistowskiej opresji”²¹. Dostrzega w figurze kobiety-ofiary zagrożenie, ponieważ nie pozwala dostrzec własnych seksistowskich zachowań, przypisując je wyłącznie mężczyznom:

¹⁸ Tamże.

¹⁹ L. Irigaray, *Ta płec (jedną) płcią niebędącą*, przeł. S. Królak, Kraków 2010, s. 25–27.

²⁰ N. Wolf, *Fire with fire*, dz. cyt., s. 164–172.

²¹ b. hooks, *Teoria feministyczna. Od marginesu do centrum*, przeł. E. Majewska, Warszawa 2013, s. 86.

Feministyczna retoryka wspierająca postrzeganie mężczyzn jako wrogów i kobiet jako ofiar, umożliwiła kobietom pomijanie pracy nad tworzeniem nowych systemów wartości. Uczestniczki ruchu feministycznego działały zgodnie z seksistowską mistyfikacją, która zaciemnia kobiece doświadczenie, i po prostu przyjmowały, że kobiety są różne od mężczyzn, inaczej, inaczej rozumieją władzę, i w związku z tym mają zupełnie inny system wartości. Tak po prostu nie jest²².

Jeden z głównych postulatów *Teorii feministycznej* dotyczy postrzegania kobiet przez nie same jako istot politycznych, które mają realny wpływ na to, jak wygląda życie społeczne. Proponuje traktować mężczyzn jako „towarzyszy walki”, nie jako wrogów²³. Rozwiązanie problemu opresji ze względu na płeć – pozostającego w ścisłym związku z innymi formami ucisku społecznego – wymaga działania i zaangażowania od wszystkich.

Oliwia Pietras

Bibliografia

- Araszkiewicz A., *Subwersja dziewictwa w filozofii Luce Irigaray*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2019, nr 1 (13), s. 35–48.
- Butler J., *Uwikłani w płeć. Feminizm i polityka tożsamości*, przeł. K. Krasuska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008.
- Butler J., *Ramy wojny. Kiedy życie godne jest opłakiwania?*, przeł. A. Czarnacka, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2011.
- Dedykuje na prawo i lewo [Przemysław Suchanek rozmawia z A. Jabłońską], Biuro Literackie 2021, <https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/wywiady/dedykuje-na-prawo-i-lewo/> [dostęp 10.03.2023].
- Derlada B., *Kiedy kobiety czują się jak dziewczynki*, „Odra” 2022, nr 10 (720), s. 142–144.
- Herman D.F., *The Rape Culture [w:] Women: A Feminist Perspective*, red. J. Freeman, McGraw-Hill Humanities, Mountain View 1996, s. 45–53.
- hooks b., *Gotowi na zmianę. O mężczyznach, męskości i miłości*, przeł. M. Kunz, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022.
- hooks b., *Teoria feministyczna. Od marginesu do centrum*, przeł. E. Majewska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013.
- Irigaray L., *Ta płeć (jedną) płcią niebędąca*, przeł. S. Królak, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010.
- Jabłońska A., *dla moich dziewczyn*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2021.
- Melosik Z., *Tożsamość, ciało i władza. Teksty kulturowe jako (kon)teksty pedagogiczne*, Edytor, Poznań–Toruń 1996.
- Miller N.K., *Arachnologie: kobieta, tekst i krytyka*, przeł. K. Kłosińska, K. Kłosiński [w:] *Teorie literatury XX wieku. Antologia*, red. A. Burzyńska, M.P. Markowski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2006.

²² Tamże, s. 135.

²³ *Mężczyźni. Towarzysze walki* jest tytułem jednego z rozdziałów książki hooks. Też, *Teoria feministyczna*..., s. 111–130.

Rojek N., *Nigdy nie będziesz szła sama*, „Nowy Napis Co Tydzień” 2021, nr 106, <https://nowy-napis.eu/tygodnik/nr-106/arttykul/nigdy-nie-bdziesz-szla-sama> [dostęp 15.04.2024].

Wolf N., *Fire with Fire: The New Female Power and How to Use It*, Random House, New York 1993.

Wolf N., *Mit urody*, przeł. M. Rogowska-Stangret, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2014.

Building a community of female victims: Agata Jabłońska's volume of poems *dla moich dziewczyn* [for my girls]

Summary

The article is a proposal for reading Agata Jabłońska's second volume of poetry *dla moich dziewczyn* [for my girls] as an attempt to build a women's community on the basis of common gender experience. Women's sharing of common oppression becomes the basis for uniting in the fight against sexism and allows them to overcome fear and start rebellion. The identity is constructed on the opposition of a woman as victim and a man as perpetrator and is reinforced by gender stereotypes. The article shows the threats resulting from women's "solidarity" built in this way.

Key words: Agata Jabłońska, women poetry, Contemporary Polish Poetry, feminist criticism, victim feminism,

Fot. Marcei Novakowski



Cypr, katedra św. Barnaby Apostoła w Nikozji

*Wyróżnienie w XX Ogólnopolskim Konkursie
im. Kazimierza Ratonia 2024*

Marta Jurkowska

Moja kuzynka mieszka przy cmentarzu.
Jesienią widzi jak liście piją krew,
mgła zabiera białe kości
nocą słyszy żałosny śpiew
a może głos puszczyka?

Odkąd pochowała syna
nie zamyka drzwi.
Codziennie pierze jego koszule
i wiesza na słońcu,
na wietrze, który porusza
wszystkie czułe struny.

A potem gotuje obiad,
otwiera szeroko okno i woła:
synu wróć!

HALLOWEEN

Dzieci noszą na sobie trupie główki,
czarne zęby gryzą cukierki, pluja jadem.
Pukają do środka; nasłuchują czy bije serce myszy
a malutka zasłania drżące usta.

Nie mają imienia tylko liczby
raz, dwa, trzy, straszysz ty!
i chowają swoje ciała za drzwiami.

Ten dom ma duszę;
ciemną i mroczną jak sień.
Skrywa po kątach
nieznośny ciężar bytu.

Zuzia rozprasza mrok swoim kaszlem,
zawsze jest przed nią o krok
no, może o rok albo szybciej
zaciśnie pętlę na jej chudej szyi
nawet nie będzie się przebierał
za śmierć.

IMIGRANCY

Przez granicę mojej działki
przechodzą korzenie drzew sąsiada -
nielegalni imigranci.

A matka trzyma się
za bolesne żebra,
czuje, że on też już przeszedł
na drugie płuco.

Nocą podchodzą pod nasz dom
czarne żyły miasta;
plują lepką krwią,
ciskają bolesnymi kamieniami,

wołają: *chodź!*
no chodź, na drugą stronę!

Biegłam przez senne, zamglone miasto,
które wypełniało mi płuca
ołowiem i ciężkim kaszlem,
nie mogłam wykrzusić słowa *żegnaj*.

Pierś rozrywał mi gorący żużel
i całe stada meteorów.
Połykałam sól i ciemność błękitu,
szeptałam do ucha zachłannej śmierci.

Dzień zniżył się do poziomu depresji,
żaden przechodzień nie był w stanie
podnieść mnie na duchu.

Byłam jak potracona wiosną sarna,
której w brudnym, lepkim śniegu
topniało życie.

Marta Jurkowska



Fot. Marcel Nowakowski

Słynne pomarańcze z Morfu/Güzelyurt

Maria Zielonka

MIASTO JAKO BOHATER LITERACKI

Warszawa w twórczości Sylwii Chutnik

Warszawa ma wielu miłośników i wiele miłośniczek, fascynujących się jej historią, architekturą, demografią i innymi aspektami istnienia¹. Stała się bohaterką powieści, pamiętników, tekstów piosenek, wierszy, pojawia się w biografiami związanych z nią znanych postaci, jest tematem esejów i naukowych studiów. Polska stolica stanowi ważne centrum kulturowe i polityczne, to tutaj odbywają się największe wydarzenia historyczne, polityczne, artystyczne i sportowe. Jest także (choć od dawna rywalizuje z nią pod tym względem Kraków) centrum polskiego życia literackiego. Organizuje się w niej najwięcej wydarzeń związanych z promocją książek, takich jak targi książek i festiwale literackie, aktywnie działa Muzeum Literatury i inne muzea poświęcone polskiemu pisarzom i pisarkom. To miasto z bogatą, ale też wyjątkowo tragiczną historią – w ciągu stuleci było miejscem powstań i konfliktów zbrojnych, podczas II wojny światowej doświadczyło zagłady znacznej części swej populacji oraz zniszczeń o ogromnej skali, których ślady są do dziś widoczne w jego przestrzeni. Warszawa jawi się jako symbol patriotyzmu i niezłomności, co czyni ją miejscem, w którym historia i tożsamość narodowa są żywe na co dzień.

Po II wojnie światowej realizowano plan odbudowy miasta zgodnie z socjalistycznymi zasadami, których wyrazem było m.in. tworzenie osiedli mieszkaniowych o wyrównanym dla wszystkich standardzie. Z czasem (zwłaszcza w latach 60. i 70.) obniżano koszty budowy osiedli, ograniczając infrastrukturę, tworząc bloki z wielkiej płyty z niewielkimi mieszkaniami². Rząd Polski Ludowej zamierzał odbudować Warszawę, uwzględniając infrastrukturę niezbędną dla funkcjonowania aglomeracji, jak układ dróg, wodociągi i kanalizacja. Starał się także odbudowywać i rekonstruować zniszczone doszczętnie w czasie II wojny światowej historyczne miejsca i budowę stolicy: Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście, Zamek Królewski, częściowo Nowy Świat³. Architektura jest bowiem ważnym elementem miasta,

¹ Na kilku uniwersytetach są prowadzone studia varsavianistyczne dla osób zainteresowanych Warszawą historyczną i współczesną. Na stronie Uniwersytetu Warszawskiego można się dowiedzieć, że pozwalają one: „poznać specyfikę rozwoju urbanistycznego miasta stołecznego Warszawy, uwarunkowania demograficzne charakterystyczne dla dotkniętej dwoma wojnami aglomeracji. Studia dostarczają też wiedzy o architekturze i życiu kulturalnym Warszawy oraz relacjach z regionem mazowieckim”. Zob. *Studia Varsavianistyczne*, <https://irrk.uw.edu.pl/pl/offer/PODYPL2024/programme/SP-HI-SPV/> [dostęp: 5.09.24].

² B. Górawski, J.A. Wendt, *Socjalizm w architekturze przestrzeni miejskiej*, „Journal of Innovations in Natural Sciences” 2019, nr 1(1), s. 40.

³ J. Zachwatowicz, *Stare Miasto Warszawa wraca do życia*, „Ochrona Zabytków” 1953, nr 6/2–3 (21–22), s. 73–74.

który stanowi o jego wyjątkowości i ponadczasowości. Jak pisze Małgorzata Smoleń: „Uwiecznione w filmach i serialach kultowe już miejsca i architektura – Zamek Królewski i kolumna Zygmunta, Dworzec Centralny, Pałac Kultury i Nauki czy Stadion Dziesięciolecia, stały się znakiem rozpoznawczym dla tysięcy przyjezdnych, którzy marzyli o zamieszkaniu pod warszawskim adresem”⁴. Po powojennej odbudowie przeszłość i świetność dawnej stolicy połączyła się z pseudonowoczesnością, której przykładem jest Pałac Kultury i Nauki wzniesiony na wzór podobnych sowieckich budowli.

Stolica zajmowała i wciąż zajmuje szczególne miejsce w polskiej literaturze, w twórczości warszawianek i warszawiaków dających w swoich utworach wyraz przywiązaniu do rodzinnego miasta. Pojawia się u Mirona Białoszewskiego⁵, Leopolda Tyrmanda⁶, w powieściach kryminalnych Zygmunta Miłoszewskiego⁷ i prozie Jakuba Żulczyka⁸. Liczne są też przywołania Warszawy w poezji, piosence poetyckiej, muzyce i filmie⁹. W niniejszym szkicu zamierzam przyjrzeć się statuso-

⁴ M. Smoleń, *Pod warszawskim adresem: wyobrażenia i realia dokumentalne opowieści o stolicy, jej mieszkańcach i prowincjonalnych „sloikach”*, „Images” 2013, vol. XII, no. 21, s. 194.

⁵ W *Pamiętniku z powstania warszawskiego* (1970) Białoszewski ukazuje osobiste doświadczenia cywila niezaangażowanego w działania zbrojne w sposób odbiegający od upowszechnionego przedstawiania II wojny światowej. W intymnej narracji stolica jest nie tylko tłem zdarzeń, ale także ich bohaterką. W monografii *Tętno pod tynkiem. Warszawa Mirona Białoszewskiego* (pod redakcją Agnieszki Karpowicz) autorzy artykułów tropią warszawskie ślady Białoszewskiego, odnajdując je także w jego powieściach *Zawał* (1977) i *Konstancin* (1991). W artykule *Czas odnaleziony, czyli warszawska krucjata dziecięca* Igor Piotrowski zauważa, że pisarz nawet kilkadziesiąt lat po wojnie wraca do powstania warszawskiego, które jest dla niego stałym punktem odniesienia. Z kolei Marcin Piątek zwraca uwagę, że Białoszewski nakładał „warszawską kalkę” na wszystkie miejsca, które odwiedzał i o których pisał, w ten sposób próbując je oswoić. Por. M. Piątek, *Warszawa bez granic. Śladami Mirona Białoszewskiego*, „Studia Poetica” 2015, t. III, s. 178.

⁶ Tyrmand w powieści kryminalnej *Zły* (1955) pokazał barwny obraz stolicy pełnej niebezpieczeństw, korupcji i brutalnych konfliktów. Równocześnie próbował zachować obraz przedwojennej, idealizowanej Warszawy.

⁷ W Warszawie toczy się akcja serii utworów o prokuratorze Teodorze Szackim (m.in. powieść *Uwikłanie*, 2007). Pisarz odsłania ukryte, niepokojące oblicze tego miasta, w którym tragiczna historia wciąż promieniuje na teraźniejszość.

⁸ W powieści *Ślepnięć od światła* (2014) Żulczyk przedstawia Warszawę mroczną, niebezpieczną i amoralną. Króluje w niej przemoc, narkotyki, szybki seks i beznadzieja. W kontynuacji tej powieści – *Dawno temu w Warszawie* (2023) – stolica jest areną starcia policji z narkotykową mafią. Zwykli obywatele odczuwają jej skutki w postaci wypadków samochodowych lub „przypadkowych” śmierci bliskich. W jednym z wywiadów Żulczyk powiedział: „*Ślepnięć od światła* to elegia dla Warszawy. Można powiedzieć, że to powieść kryminalna o dilerze, który wpada w kłopoty, całe jego życie legło w gruzach, ale to także poemat miłosny o Warszawie, smutna miłosna piosenka”. *Jakub Żulczyk po ciemnej stronie Warszawy* [rozm. przeprowadził M. Kaźmierczyk], „Culture.pl” <https://culture.pl/pl/artukul/jakub-zulczyk-po-ciemnej-stronie-warszawy-wywiad> [dostęp 06.09.24].

⁹ Oto kilka przykładów obecności stolicy Polski w znanych wierszach, piosenkach i filmach: *W Warszawie* (1920) Juliana Tuwima („Tu będziesz tańczyć, moja poetycka geometrio, / W tem fantastycznym mieście, — nie! w tym śnie, wcielonym / Z rozmachem i patosem w labirynt uliczny, / W tej stuliccy stolicy, rozstrzelonej gwiazdnie!” ([https://pl.wikisource.org/wiki/W_Warszawie_\(Tuwim,_1920\)](https://pl.wikisource.org/wiki/W_Warszawie_(Tuwim,_1920))) [data dostępu: 30.10.24]); *Sen o Warszawie* Czesława Niemena (1966), *Stacja Warszawa* (2004) zespołu Lady Pank; serial *Czterdziestolatek* (1974–1977); filmy *Vabank* (1981) w reżyserii Juliusza Machulskiego, *Pianista* (2002) w reżyserii Romana Polańskiego, *Plac Zbawiciela* (2006) w reżyserii małżeństwa Krauze.

wi i funkcjom Warszawy w prozie Sylwii Chutnik, pisarki z pokolenia dzisiejszych czterdziestolatków, silnie związanej z rodzinnym miastem. W kilku jej utworach stolica Polski jest nie tylko tłem zdarzeń i miejscem akcji, ale – podobnie jak u Białołęskiego – bohaterką opowieści.

Chutnik jest pisarką, dziennikarką, kulturoznawczynią, była prezeską fundacji MaMa, Ukończyła *gender studies* na Uniwersytecie Warszawskim, w Instytucie Kultury UW obroniła pracę doktorską *Codziennosc Warszawy w latach 1954–1955. Zmysły, ciało, obyczaje*¹⁰. Od wielu lat pracuje jako przewodniczka miejska, oprowadzając wszystkich chętnych własnymi trasami, wiodącymi po śladach znanych kobiet związanych z Warszawą¹¹. W radiu prowadzi podcast Sylwia i Elgibete TV. Aktywnie działa na rzecz praw kobiet i mniejszości. W 2020 roku została uznana przez magazyn „Forbes Women” za jedną ze stu najbardziej wpływowych Polek¹². W swojej twórczości często podejmuje kwestie dotyczące kobiet i roli płci we współczesnym świecie. Miłość do rodzinnego miasta zaszczerpił jej dziadek, zwracając uwagę na warszawskie książki Stanisława Grzesiuka, Leopolda Tyrmanda i Stefana Wiecha¹³. W wywiadzie dla „Polityki” pisarka powiedziała prowokująco, że „urodziła się w Warszawie, nie w Polsce” i tak wspominała swoje dzieciństwo:

Większość moich wspomnień [...] dotyczy konkretnych miejsc w mieście. Na przykład niezapomniane wrażenia z wnętrza Pałacu Kultury: chodziłam tam na zajęcia, jak byłam mała. Biegaliśmy po długich korytarzach prowadzących donikąd, chowaliśmy się w wiśniowych kotarach i odkrywaliśmy coraz to nowe, tajemnicze miejsca. Poza tym neony, nocna jazda autobusem do babci i dziadka, mieszkających w samym centrum. Uczylam się czytać na świecących napisach: perfumeria, dom mody, mozaika. Mieszkalam zawsze w bloku: zsymp, prusaki, sklep na dole. Winda towarowa i zwykła, horror zatrzymywania się między piętrami. Oczywiście zawsze chciałam w kamienicy, jak mieszcza¹⁴.

Dorota Kozicka tak komentuje wpływ silnych związków Chutnik z jej rodzinnym miastem na poetykę jej pisarstwa:

Pisarka ciągle podkreśla swoje związki z tym miejscem, a „miejskość” i kojarzone z miastem emocje i uczucia coraz mocniej i coraz bardziej zaczynają ujawniać się

¹⁰ Por. S. Chutnik, *Miasto zgruzowstale. Codziennosc Warszawy w latach 1954–1955*, Wrocław 2020.

¹¹ P. Kozioł, *Sylwia Chutnik*, „Culture.pl”, <https://culture.pl/pl/tworca/sylwia-chutnik> [dostęp 20.10.24].

¹² *Sylwia Chutnik*, „Sonia Draga”, <https://soniadraga.pl/wydawnictwo-debit/autorzy-3/sylwia-chutnik> [dostęp: 20.10.24].

¹³ M. Maryl, *Startup literacki. Blog a powieść w odcinkach na przykładzie pierwowzoru „Cwaniar” Sylwii Chutnik* [w:] *Teksty kultury uczestnictwa*, red. A. Dąbrowski, M. Maryl, A. Wójtowicz, Warszawa 2016, s. 86.

¹⁴ *Rozmowa z Sylwią Chutnik* [rozm. przeprowadziła J. Sobolewska], „Polityka” 4.11.2009, <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/paszporthy/284021,1,rozmowa-z-sylwia-chutnik.read> [dostęp 20.10.24].

w jej pisarstwie. Mówi się tu o „chorobie miejskiej”, która objawia się „uzależnieniem od rozgrzanego asfaltu przylepiającego klapki, od tłumy ludzi biegnących przed siebie, ocierających się o siebie nawzajem [...]”. Warszawa jest ważnym spoiwem książek Sylwii Chutnik również na poziomie narracji, a ściślej rzecz biorąc: różne języki opowieści o Warszawie i warszawskich opowieści stanowią ważną materię tej narracji¹⁵.

Taką wielojęzykową i różnorodną stylistycznie formę snucia opowieści można odnaleźć w najbardziej znanych warszawskich utworach pisarki: zbiorze opowiadań *Kieszonkowy atlas kobiet* (2008), powieściach *Dzidzia*¹⁶ (2009) i *Cwaniary* (2012), spacerowniku *Warszawa kobiet* (2011) oraz napisanej na podstawie doktoratu monografii *Miasto zgruzowstałe. Codziennność Warszawy w latach 1954–1955* (2020). Opisując w niej wyłanianie się po wojnie miasta z ruin, czyli „z gruzów wstawanie”, Chutnik chce spróbować: „uchwycić i opisać specyfikę pierwszej połowy lat pięćdziesiątych: moment oddawania do użytku osiedli i socrealistycznych budynków już po apogeum obowiązywania tej doktryny i u progu politycznych przemian”¹⁷. Sięga w swych rozważaniach do różnych utworów literackich, w których Warszawa wysuwa się na pierwszy plan: dzienników Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej i Anny Kowalskiej, powieści Kazimierza Koźniewskiego, opowiadań Marka Hłaski oraz utworów Leopolda Tyrmandy.

Monografia podzielona jest na cztery rozdziały i zawiera wiele nieznanych zdjęć stolicy, które wzbogacają i uzupełniają treść. W pierwszym rozdziale autorka analizuje, jak warszawiacy odnajdywali się w nowej, powojennej rzeczywistości i jak wyglądała ich codzienność. W kolejnych rozdziałach kontynuuje tę problematykę, porównując perspektywę postrzegania Warszawy m.in. przez Tyrmandy, który stworzył: „topograficzny wykres stanów emocjonalnych miasta i ludzi w nim mieszkających”¹⁸ oraz Koźniewskiego, który w *Piątce z ulicy Barskiej* (1976) „akcentuje nowe życie, początek”¹⁹. Trzeci rozdział koncentruje się na sytuacji kobiet z tamtych lat: macierzyństwie, godzeniu ról matki, żony i kobiety pracującej, dostępie do żłobków i przedszkoli, zarobkach, antykoncepcji, życiu miłosnym oraz ówczesnych kanonach piękna. Pisarka jest zafascynowana odradzającą się stolicą, a zwłaszcza tym, jakie zmiany i procesy społeczno-kulturowe miały wówczas miejsce. Także w wywiadach często powtarza, że Warszawa to jej miejsce: „w Warszawie stworzyłam swój grajdół. Niby jestem «wielkomiejską Warszawą», a tak naprawdę jestem babą przy rynku, która otoczona jest tym, co zna, bo dzięki temu czuje się bezpiecznie,

¹⁵ D. Kozicka, *Sylwia Chutnik, czyli kobieta w mieście*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 6, s. 137–138.

¹⁶ *Dzidzia* to powieść Chutnik, w której bohaterowie mierzą się z powojenną traumą, m.in. skutkami powstania warszawskiego. Znajdziemy w niej także charakterystykę polskich przywar, wciąż obecnego patriarchy, manipulacji i hipokryzji Kościoła katolickiego i władzy czy antysemityzmu.

¹⁷ S. Chutnik, *Miasto zgruzowstałe. Codziennność Warszawy w latach 1954–1955*, Warszawa 2020, s. 9.

¹⁸ Tamże, s. 100.

¹⁹ Tamże, s. 106.

u siebie. Oswoiłabym sobie przestrzeń gdzieś indziej, oczywiście, ale jak już tu mam wszystko, to daj pan spokój, po co jechać w świat”²⁰.

W *Mieście zgruzowstałym* powraca do czasów, gdy niemal doszczętnie zniszczoną Warszawę zaczęto odbudowywać nie tylko w sensie materialnym, ale także wspólnotowym, społecznym. Chutnik przygląda się narodzinom nowej codzienności na gruzach miasta, dramatom i nadziejom jego mieszkańców, wpisanym w krajobraz wielkich zmian politycznych, społecznych i obyczajowych. Śledząc wnikliwie, po kronikarsku życie w Warszawie w powojennej dekadzie, podkreśla, że proces „zgruzowstawiania” polegał nie tylko na budowaniu o odbudowywaniu budynków i budowli, ale także na rekonstruowaniu tożsamości zbiorowej i „miejskiej duszy”, która przetrwała i dążyła ku nowym formom życia w realiach socjalistycznej Polski.

W swoim debiutanckim zbiorze opowiadań *Kieszonkowy atlas kobiet* (2008) (nominowanym do Literackiej Nagrody Nike 2009) Chutnik przedstawia losy Czarnej Mańki, pani Marii, Marysi i „paniopana” Mariana – mieszkańców jednej z kamienic przy ulicy Opaczewskiej na warszawskiej Ochocie. Ta kamienica istnieje w rzeczywistości, lecz – jak zauważył krytyk Marek Radziwon – można „odszuścić realne prawzory powieściowych postaci, ale wierna topografia, realne adresy i osoby nie mają znaczenia”²¹. W rozmowie dla „Polityki” autorka tak tłumaczyła, dlaczego wybrała na miejsce akcji powieści konkretne miejsce:

Zauważyłam, że w tej kamienicy ciągle trwa walka o pamięć wydarzeń z czasów wojny. Na okienku piwnicznym ktoś wieszał ciągle kartkę mówiącą o tym, że w tej piwnicy w sierpniu 1944 r. zginęli, po wrzuceniu bomby, prawie wszyscy mieszkańcy, głównie kobiety z dziećmi. [...] Ta kartka była ewenementem, bo nie domagała się porządku, tylko walczyła o pamięć. Poza tym to jest jedyna kamienica przedwojenna w długim rzędzie bloków na ulicy Grójeckiej. To typowe dla Warszawy, że widzimy bloki, jeden stary dom, i dalej ciągną się bloki. Warszawa pełna jest takich plomb przeszłości²².

Niepowtarzalny duch i tragiczna historia Warszawy kształtują życie bohaterów i bohaterek *Kieszonkowego atlasu kobiet*. Akcja utworu rozgrywa się na zaniedbanym podwórku obskurnej kamienicy i na bazarze, który pamięta dawne czasy. To tu handluje garnkami Czarna Mańka. To jej królestwo, a dla niewtajemniczonych labirynt, w którym można się zgubić: „wewnętrzna logika bazaru jest

²⁰ Na czterdziestkę dokonała coming outu. „Każdy z nas niesie queera w środku”, mówi Sylwia Chutnik [rozm. przeprowadził W. Krajewski], „Viva”, 28 marca 2024, <https://viva.pl/ludzie/wywiady-vivy/sylwia-chutnik-o-depresji-i-orientacji-kazdy-z-nas-niesie-queera-w-srodku-wywiad-vivy-148750-r1/> [dostęp: 20.10.24].

²¹ M. Radziwon, Sylwia Chutnik, „*Kieszonkowy atlas kobiet*”, „Culture.pl.”, <https://culture.pl/pl/dzielo/sylwia-chutnik-kieszonkowy-atlas-kobiet> [dostęp: 7.09.24].

²² Rozmowa z Sylwią Chutnik [rozm. przeprowadziła J. Sobolewska], „Polityka” z 4.11.2009, <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/pasporty/284021,1,rozmowa-z-sylwia-chutnik.read> [dostęp: 20.10.24].

zrozumiała dopiero po głębszym poznaniu”²³. Bazar stanowi sekretne terytorium kobiet handlarek – „bazarówek”. Autorka porównuje go do cmentarza, obejmując bowiem obszar dawnego Zieleniaka, miejsca kaźni ludności cywilnej podczas powstania warszawskiego²⁴, o którym nie może zapomnieć Pani Maria, bohaterka opowiadania *Łączniczki*. Sceny stamtąd powracają w koszmarach sennych starszej kobiety, nie pozwalając jej normalnie żyć, dlatego zaszywa się w piwnicy, która służyła jej za schronienie w czasach wojny. Chutnik pokazuje, jak długotrwałe skutki wywierają traumatyczne wydarzenia nie tylko na tych, którzy ich doświadczyli, lecz także na kolejne pokolenia. Bohaterowie reprezentują przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Warszawy:

Tym samym autorka subtelnie kieruje naszą uwagę na pewne zaburzenie zbiorowej świadomości. Okazuje się bowiem, że nie ma historycznej ciągłości ani przejścia pomiędzy dawną stolicą a współczesną nam Warszawą, pragnącą uchodzić za „normalną” europejską metropolię doby późnego kapitalizmu...²⁵.

Chutnik zachowuje rzeczywistą topografię warszawskiej przestrzeni; przedstawione w książce ulice i budynki można znaleźć na mapie. Obraz stolicy w *Kieszonkowym atlasie...* jest jednocześnie nieco oniryczny. Osamotnieni bohaterowie i bohaterki żyją na marginesie, z powodu wieku, ubóstwa, niewpasowywania się w przyjęte normy są wykluczeni z życia „nowoczesnej” Warszawy. Pograżają się we wspomnieniach i w świecie wyobraźni, próbując przetrwać trudną codzienność, choć nie zawsze się im to udaje. Pisarka tworzy w ten sposób nie tylko w *Kieszonkowym atlasie kobiet*, ale i w powiązanych ze sobą kolejnych książkach własne miejskie legendy, których głównymi bohaterkami są kobiety:

losy Czarnej Mańki, Marii Wachelberskiej, Paniopana Mariana i Marysi Kozak, można postrzegać jako opowieści rozpisywane przez Chutnik na rozmaite sposoby w kolejnych książkach, to publikowaną w 2009 roku *Dzidzię* można czytać jako literackie rozwinięcie wątków rozdziału *Łączniczki* z *Kieszonkowego atlasu kobiet*²⁶.

W powieści *Cwaniary* (2012) autorka przedstawia losy młodych warszawianek, które we współczesnej „miejskiej dżungli” przyjmują role odbiegające od

²³ S. Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*, Kraków 2008, s. 232.

²⁴ Zieleniak, obecnie targowisko w warszawskiej dzielnicy Ochota, podczas powstania warszawskiego pełnił funkcję obozu. Utworzono go 4 sierpnia 1944 roku po wkroczeniu na Ochotę oddziałów SS RONA pod dowództwem Bronisława Kamińskiego. Otoczony wysokim murem Zieleniak służył jako punkt zborny, gdzie codziennie przebywało od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. Zapisał się w pamięci jako miejsce, gdzie dochodziło do masowych grabieży, gwałtów, pobić i morderstw na cywilnej ludności Warszawy i stanowi symbol wojennych zbrodni popełnionych na Polakach przez hitlerowców. Zob. „Encyklopedia Muzeum Dulag 121”, <http://dulag121.pl/encyklopedia/zieleniak-punkt-zborny/> [dostęp: 30.10.24].

²⁵ K. Uniłowski, *Niesamowite i dowcipne: o „Kieszonkowym atlasie kobiet” Sylwii Chutnik – recenzja*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 1, s.174.

²⁶ D. Kozicka, *Sylwia Chutnik, czyli kobieta w mieście*, dz. cyt., s. 132.

stereotypów kobiecości. I w tej książce Chutnik najważniejsza jest relacja kobiety z miastem²⁷. Halina, Celina, Stefa i Bronka są przyjaciółkami, próbującymi na własną rękę przeciwstawić się opresyjnemu systemowi społecznemu i wymierzać sprawiedliwość. Warszawę traktują jak przedłużenie własnego domu. Podwórka, klatki schodowe, chodniki są dla nich kolejnymi pokojami, w których przebywają w ciągu dnia, pracują, robią zakupy, odbywają spotkania towarzyskie. Panuje tam ład i ustalony przez mieszkańców porządek, który zostaje zachwiany przez dewelopera Kossakowskiego, planującego zburzyć kamienicę. Warszawa w *Cwaniarach* jest miejscem utopijnym, „prawdziwi” mieszkańcy widzą ją jako ideał i boją się dopuścić do siebie myśl, że mogą nie mieć racji odnośnie do zachowania starego porządku. Halina i pozostali mieszkańcy warszawskich kamienic nie potrafią dostrzec wad rodzinnego miasta: brudnych, szarych ulic, zniszczonych budynków, braku nowoczesnych udogodnień. Próbuje uwidocznic zalety „starego” ładu, wynajdując argumenty, by usprawiedliwić zaniedbanie Warszawy: „I co teraz będzie z tymi wszystkimi domami? Fakt, zniszczone są, do remontu się nadają. Ale czy od razu trzeba je burzyć? [...] Pokolenie W, pokolenie miłośników Warszawy ociera łzy wierzchem dłoni”²⁸.

W wykreowanym przez Chutnik mieście czas płynie wolniej, wszyscy się znają, znajdują czas na rozmowy, są zaangażowani we wspólnotę gotową do walki ze wspólnym wrogiem²⁹. Mają jednak zbyt nostalgiczny, sentymentalny i wyidealizowany obraz miejsca, w którym się urodzili i żyją. Dobrze unaocznia to fragment, w którym Halina i Celina wdają się w bójkę z dwoma mężczyznami. Jeden z nich atakuje Halinę nożem, kobieta upada na ziemię: „Bruk już wielokrotnie przyjmował ją z otwartymi ramionami, niby dobry papa, ale teraz odrzucał swoim szorstkim policzkiem. [...] To dopiero trzeba być pobitą, aby spostrzec piękno przyrody”³⁰. Bohaterka tworzy z miastem toksyczny związek – kocha coś, co sprawia jej ból i cierpienie. Tak wyraża się paradoks silnego przywiązania – Warszawa jest dla Haliny i pozostałych bohaterek jednocześnie „dobrym papą” i agresorem. Ból i sentyment przenikają się ze sobą, jakby mieszkańcy stolicy wiedzieli, że ich miłość do miasta jest sposobem przetrwania – a zarazem hołdem oddanym miejscu, które nawet w swej szorstkości stanowi ważny element ich tożsamości.

Niekiedy powieściowi warszawiacy i warszawianki zapominają, jak niebezpieczne jest miejsce, w którym mieszkają – pełne osób stosujących przemoc wobec słabszych, nadużywających alkoholu i używek zagrażających życiu. Zobojętnienie na takie zachowania można zaobserwować chociażby w scenie powrotu do domu Haliny i Celiny. Po usłyszeniu obelżywego komentarza ze strony mężczyzny Celina

²⁷ E. Szybowicz, *Pisarka i niepisarka. Kilka uwag o rolach Sylwii Chutnik*, „Pogranicza” 2012, nr 2, s. 130.

²⁸ S. Chutnik, *Cwaniary*, s. 52.

²⁹ A. Hołubowicz, *Miasto jako przestrzeń zagrożona – refleksje na podstawie powieści „Cwaniary” Sylwii Chutnik*, „Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne” 2014, nr 1, s. 217.

³⁰ S. Chutnik, dz. cyt.

pokazała mu wulgarny gest, a następnie rzuciła cegłą w okno tramwaju, którym ten jechał. Halina, jak gdyby nigdy nic, wróciła do domu, podsumowując: „Domowo, mieszczańsko, dobrze na ten dzień, tak musi być zawsze”³¹. Mieszkańcy wydają się przyzwyczajeni do przemocy i niebezpieczeństw, odpowiadają agresorom tym samym, bronią się, stosując podobnie brutalne sposoby: „kłopoty z prawem są wpisane w umowę”³².

Mieszkańcy Warszawy są w *Cwaniarach* strażnikami przeszłości – w tej roli występuje babcia Haliny, Gienia, uczestniczka powstania warszawskiego, a współcześnie „łączniczka” między przeszłością i teraźniejszością³³. Boi się stracić nawet straszne wspomnienia, gdyż obawia się, że wówczas odejdzie w zapomnienie. Tak charakteryzuje tę bohaterkę Monika Świerkosz: „Dla niej miasto to domy, też te stare, których nie można wyrywać jak zębów mlecznych w imię urbanistycznej higieny czy estetyki. Z jej perspektywy tocząca się w przestrzeni miasta materialna wojna przeszłości z teraźniejszością nigdy się nie skończyła, a stawką w niej jest pamięć”³⁴. Dawna Warszawa była dla swoich mieszkańców mikroświatem, domem, w którym rodzili się, dorastali, przeżywali dobre i złe chwile, umierali. Walka, którą każdego dnia podejmują w obronie swojej miejskiej przestrzeni, jest dla nich ważna i potrzebna. Stoi za nią silna wiara w konieczność ocalenia kultury materialnej i duchowej stolicy. Chcąc zachować przeszłość, dają świadectwo swojej tożsamości, silnie wiążąc jej ich z miastem. Mają silne poczucie tego, kim są i skąd pochodzą.

Jak wspominałam na początku szkicu, Chutnik jest również przewodniczką miejską. Z prywatnej perspektywy pokazuje rodzinne miasto w przewodniku *Warszawa kobiet* (2011). Znajdziemy tam opisy miejsc, z którymi związane są ważne kobiety z różnych sfer i klas społecznych: sprzedawczynie, pielęgniarki, nauczycielki, działaczki społeczne, nieczęsto trafiające na karty podręczników historii. Autorka skupia uwagę na tych osobach, których życie i praca stanowiły ważną część Warszawy ich czasów, choć wkład kobiet w rozwój miasta bywał i nadal jest niedoceniany. Chutnik przywraca pamięć o kobietach budujących Warszawę swoją odwagą, solidarnością i troską o innych. Ukazuje stolicę jako przestrzeń, w której splatają się losy nie tylko wielkich postaci historycznych, lecz także zwykłych kobiet, mających ogromny wpływ na życie miasta. To zadanie traktuje jako swoją misję: „Dużo zależy od nas, rdzennych warszawiaków. Może to brzmieć, jakbym miała misję, ale tak trochę jest. Dlatego zostałam przewodniczką po Warszawie. Czuję, że trzeba pokazać to wszystko, że Warszawa to fajne miejsce”³⁵.

³¹ Tamże, s. 83.

³² Tamże, s. 92.

³³ *Cwaniary wszystkich opowieści, łączcie się z sobą!* [z Sylwią Chutnik rozmawia Anna Kaluża, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 6, s. 145.

³⁴ M. Świerkosz, *Doświadczenie miasta we współczesnej prozie kobiet* [w:] *Nowe poetyki miejskie. Z problematyki urbanistycznej w literaturze XX i XXI wieku*, red. M. Roszczyniańska, K. Wądołny-Tatar, Kraków 2015, s. 151.

³⁵ *Rozmowa z warszawianką* [rozm. przeprowadził T. Jakubowski], „WP wiadomości”, <https://wiadomosci.wp.pl/warszawa/rozmowa-z-warszawianka-6178439651600001a> [dostęp 21.10.24].

Warszawa stanowi najważniejsze źródło inspiracji Sylwii Chutnik. Jest nie tylko przestrzenią, w której toczy się akcja niemal wszystkich jej książek, lecz także motorem jej działalności społecznej, zawodowej, naukowej i kulturowej. Można ją nazwać wielkim tematem jej twórczości. Miasto ze swoją bogatą i często trudną historią staje się dla pisarki miejscem niekończących się opowieści. Dostrzegając wielowymiarowość Warszawy – od jej mrocznych zakamarków, przez zaniedbane dzielnice, po ważne punkty stołecznego życia kulturalnego – stara się ją podobnie ukazać w swoich utworach. Jej Warszawa odróżnia się od wizji Miłoszewskiego czy Żulczyka. Ten pierwszy eksploruje Warszawę jako przestrzeń napięcia między przeszłością a teraźniejszością, lecz czyni to z perspektywy, w której miasto zdaje się traktować bohaterów w sposób chłodny i instrumentalny. Podobnie postępuje Żulczyk – jego Warszawa to stolica ludzi nowoczesnych, bezwzględnych, podporządkowanych konsumpcyjnym dążeniom i korporacyjnym ambicjom. Miasto jawi się w jego powieściach i scenariuszach jako bezduszna metropolia, w której brakuje miejsca na solidarność, a przetrwanie zależy od bezwzględności i gotowości do moralnych kompromisów.

Warszawa Chutnik jest miejscem pełnym emocji i napięć, a jednocześnie dobrze znanym, momentami przyjaznym i kochanym, w którym traumatyczna pamięć splata się z codziennym heroizmem. Ta intymna, lokalna perspektywa sprawia, że Warszawa w jej książkach jest współbohaterką wydarzeń, dzielącą troski, pasje i zmagania zamieszkujących ją pokoleń. Stanowi żywy organizm, szczególnie powiązany z pamięcią, wspólnotą i tożsamością jej mieszkanki. Prozatorskie, naukowe oraz popularnonaukowe książki Chutnik ukazują Warszawę jako miasto nieustannych przemian, tętniące życiem, różnorodne i pełne kontrastów, naznaczone tragiczną historią, która wciąż wywiera wpływ na współczesność. To miasto szczególnie inspiruje aktywistyczną literaturę, której twórczyni nie tylko odzwierciedla swój świat, ale chce go za jej pomocą naprawiać i zmieniać.

Maria Zielonka

Bibliografia

- Chutnik S., *Cwaniary*, Świat Książki, Warszawa 2012.
- Chutnik S., *Miasto zgruzowiałe. Codziennosc Warszawy w latach 1954–1955*, Ossolineum, Warszawa 2020.
- Chutnik S., *Kieszonkowy atlas kobiet*, Korporacja Ha!art, Kraków 2008.
- Cwaniary wszystkich opowieści, łączcie się z sobą! Z Sylwią Chutnik rozmawia Anna Kałuża*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 6(1), 143–153.
- Górawski B., Wendt J.A., *Socjalizm w architekturze przestrzeni miejskiej*, „Journal of Innovations in Natural Sciences” 2019, nr 1, s. 36–41.
- Hołubowicz A., *Miasto jako przestrzeń zagrożona – refleksje na podstawie powieści „Cwaniary” Sylwii Chutnik*, „Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne” 2014, nr 1, s. 213–229.
- Jakub Żulczyk *po ciemnej stronie Warszawy* [rozm. przeprowadził M. Kaźmierczyk], „Cul-

- ture.pl” <https://culture.pl/pl/artykul/jakub-zulczyk-po-ciemnej-stronie-warszawy-wywiad> [dostęp: 06.09.24].
- Kozicka D., *Sylvia Chutnik, czyli kobieta w mieście*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 6, s. 131–142.
- Kozioł P., *Sylvia Chutnik*, „Culture.pl”, <https://culture.pl/pl/tworca/sylvia-chutnik> [dostęp 20.10.2024].
- Maryl M., *Startup literacki. Blog a powieść w odcinkach na przykładzie pierwowzoru „Cwaniar” Sylwii Chutnik* [w:] *Teksty kultury uczestnictwa*, red. A. Dąbrowski, M. Maryl, A. Wójtowicz, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2016, s. 85–110.
- Na czterdziestkę dokonała coming outu. „Każdy z nas niesie queera w środku”, mówi Sylvia Chutnik [rozm. przeprowadził W. Krajewski], „Viva”, 28 marca 2024, <https://viva.pl/ludzie/wywiady-vivy/sylvia-chutnik-o-depresji-i-orientacji-kazdy-z-nas-niesie-queera-w-srodku-wywiad-vivy-148750-r1/> [dostęp 20.10.24].
- Piątek M., *Warszawa bez granic. Śladami Mirona Białoszewskiego*, „Studia Poetica”, 2015, t. III, s. 174–179.
- Radziwon M., *Sylvia Chutnik, „Kieszonkowy atlas kobiet”*, „Culture.pl”, <https://culture.pl/pl/dzielo/sylvia-chutnik-kieszonkowy-atlas-kobiet> [dostęp: 7.09.24].
- Rogała B., *Miasto w literaturze pozytywistycznej*, „Tekstura. Rocznik Filologiczno-Kulturoznawczy” 2018, t. 8, s. 89–98.
- Rozmowa z Sylwią Chutnik [rozm. przeprowadziła J. Sobolewska], „Polityka” z 4.11.2009, <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/paszporty/284021,1,rozmowa-z-sylvia-chutnik.read> [dostęp 20.10.24].
- Rozmowa z warszawianką [rozm. przeprowadził T. Jakubowski], „WP wiadomości”, 28.05.2012, https://wiadomosci.wp.pl/warszawa/rozmowa-z-warszawianka-61784_39_651600001a [dostęp: 20.10.24].
- Smoleń M., *Pod warszawskim adresem: wyobrażenia i realia. Dokumentalne opowieści o stolicy, jej mieszkańcach i prowincjonalnych „stoikach”*, „Images” 2013, vol. XII, n. 21, s. 193–205.
- Studia Varsavianistyczne*, <https://lrk.uw.edu.pl/pl/offer/PODYPL2024/programme/SP-HI-SPV/> [dostęp 5.09.24].
- Sylvia Chutnik*, <https://soniadruga.pl/wydawnictwo-debit/autorzy-3/sylvia-chutnik> [dostęp 20.10.24].
- Szybowicz E., *Pisarka i niepisarka. Kilka uwag o rolach Sylwii Chutnik*, „Pogranicza” 2012, nr 2, s. 95–99.
- Świerkosz M., *Doświadczenie miasta we współczesnej prozie kobiet* [w:] *Nowe poetyki miejskie. Z problematyki urbanistycznej w literaturze XX i XXI wieku*, red. M. Roszczynialska, K. Wądołny-Tatar, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2015, s. 143–153.
- Tuwim J., *Warszawa*, https://poezja.org/wz/Julian_Tuwim/22815/Warszawa#google_vignette [dostęp: 6.09.24].
- Uniłowski K., *Niesamowite i dowcipne: o „Kieszonkowym atlasie kobiet” Sylwii Chutnik*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2015, nr 1, s. 171–187.
- Weźgowiec B., *Chwin i Gdańsk: o relacjach między miastem i pisarzem* [w:] *Ścieżkami pisarzy. T. 2. Miasto jako przestrzeń twórców*, red. A. Grochowska, M. Mus, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2015, s. 93–107.

Zachwatowicz J., *Stare Miasto Warszawa wraca do życia*, „Ochrona Zabytków” 1953, nr 6/2–3 (21–22), s. 73–77.

Zieleniak punkt zborny [w:] „Encyklopedia Muzeum Dulag 121”, <http://dulag121.pl/encyklopediaa/zieleniak-punkt-zborny/> [dostęp 30.10.24].

The city as a literary hero. Warsaw in the works of Sylwia Chutnik

Summary

The article discusses Warsaw as a literary character, focusing on its representation in Polish literature, especially in the works of Sylwia Chutnik. It explores the city's evolving symbolic role, from a mere backdrop to the central figure reflecting social, political, and historical changes. The works discussed highlight the complex relationship between Warsaw's identity and its inhabitants, portraying the city as both a place of community and alienation. Chutnik's novels depict Warsaw as a dynamic, multifaceted character, intertwined with the lives and struggles of its female protagonists, embodying resilience and nostalgia.

Keywords: urban studies, Warsaw, Varsaviana, Sylwia Chutnik, contemporary Polish literature, guide, atlas

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, zaulek w centrum Nikozji

Wojciech Józef Rogowski

DISCO POLO

Patrzyłem i przysłuchiwałem się,
siedząc przy stoliku.
U nas w kraju jest wielu zwolenników
piękna i sztuki.
Ale większość to wielbiciel sztuki
mięsa z chrzanem
albo golonki w piwie po bawarsku,
do której przygrywa zespół
w doborowym składzie:
Arturo Mazgaj – altówka i skrzypce,
liryczny i rzewny Marian – klawisze,
cyja i śpiew
oraz markotny Wacek, urodzony
sznaps-baryton, śpiewający
z konieczności upojnym, kobiecym
głosem.
Tak, to prawda jest najciekawsza,
ale najpiękniejsza jest za to fikcja,
słodka i zabawna,
pełna chwil ulotnych, jak motyle,
z których ponoć składa się życie.

MINIATURA (42)

Jako człowiek tego miasta
wzgardził ulicą Piotrkowską –
tą piękną ulicą ulic.
W dzień i noc można tam było
żyć, bawić się i umierać.

Ulicę widział już niewyraźnie
jak przez dym –
słońce i lekka mgła,
co się niekiedy zdarza.

MINIATURA (48)

Życie i roboty
oraz automaty,
przejmujące władzę
i produkcję.
Już nie wiadomo
będzie, co jest żywe
a co sztuczne
i elektroniczne.
Ludzie tacy, jak my
wyszli z jaskini –
a kiedy wszystko
pójdzie źle,
do jaskiń wrócą.

MINIATURA (71)

Wyłuskał się
ze swej skorupy
połykacz przestrzeni.
Wokół jądra miasta
przekłętego kręciła się
karuzela czasu
i historii.
Szczęśliwi ci,
którzy jako dzieci
chodzili do wesołego
miasteczka.

MINIATURA (200)

W rzeczywistości pełnej
niechęci i nienawiści,
agresorzy, psychopaci
i miernoty
mają najwięcej
do powiedzenia, przemoc
i agresję mając
na podorędziu.
W dzisiejszych czasach,
to tchórze zasługują
na nagrodę.
Ich obawy i lęki powodują,
że nie giną śmiercią
gwałtowną,
opowiadając się
paradoksalnie
po stronie życia.

MINIATURA (216)

Pamiętał, że jako nastolatek
na papierosa wychodził na dach
swojej kamienicy.
Oprócz kominów, gołębi i chmur
pojawily się pierwsze anteny
telewizyjne.
A teraz, kiedy tam zachodził
wszystko wydawało się takie
mniejsze, zakurzone i szare.

Kazimierz Brakoniecki

BRETANIA/BREIZH/PARYŻ 2005

Czwartek, 8 XII 2005

Rano opuszczam Rennes lokalnym pociągiem. Jest jeszcze ciemno, ciepło i mokro. Kwaterę, przed północą, znalazłem na wprost dworca: trzecie piętro, pościel świeża, prysznic odpowiedni, toaleta na korytarzu (prawie 40 euro). Przed zaśnięciem stałem w małym oknie, patrząc na wilgotny plac dworcowy. Kilku pijacków wałęsało się po nim, pokrzykując.

W Saint-Brieuc zakwaterowano mnie tym razem w prywatnym pensjonacie przy placu mojego ulubionego tutejszego pisarza Louisa Guilloux, w granitowym domu na pierwszym piętrze. Właścicielami są emeryci, którzy lata całe spędzili w północnej Afryce (może w Algierii?), potem pod Paryżem. Na starość kupili ten dom i wynajmują pokoje. Przypomniałem sobie, jak bodajże w 1995 w Paryżu spędziłem kilka wieczornych godzin w towarzystwie starszych wiekiem, rozluźnionych biznesmenów bretońskich, którzy rozparci w klubowych fotelach, przy czymś mocniejszym i cygarach, wspominali swoje najpiękniejsze lata kupieckie i burdelowe we francuskim Wietnamie. Moja obecność ich nie krępowała, a może i dopingowała do zwierzeń. Jutro i tak mieliśmy się rozstać, po umówieniu dalszych etapów współpracy ekonomicznej z naszym województwem (nie powiódło się i tak).

W dużym pokoju (prysznic i toaleta jakby wciśnięte w przestrzeń użytkową) sporo bibelotów, stylowych mebli, zdjęć w ramach. Zawsze mnie to przyciągało: stare rodzinne meble, zdjęcia, albumy, obrazy, sztychy, porcelana, wszystko, co mówiło o ciągłości dziedziczenia, o pamięci rodzinnej, długim trwaniu. Wiem, że to może być przekleństwem, ale mnie – i nam z Europy Wschodniej – o krótkiej pamięci rodzinno-historycznej, z warstwy niższej klasowo, taka teatralność imponuje. Pierwsze takie i najważniejsze wrażenia wyniosłem z pobytu w kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej w 1991 roku – w galeriach-antykwareiach całe sale wypełnione wystawionymi na sprzedaż wiktoriańskimi meblami, fotografiami, naczyniami, sztućcami. Zawrót głowy. I żadnego zainteresowania. To teraz balast...

9 XII

Jazda autem do Lannion nad kanałem La Manche z przyjacielem Bernardem Plouzonnet. Piękny, słoneczny dzień. Spacer po znanym mi

miasteczku pełnym typowych granitowych, szachulcowych domów. W księgarni wybieram książki dla olsztyńskiej biblioteki: powieści, komiksy, słowniki, poezje, leksykony – muszę uważać, aby wybierać nie tylko dla intelektualistów, lecz dla nauczycieli w instytucie oraz coraz liczniejszej gromadki naszych i miejskich uczniów.

Wczesnym wieczorem przyjeżdżamy do Paimpol, w którym mam umówione spotkanie z wykładowcą języka bretońskiego Ronanem Le Coadicem. Brał udział w wydaniu pism wszystkich słynnej poetki bretońskiej Anjeli Duval (1905–1981), w tomie zamieścił także tłumaczenia (w tym moje). Poetka ludowa języka bretońskiego to za mało, to autentyczna poetka narodowa, z rodu chłopów, rolniczka, którą fascynują się współcześni poeci, jak Paul Keineg. Jej autentyczną i wybitną twórczość mógłbym porównać do dokonań warmińsko-polskiej poetki Marii Zientary-Malewskiej (1894–1984), a może, trafniej, do starszego o dwa pokolenia Michała Kajki (1858–1940), też człowieka niewykształconego i uprawiającego prosty zawód, a obdarzonego samorodnym talentem poetyckim. U narzeczonej Ronana zamówiłem artykuł o literaturze bretońskiej w XX wieku do antologii literackiej, nad której drugim tomem pracuję.

Rozmawialiśmy przy kolacji o Bretanii i Europie Wschodniej, jedząc zupę jarzynową z białą kiełbasą, wznosząc skromne toasty bretońską whisky z *blé noir*. Ronan wspomniał o epidemii samobójstw w tej nadmorskiej i wietrznej krainie, chyba najbardziej poszkodowanej na tle innych prowincji Francji. Nie znalazł jakiegoś wytłumaczenia (specyfika klimatu, „dusza celtycka”, nadużywanie alkoholu, osobno i razem). Bretończycy uczuciowo podchodzą do swojej ojczyzny, lubią jej tradycje, organizują festyny (Fest Noz, Fest Deiz), niektórzy uczą się nawet języka (głównie prywatnie w systemie szkolnym DIWAN), ale nie potrafią scalić swojego pochodzenia i fascynacji w konkretny program polityczny. Kiedyś aktywnie działały tu partie nacjonalistyczne (lewicowe i prawicowe: za Hitlera ówczesna Bretania otrzymała pewną autonomię!), teraz bardziej ekologiczno-kulturalne (baza socjalistyczna). Ronan skuteczne rozwiązanie dostrzega w silniejszym wiązaniu spraw regionalno-lokalnych (oświecony patriotyzm) z uniwersalnymi (europejskimi). Współpraca, unikanie antagonizmów etniczno-kulturowych, krytyczne widzenie historii, podnoszenie bretońskości do wymiaru prawa obywatelskiego. Publikuje po bretońsku i po francusku w naukowych czasopismach uniwersyteckich oraz w etnograficzno-regionalnych.

Zgodził się, że najwybitniejszym żyjącym poetą jest znany mi dobrze, wykładający w USA Paul Keineg – autor m.in. słynnego w latach 60. antyfrancuskiego *Poematu o głodnym kraju*, w którym Bretania jest ofiarą kolonizacji francuskiej. W późniejszych utworach Keineg, zachowując trud-

na miłość do stron rodzinnych, zmienił typ poczwowania i charakter zaangażowania na mniej bezpośredni. Jako najciekawszego pisarza Ronan wskazał Yvesa Ellouëta (1932–1975), autora powieści *Livre de rois de Bretagne*. Ma to być mocno celtycka i magiczna rzecz, która dzieje się na kilku poziomach dziedzictwa legendarno-mitycznego i przetwarzanej aktualności. Żegnając się, zaprosiłem Ronana na kolejną edycję olsztyńskich Dni Bretanii, które organizują od 1995 roku.

Sobota, niedziela, 10–11 XII

W wolne weekendy zwiedzam Bretanię w towarzystwie przyjaciół, najczęściej z Bernardem P. jego volvo. Tym razem jedziemy na zachód, nad Atlantyk, w porannym przymrozk, mgłach, a w południe w słońcu niemal wiosennym. Kiedy wracaliśmy (tutaj dzień trwa dłużej), mieliśmy za sobą zachodzące w Atlantyku słońce, a przed sobą od wschodu połówkę dużego księżycyca. Idyllicznie.

Pierwszy przystanek w Huelgoat. Na cmentarnym wzgórzu odszukujemy grobowiec Victora Segalena, poety, pisarza, lekarza, archeologa, znawcy i piewcy starożytnych Chin, który nagle i tajemniczo zmarł wiosną 1919 roku, spacerując po tym oszałamiającym lesie, w którym leżą w chaosie wielkie, omszałe głazy. Płaskowyż bretoński jest skalisty, kiedyś były tu góry, a obecnie starogórza poprzecinane rwącymi potokami i usianymi kamieniami rzeczkami. Nieliczne i nieduże, lecz mroczne i liściaste laski, zagajniki, falujące łagodnie tereny, kilka pasm wyższych wzgórz pokrytych wrzosowiskami i głazami – robią duże wrażenie, właśnie takie magiczne, kultowe, celtyckie. Przecież Bretania to mityczna i rzeczywista druga ojczyzna Brytów, Bretonów, Bretończyków rodem z brytyjskiej Walii króla Artura, którzy dotarli do Armoryki, wygnani z wyspiarskiej ojczyzny we wczesnym średniowieczu przez germańskich Anglosasów.

Segalen, jeden z obecnie najbardziej rozpoznawalnych Bretończyków, wybitny prekursor pisarzy *travel writing* (Chatwina, Bouviera, White'a), został znaleziony na kamienistej ścieżce, w marynarskim stroju, z otwartym *Hamletem* i raną na nodze. Miał otwarte oczy, jakby przycupnął. Nie ustalono przyczyny śmierci (żona nie pozwoliła), później sugerowano samobójstwo – od dawna cierpiał na depresję, był uzależniony od opium (pobył w Chinach!), stracił poważne stanowisko w szpitalu. Prosta, kamienna płyta rzucona na ziemię i otoczona białym żwirem. Na niej wycięty napis:

Victor Segalen
4 janvier 1878
21 mai 1919

U dołu nagrobka wyrysowany mały krzyżyk i napis PAX. Dostawiony mały granit z połączanymi literami:

Victor Segalen

1878–1919

Yvonne Segalen née Herbert

1884–1968

Yvon Segalen 1906–2000

Z lewej strony, od góry kamienia, stoi okaleczone, jakby zdeformowane lub może jedynie przycięte, niewysokie i pokręcone drzewko. Coś w rodzaju samego konara. Jakby szubienica. Przeleciały nad nami sroka i kos. Na znak?

Po obiedzie w restauracji usytuowanej przy wylocie rzeczki na te ogromne i dzikie głązy, skąd wyrusza się do wrót piekieł, skierowaliśmy się do Camaret, miasteczka leżącego na przylądku między Brestem na północy a Douarnenez na południu. Jak wszystkie tutejsze porty i kąpieliska Camaret-sur-Mer okazało się urocze. Departament Finistère (Koniec ziemi). Przed nami otwarty ocean i Ameryka Północna. Czeką nas spacer wysokim klifem.

Kilkunastometrowe, białawe, skaliste, posiekane falami klify. Skałki i skały na linii brzegowej. Nie ma wiatru, a jednak są miarowe ruchy morza, potężne przypływy i odpływy oceaniczne. Znam sapanie fal północnego Pacyfiku, znam i uwielbiam warkoty fal atlantyckich, szczególnie po szurających kamykach: szuuuuuu. Jestem wysoko, coś mnie wciąga w tę szumiącą przepaść, w te rozbryzgujące się w dole piany, wycofuję się. Rozległa przestrzeń. Nieopodal niemieckie bunkry z II wojny światowej, potężny pomnik Marianny wzniesiony w hołdzie Bretończykom, którzy latem 1940 roku wyruszyli do Anglii na wezwanie generała de Gaulle'a, żeby wzmocnić przybyłe na wyspę ocalone, nieliczne siły zbrojne. Wiadomo, absolutna większość i żołnierzy, i obywateli przyjęła hańbiący pokój Petaina z Hitlerem za najlepsze rozwiązanie w sytuacji niespodziewanej klęski militarnej. Francja broniła się krócej niż Polska, a miała kim i czym walczyć.

Napis: *Aux Bretons La France Libre* (Bretończykom wolna Francja). Z tyłu monumentu tabliczka na ziemi z cytatem z wiersza Baudelaire'a: *Homme libre tu chériras la mer* (Człowieku wolny, podziwiać/cenić będziesz morze), jednego z pierwszych wierszy *Kwiatów zła*. Człowiek i morze to dwie niezgłębione tajemnice, skazane na zmagania ze sobą. Baudelaire w młodości odbył (nieudaną) wyprawę statkiem z Bordeaux do Kalkuty, ale po silnym sztormie zdecydował, że opuści statek na wyspie Réunion

(Bourbon) na Oceanie Indyjskim. Zameldował się z powrotem we Francji w lutym 1842 roku po ponad ośmiomiesięcznej wyprawie, dzięki której w jego utworach odczucie egzotyki nie było jedynie deklaratywne.

Czeka nas niespodzianka. Tym razem na łagodniejszym zboczu – prowadzącym w dal, w stronę piaszczystej tym razem plaży, której pilnują bunkry – spostrzegamy ruiny dworu (*manoir*) sławnego poety francuskiego rodem z Prowansji, lecz w Bretanii zakorzenionego, Saint-Pol Roux. Znam jego wiersze, przełożyłem jeden o rybakach z Camaret. Domostwo całkowicie zniszczone, ruiny pięciu wież, główne wejście od strony oceanu (widok pyszny!). Całość otynkowano, dodano elementy dekoracyjne i kolorowe, jak zielona glazura, ceglane obramowanie okien. W pałacyku, poetyckiej samotni, rozegrała się latem 1940 roku wyjątkowa tragedia (jak na wojnę niemiecko-francuską) – żołnierz Wehrmachtu zastrzelił służącą, zgwałcił i ranił córkę poety, który po doznanym szoku wkrótce zmarł. Prawie cały jego dorobek został zniszczony, we dworze zamieszkali niemieccy oficerowie, z czasem popadł w ruinę. Głaz do medytacji przed dworem, za nim pionowe kamienie, menhiry (to neoceltycki neologizm z początku XX wieku, który znaczy „pionowe kamienie”, tutaj zebrane i ustawione celowo w latach 20. XX wieku).

Pomiędzy Morlaix a Huelgoat rysuje się pradawne pasmo masywu armorykańskiego, Monts Arrée. Lubię tu zaglądać. Kosodrzewina, porosty, mchy, nieznana mi roślinność, na obłym szczycie pojedyncze ostre skałki. Wzgórze ma 384 m n.p.m. i zwie się Roc Trevezel, wraz z niewiele wyższym szczytem Roch Ruz (385 m) zalicza się do najwyższych w Bretanii. Piękna okolica na spacerowanie i rowerowanie. Surowy teren, jakby północny, z mikroklimatem. Robi wrażenie nastrojowością, tajemniczością (umiejętnie podtrzymywaną przez pasjonatów regionu). W dole mgły, zagajniki, sosny. Strumyczek, zimny wiatr i słońce idące swoją drogą, zmierzającą do zimy. Wracamy – żółknąca poświata, bluszcze na drzewach i krzewach, dobry asfalt. Brązy, szarości, przepływy mgieł.

W niedzielę wypad autem z Marie-Jo Huguenin, przewodniczącą stowarzyszenia francusko-polskiego Côtes d'Armor-Varmie et Masurie, oraz Rogerem Moizanem. Znamy się wystarczająco długo, aby się przyjaźnić. Jedziemy do sławnego Lasu Brocéliande (Paimpol, departament Ille-et-Vilaine), w którym według legend przebywał król Artur, czarnoksiężnik Merlin i jego ukochana wróżka Viviane. Te piękne i zniewalające baśnie zostały stworzone w średniowieczu przez Chrétiena de Troyes na podstawie innych legendarnych przekazów, należą do tzw. powieści/historii bretońskich o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Legendarne wydarzenia działy się w Walii, ale i w Bretanii (tzw. „materia bretońska”). Ów las to malowniczy cel pielgrzymek wyznawców mitu i turystów.

Zamek de Comper (częściowo w ruinie) usytuowany nad jeziorkiem, to obecnie to centrum „Imaginaire Arthurien”. Dęby, buki, jesiony, bluszcze, zimne słońce prześwituje przez włochate gałęzie, oszronione blaszki źdźbeł traw (rzadko dociera tu prawdziwa zima, ale zdarzają się przymrozki, a wyjątkowo w nocy nawet mokry, przelotny śnieg). Dzisiaj jest magicznie. Podłoże terenu skaliste, jak wszędzie, brunatno-czerwonawe. Miejscowe budynki mieszkalne zbudowane są z lokalnego, czerwonego kamienia, więc różnią się od szaro-beżowego granitu spotykanego w centralnej Bretanii.

Miasteczko Paimpont. Ceremonia strażacka. Wieńce składane przy pomniku poległych (najwięcej ofiar z frontów I wojny, to we Francji norma). Proboszcz oprowadza nas po średniowiecznym, potężnym klasztorze, a właściwie po samym imponującym kościele parafialnym, ponieważ w pozostałych budynkach poklasztornych mieści się merostwo. W nawie gotycki strop drewniany, główny ołtarz barokowy, nad Matką Boską w koronie (Notre Dame de Paimpont) baldachim. Jezioro albo duży staw. Miasteczko poza sezonem letnim (i weekendami) martwe. Sklepiki z cepelią celtycką i dewocjonaliami. W lipcu 1940 roku zmarła tu matka generała de Gaulle’a.

Las ma prywatnego właściciela, co mnie zdumiewa. Wszędzie szlabany. Drózkami wokół i w poprzek. Przydrożny krzyż z napisem: *Aime Dieu et va ton chemin* (Kochaj Boga i ruszaj w swoją drogę). Może parafraza św. Augustyna: „Kochaj Boga i rób co chcesz”. Kilka stawów z nieprzezroczystą wodą, murowane *manoiry*, kormoran, kosy, sójki, krukowate (nie rozpoznaję gatunków, wszystkie są czarne jak gawrony). Głaz nagrobny czarnoksiężnika Merlina ustawiono na początku XIX stulecia w okresie pierwszych fascynacji legendami celtyckimi, które rozlały się z Wielkiej Brytanii na całą Europę. Rzadko to prawda literacka czy naukowa, ale jakże romantyczna! Przykładem są słynne i fundamentalne, chociaż nieoryginalne *Pieśni Osjana* Jamesa Macphersona z końca XVIII stulecia.

Bretania może się poszczycić antologią *Barzaz Breiz* (1842) Théodore’a de la Villemarqué’a, przez lata mocno krytykowaną, a finalnie uznaną za biblię ludowej pieśni. Onegdaj zaprosiłem z koncertami wybitnego bretońskiego śpiewaka Yanna-Fauch Kemenera (*kemener* po bretońsku to krawiec); zrobił furorę, śpiewając w sposób mistrzowski i z przejęciem melancholijne, rytmiczne, pozornie monotonne pieśni z tej antologii. Moje skojarzenia amatora były natychmiastowe: pieśni kurpiowskie! Wolę takie niebiesiadne, a nie te jakby dołączane do tańca „chodzonego”. W antraktach wiersze recytował Yvon Le Men, wybitny poeta bretoński piszący po francusku, wywodzący się z wiejskiej rodziny z departamentu Côtes d’Armor. Niewielu twórców posługuje się (utraconym–odzyskanym) językiem ma-

cierzystym. Podobnie w celtyckiej Irlandii: przecież Joyce czy Beckett nie pisali w (utraconym) języku rodzimym.

Departament Morbihan. Malutkie Josselin ze sporymi kamienicami, warownym i ładnie spiętrzonym nad rzeką zamkiem z szarego granitu. Malutka starówka, w których mieszkają (lub pomieszkują) głównie emeryci z Anglii. Wyżej zamknięta kaplica z XVI wieku. Kamienne mury. Przyciągający uwagę dom mieszkalny, na nim tabliczka: *Zoltán Szabó 1912–1984*. Mieszkał w tym domu w latach 1979–1984. Sprawdziłem: to był znany węgierski pisarz i dziennikarz, przeciwnik węgierskiej odmiany faszyzmu, na wygnaniu w Anglii oraz Francji.

Imponujący zamek wciąż należy do historycznej rodziny Rohan-Josselin (teraz Rohan-Chabeau). W okresie dynastycznych wojen o dominację opowiadała się zawsze po stronie silniejszej Francji. W czasach Vichy – po stronie kolaborującego z III Rzeszą marszałka.

Wielokrotnie przebudowywana bazylika Notre Dame du Roncier. Ogromna, otoczona pięknymi i malutkimi w porównaniu do jej ogromu domostwami z kamienia i muru szachulcowego. Wewnątrz białe marmury, grobowiec małżonków Oliviera de Clisson i Margueritte de Rohan z XV stulecia. Znajduję dwie kolumny romańskie z wyobrażeniami zwierząt na głowicach. Miejsce znane ze starego kultu Matki Boskiej, dostrzegam jej posążek w białym płaszczu.

Kolacja w wiejskim domu Marie-Jo. Domostwo to przebudowana ferma; biedniejsza klasa średnia mieszka na obrzeżach miejscowości w niedużych, otynkowanych na biało, kupowanych na kredyt, wygodnych domkach z garażem; bogatsi w tradycyjnych, kamiennych i malowniczych, trudniejszych do ogrzania domach (stojących osobno albo połączonych z budynkami gospodarczymi). Naprawdę bogaci żyją w willowych kamienicach z przełomu XIX i XX wieku nad brzegami morza (najdrożej jest na cieplejszym, południowym wybrzeżu Atlantyku). Wśród intelektualistów modnie jest osiedlać się w biedniejszej, centralnej Bretanii, na której zachodzie zachowały się ślady i obecność rodzimego języka oraz „tubylców”. To tzw. Basse Bretagne.

Wnętrze zaskakuje: wielki kominek, dawniej z paleniskiem, szafolóżko (jak oni się tam mieścili? Musieli być naprawdę niewysocy), dużo starych mebli, przedmioty i narzędzia kiedyś używane, teraz bibeloty. Dom ma duszę. Pięknie. Kolacja (raczej uczta, owoce morza!) w towarzystwie przyjaciół ze stowarzyszenia, większość to nauczyciele szkół średnich. Dyskusja po czerwonym winie (nie cydrze! napój ubogich, a taka była większość tutejszych chłopów niestroniących od wypitki). Roger Moizan uważa za najwybitniejszego pisarza bretońskiego (piszącego po francusku

i za to przepraszającego czytelników) nieżyjącego Xaviera Gralla (znaczące nazwisko!). Grall (1930–1981) to poeta socjalistyczny i katolicki, etniczny i uniwersalny, zaangażowany dziennikarz i humanista. Zanim pokonała go gruźlica, zdążył przywitać z nadzieją polskiego papieża. To bard lirycznego wyznania, skargi, pamiątnika i świadectwa osobistego.

Przypominam mniej popularnego i trudniejszego w odbiorze Paola Keinega, który w latach 70. porzucił literaturę zaangażowaną i rolę barda, decydując się na uprawianie poezji bardziej skomplikowanej formalnie, aczkolwiek nigdy nie odszedł od tematyki bretońskiej. Okazało się, że Roger nie zna jego twórczości z późniejszego okresu. Powstała strona Gralla (bardziej tradycyjna, liryczna, o silnym kolorycie lokalnym) i Keinega (zaangażowana pośrednio, nowatorska). Liryczny Yvon Le Men stoi po stronie Gralla jako poeta uczuciowego monologu lirycznego, chociaż jego najważniejszym autorytetem był i jest Gullevic (1907–1997), największy i najplodniejszy poeta bretoński języka francuskiego (przekładany w Polsce), mistrz krótkiej formy i wyobraźni zarazem materialnej i metafizycznej.

Poza tym rozmowa o stereotypach, co łączy typowych Polaków z Bretończykami: pochodzenie chłopskie, obecność szlachty („panów”), nadużywanie alkoholu, katolicyzm, nacjonalizm, antysemityzm... Marie-Jo podniosła sprawę silnej lewicowości u dużej części współczesnej populacji, na co Roger przypomniał prawicowy i silny nacjonalizm przedwojenny... Niestety i faszystowski. To zdarza się w radykalnych postawach w środowisku skolonizowanych, buntujących się narodów czy ludów (Francja skolonizowała Bretanię). Podobnie negatywnie Litwini oceniają historyczną rolę Polski. Większość młodych Bretończyków wyznaje jednak pokojową, twórczą, potrójną postawę identyfikacji: jestem Bretończykiem, Francuzem, Europejczykiem.

Poniedziałek, 12 XII

Kończę 53 lata. Dzisiaj pochmurnie, odbyłem dwa ważne i długie spotkania (w tym roku mniej ich niż zazwyczaj). Jedno poświęcone współpracy artystycznej (planuję wystawę sztuki olsztyńskiej, tak jak wcześniej pokazaliśmy współczesną sztukę bretońskich artystów w olsztyńskim BWA), drugie szkolno-edukacyjne. Najtrudniejsze rozmowy czekają mnie w sprawach finansowych. Pomysły swoją drogą, możliwości realizacyjne swoją. Wpadłem do katedry (mój sakralny przystanek niewierzącego), aby pokłonić się wilgotnym, kamiennym sarkofagom z okazji urodzin. Teraz do urzędu.

Owczarek niemiecki rzucił się na mnie w holu pensjonatu, chwycił rękaw grubej skórzanej, brązowej, wiedeńskiej kurtki (kupiona na wyprzedży, a mimo to wydałem na nią ostatnie oszczędności z miesięcznego

stypendium). Madame skutecznie interweniowała: *il fait son bulot!* (on robi swoje). Dobrze sobie, a ja co tu robię? Przy śniadaniu rozmawiamy: „Ci urzędnicy, a są tu blisko, wchodzą i wychodzą z pracy, a żadnego efektu nie widać”. Rzeczywiście, mamy za oknami wejście do prefektury i zarazem do rady generalnej. Zdarza się, że pod stalową, czarną bramę rolnicy w proteście podrzucają gnojowicę albo płonące opony. Nikt nie robi z tego tragedii ani widowiska. Taki zwyczaj. Zresztą we Francji współistnieją ze sobą dwie nacje i warstwy – konserwatywno-katolicka i republikańsko-lewicowa. Ich skomplikowane od rewolucji relacje napędzały do rewolt i reform państwo, i społeczeństwo aż do prezydentury de Gaulle’a.

Wieczór u Tanguy i Soazig Dohollau, u drugiej (poza Bernardem i Daniele Plouzenne) zaprzyjaźnionej rodziny bretońskiej (polsko-francuskiej pary Ewa Kubasiewicz i Yves Huée nie liczę, ponieważ uznaję ich za Polaków). Wyremontowali domek stojący w Plerin nad szeroką zatoką Saint-Brieuc. Tanguy jest plastykiem, autorem oryginalnych komiksów (dorabia w księgarni). Rozmawiamy o literaturze. Tanguy i Bernard to jej autentyczni znawcy i smakosze. Jego matka jest dobrą poetką nastroju i detalu kulturowego. To Heather Dohollau, Walijka, która po wojnie przybyła do Francji i tu została. Pisze piękne wiersze o malarstwie. Uwielbia czytać poezję słowiańską, czyli... rosyjską (Achmatową, Pasternaka, Cwietajewą). Jej krótkie utwory tłumaczyłem, bo niedawno prowadziłem jej autorskie spotkania na Warmii w towarzystwie Yvona Le Mena i Yvesa Prié, kolejnego cenionego tutaj poety i wydawcy.

Rozmawiamy z Tanguyem o naszym ulubionym prozaiku z Saint-Brieuc, Louisie Guilloux (1899–1980), autorze genialnej *Czarnej krwi* (1935, wyd. polskie 1961), przyjacielu Alberta Camusa, a wcześniej André Gide’a, z którym w 1936 roku pojechał do ZSRR. Podróż do Raju Krat ich rozczarowała. O nietzscheańskim filozofie Georgesie Palante (1862–1925), który jako Cripure, profesor filozofii w liceum, został bohaterem *Czarnej krwi*, protestującym przeciwko mieszczańskim ograniczeniom. Osaczony Cripure (jak Palante) popełnia samobójstwo w nadmorskim domku, który kiedyś wspólnie odwiedziliśmy.

Pewnego razu Tanguy z Soazig pojechali do Huelgoat na grób Segalena, zostawili na nim kwiaty. Dwa dni później Heather Dohollau przeczytała im wiersz o róży na grobie mistrza. Wiersz był wzniosły, a kiedy poetka dowiedziała się, że to jej dzieci „niespodziewaną różą pamięci” uczciły bretońsko-francuskiego poetę i admiratora starożytnych Chin, czar prysnął i okazała niezadowolone.

W Saint-Brieuc, stolicy departamentu, uczyli się w liceum Alferd Jarry (1873–1907), autor *Króla Ubu* (akcja dzieje się w Polsce, czyli nigdzie,

bo tak stało w ówczesnych podręcznikach do historii o rozbiorach) i Jean Grenier (1898–1971), pisarz, mentor, profesor filozofii Camusa w Algierze.

Wtorek, środa, 13–14 XII

W nocy rozpacz i płacz przez sen, teraz już nie wiem, dlaczego. We wtorek ponad pięć godzin obrad z dyrektorką departamentu samorządowej współpracy międzynarodowej: niełatwa to osoba i merytorycznie świetnie przygotowana. Plany, finanse, kontakty, a poza tym co dalej ze współpracą. Polska wigilia w sali bibliotecnej w Plerin przygotowana przez stowarzyszenie Côtes d'Armor – Varmie et Masurie: prawie 50 aktywnych (mniej lub bardziej) osób z rodzinami. Są polscy emigranci postsolidarnościowi i ekonomiczni, małżeństwa mieszane. Kilka osób z korzeniami polskimi: ich rodzice byli przedwojennymi pracownikami najemnymi. Są potomkowie jeńców niemieckich obozów w Prusach Wschodnich dla żołnierzy francuskich po klęsce w 1940. Lepiej lub gorzej śpiewamy polskie i francuskie kolędy, dzielimy się opłatkiem, bratamy. Co wyniknęło z rozmów przy stole, zakrapianym żubrówką (uwielbiają do ciast!), cydrem, winem: zwykli Francuzi (Bretończycy), pożeracze telewizji, z reguły są ksenofobiczni, mało ruchliwi; w szkołach, domach kultury, stowarzyszeniach bardzo dużo organizuje się imprez proeuropejskich (głównie wokół „starej” Europy); Polacy emigranci za pracą, podbierający pracę; Polska to właściwie Rosja; jako polskie nazwiska podają „Popow”; Bretania dzieli się na wschodnią Haute Bretagne – krainę „gallo” z departamentami Ille-et-Vilaine (Rennes) oraz Pays de Loire (Nantes), w której pojawił się w średniowieczu tak zwany dialekt „gallo”, wywodzący się z ludowej łaciny i starofrancuskiego oraz na zachodnią Basse Bretagne, językowo celtycko-bretońską, Bretagne bretonnante, której granica przecina pionowo departament Côtes d'Armor na tuż zachód od Saint-Brieuc. Inny podział Bretanii: na Armor (nasze Pomorze, Wybrzeże) i Argoat (łód, część rolnicza). Zapracowani i najczęściej biedni wieśniacy oddaleni od morza o 10 lub 50 km nigdy go nie poznali. Niewesoły los bretońskiego marynarza to późniejsza historia...

Piątek, 16 XII

Wczoraj w południe opuściłem Saint-Brieuc i zameldowałem się wczesnym wieczorem w Plessis-Robinson na południu Paryża (połączenie RER B) u Zbyszka Żebrackiego i Lotus Goyon. Mają duże mieszkanie na parterze, budynek z lat 30. służył jako pracownia dla artystów. Na dole stoi prasa graficzna. Zbyszek nie korzysta z komputera. Pracuje manualnie. Z kuchni nocą widać poruszające się światło Wieży Eiffla. W domu bez zmian, ale to nieprawda, ponieważ kilka tygodni temu zmarła na raka

sąsiadka, malarka Françoise, którą poznałem w 2001 roku. Do pustego mieszkania wrócił jej marnotrawny mąż, teraz wdowiec. Dzisiaj rano w „ludowej czapce zachodnioeuropejskich drobnomieszczan” (cytat ze Zbyszka) pojawił się na schodach i zszedł na ulicę, wędrując, jak co dzień, do bistra. Wieczorem sięga po resztki zasobów wina, które w piwniczce zgromadził jeszcze ojciec. Przywiozłem z Bretanii winiak z cydru, który smakujemy.

Z telewizji dowiaduję się, że jest albo ma być wprowadzone prawo (instrukcja szkolna?), żeby uczyć nie tylko o złej, ale i dobrej stronie francuskiego kolonializmu. Z tego powodu mieszkańcy wyspy (departamentu zamorskiego) Martyniki – głosem m.in. poety i dyplomaty Aimé’a Césaire’a, współtwórcy poetycko-kulturowego ruchu *négritude* („murzynności” jako spolszczył to Zbigniew Stolarek), zaprotestowali przeciwko zapowiedzianej wizycie ministra Sarkozy’ego. W prasie liberalno-lewicowej dużo krytycznych artykułów o złowieszczej roli imperialnej Francji w Afryce i Azji, z czym ogół obywateli wcale albo w dużej części się nie zgadza. Jeszcze po rezygnacji Paryża z Algieru w podziemiu długo działała radykalna, nacjonalistyczna prawica. Jak inaczej wytłumaczyć niemałe sukcesy Frontu Narodowego, który i obecnie nieźle funkcjonuje? Dochodzą do tego autentyczne problemy na przedmieściach z młodym (drugim albo i trzecim) pokoleniem postmigracyjnym, które wybiera radykalny islam. Antylewicowe kontrargumenty wskazują na upadek praworządności w krajach Afryki, korupcję, despotyzm, przemoc, plemienny rasizm, co miałby trafnie streszczać koncept *négrofinitude* (koniec „murzynności”/afrykańskości).

Paryż jest jakiś wyciszony i wyludniony. Efekt zamieszek na przedmieściach? Mniej turystów, pojawiają się liczniej na święta? Policjanci widoczni, chociaż w mniejszej skali niż pod koniec lat 90. Ciepło i mokro (mżawka). Wałęsam się po ulicach, popatruję, obserwuję bez zaangażowania: światolog, spacerowicz, flâneur.

Marais – na miejscu zamiast (mało uczęszczanej) księgarni angielskiej za kościołem Saint-Paul jest teraz sklep z płytami winylowymi. Ulica Beautreillis, zaniedbana kamienica, w której mieszkała Lotus (czasami wpadałem do niej sam lub z rodziną), została odnowiona i czeka na bogatych lokatorów. Poprzedni byli niezamożni i długo korzystali z niewyjaśnionej sytuacji własności (opłacali tylko media). Kłopotliwą sprawę wyjaśniono – daleki krewny poprzedniej właścicielki, polskiej Żydówki, odnalazł się w Ameryce. Zachował się po dżentelmeńsku – lokatorów wyprosił grzecznie, a nawet wypłacił każdemu z nich pewną sumkę. Od końca 1858 do czerwca 1859 roku Charles Baudelaire odwiedzał tu swoją kochankę Jeanne Duval, która mieszkała pod numerem 22. Pod numerem 17–19 na trzecim

piętrze zmarł Jim Morisson. W okolicy Village Saint-Paul czuję się jak u siebie, tyle mam dobrych wspomnień!

Spacer starym szlakiem i w kapuśniaczkę: wyspa Ludwika, Notre Dame (raczej nie zaglądam, posągi na fasadzie to rekonstrukcja, lepiej wejść do pobliskiego muzeum Cluny), księgarnie francuskie (wiersze po francusku rumuńskiego poety Nichity Stanesco), angielska (ważna dla historii literatury angielskiej Shakespeare and Company, tu nabyłem Johna Keegana *A history of warfare*). Zajrzałem do wierszy Teda Hughesa, za drogie wydanie.

Dochodzi siedemnasta. Spaceruję bulwarem St. Michel. Więcej ludzi. Dużo młodych dziewcząt z plecakami i walizkami na kółkach. Studentki? Niedaleko Sorbona. Koniec zajęć? Piję czarną herbatę za 2,60 euro. Schodzę do kolejki B. W wagonie dobrze zbudowany i normalnie ubrany facet w kapeluszu zawadiacko nasuniętym na krótko ostrzyżoną głowę z zapalem życzy zdrowych i rodzinnych świąt Bożego Narodzenia. Nikt mu nie dał forsę, więc zakończył gadkę, mówiąc żartobliwie lub nie: „I tak wszyscy spotkamy się kiedyś w tym samym miejscu, wicie państwo, w jakim”. Na przegubie miał raczej drogi zegarek z bransoletką. Na kolejnym przystanku wysiadł.

Wieczorem uczujemy przy okrągłym stole (Lotus niezastąpiona!) i otwartym częściowo oknie z widokiem na snopy światła rzucane kolicie przez stalową ła Tour. Pamiętam wiersz o niej Cendrarsa.

Sobota, 17 XII

Słoneczna, wietrzna i zimniejsza. Cienkie, jakby emaliowane, niebo. Bokiem suną wąskie chmurki. Na ulicach handlowych tłumy, na niemerkantycznych pustki. W większości to paryżanie, którzy ruszyli na świąteczne zakupy. Ścisk w pobliżu wielkich sklepów i w księgarni FNAC. Udaję się ze Zbyszkciem do Grand Palais na wystawę o melancholii. W metrze spotkałiśmy trzech Polaków: czterdziestolatek, czuć go alkoholem, głośno mówi do młodszego kolegi: „Jak byś tu wysiadł, to tam jest pomnik z polskimi napisami” (Zapewne chodzi o Łuk Triumfalny z nazwiskami polskich generałów Napoleona i nazwami bitew pod Ostrołęką i Pułtuskim). Najmłodszy zauważa: „Ale ta jedynka daje. Bardziej niż czternastka” (ta linia metra jedzie szybciej). Spracowani budowlańcy, ale radzą sobie.

Na wystawie tematycznej zawsze coś dla siebie znajdę. Nieznane mi portrety Goi, a namalował ich dziesiątki, w tym jeden autoportret. Żywe kolory, autentyczne studium psychologiczne, żadnego mizdrzenia się i udawania. W rogu jednej sali olbrzymia, naga, siedząca postać mężczyzny z poliestru. Wokół i w ogóle na wystawie prawie same kobiety w różnym

wieku i z różnych stron świata. Oglądamy się raczej za nimi, nie za dziełami sztuki.

Jeden obraz Jacka Malczewskiego, *Melancholia* z Muzeum Narodowego w Poznaniu. Feeryczny (ale i smętny) korowód symbolicznych, typowych polskich postaci okresu zaborów jakby wyprzedzający taniec chocholi z *Wesela*. Narodowa melancholia porażki, nostalgii, nadziei atrakcyjnie namalowana – przed obrazem grupka komentujących pań. W Muzeum d’Orsay Malczewski miał wielką retrospektywną wystawę, która pozwoliła paryżanom odkryć (dla nich egzotyczną) wielkość polskiego modernisty. Najlepszy był wtedy, kiedy udanie łączył osobistą, egotyczną (narcystyczną?) mitomanię z historyczno-kulturowymi toposami i symbolami. Plastyka polska właśnie w okresie Młodej Polski po raz pierwszy wybiła się na prawdziwą i wspólnotową niepodległość twórczą. Wystawę kończy cytat z utworu chrześcijańskiego poety i pisarza Charlesa Peguya (1873–1914). To krytyka społeczeństwa, którego jedyną nadzieją jest odpoczynek, a marnieniem emerytura lub renta.

Żegnamy się, wyruszam w miasto sam. Ja i Paryż. Kto zwycięży! To z Balzaca, którego, mimo upływu lat, cenię. Plecy bołą, ale rwa kulszowa po zabiegach w Ożarowie odpuściła. Dziewiętnastowieczna proza: Balzac, Flaubert, Maupassant, Zola. Poezja: Hugo, Baudelaire, Rimbaud. Do nich powracam. Paryż, miasto wcale nie takie piękne, lecz wciągające i zaskakujące. Poruszam się bez planu, znam całkiem dobrze główne ulice. Podziwiam wytworną ambasadę Polski i piękne muzeum Rodina, z ogrodem. Nie ma przechodniów, nie zaglądam do środka. Wstępuję do małych księgarni. Dziesięć lat temu oszalałbym (choć cholernie krucho było z pieniędzmi), teraz (nasycony lekturami) zaledwie wertuję książki filozoficzne i historyczne. Mimo to coś znalazłem: Freud a tradycja żydowska. Hebrajczycy w pojęciu starożytnych Babilończyków, Asyryjczyków to „obcy wędrowcy, nomadzi”. Mojżesz wybrał Jahwe z panteonu dostępnych bogów, żeby scalić plemię. Książka i teraz nie na moją kieszeń.

Zbliża się zachód słońca. Cmentarz Montparnasse. Różowe i pomarańczowe niebo. Zadbane nagie drzewa, platany. Niedużo zwiedzających: zagubiona między grobowcami Japonka, Chinka niosąca zieloną konewkę, klnie głośno, kiedy woda chlusta na jej czarny płaszczyk. Mijam groby Sartre’a i Beauvoir – wieczne im odpoczywanie. Dalej natykam się na grobowe kamienne obramowanie, a nad nim drzewko oliwne (znak grecki) – niezależnego socjalisty Corneliusa Castoriadisa 1929–1997. Z boku cytat z Heraklita: *Les limites de l’âme tu ne les de couvrir* (?) *pas, même si tu parcours tout le chemin, tellement son logos est profond* („Do granic duszy nie dotrzesz, nawet jeśli przebiegniesz wszystkie jej ścieżki, tak jej logos

jest głęboki”). O grecko-francuskim filozofie Castoriadisie wiem tyle, że wydawał po wojnie periodyk „Socjalizm albo Barbarzyństwo”, krytykował stalinizm i sowietyzm (jako zbiurokratyzowany kapitalizm państwowy), ale i demokrację kapitalistyczną, cenił jednostkę. I nie był trockistą, co rzadkie, jeśli żyło się aktywnie na pseudorewolucyjnym Zachodzie.

Przy głównej alei biały, prostokątny kamień z krzyżem: *Eugène Ionesco 1909–1994; Bodica Ionesco née Burileanu 1910–2004*. Napis u podstawy: *Prier le Je ne sais Qui. J'espère: Jésus-Christ*. To religijna niespodzianka: „Modlić się, nie wiem do Kogo. Mam nadzieję: do Jezusa Chrystusa”. Czy ten napis dorzuciła bogobojna wdowa po twórcy dramatu absurdu? Czy to ostatnia wola skruszonego dramaturga? Nie wiem. Dość często się to zdarza: zawłaszczanie przez rodzinę albo poddanie się sile wyższej w obliczu końca? Ostatecznie to takie ludzkie...

Na cmentarzu wschodniopruskiej arystokracji pod Morągiem jest stylizowany na neolityczny krąg cmentarny z kamiennymi stelami z początku lat 30. minionego stulecia. Na dużym, poziomym raczej głazie wyryto cytaty z listu św. Pawła (o pokonaniu „ościenia śmierci”) oraz z Adolfa Hitlera: „Czekam na Chrystusa”. Rzeczywiście na początku swojej „kariery” ten zbrodniarz, nie tylko cynicznie, odwoływał się do Opatrzności i Jezusa (którego ojcem miał być rzymski setnik Pantera).

Grobowiec niezwykle ważnego dla historii literatury francuskiej krytyka literackiego z pierwszej połowy XIX wieku, Saint-Beuve’a. Interesujący. Na białej, poziomej kamiennej płycie leży wyobrażenie tkaniny, która wspina się na wysoką kolumnę i sięga popiersia zmarłego: ma starczą twarz, grube rysy, grymas na ustach. Pewnie kiedyś elokwentnych. Spojrzenie skierowane w dół. Są i współczesne pochówki. Na jednym z grobów siedzi duży, kolorowy kot, wykonany z jakiejś masy przetykanej kolorowym szkliwem. To hołd złożony młodemu i pięknemu Rocardo.

Zmierzcha się, spaceruję po opuszczonych i wypełnionych ludźmi ulicach. Popatruję na przechodniów, najczęściej obciążonych papierowymi torbami. W tej drogiej dzielnicy spotykam niewielu czarnoskórych. Po kolacji Zbyszek odwozi Lotus do schroniska dla nieuleczalnych, w którym pracuje na nocnym dyżurze. Taka mała, a ma taką dużą odpowiedzialność! Podobno nic złego się nie dzieje. W nocy jakaś zmora patrzyła na mnie z kąta pokoju.

Niedziela, 18 XII

Słonecznie, lekko mroźnie. Przeglądam książkę znalezioną w bibliotece Lotus (rysunki i tekst Frédéric Pajaka) *Nietzsche et son père*. Zabawna i głęboka, świetna demistyfikacja: zabicie tatusia-zabicie siebie:

Józef Wissarionowicz Nietzsche, Stalin, Hitler... Stalin chciał zabić tatusia, gruzińskiego szewca-alkoholika, który znęcał się nad przyszłym zbrodniarzem. Bestia-Batog wszechmogący... Media, w tym rozrywkowe, umiejętnie i z lubością zastraszały ludzi a to apokalipsą wulkaniczno-klimatyczną, a to zamachem terrorystycznym. Na niespotykaną skalę (nie jestem optymistą, lecz sporo w tym prowokacji, głupiej uciechy, walki o klienta).

W prasie dużo artykułów o istocie demokracji. Jak przywrócić poczucie obywatelskości partycypującej, osobistej i zbiorowej odpowiedzialności? Wysoki poziom debaty politycznej. To mi imponuje, chociaż i lekko przestrasza: skoro tutaj kryzys, to co u nas? Widzę problem w odrealnianiu świata rzeczywistego, zwycięża wirtualność (czyli rozrywkowe światy poboczne), stara-nowa śpiewka o świecie jako grze, spektaklu. To jest niebezpieczne, odwraca uczestnika/widza od działania w codzienności, tu i teraz.

Ponownie Marais. Tym razem z przyjaciółmi Frédérique i Éricem Laurent. Fryderyka tłumaczy Andrzeja Stasiuka i Stefana Chwina na francuski, przekłada z włoskiego i niemieckiego. Ma splecione korzenie, w tym polskie. Z wykształcenia jest germanistką. Łączy nas przyjaźń oraz przekłady, ponieważ tłumaczyła z sukcesem nasze wiersze z *Atlantydy Północy*. Odpowiada jej ten kulturowy krąg północnobałtycki.

Zachodzimy do knajpki przy uliczce Rosaires. Dawniej skupiała się tutaj ludność żydowska ze wschodniej Europy, teraz trafiłem na sklepik z ogórkami i polską wódką. Jemy gęstą kubańską zupę i kurczaka z maniakiem. Nabieramy sił przed spacerem. Rozmawiamy o antologii poezji olsztyńskiej *Terra Nullius* w moim wyborze i przekładach Fryderyki. Widziałem jej dwa egzemplarze w księgarni Gilberta (dużej i uwielbianej przeze mnie, gdyż można w niej kupić książki antykwaryczne).

Na ulicy podziwiam czarnowłose, smagłe, mocne dziewczęta. „Piękne bestyjki” – to słowa poety i tłumacza Leszka Engelkinga, który raczył mnie nimi onegdaj, gdy popatrywaliśmy na ulicę z kawiarni w Wilnie. Plac des Vosges i muzeum Victora Hugo. Jego rysunki tuszem i obrazki oceanu i brzegów morskich są zachwycające. Z czarnej, atramentowej plamy wy-czarowywał cuda. Fantastyczne skojarzenia. Oto ostatni wpis w dzienniku (na trzy dni przed śmiercią) z 15 maja 1885 roku: *Aimer, c'est agir* (Miłość to czyn; kochać do działania). Jego pogrzeb stał się niezwykłym przeżyciem publicznym i narodowym. Kondukt zatrzymał się na kilka godzin pod Łukiem Triumfalnym, zanim rano wyruszył w kierunku Panteonu.

Sklepy prezentują towary (najwięcej obuwia). Ścisk: grzeczne co i rusz *pardon, pardon*. Coraz mniej czasu na zakupy. Wychodzimy z dziel-nicy. Spływa na nas, zaganianych, paryski zmierzch. Nieoświeceni, śpiący

kościół św. Genowefy. Tu się zaczął tumult antyprotestancki. Francja doświadczyła wojen religijnych między katolikami i hugenotami. Wygnani z ojczyzny hugenoci zaludnili na przykład niewielkie i biedne miasto Berlin w Brandenburgii. Wyspa św. Ludwika z odnowioną Biblioteką Polską, którą w końcu muszę odwiedzić: to serce emigracyjnej polskości. Kupuję *Fragments* bretońskiego poety i prozaika Armanda Robina (1912–1961) w opracowaniu Françoise Morvan, której wymierzone w nacjonalistów dziełko o Bretanii *Le monde comme si* zacząłem czytać w Saint-Brieuc.

Poniedziałek, 19 XII

Jest 9.13, siedzę w kolejce B przed odjazdem na lotnisko w Roissy. Lotus nad ranem wróciła z dyżuru. Młodociani przestępcy albo chuligani mający drobne kłopoty z prawem nie demonstrowali swojego niezadowolenia. Obejrżeli film o King Kongu. W porannej prasie alarm: znów zaszytowano nauczycielkę w szkole na przedmieściach. Na lotnisku, spokojnie i bezpiecznie. Pełny samolot. Całkowity odlot.

Kazimierz Brakoniecki

Fot. Grażyna Zając



Cypr, opactwo Bellapais, wzniesione przez augustianów sprowadzonych na Cypr po objęciu władzy przez francuską dynastię Lusignanów, XII–XIII w.

Fryderyk Hunia

LATO

Przemoczona
Aż do ostatniej
Kropli

Suszy się
W powodzi słońca

Rzeka

Wola Komborska 2001

DLACZEGO

pamięci Ireneusza Kani

Dlaczego Samoistniejące
W swej Prapeli całkowicie
Sobie wystarczające
Źródło

Wyi-stoczyło się w rzekę?

Aby odtąd stale
Musiało być stawiane
Tak wytrwale
To pytanie?

Ale czy dla źródła
Nie jest czymś do-rzeczny
Wylewanie się w rzekę

Bez Dlaczego?

*Napisane po dyskusji z Ireneuszem Kanią
na temat: „Dlaczego Jedno na początku
wyi-stoczyło się w Wiele?”*

Tyniec 2011

KAMIEŃ

Żaden tam filozoficzny
Ani nie węgielny

Lecz zwyczajnie polny
Leży na miedzy
Kamień

Swym leżeniem
Najwyraźniej nigdy
Nieznuzony

Leży nieprzerwanie
Jak nawiedzony

Jak do ziemi przybity
Autochton monolity

W swym kamiennym niedocieczony
Milczeniu

Dośrodkowo w sobie
Szczelnie zasupłany

Leży na miedzy
Wolny od samowiedzy:
(Że leży, że na miedzy, że)

Kamień

Tyniec 2015

ODA DO DRZEW

O. Stanisławowi Jaromiemu

Zawsze was podziwiałem
Dostojne drzewa
Buki dęby graby sosny jodły

Jesteście erupcją
Wertykalnego porywu ziemi

Nieprześcignione w swym cierpliwym
Trwaniu zawsze w tym samym miejscu
Jesteście wyzwaniem dla
Naszej nieustannej goniwy

I notorycznego niebycia
Tu gdzie jesteśmy

Przebywając wśród was
Czujemy że jest coś więcej
Niż przestrzeń i czas

Jakby w waszej obecności
Rozszczelniała się tożsamość rzeczy
I jęło przeświecać przez nie coś z Tamtości

Dobrze że wasz niebosiężny dynamizm
Został uwieńczony koronami

Byśmy mogli w ich szumie
Usłyszeć wyraźniej

Jej* szum – w zadumie

* W języku hebrajskim słowo na określenie Ducha Świętego *ruah* jest rodzaju żeńskiego

Tyniec, luty 2015

NIE WYCHODŹ...

Ani na krok
Ani na chwilę

Nie wychodź
Ze swojego zdziwienia

Abyś nie przeoczył
Najmniejszej drobiny
Najdrobniejszej kruszyny
Najkruchszego tchnienia

Wielkiego Istnienia

Tyniec, wrzesień 2015

BRÂNCUȘI¹

Ten archimandryta
Rzeźbiarskiej alchemii

¹ Constantin Brâncuși (1878–1957) – rumuński rzeźbiarz. Pracował dziewiętnaście lat nad *Kolumną bez końca* i dwadzieścia osiem lat nad cyklem *Ptaki*. Mówił: „Przez całe życie szukałem tylko jednej rzeczy – istoty lotu. Lot, jakież to szczęście”.

Który potrafił
Przemieniać kamienie, kwintesencję ciężenia
W akty strzeliste lotu

Nic a nic
Nie zdziwiłby się

Gdyby któregoś dnia
Te przemienione w energię lotu
Abrewiatury nieskończoności

Zniknęły nagle
Z muzealnych sal

Wszak ich przeznaczeniem nie było
Posłuszne trwanie
W polu sił
Ziemskiej grawitacji

Lecz wzlatywanie
W nieskończoność

styczeń 2016

PIERWSZY ŚNIEG

Ledwie prószы
Już świat się w bieli
Nie zawieruszy.

Nawet na biały kwadrat Malewicza
Nie starczy go

A cóż dopiero na tło.

Tyniec, marzec 2020

CZŁOWIEK

Pamięci Anny Jenke

To był Twój styl: karmić nas
Tylko mądrymi słowami, które nie ulatują.

Verba volant scripta manent
Napisałaś raz na tablicy.

Twoje słowa, choć uskrzydłone
Nie uleciały, lecz pozostały
Na zawsze w mojej pamięci.

Jak te oto, które powtarzałaś tak często:
Tak pełno wokół ludzi, a tak trudno o człowieka.

Pod naporem wichru trzcina
tylko się ugina, ale nie załamuje
Napisałaś mi w liście, który
Upadłemu na duchu pośpieszył
Ze słowami otuchy.

Jeszcze słyszę Twoje słowa
Tak łagodnie wtapiające się w ciszę
Jaka zaległa po tym
Co przeczytałem na temat jednego z wierszy Norwida:
Nie mam dla Pana noty.

Twoje wezbrane miłością słowa i czyny
Będą strzegły naszych serc przed zatwardziałością
I wyziębieniem.

Wierzyłaś i wiarą tą dzieliłaś się z nami
Że ze świata tego zostaną tylko dwie rzeczy
Te dwie tylko: poezja i dobroć.

Janusz Pasternski

Notatnik otwarty

ZWIĘZŁE ANTURAŻE

Zapewne tak jest, że świat się komplikuje, że nasze w nim funkcjonowanie wymaga coraz większej sprawności językowej, kulturowej czy ogólnie poznawczej. Tego doświadcza każdy, kto próbuje odnaleźć się w rzeczywistości rozproszenia i fragmentaryzacji, sprostać potrzebie nieustannej uwagi, dorównać kroku wielości i zmienności. Pewnie jest też tak, że w odpowiedzi na te wszystkie bodźce i impulsy tym chętniej powracamy do najprostszych odczuć, szukając w nich pewności i choćby chwilowego oparcia. Sensualność może być w tym sensie powrotem do czystości i bezpośredniości przeżywania, a przynajmniej szansą na ich odczucie, zanim nowa całość znowu rozpadnie się na kawałki. Dla poety sprzymierzeńcem na tej drodze może być język – zwykły i prosty, ale zarazem precyzyjny, trafny i adekwatny dla oddania skomplikowanej natury zjawisk.

Jednym z największych odkryć dwudziestowiecznej poezji było właśnie dostrzeżenie potencjału zwykłego, codziennego języka. Jego przystępność, zrozumiałość, a jednocześnie oszczędność i skupienie na konkrecie pozwoliło otworzyć dla liryki nową sferę ludzkich doświadczeń, mniej wzniosłych i rzadziej dotąd obecnych w utworach poetyckich, lecz przecież o wiele bliższych wrażliwości współczesnego odbiorcy. Lapidarność języka nie oznaczała zarazem ograniczenia jego możliwości semantycznych, co dobrze pokazała już lekcja awangardy.

Tego rodzaju połączenie sensualności i refleksji wyraźnie widać w wierszach Marty Tomczyk-Mayron. To utwory bardzo oszczędne, często opisowe i narracyjne. Uwaga autorki skupia się na obserwowaniu codzienności, przedstawianiu drobnych zdarzeń, zaskakujących spostrzeżeń, przemyśleń z podróży. Zwykłość codziennego życia kryje jednak w sobie wielość innych znaczeń, zasłoniętych na ogół nieistotnymi czynnościami, odczuciami, zajmującymi uwagę przedmiotami. Na przykład wiadomość o cudzej śmierci zawsze przychodzi nie w porę, w „trywialnych okolicznościach”, w których niknie powaga i skupienie. Śmierć bowiem domaga się refleksji, bo „umieranie innych” jest przecież przygotowaniem do naszego własnego odchodzenia (*Anturaże śmierci Pani M.*). Podobnie zaskakiwać mogą proste słowa, wypowiedziane zwyczajowo, lecz serdecznie, i zderzone z wykoncypowaną mądrością życiowych tez („wczoraj słyszałam wiele mądrych słów / [...] / ale dziś już nie umiem powtórzyć”). Mądrość nie bierze się z efektownych formuł, ale z postawy wobec świata i samego życia: „dobre słowo to nie to samo mądre słowo” (*Dobre słowo...*).

Wiersze Marty Tomczyk-Mayron to z jednej strony opowieść o codziennym życiu, a z drugiej – doświadczenie niezwykłości świata i jego tajemnicy wyczuwal-

nej podskórnie, lecz ukrytej gdzieś głęboko. Stronę życia dostrzec można choćby w opisie chłopaków z imigranckiej dzielnicy Oslo, którzy swoją inność przeżywają w społecznym rozdwojeniu złączonym z pokoleniowym buntem (*Śniade chłopaki z Vestli*), w ironicznych obrazkach z wakacji, na które nakładają się kulturowe filtry stereotypów, celnie przez autorkę wskazywane (*Podróże Pana M., Trzygłowy*). Wrażenie tkwiącej w świetle tajemnicy rodzi się z kolei w odbiorze takich wierszy jak *Kobieto czy Kobiety zatrzymują zegary...*, które rozbłyskują wizją i metaforą. W tym ujęciu to, co ludzkie, odsłania się w sprężeniu z naturą, dzięki czemu poskramia abstrakcyjny czas i zamienia go po prostu w trwanie („kobiety siadają w kręgu i wszystkie zegary się zatrzymują”, *Kobiety zatrzymują zegary...*).

W poezji tej wiele też rozgrywa się „między jawą a snem”, gdy górę biorą zmysły i odczucia, gdy wyobraźnia żegluje swobodnie pośród kolorów, dźwięków i obrazów, a „żółte dynie samochodów / mkną po mostach ze złotych trąbek (*Na sofie*). Wiersz jest bowiem dla autorki również narzędziem kreacji i wydobywania z rzeczywistości ukrytych wymiarów. To właśnie one mogą dniom traconym bezpowrotnie nadać potrzebny sens (*Te dni bezpowrotne...*).

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, Narodowy Park Leśny Athalassa, Nikozja

Marta Tomczyk-Maryon

PODRÓŻE PANA M.

Od wielu lat pan M. jeździ na wakacje do Grecji
zlany potem (37 stopni w cieniu)
niestrudzenie zwiedza amfiteatry i świątynie
„Uprawiam turystykę heroiczną” – żartuje

ale czasem ma dość
bo tak naprawdę lubi
usiąść wieczorem w tawernie
pić zimne wino
karmić koty cienkimi kawałkami mięsa
patrzeć na starego Greka który wychyla kieliszek uzo i śmieje się
prosto w morze

(Kefalonia, 01.08.2022)

TRZYGŁOWY

Z morza wystają głowy włoskich emerytów
jedna uśmiechnięta
druga z krzywym nosem
trzecia łysa
wszystkie obserwują nastoletnią Wenus
z rozkwitającym nad falą biustem
strach pomyśleć co by było gdyby miały zęby

ANTURAŻE ŚMIERCI PANI M.

O śmierci królowej angielskiej pani M. dowiedziała się myjąc
[łazienkę
wiadomość o Symborskiej zastała ją parę lat wcześniej gdy gotowała
[pomidorówkę
w równie trywialnych okolicznościach dowiedziała się o odejściu
księżnej Diany i Zagajewskiego
czyż nie mogły to być bardziej sprzyjające anturaże
jak zapłakać z chochlą w ręce (szczególnie że cebula jest już
[w zupie)
jak wyrazić żal nad muszlą klozetową
przyjąć godnie umieranie innych
gdy na własne jeszcze nie wszystko wysprzątane

(Oslo, 09.09.2022)

NA SOFIE

między jawą a snem dwie poduszki pomarańczowe i jedna
w liście palmowe
płyńcie dźwięk
(muzyka to pozytywka do zapominania)
ciało opada
przechodzi w fale alfa gamma samba
wyświetla film:
żółte dynie samochodów
mkną po mostach ze złotych trąbek

(Oslo, 09.09.2022)

[CHMURY WIDZIANE Z GÓRY...]

Chmury widziane z góry wyglądają inaczej
niż widziane z dołu
(choć są to dokładnie te same chmury)

myślę że ta zasada stosuje się także do nas.

(26.04.2024)

[TE DNI BEZPOWROTNE...]

Te dni bezpowrotne
zapomniane u zarania
strawione przez czynności nieistotne
poranek
tik tak
południe
tik tak
wieczór
tik tak
noc
tik tak
kolejny dzień zniknięty
boję się takich
ale najbardziej tego że jest ich coraz więcej

[DOBRE SŁOWO...]

Dobre słowo to nie to samo mądre słowo
wczoraj słyszałam wiele mądrych słów
(coś o byciu w środku okręgu)
ale dziś już nie umiem powtórzyć
zamiast tego zostało tamto
„dobrej nocy dla wszystkich”

(28.11.2023)

ŚNIADE CHŁOPAKI Z VESTLI*

Ciemne kurtki
spodnie dresowe
różne zapachy
Wollah – mówią
Kibbe – gadają
w metrze
przed spożywczakiem
coś tam dymią
ćmią
szeleszczą
mają swoje
allaha na ostrzu noża
starych co kaleczą norweski
ale czy wszystko musi być teges?
tu na wschodzie rządzą chłopaki z Vestli
które są całkiem inne niż ci z Oslo Vest

(16.09.2023)

*Vestli – dzielnica Oslo.

KOBIETO

Jesteś białą firanką przez którą rankiem prześwituje słońce
świetlisz i wzlatujesz
świetlisz i wzlatujesz

jesteś zacienioną ścieżką w środku lasu
wiedziesz i wiesz
wiedziesz i wiesz

[KOBIE TY ZATRZYMUJĄ ZEGARY...]

Kobiety zatrzymują zegary
te małe na złotych łańcuszkach
i te wielkie które rosną na wieżach kościołów

kobiety siadają w kręgu i wszystkie zegary się zatrzymują
taka moc
taka chwała

(23.10.2024)

Marta Tomczyk-Maryon



Fot. Grazyna Zajac

Cypr, dawny kościół Ayios Sergios we wsi Pamuklu/Tavrou, Półwysep Karpas

FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

Góry Orfickie

KOBIECY ZAPACH

Nie mów mi nocą która godzina
gdy nie śpię w swym śnie umarli
nie wiedzą ponoć że jest po nich

Jest nad ranem, już ze dwa razy pośniwałem, że słyszę budzik, ale tak dzieje mi się prawie co dzień, przebudzony nigdy nie sprawdzam godziny, ponieważ już bym nie zasnął, gdyby brakowało niewiele do wstawania, lecz teraz decyduję się wstać do łazienki, stoję już w ciemności i dla równowagi opierając się o wielką szafę, staram się zdrętwiałymi stopami trafić w skórzane łączki, tymczasem zdaje mi się, że to od tej drewnianej powierzchni czuję subtelny kobiecy zapach, może od wiszących tam sukienek Iwony, może ona sama posmarowała się jakimś kremem na noc, a może to jej kosmetyki z toaletki, ale zaraz kojarzy mi się z tym doznaniem charakterystyczna słodko korzenna, imbiropodobna woń emanującą z trumien, przy większej intensywności mdląca i prokurująca nudności, jaką w dzieciństwie, w najwcześniejszej młodości poznałem po śmierci pierwszych bliskich, i w ślad za tym przypomina ostatni rodzinny pogrzeb, mojej bardzo wiekowej kuzynki, lekarki, która leczyła także moje dzieci i wnuki, a której wtedy, nad grobem, powiedziałem kilka słów, przypominając jej, co zapamiętałem ze swoich wczesnych lat, kiedy przyjechała do nas na święta i jak ją zapamiętałem, dwudziestoletnią, naładowaną energią, rumianą, z grzywą czarnych włosów, jakie robiła wówczas wrażenie przy stole, aż mój Ojciec zwrócił się do mnie, abym wziął paterę z ciastem i postawił tam, bliżej panny, i dalej na świdnickim cmentarzu mówiłem o tym, że nie jesteśmy stworzeni po to, byśmy byli kimś, lekarzami, doktorami, kimkolwiek innym, ale byśmy byli, byli objawieniem samych siebie, Bożym dziełem ku Bożej i ludzkiej radości, dotknięci u samego zarania nieodwołalną konstatacją, że teraz i na wieki jesteśmy bardzo dobrzy, i mówiąc tak, jej teraz, martwej już, ponaddziewięćdziesięciolet-

niej, wobec zaskoczonego tłumu, miałem zarazem świadomość, że już sam tylko pozostałem przy życiu spośród zgromadzonych przy tamtym stole, i że sporo lat później, ale także już dawno, w innej epoce mojego żywota, niosłem krzyż na czele pogrzebu jej ojca, czyli mojego ojca chrzestnego, a tego porannego, najdżisiejszego teraz, kiedy już obuty zmierzam ku drzwiom, przychodzi mi na myśl inna bardzo bliska lekarka, poprzez moją Mamę przychrzczona kuzynka, studiująca w tych samych mniej więcej latach, co tamta i bywająca wówczas u nas, zwierzająca się, jak to przygotowując się do egzaminu z patologii, stwierdzała u siebie symptomy raków wszelkiego rodzaju, a kiedyś powiedziała, że zdała ginekologię i moja ciotka zapytała, czy nie będzie się w niej specjalizować, odpowiedziała zdecydowanie, że nie chce dwadzieścia cztery godziny na dobę patrzeć na pewną część ciała, bardziej ją interesuje głowa, psychika, skończyła jako neurołożka, a ja kilkadziesiąt lat później, i kilkanaście lat wcześniej od momentu owego wspomniania, napisałem wiersz o pogrzebie jej stuletniej matki, lwowianki, i jeszcze jedna objawia mi się niegdyś młoda kobieta, o pokolenie prawie starsza ode mnie kuzynka, jak obie poprzednie atrakcyjna swą ekstrawertyczną energią, a w jej przypadku także profesjonalnym sportowym zacięciem, zjawiająca się nieregularnie w zasięgu mojego wzroku, ale raz w bardzo subiektywnie ważnym dla mnie okresie, kiedy, jak myślę obecnie, mój umysł uświadomił sobie problemy dotyczące pojęcia istnienia, z coraz bardziej pogarszającym się samopoczuciem wewnętrznym przekonywałem się, że nie wiem, nie potrafię przekonać się, czy jestem, czy naprawdę jestem, do dzisiaj widzę nas oboje wychodzących pomroczną kruchłą św. Józefa, i jakbym czuł przelewającą się we mnie od tej starszej wysportowanej dziewczyny właściwą jej pewność prostszej, praktyczniejszej, bliższej natury osobowości, jesteś, na pewno jesteś, jestem

19 lutego 2024 r., 5.30

MURZYŃKA

Wysoka, smukła krąży wokół baterii kublów i pojemników, i pieczołowicie, z namysłem, wybiera odpowiednie rzeczy z kartonowego pudełka, aż wreszcie i ono łąduje, gdzie trzeba, a ona odwraca się i oddala w zaciszną ulicę, widać jej szczupłe łydki, jasne buciki za kostkę, związane w kok czarne włosy i płaszcz, kolorem przypominający rozrzucone tutaj hojnie po trawniku platanowe liście, jej młodzieńczy wdzięk przypomina mi „czarną gazelę”, bożyszcze rzymskiej olimpiady 1960 roku, podziwianą wówczas przeze mnie wraz z dwoma znacznie starszymi mężczyznami w telewizorze sąsiadów, piętro wyżej, Wilmę Rudolph, niedonoszone dziecko, dotknięte porażeniem, przez jakiś czas poruszające się o kulach, a potem trzykrotną złotą medalistkę, co właśnie śledziliśmy z zapartym tchem, i rekordzistkę świata w sprincie, i matkę czworga dzieci, wcześniej byłem dziś w księgarni karmelitańskiej i miałem szczęście, za naprawdę psie pieniądze dostałem tam przeceniony al-

bum, wydaną w Czechach przed kilkoma laty „Księgę obrazów”, prac plastycznych wydobytych z archiwum Gustava Junga, a wykonanych przez jego pacjentów, na którą nie mogłem sobie wcześniej pozwolić, a teraz siedzę w parku i przeglądając kilogramowe tomiszcze orientuję się, że mimo anonimowości przedstawień, ułożonych tematycznie, a często wynikających ze snów lub seansów hipnotycznych, autorkami są w większości kobiety, ten okazały tom jakby emanował żeńskością, tak jak opustoszała już tymczasem ulica naprzeciwko, potem zastanawiam się, czy są tu wśród autorek także takie, z których Jung podstępnie skorzystał w trakcie terapii, w stanie ich nieświadomości, że być może tak to wygląda, że uczestnicząc w tym świecie świadomie i nieświadomie wykorzystujemy się nawzajem, że istnieje tajemnica sił, jakie powodują, że niekiedy sami wykorzystujemy swoje ciała, swoje możliwości, niespodziewane talenty aż tak fantastycznie, i że aż tak nikczemnie mogą wykorzystywać nas inni, w niezidentyfikowanej sennie przestrzeni odbywa się spotkanie literackie, są m. in. dwie dziewczyny, jedna na białą, z którą mówię o poezji, o duchowości, druga pozostaje w cieniu, jakby była jedynie po to, aby była, by był ktoś jeszcze, aby to gadanie moje miało powszechniejszy wyraz, ponieważ staram się naprowadzić świadomość swojej rozmówczyni na falę o głębszej wibracji, przychodzi mężczyzna w średnim wieku, cieszy się tutaj pewnym autorytetem i stąd naturalną kolejną rzeczy zabiera głos, śledzę z boku, jak on teraz ustawia ją po swojemu, po zewnętrznemu, światowemu, wątpliwemu, zwraca jej uwagę na oddziaływanie również ciałem, ilustruje mi się to w ten sposób, że tamta kobieta leży, zaś jej prawa noga i cześć boku potraktowane są prosektoryjnie, otwarte, mięśnie uda odsłonięte głęboko, do kości, cały czas, gdy on tak omawia ją przed nią anatomicznie, czekam, z nadzieją, że powrócę jeszcze ze swym przesłaniem, lecz to się przewleka i przewleka, nie zdążę, za bardzo, za głęboko widać w moim żywocie zajmowało mnie owo tak odmienne żeńskie ciało.

5 marca 2024 r., 14.30

OMAHA

Sen powraca do snu, że już mi się śniło, nawet, że zapisałem, ale śniło mi się to pewnie tylko tejże nocy, wcześniej nieco, jestem naprzeciw pionowych form, przypominających pnie brzoź, wzdłuż których widać jasnoczerwone smugi, niby kreski lub nitki, czy taśmy, dochodzi mnie przy tym przesłanie, że był jakiś element inny, znaczący kogoś myślącego, wierzącego inaczej, inny gatunek drzewa, odszedł, znikł przed chwilą i teraz wszyscy, cały pozostały zbiór, podążają w jedną stronę, ze względu na asocjację z drzewami, rosną w to samo niebo, prawdopodobnie wyraża się to przez owe czerwone znaki, jakby strzępki, połówki stuły, znak współuczestniczenia we wspólnym obrzędzie, wobec nieba pojmowanego duchowo, powracam do tamtego, jak mi się zdaje wczorajszego, zmyślenia, niby jazda pociągami, ktoś

odmienny, tutaj wyraźnie chodzi o wiarę, może w poprzednim, zgubionym ułamku wizji była o tym mowa, wysiada, zamyka mi się to w gnomiczny zapis, wysiada niewierzący, teraz cały wagon jedzie w tym samym kierunku, co oczywiście zawiera ironię i poprzez nią właśnie kojarzy mi się następnie z wierszem Sandburga, podziwianym przed kilkadziesiątu laty, może nawet jest z nim, w owym nieuchwytnym świetle jaźni poniekąd spokrewnione, może nawet to pamięć tamtego sprokurowała te widzenia, jest to bowiem jeden z tych wierszy, jakie pozostają na zawsze, jako prawda, pamiętam je, nieliteralnie, ale przeciwnie, w całości, w ekspozycji i w przesłaniu:

Pociąg z miejscówkami

Jadę ekspresem z miejscówkami, jednym
z pierwszorzędných krajowych pociągów.
Wali poprzez prerie w błękitną mgłę i ciemną dal
piętnaście wagonów, całych ze stali,
mieszczących tysiąc ludzi.
(Wszystkie wagony staną się złomem i rdzą, a
wszyscy mężczyźni i kobiety śmiejący się w
wagonach restauracyjnych i sypialnych –
obrócą się w proch.)
Pytam człowieka w przedziale dla palących,
dokąd jedzie, a on odpowiada: „Omaha”.

Przełożył Krzysztof Mętrak

A kiedy podnoszę wzrok od komputera, widzę w ogrodzie brzozy, jak ja, po siedemdziesiątce, ostatnie trzy z niedociętego jeszcze szpaleru, bo to już nastaje dla nich wiek krytyczny, spostrzegam rudą wiewiórkę, nadspodziewanie wysoko, na cieniutkich, bezlistnych jeszcze gałązkach, przeskakującą z jednej na drugą, na młody modrzew, na jarzębinę, i, ryzykownie, na sosnę, szczęśliwie spadającą tylko okółek niżej niż zamierzyła, jest jeszcze jeden wiersz Sandburga wśród tych moich wiecznych, ktoś stawia wokół domu *Płot*: „Nic nie prześliznie się między sztabami i nad stalowymi / ostrzami oprócz Śmierci, Deszczu i Jutra”.

26 marca 2024 r. 8.30

Antoni Matuszkiewicz

Grzegorz Strumyk

ŁATANINA 46

Fale, odczuwam jesień, schyłek u zarania. Czytanie znika, nieraz przez ułamek sekundy widzę wyrazy. Słońce nie znika, jest stale. Czarno nie będzie. Trzeba o stopy i o głowę szczególnie dbać. Uspokajające morze zawsze jest w swoim miejscu. Naprawdę można porozumiewać się ze światem, szczególnie gdy ludzie o tym nie wiedzą. Sierota lasu, mówią tak. Przeinaczają. Przechodziły przede mną zaskrońce i jaszczurki. Tyle zostało. Wszystko jedno. Jestem tu. Na starość powinno się być bardziej nierozsądnym. Są takie chwile, że świat nie wydaje żadnego dźwięku, zupełna cisza. Na przykład teraz. Żaden listek się nie porusza. Szeptem mówię, żeby nic nie zmienić. Mam nad głową sąsiadkę, która chodzi słoniowymi krokami, chociaż słonie cicho przechadzają się nawet po podłodze. Dzień za dniem, pogody przyjazne, niebo doskonale widzę, bo nie porównuję go do niczego innego. Za to rzeczy gorzej widzę, ponieważ są opisane. Świat jest spowity zawziętym milczeniem, dlatego z nim rozmawiam. Z nim, z nim. Tu wszystko naraz, jak w morzu, podlega falom. W samych możliwościach żyję. Lubię trwać, kiedy inni nieprzerwanie przechodzą, przyjeżdżają i odjeżdżają. Ja zostaję, nie jestem na sezon, obserwuję, że wszystko się zmienia i wciąż jestem. Świat na miarę wyobraźni. Inaczej jest niezrozumiały. Tak spokojnie, tak cicho, porządkuję pokój. Zielone światelka w drzewach, powinienem w nie patrzeć. Zasypiam na materacu. Ścianę przemierza stworzenie i chyba nawet potrafi skakać, choć nie zdradza się teraz. Zaparzę kawę i zadzwonię. Albo zostanę z myślami, nie będę już dziś niczego zaczynał. Okno szarzeje, ściana brązowieje. Widzieć siebie żywym wśród martwych, rzeczy to upiorne. Noc nadchodzi z piorunami, wszystko będzie nowe. Nie mam

*Autoportret podwójny, fot. Grzegorz Strumyk*

wyobrażenia, jak będzie, tylko pragnienie tego nowego. W nocy letnie kaloryfery są ciepłym metalem głaszczącym stopy. Wstaję zdziwiony. Okno szeroko otwarte. Pojawiają się pytania. Dopiero się obudziłem. Inne powietrze, inna muzyka. Lekko oddychać. Oddycham. W najgorętszym dniu obudziłem się w nadchodzącej chorobie. Ból, katar i podobne znane objawy, pragnienie gorącej, czystej wody. Piję herbatę z kwiatów dzikiego bzu, otwarte okno, więcej chłodniejszego powietrza, mroząca cisza. Leżąc, zniknąłem. Tak. Wczoraj bolały kości twarzy, zęby, głowa, dziś tylko spowolnienie ruchów. Lekka choroba, kiedy można o czymś innym myśleć, podejmować samodzielne decyzje. Patrzę na zmierzch, ciemniejące niebo, coraz ciemniejszą zielen drzew. Nie obchodzi mnie, co było wcześniej, widzę tylko obrazy. Ostatni obiad przed wyrokiem na sezon, powiedziałem do kelnera. Karta pusta, nie ma obiadów na jutro. Jest kot pod sklepem, ma pustą puszkę, moknie blisko drzwi, na ich brzegu, delikatnie i skromnie. Siedzi jak trusia. Kropkowany. Otworzyłem mu puszkę w trawie za ławką. Odruch taki prawie jak odruch życia. To dobry dzień, na jaki można liczyć.

Grzegorz Strumyk



Fot. Katarzyna Krolik-Attila

Wolnożyjące osły, Półwysp Karpas, Cypr Północny

Roman Sabo

Kondygnacje czasu i przestrzeni

TOBAGO

Od jakiegoś czasu zachodziłem po rozum do głowy, zastanawiając się, jak po latach emigracyjnej poniewierki wrócić, i to z hukiem, na ojczyzny słodkie łono. A że rok zrobił się prezydencki, przypomniałem sobie triumfalny powrót jednego takiego, co to z dalekiego Peru z żoną Indianką wrócił i walizkę pełną ludowych panaceów na szarość naszą ziemską, doczesną przywiózł. (Żona Irlandka, gorzki smak Guinnessa i zawijasy celtyckiej muzyki dawno przestały być jakimkolwiek atutem). Zachodziłem i po rozum do ksiąg rozmaitych, w których wyczytałem, że karaibska wyspa Tobago w połowie XVII wieku należała do Królestwa Obojga Narodów. A gdyby ją tak przywrócić Macierzy? Macierz uczynić wielką ponownie, od morza po Atlantyk rozciągnąć? Zhybrydyzować? Rumieńców jej dodać?

No to polecałem. Wyspa niewielka, górzysta, egzotyczna, barwna, od ptaków rozśpiewana, biedna. W sam raz jak na nasze narodowe ambicje. Skora do wyzwolenia się spod ekonomicznego pręgierza bogatszej i uzurpującej sobie wszystkie pierwszeństwa siostrzanej wyspy Trinidad. Łaknąca niezależności, stąd skłonna iść na układy.

Zacząłem się układać. Ludzie mili, roztargnieni, przyjaźnie do obcokrajowców nastawieni, skłonni i do tańca, i do kieliszka, i do różańca. Ich Janusze na wiór wyschnięci, Januszowe wielkie i obfite we wszelkie znamiona kobiecości. Spokojni wszyscy, nieśpieszni. Uczciwi – w sklepie nie dosłyszałem ceny za butelkę wody. Dałem 70, a właściciel do mnie z uśmiechem: gdybym ja wodę za 70 sprzedawał, dawno bym się już był majątku dorobił. I zwraca mi 63. Drogi mają tu bardzo wąskie i bardzo dziurawe, a jeżdżą spokojnie, uprzejmie, bez nerwów. Klakson lubią, ale tylko żeby się przywitać, pozdrowić, pożegnać.

Dają się lubić, więc niepokój w moich konkwistadorskich myślach się zrodził; jakże ja ich, takich spokojnych, miłych, spolegliwych Macierzy naszej rozjuszzonej, skłóconej, przywracać będę? Cóż takiego mi zrobili, żeby im nasze chłody, zimy na kark sprowadzać? Mało ich, jakieś 55 tysięcy, nie więcej, rozplyną się w naszych 37 milionach z plusem i tyle będzie z ich niezależności. A jak już Macierz nawracać ich zacznie, jak im hotele stawiać zacznie, jak ten w Pobierowie, jak ich Rydzykiem od czasu do czasu poszczuje, to pewnie nie wytrzymają i całe ich 55 tysięcy do Bałtyku się rzuci, i w lodowatych wodach skona.

I tak mi się ich strasznie żal zrobiło, że gdy w ciepłutkiej, atlantyckiej wodzie się kołysał, na plecach leżąc i w niebo wysokie się wpatrując, przyszło mi do głowy, że może lepiej ich w spokoju zostawić w ich biednym raju, żeby sobie po swojemu żyli, rum z colą pili, o niezależności marzyli, pokojem świętym, i cóż

z tego, że niezasobnym się cieszyli? Niech im Januszowe na zdrowie się rozrastają, niech im kolibry tańczą, blaszane bębny kalipso grają, iguany na palmy się wspinają, niech im dziury w drogach nad piaszczyste zatoki oceanu rosną, niech im wielkie fregatowate krążą nad głowami, a pelikany z cyrkową precyzją rzucają się między fale, polując na ryby. Niech ich dzień w dzień zrywa z błogosławnego snu narodowy ptak Kuku-Ryk pod ochroną, powszechnie znienawidzony za swój wrzask o brzasku i chwalony za delikatny smak mięsa. Co ja im się tu będę mieszać w ich sprawy, do jakiejś Macierzy przywracać co ani Obojga Narodów, ani nieukoronowana? Sami sobie Macierzą niech będą, ot co.

I na ojczyzny łono nie zjechałem, ręce nadal puste mając.

ULISSES TENNYSONA

Ulysses – to biały wiersz żyjącego w latach 1809–1892 wiktoriańskiego poety Alfreda Tennysona, napisany w roku 1833 i opublikowany w roku 1842 w jego drugim tomiku poezji. Ciekawe, że utwór o niezgodzie na jałowość późnego wieku powstał pod piórem dwudziestoczteroletniego młokosa. Ale kto wie, może tylko młodzi myślą tak hardo o wieku męskim, mickiewiczowskim wieku kłęski. A jednocześnie który to bohater literacki wrzeszczał na cały głos, że ludzie po trzydziestce nie mają prawa żyć i powinni, idąc ludzkości na rękę, zabijać się?

Tennyson zdaje się swoim wierszem przeczytać Priamowi, sugerować, że wiek i upadek nie muszą iść w parze:

[...] Młodemu to dobrze;
Skoro padnie wśród bitwy, rażony grotem spiżowym
Leży martwy i wszystko, co widać u niego, jest piękne.
Ale gdy psy siwą głowę zewłoku starca splugawią,
Jego brodę śnieżystą i jego męskość, o wówczas
Najobmierzlejszy to srom dla nieszczęsnej doli człowieczej¹.

Istnieją polskie tłumaczenia wiersza młodego Tennysona (Jerzego Pietrkie-wicza i Zygmunta Kubiaka), ale postanowiłem się z nim (i z nimi zmierzyć):

Ulysses

Żadnej korzyści z króla, kiedy nie królując,
przy wygasłym ognisku, pośród nagich skał,
Podstarzały jak żona, ważę i narzucam
nierówne prawa dzikiemu plemieniu,
które gromadzi, śpi, żre, i nic o mnie nie wie.
Nie mogę przestać wędrować. Życie pić będę

¹ Homer, *Iliada*, przeł. I. Wieniewski, Londyn 1961, s. 348.

do ostatniej kropli. Zawsze ogromna radość,
równe jej cierpienie wśród tych, co mnie kochali.
I gdy byłem sam na brzegu, w wirze szybkich fal,
których deszczem wezbrane grzywy gnają Hiady,
by wzburzyć ciemne morze: tak zdobyłem imię;
stale wędrując, z sercem co nigdy niesyte,
ileż poznałem i ile widziałem: grody,
pogody, rządy, rady, rodów obyczaje,
nie gorszy od nich, wszędzie darzony honorem.
Rozkosze walki piłem z moimi druhami
na pełnych gwałtu polach wokół wietrznej Troi.
Stałem się częścią trudów, stawiając im czoła.
Materia wszelkich przeżyć jest zaledwie przęsłem,
za którym widać nieprzebyty świat, z granicą,
którą stale rozwiewa pragnienie dążenia.
Jak nuży odpoczynek, porzucenie starań,
rdzą kruchą obrastanie, zamiast iskier akcji!
Sam oddech ma być życiem? I życia za życiem
też byłoby mało, z mojego jedynego
zostało niewiele; godzinę każdą niemej
wydzierać wieczności, by stała się czymś więcej,
heroldem nowego; niegodne przecież, abym
przez trzy skłony słońca gnieździł się w komorze,
gdy siwa dusza moja spala się w pragnieniu
tropienia wiedzy jak gwiazda niknąca
za granicą najdalszą ludzkiego poznania.
Oto mój syn, mój własny syn Telemach,
jemu zostawiam i berło, i wyspę.
Mój ukochany, zdolny do spełnienia
zadań, cierpliwą roztropnością zmieniać
dzikusów w rozsądnych poddanych,
skłonnych do zgody dla wspólnej korzyści.
Wolny od skazy, cierpliwie skupiony
na obowiązkach swojego urzędu,
znający wagę sprawiedliwych czynów,
bogów domowych czczący ofiarami.
Jemu do jego zadań, mnie do moich.
Tam leży port, statek pręży żagle,
Sroży się ciemne morze. Druhowie,
dusze w trudzie wykute, jednomyślnie dusze,
równie ochocze w bojach z gromem, co ze słońcem,
walczące z chrobrym sercem i pogodnym czołem –
jesteście, jak ja, starzy.
Starość ma swoją godność, właściwe jej trudy.
Śmierć kończy wszystko, a przecież przed końcem
jakieś dzieło szlachetne jest do przedsięwzięcia,

na miarę mężów, którzy walczyli wśród bogów.
Promienie światła skrzą się wśród kamieni,
kończy się długi dzień; księżyc wolno wschodzi, głębia
jęczy wokoło wieloma głosami. W drogę,
nigdy zbyt późno by szukać nowszego świata.
Ruszejmy. Ramię w ramię rytmicznie tnijcie
fale zwelnionego morza; wołą jest moją,
póki starczy życia, żeglować aż za zachód,
za skłony wszystkich jego gwiazd.
Może się zdarzyć, że połkną nas fale,
może się zdarzyć, że na Wyspach Szczęśliwych
spotkamy Achillesa, którego znaliśmy.
Wiele się traci, przecież wiele trwa i chociaż
brak nam sił, by jak w dawnych czasach
ziemią i niebem trząść, jesteśmy, czym jesteśmy.
Wspólną ochotą chrobrych serc,
Choć czas i los odebrał nam siły, silni wołą,
by pragnąć, szukać, znaleźć oraz trwać.

Roman Sabo

Fot. Grażyna Zając



Cypr, Salamis (Salamina), ruiny greckiej świątyni

Robert Suwała

Obrazy i anamorfozy

KUGLARZ

Pamiętam, w radiu królował *Sing, sing* Maryli Rodowicz, a J. zaistniał i porwał mnie jak radiowy przebój. W istocie, myślę, bardziej przypominał terrorystę, który zjawia się znikąd z tajnym planem zniszczenia. W zderzeniu z janusową osobowością J. widzialny ciąg zdarzeń ulegał zachwianiu. Było to objawienie i przekleństwo każdego, kogo czas zetknął z jego osobą. I ja też uległem temu zachwianiu: wszystko, co sobie zaplanowałem, obracało się we własne przeciwieństwo, wynaturzało się i stawało w opozycji do moich intencji.

Moje reminiscencje spowija aura nierzeczywistości, wszystkie zdają się rozmyte, pozbawione konturów. Podążam myślą śladami strzępów cieni i zamglonych ewokacji. Moja pamięć tworzy skojarzenia, każdy zaułek, brama, wyszczerbiony krawężnik przywołuje pejzaże przeszłości, choć nie mogę już mieć pewności, co jest wspomnieniem, co tylko mirażem wyobraźni. Natrafiam przypadkiem – a może tylko tak mi się wydaje? – na ślady J. Dopiero dziś uświadamiam sobie z całą natarczywą pewnością, że świat jest literaturą. Tak zwana obiektywna prawda to tylko konstrukt myślowy prawników. Stykamy się tylko z wizją prawdy ubraną w odpowiednio dobrane słowa. Każdy wytacza własny krąg słów, za których pomocą stara się nadać swemu istnieniu sens, zdarza się, że jakaś siła każe nam ten krąg przekroczyć, jednak te zamiary pęta nieudolność, przez co nasze spojrzenie spaczone jest subiektywizacją. Nie potrafimy oderwać się od siebie samych, by mogło się to udać.

Śmierć – to chyba słowa Wasyła Rozanowa – to także religia. Bo dopiero śmierć pozwala nam naprawdę zbliżyć się do drugiej osoby. Pustka powstała po odejściu wypełnia się mimowolnymi treściami, nadającymi pamięci o nieobecnych nowych, nieuświadamianych wcześniej znaczeń i sensów. Powstaje, by tak rzec, zagęszczony, organiczny obraz postaci, która zyskuje niespotykaną za życia prawdziwość. Zanika dystans, jaki narzucało życie, wspominający wciela się niejako w osobę zmarłego. Współżycie obu porządków – zewnętrznego, czyli wspomnienia eksponowanego na tu i teraz, i wewnętrznego, czyli emocjonalnej relacji z tą wizją, nabiera osobliwego powabu doznania granicznego. Rozluźnieniu ulegają konwencjonalne bariery – w stosunku do zmarłego możemy sobie pozwolić na więcej. Wobec zmarłego stajemy zawsze w perspektywie podmiotu obdarzonego wszechwiedzą. Zagarniamy dla siebie jego tożsamość, osiągając (złudne wprawdzie) poczucie przezwyciężenia własnej niejednoznaczności. Zapominamy o tym, że nasze skargi i żale wpadają przecież w pustkę, słowa, choćby najbardziej spoiste, ostatecznie tracą celowość. Jedyne cisza zyskuje, by tak rzec, wartość ontologiczną. Milczenie zmarłego staje się modlitwą wspominającego.

Z milczenia sklecam własną wizję J., jego sylwetki, mimiki, uśmiechu, chodu, którego specyfikę uwidaczniały wykrzywione obcasy butów. Uwielbiał błaznować, ale przypominam też sobie, jak spalał się w nieustannej konfrontacji. Z przekleństw, którymi raził przeciwników, wyłaniały się sensy rozbiegające się na wszystkie strony, by zaraz zapaść się w siebie. Ostatecznie pozostawał z nich tylko popiół. Ale J. przypisywał im osobliwe znaczenie, pozwalały mu odczytywać horoskopy własnego losu. W jego oczach tliła się jakaś nieuchronność, która pozostawiała ślad nieustępliwości na jego wargach, a w gestykulacji objawiała się poprzez dziwną nerwowość. W głębi jego spojrzenia rysował się ulotny błysk inteligencji, nigdy jednak nie nabrała ona, jak mi nie mam, kształtu życiowej mądrości. Wiedziony nieokreślonym impulsem zstępował w mroki własnych przeczuć, nie zdając sobie sprawy z niszczylielskiej siły takich praktyk. Jego podejście do życia przypominało cienki płomień, który w ciemności staje się kwintesencją oczekiwania. J. nie uosabiał ani znużonej rezygnacji, ani cierpkiej przekory, przyjął raczej postawę zuchwałego komentatora. Udowadniał, że potrafi sięgać głębiej poza obietnice rutynowego, oswojonego życia, w rejony, gdzie wszelkie znaczenia są jeszcze nieokreśloną intencją.

W smutku pijackiego imaginarium, pozostawiając za sobą kolejne meliny, pragnął oderwać się od jakiejś części siebie samego. Nic nie mogło zachwiać jego wiary w geometrię przypadków, zwłaszcza gdy nocą na bezimiennych stopniach schodów natykał się na skutki przyczyn, które z rana zalegały przed progiem jego drzwi. Ale on, leżąc teraz z zasikanyymi spodniami, z dziwną biernością wyczekiwał czegoś innego, czego ledwie tylko się domyślał, a co w jego mniemaniu miało walnie przyczynić się do odmiany jego życia. Wchodził w dwuznaczne układy z mrokiem, nęcącym jego skłonności do niszczenia. Żył „na czarno”, łapał dni jak złodziej okazję. Coś uhandlował, coś udało się skrócić, dzięki czemu starczało na jabola, a on mógł znów przejść przez kolejne warstwy doświadczenia.

Uśmiechał się, widząc ludzi szarpiących się w sidłach codzienności, podczas gdy on, wydawałoby się, całkowicie wyzwolony, wołał wpatrywać się pod nogi, jak gdyby na tych paru metrach kwadratowych przed nim krył się wyczekiwany znak. Jego czas wyrastał z siebie i wypełniał się fantomami oczekiwań. Wystarczy tylko uwierzyć..., ale J. odkrył, że nie ma w sobie wiary. Nie tej religijnej, sprowadzonej do kilku rytualnych gestów, lecz wiary głębokiego oddechu skrywającej impuls przetrwania. Przekonał się, że życie jako następstwo czasu, to wszystko, co mieści się w uczynkach, tych dobrych i tych złych, co się odczuwa, to tylko trywialne naśladownictwo, głuchy pogłos dzieciństwa ze wszystkimi jego traumami wyzwalanymi przez nieuświadomione popędy. Znał kierunek tej wędrówki, lecz jednocześnie wiedział, że nie ma ona określonego celu. Przemierzając kosmosy melancholii, czynił ulice, zaułki, śmierdzące urną bramy współwinnymi za złe wybory, które wyłaniały się z nieoznaczonej rzeczywistości jak zapowiedź. Wszystkie te miejsca, które nawiedzał, uobecniały się w jego życiu niejako fizjologicznie i J. tak też je odbierał: całym sobą, namacalnie. Ich atmosfera przenikała jego umysł i ciało,

gęstniejąc, wydobywała ostateczny, zdawałoby się, kształt udręki. Czytał kolory tych miejsc jak żaden przechodzień, dostrzegał wszelkie niuanse napięć, drgnienia barw i cieni. Patrzył. Czuł.

Odrzucona strona miasta odcisnęła się na jego ciele jak kamienie Bastylli na twarzy markiza de Sade w imaginacji Man Raya. Ujawniła przed jego wzrokiem sekrety dostępne tylko wtajemniczonym, tym wszystkim, którzy poznali smród rynsztoka po przebudzeniu po całonocnej pijatyce. J. sprzedawał się nocy, wędrował od mirażu do mirażu, zdzierając z siebie kolejne powłoki zdarzeń. Pragnął dotrzeć do samego ich jądra, jego spojrzenie, z pozoru bezinteresowne, potrafiło wylać w obserwowanym skrywaną intencjonalność. Wyrażało coś, co czaiło się między „tu” a „tam”. A J. myślał, że uwolni się z rygorów, jakie narzuca fizyczny wymiar czasu. To pragnienie prowadziło go zbyt daleko, poza, by tak rzec, fizyczne właściwości wzroku, by mógł je w pełni uporządkować, uchwycić w ramy refleksji. Niełatwo mu było z tych peregrynacji powrócić bez skazy na duszy i umyśle. Został zdominowany, jak powtarzał, przez irracjonalny aspekt „widzenia” świata. Z jego strony była to tylko nieodpowiedzialna donkiszoteria, eksperyment sięgający w swych efektach metafizyki. Odbijała się jednak złem. Myślę, że zło, nie tylko to metafizyczne, lecz także to całkiem namacalne w skutkach, pozostało przy nim do końca.

Po nocnych ekscesach ulice rozścielały się przed J. szachownicą, w której odbijały się wszelkie sprzeczności doznań i emocji, wzloty i upadki. Zapadał wzrokiem w rojenia o szerokich przestrzeniach, redefiniował ów nieustannie podejmowany wątek. Wolność zdawała mu się na wyciągnięcie ręki, wystarczyło wykonać twórczy gest zawieszony pomiędzy nieskończonością a doskwierającym dziś. Przeszkodą była jednak fizyczna ułomność ciała. Zewnętrzność napierała zewsząd, tłamsząc beznadzieję. Nie odczuwał już potrzeby, by cokolwiek zmniejszać. Ileż razy zamykał oczy i zmartwychwstawał, nawet nie będąc zaskoczony, że dalej żyje.

Tam, gdzie spędzał noce, był dom jego dzieciństwa. Teraz to zatęchła dziura, z której wyprzedał już wszystko, na co tylko znalazł się kupiec. Pozostało mu tylko fizyczne trwanie. Zastygły czas improwizował sny na jawie. Śnił więc i czekał. Poznał najbliższy życiu sens słowa „trwać”. Każdy dzień wypełniał się w jego oczach przeszłością, wracały minione obrazy dzieciństwa, młodości, doświadczeń. Z zaskoczeniem odnajdywał w nich epifanie przyszłości. Kartkował czas jak album ze starymi fotografiami. Czuł coraz wyraźniej, że tu, gdzie trwa, rozwiera się czarna dziura. Nie było od niej ucieczki. Zresztą nie miał już na to ani chęci, ani siły. Zrozumiał, że mimo upływu lat jest nadal tym egoistycznym chłopcem pragnącym wykręcić się od odpowiedzialności.

J. był z natury kuglarzem, dzięki swej wesołkowatości zjednywał sobie powszechną sympatię. Pod pokładami beztroski, jak to często bywa, czaiło się jednak coś umykającego prostym definicjom słownika powszedniości. Uważny obserwator potrafił w spojrzeniu J. dostrzec smutek pomieszany ze strachem. Wówczas nikt nie domyślał się, w jakich głębiach duszy miały one swoje źródło. „Nie wiem, skąd

się to bierze – zwierzył mi się pewnego razu – ale odkąd świadomie spojrzałem na świat, stale towarzyszy mi dziwne przeświadczenie, że jestem w jednym miejscu i czasie, a czuję, jakbym przebywał zupełnie gdzie indziej, w innym wymiarze czasu. Jestem i jednocześnie mnie nie ma. Rozedrgany ulegam wrażeniu mocowania się z nieznanym. Pytam się siebie, czy to przypadek kliniczny, wyzwanie rzucone dialektyce czasu? A może to wszystko jest tylko dziełem ulotnych i zwodniczych fantasmagorii?”.

Te wywody brałem za objaw skrzywionej alkoholem psychiki. Każdy, kto znał J. dłużej, widział przecież, że lubił się napić. Zbyt często widziało się go wstawionego. Wydawało się, że potrafi utrzymywać delikatną równowagę na cienkiej linii uzależnienia. Po latach na tej, zdawałoby się, doskonałej w swej nienaruszalności konstrukcji zaczęły pojawiać się pierwsze rysy. Przez tamę zaczęła wsączać się, kropla po kropli, melancholia, która odkładała się gęstą mazią na duszy, czyniąc wzrok J. coraz bardziej mętnym. Jakaś nieokreślona trwoga pchała go w miasto. Przemierzał ulice niczym bezdomny pies węszący nie wiadomo za czym. W smrodliwych zaułkach szukał kolesi od kieliszka, dostrzegał tylko bezkształtne cienie, podążał za odorem śmierci, który zdawały się wydzielać mury starych kamienic. Gubił się w podwórkach, budził na zarzyganych kłatkach schodowych pod obcymi drzwiami. Broczył rozpaczą. Biełt już nie pomagał. Nie potrafił zapomnieć. Wciąż przecież żył. Musiał pamiętać, choć zdawało mu się, że utknął w szczelinie między czasem a bezczasem.

W tamtym okresie wszedł w mroczny świat wykołajeńców, wszystkich tych dzierzawców rynsztokowych tajemnic miasta; wyłaniali się z cienia, by szybko rozplątać się w mętnych perspektywach świtu. Kim byli – mogłem się tylko nieśmiało domyślać – ich życie było labiryntem, w który wołałem nie wnikać. Jedno było niepodważalne: na ich duszach niezatartym znakiem odbijała się cela. Niejednego przecweliły Wronki czy Radocha. Ich twarze mówiły więcej niż usta. Nieraz pytałem J., po co mu te wyprawy w dwuznaczne znajomości, nierzadko kończące się dlań poobijaną twarzą. Uśmiechał się wtedy, nieznacznie wzruszając ramionami, kłutł mnie jego zimny uśmieszek, z którego abstrahowało się drażniące poczucie wyższości. To ja byłem owym dobrym człowiekiem, wcieleniem frajerstwa, uwiecznionym w pączęcznie obowiązków, wstającym rano, by iść do pracy.

Najdłużej znał się z dziwnym gościem o imieniu Waldek. Poznali się bodaj w czasach podstawówki. Był to spokojny gość, choć z szaleństwem w oczach. Niekiedy wydawał się normalny, czasem wychodził z niego narwaniec. Pamiętam z opowieści, że Waldek panicznie bał się wojska. To były czasy, kiedy każdy zdrowy musiał stać się rekrutem. Waldek miał kategorię A. Gdy odebrał wezwanie do WKU, postanowił raz na zawsze uwolnić się od odstręczającej wizji założenia munduru. Poszedł do drewnutni, zabrał siekierę i na pieńku służącym do rąbania drewna na rozpalkę odciął sobie dwa palce prawej dłoni. Był to niezwykle wyczyn, bo Waldek był praworęczny. Po kilku piwach podsuwał pod twarze słuchaczy kikuty wskazującego i serdecznego. W tonie jego wypowiedzi pobrzmiwało poczucie wyższości.

W końcu nie każdego stać na taką desperację, zdawały się mówić jego oczy. Usta zaś uśmiechały się z pobłażliwością człowieka, którego zahartowały zagadki życia.

W pewnym momencie Waldek zniknął wszystkim z oczu. Nikt nie wiedział, co się z nim stało ani gdzie przebywa. Nie miał zatargów z prawem, więc miejscowi wykluczali więzienie. Czas meandrował wokół kamienic i ławek w studniach podwórek. Waldek się nie pojawiał. I gdy już pamięć o Waldku zdawała się ulatniać, jego postać jak żywa stanęła znów przed kompanami. Otóż Waldek się powiesił. Jaki był powód tego desperackiego kroku, nikt już nie dociecze. Pewne było tylko to, że Waldek znów zajrzał do drewni, tym razem zamiast siekiery zabrał sznur. Niedaleko znajdowały się nieużytki porośłe samosiejkami drzew i wszelakim zieliskiem, pełne śmieci i nieczystości. Było to miejsce zwane potocznie małpim gajem, gdzie miejscowi żule spotykali się na całonocne pijaństwa. Tam właśnie Waldek postanowił ze sobą skończyć. I tam znalazł go po kilku dniach, a właściwie wyczuł, pies, który biegał spuszczonej ze smyczy. Kumple zastanawiali się, czy Waldek długo wybierał gałąź, na której postanowił zawisnąć. Jego zachowania znamionowała przecież metodyczność. Wszystko zawsze przemyślał, zanim cokolwiek zrobił. Tak było przecież z odrąbaniem palców i wieloma innymi sprawami...

Coraz częściej stawałem się mimowolnym świadkiem tego, jak J. zapadał się w siebie. Z każdym dniem odchodził dalej, powroty stawały się coraz dłuższe i boleśniejsze. Wstępował w lustrzane odbicia swych rojeń, one zaś radośnie go przyjmowały, oczekując coraz to nowych pretekstów do dalszego śnienia. Myśli porzucone na manowcach nocnych przygód dziczały, stawały się wcieloną przypadkowością, która pomалу zastępowała relacje z otoczeniem.

Przestraszyłem się jego upadku, ale jeszcze bardziej przestraszyłem się wizji własnego upadku w przepaść. Dlatego oddalałem się od J. Coraz dłuższe przerwy w kontaktach ostatecznie przerodziły się w moje wieloletnie zobojętnienie. W moich oczach jego postać malała, stawała się obca. Zapętlenia czasu sprawiły, że zapomniałem o J. Spotkany przypadkiem wspólny znajomy na moje pytanie o J. oznajmił, że zginął zgnieciony pod kołami autobusu. Wypadek zdarzył się w Nowy Rok. Kilka godzin wcześniej pijany strzelał petardami własnej roboty.

Nieraz zadaję sobie pytanie, kim był J. Teraz wiem, że był tylko zbędnym słowem w opowieści czasu.

Robert Suwała

Katarzyna Turaj-Kalińska

Lampa z końskiej czaszki

PILNUJE MNIE KTO?

Włoskie słowo *saltimbocca* – niebo w gębie – musiał wymyślić ktoś, kto po raz pierwszy spróbował raków z kociołka zawieszonego nad ogniskiem palonym na kamieniach koło rzeki. Żadne kraby, langusty, homary nie mogą się z nimi mierzyć. Z ich różowością, delikatnością i tym smakiem, który nie daje się porównać z niczym, bo jest – wyłącznie – smakiem raków zjadanych na dworze przy powietrzu lekko zamglonym wieczorną wilgocią nadciągającą od rzeki. Kto wie, czy nie muszą się nań złożyć hojnie wszystkie zmysły, łącznie ze słuchem – czy smak byłby taki sam, gdyby nie szum wiatru w wiklinach i chęłbotanie wody na omszałych kamieniach?

Po moim podniebieniu do dziś snuje się jak dym, nie, raczej jak duch, a może po prostu jak Proustowska magdalenka, owa szczypta mięska rozplywająca się w ustach. Ktoś – może ojciec? – podał mi to na koniuszkach palców tylko jeden raz, nie pozwalając się nasycić, narozkoszować dostatecznie. Było jakieś: „Spróbuj, Kasiu!” – i na tym koniec. Resztę zżarli najwidoczniej sami dorośli, a mnie pozostał niedosyt na całe życie.

Myślę, że drugi kęs nie byłby już nigdy tym samym co pierwszy, więc dobrze się stało, że pozostał jedyny. Nie będę wystawiała na próbę tego wspomnienia. Nie mam zamiaru jeść raków, zwłaszcza od kiedy słyszałam, że podobnie jak homary muszą być gotowane żywcem, wydając przy tym przeraźliwe piski.

Byłam wówczas na wakacjach z obojgiem rodziców. Po raz pierwszy i zarazem ostatni. Miejscowość nosiła zabawną nazwę – Harkabuz. Matka lubiła wspominać, że to było na ORAAAWIE. Wymawiała tę Orawę jakby to był jakiś step za Uralem. Tymczasem widać ją z Babiej Góry. Rzeczywiście, słowo Orawa brzmi tak, jakby ścieliło się do stóp i płynęło mlekiem i miodem w ślad za rzeką o tej samej nazwie, zrodzoną z dwóch górskich źródeł: Orawy Czarnej i Orawy Białej, jak to zwykle u rzek bywa.

Wszystko to dźwięczy w uszach jak *Orawa* Wojciecha Kilara i przywodzi na pamięć legendy o pastuszkach i rusałkach.

Fot. Archiwum WMBP w Rzeszowie



Katarzyna Turaj-Kalińska

Podobnie jak Harkabuz – legendy o zbójnikach. Myślałam przez pewien czas, że w Harkabuzie jacyś wojacy w obronie miejscowego zamku palili raz po raz do zbójników z arkebuzów (patrz początek *Historii* Baczyńskiego: „Arkebuzy dymiące jeszcze widzę...”), czyli czegoś w rodzaju wczesnych muszkietów. Nic z tego. Żadnego zamku tam nie ma. Nazwa pochodzi od pierwszego sołtysa wsi, Bartłomieja Harkabuza, a skąd on wziął to wojownicze nazwisko, to już każdy sobie może dośpiewać. Najlepiej cienkimi a donośnymi góralskimi głosami, rozbrzmiewającymi tercjami jak skalne organy, na których gra wiatr.

Z wakacji w Harkabuzie, prócz wspomnienia niebiańskiego smaku raków, został mi maminy zachwyt nad tamtejszym krajobrazem – zapewne pięknym. Lecz ostatecznie niemal cały południowy kraniec Polski pogłębia człowiekowi oddech swą rozłożystą, falistą urodą, a samej Orawy znacznie więcej jest w Słowacji. Mam zdjęcie w kolorze sepii, na którym ubrana w kusy fartuszek z kieszonką biegnę z patyczkiem za stadem gęsi po wiejskiej drodze. Matka i ojciec po prostu piali: „Gęsiareczka! Gęsiareczka!”, i próbowali mi wmawiać, że sama z siebie pogoniłam ptactwo patykiem. Mieli oboje teatralną skłonność do wypatrywania, a w razie potrzeby do aranżowania rodzajowych scenek. Trele-morele. Pewnie wsadzono mi gałązkę do ręki i kazano podążać za gąskami, by można było utrwalić sielski obrazek w plenerze. Akurat by mnie wypuścili samą z domu. Akurat fotograf zdążyłby na czas!

Byliśmy tam ze znajomym aktorem i jego rodziną. Pan ów o artystycznym pseudonimie Solowski, zwany Fredziem od Ferdynanda, choć zdrobnienie pochodzi raczej od Alfreda, parał się fotografią. Może powinnam podkreślić, że u progu lat sześćdziesiątych XX wieku aparat fotograficzny był rzadkością. Posiadali go jedynie hobbysty, bo nikt nie mógł sobie pozwolić na bezmyślne marnowanie materiałów. Nie były tanie, a i wywoływanie zdjęć wymagało czasu i kasy. Najlepiej – własnej ciemni fotograficznej, kuwet i odczynników. Jak w *Powiekszeniu* Antonioniego, mniej więcej.

Fredzio Solowski zrobił w Harkabuzie sporo zdjęć. Na kilku z nich ja i jego córka Lala, nieco ode mnie starsza, puszczały bańki mydlane. (O Boże, po co stworzyłeś starsze koleżanki, czy specjalnie po to, żeby te młodsze musiały się czuć takie... małe?!) Było to zajęcie zawsze bardzo lubiane przez dzieci, ale znów – jak wszystko co dobre w tamtych czasach – rzadkie. Narzędzi do puszczenia baniek nie można było nabyć ot tak w kiosku w postaci plastikowego pudełeczka z płynem i kółeczkiem do dmuchania czy bardziej wyszukany dziurawy mieczem do machania. Trzeba było błagać dorosłych o zrobienie odpowiednich mydlin, co oznaczało marnowanie mydła w kostce i czasochłonne mieszanie. Potem słomka – też odpowiednia – prosta, mocna, stosownej długości. Na to w mieście nie było szans. Próbowałam je nawet wyciągać z maty na ścianie, ale miały za dużo kolanek, a przy tym były splaszczone i popękane.

Na wakacjach zawsze znajdowała się w pobliżu jakaś stodoła a w niej słomek pod dostatkiem. Przygotowanie to też była sztuka. Przyciąć prosto z obu

stron, nie powodując pęknięcia, rozdzielić koniuszek na czworo i podgiąć pod kątem prostym. Przy podginaniu nacięte koniuszki niemal zawsze odpadały i może za piątym razem słomka do baniek była wreszcie gotowa. Teraz tylko należało nauczyć dziecko zanurzania jej w mydliny nie za głęboko i nie za płytko. Pan Fredzio musiał być cierpliwy, bo zależało mu, żeby na zdjęciach Lali i moich wyszły nie tylko słomki, ale i bańki. I wyszły, bo był to dobry fotograf z porządnym na owe czasy aparatem.

Zmarnowałam większość jego pracy, kiedy już jako nastolatka zauważyłam, że na tych zdjęciach jestem w samych majteczkach. Wydało mi się to potwornym bezwstydem, choć w owym Harkabuzie nie mogłam mieć więcej niż trzy lata. Podarłam wszystkie fotografie z bańkami z wyjątkiem tych, gdzie widać mi tylko głowę albo tylko Lalę, która na swoje szczęście była ubrana w bluzkę. Ilekroć spotykałam w teatrze pana Solowskiego, zatrzymywał się i opowiadał mi – a przy okazji każdemu, kto się nawinął – o tym jak na wakacjach zbierałam w lesie jagódki do pudełka od zapalek. Podobno, gdy dorośli znikali mi wśród drzew, pokrzykiwałam raz po raz:

– Pilnuje mnie kto?

Tak więc znalazł się ktoś, kto przechował ten zupełnie przeze mnie zapomniany okruczeństwo dzieciństwa. Zawinął go w jedwabną szmatkę jak bezcenny kamień i przy każdej nadarzającej się okazji wyciągał z przepastnej kieszeni. Tak, tak, to było tam i wtedy.

Byłoby straszne, gdybyśmy byli zdani tylko na własną pamięć tak pełną luk. Na szczęście od czasu do czasu trafia się ktoś obcy, kto nas w porę podsłucha, zapamięta i będzie przypominał niestrudzenie z dobrodusznym uśmiechem. Kto nie zniekształci wspomnienia, jak to zwykle czynią członkowie rodziny. W ich wydaniu podobne opowieści zawsze bowiem dziwnie ewoluują, prowadzone na manowce ulepszeń. Na końcu okazuje się zazwyczaj, że wszystko było inaczej i że to nie my, lecz na przykład nasza matka była bohaterką historyjki w gruncie rzeczy wcześniejszej o ćwierć wieku.

Po Harkabuzie była Kasinka Mała, miejscowość letniskowa o bardzo akuratywnej nazwie. Wszyscy w domu dowcipkowali, że Kasia jedzie do Kasinki. Do podobnych wiosek wyruszało się z całym dobytkiem, bo wynajmujący część swojej chaty chłop nie był w stanie zapewnić niczego prócz twardych łóżek z gołymi siennikami z szarego płótna, z którego wystawały klujące żdźbła. Pakowanie odbywało się na Friedleina, w głównej bazie naszej egzystencji, gdzie obsługiwała nas babka, wożąc co jakiś czas tramwajem na drugi koniec miasta to prowiant, to znowu czystą bieliznę pościelową na zmianę z brudną, tam i z powrotem.

Dziadek załatwił furgonetkę, czyli małą półciężarówkę, do której powędrowały toboły – kołdry i poduszki zawinięte w szare wołokowe kocy, ściśnięte zgrabnie skórzanymi pasami. Czekał nas test książniczek na ziarnku grochu, toteż zabierano niebotyczną ilość pościeli. Do tego dołączano walizki, które w tamtych czasach robione były z solidnie impregnowanej tektury. Miały skórzaną uchwyty

i także narożniki, dziś można je zobaczyć wyłącznie w filmach i na fotografiach. I jeszcze w wielkich stosach w muzealnych gablotach obozów koncentracyjnych, do których więźniowie udawali się jak na wczasy, żeby utracić naraz dobytek, godność, zdrowie i życie.

Zabierało się także garnki i talerze poowijane w gazety. Wyjazd był po prostu jedną wielką przeprowadzką. Lecz dla dziadków, którzy w 1943 roku uciekali z terenów dzisiejszej Ukrainy i podróżowali w wagonach bydłących razem z płoszącymi się podczas hamowania końmi, takie przewożenie dobytku na wakacje nie było chyba ekstremalnym wyzwaniem. Przy każdej nadarzającej się okazji babka lubiła się chwalić:

– Ja się przeprowadzałam osiemnaście razy w życiu!

Całkiem możliwe, że ani trochę nie przesadzała, zwłaszcza, że liczba nie była okrągła. Z każdej strony byliśmy rodziną nomadów zawsze gotowych do zmiany miejsca. Już pradziadkowie Kalińscy jako administratorzy majątków ziemskich nie zagrzewali długo miejsca, gdy tylko zwąchali korzystniejszą posadę, a i przodkowie ojca urwawszy się ze wsi, wędrowali od miasta do miasta za pracę. Wojna wzbogaciła im repertuar o ucieczki i wygnania.

Bagażę zostały wyprawione furgonetką, a my z panią Helenką pojechałyśmy samochodem osobowym z inżynierem Wojtasem – kolegą dziadka ze spółdzielni geodezyjnej. Dziadziowi babcia stanowczo zabraniała posiadania auta, wujowi nie pozwoliła kupić modnego motocykla. Uważała, że to ogromnie niebezpieczne, podobnie jak mnóstwo innych rzeczy, które normalni ludzie robią codziennie bez zbędnych emocji.

Byliśmy rodziną nomadów ciężko wystraszonych.

Zabierało się także całą masę drobiazgów podręcznych. Wśród nich pewien sprzęt zapewniający komfort w każdej podróży sytuacji a mianowicie nocnik. Pan Wojtas do późnej starości wspominał, jak to musiał się zatrzymać, żeby można było ustawić dla mnie ten nocnik na poboczu drogi. Była to kolejna z rytualnych opowieści, które przechowują dla nas dawni znajomi, wyciągając z kieszeni przy każdej okazji jak kamyk zawinięty w jedwab: „Pamiętam, pani Kasiu, że gdy wiołem panią do Kasinki...”.

Inżynier Wojtas zaliczał się do żywych, rodzinnych fabuł niebotycznie podniecających wyobraźnię. Do tego wystarczy nawet niewielka liczba spotkań – czasami jedno w życiu. Nie widziałyśmy go przez lata, ale odezwał się do nas po śmierci dziadka. Napisał list kondolencyjny, w którym słał szlachetność Drogiego Starszego Kolegi i opisywał, jak ów Kolega życzliwie wspierał pierwsze kroki młodych geodetów. Ubolewał nad tym, że nigdy więcej nie zobaczy „wysokiej, lekko zgarbionej sylwetki inżyniera Kalińskiego”.

Już wtedy był to zanikający obyczaj. Pan Wojtas objawił się nam jako przedstawiciel zmierzchającej kultury przedwojennej, którą reprezentował także dziadek. Rodzina niby znała staromodne zalety dziadka, ale tak naprawdę jej zdanie się nie liczy. Młodszy kolega wystawił dziadziowi jakże pożądaną papierowy pomnik,

który oglądało się z satysfakcją przy każdym przypadkowym wydobyciu z szuflady: „O, popatrz, znalazłam ten piękny list pana Wojtasa o dziadku”.

Pod koniec życia stary znajomy zapragnął zawrzeć z nami nieco bliższą przyjaźń, zachęcony odłożonym kapitałem podziękowań i pochwał, jakie otrzymywał za swój list i opowieść o nocniku. Dzwonił kilkakrotnie do mojej matki i nawet chyba ją odwiedził. Za każdym razem powtarzało się potem długo jak mantrę: „Pamiętasz, jaki piękny list napisał po śmierci dziadzia?”.

Pan Wojtas w końcu przestał się odzywać i z jakiejś gazety dowiedziałyśmy się o jego śmierci. Może była to dobra okazja do odwdziżenia się przedwojenną kulturą jego rodzinie, ale nie miałyśmy pojęcia, dokąd skierować list kondolencyjny. Jego list znalazłam po śmierci matki w jednym z wielkich pudeł, gdzie zgarniało się i cenne pamiątki, i *de facto* śmieci. Papier zwiotczał i zwisa teraz z dłoni jak szmatka, toteż bierze się go w ręce z jeszcze większą czułością, jakby w obawie, że któregoś dnia wyleje się na ziemię i wsiąknie w nią na zawsze. Ale całkiem dobry, socjalistyczny długopis nie stracił nic ze swojej niebieskości, która dzisiaj jest już niebiańskością.

W Kasince Małej wdrukowało mi się raz na zawsze właściwe wszystkim mieszcuchom uczucie nostalgicznego zachwyty zjawiające się pod wpływem porannego piania koguta, ryku krowy domagającej się wydojenia, wieczornego kumkania żab na wyprzódki z tabunami polnych koników cykających w trawie. Gdziekolwiek się zjawi któryś z tych dźwięków – z telewizora, radia, komputera czy innego wirtualnego paskudztwa – od razu stawia na baczność wszystkie zmysły, każąc im odtwarzać rozkoszny stan ciała i umysłu związany z pobytem na wsi. Tamtej wsi, której już nie ma pomimo wysiłków różnych speców od agroturystyki. Wsi brzmiącej jak *Grantchester Meadows* Pink Floydów. Bo najwidoczniej wschód Europy nie miał patentu na sielskość.

Zamieszkałyśmy z panią Helenką w chałupie z błotnistym podwórkiem upstrzonym śladami kur, gęsi i indyczek. Prócz nas byli tam także inni letnicy, a mianowicie niejaka pani Zgutowa czy Zgudowa z wnuczkim Michałem, który po wakacjach wybierał się do szkoły, o pół roku wcześniej niżby wynikało z daty urodzenia. Diabli nadali te wszystkie koleżanki i kolegów z mojego rocznika, którzy z wyprzedzeniem rozpoczynali naukę! Zawsze się napatoczył ktoś taki, żebyśmy musiały na niego spoglądać z zazdrością.

Michał miał jednak poważną zaletę, a mianowicie był chłopcem. Wolałam bawić się z chłopcami, bo z dziewczynkami zawsze człowiek się prędzej czy później pokłócił i poobrażał na śmierć i życie. Poza tym przyjaźnieniu się z chłopcami towarzyszył specyficzny dreszczyk sentymentalny, nawet jeśli akurat nie było się ani trochę zakochaną. Musiał to być jednak odpowiedni i wcale nie tak często spotykany rodzaj chłopca – taki, który nie ugania się za piłką i nie recytuje bez przerwy marek samochodów albo typów samolotów.

Pani Zgutowa czy Zgudowa a może nawet Zgudtowa gadały z panią Helenką jak najęte – w końcu każda miała do opowiedzenia ponad pół wieku życia, nie

wspominając o obmówieniu wszystkich znajomych, co było na pierwszym miejscu. My z Michałem płataliśmy się im pod nogami, usiłując zorganizować sobie czas, co nie jest łatwe, gdy się chodzi na krótkiej smyczy. Nasze opiekunki miały taką wprawę, że upominały nas co chwila, nie przerywając rozmowy. Została mi w pamięci scena, gdy razem z Michałem i bez wątpienia także z panią Helenką jedziemy wozem w pole. Na koźle czy też raczej po prostu na poprzecznej desce siedzi dorosły syn gospodarzy. Zad koński kryguje się przed nami w płasach po nierównej drodze, po kamienistych wąwozach skręcających w dół na złamanie karku, a wiodących do rzeki, zapewne Raby. Taka jazda bez trzymanki stromym zboczem była naprawdę niebezpieczna – gdyby się ów wóz wywalił, przygniatając pasażerów. Ale to jakoś pani Helence do głowy, na szczęście, nie przyszło.

Michałowi pozwolono potrzymać lejce, ja też wywalczyłam ze trzy minuty tej frajdy. Możliwe, że była to moja pierwsza w życiu przejażdżka konnym środkiem lokomocji. Chyba że pierwsza była z dziadkiem, w Słomnikach koło Miechowa, gdzie przez czas jakiś prowadził pomiary. Jeździliśmy tam czasami starym pociągami z ławkami drewnianymi jak w westernach. Na maleńkiej stacji czekał na nas „interesant”, chłop pachnący ziemią i lodowatym wiatrem. W przetartym na brzegach szarym kaszkiecie na głowie – czy szorstkie ręce były w stanie tak go podziurawić? Koń ruszył, a dookoła rozniósł się jego zapach piękniejszy od zapachu kwiatów, no może z wyjątkiem maciejki. W takiej chwili w każdym polskim dziecku budzi się atawizm właściwy narodowi, który z końmi połączony jest odwiecznym braterstwem krwi.

Prrrrrrr! Tu należałoby na chwilę włączyć rozsądek i przypomnieć sobie, że cała Europa jeździła przez wieki na koniach lub nimi powoziła, a Polacy, choć byli dobrymi kawalerzystami, to przecież niejedynymi, dość wspomnieć Hiszpanów i Anglików. Azjaci są z końmi zrośnięci jak centaury – od Arabów po Mongołów. Hej, czy to nie po prostu ludzka rzecz od dziecka Ignąć do tego zwierzęcia i cieszyć się jego widokiem, i zapachem? Troszeczkę żal, że ludzkość musiała – lub wręcz chciała – z wozów i powozów przesiąść się do potwornych, cuchnących spaliniami na zewnątrz, a klaustrofobicznych wewnątrz pojazdów mechanicznych. Podobno czas już był najwyższy, bo miasta jak Paryż czy Londyn zaczynały tonąć w odchodach końskich i wynalazek samochodu pojawił się w samą porę. Cóż, mówi się trudno, jedzie się dalej – czym popadnie.

W pobliżu gospodarstwa w Kasince Małej znajdowała się cegielnia. Godzinami obserwowaliśmy z Michałem pracę tamtejszych robotników, zadziwieni wprawą i szybkością, z jaką chwytają szare, bezforemne błoto pomiędzy zgrabne deszczułki, by w parę sekund zamienić je w doskonałe prostopadłościan. Jeden ruch z przodu, z tyłu, z prawa i z lewa w wyraźnej zмовie z Pitagorasem, a od spodu już sir Izaak Newton czyni swą powinność, dyrygując wszechwładną grawitacją. I oto siła, która porusza planety, zniża się do tego, by dopomóc spłaszczyć od spodu dolną ściankę cegły, która wciąż nie jest jeszcze cegłą, lecz tłustym, lśniącem i miękkim kęsem gliny. Ostateczna przemiana kształtnych kęsów gliny w cegły dokonywała się

w piecu, dokąd wędrowały na czymś w rodzaju wielkich tac. Wychodziły stamtąd przeobrażone jak chleby po upieczeniu. Z szarych stawały się czerwone, pomarańczowe, czy też może – po prostu – ceglaste.

To wszystko, podobnie jak u stolarza, szwagra pani Helenki, odbywało się za pomocą wielkich, usmarowanych i nieco odrażających rąk, które zrezygnowały z własnej gładkości na rzecz wypuszczania przedmiotów bez skazy. Ich właściciele mieli ponure, z gruba ciosane twarze, odzywali się z rzadka gwarą, która wydawała mi się wówczas chorobą, kalectwem zdrowego, literackiego języka. Niekiedy obrzydliwie spluwali. Mimo to na ich pracę można się było gapić bez końca jak na cud – jeden z tak wielu niedocenionych cudów na tym świecie.

Próbowaliśmy, naturalnie, robić nasze własne cegielki z pomocą małych deseczek. Nigdy jednak żadna z nich nie była dostatecznie gładka i prosta, byśmy ośmielili się prosić o wypalenie jej w piecu. Były więc skazane na los odpadków walających się po podwórku, podobnie jak ambitniejsze wyroby ceramiczne. Miniaturowe talerzyki, kubeczki, miseczki. Prosiłiśmy słońce, aby je dla nas wypaliło, ale ono, rechocząc złośliwie, wysuszało je tylko tak, że rozlatywały się na kawałki. Robotnicy zwracali na nas tyle uwagi, co na podwórzowe koty.

Katarzyna Turaj-Kalińska

Fot. Marcel Nowakowski



Cypr, Ledra Palace Hotel, Zielona Linia ONZ, Nikozja

Teresa Tomsia

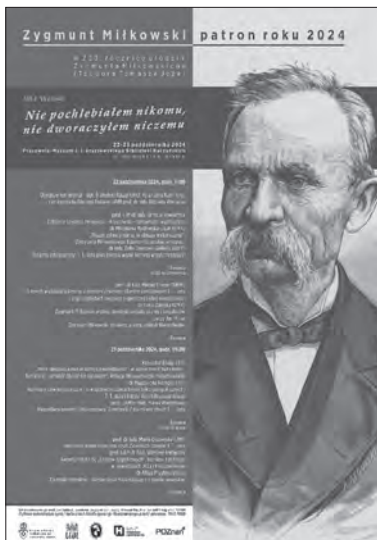
W pamięci, w odbiciu (14)

„NIE POCHLEBIAŁEM NIKOMU...”

Zygmunt Miłkowski (1824–1915) romantyczny emigrant z niepodległościowym rodowodem powstańczym, patron roku 2024 w dwustulecie urodzin, polski pisarz i polityk, publikował pod pseudonimem artystycznym Teodor Tomasz Jeż, czynnie działając przez całe życie na rzecz odzyskania przez Polskę wolności – na polach walki oraz w różnych organizacjach, stronnictwach i stowarzyszeniach, m.in. w Towarzystwie Demokratycznym Polskim. Urodził się na Podolu, przemierzył wiele krajów ścigany za konspiracyjną działalność wolnościową, zmarł w Szwajcarii. Jego najgłośniejsza broszura polityczna to *Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym* (Paryż 1887). Był to obok Józefa Ignacego Kraszewskiego autor mocno zaangażowany w pozytywne przemiany zniewolonego przez zaborców narodu, krytykujący konserwatyzm społeczny w swojej twórczości i nieustraszenie starający się o zjednoczenie emigracji wokół idei wyzwolenia.

Na cześć tego niezłomnego obrońcy polskiej tożsamości odbywają się w kraju sesje naukowe i wystawy, m.in. w Poznaniu w Pracowni-Muzeum J.I. Kraszewskiego Biblioteki Raczyńskich została zorganizowana konferencja poświęcona pisarzowi „Nie pochlebiałem nikomu, nie dworaczyłem niczemu”. W pierwszym dniu sesji naukowej 22 października 2024 roku wzięli udział badacze z kilku uczelni (prof. UW dr hab. Urszula Kowalczyk, dr Mirosława Rodowska-Lisak z UMK, dr hab. Zofia Dambek-Giallelis z UAM, prof. dr hab. Maciej Gloger z UKW, dr Ilona Zaleska z UMK, Jerzy Jan Miller). Omawiali *Sylwetę emigracyjną* (Lwów 1904) autorstwa Teodora Tomasza Jeża jako galerię barwnych postaci na emigracji, czyli oryginalne „tożsamości wychodźcze”.

Gospodarze sesji – prof. dr hab. Wiesław Ratajczak z UAM, dr Alicja Przybyszewska i Krzysztof Klupp z Biblioteki Raczyńskich zachęcali do dyskusji. Do rozmów o portrecie emigranta w literaturze współczesnej włączyły się wraz ze mną



autorki z wielkopolskiego SPP, Łucja Dudzińska i Elżbieta Juszcak – pytałyśmy, czy obecnie są na uniwersytetach podejmowane badania w celu opracowania wspólnego zbioru emigracyjnych sylwetek wybitnych osobowości. Z tym tematem należy się jednak zwrócić raczej do badaczy emigracyjnych środowisk XX wieku, bo nikomu z zebranych nie był znany choćby album *Homo homini res sacra* (2016) wydany na 40-lecie paryskiego Centrum Dialogu.

Ochrona polskiego dziedzictwa narodowego za granicą jest wieloraka, duże zaangażowanie wykazuje Kościół katolicki. Okazuje się, że Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti zamyka pierwszy etap działań w Tengeru, w Tanzanii, gdzie w czasie drugiej wojny światowej powstało osiedle polskich zesłańców, wędrujących z armią generała Andersa z Syberii. Wygnańcy zamieszkujący Tengeru pochodzili z terenów Tarnopola, Polesia, Wołynia, Lwowa, Wilna, Nowogródka, Białegostoku. Fundacja Salvatti, która od ponad roku jest partnerem odbywających się spotkań w paryskim Domu Pallotynów przy rue Surcouf, aktualnie pokazuje w telewizji „Republika” swoje działania dla pamięci o grupie uchodźczej w Tanzanii i prosi o pomoc w ocalaniu śladów polskiej historii. Tworzony przez dziennikarzy Dom Wolnego Słowa może się przyczynić do ożywiania pamięci o losach emigrantów skazanych na wygnanie z ojczyzny z powodu wojen, zaborów, biedy, społecznych waśni i być może zachęci korespondentów do szerszego prezentowania historii zesłańców.

Do porozumienia we wspólnej sprawie ojczyzny dążył właśnie Zygmunt Miłkowski – niezależny w myśleniu i działaniu. Żegnali go z szacunkiem na szwajcarskiej ziemi Ignacy Jan Paderewski, Henryk Sienkiewicz i przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych. Został pochowany w Lozannie na cmentarzu Bois-de-Vaux. Niech choć tych kilka słów nam go przybliży i jego autorska uwaga: „Wszak sylwety nie są to obrazy wykończone”.

Zainteresowanie losami naszych przodków prowadzi do głębszej refleksji i próby zrozumienia, kim dzisiaj jesteśmy, co jest dla nas ważne – pomaga zauważyć zagrożenia i zastanowić się, jak zapobiegać niebezpieczeństwom czyhającym z różnych stron, chronić ład i spokój przed napierającym pośpiechem prowadzącym do chaosu, poznawać granice wolności i sąsiedzkiej współpracy. Zapytałam o to w wierszu *Światy równoległe* napisanym 19 kwietnia 2024 roku – przytaczam fragment jako temat do dalszych rozważań i przypomnień:

Jest wciąż do przypomnienia nadzieja na spokojny świat, historie tragiczne wołających o wysłuchanie – polskie i żydowskie życiorysy wryte na skórze swastyka i cyrylicą przez (nie)ludzkie zagubienie w ideach niemających związku z prawdą ani z prawem zapisanym w Księgach. Czy przyjdzie kiedyś opamiętanie i przestaną płonąć domy z rękopisami mędrców, dziecięce lalki i tornistry porzucone

w ucieczce z ukraińskiej kamienicy, z palestyńskiego
wzgórza, z afrykańskiej wioski?

Wierszu, obejmij jednym czułym technieniem
wszystkie imiona zapomniane, zakopane w gruzach,
na popiół spalone – jesteście częścią naszego życia,
bez was nie wiemy, kim dzisiaj jesteśmy
i jaka droga jest dla nas właściwa.

Ogień i chłód, pamięć i tożsamość –
światy równoległe w naszych
pogubionych sercach.

W SZACUNKU DLA ODRĘBNOŚCI

Groby ludzi szczególnie szanowanych znajdują się pod społeczną ochroną. Odwiedzamy je w poczuciu wdzięczności za szlachetną postawę Tych, których wspominamy i podziwiamy za intelektualne i twórcze dokonania – jak Zbigniewa Herberta, także za drogę duchową opłaconą cierpieniem i przedwczesną utratą życia w męczeństwie – jak księdza Jerzego Popiełuszki. Dla ich pamięci organizowane są



Fot. Eugeniusz Toman

Twierdza księdza Jerzego. Warszawa 2010

Fot. Eugeniusz Toman



Grób Zbigniewa Herberta na
Powązkach,
Warszawa 2010

uroczyste liturgie, czytania, a co charakterystyczne, zebrani pielgrzymi trzymają dystans kilku kroków, żeby okazać szacunek dla odrębności i wybitnej indywidualnej drogi życiowej obu Patronów wolnościowej myśli solidarnościowej. Groby ich stają się jakby twierdzą, jaką zdobyli swoim poświęceniem życia dla wspólnoty – nikt już tam nie może wdrzeć się siłą, bo chroni je wyższa moc i chwala.

Ważna jest chwila skupienia przy grobie osoby, której postawę i dokonania podziwiamy, szanujemy, cierpliwie czujemy, jakbyśmy – zagubieni – przyszli po dobrą ojcowską radę, jak żyć. Samotna godzina na cmentarzu daje szansę uczestniczenia w sacrum i może stać się darem duchowym, jeśli nie potraktujemy tego spotkania turystycznie, lecz jako głębokie przeżywanie obcowania z kimś innym, kto miał odwagę uczynić więcej niż pozostali, kto nie lękał się myśleć o przyszłości inaczej niż większość ludzi podporządkowana egzystencjalnym wymogom, rygorom narzuconych przepisów i haseł ideologicznych ograniczających swobodę

myśli. Fragment z wiersza Zbigniewa Herberta *Pan Cogito szuka rady* mówi o problemie zagubienia i potrzebie poszukiwania właściwej życiowej ścieżki:

Tyle książek słowników
opasłe encyklopedie
ale nie ma kto poradzić

zbadano słońce
księżyc gwiazdy
zgubiono mnie

moja dusza
odmawia pociechy
wiedzy

wędruje tedy nocą
po drogach ojców.

Stojąc nad grobami bliskich i przyjaciół, ogarniamy często myślami wszystkich tych, których chcielibyśmy poznać bliżej. Nie wszędzie mogą dotrzeć znaki naszej pamięci: kondolencje, wieńce, świece, słowa współczucia. Istotne jest, że ocalamy we wspomnieniach wspólne przeżycia i działania, że doceniamy wybory

innych. Przemijanie to uniwersalny los człowieka i w tej sprawie na pewno stanowimy zgodną grupę, wspólnotę wędrującą w tym samym kierunku, przekraczającą granicę niemożliwego do zaakceptowania, a nieuniknionego w indywidualnym pojęciu przechodzenia „na drugą stronę”. W końcówce wiersza *Prześwit* ujmuję to w ten sposób, by uszanować osobne rytmy „dorastania” do tego tematu:

Każdy z nas w końcu dorasta do mistrzostwa
w pytaniach o sens odchodzenia, gdy usłyszysz
pierwsze takty sonaty Chopina w kondukcje
pogrzebowym z głośnika niesionego
przez ministranta, który człapie
w za dużych butach tuż za księdzem,
a jego pochylone plecy przesłaniają
niebieski prześwit.

Teresa Tomsia



Fot. Grażyna Zając

Cypr, uliczka Famagusty

O KSIĄŻKACH

Mariusz Kalandyk

ŚLADY HISTORII A ORFICKA ŚWIADOMOŚĆ LOSU

Bardzo możliwe, że największym dramatem dla człowieka jest utrata pamięci. Nie tylko tej związanej z chorobą i zawieszeniem dobrze do tej pory działających mechanizmów jej wykorzystywania, lecz także – a może przede wszystkim – pamięci bardziej rozległej, dotyczącej losu pewnej społeczności, organicznie wrośniętej w określone miejsce, w konkretny pejzaż. Tomik Marzanny Bogumiły Kielar *Wilki* z pewnością ten obszar ludzkiej tożsamości oraz skutki utraty poczucia ciągłości, bycia u siebie, związane z dramatami historii, wojną i przesiedleniami, czyni głównym składnikiem poetyckiej kanwy. Karol Maliszewski pisze w „Twórczości”, że w omawianym tomie „właśnie pamięć staje się problemem do poetyckiego rozpatrzenia”¹. Nie przypadkiem autorka

mottem swojego zbioru uczyniła cytat z poematu Aleksandra Wata *Sny sponad Morza Śródziemnego*². Interesujący nas fragment brzmi następująco: „Pełen jesteś po brzegi pamięci głosów, / głosy z domu, głosy z ogrodu, głosy z lasu, głosy / znad ciebie, przeminęły i trwają, i nie przeminą”.

Uściślijmy tedy: pamięć jest w *Wilkach* fenomenem, który organizuje główne energie tomu, a sposobem jej przejawiania się są ludzkie głosy; te, a nie inne. Głosy mające swoje twarze i niepowtarzalne biografie. Ludzka pamięć łatwiej potrafi je wtedy porządkować i próbować na tej podstawie tworzyć nowe sensy, ocalać przed okrucieństwem mijającego czasu. Jest w tej poezji zarówno nadzieja, jak i lęk. Sama autorka w obszarze sensów stara się jednak być dokładna, uczciwie redagować i racje, i intencje. Odsłania tym samym porządku innego rzędu, które będą mogły być zapisane. Jak pisze Wat: w owadach, kamieniach, jaskółkach, „w nicości wreszcie”. I w ciszy – „głosie pragłosu” (*Sny sponad Morza Śródziemnego*). Gdy więc myślimy o nadziei, wyzbądźmy się jej prostych unaocześnień. Gdy piszemy o lęku – nie bądźmy zanadto skłonni do tworzenia, narzucających się jako oczywiste, egzystencjalnych kontaminacji.

¹ K. Maliszewski, „Z żywej skóry nieba, z zapachu żywicy, z szarej wody jezior”, „Twórczość” 2024, nr 1.

² Por.: A. Wat, *Poezje zebrane*, Kraków 1992, s. 297.

Jeżeli zgodzimy się z tezą, że bohater liryczny tych wierszy ma zbiorowe oblicze, to kim jest podmiot liryczny? Jaka jest jego entelechia językowa i światopoglądowa? Po co istnieje? Pytania, które teraz zadaje, nie chcą być teoretyzowaniem. Odpowiedź na nie pozwoli bowiem zastanowić się nad problemem, w jaki sposób opisywany rodzaj uprawiania poezji przekracza to, co w prozie zwykliśmy nazywać dążeniem do epickości, tworzeniem szerokiego horyzontu zdarzeń i losów. W tomie Kiełar bywa to istotne, ale intencje główne mogą być inne; możliwe, że jest on fundowany na odmiennym zamiarze/celu estetycznym.

Podmiot liryczny bywa czasem głosem autorskim: opisuje na przykład ruiny „przyleśnego rumowiska” i jaśmin: „Jego cierpkie i słodkie nuty dodaje się często do perfum,/ gdzie tworzy nutę serca – myślę bez związku/ z dynamiką erozji”. Zaraz potem tworzy jednak obraz poetycki wyjęty z zupełnie innego porządku. W tym przypadku milczenie umarłych, którzy jednocześnie są istotami podwójnie wypędzonymi: z okolic serdecznych i z życia, jest „jak przewieszające się pędy krzewu owinięte żywą tkanką – [...]/ tworzy odkłady od rośliny macecznej” (*Jaśmin*, s. 44). Zapis ten, co charakterystyczne, ów podwójny status manifestuje i czyni składnikiem porównania; metaforyzuje rzecz całą na wyższym poziomie.

Piszę o tym dlatego, że wspomniane motto pochodzi, jak wskazałem, z ważnego poematu Wata, z jego ósmej, ostatniej części³. Sam zaś poeta wspominał o poemacie, przypominając o tym Józef Olejniczak, że jest on zapisem transgresji, przedstawieniem śmierci własnej w liczbie pojedynczej, w czasie teraźniejszym. W tym fragmencie pojawia się również: „frazą utożsamienia («powtórzenia») podmiotu Wata z Orfeuszem («A i ja pamiętam nazbyt dobrze / przygodę kogoś, kto mnie poprzedził.

O, nie w sól się obrócił, ale – / wieczne serca rozdarcie!») [...]». I – co ważne – cały wiersz skoncentrowany jest wokół spojrzenia Orfeusza, gest odwrócenia jest w nim [...] jako jednocześnie przeniknięcie sztuki poetyckiej i przeniknięcie tajemnicy śmierci”⁴.

Pamiętajmy o tym geście odwrócenia Orfeusza, czytając wiersze z tomiku *Wilki*. Owa transgresja wydaje się być równie ważna, co ślady pamięci. Rola podmiotu lirycznego jest istotna również z innych względów. Może się okazać, że Kiełar, podobnie jak Wat, w grze dotyczącej podmiotu lirycznego pragnie jego różnych form uobecniania się – jest tu przecież podmiot liryczny zbiorowy, indywidualny; podmiot wcielający się, poprzez nawiązanie zawarte w tytule, w obszary tradycji biblijnej, podmiot związany z liryką opisywą, podmiot oddający głos wielu bohaterom lirycznym; dużo tego. Ma bowiem podobny cel, co autor *Snów...* Wat wyznawał w autokomentarzu do tego poematu: „wcieliłem się mocą poetycką w duszę przeżywającą strach śmierci”⁵. Jest to więc rodzaj uświadomienia sobie nie tyle mitograficznych sposobów „zamawiania śmierci”, ile duchowego, ale i na swój sposób fizycznego tremendum, związanego z mieraniem – tragicznym, niezawinionym, pozbawionym wzniosłości, hańbiącym. Podobnych zdarzeń znajdziemy w zbiorze Kiełar wiele.

Tak więc pisanie o *Wilkach* napotyka na te same lub podobne trudności, które znajdowały się w poprzednim tomie Kiełar *Nawigacje* (2018). Mimo że autorka zaludnia w *Wilkach* obszar lirycznej narracji, czego we wcześniejszym tomie nie było, wciąż zadaje czytelnikowi te same pytania podstawowe, rozszerzając ich zakres. Nie umniejsza tragedii pojedynczych ludzi, tragedii, których bohaterkami były przede wszystkim kobiety. Jednocześnie – poprzez przywołane kobiece,

³ Por.: A. Wat, *Poezje zebrane*, Kraków 1992, s. 288–297 (całość poematu).

⁴ Por.: J. Olejniczak, *Lęki Jestem'u* [w:] *Prelekcje Mistrzów* Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2020, s. 33–34.

⁵ Tamże, s. 34.

a nie męskie, biografie – wydaje się dodatkowo wyodrębniać wątek duszy przeżywającej strach śmierci. Co ważne, tropem Wata, może i Wittlina⁶ oraz wielu innych, pragnie ożywić raz jeszcze, pełen rozpacz, gest Orfeusza, który ma odwagę pójść śladem ukochanej zmarłej – Eurydyki⁷. I wie, jak przerażający może być nowoczesny Tartar.

Czy wejściem do piekła są Mazury? W wielu przypadkach tak bywało. Marzanna Bogumiła Kielar owo zejście, katabazę, podkreślimy to mocno, czyni ważnym tematem swego ostatniego tomu. Niemalowo bowiem w *Wilkach* okrucieństwa. Sączy się z opisów sytuacji i przywoływanych obrazów, tworzy aurę codziennej potworności, wpisanej nieomal jak stan naturalny, w materię i ludzkie losy:

Nasz dom stoi do tej pory, to najpiękniejsze
[gospodarstwo. [...]]

Przyjechał urzędnik z Giżycka, chciał, żeby
[ojciec podpisał,
że nie będziemy tam mieszkać. Przyjechał już
[po tym,
jak mnie i siostry skatował milicjant, kiedy
[wróciliśmy
z wysiedlenia; krew żywa, moje plecy.
I ojciec podpisał.

(Powrót z wysiedlenia, s. 17)

Biegłam przez las, a oni leżeli między
[drzewami
porozbierani, pełno było
tych ludzi. [...]]

Na szyjach mieli krzyżyki, blaszki, łańcuszki,
niektórzy różaniec.
Nikt nie robił krzyża ani mogiły.
Tyle że sprzątnęli ich, żeby tak po lesie nie
[leżeli.

(Front, s. 25)

⁶ J. Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Kraków 2000.

⁷ Pamiętamy, że motyw Orfeusza jest wciąż niezwykle przekonujący dla wielu artystów, wydaje się uniwersalizować nasze lęki związane z piekłem XX i XXI wieku. Nie tylko te zresztą.

Jeden na brzegu leżał, krew z niego waliła
na porosty.

Długo to było widać, zanim zasadziliśmy
[wszystko

drzewami.

(*Las Emilii*, s. 26)

Opowiedziane zdarzenia mają charakterystyczny dla określonego typu przedstawień wyraz językowy. Formułują je świadkowie, którzy przez lata przechowywali w pamięci opisywane fakty. Relacjonujący, odarty z metafor sposób przedstawienia jest nie tylko próbą zachowania lirycznej i na swój sposób dokumentalnej wierności. Nie jest również *licentia poetica*, będącą sprawdzoną, jak dobrze wiemy, matrycą stylistyczną. Jest w owych przedstawieniach coś wyraźnie innego. Werystyczne nachylenie poezji Kielar wielu odnajdywało już we wcześniejszych wierszach. Wydaje się, że rozumienie intencji ukrytych w utworach z tomu *Wilki* będzie możliwe do eksplikacji wtedy, gdy potraktujemy okrucieństwo nie tyle jako znak określonych geograficznie i historycznie czasów, bo to oczywiście, ile jako kategorię estetyczno-filozoficzną.

Nie zamierzam podważać spraw pierwszoplanowych. Tak – powtórzę jeszcze raz – wiersze Kielar są swoistą kroniką Mazur i czasów, które zniszczyły określone ludzkie społeczności i ich kulturę. Są znakiem pamięci w rozumieniu historycznym i psychologicznym. Zapisują ważne dla zranionej pamięci ludzi tam mieszkających, długo przemilczane rachunki krzywd i świadectwa traum wynikłych z niewyobrażalnego cierpienia. Są świadectwem lojalnej i czulej autorskiej świadomości.

Gdy jednak weźmiemy pod uwagę wątek równoległy tej lirycznej opowieści, to, co znalazło się na pozór poza głównym tematem dyskusji, może zasadniczo zmienić nasze czytelnicze nastawienia. Mam na myśli nieustannie obecną, wpływającą w różny

sposób na ludzkie losy, a jednak pod wieloma względami osobną – naturę. Ludzie w tym ujęciu przypominają „miał niesiony w spąg historii”. Notabene spąg w języku kaszubskim oznacza brzeg, spływ wody, zaś w znaczeniu geologicznym powierzchnię warstwy oddzielającej ją od warstwy starszej. Wszystko to pokazuje ów uniwersalny, geologiczny, wielowiekowy mechanizm:

*lód napiera, szarżuje,
zdiera żywą materię z dolin, ze wzgórz, orze
w ukrwionej glinie.*

*Wtedy śniegi jabłoni jaśnieją dla nikogo [...].
Blisko kamienia leżą szczątki ich przesiedlonego życia.
[Nocna martwica utrwała je w sobie –
jak muszle ślimaków [...]]*

(Kamień, s. 21–22).

To nie dawanie świadectwa istnienia ludzi jest w *Wilkach* jedyną intencją, a – równolegle – świadomość daremności tego wszystkiego: owej krótkotrwałej obecności skazanej na zniszczenie. Wiersze z ostatniego tomu Kiełar co prawda nie są bezładne, ale nieustannie bezładność projektują. Zapowiadają. I chociaż sugestie dotyczące tego, jak się sprawy mają naprawdę, są dyskretnie pochowane za wyrazistymi obrazami ludzkich losów, w ostateczności najwięcej do powiedzenia ma tu ktoś inny niż człowiek. Co i rusz bowiem natrafiamy na fragmenty opisujące, na różnym poziomie owego zjawiska, nieusuwalną cykliczność zdarzeń oddających człowieka w posiadanie determinizmu czasu i natury. „Každy z tych domów – tymczasowa siedziba trwałości”, notuje liryczny komentator. W tytułowym geście *Emilia przywiązuje żółte kwiaty* (s. 27), mniejsza z tym, jaka jest ich botaniczna przynależność, we wciąż powtarzanym cyklu zajęć. Stanisław, mąż Emilii, umiera i trzeba go, zgodnie ze zwyczajem, zapiąć na ostatni guzik.

Na mazurskim cmentarzu, a raczej jego resztkach, umarli, choć odeszli pół wieku temu – umierają po raz drugi w błocie zapomnienia i mule chwastów. Netlickie Ba-

gno znów jest noclegowiskiem dla tysięcy przelatujących żurawi, a z nawarstwień pyłków roślinnych możemy się dowiedzieć, że dawni gospodarze tych ziem – Prusowie – tylko w kilku procentach wykarczowali na własne potrzeby stary las. Poemat kończący tom, poświęcony im właśnie, stanowi przejmujące podsumowanie tego wszystkiego, czym są losy narodów, plemion, jednostek w toczącym się nieustannie dramacie natury i historii.

Owo splątanie wzmacnia jednak sąd, że jedynie żywioły losu, przyrody i czasu wyznaczają koleiny życia kolejnych ludzkich i zwierzęcych pokoleń. Pewna jest tylko przemienność, pewne są determinizmy wyznaczające poszczególne byty z koła istnienia; pewne jest wreszcie okrucieństwo owych mechanizmów. Stąd tytułowe wilki. To one stają się w porządku odczytywanych sensów nie tyle znakiem pierwotnej dzikości, ile przede wszystkim słowem kodującym naturę istnienia wszystkich żywych istot i ich przeznaczeń (por. wiersz *Wilki*, s. 14–15). Nasze skargi, piękne słowa, zaklinanie losu poprzez sztukę, heroizm – przypadkowy lub zadekretowany – są zaledwie kolejnym, ciężącym ku anonimowości, elementem odwiecznej, znaczonej krwią historii przemijania.

Ciekawą i odmienną rolę pełnią w tych opowieściach rośliny. Są istotami „pomiedzy”. Uwikłane w te same relacje, mają chronić, co tylko się da. Czasem maskować okrucieństwo faktów, czasem ratować poranioną pamięć i leczyć tęsknotę. Być może również, jak mak w ogrodzie Jadwigi, są znakiem powrotu do życia. Wszak to z nim, potężnym, Persefona wracała z zaświatów (*Poniemiecki ogród Jadwigi wypędzonej z Grodzieńszczyzny*, s. 7–8). Rośliny przydomowe łączą świat podziemny z żywymi, ustanawiają ścieżki pocieszenia, są – podobnie jak drzewa – nadzieją na istnienie czegoś bardziej trwałego, „tamują upływ pamięci”, ułatwiają datowanie zdarzeń odległych, którym grozi zapomnienie (*Modrzew*, s. 35).

I właśnie w tym miejscu splatają się wspomniane dwa obiegi sensów – kulturowy i biologiczny. Opowiedziane historie, choć w kilku miejscach stanowią próbę mitologizacji zdarzeń zapamiętanych przez jeszcze żyjących, w gruncie rzeczy zapisują najbardziej przerażający aspekt ludzkiego istnienia – bycie na granicy zagłady lub towarzyszenia innym i obserwowanie ich śmierci. Jest to znaczące rozróżnienie, stanowi bowiem opisanie grozy w trakcie jej trwania – *in statu nascendi*. Staje się próbą możliwie optymalnego zbliżenia poprzez język do sytuacji granicznej po to, by oddać nie tyle jej realizm, ile zagadkę fenomenu przejścia, upadku w nicość.

Poetka wydaje się przeciwnie, że zbyt ostentacyjne posłużenie się matrycą mitograficzną wytworzy dystans i może doprowadzić do emocjonalnego podważenia wiarygodności jej artystycznego zamierzenia. Stąd posłużenie się cytatem z poematu Wata, stąd jeszcze tylko jednokrotne odwołanie się do mitologicznego sztafetu. Mam na myśli wspomniany już topos Persefony, królowej zaświatów, wracającej do żywych w cyklicznych nawrotach umierania i życia. Kult Persefony, jak pamiętamy, był ważny dla orfików. *Wilki* nie tyle przypominają dawne misteryjne tradycje antycznej Grecji, ile – poprzez dyskretne ich przywołanie – próbują odnieść nasze style życia: coraz bardziej banalne, spłaszczające duchowy obraz naszej humanitas, do kontekstów mniej oczywistych, choć niedających ukojenia, raniących. Przypominają o naszych ostatecznych przeznaczeniach.

Czy można znaleźć nadzieję w ostatnich wierszach Kielar? Odpowiedź nie jest prosta. W *Nawigacjach* w ogóle jej nie widziałem. W *Wilkach* także jest jej niewiele. Może nią być powtarzana sugestia, że nie wszystko stracone, a w ogarniającej nas coraz bardziej pustce, pokusie nihilistycznej „starego stylu”, warto jeszcze raz zaufać słowom. Zdać się na słowa. Słowa, które – jak w poemacie *Prusowie* – przepadły w pomroce czasu, ale mogą

być odzyskiwane w codziennych rytmach wyznaczanych przez Słońce. To ono bowiem „ostrzy rysie pazury słów, których nikt nie zapisał” (s. 50). Tylko tyle i aż tyle.

Mariusz Kalandyk

Marzanna Bogumiła Kielar, *Wilki*,
Wydawnictwo Znak, Kraków 2023.

Bartosz Suwiński

PODTRZYMUJĄC WIĘŻ Z CIENIEM

Nowy, szósty w dorobku, tom wierszy Joanny Matlachowskiej-Pali przynosi potwierdzenie dotychczasowych ustaleń dotyczących poetki. Fraza jej poezji jest spokojna, emanuje łagodnością. Poetka nie ściąga się z modami, ufa w sens słowa wracającego do swojej macierzy. Pierwszy utwór jest apostrofą do książek, które zaczynają żyć i pulsować znaczeniami w kontakcie z cudzą wrażliwością. Lektury postrzega się jako szansę na pogłębienie doświadczenia i kumulację wiedzy, pozwalające lepiej orientować się w rzeczywistości. To również inicjujący odbiór całości program poetycki, zakładający, że literatura (a poezja w szczególności) pozwala na rezonowanie wewnętrznych poruszeń, daje szansę na osiągnięcie równowagi.

Poetka mówi, aby nie bać się żyć po to, by czytać; być może jest to jedyny sposób na poszerzenie swojego punktu widzenia. Cudze teksty stają się szansami na poznanie wyprawy, z których wracamy odmienieni. Autorka *Mostu dla motyla* docenia wagę ciszego, możliwości, jakie ona niesie. Pory roku, zwłaszcza jesień, wnoszą swoją aurę pozwalającą porządkować intymny alfabet. Nastrój utworów tomu *W chmurach światła* ma coś z mgły, zacierającej kontury rzeczywistości,

by móc wciąż pytać o jej kształty i formy. Bohaterka tych ulotnych wierszy wpisuje swoją obecność w niki światła, ledwie wydobywające kontury przedmiotów. Spaceruje, ulegając zmierzchowi, kiedy wszystko staje się mniej oczywiste, a słowa wydają się zbędne.

Wdzięczność to postawa, której sprzyja poetka. Małe śmierci odciskają swoje ślady na krajobrazie, pojedynczych rzeczach, od których zaczyna się detalizowanie widzeń i przywidzeń. Senne pasma paraliżują spojrzenie, odkształcają realność w jej rewers. Wszystko powolnie niknie i przepada tak, że pozostajemy z niedosytem, niepełnością wrażeń. Z głodem, który nasyci kolejną porą roku.

W wierszu *Elegia dla niej* trafiamy na wers: „Żyjemy karmiąc się pustką”. Tak łatwo i szybko rzeczy obracają się wniwecz. Na nic nasze zaciekle oponowanie wobec kolei losu, z którymi lepiej się zawczasu jakoś ułożyć. Pogodzić z tym, co konieczne i nieodwołalne. Może taka postawa przyniesie w ogólnym rozrachunku nieco więcej ukojenia. Nie ma się gdzie skryć przed naporem nieuchronnego. I ta bolesna wiedza musi stać się szansą na bycie bardziej świadome, a nawet pogodne. Poetka postuluje, aby nie stawiać oporu temu, co i tak musi nadejść. Mniej szarpnięcia, a więcej zrozumienia, które w końcu niesie pokój.

Delikatna nietrwałość wspomnień nie narzuca się, ale pozwala na reminiscencje, próbujące wytłumaczyć prowizoryczną ciągłość, w którą jesteśmy wpisani. Wszystko ma swój rytm i tempo, a kolejne wiersze tomu się z tym obserwacjami rymują. Są jak szkatułki w których można przechować fragmenty przeszłości. Zostawić je sobie, pozwolić innym przeglądać się w ich chyboliwych granicach. Po każdej śmierci rodzi się na nowo, przypominamy dym snujący się przez chwilę, będący znakiem czegoś intensywnego – płomienia, gorąca. Na przekór naszym lotnym piaskom próbujemy je zbijać w twarde grudki ziemi. Są bowiem takie mo-

menty, kiedy stałość i pewność rozsypują się i nie potrafimy ich w sobie odnaleźć. Czy jest dobry czas na domknięcie ostatnich spraw? Kiedy mija to, co jest? Dlaczego zaraz tego nie ma? I co z tym począć?

Poetka życzy nam światła w chmurach. Prosi świat, aby jeszcze pozostał. Nigdy nie jest za późno na takie wyznania. Zawsze pozostaje radość ze spotkania, jakkolwiek je definiować i rozumieć. Przeczytajmy wiersz tytułowy *W chmurach światła*:

*koniec smyczka przesuwają obłoki rysuje wzory
niesłyszalny akord podrywa ptaki
na skrzyżowaniu współrzędnych tego popołudnia
a może pięciolinią nut dziecko zauważa ptaki
mężczyzna który przypadkowo jest poetą
schodzi nad rzekę z psem
mężczyzna który przypadkowo jest rzeźbiarzem
podjeżdża na rowerze
pies chwilę łasi się do nas i odchodzi
gdy utrwalamy cały ten przypadkowy koncert*

Wiersze Joanny Matlachowskiej-Pali to ciche elegie wpisane w kolejne pory roku z przewagą jesieni. To poezja bez fałszywego tonu, próbująca ocalić zachwyt i zmieścić w sobie smutek i żal po stratach, którymi znaczone są nasze biografie. Poetka wyczulona jest na przemijanie, zdaje sprawę z kolorytu efemerycznych chwil, wraz z którymi wyparowują cząstki nas. Odchodzenie jest wielkim tematem tych mądrych wierszy zorientowanych na to, co znajduje się wokół nas. Świat drobnych zdarzeń jest być może jedyną nadzieją w rzeczywistości polegającej na umieraniu. Liczą się pojedyncze gesty i słowa, widok zastygający pod powieką, dotyk czegoś konkretnego, zapach rozpadający się za rogiem, filiżanka z kawą.

Choć ta poezja dotyczy spraw najbardziej istotnych, głos poetki jest ściszony, dostoyny, akceptujący niewzruszone okoliczności życia i śmierci. Zostają słowa powoli wsiąkające w zachody słońca. Rozczarowania i żale zalegające tak, jak niewypowiedziane w porę słowa. To wyważona poezja o filozoficznym zacięciu, akceptująca to, co nieuchronne.

Jak czytamy w wierszu *Zmierzch*: „Ty mnie osądz od źródła do ujścia / wydobądź ze zmierzchów / ode mnie uwolnij”.

Bartosz Suwiński

Joanna Matlachowska-Pala, *W chmurach światła*, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezrzecze 2024.

Tomasz Pyzik

INNE ODCIENIE MATERII

Martwy gołąb to siódmy tomik poetycki w dorobku Bartłomieja Siwca. Zbiór otwiera wiersz tytułowy, co przykuwa uwagę, gdyż spodziewamy się utworu, który niesie w sobie treść mającą dla autora szczególnie znaczenie. Przeniesienie tytułu wiersza na całą książkę jest niewątpliwie ważnym zaakcentowaniem konkretnego utworu, stykamy się bowiem nie tylko z kompozycyjnym powtórzeniem, lecz przede wszystkim z poszerzeniem znaczeniowego obszaru oddziaływania na odbiorcę.

W inicjalnym liryku bydgoski poeta namawia do namysłu nad czymś więcej niż martwe ciało gołębia. Podmiot obserwujący zdaje się docierać do głębszej warstwy bytu, który kryje się poza naoczny ogląd rzeczy. Epitet przypisany tytułowemu gołębiowi odnosi się zatem tylko do jego fizycznej istoty, która nie wyczerpuje duchowej odsłony życia. Gołąb staje się symbolem stworzenia oraz obiektem swego studium przypadku mającego zobrazować nieprzystawalność tego samego bytu z perspektywy drugiej przestrzeni. Wszechwiedzące liryczne „ja” widzi oczywiście martwego gołębia, ale widzi go także po innej stronie, w której tytułowy ptasi bohater wciąż żyje swoim, lecz niewątpliwie innym życiem.

„Martwy gołąb nie wie, że jest martwy” – czytamy w pierwszym wersie. Martwe jest jedynie jego ciało pozbawione tego czegoś, co „uleciało”. Co to mogło być? Dusza? Jeśli tak, to można usłyszeć w tych współczesnych wersach dalekie echo średniowiecznej pieśni *Dusza z ciała wyleciała*, a gołąb staje się symbolem ludzkiej duszy będącej już w innym świecie, w którym martwe ciało nie jest ważne, gdzie się „szybuje w górę, / sprawnie przecina powietrze. Przelatuje, wiruje / przyprowadza innych o dreszcze”.

W taki właśnie, zmetaforyzowany sposób Bartłomiej Siwec przedstawia się nam jako poeta metafizyczny, a pełnię swego artystycznego *dossier* odsłania w poruszającym moralnie wierszu *Elizjum*. W jednym z fragmentów nawiązujących do *Przestania Pana Cogito* autor napisze, zwracając się do czytelnika i samego siebie: „Powołano ciebie do doświadczenia meta”. I dalej kontynuuje w charakterystycznym Herbertowskim imperatywie: „Nie rezygnuj, idź”. Z czego nie należy rezygnować? Jakim wartościom trzeba być wiernym? Poeta wyjaśnia to w innych fragmentach utworu, gdy daje, być może, najważniejszą radę, jaka wynika z dydaktycznego wymiaru jego poezji: „Przetrawasz, gdy zrozumiesz, że to, co niepojęte, ma głębszy sens”. Wymienione następnie sytuacje graniczne mogą być przykładami stojącymi za oniemiałym *To Czesława Miłosza*. Zaimkowe wskazanie dotyka egzystencjalnych zdarzeń, które owocują spotkaniem nienazwanego. Skrywa się w nich poznanie czegoś, czego się spodziewamy, o czym wiemy, że istnieje, ale znajduje się poza aktualnym doświadczeniem, w transcendentnym wymiarze bytu. Śmierć kogoś bliskiego jawi się właśnie jako moment spotkania dwóch przestrzeni, nachylenie ducha ku Innemu. Autor *Martwego gołębia* rozwija tytuł Miłosza poprzez konstatację: „To doświadczenie eschatologiczne”.

Śmierć i rzeczy ostateczne przenikają swą nieskończoną otchłanią najnowsze utwory

Bartłomiej Siwca. Jednym z najciekawszych wierszy tomu jest *Partia szachów*. Poeta nawiązuje w tej ekfrazie do znanego z wielu obrazów przedstawienia *memento mori*, gdzie śmierć gra z człowiekiem w szachy. Wprowadza do tekstu kwestie dialogowe, nawiązuje do średniowiecznej *Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*. *Partia szachów* jest więc swoistą „Rozmową Mistrza Bartłomieja ze Śmiercią”.

Tematyka śmierci jest w tomie *Martwy gołąb* przedstawiona także w sposób groteskowy. W utworze *M1* komizm miesza się z tragizmem. Autor w różnorodny sposób przypomina współczesnemu człowiekowi o pokusach i marności świata, wytyka próżność i zabieganie o rzeczy w ostatecznym rozrachunku nieistotne. Wykipta moralny liberalizm, polityczną poprawność, aksjologiczny relatywizm, tolerancję wszystkiego. W tym względzie nie musi szukać natchnienia. Wystarczy, że w wierszu *Respect – oświadczenie Polki, która na weekend przyjechała do kraju na pogrzeb taty* odda głos anonimowej Polce.

Rozmyślenia nawiązują wprost do dzieła Marka Aureliusza. Skłaniają do refleksji nad skutkami konsumpcjonizmu, przedstawiając żale podmiotu lirycznego nad przegranym życiem. Nieudana historia lirycznego bohatera kieruje uwagę na odmienną, stoicką ścieżkę życia prowadzącą do prawdziwego szczęścia. Dla Siwca ważna jest także filozofia Platona – uwspółcześnioną wersję jego mitu o jaskini znajdziemy w utworze *Cienie*. Ta liryczna parabola zawiera krytykę postaw i celów niszczących człowieka, a jednocześnie subtelnie ukierunkowuje go na „inne odcienie”, na rzeczywistość wybiegającą „tam”.

Pogłębione, autorskie widzenie świata, wysublimowana ironia oraz wrażliwe i świadome przeżywanie swego istnienia jako zanurzenia w tajemnicy bytu to cechy, które sprawiają, że charakterystyczna, rozpoznawalna liryka Siwca staje się dla czytelników narzędziem wychwytywania „innych

odcieni”. Przeblyski Innego, które dobiegają z wersów bydgoskiego poety, utrwalają w nas poczucie istnienia absolutnego dobra ponad zmiennością rzeczy, upływem czasu, absurdami nowoczesności i złem wojny. „Chciałbym, żebyś była zawsze” – powie do bliskiej osoby bohater liryczny w dramatycznej chwili przedstawionej w wierszu *Po masakrze w Winnicy*. Poezja autora *Martwego gołębia* pokazuje, że to ludzkie pragnienie zrealizuje się w przestrzeni nieśmiertelnego ducha, który przebija do naszej rzeczywistości poprzez nieprzypadkowe asocjacje lub niepoddające się upływowi czasu wspomnienia.

Bartłomiej Siwec udowadnia, że jest poetą powołanym „do doświadczenia meta”. Potrafi bowiem z marności świata wyłuskać inne odcienie materii, które – jako zwiastuny kolejnych odsłon istnienia – będą się odbywać się już na scenie oświetlonej wiekuistym światłem pokoju.

Tomasz Pyzik

Bartłomiej Siwec, *Martwy gołąb*,
SPP O/Wkp. & FONT, Poznań 2024.

Ryszard Mścisz

SMUTKI UBOCZNE

Hiszpańska lalka z miękkim brzuszkiem i szeregiem funkcji, które dają jej sztuczne życie z wiersza *zmruż*, wydaje się dobrym impulsem wejściowym zbioru Izabeli Poniatowskiej *papier nożyce*. Patrząc z odautorskim ironicznym dystansem na tę atrakcję osoby, żywej jednostki, mamy odczucie deprecjacji snów i marzeń: „ale nie potrafi ich wyrzucić (jak na ironię) za horyzont zdarzeń”. Poezja Poniatowskiej nie przynosi linearnych, uporządkowanych i skodyfikowanych sensów i przemyśleń – jeśli ich nośnikiem miałby być „papier”, to „nożyce”

je defragmentują, dezintegrują (odnosząc się do tytułu zbiorku i – w mniejszym zakresie – tytułowego wiersza). Wyłowienie ogólnych przesłań, sedna metafor, skojarzeń ze słownej materii poetyckiego świata daje częściowe wyobrażenie o istocie poezji autorki debiutanckiego tomiku, bo przecież pomija sposób jej konstruowania – z często chirurgicznym „docinaniem” słów, niedomówieniami (jak w wierszu *ucieranie*, który ma jakby początek i koniec, bez „wypełnienia”), lingwistycznymi gramami i migracjami znaczeń.

Poczucie zależności, niesamodzielności, ograniczenia przez innych i samoograniczenia (często będącego ich pochodną) daje się zauważyć w wielu wierszach, najdobitniej zaś chyba wybrzmiewa z nieco dłuższych, bogatszych treściowo utworów *pan* i *pani sprzątająca*. W pierwszym utworze mamy skondensowaną historię dominacji: wprowadzenie się do domu i władczość pana, jego nakazy, ograniczenia. Odpersonalizowany początkowo pan to uosobienie władcy, dominatora. W dalszej części poznajemy jednak pewien kontekst, indywidualną „przedpańską” historię: uratowany, podlegający długiej opiece, zapomniany zupełnie o kimś, kto go ratował i poświęcał się dla niego. Prowadzi to do mądrej, wymownej konstatacji: „ile czasu minęło od śmierci do narodzin/ pana”. Drugi wiersz ciekawie łączy stronę formalną z wymową, sytuacją podmiotu mówiącego – tytułowej pani sprzątającej. Defragmentacja słów, przenoszenie ich części do kolejnych wersów dają efekt jakby jąkania się, niedomawiania. Bohaterka liryczna jest niejako ubezwłasnowolniona w blasku gwiazd: „tną mi gardło/ jak surikeny/ gdy ośmielę się/ spojrzeć w noc// lecą lecą/ z prędkością”.

Uzależnienie, poddawanie kontroli, ograniczenie wolności łączy się już z okresem dzieciństwa, młodości. W wierszu *kolonie* chęci uwolnienia się, „wyskoczenia/ oknem w gwiazdy” towarzyszą męki „nieoswojenia”, tęsknota za wolnością, wyrwaniem się spod kontroli i prowokacyjny plan na bunt: „tłuc łbem w ścianę/ niby z tęsknoty/ za ma-

mątatą”. Tego rodzaju odczucia widoczne są także w wierszu *ojczenie*, w którym ojciec wręcza podmiotce lirycznej wędkę, narzuca zajęcia (podczas gdy on pragnie „morza”, „ryby”). Ciągłe wędkowanie przez życie z nauką ojca, jego wędką – swoiste złapanie na wędkę – to kwintesencja jego losu. Tytułowe „ojczenie” jest odpowiednikiem niańczenia nawet po rozstaniu, bo ciągle bywa, że „figura ojca przemówiła zza ściany/ słowem szeptem”.

W utworze o symptomatycznym tytule *osoby zależne* mamy dwie bliźniacze osoby i ich charaktery. Zależność, wymiennosc, problem życiowych wyborów (i ocen postaw) zaznaczone są dobitnie także poprzez warstwę formalną, z istotną rolą przerzutni, migracjami znaczeń, dwuznacznością i wymownością słów (krzyżyk na czole jak cel do strzału). Inaczej wyalienowanie i osaczenie przez innych wybrzmiewa w wierszu *creui ortographiam*. Wywołujące „smutki uboczne” częściowe (niejako zlągłone przez oddziaływanie *Przystanku Alaska*) odrzucenie wszelkiej odmienności i inności („bezsenników bezdzietników artystów ateistów”) to domena świata, który bywa jak „sklep z pomyłkami”.

Nieco inny rodzaj uzależnienia od innych dostrzegamy w utworach odnoszących się do realiów szpitalnych, chorobowych – jak choćby w wierszu *przepływy*. Bohaterka liryczna jest pozszywana po operacji, ale źle – tak, że trudno zlokalizować ból i jego istotę. Oddaje swój stan, odczucia następująco: „ściągnięta w przecinek/ tonę/ między parterem partnerem piętrem”. Odrzucenie ma także wymiar twórczy, związany z oceną poetyckich dokonań. W wierszu *złoci* widoczne jest poczucie niedocenienia, lekceważenia twórczości i hołubienia, promowania „złotych chłopców” („jesteśmy w końcu z innych krajów”). W mającym charakter autotematyczny wierszu podmiot mówiący ukazuje, z gorzką ironią, mechanizmy panujące na rynku wydawniczym, fakt promowania mężczyzn (być może pewnej grupy spośród nich, mającej siłę przebicia).

Utwór w *narkozie* ukazuje zaś jeszcze inny (choć w pewnym sensie „żeński”) rodzaj odrzucenia, odrzucenia dokonującego się w scenarii szpitalnej. Ma on charakter wieloznaczny, zdeintegrowany można rzec – wszakże „w narkozie rwie się/ opowieść”. Powtarzająca się konstatacja (i życiowa historia zarazem): „ciąża mnoga/ to zawsze patologia” łączy się z poczuciem jakiegoś zwyrodnienia, „pchania się na świat”. Mamy tu nadto swego rodzaju wyrok i szczęśliwy finał: odwrócenie złej chorobowej wróżby („dziedziczne” powtórzenie dobrego finału po latach). Syta prawda ziemi, wążanie miast karmienia się nią – to wymowne, obrazowe impulsy, pojawiające się w wierszu *rozczarowanie*. Daje tu znać o sobie wstyd, który rodzi się jako pochodna życia erzacami, jedynie dostępnymi dla podmiotu mówiącego (wsłutek samoostrzegania się) dawkami. Robienie czegoś, dokręcanie, praca „mętna”, nieokreślona to poniekąd dopełnienie tego stanu, o którym mówi utwór *Wi. Stanu*, który rozciąga się na zasadzie kontrastu między pozytywnym, inicjalnym „lubi” a finalnym „bole”.

W obfitującej w tropy semantyczne i skojarzeniowe poezji Izabeli Poniatowskiej słowa pulsują, interferują, prowokują. W *morowych pannach* pojawiają się: motyw nieustannego kapania, skapywania na czoło, krew, ratowanie, następnie mamy wywołanie przez traktorzystkę, uśmiech kobiety-obszwarorki i pewne porządkowanie po pewnym zdarzeniu. Można to wszystko potraktować jako rozproszone, komplementarne części owe go zdarzenia, ale także zestaw ikonicznych rejestrów pewnych stanów, impulsów płynących z życia we współczesnym świecie. Słowo „morowe”, które pojawia się w tytule wiersza, niesie z sobą wszakże różne porządki i odcienie znaczeniowe – mór to choroba, zaraza, śmierć, ale ktoś „morowy” jest porządnym, równym, dzielnym, udanym. Wiersz *mydlenie* zawiera w sobie grę słów: „nie świeć” – „nie śmierć”. Mamy tu wymowne obrazy: urok świerszczy i żab kontra „gnicie białego po pierwszej komunii”, ciężarówka, karetkę,

połączone z uspokajaniem, ale i zakłamywaniem rzeczywistości. Filozoficzne pytanie „dlaczego” zostaje brzmieniowo skojarzone z „nietzschego”.

W ostatnim wierszu, o tytule ujętym w nawias – [*leżąc to ma nazwę*] – pojawiają się konstrukcje rwane, niedokończone (wraz z finalnym „nieznośny jak”). Dominuje inercja, poczucie bezsilności, nieaktywności. Może więc taka forma ma dobitnie ów stan wyrazić i usankcjonować. A może, skoro podmiot mówiący jawi się jako osoba twórcza, parająca się literaturą, kryje się w tym pewne twórcze przesłanie: dość już literatury, która się „wymądrza”, niesie z sobą funkcje dydaktyczne, terapeutyczne, konsolacyjne, profetyczne i tak dalej. Zakończenie wiersza (a więc i zbioru): „ur/ wany// film tańszy/ niż/ pogrzeb oraz nie tak nieznośny jak”, można odczytać jako chęć uniknięcia owej nieznośnej „puentyzacji”, próby domknięcia utworu, dopowiedzenia, uczynienia go konstrukcją zamkniętą. Ale możliwość takiego odczytania oznacza zarazem niemożność określenia, czy tak właśnie jest, czy to właśnie chciała wyrazić debiutująca poetka.

Warto sięgnąć po ten ciekawy tomik poetycki Izabeli Poniatowskiej, by odkrywać jej oryginalny sposób postrzegania świata i subiektywne jego odczuwanie, widzenie rzeczy przez pryzmat poetyckiej wrażliwości. Wielu zapewne odnajdzie tu części swojej prawdy, niektórzy zaś być może zastosują tytułowe „nożyce”, by od wizji poetki się zdystansować. I to właśnie zdaje się niesprzeczne z podejściem autorki zbioru *papier nożyce*, uhonorowanej nagrodą główną w XIX Konkursie im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2023.

Ryszard Mścisz

Izabela Poniatowska, *papier nożyce*, Galeria Sztuki Współczesnej, Biuro Wystaw Artystycznych w Olkusz, Olkusz 2024.

Patrycja Kaleta

ZRÓB MIEJSCE
NOCNYM PTAKOM

Urzula Kozioł, nestorka polskiej poezji, opublikowała w ostatnich latach tomiki: *Żalnik*, *Supliki*, *Znikopis*, *Momenty*. *Raptularz* – tom opublikowany w 2023 roku – został jesienią 2024 roku uhonorowany Nagrodą Nike. Charakter późnej poezji Kozioł dobrze oddają tytuły jej książek. Sędziwa poetka wsłuchuje się w otaczającą ją rzeczywistość, rejestrując jej najdelikatniejsze brzmienia. Poczynione obserwacje, idące za nimi refleksje są naznaczone żalem, poczuciem przemijania i marności świata, który, sterowany bezwzględny czasem, pochłania każdą żywą istotę. Tragizm człowieka wzmacnia świadomość zbliżania się do kresu życia i lęk przed śmiercią.

Raptularz jest swoistym „zerknięciem wstecz”, zatrzymaniem, obróceniem się i spojrzaniem na własne, kończące się życie z perspektywy czasu i doznanych strat. Spektrum przedstawionych emocji i uczuć przeżywanych przez ponad 90-letnią poetkę jest niezwykle szerokie – nie dominuje w nim jednak strach przed nadchodzącą „czarną nocą”. Wyraźnie wybrzmiewa ton godzenia się ze światem i samą sobą, nawet ze stopniową utratą pełni władz poznawczych, zatem z transformacją umysłu i ciała, które staje się coraz bardziej obce. Wyrazem godzenia się z przemijaniem siebie jako jednostki, która miała trwać wiecznie, są powracające myśli: nadszedł czas, aby zrobić miejsce na nowe istnienia, idee, byty; należysz do świata, który obumiera, dlatego odejdz, gdyż taki jest bieg dziejów; tutaj nie ma już dla ciebie miejsca, czeka na ciebie inna przestrzeń, do której przybliży cię każdy krok, wschód i zachód słońca.

Debiut

Na ostatniej stronie tomu poetka zamieściła własny komentarz: „To tom o miłości i śmierci. O starości. O potrzebie rozmowy z samą sobą (od ja do ja), ale też z imaginacyjnym kochankiem. Z kimś, kogo nie znam, ale próbuję do niego trafić, wierszem w butelce. Jest tu mowa o dzieleniu się słowem i o zmaganiu się z wierszem”. Czy wspomnienia uczucia łączącego pisarkę z mężem stanowią bezpieczną przystań u kresu życia, czy odbierają resztkę sił, potęgując poczucie straty? Czy wizja czyhającej tuż za rogiem śmierci napawa ją strachem, a może to przestrzeń, która ją pociąga i ku której spogląda z coraz większym zainteresowaniem? Czy starość zmienia naszą tożsamość? Czy samotność ułatwia godzenie się z umieraniem, czy wręcz przeciwnie – wzmacnia trwogę i poczucie zagubienia? Szukam odpowiedzi na te pytania w wierszach zawartych w *Raptularzu*.

Znaki czasu to pierwszy wiersz, w którym pojawia się temat miłości. Podmiotka liryczna, którą śmiało można utożsamić z poetką, powraca pamięcią do czasów młodości, której jednym z kluczowych momentów było poznawanie drugiego człowieka, stopniowe przechodzenie w stan zakochania, w końcu podjęcie decyzji o spędzeniu całego życia z jeszcze do niedawna obcą i nieznaną osobą. W tym krótkim utworze pojawia się poetycka reminiscencja miłosnego związku:

*Czy tamta trawa
nadal jest pogięta
w miejscu gdzieśmy leżeli
przykryci obłokiem*

Z powyższych wersów wylania się refleksja na temat trwałości relacji dwojga ludzi i jej wpływu na otaczający świat. Tytułowe znaki czasu w postaci czułych gestów i słów pozostały w pamięci wspominającej minione czasy kobiety. Miłość, będąca całym światem dla zakochanych, nie była niczym znaczącym dla otaczającego ich świata. Utrata obiektu miłości na zawsze odmienna sposób postrzegania nie tylko rzeczywistości, ale również

samej siebie, czego dowodzą stwierdzenia z wiersza *Złudzenia optyczne*:

*Nie wiem kiedy z ręk
zniknęły mi linie papilarne
natomiast wiem że moja płeć umarła
w tym samym momencie
w którym ukochany
na wieki wieków zamknął oczy*

Wraz z odejściem osoby najbliższej kobiecie obumiera nie tylko duchowo, ale również cielesnie, gdyż traci zwierciadło, w którym mogła dostrzec swą kobiecość i jej atrybuty, męską przeciwwagę wyzwalaającą jej kobiecość. Ten sam motyw powraca w wierszu *Zanim stracę pamięć*: „Moja płeć umarła przy grobie ukochanego / przytulałam się do pamięci / o ukochanym”. Widziana dotychczas oczami mężczyzny i przez niego opisywana kobieta po jego śmierci staje się obca samej sobie, nieznaną i odległą. W starości brak jej już sił na odkrywanie w sobie innej tożsamości, zatem zamyka się we wspomnieniach przeszłości, przechodzi w stan półtrwania, „pół-bytu”.

Poczucie samotności spowodowane stratą bliskiej osoby nie mija wraz z upływem czasu, o czym poetka opowiada w utworze *Na oczach świata*: „Z biegiem lat / smutek ogromnie we mnie / śpiesznie / wycofuję się z miejsc / gdzie widywano mnie / z tobą”. Miejsca, te nośniki pamięci, uderzają w czułe struny, których muzyka przypomina emocje i stany towarzyszące przebywaniu w bliskości z ukochanym. Raz powstałe rany nie są w stanie się zagoić – wypełnione żalem i bólem doskwierają bohaterce i zdaje się jej, że pozostaną z nią do końca życia lub momentu, gdy utraci pamięć – czego bardzo się boi, o czym opowiada w wierszu *Gdzie mój dom*:

*Przytulałam się do pamięci
o ukochanym
zanim stracę pamięć
zanim przestanę być*

Utrata pamięci jest dla poetki równoznaczna z utratą świadomości życia. Bez rejestru

zdarzeń, uczuć i myśli człowiek pogrąża się w duchowym niebycie mimo trwania funkcji biologicznych organizmu. Pamięć, nawet jeśli jest zbiorem bolesnych wspomnień, stanowi jądro człowieczeństwa, poczucia przynależności do świata, dlatego możliwość jej utraty wywołuje lęk. W wierszu *Szczęście/nieszczęście* bohaterka dochodzi do zaskakującego wniosku, że lepiej przeżyć miłość nieszczęśliwą, z której czas może nas uleczyć, niż szczęśliwą, która na trwałe zapisuje się w pamięci i po śmierci jednego z kochanków pozostawia drugiego w nieprzemijającej rozpacz, którą poetka wirtuozersko obrazuje:

*Miłość szczęśliwa
trafiona nagłym grotem śmierci
ogalała cię
skacze w przepaść bez dna
w rozpacz
w stan bez przyszłości
taka miłość, jej utrata
jest jak tsunami
przemienia cię w słup lodu
już nie żyjesz
tylko zdaje ci się, że żyjesz.*

Starość jest dla autorki *Raptularza* okresem zagubienia – ma wrażenie, że nie zna samej siebie, a wiedza o sobie, którą gromadziła przez kolejne lata życia, zniknęła, zapadła się w mrokach, o czym mówi w utworze *Zmierzch*: „Jestem daleko od siebie / ja nie jest już mną / ktoś / kogo nie znam / spustoszył mi umysł / i duszę”. Czuje się ciężarem dla otaczającego ją świata, pozbawiona dotychczasowej sprawczości oraz mocy, co wybrzmiewa w metaforycznym upodobnieniu się podmiotki do ściętego drzewa w wierszu *Bez pamięci*:

*Jestem kłodą ściętego drzewa
nie mam korony i nie mam korzenia
nie wiem, co mi się stało
żem taka zdrewniała
bez ruchu bez szelestu
bez żadnego listka*

Korona kojarzy się z tym, co zdobi, piękna, wywyższa każdą osobę. Być może poet-

ka ma na myśli swoją aparycję, piętno, jakie odcisnął na niej czas. Przemienia się w postać, która ją samą odpycha: „Przestałam podobać się sobie / i słowom / uciekają ode mnie/ chciałabym już / nie być” (*Bez zasięgu*). Autorka *Raptularza* stopniowo godzi się z własną przemijalnością, uznając, że trwanie tego świata opiera się także na uwalnianiu przestrzeni wcześniej potrzebnej na zadowolenie się w świecie, by zrobić miejsce dla innych, którzy się tu pojawiają (znamienne, że wymienia nocne zwierzęta i fenomeny natury), o czym przejmująco pisze w *Hymnie o zmierzchu*:

*Posuń się zrób
miejsce nocnym ptakom
[...]
zrób miejsce gackom
[...]
zrób coś dla świata zrób
miejsce dla rosy
[...]
usuń się w sen
ustąp miejsca ćmom*

„Usunięcie się” staje się swego rodzaju powinnością, zadaniem, z którym musi się zmierzyć każda żywa istota – wadzenie się z przeznaczeniem wzmacnia poczucie bezsensu egzystencji, dlatego poetka akceptuje nieuniknione. Godzi się nie tylko ze światem, ale również z samą sobą. Lektura tego przejmującego wiersza pozwala sądzić, że autorka wyczekuje śmierci: „już najwyższy czas / by spadła rosa / i żeby nastała ciemność”. Temu oczekiwaniu towarzyszy jednakże strach związany z samotnością przejścia z bytu w niebyt, co wyraża następująco: „Nadciąga czarna / śmiercionośna godzina / serce / zamiera z trwożgi”. Poczucie lęku i osamotnienia potęguje przeświadczenie, że ta „druga strona” może być miejscem ciemnym i pustym, pozbawionym jakiegokolwiek życia. Refleksje te pojawiają się w utworze *Nagle powiało na mnie chłodem*:

*kto przeprowadzi mnie przez lód
na drugą
ciemną świata stronę
gdzie oblodzone stopnie
stromo
donikąd wiodą mnie
przez pustkę.*

Śmierć nadchodzi nie tylko z zewnątrz, ale rozwija się w nas już od momentu narodzin. Symbolizuje ją robaczek, do którego poetka kilkakrotnie się zwraca: „Odprowadź mnie robaczku / mieszkający pod ziemią / tam odprowadź mnie ty / który już mieszkasz we mnie”.

Tuż po ogłoszeniu Urszuli Koziół laureatką Nagrody Literackiej Nike 2024 *Raptularz* momentalnie zniknął nie tylko z księgarń stacjonarnych, ale również internetowych. Określany mianem „poezji pożegnań” tom uwiódł czytelników zawartymi w nim uniwersalnymi prawdami na temat miłości, życia, śmierci i starości, z którymi każdy musi się zmierzyć. Lektura to trudna i emocjonalnie wymagająca, jednakże tworząca poczucie wspólnoty najważniejszych ludzkich doświadczeń.

Patrycja Kaleta

Urszula Koziół, *Raptularz*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.

*Dwugłos o tomie Katarzyny
Szwedy „zemia vulgaris”*

Natalia Fornal

POEZJA GALICJI
PRZEFILTROWANA
PRZEZ BŁOTO, WIATR
I IRONIĘ

Sosnowa drzazga w sękatym palcu, gruda ziemi rozmazana na rumianym policzku i zdarte pięty – takie obrazy pozostawia po lekturze *zemia vulgaris*, drugi tomik poetycki Katarzyny Szwedy. Jej wiersze pachną bagnem, sianem, potem, brudną dłoń i snują się w świadomości czytelniczki niczym babie lato. To poezja, która nie unosi się ponad ziemię – wręcz przeciwnie, wbija się głęboko w glebę, sięgając do jej grząskich, kleistych warstw. *Zemia vulgaris* mówi o ludziach zakorzenionych w ziemi tak mocno, że jej pulsowanie czuć w ich oddechu. Szweda nie opowiada, każe nam poczuć ból, piękno i ciężar życia tam, gdzie rytm dnia wciąż wyznacza Matka Natura – w galicyjskich wsiach.

Już sam tytuł tomu zapowiada to, czego możemy się spodziewać: ziemi, która jest „pospolita” – zwyczajna, brudna, pierwotna. Szweda antropomorfizuje ziemię, ale czyni to w sposób daleki od sentymentalizmu. Ziemia bywa: „obślizgła”, „mulista”, „bagienna”, „mazista”, „słona” i „rozmokła”. W utworze otwierającym tom, *polypodium vulgare*, ziemia przemawia przez ludzkie zmysły: jest fizyczna i sensualna. Poetka opiera się na metaforyce kobiecego ciała i cyklu życia. Konsekwentnie unika idealizacji wsi czy natury. Kreuje surowe obrazy biedy, brzydoty i smrodu, które w jej ujęciu są czymś transcendentnym. Ziemia jest matką życia, ale i miejscem spoczynku umarłych.

Jednym z najważniejszych motywów tomu jest kobieta, a raczej kobiety, uparte, surowe i piękne w swej autentyczności. Ich ciała i zajęcia stanowią część wiejskiego krajobrazu. Autorka odrzuca kulturowe idealizacje kobiet, przedstawiając swoje bohaterki w ich naturalnym stanie. Pot, brud, krew, zdrapane strupy – to wszystko jest częścią wiejskiego bytu („ślina nam wygoi to, co nie zdążyło jeszcze zastygnąć od wczoraj”). Takie spojrzenie na kobietę może wydawać się mało „kobiece”, jednak nie służy jej umniejszeniu – przeciwnie, staje się manifestacją siły i jedności z naturą. Szweda sięga po znane archetypy kobiecości, ale przekształca je, tworząc ich nowe, bardziej złożone wzory. Kobieta jest matką, ale nie tą idealizowaną, a realną – zmęczoną, zmagającą się z ciężarem własnego życia i życia swoich dzieci. Jest kochanką ziemi i natury – nie tylko mężczyzny. Wiersze przynoszą obrazy silnych kobiet, które nie boją się zmęczenia ani bólu, ale są także czułe, potrafią leczyć i okazywać troskę o innych.

Szweda redefiniuje prowincję, pokazując ją jako przestrzeń, w której lokalność splata się z globalnością w sposób, który wydaje się absurdalny, ale jest autentyczny. Jej prowincja nie jest ani skansenem, ani miejscem zapomnianym przez świat. Możemy spojrzeć na nią jak na gąbkę, która absorbuje wpływy z zewnątrz, ale przekształca je w coś własnego, swojskiego, niekiedy wręcz groteskowego. Poetka nie zatrzymuje się na rekonstrukcji czy sentymentalnej podróży w przeszłość. Tworzy prowincjonalny *eastern*, ironiczną odpowiedź na popularność *westernów*. W wierszu *eastern* pisze: „a kiedy przyszedł do nas z zachodu wschód / zaczęliśmy śpiewać polskie piosenki country”. To zdanie jest kluczem do poetyckiej dykcji Szwedy: zderzania różnych wzorców kulturowych, wywracania ich na opak, pokazania, jak absurdalnie wyglądają w prowincjonalnym kontekście. Kowboje na Łemkowszczyźnie? Country na podmokłych polach Galicji? To starcie kultur i epok jest jednocześnie ko-

miczne i przejmujące, bowiem za ironią poetki kryje się tęsknota za narracją, która byłaby naprawdę „nasza”.

Język Szwedz jest niezwykle sensualny. Używa słów, które odwołują się do wszystkich zmysłów: dotyku, zapachu, smaku, wzroku i słuchu. Brak znaków interpunkcyjnych sprawia, że wiersze tomu zyskują na otwartości interpretacyjnej. Czytelniczka musi zdecydować, gdzie kończy się jedna myśl, a zaczyna kolejna. Taka forma podkreśla nieuporządkowanie, organiczność i płynność świata przedstawionego w tomiku. Wiersze w *zemli vulgaris* często urywają się w nieoczekiwanych miejscach, wersy są krótkie, jakby poszarpane. Taka rozbita, fragmentaryczna forma oddaje zdyszany, chaotyczny rytm codziennego życia wsi, pełen przestojów i nagłych zwrotów akcji. Szwedz unika poetyckiej emfazy czy wyrażania. Jej język jest pełen potocyzmów i zwrotów z łemkowskiej gwary. Kontrowersje mogą budzić wulgaryzmy, ale takie wyrażenia, jak „możesz mnie pocałować w dupę” w wierszu o równie dosadnym, angielskim tytule *you can kiss my ass* nie szokują, gdy spojrzymy na nie przez pryzmat przesłania, które niosą.

Katarzyna Szwedz jest również autorką zamieszczonych w tomie fotografii. Umiejętnie łączy sztukę słowa i obrazu. W połowie lektury trafiamy na przystanek w postaci kilku zdjęć. Jaką funkcję pełnią? Trudno to jednoznacznie określić. Nie są bowiem ani ilustracjami tekstów, ani ich ozdobą. To raczej część poetyckiej narracji – kolejne wiersze, które powinniśmy doświadczyć za sprawą innych receptorów mózgowych niż te odpowiedzialne za odbiór tekstu. Bez zapoznania się z treścią tomiku zinterpretowanie scen przedstawionych na zdjęciach mogłoby być trudne. Mają charakter dokumentalny, wyglądają jakby były zapisem chwil, które zaraz znikną. Taka forma uwypukla motyw przemijania i ulotności zarówno życia ludzkiego, jak i natury.

Zemla vulgaris wymyka się jednoznacznym definicjom – jest jednocześnie manifestem kobiecości, hymnem na cześć ziemi, natury, prowincji, wsi, jak i karykaturalnym odbiciem globalności w tym, co lokalne i naturalne. Nie każdy tomik zaprasza czytelnika i czytelniczkę, by ubrudzili sobie dłonie. Szwedz nie boi się tego zażądać – jeśli masz odwagę wziąć ją za brudną, pokrytą błotem rękę, *zemla vulgaris* wynagrodzi cię poezją, którą poczujesz do szpiku kości.

Liwia Gałuszka

WOŁANIE Z POŁUDNIA

Katarzyna Szwedz, autorka zbioru poezji *zemla vulgaris*, dorastała na ziemi malowniczej, ale biednej. Galicja, Łemkowszczyzna, Podkarpacie to tylko kilka z wielu nazw, którymi na przestrzeni lat określało się tereny rozciągnięte między Jasłem a Krosnem. Tereny te (dla uproszczenia możemy nazywać je Pogórzem Zachodnim) są od zawsze częścią innych, większych regionów i niewiele pisze się o ich własnym folklorze. Być może tę literacką lukę zauważyła autorka tomu, bo według opisu wydawcy jest ona „próbą przyjrzenia się prowincjonalnej Galicji (głównie dawnej Łemkowszczyzny) oczami tutejszych «kowbojów» oraz kobiet, które chcą napisać do tego easternu własny scenariusz”.

Zapoznając się z kolejnymi wierszami *zemli vulgaris*, można dostrzec pewne kulturowe trendy, w które ta książka się wpisuje. Została wydana w roku 2023, kiedy głośnie premiery miały *Chłopki* Joanny Kuciel-Frydryszak oraz nowa, aktorsko-animowana adaptacja *Chłopów* w reżyserii Doroty Kobieli i Hugh Welchmana. W postpandemicznych czasach artyści coraz częściej oddają głos mieszkańcom dawnej i współczesnej wsi, a bohaterkami i narratorkami ich utworów są kobiety. Tak dzieje się w wierszu

Szwedy wilczyce:

*najwięcej warta jest ziemia
kilometrów kwadratowych nieurodzaju
brakło naszym matkom
synowie ich ojców dostali za to po równo*

Poezja Szwedy nie jest odkrywczą, jeśli chodzi o motywy i sposób ich poetyckiego opracowania, ale czy zamysł twórcy zawsze musi taki być? Można z powodzeniem sięgać do znanych motywów i tematów, a przy tym tworzyć poruszające treści – i *ziemia vulgaris* stanowi tego przykład. Tytuł zbioru jest dość enigmatyczny, słowo *ziemia* nie oznacza niczego konkretnego w polszczyźnie (można je odczytać jako łemkowskie określenie ziemi), a pochodzące z łaciny słowo *vulgaris* określa pospolitość rzeczy i zjawisk. Książka została zadedykowana *Siostrze*, co rodzi kolejne pytania. Czy chodzi o rodzeństwo autorki, czy też o feministyczne „siostry” – kobiety zjednoczone w sposobie myślenia, działania lub wspierania jakiejś idei? Może „siostrami” autorki temu są przedstawione w nim wiejskie dziewczyny i kobiety z ziem dawnej Galicji? Może wszystko naraz, a może coś zupełnie innego? Szweda wita swoje czytelniczki i czytelników niejasnością i wieloznacznością.

Ważnym motywem tomiku jest erotyka, która łączy człowieka z naturą. Poetka opisuje seksualne doznania, porównując je do zjawisk przyrodniczych, które obserwuje się, przebywając na Pogórze lub odwrotnie – obcowanie z otaczającą biosferą przypomina erotykę: „kładły się nocą na brzegu / dowolnym rytmem uprawiała je ziemia” (*miałowe*);

*z deszczu byłyśmy z tych kropel które tak
[spadały]
żeby nas polizać zawsze w czule miejsca
z deszczu naprawdę [...] z twoich chmurnych loków
wypływałam się naga nad ranem*

(*polypodium vulgare*)

Intymność człowieka jest tłumiona do momentu, aż pogodzi się on ze swoim naturalnym pochodzeniem i dostrzeże własne podobieństwo do fauny i flory:

*szukałam słuzu na maślakach
brakowało posłizgu
między pniami drzew
balastami ud*

(*ziemia vulgaris*)

Konkluzje te nie są może odkrywcze, bo zestawianie ze sobą sfery seksu i dzikości przyrody to artystyczny zabieg wykorzystywany od starożytności. Niemniej nigdzie w tomie erotyka Szwedy nie epatuje nadmiernym naturalizmem.

W *ziemi vulgaris* zwracają uwagę liczne nawiązania do amerykańskiej popkultury. Opowieści o „dzikiej” krainie, z której poetka pochodzi, są nazywane *easternem*, niektóre z wierszy opatrzone podtytułem *piosenka country* albo nadano im anglojęzyczne tytuły. Liczne odniesienia do amerykańskiego folkloru oraz tematyka utworów skoncentrowana na kobietach i ich życiu wewnętrznym nasuwa skojarzenia z twórczością słynnej amerykańskiej piosenkarki Lany del Rey (właśc. Elizabeth Grant), której tomik *Violet robi mostek na trawie* w przekładzie Anny Gralak ukazał się w Krakowie w 2021 roku. Chociaż autorki różni kraj pochodzenia i zaplecze kulturowe, ich wrażliwość i estetyka są podobne. Obie zamieściły w książkach fotografie własnego autorstwa. Zdjęcia wzbogacają teksty. Fotografie mają wyraz artystyczny bliski sztuce abstrakcyjnej. Przedstawiają fragmenty krajobrazu, a także detale wnętrza, np. meble. Kompozycje są czarno-białe, minimalistyczne, światło i cienie tworzą wprowadzające ład i harmonię geometryczne podziały. Wiersze, fotografie, liczne odniesienia muzyczne w tomach Szwedy i Lany del Rey można taktować jako eksperyment synestetyczny, wykorzystujący w kreacji wiele zmysłów i aktywizujący je w trakcie lektury i percepcji.

Amerykańskie wątki *zemli vulgaris* są efektem globalizacji, na co Szweda naprowadza w wierszu *eastern*: „a kiedy przyszedł do nas z zachodu wschód / zaczęliśmy śpiewać polskie piosenki country”. Sposoby postrzegania świata przez rodaków i rodaczki formowane pod wpływem zachodniej popkultury to kolejny temat, który podejmuje poetka w groteskowym ujęciu w wierszach *bang bang* oraz *you can kiss my ass* z podtytułem „piosenka country”, gdzie przywołuje znaną pieśń Janis Joplin:

*byłem człowiekiem drogi jeździłem rumakiem
w kieszeni ciupaga i muszynianka
w dziękuję krempnej
prawie straciłem życie na krzyżówce
gdy jakiś pijak rzucił we mnie butelką
[...]
chciałem mieć rewolwer jak jednooki jan
chciałem mieć niezłomną kobietę żądną
przygód*

Tom *zemia vulgaris* jest ważnym głosem południowo-wschodniej Polski, jedną z cegieł artystycznej budowli, którą od wieków tworzą Pogórzanie. Łącząc ze sobą tematykę wiejską, narrację kobiecą i artystyczne wpływy zza oceanu, Katarzyna Szweda stworzyła poetycki wizerunek Pogórza Zachodniego na miarę XXI wieku.

Liwia Gałuszka

Katarzyna Szweda, *zemia vulgaris*,
Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.

Jan Belcik

A MOŻE JEST NAS TAKICH WIĘCEJ?

Roman Adamski dał się poznać jako znakomity dziennikarz radiowy, pracujący od ćwierćwiecza w Polskim Radiu Rzeszów, sygnalista spraw politycznie i społecznie waż-

nych nie tylko dla Podkarpacia. Przeprowadził także wiele rozmów z ludźmi sztuki i literatury. Zawsze cechowała go wrażliwość na słowo, również to poetyckie, i szczególnie styl jego artykułowania – poprawny językowo, ale i będący przejawem poszukiwania własnych środków wyrazu. Zapewne te cechy osobiste i zainteresowania zawodowe, a także wątpliwości dotyczące współczesnej kondycji człowieka – ukazane w perspektywie Jezusowej wędrówki na Golgotę – doprowadziły go do postawienia pytań o stan naszego człowieczeństwa w trzeciej dekadzie XXI wieku.

Mam przed sobą jego tomik *Oto człowiek. Rozmyślenia o Drodze Krzyżowej* z fotografiami Przemysława Wiśniewskiego, powstałymi w Przemyślu i w Medyce w marcu 2022 roku. Zdjęcia przedstawiają zauważone w tłumie uchodźców jednostki, które uciekają przed hekatombą wojny w Ukrainie, przed innymi ludźmi, zagrażającymi ich bezpieczeństwu, bo, jak zauważyła Zofia Nałkowska: to „ludzie ludziom zgotowali ten los”. Adamski ma w dorobku dwa młodzieńcze arkusze poetyckie wydane przez I LO w Rzeszowie – *Poglądacza* (1991) i *Sklep ze śmieszonymi mostami* (1993). Wydany trzydzieści lat później tom zwraca uwagę także bogatą ramą krytyczną – otwiera go wstęp Jana Tulika, a zamyka posłowie ks. Tomasza Nowaka.

W motcie książki Adamski napisał: „Są wojny w nas / Są wojny między nami / Te drugie nie dzieją się bez tych pierwszych”. Ludzkość od zawsze nurtuje pytanie o pochodzenie zła. Nie wdając się w zawiloci natury etycznej, można odpowiedzieć na nie jednym zdaniem: źródłem zła jest nieodmiennie człowiek. Bierze się ono z pojawiającej się w nim pychy, egoizmu oraz przekonania, że odnalazł prawdę, prowadzących go do bezwzględного imperatywu podporządkowania sobie rzeczywistości.

Tom Adamskiego jest właściwie poematem, podzielonym na czternaście części, z których każda odpowiada jednej ze stacji Drogi

Krzyżowej. W klasycznej poetyckiej formie – z regularnymi strofami, wersami i rymami – autor przedstawia własną perspektywę spojrzenia na rzeczywistość, która jest osadzona na tradycji religijnej i filozoficznej. Ukazuje przede wszystkim cierpienie, na jakie wszyscy jesteśmy skazani. Przekonanie to wykracza poza wymiar eschatologiczny – umiera człowiek-Bóg, ubiczowany i wydany ludowi przez Piłata. Motyw *Ecce homo* był szczególnie popularny w malarstwie XV i XVI wieku. Sięgali po niego wielcy mistrzowie: Bosch, Mantegna, Caravaggio, Correggio, Tycjan i Tintoretto, a w XIX wieku w Polsce Adam Chmielewski. Zastosowane w ich dziełach środki artystyczne, wykorzystujące elementy naturalistyczne, silnie przemawiają do wyobraźni. Sięga po nie również Roman Adamski. Stąd wchodzeniu w głąb w jego utworu towarzyszy często niemal fizyczny ból.

Tomik opatrzony jest wstępem pisarza i krytyka Jana Tulika, zatytułowanym *Zejdźcie – na chwilę przywracam wam życie*. Wprowadzając czytelników w realia przedstawionego w poemacie Adamskiego świata, napisał on: „Krzyż widziany oczyma poety. Dwie belki, horyzontalna i wertykalna. W ich przecięciu może tkwić prawda, w ludzkim pojęciu. [...] Narrator jest współczesnym humanistą, a przy nim Jezus. To bardzo nowatorska kreacja podmiotu mówiącego”. Przytoczę ze stacji pierwszej poematu – *Jezus na śmierć skazany* – trzecią strofę:

*Czcigodni sędziowie! (nie wiem czi czyjej)
Nie kryjcie krętych rozmów niepokojnych
Umyjcie ręce bo czas się wije
Nie takie przecież toczyliście wojny*

Poeta już wie, że przez wiele wieków, a szczególnie w wieku dwudziestym, ludzie umywali ręce, godzili się z racją tych, którzy mieli władzę. Nie protestowali. Byli zmuszani do uległości i nie umieli przeciwstawić się złym rządcom – zwłaszcza dwóm totalitaryzmom ubiegłego wieku. Warto w tym miejscu przypomnieć wiersz niemieckiego pasto-

ra luterńskiego Martina Niemöllera z 1946 roku pt. *Kiedy przyszli...* Zawiera on krytykę tych intelektualistów i duchownych, którzy nie zdobyli się na potępienie i protest wobec nazistowskich rządów i zarządzanej przez nich najtragiczniejszej w dziejach ludzkości zagłady całych narodów oraz wybranych grup etnicznych i społecznych.

Adamski oddaje najczęściej głos Jezusowi, rozmawiającemu ze swoim przeznaczeniem symbolizowanym przez krzyż. W trzeciej strofie stacji trzeciej, odpowiadającej pierwszemu upadkowi Chrystusa w drodze na Golgotę, podmiot liryczny rozmyśla o swojej, sięgającej poza wydarzenia Pasji przyszłości:

*Dokąd cię później ta droga zanieśie?
Może uczynią świątka przydrożnego
Nie brzozowyś więc nie w wojennym lesie
Wstawią cię w polu – mnie frasobliwego*

Zawarte jest tu odniesienie do polskiej kultury, także tej ludowej, której znakiem jest figura przydrożnego świątka, ale i nawiązanie do ostatnich wojen, powstań, partyzantki, których znakiem stał się często anonimowy, brzozowy krzyż. W posłowniu, zatytułowanym *Kamień z serca, pokój na ziemi*, ks. Tomasz Nowak zauważa: „to bardzo gęste, poetyckie teksty. Autor przez motto każe patrzeć na wydarzenia rozgrywające się w Jerozolimie w kluczu wojny. [...] Do wojny nawiązują również zdjęcia przedstawiające ofiary i świadków rosyjskiej agresji na Ukrainę. Droga Krzyżowa to również setki twarzy, począwszy od twarzy samego Jezusa, Matki Bożej, Weroniki, Szymona z Cyreny, uczniów, żołnierzy, przechodniów i gapiów. [...] Jezus w rozważaniach Adamskiego bliższy jest opisowi z Księgi Izajasza, szczególnie z Pieśni o Słudze Jahwe. To Zbawiciel, który nie złamie trzciny nadłamanej i nie zgasi ledwo tlejącego się knotka (Iz 42,3)”. W czwartej strofie XI stacji pt. *Jezus przybity do krzyża* podmiot liryczny powiada:

– Wy co na krzyżach słowem się krztusicie
Zanim ostatnie wasze westchną struny
Zejdźcie – na chwilę przywracam wam życie –
By len pozbierać na nasze całuny.

To niezwykła wizja człowieczeństwa, a raczej Bożej perspektywy widzenia istoty ludzkiej. Wezwanie przenika do cna, zatrzymuje nas w czasie, wywołując głęboką refleksję. Éric-Emmanuel Schmitt w książce *Sen o Jeruzolimie: dziennik z podróży do Ziemi Świętej* (2024) z posłowiem papieża Franciszka pisze, że choć wszystkie święte dla chrześcijan miejsca Izraela są umowne (bo nie ma pewności, że kościoły i kaplice są rzeczywiście tam posadowione), to przebiegająca wśród nich podróż duchowa jest zawsze autentyczna. To samo odnosi się do poetyckiej próby Adamskiego sprostania złożonym przesłaniom Drogi Krzyżowej. Odkrywając ją, ma się jednak pewność, że uczestniczy się w duchowym przeobrażeniu człowieka. Dociera się do miejsca, gdzie już nie jesteśmy tacy sami. Doświadczenie to wydaje się potrzebne wszystkim z nas na każdym etapie rozwoju.

Schmitt dzieli się w przywołanej książce oryginalnym przemyśleniem: „Każda religia podkreśla inną cnotę: u żydów to szacunek, u chrześcijan miłość, u muzułmanów posłuszeństwo, a u buddystów współczucie. Z tej czwórki najbardziej szalona okazuje się propozycja chrześcijaństwa. Co? Kochać wszystkich? Każdego bez wyjątku? Cudzoziemca, drania, skąpca, zdrajcę, gburę? Nosić w sercu wrogów, a wręcz oprawców, jak Jezus przybiły do krzyża? Kochać tego, który cię zabija? To żądanie niemożliwego...” (s. 209).

To, co z ludzkiego punktu widzenia jest nierealne, okazuje się możliwe po odwróceniu perspektywy. Ludzie, jak mówił Jezus: „nie wiedzą, co czynią”. Chociaż brzmi to jak łatwe wytłumaczenie grzechów, często spoglądając z dystansu na własne życie, zdajemy sobie sprawę z tego, że oddając się złu, nie wiedzieliśmy, co czynimy. Tak wydaje się sądzić także podmiot liryczny tomu Adamskiego. Perspektywa krzyża, choroby, wojny

i cierpienia zmieniają naszą optykę. Miłość i miłosierdzie nie są tylko ideą, stają się namacalnym faktem, doświadczeniem tu i teraz. Dlatego powtarzamy za autorem tomiku słowa ze stacji V Szymon z Cyreny pomaga nieść krzyż Jezusowi:

*A może jest nas takich tu więcej?
Już widzę ją co trzyma chustę jasną
Czy tylko ona ulży Ci w udręce?
Łatwiej odbić twarz niż odbić miasto.*

Miejmy zatem nadzieję, że jest nas więcej do udzielania sobie wzajemnej pomocy właśnie teraz, gdy świat odrzaca wrażliwych, nieuczestniczących w „wyścigu szczurów”, skazanych w na funkcjonowanie na marginesie społeczeństwa. I tak można rozumieć słowa Chrystusa z medytacji pasyjnych Adamskiego.

Jan Belcik

Roman Adamski, *Oto człowiek. Rozmyślenia o Drodze Krzyżowej*, wstęp Jan Tulik, posłowie Tomasz Nowak, fotografie Przemysław Wiśniewski, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2023.

Jacek Lech

TA PRZEKLĘTA HISTORIA EUROPY ŚRODKOWO- -WSCHODNIEJ...

Andrzej Stasiuk od lat snuje tę samą opowieść. Stwarza potężne tekstowe uniwersum, literacką strukturę wyższego rzędu, którą można ogarnąć dopiero po zaznajomieniu się z całą jego twórczością – zróżnicowaną, choć wewnętrznie konsekwentną i spójną. To pisarz, którego repetycje, dostrzegane przez każdego świadomego odbiorcę, nie rażą, lecz są oczekiwane. Uprawia rodzaj lite-

ratury, którą charakteryzuje nieciągłość, nieukończoność, niegotowość, otwartość na dopowiedzenia. Dzięki takiej strategii pisania tką swoistą literacką sieć. Mam tutaj na myśli teksty niefabularne, które stanowią trzon jego dorobku, bo twórczość fabularna jest w nim w mniejszości. *Rzeka dzieciństwa*, wydana trzy lata po znakomitej powieści *Przewóz*, to jeden z fragmentów tej wielkiej całości, kolejny tekst zagęszczający warstwę znaczeniową ogromnego przedsięwzięcia, które można nazwać: prozą afikcjonalną, afabularną, quasi-reportażową.

Stasiuk konsekwentnie podąża obraną przed laty drogą, z której niekiedy ucieka w melancholijnie ujętą przeszłość i niemal zawsze są w jego prozie reminiscencje z licznych podróży. Jak powiada narrator *Pastusza* – drugiej opowieści *Rzeki dzieciństwa*: „Pamięć przechowuje obrazy, które składają się na opowieść”. Niby oczywistość, lecz w świecie prozy Stasiuka to konstatacja kluczowa. To, co przeżyte, wciąż budzi nowe skojarzenia, rozpoznania i refleksje, stając się matrycą do tworzenia kolejnych narracji. Najnowsza książka jest także pełna wspomnień, które scalają ukonkretnione geograficznie miejsca. Ale, jak nigdy wcześniej, spletają się one bardzo mocno z teraźniejszością – przeszłość rezonuje, pokazując nowe, przerażające wcielenia.

Miłośnicy twórczości Stasiuka wiedzą, że jego wyobraźnia jest ściśle powiązana z mapami, z rozmaitymi granicami, zaznaczonymi na nich punktami orientacyjnymi. W *Rzece dzieciństwa* odnajdujemy kolejne realizacje topiki podróży, tym razem nie tylko samochodowej, z punktu A do B, lecz także metaforycznej – powrotu w czasy i miejsca dzieciństwa, opisywane już wcześniej, na przykład w książce *Grochów*. Meandrowanie pomiędzy teraźniejszością a tym, co minione, to ważna cecha *Rzeki dzieciństwa*. W opowieści *Tuwa. Urodziny* odautorski narrator opowiada o niezrealizowanym marzeniu samotnego spędzenia sześćdziesiątych

urodzin w tytułowej miejscowości lub na bajkalskich stepach. Wybuch pandemii koronawirusa i lockdown zniweczyły te plany. Pozostały mu odwiedzić miejsc nad Bugiem, tytułową rzeką dzieciństwa. W tym właśnie miejscu Stasiuk snuje refleksje o pamięci, polskości, zwątpieniu w sens historii i zagrożeniu czyhającym na Wschodzie. Może to lęk przed niepewną przyszłością napędza tę opowieść?

Do Stasiuka już dawno przyłgnęła etykieta pisarza-podróżnika – chęć bycia „gdzie indziej”, snucie opowieści z drogi i w drodze, podróżnicze kolaże, gry z odbiorcą, narracje na pograniczu prawdy i fikcji są konstytutywnymi cechami jego eseizowanej prozy. W ten hybrydyczny genologicznie model literatury, ukonstytuowanej w książce *Jadąc do Babadag*, wpisuje się także *Rzeka dzieciństwa*. Jest ona również przykładem przemysłanego, tożsamościowego projektu. Pisarz kolejny raz próbuje za pomocą swego idiolektu opisać zderzenie świadomości podmiotu z przestrzenią i historią, z tą jednak różnicą, że najważniejszym przedmiotem refleksji jest w *Rzece dzieciństwa* aktualna sytuacja geopolityczna.

Stasiuk wypowiada się o rosyjskiej agresji na Ukrainę, wplatając w wspomnienia dzieciństwa spędzonego na Podlasiu opowieść o pomocy dla walczących sąsiadów i własnym zaangażowaniu we wspieranie ukraińskiej armii. Powrócił do eseizowanej prozy, języka, którym wypowiada się najpełniej, nie zważając na aktualne literackie mody. *Rzekę dzieciństwa* sytuuję w tym nurcie jego pisarstwa, który tworzy *Dziennik pisany później* oraz *Wschód*. Narrator konstatuje:

Nadeszła wojna i [...]. W drobne chujki rozpiżyla całe to poetyckie pierdolenie. Wszyscy się spodziewali, ale nikt nie wierzył. Na wszelki wypadek nigdy się nie wierzy, żeby krócej się bać. Siedzę w zupełnej ciszy i wyobrażam sobie ogień na tamtym brzegu. Wyobrażam sobie, jak trawi zarośla i stare wierzyby. Ogień wojny, który wypala nawet drzewa zanurzone korze-

niami w wodzie. Ogarnia błękitną cerkiew w górze biegu. Dalej na południe rzeka wypływa z wnętrza Ukrainy i staje się rzeką graniczną. I bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak niesie trupy i popioły.

Refleksje Stasiukowego opowiadacza dotyczące wojny w Ukrainie są obciążone balastem historii, w tym przede wszystkim polskim lękiem przed Rosją. Pisarz wypracował swoistą historiozofię, w ramach której definiuje istotę naszej części Europy lub – jak mówi – wytwarza prywatną „metafizykę Wschodu”, trzeba dodać: niezwykle pesymistyczną. W tym ujęciu pisanie staje się wędrówką po zakamarkach własnej pamięci oraz poznawczą podróżą w poszukiwaniu tożsamości mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, naznaczonej piętnem historii, której kolejny tragiczny epizod rozpoczął się 24 lutego 2022 roku. Skomplikowane dzieje tej części naszego kontynentu Stasiuk postrzega niezwykle subiektywnie. Już w eseju *Moja Europa* przeciwstawił się myśleniu opartemu o granice państw wytyczone na mapach, rozmontowując założycielskie mity, wedle których odwiecznie kolonizowani (przez Rosjan, Niemców, Habsburgów, hitlerowców, komunizm, nowoczesny, neoliberalny kapitalizm) mieszkańcy Europy Środkowo-Wschodniej próbują „przeczekać” historię, minimalnie się w nią angażując.

Granice są tu tymczasowe, państwa kruche i nietrwałe, co kolejny raz widzimy po 2014 i 2022 roku. Jak się okazuje, historii niepodobna przeczekać, sama przychodzi w swoim najbardziej upiornym, wojennym wcieleniu. Do listy traum Środkowoeuropejczyków trzeba dopisać: „obecną personalną emanację rosyjskiego narodu”. Cóż to za peryfrazo! „No to co robić?” – pyta narrator. Co robić z odwiecznym polskim pytaniem: Wejść czy nie wejść?”. Strach przed Rosją, tym „wyklętym ludem ziemi” nie należy już wyłącznie do sfery genetycznych obciążeń Polaków, staje się jak najbardziej realny, wynika z bycia świadkiem i uczestnikiem woj-

ny toczonej za wschodnią granicą. Nie sposób czytać *Rzeki dzieciństwa* poza szerokim kontekstem historycznym pisarstwa jej autora, który napisał: „Niezależnie od potwornej dzwiności maszyn, maszyn ludzkiego mięsa, płonących pod niebo stosów koniec końców wszystko, co zostawało, trafiało z powrotem do ziemi. Nikt nigdy niczego innego nie wymyślił. Do ziemi. Przez ogień, przez powietrze do ziemi. W Bełżu, w Srebrnicy, w Buczy”. Widzimy tu tragiczną ciągłość historii wschodniej części Europy, ucieleśnionej w triadzie miast naznaczonych zbrodniami ludobójstwa.

W najnowszej książce Stasiuk kontynuuje krytyczne refleksje o Polakach i polskości, których pierwsze odsłony pojawiły się w jego prozie piętnaście lat temu. „Nie można bezkarnie patrzeć na ten kraj” – czytamy w *Rzecz dziecinstwa*. Stasiuk postrzega historię jako żywioł bezlitosny dla jednostek – żaden dokonany przez nie wybór nie jest w stanie uchronić jej od fatalizmu dziejów. Nieprzypadkowo w najnowszej książce pojawiają się obszerne odniesienia do Zagłady na Podlasiu. Pisarz dołącza do grona depozytariuszów pamięci trudnej, wypieranej, nieprzystającej do idealizowanych, heroicno-martyrologicznych narracji o II wojnie światowej i powojniu, czego przykładem jest opowieść *Żmijowisko*. Takich książek, które opowiadają się przeciw mitologizacji przeszłości, bardzo dziś potrzebujemy.

Kultywowanie narodowych mitów ma dla strażników upolitycznionej wersji historii wiele zalet: koi zbiorowe traumy, uspokaja złe sumienie, scala wyidealizowany konstrukt polskiej tożsamości. Stasiuk mąci to (zafałszowane) dobre samopoczucie. Utworem, w którym ów zamysł uobecnił się po raz pierwszy, był *Dziennik pisany później*. Jego główne tezy pisarz rozwinął w *Osiółkiem, Przewozie* i właśnie w *Rzecz dziecinstwa*. Pisarz apeluje do potencjału krytycznego myślenia, którym dysponuje każdy z nas, pozwalającym na racjonalne zweryfikowanie

falszu wielu tromtadrackich haseł. W polskim imaginariu ciągle jest bowiem kulturowany mit tożsamości narodowej opartej na anachronicznej, szlacheckiej koncepcji narodu, postromantycznych, kompensacyjnych mitach narodu wybranego, dzięki czemu w sferze mentalnej Polacy zostali zahibernowani jako społeczeństwo patriarchalne i postfeudalne.

Narrator *Rzeki dzieciństwa* ma w sobie wiele goryczy – pozbawiony złudzeń, krytycznie rozważa kondycję współczesnego świata. Z nieukrywaniem lękiem spogląda na fascynującą go skądiną Rosję. Jego deklarowany dystans do rzeczywistości wcale nie jest oczywisty, mimo powtarzającego się stwierdzenia (zakłęcia?), że na coraz więcej spraw „ma wyjebane”. Czytając *Rzekę dzieciństwa*, przekonujemy się, że to tylko pozór, próba terapii – Stasiuka świat boli (czego świadectwem są mocne wulgaryzmy) i bardzo obchodzi, z niesieniem pomocy walczącym Ukraińcom na czele. Nie znajdziemy w jego słowach zwątpienia, raczej podsyta niepokojem troskę. Leżąc w hotelowym pokoju, narrator próbuje włączyć telewizor. Robi się kolorowo, ale od migających obrazków jest mu w sercu i głowie coraz bardziej ponuro: „Przelatuję cały ten bądziej i jak czasem zjawiają się zwierzęta, to zatrzymuję na chwilę. Zaloty jeży mają więcej życia niż ta cała debileria, która przez dwadzieścia cztery godziny „wyraża swoje opinie” albo próbuje wyjechać cię na kasę”. W centrum zainteresowań autora *Rzeki dzieciństwa* nadal pozostają peryferie, rozpad, nomadyczny podmiot oraz praca pamięci podporządkowana twórczej wyobraźni. To Stasiuk w swoim najlepszym wcieleniu!

Jacek Lech

Andrzej Stasiuk, *Rzeka dzieciństwa*,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024.

Kazimierz Maciąg

ŚWIATY MIROWSKIE I NIE TYLKO

Świat wielkiego miasta, jak doskonale wiemy, ma liczne reprezentacje literackie. Może fascynować i przerażać: miasto-molocho, miasto-dżungla, miasto-błokowisko. Skojarzenia negatywne, fatalne i katastroficzne wydają się zdecydowanie dominować nad tymi pozytywnymi lub przynajmniej neutralnymi. Andrzej Bałys w swoim debiutanckim zbiorze opowiadań kreuje świat przedstawiony niezwykle osobisty, prywatny, a wydarzenia w nim się rozgrywające lokuje właśnie, jak to zaznacza w tytule zbioru, w warszawskiej dzielnicy – co na pewno ma też swoje wyraźne konsekwencje artystyczne. Miejski pejzaż wyraźnie zaznacza swoją obecność: „Spojrzałem znowu w szybę. Przestrzeń między wieżowcami wypełniały niższe od nich bloki, odrapane kamienice i nieduże pawilony. Trudno było dostrzec jakikolwiek ład. Poszczególne budynki stały w różnej od siebie odległości. Czasem pod dziwnym kątem”; „Podszedłem do okna. Miasto ciągnęło się po horyzont. Po prawej i po lewej stronie widać było skupiska wieżowców” (s. 156–157).

Wrażenie pewnej przypadkowości, a może nawet chaosu potęgują krótkie, lakoniczne zdania typowe dla narracji Bałysa: „Gmach przypominał zwyczajną czynszówkę. Obok, zamieszkaną przez najgorszy element. Zniechęcającą wyglądem do odwiedziny. Był niższy od otaczających go oficyn. Dlatego niewidoczny z ulicy i wyższych budynków. Mało kto wiedział, gdzie jest. Bomby zburzyły górną salę oraz otaczającą go zabudowę” (s. 98). Tak ukazana architektura miasta niepokoi, a może nawet przeraża – wydaje się odczłowieczona i skrojona na nie ludzką miarę.

Dopełniające tytuł „inne opowiadania” w oczywisty sposób przypominają, że również pierwsza część zbioru („ballady Mirowskie”) reprezentuje gatunek małych form prozatorskich. Całość układa się w zestaw na pewno przemyślany i wykraczający poza ramy genologiczne „opowiadań”. Ta sama sceneria wydarzeń, pierwszoosobowa narracja, bohaterowie wydają się dysponować tym samym życiorysem i tymi samymi doświadczeniami. Fabuła to także jakby na nowo rozwijana opowieść o wydarzeniach przedstawianych z perspektywy doświadczeń jednej postaci. Relacje między bohaterami są fragmentaryczne i przypadkowe. Wszystko to czytelnikowi przypominać może dobrze znaną, większą strukturę gatunkową – powieść.

Scenerię, która jest tłem wydarzeń, trudno nazwać w jakimkolwiek sposób przyjazną – stanowi zagrożenie lub wręcz kojarzy się z dekoracjami do jakiegoś apokaliptycznego dramatu, mającego się za chwilę rozegrać w dzielnicy Mirowskiej. Ale pojawiające w tytule tomu odwołanie do gatunku ballady na pewno zobowiązuje autora do wykorzystania przynajmniej pewnej porcji grozy... W kolejnych opowiadaniach jest jej coraz więcej. Pierwsze z ośmiu z zawartych w książce mieszczą się jeszcze w konwencji opowieści o mieście widzianym w perspektywie niemal realistycznej. W następnych utworach, tak jak w dobrym horrorze (lub w dobrej powieści), atmosfera grozy narasta, a narracja zawiera coraz więcej elementów surrealistycznych, a nawet apokaliptycznych. „Boy” – bohater opowiadania *Jaśmina*, jako dziecko bierze udział w osobliwym święcie inicjacyjnym, w którego finale biesiadnicy wprowadzają się w stan nietrzeźwości:

Czwartego dnia po południu niektórzy podnieśli się i potykając o leżących, wędrowali w poszukiwaniu wody. Część leżących nie żyła. Trzydniowe święto przekazania grzebania i książki

nie tylko wprowadza chłopca w świat ludzi dorosłych. Odnawia także społeczność. Ślabi umierają. Przeżyć mogą jedynie najsilniejsi. Zapewnia to osadzie witalność i powodzenie. Świętość genów. Uroczystości związane z przekazaniem boyowi grzebania i książki pochłonęły szczególnie dużo ofiar. Mieszkańcy uznali to dobry znak. Chłopaka obwołali cudownym dzieckiem. Noszono go na rękach i dotykano. Każdy pragnął mieć jego włos lub jakąś część ciała” (s. 85–86).

Niemal sielankowo zapowiadająca się uczta przeistacza się w koszmar. Kreowanie atmosfery zagrożenia nie jest przypadkowe. Autor konsekwentnie przygotowuje czytelnika do końcowych opowiadań, w których pojawiają się postaci i wydarzenia upewniające go, że porusza się w świecie z pogranicza fantasy i groteski. Obowiązujące w nich zasady i reguły przypominają te, które znamy z antyutopii George’a Orwella i Raya Bradbury’ego, a świat przedstawiony przypomina się w rzeczywistość totalitarną. Bohater *Żartu* tak oto objaśnia prawo obowiązujące mieszkańców dzielnicy wieźcówów: „Ci, którzy w nich pracują, być może nie należą do nikogo. Być może stać ich na wolność. Ale nie wiem na pewno. Łatwo wpaść w spiralę długów. Jeśli ktoś ma, może wtedy sprzedać dziecko. Jeśli nie, trzeba iść na targ i sprzedać samego siebie. Nie brzmi to dobrze” (s. 156). Taki też los spotyka narratora-bohatera opowiadania, który zapewnia nas: „Otrzymałem za siebie mnóstwo pieniędzy. Pomogły mi odkupić od banku mieszkanie mojego przyjaciela” (s. 165). Sprzedaż siebie Właścicielowi, to jednak nie koniec – i bynajmniej nie rozwiązanie – dramatycznych perypetii bohatera.

Nie jest łatwo znaleźć klucz interpretacyjny do *Ballad Mirowskich i innych opowiadań* Bałysa. Autorowi na pewno udało się stworzyć i opowiedzieć oryginalny świat „na krawędzi” – między rzeczywistością, którą znamy (i której elementy nie bez powodu mogą nas przerażać) – a światem już zupełnie odczłowieczonym, totalitarnym, który cał-

kowiec pozbawia jednostkę wolności. Jedno z cytowanych wyżej opowiadań tomu nosi tytuł *Żart*. Andrzejowi Bałysowi udało wykreować alegoryczny świat, który każe czytelnikowi trwać w niepewności, napięciu, zastanowieniu i powątpiewaniu. Czy na pewno żart to żart? I czy tylko żart?

Kazimierz Maciąg

Andrzej Bałys, *Ballady Mirowskie i inne opowiadania*, bw., Warszawa 2024.

Matylda Zatorska

„KWESTIA KOBIECA”

– od wynaturzenia
do konieczności

Problematyka monografii Joanny Dobkowskiej-Kubackiej została precyzyjnie wyłożona w długim tytule: *„Przyszłość czas na ruch kobiet poważnych”. Kampania o prawo do wykształcenia i pracy zawodowej, w tym artystycznej, kobiet wywodzących się z ziemiaństwa i inteligencji w latach 1864–1914 w Królestwie Polskim*. Książka to obszerna (437 stron z bibliografią i ilustracjami) i starannie skomponowana (składa się z dwóch części podzielonych na mniejsze rozdziały i podsumowania), co pozwala na płynne śledzenie zmian zachodzących w myśleniu i pisaniu o walce kobiet o prawo do wykształcenia, pracy zawodowej i artystycznej.

Autorka nie ogranicza się do wskazanego w tytule obszaru Królestwa Polskiego. Zwraca uwagę na przepływ idei emancypacyjnych na łamach prasy oraz podobieństwo kobiecych dążeń na ziemiach polskich wszystkich zaborów. Zawarta w tytule fraza „czas na ruch kobiet poważnych” zarysowuje ważny moment historyczny umożli-

wiający zmianę ról społecznych. Podstawę zawartych w książce rozpoznai stanowi kilkadziesiąt czasopism, głównie periodyków dla kobiet. Najwięcej miejsca Dobkowska-Kubacka poświęca piśmu „*Bluszcz*”, ukazującemu się w latach 1865–1918 i 1921–1939, które uznaje za najważniejsze dla formowania światopoglądu czytelniczek. Koncentruje się na prasowym dyskursie o „kwestyi kobiecej”. Stawia też tezę, że głównym postulatem emancypantek była możliwość studiowania i pracy w zawodach cieszących się społecznym prestiżem.

Rozległość prezentowanych w pierwszej części książki rozważań zapowiada jej tytuł – *Społeczne, kulturowe, ekonomiczne i polityczne tło aspiracji kobiet wywodzących się z ziemiaństwa i inteligencji w 2 połowie XIX wieku w Królestwie Polskim*. Badaczka wskazuje na wyzwajające i formujące kobiece aspiracje powstanie styczniowe oraz idee pozytywizmu. Obszerny podrozdział poświęca rozwojowi i statusowi XIX-wiecznej prasy jako trybuny ścierania się poglądów na kwestię emancypacji kobiet. Śledzi, jak zmienia się stosunek do niej, konfrontując i komentując opinie przedstawicieli i przedstawicieli środowisk konserwatywnych i postępowych. Żywy język i narracja (autorka książki jest powieściopisarką) sprawiają, że znane już z innych publikacji zagadnienia zaciekawiają i angażują. Co wciąż niezbyt częste w feministycznie zorientowanych pracach historycznych, Dobkowska-Kubacka unika zarówno uproszczonego wartościowania, jak i prezentyzmu.

Głównym obszarem badawczym są przemiany prasy dla kobiet, szczególnie w zakresie propagowanych wzorów osobowych. Badaczka wyróżnia wieloletnią redaktorkę „*Bluszcza*”, Marię Ilnicką, której poglądom poświęca najwięcej miejsca, najczęściej je przywołuje i komentuje, zestawiając z innymi głosami z epoki. Polemizuje z krytycznymi opiniami zarzucającymi Ilnickiej zachowawczość poglądów. Podkreśla format jej

osobowości, erudycję, zaangażowanie i wytrwałość. Zwraca uwagę na wysoki poziom czasopisma, którym kierowała, jego wielki wpływ na czytelniczki. Okazuje się, że programy czasopism dla kobiet były podobne w aprobatywnym stosunku do ich praw do nauki i pracy zawodowej. Różniła je retoryka oraz podejście do kwestii kulturowych i społeczno-obyczajowych (z „konserwatywnym” „Bluszczem” porównywano „liberalny” „Świt”, tworzone i krótko redagowane przez Marię Konopnicką).

W kolejnej części publikacji Dobkowska-Kubacka przedstawia edukację kobiet w XIX wieku, podkreślając jej podporządkowanie „rynkowi matrymonialnemu”. Omawia próby regulowania i podniesienia poziomu kształcenia państwowego szkolnictwa dziewcząt od lat 20. XIX wieku, akcentując jego postępującą rasyfikację. W niej upatruje przyczyn wyboru przez rodzinę edukacji domowej dziewcząt lub prywatnych pensji prowadzonych przez działaczki społeczne, przemycające zakazane treści patriotyczne. Przedstawia toczące się w prasie od lat 60. XIX wieku dyskusje o formach i zakresie edukacji kobiecej, w których pojawia się także kwestia kształcenia osób dorosłych. Misję oświatową pełniły wówczas periodyki kobiece, publikujące teksty edukacyjne oraz działające w Królestwie Polskim nieformalne wyższe uczelnie, które nie dawały jednak postulowanych przez emancypantki uprawnień zawodowych.

Dobkowska-Kubacka zajmuje się prasowym dyskursem o polskich studentkach na uczelniach zagranicznych, prezentowanych jako zdeterminowane, pełne poświęcenia, zdobywające w trudnych warunkach przydatną społeczeństwu wiedzę i umiejętności. Omawia mniej znane formy kształcenia się w wyższych szkołach dla kobiet w Petersburgu i Kijowie. Z przyczyn patriotycznych Polki częściej wybierały studia w zachodniej Europie. Pisma kobiece o wiele więcej uwa-

gi poświęcały studentkom kształcącym się w Paryżu czy w Monachium niż tym, które zdobywały wiedzę na kursach medycznych i pedagogicznych w Rosji.

Drugą część pracy otwiera obszerna, wieloaspektowa charakterystyka zawodów dostępnych dla kobiet. Wiele uwagi autorka poświęca kształceniu nauczycielek i trudnym warunkom ich pracy. Wspomina, że często musiały ją łączyć z innymi formami zarobkowania, głównie o charakterze literackim i dziennikarskim. Przywołuje zarówno znane, jak i zapomniane pisarki zatrudnione w czasopismach, utrzymujące się z tłumaczeń i redagowania tekstów. Podkreśla, że prasa kobieca stworzyła środowisko przyjazne aspiracjom twórczym i zawodowym kobiet. Modelową, spełnioną zawodowo i życiowo emancypantką jest dla Dobkowskiej-Kubackiej redaktorka naczelna „Bluszcza”, Maria Ilnicka, co uwypukla jej wzorcowe znaczenie dla kilku pokoleń czytelniczek pisma.

Za „odpowiednie” dla kobiet z niższych klas społecznych zajęcie uznawano prowadzenie domu, wychowanie dzieci i rzemiosło. Zachęcanie do prac manualnych, niewymagających dużych kwalifikacji, sprzyjało zachowaniu *status quo*. Od lat 70. XIX wieku otwierano w Królestwie Polskim wiele szkół i kursów rzemieślniczych, co doprowadziło do nasycenia rynku niewykwalifikowanymi pracownikami. Rzemiosło, propagowane przez pozytywistów i emancypantki, okazało się ślepą uliczką, argumentem przeciwko aktywizacji edukacyjnej oraz zawodowej kobiet i dopuszczaniu ich do pracy umysłowej.

Najciekawsza, przynosząca wiele nieznanych informacji jest część książki dotycząca działalności artystycznej Polek, przedstawiona na tle ogólnoeuropejskiej batalii o możliwość realizacji przez kobiety aspiracji twórczych. Autorka podkreśla, że artyści funkcjonowali w ramach instytucjonalnych, wyznaczanych przez przywilej, autonomię

i autorytet. Niechęć do dopuszczania tam kobiet, tłumaczona odwiecznym porządkiem świata, szczególnością kobiecego powołania do życia rodzinnego częstokroć była podszyta obawą przed konkurencją.

Wartością monografii jest przedstawienie mało znanego obszaru kobiecej aktywności zawodowej na polu sztuki użytkowej, której Dobkowska-Kubacka jest prawdziwą znawczynią. Przybliża dotąd mało znane postacie kobiet uprawiających introligatorstwo, drzeworytnictwo i sztukę zdobniczą. Przedstawicielki sztuk użytkowych nie tylko znalazły sposób na samorealizację, ale umożliwiały rozwój zawodowy i utrzymanie się innym kobietom. Istniejące wówczas szkoły i kursy sztuki użytkowej nie tylko kształciły kobiety, ale pomagały im funkcjonować na rynku pracy, organizowały wystawy. To cenne rozpoznania, wzbogacające stan wiedzy o aktywności zawodowej kobiet i ich znaczącym udziale w rozwoju polskiej sztuki użytkowej.

Zachęcanie kobiet do uprawiania rzemiosła artystycznego miało w zamyśle konserwatystów powstrzymać ich aspiracje do sztuki wysokiej. Nie zdołało tego uczynić, o czym świadczą szybko rosnące grono profesjonalnych artystek. Autorka przedstawia możliwości kształcenia artystycznego kobiet od lat 60. XIX wieku, wskazując ich wyjazdy na studia za granicą (w tym do Rosji) jako wyraz ich determinacji w dążeniu do uprawiania sztuki. Porusza też kwestię kształcenia koedukacyjnego na równych zasadach dla obu płci oraz różnic poglądów na ten temat między emancypantkami.

W kolejnym podrozdziale badaczka przywołuje liczne i dobrze znane argumenty przeciwników dopuszczenia kobiet do „sztuki wysokiej”, oparte na oskarżeniach o brak odwagi i kreatywności, brak umiejętności warsztatowych, dyktantyzm, a także głosy obrończyń kobiecych aspiracji, wskazujących, że warunki życia, formacja i edukacja kobiet, dominujące poglądy o ich „naturze”,

stojące na ich straży prawo, nie pozwalały im na zdobywanie wykształcenia, ograniczały samodzielność, nie kształciły hartu ducha. Autorka charakteryzuje gatunki malarstwa preferowane przez artystki: portret, kompozycje kwiatowe, motywy religijne, pejzaż. Porusza kwestię ówczesnej hierarchii ich ważności – na jej szczycie znajdowały się wielkie kompozycje historyczne. Kobiety wybierały tematy bardziej kameralne z przyczyn praktycznych i ekonomicznych, nie z powodu braku umiejętności, jak sugerowali krytycy ich twórczości. Często też poprzestawały na nich z powodów obyczajowych, gdyż próby ich przekroczenia wywoływały ostre reakcje krytyki i publiczności – wyśmiewanie i karykaturowanie artystek, dezawuowanie umiejętności, podważanie moralności. Ówczesna prasa jednakże, co podkreśla badaczka, odegrała ważną rolę w zwiększaniu akceptacji społecznej dla aspiracji artystycznych kobiet, a informacje o ich wystawach, nagrodach i sukcesach, aprobatywne opinie męskich autorytetów wpływały na zmianę społecznych oczekiwań i złagodzenie sądów krytycznych.

Ostatni krąg zagadnień książki Dobkowskiej-Kubackiej stanowi prezentacja karier zawodowych kobiet w dziedzinach uznawanych za męskie. Badaczka zwraca uwagę na aprobatę dla kobiet zajmujących się fotografią w przeciwieństwie do pracy pierwszych lekarek, napotykać często na społeczny opór i prawne trudności. Zdobywaniu przez kobiety kolejnych przyzółków zawodowych kibicowała prasa proemancypacyjna, informująca o sukcesach lekarek, uczonych, artystek, fotografek i urzędniczek („biuralistek”). Symboliczną cezurą realizacji przez „kobiety poważne” swoich celów badaczka uczyniła rok 1904, gdy otwarto koedukacyjną Szkołę Sztuk Pięknych w Warszawie. Możliwość zarobkowania i kształcenia się sprawiła, że kobiety zaczęły uwalniać się od kurateli rodziny i męża, mogły pracować i tworzyć jako osoby niezależne.

Rozpoznania Dobkowskiej-Kubackiej recepcji zawodowej pracy kobiet na łamach prasy wskazują, że ze zjawiska uchodzącego za przeciwne kobiecej naturze stała się ona koniecznością. Autorka umiejętnie łączy warsztat badawczy historyczki, historyczki sztuki, prasoznawczyni i feministycznie zorientowanej socjolożki. Publikacja jest starannie zredagowana, wyróżnia się nieprzeładowanym terminologią, żywym stylem i pozbawioną dłużyzn, wciągającą narracją. Ma charakter naukowy, ale jest napisana przystępnie i przed-

stawia tematy słabiej obecne w dyskursie emancypacyjnym i historii kobiet. Wskazuje też interesujące kierunki dalszych badań.

Matylda Zatorska

Joanna Dobkowska-Kubacka, *„Przyszłość czasu na ruch kobiet poważnych”. Kampania o prawo do wykształcenia i pracy zawodowej, w tym artystycznej, kobiet wywodzących się z ziemiaństwa i inteligencji w latach 1864–1914 w Królestwie Polskim*, Wydawnictwo Avalon, Kraków 2024.



Fot. Grażyna Zając

Cypr, kolumna w opactwie Bellapais, XII–XIII w.

KRONIKA

SZLACHETNE BIBLIOFILSTWO

Jan Wolski kawalerem Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem

Bibliofilia to pasja ludzi żyjących w świecie książki, zaś bibliofile to strażnicy i propagatorzy jej kultu. Uświadamiają oni innym, że książka i wynalazek druku są nieprzemijającymi wartościami, nośnikami myśli i wartości estetycznych, zasobów pięknego ducha (w obecnej dobie także tego cyfrowego), zachwycających opraw, wyważonych układów stron, ilustracji, najkrócej rzecz ujmując: wyjątkowej wśród ludzkich osiągnięć architektury książki i wszelkich druków. To także wszystko to, co dzieje się wokół książki i z nią się wiąże, na przykład księgoznaki czyli ekslibrisy, zakładki do książek, biblioteki i bibliotekoznawstwo, ruch wydawniczy i drukarstwo, edukacja i upowszechnianie.



Fot. Michał Świątek

Jan Wolski z Orderem Białego Kruka ze Słonecznikiem

Bibliofile dbają o rozwój kunsztu drukarskiego, podnoszenie poziomu druków, kształt graficzny i typograficzny książek oraz akcydensów (zaproszeń, katalogów, folderów itp.), kształtowanie smaku graficznego po to, by znaleźć dla określonej treści odpowiednią formę. Zajmują się także kultywowaniem i wspieraniem kolekcjonerstwa pięknych, cennych druków, małych form graficznych, organizowaniem wystaw, spotkań, wykładów, prelekcji, służących tak edukacji, jak i umacnianiu łączności i przekonania o słuszności podejmowanych działań.

Bibliofilstwo służy jednoczeniu miłośników i zbieraczy książek, pomaga w starannie przemyślanym doborze, uczy poszanowania książki i troski o właściwy sposób jej wytwarzania, zabezpieczania i wykorzystywania. To „żarliwe umiłowanie ksiąg”, bowiem w nich tkwi „skarb mądrości i wiedzy, po który ludzie z naturalnego sięgają instynktu”, a który to skarb „niezmiennie przewyższa wszystkie bogactwa świata” – jak można przeczytać w XIV-wiecznym traktacie *O miłości do ksiąg* Ryszarda de Bury, spolszczonym przez Jana Kasprowicza. Przed i po wynalazku druku Gutenberga książka była zawsze nośnikiem niezniszczalnej myśli. Od najgłębszej starożytności, od wynalezienia pisma, długa historia książki i bibliofilstwa stanowi organiczną część kultury powszechnej i warunek jej ciągłości, jako wciąż aktualny sposób komunikacji międzyludzkiej w czasie i przestrzeni.

Bibliofile dbają, aby nie zapomniano o wartościach, które pozwalają czynić świat piękniejszym, bliższym prawdy i dobra. Pieczętują się najchętniej godłem Białego Kruka, rzadkiego i trudno uchwytного ptaka, będącego symbolicznym strażnikiem tajemnic (to też aluzja do nazwy rzadkich i cennych książek nazywanych białymi krukami). Bibliofilstwo jest jedną z form dochodzenia do mądrości. Źródnicowane osobowości bibliofilów spotykają się w woli służenia książkom, ich kolekcjonowaniu i aktywności na ich rzecz, ponieważ to one dostarczają umysłowi najwyższych rozkoszy. Kartezjusz w *Rozprawie o metodzie* napisał: „czytanie wszelkich dobrych książek jest niby rozmowa z najgodniejszymi ludźmi minionych wieków, będącymi tych książek autorami”, zaś bohater *Fausta* J.W. Goethego wyznawał:

*Nierównie miłsze umysłu rozkosze
Gdy się od księgi do księgi przenoszę
Z karty na kartę oczyma przebiegam
Albo szacowny pergamin rozwinę,
Szczęśliwy, w późną za północ godzinę
Długiej zimowej nocy nie spostrzegam.*

Szlachetna pasja bibliofilska nie polega zatem na zdobywaniu i gromadzeniu książek. Troška o książkę powinna służyć duchowemu i intelektualnemu pożytkowi. To szczerza pasja i pożyteczne oddziaływanie, a nie tylko hobby i zabawa pięknoduchów. Chodzi o to, aby dobra i piękna książka stała się dobrem powszechnym, ponieważ bibliofile to nie tylko smakosze i koneserzy, ale i kustosze książek przekonani, że ich kryzys oznacza zawsze regres całego społeczeństwa. Bibliofilstwo jest szlachetną biblioterapią, zaś Biały Kruk ma podobnie ozdrowieńczą moc jak mityczny Feniks.

22 listopada 2024 roku w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie odbyła się *Przedwieczerz bibliofilska*, podczas której Orderem Białego Kruka ze Słonecznikiem (*Signum Albi Corvi cum Heliantho*) został uhonorowany Jan Wolski, profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, redaktor „Frazy”, wydawca i redaktor większości (wartościowych i pięknych) książek serii Biblioteka „Frazy”. Order przyznano po raz 45 i taki numer z imieniem i nazwiskiem odznaczonego wygrawerowano na jego odrodcie. Odznaczenie jest przyznawane przez Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki raz w roku za wybitną działalność biblio-

filską i pracę na rzecz upowszechniania książki i literatury. Projekt odznaczenia i medaliony wykonał Włodzimierz Wilhelm Hess. Order stanowi zawieszony na niebiesko-białej wstędze emaliowany na zielono trójkąt (o wymiarach 5x5x5cm) z wyobrażeniem stylizowanego białego kruka. U dołu trójkąta podwieszony jest złocisty medalion wyobrażający kwiat słonecznika. W rogach trójkąta znajdują się litery SAC (*Signum Albi Corvi* – znak Białego Kruka).

Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki powstało w czerwcu 1926 roku i jest jednym z najstarszych towarzystw kulturalnych w Polsce. Jego pierwszym prezesem był ks. dr Ludwik Zalewski, wykładowca i bibliotekarz Seminarium Duchownego w Lublinie, zaś członkami-założycielami m.in. Józef Czechowicz, profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: Zygmunt Kukulski, Julian Krzyżanowski, Feliks Araszkiewicz oraz wojewoda lubelski Antoni Remiszewski. Celem Towarzystwa była i jest popularyzacja książki, prowadzenie działalności badawczo-naukowej i wydawniczej, organizowanie wystaw druków i ekslibrisów. W lipcu 1952 roku, na skutek decyzji ówczesnych władz, Towarzystwo zawiesiło działalność, podobnie krakowska kapituła Rycerskiego Orderu Białego Kruka. Obecna tradycja przyznawania odznaczenia sięga roku 1976, kiedy odnowione Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książek postanowiło nawiązać do krakowskich tradycji i nagradzać tych, którzy poświęcają się promocji książki i czytelnictwa. Order jest symbolem wytrwałości w działalności bibliofilskiej. Dodanie do orderu słonecznika miało odróżnić nagrody lubelskie od krakowskich. Był to wybór nieprzypadkowy – nawiązano do pierwszej polskiej książki wydanej w Lublinie w drukarni Pawła Konrada w roku 1630 – Jeremiasza Drexeliusa *Słonecznika albo porównania woli ludzkiej z wolą bożą*.

Członkami Towarzystwa były i są osoby różnych profesji: bibliotekarze, filolodzy, historycy, przyrodnicy, archeolodzy, drukarze, dziennikarze, lekarze, pisarze, działacze kultury. Każdy z nich inaczej patrzy na książkę, czym innym jest dla niego uміłowanie słowa. Jedni są kolekcjonerami dzieł rzadkich ze względu na datę wydania, ich treść, układ typograficzny, tematykę, inni kolekcjonują autografy autorów, ekslibrisy, artystyczne oprawy intrologatorskie, zakładki do książek itp., jeszcze inni preferują określony typ literatury, np. literaturę popularną, regionalia. Są wśród nich osoby zafascynowane odnajdywaniem zapomnianych utworów, publikowanych w dawnych, mało znanych czasopismach czy istniejących wyłącznie w rękopisach.

Wśród dotychczas odznaczonych znaleźli się: Wiktor Hermeneges Ziółkowski, muzealnik i kolekcjoner, barwna postać powojennego Lublina, wybitny tłumacz Karl Dedecius, znakomity historyk profesor Aleksander Gieysztor, przez pewien czas także członek kapituły orderu, zasłużone bibliotekarki: Maria Gawarecka, Halina Wolska, Ewa Hadrian, ks. Antoni Liedtke, który uratował tzw. Biblię Pelplińską, jeden z nielicznych zachowanych w całości egzemplarzy Biblii Gutenberga, archeolog i geograf profesor Jan Gurba, księgoznawca i antykwariusz Michał Hilchen, polarnik i autor linorytów Zbigniew Józwick, Hetman Polskich Kolekcjonerów Ekslibrisu Mieczysław Bieleń, prawnik Andrzej Malinga, Henryk Wójcik, osiadły w Kanadzie kolekcjoner poloników i rzadkich druków, edytor unikatowych książek.

Rytuał dekoracji ma podniosły charakter. Za stołem pokrytym suknem siedzi pięć osób ubranych w ciemne togi, na tle których odcinają się trójkątne medaliony, zawieszane na błękitnych wstęgach. Przewodzi Wielki Kanclerz, pomaga mu Pieczętarz oraz troje członków Kapituły Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem, zwanych Heliantami. Na stole płonie świeca i leży księga, którą w tym roku był tom wierszy Bolesława Leśmiana, położony jest także order podobny do tych, które członkowie kapituły noszą na piersiach. Wielki Kanclerz rozpoczyna ceremonię: przedstawia kandydata do uhonorowania Orderem Białego Kruka ze Słonecz-

nikiem. Musi on złożyć przed Kapitułą przysięgę. Przyklęka na jedno kolano i kładąc dłoń na wspomnianej księdze, wygłasza formułę łacińskiej przysięgi: *In terram, mare, sideraque iuro libros propios et alienos in honore magna habere et nunquam ab eo iuramento discere, semperque eos cum aestimatione magnoque cultu tractare* [Na ziemię, morze i gwiazdy, przysięgam, że będę szanował moje i zagraniczne księgi, wyciągnę wnioski z tej przysięgi i zawsze będę je traktować z wielkim szacunkiem i czcią]. Wielki Kanclerz nakłada mu order na wstędze oraz biret i mówi: Pasuję cię na kawalera Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem. Kapituła wznosi toast na cześć nowego kawalera orderu, a następnie dzieli wielki bochen chleba pomiędzy zebranych, którzy także wznoszą toast, a uhonorowany ma czas na podziękowania.

Jan Wolski został przyjęty w poczet Dam i Kawalerów mogących poszczycić się tym pięknym, cennym i wyjątkowo bliskim sercu każdego bibliofila odznaczeniem, do grona, które członkinie i członków, niezależnie od wieku i wykonywanego zawodu, łączy jedna pasja: umiłowanie książki w jej rozlicznych formach, postaciach, obszarach i skalach oddziaływania. Wiedzą oni, że czas poświęcony księgom nie jest czasem zmarnowanym, bowiem książka służy nauce, działalności społecznej, jest namiętnością indywidualną i ma także wymiar artystyczny.

Redakcja „Frazy” z wielką pomocą laureata J.W.

LINGUA ADAMICA

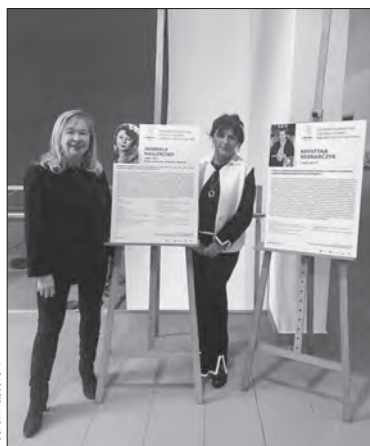
Konferencja naukowa o twórczości Adama Czerniawskiego

W dniach 6–7 grudnia 2024 roku na Uniwersytecie Rzeszowskim odbyła się ogólnopolska konferencja naukowa *Lingua Adamica. Życie i twórczość Adama Czerniawskiego*. Była to już trzecia konferencja z cyklu „Kontynenty” organizowana wspólnie przez Instytut Polonistyki

i Dziennikarstwa UR oraz Instytut Polonistyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Tym razem poświęcona została twórczości Adama Czerniawskiego (1934–2024), niedawno zmarłego poety, prozaika, eseisty, krytyka literackiego, tłumacza i promotora literatury polskiej na świecie, który był jednym z najciekawszych emigrantów powrześniowej emigracji niepodległościowej.

Cykl konferencji naukowych pod hasłem „Kontynenty” jest wspólną inicjatywą Uniwersytetu Rzeszowskiego oraz Uniwersytetu Śląskiego, poświęconą twórczości literackiej poetów i pisarzy związanych niegdyś z londyńskim czasopiśmie „Kontynenty” i zawiązaną wokół niego grupą poetycką. W ramach tego cyklu w latach 2016 i 2018 zorganizowane zostały dwie konferencje naukowe na temat twórczości Andrzeja Buszy i Bogdana Czaykowskiego. Ich naukowy plon przyniosły wydane niedługo potem monografie: *Kontynenty. T. I. Studia i szkice*

Fot. J. Pasternski



Regina Wasiak-Taylor i Jolanta Pasternska na wystawie *Znane i nieznanie. Polskie pisarki emigracyjne 1939–1989*

Fot. Archiwum J. Pasternskiego


 Uczestniczki i uczestnicy konferencji *Lingua Adamica*

o twórczości Andrzeja Buszy pod redakcją Mariana Kisiela i Janusza Pasternskiego (Katowice-Rzeszów 2019) oraz *Kontynenty. T. 2. Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego* pod redakcją Magdaleny Rabizo-Birek i Bożeny Szałasły-Rogowskiej (Katowice-Rzeszów 2021). Sesja *Lingua Adamica*, której temat przewodni miał łączyć się tym razem z twórczością Adama Czerniawskiego, została zaplanowana dla uczczenia 90. urodzin poety, ale intencja ta okazała się, niestety, spóźniona, gdyż 29 lutego 2024 roku przyszła wiadomość o jego śmierci. Z tym większym jednak przekonaniem organizatorzy podjęli decyzję, aby w tej sytuacji konferencja stała się upamiętnieniem zmarłego poety, którego rozległy dorobek twórczy zasługuje na wszechstronne zainteresowanie, uwagę i przypomnienie, gdyż zamieszkały poza krajem Adam Czerniawski pozostawał wciąż twórcą niedostatecznie znanym i docenionym.

W konferencji wzięło udział 24 uczestników z kraju i zagranicy, reprezentujących ośrodki zajmujące się badaniem polskiej literatury emigracyjnej: Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, Uniwersytet Rzeszowski, a także University of British Columbia w Vancouver (Kanada) oraz Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie (Londyn, Wielka Brytania). Gościem specjalnym konferencji była Regina Wasiak-Taylor, Prezes londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Patronat honorowy nad konferencją objęli: JM Rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Komisja Historycznoliteracka PAN Oddział w Katowicach, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie oraz Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”. Patronami medialnymi zostały natomiast czasopisma: „Fraza”, „Postscriptum Polonistyczne”, *Tematy i Konteksty* oraz „Śląsk”.

Motywy przewodnim wystąpień badaczy w pierwszym dniu konferencji było hasło „Promotor literatury polskiej, krytyk, tłumacz, przyjaciel”. Wygłoszone referaty dotyczyły właśnie do tych obszarów aktywności twórczej Adama Czerniawskiego. Marian Kisiel przedstawił swoje refleksje osnute wokół elegii intymnych autora *Polowania na jednorożca*. Regina Wasiak-Taylor omówiła związki poety z londyńskim środowiskiem literackim a Janusz Gruchała przybliżył jego kontakty z Oficyną Poetów i Malarzy. Krytyce literackiej Adama Czer-

niańskiego swoją uwagę poświęcili Rafał Moczkoćan i Jan Wolski, natomiast jego tłumaczenia analizował Arkadiusz Luboń. W sesji popołudniowej z kolei Beata Tarnowska poruszyła temat epistolografii Czerniawskiego, Jakub Osieński omówił jego krytycznoliterackie wypowiedzi na temat Jana Lechonia, zaś Magdalena Kokoszka zajęła się analizą koncepcji wydawniczej *Poezji zebranych*. Akcentem zamykającym tę część konferencji były wzruszające wystąpienie Magdaleny Gniatczyńskiej, poświęcone przyjaźni jej ojca, Wojciecha Gniatczyńskiego, z Adamem Czerniawskim, oraz Andrzeja Buszy, który połączył się z uczestnikami konferencji z Kanady, poety i przyjaciela bohatera sesji jeszcze z czasów istnienia czasopisma „Kontynenty” i grupy poetyckiej o tej nazwie.

Obrady drugiego dnia konferencji odbywały się pod hasłem „Prozaik, eseista i poeta”. Rozpoczęła je Jolanta Pastarska od interpretacji wspomnieniowej książki Czerniawskiego *Fragmenty niespokojnego dzieciństwa*. Następnie uwaga uczestników konferencji skupiła się na zbiorach opowiadań, które omówiły Ewa Bartos i Agnieszka Nęcka-Czapska, a także tomie rozmów Czerniawskiego i jego przyjaciela Bogdana Czaykowskiego *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*, analizowanym przez Grażynę Maroszczyk.

Najobszerniejszą część obrad poświęćona została twórczości poetyckiej Adama Czerniawskiego. Podjęto zarówno problemy przekrojowe, jak i tematy szczegółowe, sięgnięto do wątków biograficznych, zaprezentowano ujęcia komparatystyczne, dzieje recepcji, zbadano także materiały rozproszone. Magdalena Rabizo-Birek zajęła się autoportretami poetyckimi Czerniawskiego, Justyna Budzik aspektami wizualnymi jego wierszy, Elżbieta Mazur ich ekfrazystycznym wymiarem. Wiele uwagi poświęćono interpretacji poszczególnych wierszy. Swoje odczytania utworów zaprezentowali: Joanna Kisiel (*Jesień*), Alicja Jakubowska-Ożóg (*Pogłosy milczenia*), Zenon Ożóg (*Portret rodzinny*). Dialogi artystyczne Adama Czerniawskiego i Andrzeja Buszy z dziełami Paula Klee scharakteryzowała Bożena Szałasta-Rogowska, a Janusz Pastarski podjął namysł nad kwestią poezji i języka w jego wierszach. Wiele cennych uzupełnień i uwag padło w czasie dyskusji toczonych po zakończeniu poszczególnych sesji. Trafiały one zapewne do pisemnych wersji przedstawionych referatów. Dorobek naukowy konferencji zostanie opublikowany w monografii, której wydanie jako trzeciego tomu serii „Kontynenty” zostało zaplanowane na rok 2026.

Konferencji towarzyszyła wystawa „Znane i nieznane. Polskie pisarki emigracyjne 1939–1989”, przedstawiająca wybrane życiorysy polskich pisarek emigracyjnych, które w latach 1939–1989 znalazły się poza granicami ojczyzny. Wystawa powstała w ramach realizacji projektu naukowego *Słownik biograficzny polskich pisarek emigracyjnych 1939–1989* realizowanego w Instytucie Polonistyki i Dziennikarstwa UR przez: Erwinę Dybisz, Krystynę Giełarek-Gorczyć, Annę Jamrozek-Sowę, Agatę Paliwodę i Annę Wal pod kierunkiem Jolanty Pastarskiej (strona projektu: www.polskiepisarkiemigracyjne.pl).

Janusz Pastarski

KRYZYS CZY PRZESILENIE?

XX OKP. im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2024

W roku 2024 na XX edycję Ogólnopolskiego Konkursu im. Kazimierza Ratonia organizowanego co roku przez Galerię Współczesną Biura Wystaw Artystycznych w Olkuszu, któremu kwartalnik „Fraza” patronuje od drugiej edycji, nadeszło zaledwie dwadzieścia jeden zestawów poetyckich – najmniej w jego dotychczasowej historii, co z pewnością oznacza kryzys imprezy. A przecież udział w niej może przynieść osobom piszącym wiersze nie tylko (raczej symboliczne) nagrody pieniężne i prezentację wierszy laureatów we „Frazie” (z komentarzem reprezentującego/-cej redakcję jurora/-ki), ale też wydanie tomiku poetyckiego zwycięzcy/zwyciężczyni, zredagowanego zazwyczaj przez znakomite poetki i poetów z gremiów jurorskich konkursu. Książkę tę zwyczajowo recenzuje na łamach „Frazy” wnikliwy czytelnik poezji Ryszard Mścisz, któremu niestraszna jest żadna, nawet najbardziej hermetyczna dykcja. Zażartował ostatnio, że staje przed coraz trudniejszymi ratoniowymi wyzwaniami, gdy po recenzji *Analfabety* Piotra Przybyły przyszło mu się zmierzyć z... *Popierdoliem* Beaty Nicoś-Trenk. W tym numerze „Frazy” wnika w metaforyczne, gramatyczne i interpunkcyjne szyfry interesującego debiutu laureatki XIX edycji konkursu, Izabeli Poniatowskiej, *nożyce papier*.

Zabrakło podczas uroczystego finału tej edycji, która odbyła się 14 grudnia 2024 r. w pełnej obrazów Galerii Sztuki Współczesnej BWA (wiele z nich zdobi okładki ratoniowych tomów), debaty podsumowującej dorobek dwudziestu lat konkursu, a byłoby o czym dyskutować i co wspominać... W tym czasie pojawiły się dwa pokolenia literackie, wyłoniono kilkadziesiąt laureatek i laureatów, wydano dwadzieścia tomów poezji, zorganizowano dwadzieścia finałowych imprez, odbyły się burzliwe rozmowy w zmieniających się gremiach jurorskich (w których najbardziej niezmienną personą była pisząca te słowa). Gawędy o patronie konkur-



Fot. Agnieszka Żub

M. Rabizo-Birek, J. Mueller, O. Dziechciarz, M. Jurkowska podczas finału
XX OKP im. K. Ratonia, GSW BWA w Olkuszu, 14.12.2024

su – Kazimierzu Ratoniu – głosił jego przyjaciel, nieodżałowany Bogdan Dworak, a jego misję kontynuuje Magdalena Boczkowska, autorka książki o tragicznym poecie, edytorka jego dzienników i pism krytycznych. Odbłyło się wiele niezapomnianych spotkań z twórcami, jurorami i przyjaciółmi konkursu: Olgerdem Dziechciarzem, Łukaszem Jarosem, Sławomirem Elsnerem, Kariną Stempel, Aleksandrą Zub, Markiem Krystianem Baczewskim, Miłosem Biedrzyckim, Jackiem Podsiadłą, Eugeniuszem Tkaczyszynem-Dyckim, Radosławem Kobierskim, Martą Podgórną, Julią Fiedorczuk, Krzysztofem Śliwką, Joanną Oparek, Sławomirem Płatkem, Krzysztofem Siwczykiem, Maciejem Meleckim i Agnieszką Czyżewską.

Przez lata próbowaliśmy z Januszem Pasterskim, który także był jurorem konkursu, scharakteryzować poetyki zwyciężskich zestawów, określić tematyczne i problemowe dominanty wierszy. Mieliliśmy więc w konkursie: mrocznych imaginistów i krytycznych realistów, lingwistów i neoklasyków (tych najmniej i rzadko na podium), pogrobowców awangardy, pojęcie obiektywnej i wysyp poematów prozą. Wychwytywaliśmy i katalogowaliśmy gorące tematy współczesnej poezji. Obserwowaliśmy taktyki bywalców i bywalczyń konkursów w staraniach o zwycięstwo (i kilkoro z nich się takiego tryumfu doczekało). Nie brakowało też (małych) skandali. Jeden z uczestników nadesłał na konkurs kilka zestawów wierszy pod różnymi godłami, z których trzy różne jurorzy nominowali do nagród... Inny, choć zwyciężył, nie chciał wydać tomiku (z czego skorzystał laureat II nagrody), ale nie zrezygnował z dalszego udziału w konkursie. Mieliliśmy nad czym dyskutować i trzeba było modyfikować regulamin konkursu.

W gronie laureatów i laureatek konkursu było wiele znanych, choć często niedocenionych postaci polskiej poezji (i literatury): Arkadiusz Stosur, Krystyna Myszkiewicz, Teresa Radziejewicz, Izabela Kawczyńska, Marcin Orliński, Bohdan Sławiński, Paweł Podlipniak, Radek Wiśniewski, Janusz Radwański, Monika Brągiel, Bartosz Konstrat, Łucja Dudzińska, Wojciech Roszkowski, Tomasz S. Mielcarek, Marta Tomczyk-Maryon, Aleksander Wierny, Piotr Piątek, Ewelina Kuśka, Łukasz Barys, Łukasz Kazimierzczak vel Łucja Kuttig, Tomasz Pierzchała, Maciej Filippek. Okazało się, że bez premedytacji utrzymujemy parytety, nawet kiedy prześmyśli konkursowicze usiłowali wywieść nas w pole, swobodnie żonglując (lub pomijając) formy podawcze wierszy. Kilka lat temu w gronie jurorskim składającym się z samych kobiet nagrodziłyśmy pięciu mężczyzn i tylko jedną kobietę... Na razie nie udało się zwieńczyć dobrej marki konkursu prestiżowymi nagrodami dla tomów laureatów (choć zdarzały się nominacje do nich). A może: jeszcze się nie udało? Mimo symptomów kryzysu konkursu organizatorzy nie rezygnują z jego kontynuowania.

Konsekwencją niewielkiej liczby zgłoszonych na konkurs zestawów była decyzja organizatorów, by przyznać w 2024 tylko jedną nagrodę główną i dwa wyróżnienia, bez zwyczajowego podania osób nominowanych do nagród. Jury w składzie: Piotr Kępiński, Joanna Mueller (przewodnicząca), Magdalena Rabizo-Birek po konstruktywnej, mailowej dyskusji postanowiło nagrodzić Annę Marię Wierchucką (godło Aksolotł drutowiec), a wyróżnienia przyznać Rafałowi Skoniecznemu (2_końce) i Marcie Jurkowskiej (Asparagus). Joanna Mueller zauważyła podczas finału, że poziom konkursu był wysoki. Dyskutowaliśmy o połowie nadesłanych tomików, czyli mniej więcej takiej samej liczbie, którą wyłania się przy o wiele większej liczbie uczestniczących (zazwyczaj na olkuski konkurs napływa od 60 do 100 zestawów wierszy).

Przewodnicząca jury zaproponowała, by – jak zawsze – każdy z jurorów krótko uzasadnił swoje wybory i zauważyła podczas finału, że mogłyby być one blurbami tomików laureatów. Rafał Skonieczny i Marta Jurkowska mają już w dorobku tomiki poetyckie i motywacją

ich udziału w konkursie była nadzieją na zwycięstwo i wydanie w „dobrej firmie” kolejnego tomu. Dla Anny Marii Wierzychuckiej główna nagroda będzie okazją do ponownego debiutu – w 2015 roku opublikowała tom *Włókien pełna* – wydany jako główna nagroda w Konkursie Poetyckim „O Granitową Strzałę” przez Strzebiński Dom Kultury. W międzyczasie zdobyła m.in. wyróżnienie w konkursie „Nowy Dokument Tekstowy” oraz nominację do Nagrody Dużego Formatu.

Na zakończenie kilka propozycji blurbów dla laureatów XX edycji konkursu:

Aksolotł drutowiec – to mocne pisanie, świadome językowo, a zarazem bardzo organiczne, do tego z silnym zaangażowaniem w kwestie społeczno-polityczne, ale bez skazy publicystyki, co się chyba udaje dlatego, że jest to wszystko (wojny, konflikty, kryzysy) filtrowane przez jednostkowe doświadczenie, mocno upłciwione, bo jednak ta feministyczna perspektywa jest tu bardzo silna. To zdecydowanie mój faworyt. Dobre, zwarte wiersze, pisane bez nadmiaru, ostre, w punkt, a przy tym – wiersze o czymś, interwencyonistyczne, wyczulone na świat, a nie tylko na własne ego.

2_końce – widać tutaj ogrywanie przeżycia (strata ojca), ale prywatna perspektywa nie narzuca się lamentem czy rozdzieraniem szat – dzięki temu te wiersze jeszcze bardziej poruszają. Byłabym ciekawa całości.

Asparagus – tutaj ciekawie odślania się codzienne życie, prywatna perspektywa, ale jako czytelniczka mam poczucie, że to wiersze niekiedy zbyt naiwne, a kiedy indziej z kolei jakoś pouczające, umoralniające; a ja nie lubię, gdy mi to ktoś robi wierszami.

Joanna Mueller

Aksolotł drutowiec. Bardzo pachnąca ta poezja (czuć liście, trawę – zgniłą trochę), w której ciekawe zespolenie światów męskiego i żeńskiego, żywego i martwego – taka trumna, w której nie do końca ostygłe jeszcze ciało styka się z przedmiotami, które je otaczały.

Asparagus. Niespokojne, bolesne, przeszywające wiersze, w dobrym tego słowa znaczeniu. Reportażowe prawie.

Piotr Kępiński

Aksolotł drutowiec (co to jest?) – w tych wierszach odnajduję wiele z tego zepsutego, przewartego wojną świata z kobiecej perspektywy i niepowiedzanego dosłownie, a przez sugestię i metafory. To wiersze intrygujące, poetyckie, brzmiające, co jest dla mnie ważne w poezji, np. świetny *to nie jest świat dla starych mitów*.

Asparagus – czy można zrobić ciekawą poezję w poetyce horroru? Można, co widać po tym zestawie wierszy. Spójny zestaw, w sam raz na Zaduszki. Bardzo mnie poruszył obraz zamykający wiersz *News*: „Byłam jak potrącona wiosną sarna / której w brudnym, lepkim śniegu / topniało życie”. To jest aplikacja popkultury do poezji, wzięta poważnie przez autorkę/-ra, nie tylko jako jej krytyczna wiwisekcja.

Magdalena Rabizo-Birek

AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

CLAIRE ANGELIDOU [Κλαίρη Αγγελίδου]

(1932–2021), poetka, prozaiczka, tłumaczka, polityczka i działaczka społeczna. Urodziła się w Famaguście na Cyprze. Ukończyła filologię grecką na Uniwersytecie Ateńskim. Pracowała jako nauczycielka literatury w szkołach średnich. W 1991 została posłanką z ramienia Demokratycznej Partii Zjednoczenia (gr. Δημοκρατικός Συναγερμός). W latach 1993–1997 była ministrami edukacji i kultury. Autorka pięciu tomów poezji, m.in.: *Ποιήματα* (Wiersze, 1967), *Του Ξεριζωμού* (Wyorzonenienie, 1976), *Νόστιμον Ημια* (Smakowity Dzień, 1982). W swoich wierszach podejmowała tematy związane z miłością, tożsamością, naturą oraz historią Cypru. Uczestniczyła w wielu projektach mających na celu promowanie literatury i sztuki na Cyprze, wspierała młodych twórców i twórczynie.

LILI AWGI [Λίλλη Αυγή]

Ur. w 1980 w Bułgarii. Studiowała w Nikozji i Atenach, mieszka w Nikozji. Pisarka grecko-cypryjska. Piszze poezję, mikroopowiadania i scenariusze filmów krótkometrażowych, a także sztuki teatralne, wystawiane na Cyprze. Tłumaczy literaturę bułgarską, jej utwory zostały przełożone na języki: angielski, hiszpański, włoski i turecki.

TANER BAYBARS

(1936–2010). Ur. w Nikozji. Po skończeniu liceum pracował w brytyjskiej bibliotece wojskowej w Nikozji. W 1956 wyemigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie do emerytury w 1988 był bibliotekarzem w British Council. Po przejściu na emeryturę przeniósł się do Francji. Był poetą angielskojęzycznym, tylko pierwszy tomik poetycki (1954) i wspomnienia (1997) wydał po turecku. W swoich wierszach łączył tureckie, angielskie, starogreckie i łacińskie tradycje poetyckie. Tłumaczył dzieła literatury tureckiej na język angielski.

JAN BELCIK

Ur. w 1960 w Dukli. Poeta, krytyk. Opublikował tomy poezji: *W cieniu Cergowej* (1989), *Fotografie (nie)przypadkowe* (1995), *Incognito* (2001), *Inne cienie* (2009), *Drugi brzeg* (2013), *Cienie Getsemani* (Biblioteka „Frazy” 2017), *Jeszcze inne cienie* (2022). Jego wiersze znalazły się w dwujęzycznej, polsko-węgierskiej antologii *Złoto aszu* (2003). Współautor z Markiem Petrykowskim i Wacławem Turkiem antologii *Krosno i okolice* (2019). Jest laureatem ogólnopolskich konkursów literackich. Prezentował swoją twórczość poetycką i krytycznoliteracką na łamach pism ogólnopolskich i lokalnych (m.in. „Gazeta Wyborcza”, „Fraza”, „Nasz Dom Rzeszów” „Odra”, „Topos”, „Twórczość”) oraz na antenie Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Laureat

Nagrody Miasta Krosna (2019). Jego wiersze przetłumaczono na języki węgierski, słowacki i serbski. Mieszka w Krośnie.

MAŁGORZATA BOROWSKA

Prof. dr hab., filolożka klasyczna, bizantyńska i nowogrecka. Autorka akademickich podręczników do starej i nowej greki, założycielka Pracowni Studiów Helleńskich oraz studiów filologia nowogrecka na Uniwersytecie Warszawskim (OBTA, obecnie Wydział „Artes Liberales”). Inicjatorka, redaktorka i tłumaczka serii „Arcydzieła Literatury Nowogreckiej” (12 tomów), zawierającej m.in. antologię greckiej pieśni gminnej i greckich bajek. Przetłoczyła na język polski fragmenty tragedii Eurypidesa, dzieła A. Koraisa, A. Kalwosa, J. Makrijanisa, A. Papadiamandisa, a także kronikę średniowieczną z okresu panowania dynastii Lusignanów pióra Leondiosa Machierasa (z dialektu cypryjskiego) i wiele innych.

ISMAÏL BOZKURT

Ur. w 1940 w grecko-tureckiej wsi Aytotoro (Αγίος Θεόδωρος Σκαρίνου) w dystrykcie Larnaka. Czołowy turekocypryjski powieściopisarz, felietonista, autor wspomnień, polityk, badacz historii, folkloru i literatury. Uczył się w tureckim gimnazjum w Larnace i w tureckim Liceum im. Namika Kemala w Famaguście. W latach licealnych, wobec narastającego terrorku organizacji EOKA, wstąpił do tajnej organizacji samoobrony TMT (w latach późniejszych był komendantem oddziału). Studiował administrację w Ankarze (1958–1962). Posel do parlamentu Republiki Cypryjskiej i północnego Cypru (1970–1990), minister kultury (1985–1986). W 1990 startował w wyborach prezydenckich. Po przegranej z Raufem Denktaşem oddał się literaturze oraz działalności naukowej, którą rozwijał na uniwersytecie Eastern Mediterranean University w Famaguście, kierując Instytutem Badań Cypryjskich. Autor pięciu powieści, zbioru opowiadań, książek podręczniczych i trzech tomów wspomnień. W powieściach opisuje opór narodu tureckiego wobec greckiego nacjonalizmu, codzienne życie tureckich rodzin, miłość (w tym również „zakazaną” turecko-grecką), problemy adaptacyjne Turków cypryjskich po utracie rodzinnych stron i przesiedleniu na północ. Utwory Bozkurta to bogate źródło wiedzy o cypryjskiej przyrodzie, warunkach życia, obyczajach, lokalnej kuchni.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Ur. w 1952 w Barczewie. Poeta, eseista, tłumacz, krytyk literacki, redaktor, animator kultury. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1991–1997 redaktor naczelny pisma „Borussia”. Laureat wielu nagród, m.in. nagrody im. S. Piętaka (1991), nagrody redakcji „Czasu Kultury” (1993), Nagrody Ministra Kultury (2001), Lauru UNESCO (2007), Literackiej Nagrody Warmii i Mazur (2009), polsko-niemieckiej Nagrody im. S.B. Lindego (2016). Debiutował tomikiem wierszy *Zrosty* (1979). W ostatnich latach opublikował m.in. książki: *Cudoziemiec* (Olsztyn 2018), *Twarze świata* (Szczecin 2019), *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze* (Olsztyn 2020), *Pies na wiersze albo Pieczewo* (Mikołów 2021), *Oumumama. Atlas wierszy światologicznych* (Szczecin, Bezręczce 2022) oraz przekłady poezji: Paola Keinega, Yvon Le Men, Michela Bouviera, Kennetha White’a.

MICHAŁ BZINKOWSKI

Ur. w 1975. Dr hab., prof. UJ, filolog klasyczny i neohellenista, literaturoznawca, eseista, tłumacz literatury nowogreckiej, poeta. Pracuje w Katedrze Filologii Greckiej i Nowogreckiej Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor naczelny periodyku naukowego „Classica Cracoviensia”, współpracownik krakowskiego kwartalnika „Czas Literatury”. Przetłoczył wiersze Jorgosa Seferisa, Konstantinosa Kawafisa, Kiriakosa Charalambidisa, Janisa Rit-sosa, Titosa Patrikiosa oraz eseje podręczne Nikosa Kazantzakisa. Nominowany do Nagrody dla Tłumacza Europejskiego Poety Wolności za przekład *Czasowników* Pandelisa Boukalasa (2013). Opublikował przekłady powieści *Pandemonium* Kostasa Akrivosa (2016) oraz uhonorowanej Nagrodą Literacką Unii Europejskiej (2014) *Bóg mi świadkiem* Makisa Tsitasa (2018). Ostatnio ogłosił przekłady dzienników, poezji i esejów Seferisa: *Dni 1941–1956* (2019), *Król Asine i inne wiersze* (2020), *Róża losu. Eseje wybrane* (2020). Przekłady, szkice i wiersze publikował m.in. w „Zeszytach Literackich”, „Odrze”, „Przeglądzie Politycznym”, „Śląsku”, „Almanachu Prowincjonalnym” i „Poezji Dzisiaj”.

ANNE CARSON

Ur. w 1950 w Toronto, wybitna poetka kanadyjska, filolożka klasyczna, wykładowczyni uniwersytetów McGill w Montrealu i University of Michigan w Chicago. Laureatka Griffin Prize of Poetry, jako pierwsza kobieta uhonorowana nagrodą T.S. Eliota. Opublikowała tomy poetyckie: *Glass, Irony and God* (1995), *Autobiografia czerwonego* (1998, polski przekład Maciej Topolski 2023, Nagroda im. Wisławy Szymborskiej w kategorii przekładu 2024); *Men in the Off Hours* (2000); *Piękno męża* (2001, polski przekład Olgi Kubińskiej 2022), esej *Słodko-gorzki eros* (1986, przekład polski Renata Lis, 2020).

KIRIAKOS CHARALAMBIDIS [Κυριάκος Χαραλαμπίδης]

Ur. w 1940 w miejscowości Achna w Dystrykcie Famagusta na Cyprze, która po inwazji tureckiej w 1974 znajduje się w Tureckiej Republice Cypru Północnego. Studiował na wydziale Historii i Archeologii na Uniwersytecie Ateńskim, uczęszczał także na zajęcia w Greckim Teatrze Narodowym. Pracował jako dyrektor programowy i dyrektor rozgłośni w radiu Cyprus Broadcasting Corporation (CYBC-RIK). Opublikował trzynaście tomów poezji, za które był wielokrotnie nagradzany, oraz trzy tomy esejów. Otrzymał m.in. Nagrodę Republiki Cypryjskiej za Poezję (1974, 1978, 1983), Nagrodę Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (1997), Państwową Nagrodę Poetycką Republiki Greckiej (1996) oraz Międzynarodową Nagrodę Kawafisa w Egipcie (1998). W 2013 otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Ateńskiego i został wybrany członkiem korespondentem Akademii Ateńskiej. Jego wiersze tłumaczone były m.in. na angielski, francuski, niemiecki, holenderski, szwedzki, bułgarski, albański i polski.

JOANNA CIEPŁY

Ur. w 2003 w Wadowicach. Studentka filologii orientalnej – turkologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pasjonuje się literaturą turecką i tureckocypryjską. Mieszka w Krakowie.

KAYA ÇANCA

(1945–1973). Ur. we wsi Abohor. Po skończeniu tureckiego liceum w Nikozji (1963) otrzymał stypendium na studia inżynierskie w Turcji, których nie ukończył. Po powrocie do kraju uczył się w szkole pedagogicznej. W czasie studiów opublikował pierwszy tomik wierszy (1965). Od 1968 pracował jako nauczyciel w tureckich szkołach podstawowych. Był jednym z pionierów poezji abstrakcyjnej na Cyprze. Zmagął się z problemami psychicznymi, które doprowadziły go w młodym wieku do samobójstwa.

FİKRET DEMİRAĞ

(1940–2010), dziennikarz, poeta, działacz społeczny. Urodził się w Lefce, ukończył studia pedagogiczne w Ankarze. Po powrocie na Cypr był nauczycielem języka tureckiego, a po przejściu na emeryturę pracował w redakcjach gazet. Opublikował dwadzieścia tomików poetyckich.

NİCE DENİZÖĞLU

(1960–2021). Ur. we wsi Köfünye (Kofinu) w dystrykcie Larnaka. W 1974 wraz z rodziną została przesiedlona na północ. Skończyła szkołę pielęgnarską i pracowała w służbie zdrowia. Opublikowała tomik poetycki *Zeytin Dalı* (*Gatłzka oliwna*, 1985). W okresie mody na naśladowanie poetów z Turcji przyciągnęła uwagę czytelników lokalnym charakterem wierszy.

JOANNA DOBKOWSKA-KUBACKA

Historyczka, historyczka sztuki, dziennikarka, pisarka. W pracy naukowej podejmuje zagadnienia związane z historią i doświadczeniem kobiet, sztuką użytkową, architekturą wnętrz oraz praktykami zamieszkiwania. Jest autorką monografii *Przyszłość czas na ruch kobiet poważnych* (2024), wielu artykułów naukowych publikowanych w czasopiśmie polskich i obcojęzycznych oraz współautorką tomów zbiorowych (m.in. *Freedom Taking Place: War, Women and Culture at the Intersection of Ukraine, Poland, and Belarus*, 2023; *Framing History in East-Central Europe and Beyond. Politics-Memory-Discourse*, 2022; *Kobiety w Europie Środkowo-Wschodniej w perspektywie interdyscyplinarnej*, 2020). Opublikowała powieści *Wygraj lepsze wcielenie* (2009) oraz *Medium* (2016). Współautorka książek: *Barbara Hoff. Królowa kreatywności* (2024), *W cieniu koronkowej parasolki. O modzie i obyczajach w XIX wieku* (2016, wyróżnienie w Konkursie na Najlepszą Książkę Popularnonaukową Wydawnictwa Naukowego UAM i Międzynarodowych Targów

Poznańskich na Targach Książki Naukowej i Popularnonaukowej 2017). W latach 2019–2021 przebywała na Doctoral Research Fellow w Wirth Institute (Uniwersytet Alberta w Kanadzie).

ŁUCJA DUDZIŃSKA

Ur. w 1960, poetka, aforystka, wydawczyni, redaktorka ponad 100 książek i trzech serii wydawniczych, animatorka kultury. Inicjatorka festiwalu Literatura do Poznania. Autorka trzynastu tomów poetyckich (w tym pięciu dwujęzycznych), tłumaczona i opublikowana w czternastu językach. Na podstawie jej wierszy powstał spektakl muzyczno-poetycki Jestem Julia (Teatr Rondo, Słupsk, premiera 27.08.2021). Prezeska SPP Oddział Wielkopolski oraz Fundacji Otwartych Na Twórczość (FONT). Członkini Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie. Inicjatorka i kuratorka Ogólnopolskiej Grupy Literacyjnej Na Krechę. Prowadzi audycję Poezja z dedykacją w radiu Głos Literacki. Uhonorowana kilkoma medalami za wspieranie i promowanie kultury, m.in. „Labor Omnia Vincit” oraz statuetką „Dobry człowiek” – profesjonalizm & bezinteresowność, którą z inicjatywy fundatora K. Rafalika przekazuje dalej, Poznański Wolontariusz Roku 2021. Mieszka w Słupsku i w Poznaniu.

BÜLENT FEVZIOĞLU

Ur. w 1959 w Famaguście, syn ubożego rybaka. Poeta tureckocypryjski, felietonista, autor tekstów piosenek, badacz literatury, kultury i historii narodu, dziennikarz radiowy i telewizyjny, autor filmów dokumentalnych. Edukację zakończył na szóstej klasie i w wieku 11 lat podjął pracę zarobkową jako pomocnik murarza w greckiej firmie. 15 lipca 1974 powołany do wojska w związku z greckim zamachem stanu. Brał udział w umacnianiu twierdzy Famagusta i w obronie miasta. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej (1976–1978) pozostał w armii na służbie kontraktowej. Korzystając z wojskowej biblioteki, uzupełniał wiedzę i zdobywał pierwsze dziennikarskie doświadczenia w radiowęzle. W 1976 zadebiutował jako poeta, w 1983 zdobył I nagrodę w konkursie poetyckim gazety „Kıbrıs”. W 1985 wystąpił z wojska i został dziennikarzem. W latach 1994–1997 był rzecznikiem prasowym biura prezydenta Raufa Denktaşa, od 1996 pracował naukowo w Centrum Badań Cypryjskich przy Eastern Mediterranean University oraz w fundacji SAMTAY dokumentującej dziedzictwo kulturalne Famagusty. Jest autorem lub współautorem ponad 30 książek (antologii i opracowań) oraz dwóch tomików poetyckich. Poezja jest najważniejszą częścią jego twórczości literackiej, drugim są felietony i esaje o charakterze autobiograficznym.

NATALIA FORMAL

Ur. w 1999 w Rzeszowie. Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej oraz grafiki komputerowej, aktualnie studentka filologii polskiej. Interesuje się popkulturą, poezją współczesną i reportażem. Pracuje jako specjalistka ds. sprzedaży internetowej, a w wolnych chwilach wykonuje rękodzieło artystyczne.

LIWIA GAŁUSZKA

Ur. w 2001. Studentka II roku studiów magisterskich kierunku filologia polska na Uniwersytecie Rzeszowskim. Autorka pracy licencjackiej poświęconej literaturze regionalnej. Interesuje się krytyką feministyczną, postkolonialną i marksistowską, a także sztuką średniowieczną.

ROBERT GAWŁOWSKI

Ur. w 1957. Absolwent wrocławskiej polonistyki. Poeta, prozaik, krytyk literacki, dramaturg, scenarzysta, autor audycji i słuchowisk radiowych, w przeszłości związany z Polskim Radiem we Wrocławiu. Debiutował jako poeta w roku 1977. Opublikował zbiory wierszy: *Nie ukrywajmy tego szaleństwa* (1983), *Ograniczony wybór* (1984), *Marko Polo szuka nowej drogi* (1984), *Marko Polo* (1987), *Podróż chroniczna* (1997), *Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski* (1998), *Pył* (2020, nominacja do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” 2021), *Dotknięcie* (2020), *Wieża wiatrów* (2021) oraz esej *Książeczka o poezji* (1997). Jest autorem sztuki teatralnej o Edycie Stein *Droga w ciemności* (premiera radiowa 1992, premiera teatralna 1997) i zbioru opowiadań *Pan Świat* (2018). Wiersze, recenzje, szkice i esaje publikował w wielu czasopismach literackich w Polsce i za granicą. Laureat nagród im. Stanisława Wyspiańskiego (I stopnia w dziedzinie literatury, 1988) oraz Fundacji Kultury (1994). Współtwórca Międzynarodowego

Forum Sztuk Akustycznych pro arte acustica MACROPHON (1991, 1994) i artystycznego Radia Copernicus (2005) – wyróżnienie honorowe światowego festiwalu sztuk multimedialnych Ars Electronica (2006). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz do PEN Greece w Atenach. Uhonorowany medalem „Merito de Wratislavia – Zasłużony dla Wrocławia”.

GÜR GENÇ

Pseudonim literacki Gürgenç Korkmazela. Zob. biogram.

ANTONIS GEORGIOU [Αντώνης Γεωργίου]

Ur. w 1969, greckocypryjski poeta, prozaik, dramatopisarz i redaktor. Studiował prawo w Moskwie, obecnie mieszka i pracuje w Limasol. Jego powieść *Album z opowieściami* (przeł. Przemysław Kordos, 2019) została uhonorowana Cypryjską Nagrodą Państwową oraz Europejską Nagrodą Literacką.

FRYDERYK HUNIA

Ur. w 1948. Studiował na Wydziale Malarstwa i Grafiki ASP w Krakowie (dyplom w pracowni prof. Czesława Rzepińskiego) oraz przez trzy lata na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się malarstwem sztalugowym i projektowaniem witraży, pisze wiersze i esaje na temat sztuki, mistyki, duchowości orientalnej. Te ostatnie publikował m.in. w „Znaku”, „Twórczości”, „Czasie Kultury”, „Albo Albo”, „Frazie”. Mieszka w Krakowie.

TÜRKAY ILICAK

(1945–2022), turekocypryjski poeta, publicysta, wydawca, dziennikarz radiowy i telewizyjny, muzyk-multiinstrumentalista, rzeźbiarz. Urodził się we wsi Çatoz (Κιάθοç), szkołę podstawową, gimnazjum i liceum ukończył na Cyprze, studiował geografię na Uniwersytecie Sтамбульskim. Po skończeniu studiów w 1971 wrócił na Cypr i pracował w biurze kartografii. W 1984 wyemigrował z rodziną do Australii. Założył w Melbourne własną drukarnię, miał swoje programy radiowe i telewizyjne, wydawał czasopisma dla tureckiej diaspory. Piętnaście lat grał na orientalnych instrumentach strunowych w zespole muzycznym wykonującym turecką muzykę klasyczną zachodniej Tracji. Był miłośnikiem motocykli i rzeźby w drewnie. Po przejściu na emeryturę przeprowadził się w 2010 na północny Cypr, ale zrażony brakiem stabilizacji politycznej i ekonomicznej po dziesięciu latach wrócił do Australii, gdzie zmarł. Opublikował sześć tomików poezji, publicystykę i wspomnienia (*26 Yıllık Avustralya Anılarım – Moje 26-letnie wspomnienia z Australii*). Swoje książki publikował po tureku w Australii. W poezji wykorzystywał ironię, jej głównymi motywami były: miłość do ojczyzny, tęsknota, Cypr, potępienie imperializmu i globalizmu.

RULA IOANNIDOU-STAWROU [Ρούλα Ιωαννίδου-Σταύρου]

(1951–2023). Urodziła się w Nikozji i tam mieszkała. Studiowała literaturę grecką i angielską na Uniwersytecie Ateńskim. Ukończyła studia podyplomowe w Royal Society of Arts (Wielka Brytania) i uzyskała dyplom z wyróżnieniem w dziedzinie nauczania. Pracowała jako nauczycielka w szkołach średnich oraz w Ministerstwie Kultury. Była członkinią Komitetu Publikacji i Działalności Kulturalnej Rady Pamięci Historycznej Walki EOKA (ΣΙΜΑΕ) przy Ministerstwie Edukacji i Kultury Cypru. Autorka wierszy, prozy, dramatów, uhonorowana cypryjskimi i międzynarodowymi nagrodami. Otrzymała m.in. nagrodę za całokształt twórczości oraz za wkład w literaturę i kulturę Cypru. Jej książka *Κίτρινες Κορδέλες (Żółte wstążki, 1998)* została wyróżniona Prix Jean Monnet de Littérature Européenne.

MARIA A. JOANNOU [Μαρία Α. Ιωάννου]

Ur. w 1982 w Limassol. Studiowała literaturę angielską na uniwersytecie w Reading. Studiowała również twórcze pisanie na King's College w Londynie oraz na uniwersytecie w Winchester. Jej zbiór *Οι Ενδιάμεσοι (Ludzie pomiędzy, 2022)* został w 2023 nagrodzony cypryjską Państwową Nagrodą za Opowiadanie/Nowelę.

MARTA JURKOWSKA

Ur. w 1967, olkuszanka. Poetka i malarka. Autorka tomików poetyckich *Poza ramy* (2011) i *Miedzy rzeką a lasem* (2016). Laureatka kilkudziesięciu konkursów poetyckich, m.in. im. Jana Kulki w Łomży, im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie, „Śląski Shakespeare”

w Katowicach, „O Laur Błękitnej Narwi” w Pułtusk, im. Kazimierza Ratonia w Olkuszu. Zdobyła nagrodę główną w Międzynarodowym Konkursie Poetyckim „O Złote Cygaro Wilhelma” w Czerwionce-Leszczynach. Jej wiersze ukazały się we: „Frazie”, „Akancie”, „Cegle”, „Okolicach Poetów”, „Szafie”, „Gazecie Śląskiej”, „Toposie” i antologiach pokonkursowych, były wielokrotnie czytane w „Poczcie poetyckiej” Macieja Szczawińskiego w Radiu Katowice. Swoje obrazy prezentowała na wystawach indywidualnych w Bolesławiu (*Droga, którą idę*), Katowicach (2015) oraz w Kampinoskim Parku Narodowym (2016).

MARIUSZ KALANDYK

Ur. w 1963. Poeta, krytyk, dr nauk humanistycznych, redaktor naczelny „Kwartalnika Edukacyjnego”. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. członek grupy poetyckiej Draga, współpracownik i redaktor „Frazy” (w latach 1993–1996). Zadebiutował w 1997 tomikiem *Powrót Atanaryka* (Nagroda im. Kazimierza Hłakowiczówny za najlepszy poetycki debiut roku). Wydał również zbiory wierszy: *Timbukt – fuga* (2001, nominacja do „Paszportu Polityki”), *Karczma Rzym* (2006), *Cmentarz gołębi* (2009), *Szrama – deuteronomij* (WBPiCAK, Poznań 2019), *Wyznania miłosne (na czas zarazy)* (Biblioteka „Frazy”, 2021), *Analogie paralele (poemat epistemologiczny)* (Biblioteka „Frazy”, 2023). Autor monografii *Poetycki światopogląd Jarosława Marka Rymkiewicza. Próba antropologii literackiej* (2015). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Rzeszowie.

PATRYCJA KALETA

Ur. w 1999 w Jarosławiu. Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim. Obecnie przygotowuje pracę magisterską na temat wybranych portretów męskich w prozie Wiesława Myśliwskiego. Zafascynowana zjawiskiem korespondencji sztuk, z których najbliższa jest jej literatura, gdyż jak mawia profesor Ryszard Koziołek, to właśnie ona „uczy nas nie przegapić świata, nie pozwalać mu uchodzić naszej uwadze i znikać w procesie niszczącego przemijania”.

HALİL KARAPAŞOĞLU

Ur. w 1985 w Ipsallat na Cyprze. Studiował na Eastern Mediterranean University w Famaguście, w 2008 roku ukończył studia na Wydziale Literatury Angielskiej i Studiów Humanistycznych. W tym samym roku wyjechał do Anglii. Na Cypr wrócił w 2010. Pracował jako kelner, pomywacz, pomocnik rzeźnika, kasjer, budowlaniec i kucharz. Pisał poematy, opowiadania i eseje. W trakcie studiów razem z przyjaciółmi wydawał czasopismo „Çirkef” („Szambo”), natomiast podczas służby wojskowej – „Lokmaci” („Sprzedawca Lokmy”). W 2011 za jeden z artykułów został skazany na dziesięć dni więzienia.

EMEL KAYA

Ur. w 1978 w Nikozji, poetka tureckocypryjska. Studiowała filologię turecką w Konyi (Turcja), gdzie w 2008 uzyskała doktorat z językoznawstwa. W tym samym roku wróciła na Cypr i została zatrudniona na Eastern Mediterranean University w Famaguście. Ma w dorobku cztery tomiki poetyckie, jej wiersze tłumaczono na języki obce (angielski, grecki, perski, niemiecki, japoński).

PRZEMYŚŁAW KORDOS

Dr hab. prof. ucz., wykładowca na Wydziale „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się współczesną literaturą grecką i cypryjską kulturą ludową, polskim podróżnictwem do Grecji i na Cypr oraz literaturą fantastyczną. Przetłumaczył m.in. powieści Petrosa Markarisa i Antonisa Georgiou oraz eseje Nikosa Dimou.

GÜRGENÇ KORKMAZEL

(Pseud. literacki Gür Genç), pisarz tureckocypryjski. Ur. w 1969 we wsi Stavrokono koło Pafos. Po podziale Cypru w 1974 wraz z rodziną został przesiedlony na północ, do regionu Mesaorii, gdzie dorastał. Wiele lat mieszkał w Turcji i Anglii, obecnie na Cyprze. Ma w dorobku sześć tomików poetyckich, dwa zbiory opowiadań, opracowania literackie i przekłady, jest często tłumaczony na języki obce. W jego twórczości dominują motywy dzieciństwa, niewinności, utraty miejsca urodzenia, tęsknoty, miłości i erotyzmu. Większość jego opowiadań ma rysy autobiograficzne.

ANTONIA KOSTOPOULOU [Αντωνία Κωστοπούλου]

Ur. w 1991 w Atenach. Absolwentka studiów pierwszego stopnia na wydziale Komunikacji i Mediów Uniwersytetu Narodowego im. Kapodistrias w Atenach oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego na kierunku filologia klasyczna – studia drugiego stopnia: bizantystyka i neogrecystyka (temat pracy dyplomowej: *Język „Odysei” Nikosa Kazantzakisa – przekład wybranego fragmentu z komentarzem*). Prowadzi zajęcia z języka nowogreckiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mieszka w Krakowie.

VERONIKI KOSTOPOULOU [Βερονίκη Κωστοπούλου]

Ur. w 1988. Ukończyła studia licencjackie z języka i literatury angielskiej na Uniwersytecie Narodowym im. Kapodistrias w Atenach oraz studia magisterskie na kierunku kulturoznawstwo ze specjalizacją promocja kultury na Uniwersytecie Ignatianum w Krakowie. Obecnie studiuje na Wydziale Historii i Archeologii na Uniwersytecie Narodowym im. Kapodistrias w Atenach. Pracowała jako redaktorka w kwartalniku „Trimarium”. Autorka artykułów publikowanych w czasopiśmie naukowych.

WIKTORIA KULAK

Doktorantka literaturoznawstwa w Szkole Doktorskiej Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, gdzie przygotowuje rozprawę poświęconą współczesnemu pisarstwu felietonistycznemu kobiet. Publikowała artykuły w „Ruchu Literackim” oraz „Jednak Książki”.

JACEK LECH

Ur. w 1984 w Gorlicach. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Literaturoznawca, animator kultury, bloger książkowy. Pracuje jako bibliotekarz. Jego praca magisterska dotyczyła związku mitu lucyferycznego z mistyką genezyjską w *Samuelu Zborowskim* Juliusza Słowackiego, a doktorat na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Rzeszowskiego (2017) formalno-tematycznych modyfikacji obecnych w twórczości prozatorskiej Andrzeja Stasiuka w latach 1992–2010. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się na ponowoczesnych aspektach polskiej prozy po 1989 roku. Szkice i recenzje publikował w monografiach zbiorowych i w czasopiśmie (m.in. kilkakrotnie we „Frazie”).

KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, prozaiczka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała czternaście tomów poezji, m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszłego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (przeł. Ewa Hryniewicz-Yarbrough, 2014), *Troska / Typōma* (przeł. na j. ukraiński Ołeksandr Gordon, 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski Karol Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020), *Balkon* (2021), *Ono morze/Él el mar* (przeł. na j. hiszpański Xavier Farré, 2023). Wiersze, prozę, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady publikowała w pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akcencie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu E. Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), Ukrainie, Rumunii i Czechach. W 2016 zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydany Bibliotece „Frazy”. W 2018 ukazał się w wydawnictwie Officyna w jej przekładzie tom Emily Dickinson *Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane*. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (SPP), Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (STL) oraz ZAiKS. Mieszka w Rzeszowie.

KATARZYNA LEWANDOWSKA

Z wykształcenia oligofrenopedagog i plastyk. Od wielu lat pracuje z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Umiejętności pisarskie doskonaliła na kursach Pasji Pisania. Laureatka konkursów literackich. Swoje opowiadania publikowała we „Frazie”, „Post Scriptum”, na portalach E-Prawda, Moja Przestrzeń Kultury oraz Pedagogika Specjalna. W 2024 roku ukazał się zbiór jej opowiadań *Krzęsto i inne opowiadania*. Pracuje nad nowym zbiorem opowiadań i powieścią. W wolnym czasie maluje, fotografuje i podróżuje.

KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. w 1965. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury i Kultury XIX Wieku oraz Badań Mitoznawczych Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, krytyk literacki, współpracownik „Frazy”.

Opublikował książki: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”* (2001), *„Naczelnym u nas jest artysta”. O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (2010), *Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta* (2021). Współredaktor kilku tomów zbiorowych, m.in. *Poe-land. Studia i szkice* (2017). Mieszka w Borku Starym.

NIKI MARANGOU [Nikē Mapaykoû]

(1948–2013). Greckocypryjska poetka, pisarka, autorka książek dla dzieci, malarka. Urodziła się w Limassol, studiowała socjologię w Berlinie. Przez dziesięć lat pracowała jako dramaturżka w Państwowym Teatrze Cypryjskim. W 1981 otrzymała Państwową Nagrodę Literacką za tom wierszy, a w 1988 Państwową Nagrodę Literacką za zbiór opowiadań. W 1998 roku uhonorowana w Aleksandrii Nagrodą Kawafisa, w 2006 Nagrodą Akademii Ateńskiej za tom poetycki *Divan*.

SAMET MART

(1931–2008), jeden z czołowych przedstawicieli wczesnej nowelistyki tureckocypryjskiej. Urodzony w Larnace, tam w 1948 r. skończył tureckie liceum, zwane wtedy z zalecenia władz kolonialnych nie tureckim, a islamskim. W 1950 r. ukończył naukę w szkole pedagogicznej w Omorfo i został nauczycielem tureckich szkół podstawowych. W 1956 r. skierowany na studia do Ankary, wrócił stamtąd z dyplomem nauczyciela muzyki. Pracował do 1976, ostatnie dwa lata – na północnym Cyprze w Famaguście. Opublikował tom opowiadań *Hokkabaz (Kuglarz)* (1954), pozostałe utwory ogłaszał w prasie. W 2007 ukazały się jego zebrane nowele. Ulubioną techniką pisarską Marta jest szczegółowe opisywanie osób lub zdarzeń i pozostawianie czytelnikowi miejsca na samodzielne spuentowanie fabuły. Często posługiwał się ironią, ale z dużą dozą ciepła i wyrozumiałości dla bohaterów. Fabuły oparte są na ulotnych, przez większość ludzi niezauważanych wydarzeniach. Mart był wnikliwym i wrażliwym obserwatorem, który tworzył skromne, bezpretensjonalne opowiadki.

ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 we Lwowie. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyskiego, organizator i redaktor naczelnym pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 grudnia 1981. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej oraz ruch *Communione e liberazione*, organizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował w 1972 w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich, eseistycznych, wywiadu-rzeczki z Andrzejem Szyszko-Bohuszem oraz redaktorem kilku regionalnych almanachów literackich. W 1996 zamieszkał na Ziemi Kłodzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gieraltów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował tom wierszy *Wieszczyna i inne wiersze* (Dzierżoniów 2023). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy Poci 97, współorganizator festiwalu Den Poezie w czeskim Broumovie. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności. Od 2008 mieszka w Martínkovicach koło Broumova w Czechach.

OLGA MEDVEDEVA-NATHOO

Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Państwowym im. M.W. Łomonosowa w Moskwie. Pracę doktorską z historii literatury polskiej obroniła w Instytucie Słowianoznawstwa Rosyjskiej Akademii Nauk. W tym Instytucie pracowała jako starszy pracownik naukowy. Jest autorką książek i artykułów z dziedziny literatury, kultury i historii Polski, publikowanych w Rosji, Polsce, Kanadzie, Kazachstanie i innych krajach w językach polskim, rosyjskim i angielskim (m.in. *Oby im życie łatwiejsze było... O Januszu Korczaku i jego wychowanku*, Poznań 2012, Kazań 2014; *Na skrzyżowaniu dróg. Prawdziwa opowieść o Ginie Diamant, wojnie i miłości*, Vancouver 2014, Szczecin 2016, Alma-Ata 2016; *Poza tekstem. Eseje o literaturze polskiej XX wieku*, Vancouver 2019). Mieszka w Kanadzie, gdzie jest niezależną badaczką.

URKIYE MİNE BALMAN

(1927–2018). Poetka tureckocypryjska urodzona w Lefce. Po ukończeniu szkoły pedagogicznej w Omorfo (1946) przez wiele lat pracowała jako nauczycielka. Swoje wiersze publikowała w czasopiśmie na Cyprze i w Turcji. Opublikowała jeden tomik poetycki. Uprawiała tradycyjną, rytmiczną poezję, w której znaleźć można zarówno romantyczny, wyidealizowany świat, jak i obrazy codzienności.

KOSTAS MONTIS [Κώστας Μόντης]

(ur. 18.02.1914 w Famagüście, zmarł 1.03.2004 w Nikozji). Poeta, prozaik i dramaturg, jeden z najbardziej wpływowych pisarzy greckocypryjskich, odznaczony licznymi nagrodami krajowymi i zagranicznymi za twórczość poetycką. Tłumaczony na wiele języków, m.in. angielski, francuski, niemiecki, włoski, holenderski, szwedzki. W swojej twórczości, na którą składają się setki wierszy, nawiązuje do tragicznych wydarzeń z najnowszej historii Cypru. Doktor *honoris causa* Uniwersytetu Cypryjskiego i Uniwersytetu Ateńskiego. Nominowany do Nagrody Nobla w 1984, w 2000 ogłoszony Członkiem Korespondentem Akademii Ateńskiej, jest to najwyższe wyróżnienie przyznawane twórcom mieszkającym poza Grecją.

RYSZARD MŚCISZ

Ur. w 1962. Pracował jako nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół w Jeżowie, gdzie mieszka. Krytyk literacki, publicysta, satyryk, poeta. Opublikował siedem tomów poezji: *Życie to tylko niemcejsze* (2000), *Wibracje* (Biblioteka „Frazy” 2002), *Na strunach lat* (Biblioteka „Frazy” 2004), *Roześnienie* (2007), *Strumienie poezji* (2010), *Kołatanie do wrót nocy* (2019), *Zaraza. Dawka przypominająca* (Biblioteka „Frazy” 2022), zbiór felietonów satyrycznych *Zezem na świat* oraz tom prozy *Swojski diabeł i inne humoreski* (2012). Publikował w „Głosie Nauczycielskim”, „Twórczości” i w prasie lokalnej („Super Nowości”, „Gazeta Jeżowska”). Jest współautorem albumu *Jeżowe* (2004).

JORGOS NEOFITU

Ur. w 1946 w Lefkozji. Dramaturg. Studiował na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku, gdzie uzyskał tytuł doktora medycyny weterynaryjnej. Związany z teatrem od 1984. Był członkiem Komitetu Artystycznego Cypryjskiej Organizacji Teatralnej (THOC) w latach 1991–1993, przewodniczącym Rady Dyrektorów THOC w latach 2003–2007, członkiem Międzynarodowego Jury Pierwszego Europejskiego Konkursu Dramaturgicznego, który odbył się w Niemczech w latach 1993/1994. Od 1998 przedstawiciel Biennale „Neue Stücke aus Europa” na Cyprze. Sekretarz Cypryjskiego Centrum Międzynarodowego Instytutu Teatralnego i członek Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Instytutu Teatralnego. Opublikował zbiór wierszy *Bez tytułu* (1983). Autor licznych sztuk teatralnych (m.in. *Letni szkic*, 1984; *W królestwie Cypru*, 1987; *Zmiana*, 1988, *DNA*, 2010) oraz scenariuszy seriali filmowych.

ROKSANI NIKOLAOU [Ρωξάνη Νικολάου]

Ur. w 1965 w Limassol. Studiowała archeologię w Heidelbergu oraz scenografię w Atenach. Opublikowała trzy zbiory poezji. Ostatni tom wierszy, *Boże zaleńca magnetyzm*, był nominowany do Państwowej Nagrody Literackiej w roku 2023.

EWA ELŻBIETA NOWAKOWSKA

Poetka, eseistka, tłumaczka kilkunastu książek (m.in. Alice Munro, Thomasa Mertona i Elif Şafak). Absolwentka filologii angielskiej UJ i studiów podyplomowych Akademii Dziedzictwa (UEK/MCK) oraz nauczania języka polskiego jako obcego (UP, obecnie UKEN). Starszy lektor w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Nominowana m.in. do Nagrody Głównej Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. J. Bieczina (1997) oraz do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz (2013). Laureatka I Nagrody im. K.K. Baczyńskiego (1998), wyróżniona przez Wisławę Szymborską II nagrodą w konkursie Rynga Poetycka (2004), rekomendowana przez Adama Zagajewskiego do Nagrody Kościelskich (2006). Za tomik *Trzy ołówki* otrzymała Nagrodę Krakowska Książka Miesiąca (2014). Wydała tomy wierszy: *Dopiero pod pewnym kątem* (1999), *Niebosklony* (2003), *Oko* (2010), *Merton Linneusz Artaud* (2012), *Nareszcie* (2014), *Aż trudno uwierzyć. Apokryfy krakowskie* (2016), *Sznur Ariadny* (2019), *Gwiazda drapieżnik*

(2022), zbiór opowiadań *Apero na moście* (2010), szkice na stulecie AGH *Smoki, żaglowce i napisy na murach. Felietony o AGH i okolicach* (2019) oraz zbiór tekstów krytycznoliterackich *Najpierw oddech. Eseje, recenzje, szkice* (2023). Członikini kolegium redakcyjnego pisma „Vivat Akademia”. Publikowała poezję, przekłady i eseje w wielu pismach (m.in. „Twórczość”, „Zeszyty Literackie”, „Odra”, „Topos”, „Dekada Literacka”, „Nowa Dekada Krakowska”, „Fraza”, „Tygiel Kultury”, „Kwartalnik Artystyczny”, „Przekładaniec”, „Kraków”, „Studium”, „Elewator”, „Wyspa”, „Gulf Coast” i „World Without Borders”). Z Robin Davidson przełożyła wybory wierszy Ewy Lipskiej *The New Century* (Northwestern University Press, 2009) oraz *Dear Ms. Schubert* (Princeton University Press, 2021). Jej wiersze przełożono na języki: angielski, hebrajski, węgierski, hiszpański i serbski.

MARCEL NOWAKOWSKI

Ur. w 2001 w Bytomiu. Student filologii klasycznej (bizantynistyki i neogrecystyki) na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz filologii nowogreckiej na Uniwersytecie Arystotelesa w Salonikach. Zajmuje się dialektologią współczesnego języka greckiego oraz szeroko pojętą literaturą nowogrecką ze szczególnym naciskiem na literaturę grekokypryjską.

TAMER ÖNCÜL

Ur. w 1960 w Nikozji. Poeta turekokypryjski, z wykształcenia lekarz stomatolog. Współzałożyciel Związku Artystów i Pisarzy Cypryjskich, którego jest obecnie prezesem. Redaktor pisma „İnsan Zaman Mekan” („Człowiek Czas Przestrzeń”). Jego wiersze były tłumaczone m.in. na języki: angielski, niemiecki, włoski, arabski, grecki, portugalski i francuski. W 1982 otrzymał Nagrodę Poetycką Turekokypryjskiego Towarzystwa Pokoju.

DINA PAGIASI-KATSOURI [Ντίνα Παγιάση Κατσούρη]

(1941–2021), poetka i tłumaczka grekokypryjska. Urodziła się w Famaguście. Studiowała dziennikarstwo w Atenach. W 1962 wróciła na Cypr i pracowała jako dziennikarka, m.in. w Biurze Prasowym i Informacyjnym Republiki Cypryjskiej. W latach 1969–2001 produkowała programy radiowe. Była przewodniczącą Socjalistycznego Ruchu Kobiet i kandydatką do parlamentu z ramienia Partii Socjalistycznej EDEK (1981 i 1985). Jej mężem był pisarz Yiannis Katsouris. Debiutowała tomem *Ποιήματα* (Wiersze) (1964). Za tomy *Υπομνήματα* (Notatki, 1978), *Αντιθέσεις* (Przeciwieństwa, 1987) i *Της Αφροδίτης και του Άδωνι* (O Afrodycie i Adonisie, 2006) otrzymała państwowe nagrody poetyckie Ministerstwa Edukacji i Kultury Republiki Cypryjskiej. Oprócz poezji zajmowała się także tłumaczeniami.

EFTIHIA PANAGIOTOU [Ευτυχία Παναγιώτου]

Ur. w 1980 w Nikozji. Studiowała filozofię i współczesną literaturę grecką na Uniwersytecie w Atenach oraz w King's College w Londynie. Od 2007 mieszka w Atenach i pracuje jako redaktor wydawniczy. Jej ostatni tom wierszy *Mity o końcu świata* został nagrodzony Państwową Nagrodą Literacką.

JORGOS PAPAKONSTANTINOU [Γιώργος Παπακωνσταντίνου]

Ur. w 1990 w Ksilotafu koło Larnaki na Cyprze. Poeta i performer. Tworzy głównie w dialekcie cypryjskim. Wydał zbiory poezji: *Καρδιά μου μία σιγανά...* (*Serce szepcz do mnie...*, 2021), *Ημιτελές* (*Niedokończone*, 2021), *Ηλιοβούτιμα* (*Zachód słońca*, 2022), *Χρώματα* (*Kolory*, 2023) *Ιστορίες Γραφομηχανής* (*Historie maszynopisu*, 2024), *Σκιές στο σκοτάδι* (*Cienie w ciemności*, 2024). Jest związany z festiwalem Animafest Cyprus oraz występuje w spektaklach „Muzyczne narracje”.

LUIZA PAPALOIZU [Λουίζα Παπαλοΐζου]

Ur. w 1972 w Morfu, dorastała w Limasol. Studiowała w Wielkiej Brytanii i w USA, gdzie mieszkała przez jedenaście lat. Autorka zbioru opowiadań *Απειλούμενα Είδη* (*Gatunki zagrożone*) (2010) oraz powieści *Το βουνί* (*Góra*) (2020, Państwowa Nagroda za powieść w Grecji oraz Cypryjska Nagroda Literacka).

JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964. Prof. dr hab., historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Od 2024 prorektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, kierownik Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu

Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, w latach 2019–2024 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Opublikował: *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018), *Rysunki naskalne* (2021). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przybóś dzisiaj* (2017); *Kontynenty. Tom pierwszy: Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spojrzenia* (2019). Od 1997 w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

NASA PATAPIOU [Νάσα Παταπίου]

Ur. w 1953 w Rizokarpaso w dystrykcie Famagusta na Cyprze. Poetka, doktor historii sztuki. Studiowała filologię na Uniwersytecie w Salonikach oraz historię i archeologię na Uniwersytecie w Atenach. Publikowała wiersze w wielu czasopismach literackich zarówno na Cyprze, jak i w Grecji. Laureatka m.in. dwóch Państwowych Nagród Poetyckich Ministerstwa Edukacji i Kultury, uhonorowana także jako historyczka Nagrodą Akademii Ateńskiej (2001).

LESZEK PAUL

Ur. w 1963, studiował na wydziale malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Od 1995 mieszka w Berlinie. Malarz, twórca scenografii do spektakli teatralnych i telewizyjnych, tłumacz poezji greckiej. Od ponad dekady prowadzi blog, na którym publikuje swoje tłumaczenia wierszy, skupiając się szczególnie na twórczości kobiet. Laureat konkursu zorganizowanego przez Instytut Książki i ambasadę Grecji na tłumaczenie opowiadania Andrzeja Stasiuka (2015). Współpracuje z greckim tygodnikiem literackim „Peri Ou”, gdzie publikuje tłumaczenia wierszy polskich poetów i poetek.

PANIKOS PEONIDIS [Πανίκος Πατονίδης]

(1925–2021). Urodził się w Limassol. W trakcie II wojny światowej służył w Cypryjskim Korpusie Ochotniczym. Absolwent Wydziału Filozoficznego na Uniwersytecie w Sofii. Pracował jako dziennikarz, również jako konsultant ds. komunikacji przy stałej reprezentacji Cypru w ONZ. Pełnił funkcję prezesa zarządu Cypryjskiej Organizacji Teatralnej. Jest autorem opowiadań, esejów, tekstów krytycznoliterackich, a także powieści autobiograficznej. Dwukrotnie nagrodzony Państwową Nagrodą za Opowiadanie.

OLIWI PIETRAS

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Jej zainteresowania naukowe skupiają się wokół krytyki feministycznej, *gender studies*, ekokrytyki i najnowszej poezji kobiet. Pracę licencjacką poświęciła ekofeministycznym wątkom w poezji Julii Fiedorczuk. Mieszka w Mysłowicach.

TOMASZ PYZIK

Ur. w 1975 w Zabrze. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Nauczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor książek: *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004), *Twórczość poetycka Wojciecha Bąka* (2007) oraz *Sens odzyskany. Szkice o książkach, które koniecznie trzeba przeczytać* (Biblioteka „Topos”, 2023). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopismach. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

MAGDALENA RABIZO-BIREK

Ur. w 1964 w Kamieńsku. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka i krytyczka sztuki. Dr hab. prof. UR, w latach 2016–2019 kierowała Zakładem Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego, w latach 2020–2023 członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Od 2022 w Kapitułe Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Od 1998 redaktorka naczelna „Frazy”. Autorka książek: *Czytanie obrazów. Teksty o sztuce z lat 1991–1996* (1998), *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* (2002), *Romantyczni i nowocześni. Formy*

obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej (Rzeszów 2012). Kuratorka wystaw w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu *Bez końca o człowieku* (2003, 2008) i *Refleksje o naturze w sztuce ponowoczesnej* (2009). Współautorka (z Józefem Ambrozowiczem) albumu *Józef Mehoffer – artysta dwóch epok* (Rzeszów 2010). Redaktorka i współredaktorka m.in. monografii: *Poeta czułej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera* (2008), *Światy Olgi Tokarczuk* (2013), *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka* (2018), *Obroty liter. Szkice o twórczości Tomasza Różyckiego* (2019), *Kontynenty. Tom drugi: Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego* (2021), *Pisarz ukraiński i środkowoeuropejski. O twórczości Jurija Andruchowycza* (2024). Przygotowała wydanie ostatniej, nieukończzonej przez Włodzimierza Odojewskiego części cyklu podolskiego *Katarzyna. Powieść berlińska* (2024). Redaktorka i autorka szkiców czterech tomów *Sztuki Podkarpacia* (2010, 2011, 2013, 2015). Członkini Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi. Laureatka Nagrody Fundacji Turzańskich (Toronto 2004). Mieszka w Rzeszowie i Jedlinie-Zdroju.

WOJCIECH JÓZEF ROGOWSKI

Ur. 1953 w Pleszewie. Jesienią 1972 zdobył II miejsce w ogólnopolskim konkursie poetyckim pod hasłem „O nowy romantyzm” (organizatorzy Zrzeszenie Studentów Polskich i legendarny klub „Hybrydy” w Warszawie). Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Związany z łódzką grupą literacką Centauro i publikujący w jej antologiach oraz w łódzkim tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy”. Publikował także w „Krytyce Literackiej” i „Suburbaniach”. Wydał cztery zbiory poezji w Bibliotece Krytyki Literackiej: *Apteka 23456* (2019), *Przymierze* (2020), *Cynobrowe Wzgórza* (2021), *Muza i sny* (2022). Jego książki są dostępne on-line na stronach wydawcy. Tłumaczony na język angielski. Mieszka w Łodzi.

MARIA MAGDALENA RUDIUK

Poetka, eseistka, krytyczka literacka. Urodzona, wychowana i wykształcona w Polsce. Na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie uzyskała magisterium z filologii polskiej (1977), doktorat z filozofii (1986 – *Filozofia kultury w dorobku Tadeusza Kotarbińskiego*). W latach 1977–1990 pracowała w Zakładzie Filozofii Kultury UMCS. W Kanadzie od 1987 r. *freelance writer*, feministka, szczęśliwa męczatka, matka dwóch synów. Kieruje się przejętą od Kotarbińskiego „zasadą fundamentalnej ważności” (w wielości różnych ważnych wyborów wybieraj te, w których realizowaniu jesteś nieczłowieczna).

ANNA RUTKOWSKA

Studentka III roku polonistyki antropologiczno-kulturowej w ramach MISH na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesuje się relacjami człowieka z naturą w dawnych oraz współczesnych nurtach filozoficznych.

ROMAN SABO

Ur. w 1957 w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, eseista. W 1980 wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Przeglądzie Polskim” (Nowy Jork), „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011), *Podwórko* (Biblioteka „Frazy” 2015), *Koliber* (Toronto 2023). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusa Heaney’a w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

RAFAŁ SKONIECZNY

Ur. 1983 w Warszawie. Pierwszych 30 lat życia spędził nad Bugiem i Wisłą, obecnie przebywa nad morzem. Już nic, już nikt ponad to.

DIMOSTHENIS STAWRINIDIS [Δημοσθένης Σταυρινίδης]

(1878, Lefkozia, zm. 1957). Prawnik, dziennikarz, prozaik. Wydał jeden zbiór opowiadań *Κοπριακά Δηγημάτα (Opowiadania cypryjskie)* (Lefkozia 1898).

GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w Empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Wyjście* (2021) oraz z Martą Zelwan prozę *Próba* (2024). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii Filip Zylbera z Mariuszem Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarskie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 r. w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, z którymi stale współpracuje, w „Kresach”, „Twórczości” i „Akcencie”. Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

AMELIA SZALEWSKA

Ur. w Krakowie, absolwentka kulturoznawstwa oraz bizantynistyki i neogrecystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Autorka pracy magisterskiej *Katerina Gogou i jej miejsce na marginesie kanonu poetów nowogreckich pokolenia lat siedemdziesiątych XX wieku. Przekład wierszy Kateriny Gogou z tomu „Trzy kliknięcia na lewo” z 1978 roku oraz próba ich odczytania*. Zajmuje się przekładami z nowogreckiego, przede wszystkim poezji. Założycielka wydawnictwa HARMOLIPI.

KATARZYNA SZWEDA

Poetka, fotografka, tłumaczka. Wychowywała się w Beskidzie Niskim na Wrzosowej Polanie. Autorka dwóch książek poetyckich *Bosorka* (2020, nominowana do Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego, Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka oraz do nagrody poetyckiej Silesius w kategorii Debiut) i *zemia vulgaris* (2023, nominacja do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej). Dwukrotnie wyróżniona Stypendium Twórczym Miasta Krakowa. Laureatka sekcji ShowOFF Miesiąca Fotografii w Krakowie 2022.

KIRIAKOS TAPAKOUDIS [Κυριάκος Ταπακούδης]

Ur. w 1953 w Chloraka w dystrykcie Pafos. Pisarz grekokyprijski. Autor zbiorów opowiadań, których tem jest rodzinna miejscowość, jej obyczaje historia i wzajemne relacje międzyludzkie. Najnowszy zbiór to *Ιστορίες του καφενέ* (*Historie z kafenionu*, 2023).

MARTA TOMCZYK-MARYON

Ur. w 1968 w Krakowie. Poetka, prozaiczka, blogerka i dziennikarka. Autorka książek edukacyjnych m.in. *Jak czytać wiersze? (Interpretacje wierszy)* (2006), *Jak czytać wiersze i oglądać obrazy?* (2010) oraz biografii *Wyspiański* (2009). Pisuje horrory i opowiadania kryminalne (dwukrotnie laureatka konkursu na opowiadanie Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, jeden z nagrodzonych tekstów ukazał się w zbiorze *Zmyślone kroniki kryminalnego Wrocławia*, 2015). Prowadzi dwujęzyczny blog „Trolle i misie” poświęcony skandynawskiej literaturze dla dzieci i młodzieży: <http://trolleimisie.blogspot.no>. W roku 2015 zdobyła I nagrodę w konkursie poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Opublikowała tomy wierszy *Sto par bytów* (2016) oraz *Niebogłos* (2023). Od 2010 mieszka w Norwegii.

TERESA TOMSIA

Ur. w 1951 w Wołowie. Absolwentka polonistyki (UAM), poetka, eseistka, animatorka kultury, autorka prozy dokumentalizowanej *Dom utracony, dom ocalony* (2009), scenariuszy, tekstów pieśni. Jej wiersze tłumaczone były na języki niemiecki i francuski (*Schöner – Piękniejsze – C'est plus beau*, 2000), znajdują się w antologiach: *Poznań Poetów* (2011); *wieczór / vespera. Poezja / antologia „Toposu”* (2020), antologia polskiej poezji katastroficznej *Rzeki ogniste* (2022). Autorka tomików wierszy: *Gdyby to było proste* (2015), szkiców literackich *Niedosyt*

poznawania (2018). We „Frazie” publikuje cykl *W pamięci, w odbiciu*. Ostatnio wydała wybór wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (2021) i zbiór liryków paryskich *W znikającym ogrodzie* (2023, nominacja do XIII edycji Nagrody im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz 2024). Pochodzi z rodziny o ziemiańskich tradycjach kresowych, w swoich tekstach podkreśla rolę dialogu i otwartości na innego. Pomysłodawczyni i redaktorka almanachu polsko-ukraińskiego *Czas pojąć ten świat – czas ukoić ból* (zrealizowanego przy współpracy paryskiego portalu polonijnego „Recogito”), w tłumaczeniu Oleny Stepaniuk (FONT 2024). Od 1993 należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Poznaniu.

NINA ANNA TRZASKA

Wykładowczyni na filologii nowogreckiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zajęcia z języka greckiego i translatoryki prowadzi również na Uniwersytecie Warszawskim. Przełożyła na język polski powieść *Morderczyni* Aleksandrosa Papadiamandisa (t. XII serii *Arcydzieła Literatury Nowogreckiej* pod red. Małgorzaty Borowskiej); esej Emmanuila Roidisa *Wampiry średniowiecza* (zaprezentowany w trakcie wieczoru translatorskiego poznańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Filologicznego) oraz opowiadania *Frappe* Petrosa Markarisa, które ukaże się w antologii greckich opowiadań kryminalnych wydawnictwa Greckie Klimaty. Przygotowuje dysertację doktorską – krytyczny przekład dziesięciu tekstów z czterech języków obcych, ilustrujących nowogreckie wierzenia wampiryczne. Publikowała artykuły naukowe (w tym o tematyce translatorskiej) w czasopismach: „Nowy Filomata”, „Scripta Philologica Posnaniensia”, „Porównania”, „Byzantion nea hellás”.

KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Słabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009; Krakowska Książka Miesiąca), *Szept nad szeptami* (2016), *Wielki Brat Zachód* (2023, drukowany we fragmentach we „Frazie”). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (ostatnio cykl wspomnień z dzieciństwa *Lampa z końskiej czaszki*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopismach: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Pseyfas”, „Gag” (Izrael).

SÜLEYMAN ULUÇAMGİL

(1944–1964). Ur. w Dağyolu koło Kyrenii, po skończeniu liceum w Nikozji wyjechał na studia prawnicze do Turcji. Na wieść o wybuchu krwawych zamieszek na Cyprze wrócił do ojczyzny. Brał udział w obronie Erenköy, gdzie zginął w eksplozji pozostawionej przez Greków pułapki bombowej. Zadebiutował w okresie nauki w liceum i od razu zyskał dużą popularność. W jego wierszach pojawiają się motywy: miłości do ojczyzny, wolności, piękna przyrody, miłości i śmierci. Zajmuje ważne miejsce w historii literatury Turków cypryjskich.

ANNA MARIA WIERZCHUCKA

Poetka, artystka recyklingująca, feministka, atcistka, osoba biseksualna, larwa. Laureatka głównej nagrody XX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2024. Mieszkała w Irlandii i Nowej Zelandii, obecnie osiadła w Kanadzie.

NEŞE YAŞIN

Ur. w 1959 w Nikozji, poetka i felietonistka, córka jednego z najwybitniejszych literatów tureckocypryjskich, Özkera Yaşına. Studiowała socjologię w Ankarze, w 1986 powróciła na na Cypr. Wykształcenie uzupełniała na Uniwersytecie Cypryjskim w Nikozji (w Republice Cypryjskiej). Publikuje w tureckich i greckich czasopismach, dzieli swoje życie pomiędzy południową i północną część wyspy. Aktywistka na rzecz pokoju i pojednania. Wydała dziewięć tomików poetyckich.

ÖZKER YAŞIN

(1932–2011). Poeta, prozaik, dramaturg, eseista, wydawca czasopism. Ur. w Nikozji, dzieciństwo i młodość spędził w Stambule, gdzie skończył liceum. Poczęć zaczął tworzyć jeszcze w latach

szkolnych, pierwszy wiersz opublikował w 1946. Po powrocie na Cypr w 1950 podjął pracę w redakcjach czasopism, w 1952 wydał pierwszą książkę poetycką. Był posłem do parlamentu cypryjskiego w latach 1970–1974, później tę funkcję pełnił w parlamencie tureckocypryjskim. W 1986 przeprowadził się do Stambułu. W jego twórczości dominuje problematyka narodowa i patriotyczna.

MARILENA ZACKHEOS [Μαρίλένα Ζαχαρίας]

Dorastała w Moskwie, Pekinie, Nikozji, Genewie i Nowym Jorku. Publikowała artykuły na tematy postkolonializmu, psychoanalizy i traumy, płci i seksualności. Jest członkinią organizacji Write CY, Stowarzyszenie na Rzecz Dialogu i Badań Historycznych oraz Accept-LGBT Cyprus oraz grupy zadaniowej ds. kultury i pamięci Cypryjskiego Forum Dialogu. Debiutowała w języku angielskim tomem wiersz *Carmine Lullabies* (2016).

GRAŻYNA ZAJĄC

Dr hab., prof. UJ, filolożka orientalistka, turkolożka, kierownik Katedry Turkologii w Instytucie Orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłumaczka literatury tureckiej i azerbejdżańskiej. Beneficjentka stypendium badawczego rządu Republiki Turcji (Ankara, 1993) i stypendium American Research Institute in Turkey (Stambuł–Ankara, 2003). Główne obszary jej zainteresowań naukowych to: literatura turecka przełomu XIX i XX wieku, literatura współczesna, autobiografia, literatura Turków cypryjskich. Jest autorką ponad osiemdziesięciu artykułów naukowych i trzech książek: *Smutna ojczyzna i ja smutny. Kręgi literackie epoki Abdülhamita II w świetle tureckiej autobiografii* (2008); *Ciało twoje, kości moje... Rodzina i szkoła epoki Abdülhamita II w świetle tureckiej autobiografii* (2013); *Ożenek poety İbrahima Şinasiego i narodziny teatru tureckiego* (2014). Trzykrotnie nagrodzona przez prezydenta północnego Cypru za popularyzowanie literatury Turków cypryjskich.

MONIKA ZAJĄC-CZERKIES

Animatorka kultury, poetka, fotografka, dziennikarka. Pasjonatka starego kina i malarstwa, badaczka drzew genealogicznych. Pomysłodawczyni spotkań „Stare kino wciąż młode”, gdzie opowiada o przeszłości X Muzy i prezentuje prywatne zbiory. Prowadzi blog „Film-olśnienia, czyli KADRY ZE SNU. Blog Moniki Zajęc-Czerkies” oraz na antenie Radia Rzeszów z Adamem Głaczynskim audycję „Filmowy Wehikuł Czasu”. Związana z Peronem Literackim Biblioteki Kraków i Kółem Młodych przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Krakowie. Członkini Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie oraz Brzozowskiego Uniwersytetu Ludowego. Laureatka konkursów poetyckich i fotograficznych. W 2024 zadebiutowała tomem *Prze(d)świt* z przedmową Józefa Barana (seria „Biblioteka Młodych” SPP Oddział w Krakowie). Mieszka w Trzcianie k. Rzeszowa.

GRAŻYNA ZAMBRZYCKA

Ur. w 1986 w Olsztynie, poetka, tłumaczka. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Autorka tomów poetyckich: *Wiersze i pieśni* (1993), *Opowiedzieć jeszcze raz* (1995), *Litery dla Safony* (2002), *Karmelitanka. Wieniec* (2003), *Godzina w katedrze* (2008), *Portret z lustrem w tle* (2010), *Bóg miodu. Notatnik jukatański* (2011), *Niewidzialny zapach* (2015), *Ślady* (2019; nominacja do Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie), *Bursztynowy niedźwiedź* (2021), *Księga przyjaciół* (2023; nominacja do Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie). Wiersze publikowała m.in. na łamach „Akcentu”, „Borusi”, „Frazy”, „Zeszytów Literackich”, „Toposu” oraz w *Antologii poezji polskiej na obczyźnie 1939-1999*, opracowanej przez Bogdana Czaykowskiego (2002). W 2013 r. ukazał się w jej tłumaczeniu tom Ryszarda Mirabela *Wiersze*, którego angielska wersja została wydana rok wcześniej w Vancouver. Laureatka nagrody Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich (2010). Od 1981 mieszka w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej (Kanada).

MATYŁDA ZATORSKA

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego. Doktorka literaturoznawstwa. Sekretarzynie redakcji kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza”. Współredaktorka dwóch tomów monografii *Inny w podróży* (2017) oraz książki *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości*

Andrzeja Stasiuka (2018). Szkice i recenzje publikowała w czasopismach naukowych i monografiach zbiorowych. Mieszka w Łańcucie.

MARIA ZIELONKA

Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie ukończyła studia magisterskie na kierunku filologia polska na podstawie pracy *Obraz XIX-wiecznego małżeństwa w powieściach Elży Orzeszkowej „Pamiętnik Wacławy. Ze wspomnień młodej panny” i „Marta”* pod kierunkiem prof. dr hab. Ewy Graczyk. Właścicielka kryminologii kierunku patologii społecznej i psychologia sądowo-penitencjarna. Opublikowała artykuły naukowe w czasopismach: „Kortowski Przegląd Prawniczy”, „Prace Literaturoznawcze” i „Acta Neophilologica”.

ZAPROSILI NAS

Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie na vernisaż wystaw: Barbary Hubert *Ona i ona* i malarstwa Magdaleny Cywickiej – 14.11.2024; *Obraz, rysunek, grafika, rzeźba roku 2024* połączony z wręczeniem nagród – 12.12.2024; 12. Triennale Malarstwa Regionu Karpat – Srebrny Czworokąt 2024 – 23.01.2025.

Latający Teatr Kantorowi na spektakl *Anatomia zdarzeń. Kieszenie pełne wspomnień* i spotkanie z twórcami – Centrum Młodzieży w Rzeszowie 16.11.2025.

Krośnieńska Biblioteka Publiczna na: spotkanie z podróżnikiem Piotrem Kolanko (współorganizacja Krośnieński Uniwersytet Trzeciego Wieku) – 18.11.2024; promocję albumu Zbigniewa Więcka *Krosno widokówką opisane część II* (współorganizator Stowarzyszenie Miłośników Krosna) – 20.11.2024; spotkanie z poetką Patrycją Pelczar-Reszko (prowadzenie Aleksandra Szponar, autorka bloga Pasjonatka poleca) – 27.11.2024; vernisaż wystawy ikon Doroty Frydrych – Salonik Artystyczny Biblioteki – 11.12.2024; vernisaż wystawy fotografii *Leśne fotografie 2024* i wręczenie nagród laureatom konkursu (współorganizator Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie – 12.02.2025.

Biblioteka w Ratuszu w Dzierżoniowie na spotkanie z Adamem Lizakowskim, autorem książki *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* – 20.11.2024.

Dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego do Galerii Instytutu Sztuk Pięknych im. prof. Włodzimierza Kotkowskiego na otwarcie wystaw: malarstwa Piotra Wójtowicza *Bez szyfrowania* (kurator Tadeusz Boruta, koordynacja Joanna Janowska-Augustyn) – 21.11.2024; XVI edycji Nagrody im. Jerzego Panka za Najlepszy Dyplom Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego – 16.01.2025.

Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie na: Zaduszki Artystyczne i vernisaż wystawy Marii Markowskiej (1923–1994) z cyklu *In memoriam* – 21.11.2024; vernisaż wystawy Bolesława Biegasa *Peregrynacje* z udziałem prof. Jana Wiktora Sienkiewicza (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu) – 18.02.2025.

Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie na vernisaż wystawy malarstwa Agaty Kus *Vanitas vibes* (kurator Magdalena Ujma) – 22.11.2024; ostatnie spotkanie z cyklu *Wszystko jest poezją: Władysław Broniewski* (animator: Jacek Buczyński) – 7.12.2024; vernisaż wystawy Dagmary Jemioły-Hryniewicz *zagrożOne* – 17.01.2025.

Dyrekcja i Zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie na premiery spektakli: *Gdzie jest mój mąż?* w reżyserii Pawła Aignera połączoną z obchodami 80-lecia sceny dramatycznej w Rzeszowie – 23.11.2024; *Kontrakt* w reżyserii Sławomira Gaudyna – 22.12.2024; rzeszowską premierę spektaklu *Mąż i żona* w reżyserii Marcina Sławińskiego – 11.01.2025.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Galeria na Smolnej w Warszawie na vernisaż wystawy *Czesław Miłosz w Kalifornii w fotografii Adama Lizakowskiego* i spotkanie z autorem zdjęć (prowadzenie Anna Nasiłowska, oprawa muzyczna Andrzej Rejman) – Galeria na Smolnej 25.11.2024.

Teatr Maski i Teatr Przedmieście w Rzeszowie festiwal Źródła pamięci. Szajna – Grotowski – Kantor – 28–30.11.2024.

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemysłu na: wystawę z cyklu *Artyści z naszego podwórka 36* – Cezariusza Kotowicza *Okolice Przemysłu w malarstwie* z okazji 90. urodzin artysty i spotkanie z autorem – 29.11.2024 (wystawa prezentowana do 17.12.2024); spotkanie *Mój Herbert* z okazji 100 rocznicy urodzin poety (12 wierszy w interpretacji: Marii Gibały, Haliny Dębickiej, Matcusza Pieniążka, Mieczysława Szabagi, Antoniego Trojanowskiego, Piotra Zbrożka) – 11.12.2024; wystawę *Artefakty 24 Varianty* (komisarz Ryszard Kucab, uczestnicy: Magdalena Bukowska, Dariusz Grabowski, Grażyna Jałowicz, Wacław Jałowicz, Piotr Albert Koczaj, Ryszard Kucab, Pamela Mączyńska, Roman Przewoźnik, Adam Sypel) – 22.12.24–14.01.2025 i spotkanie z autorami – 10.01.2025; wernisaż wystawy z cyklu *Artyści z naszego podwórka 37* – malarstwa Marka Mikruta *Patrzac* – 17.01.2025.

Uniwersytet Rzeszowski i Uniwersytet Śląski w Katowicach na Ogólnopolską Konferencję Naukową „*Lingua Adamica. O życiu i twórczości Adama Czerniawskiego*” – Uniwersytet Rzeszowski 7–8.12.2024.

Elektromontaż Rzeszów S.A. i Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych do Galerii Na Najwyższym Poziomie Elektromontażu Rzeszów na wernisaże: wystawy *Zapamiętać las II* (malarstwo Krystyny Rudzkiej-Przychody, lubelski bursztyn Lucjana Gazdy, poezja Krystyny Lenkowskiej) – 10.12.2024; wystawę z okazji 35 istnienia grupy artystycznej Na Drabinie (Krzysztof Motyka, Antoni Nikiel, Marek Adam Olszyński, Marek Pokrywka) – 13.02.2025.

Stowarzyszenie Rajsze na premierę drugiej części tłumaczenia poematu *Rajsze* Berisha Weinsteina z udziałem tłumacza Marka Tuszewickiego i recytującej fragmenty poematu Anny Kukulowicz – Kino za Rogiem Café 10.12.2024.

Koło Naukowe Pragmatyki Komunikacyjnej, Zakład Pragmatyki Komunikacyjnej Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego na projekcję filmu *Bolek* i spotkanie z jego twórcami – Aula im. św. Królowej Jadwigi UR 17.12.2024.

Jan Pastuła do Pastuła Gallery w Porębach Kupieńskich (Kupno 492) na wernisaż wystawy Marka Adama Olszyńskiego *Instrukcja obsługi 1984–2025* – 15.02.2025.

Paweł Szczygieł Prezes Zarządu Dziedzictwa Szkła w Krośnie oraz Tomasz Rolniak (autor) na wernisaż wystawy *Deszczowniki* – Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie (Piwnice Przedprożne na rynku) 21.01.2025.

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie na wernisaż wystawy malarstwa Józefa Machały – 3.02.2025.

PUBLIKACJE NADESŁANE

CZASOPISMA

„Format Literacki” 2024, nr: 11, 12.

„Nowa Kronika Wałbrzyska”, t. 10, red. Piotr Retecki, Fundacja Museion, Wałbrzych 2024.

„Odra” 2024, nr 11 (745, 12 (746).

„Topos” 2024, nr 5 (195), 6 (196)

„Twórczość” 2024, nr 11 (948), 12 (949)

POEZJA

Anna Andrusyszyn, *Pytania do artystów malarzy*, seria „Struktury”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzręcze 2024.

Edward Balcerzan, *Domysły*, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, seria „Tablice”, Szczecin, Bezzręcze 2024.

Joanna Chachula, *Wrostki*, Biblioteka „Toposu”, T. 221, Gdynia–Kraków 2024.

- Zygmunt Ficck, *Zbiegowisko czasu*, postłowie: Józef Baran, Księgarnia Akademicka, Kraków 2024.
- Przemysław Dakowicz, *Wyrzgnąć. Wiersze i poematy metafizyczno-katatoniczne*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024.
- Łucja Dudzińska, *Bez-Troska. Próby wyrazu / Miss-Concern. Attempts at Expression*, translated Anna Blasiak, Biblioteka FONT / Profile, t. 2, Oddział Wielkopolski SPP w Poznaniu, Poznań 2024.
- Piotr Durak, *Raport zza mgły*, fotografie P. Durak, Oficyna Wydawnicza RuthenicArt, Krosno 2018.
- Piotr Durak, *Zepsutość*, zdjęcia P. Durak, Samorządowe Centrum Kultury w Mielcu, Mielec 2024.
- Anna Frajlich, *Odrastamy od drzewa*, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy, seria „Tablice”, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Wojciech Gawłowski, *Polowanie na chimery*, Biblioteka „Toposu”, T. 222, Gdynia–Kraków 2024.
- Hiacynt Górnicki, *Mała kosmogonia. Wiersze*, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia, Sandomierz 2024.
- Eugène Guillevic, *Mieszkańcy świata*, wybór i przekład: Kazimierz Brakoniecki, seria „Szesnaście i pół”, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Mieczysław Haiman, *Herodot Polonii poetę. Wiersze wybrane*, wybór, układ, wstęp i zarys poetyckiej biografii: Teresa Kaczorowska, Wydawnictwo PWP „GRYF” S.A., Ciechanów 2005.
- Zdzisław Lipiński, *Krople*, seria „Wiek 21”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2023.
- Tomasz Majzel, *Części*, Dom Kultury „13 Muz”, seria „Wiek 21”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Anna Nasiłowska, *Wiersze stacjonarne*, Biblioteka FONT / Profile, t. 4, Oddział Wielkopolski SPP w Poznaniu, Poznań 2024.
- Karol Samsel, *Autodafe 7*, seria „Wiek 21”, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Magdalena Maria Wichlacz, *Pod horyzontem Czasu. Poezja i aforyzmy (wybór z lat 2018-2024)*, ilustracje: Marek Chaczyk, Biblioteka Aspektów Filozoficzno-Prozatorskich, Wydawnictwo Aspektpress, Inowrocław 2024.
- Andrzej Wojciechowski, *Zdychota. Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Lesław Wolak, *Podszept wiatru. Krótkie historie*, Biblioteka Wrocławskiego Oddziału SPP, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2024.

PROZA

- Dariusz Bitner, *Cud*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024.
- Adrian Gleń, *i*, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Gabriel Leonard Kamiński, *Wrocławska abrakadabra*, seria „Piętnastka”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Krzysztof Maciejewski, *Dwadzieścia jeden*, seria „Piętnastka”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Piotr Michałowski, *Urbs ex nihilo. Raport z porzuconego miasta*, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Anna Maria Mickiewicz, *Listy z Londynu*, postłowie: Eliza Kącka, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bezzrecze 2024.
- Marek Warchoł, *Bezdzień*, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz” seria „Kwadrat”, Szczecin, Bezzrecze 2024.

INNE

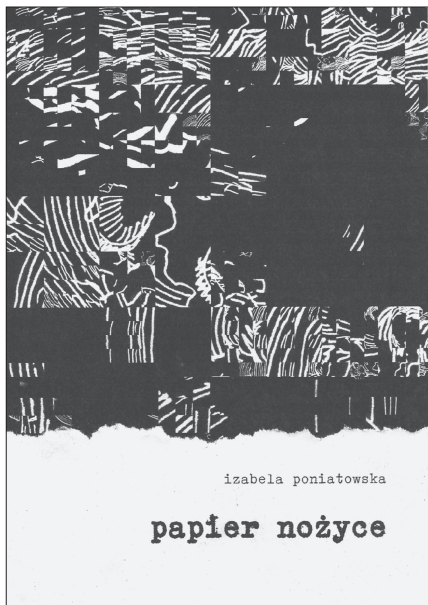
- Łukasz Kucharczyk, *Granice ludzkiego poznania. O wybranych aspektach twórczości Jacka Dukaja*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2024.
- Wojciech Kudyba, *Poezja jest podróżą. O wierszach Janusza Stanisława Pasierba*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2023.
- Wojciech Ligęza, *Drugi nurt. O poetach polskiej dwudziestowiecznej emigracji*, W seria „Wiek 21”, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Szczecin, Bezzecze, Toronto 2024.
- Anna M. Szczepan-Wojnarska, *Uwierzyć słowom. O poezji Jerzego Lieberta*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2023.
- Maciej Urbanowski, *Wojna, śmiech, polityka. Wędrówki po tematach polskiej literatury nowoczesnej*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2023.
- Ryszard Zajączkowski, *Literatura życiem pisana. Oblicza dzieła Romana Brandstaettera*, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2023.

KOMUNIKATY

XX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2024

Jury konkursu w składzie: Joanna Mueller – przewodnicząca, Magdalena Rabizo-Birek, Piotr Kępiński po zapoznaniu się z 21 nadesłanymi i zakwalifikowanymi do konkursu zestawami wierszy postanowiło na posiedzeniu online w dniu 15 listopada 2024 roku, że: I nagrodę, czyli tysiąc złotych, wydanie książki poetyckiej i zestaw książek otrzyma **Anna Maria Wierzhucka** (godło „aksołotł drutowiec”). II i III nagrody nie przyznano. Jury przyznało też dwa wyróżnienia po 300 zł plus zestaw książki, które otrzymali: **Marta Jurkowska** (godło „asparagus”), **Rafał Skonieczny** (godło „2-końce”). Finał konkursu odbył się 14 grudnia 2024 roku w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Olkuszu. Oprócz rozdania nagród odbyły się też spotkania poetyckie – z Izabelą Poniatowską, laureatką XIX edycji konkursu (autorką tomu wierszy *papier nożyce*, GSW BWA Olkusz 2024), i Sławomirem Płatkim, autorem tomu *obszar niejasny* (Wydawca Fundacja AFRONT, Bukowno 2024). Mecenasami konkursu są: Marszałek Województwa Małopolskiego, Starosta Powiatu Olkuskiego, Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA, Fundacja Kultury AFRONT oraz Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka. Patronat medialny: Kwartalnik „Fraza” i Kwartalnik Literacko-Artystyczny „Afront”.

„FRAZA” POLECA:



Izabela Poniatowska, *papier nożyce*, projekt okładki I. Poniatowska, redakcja Olgerd Dziechciarz, Galeria Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olkusz, Olkusz 2024, ss. 39. Książka wydana jako nagroda główna XIX Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2023.

Cena: 35 zł

Debiutancki zbiór wierszy Izabeli Poniatowskiej to – jak wskazuje tytuł – zbiór wierszy tnących ostro i radykalnie, rejestrujących przejawy przemocy w skali mikro (w codziennych sytuacjach, triggerujących wspomnień, w tkance relacji), co daje nam mechanikę agresji także na poziomie makro (politycznym, społecznym, kulturowym).

Joanna Mueller

W obfitującej w tropy semantyczne i skojarzeniowe poezji Izabeli Poniatowskiej słowa pulsują, interferują, prowokują.

Ryszard Mścisz

Wydawnictwa „Frazy”, dawne i nowe numery pisma w cenie 20 zł można zamówić pod internetowym adresem fraza@univ.rzeszow.pl, dokonując opłaty na konto: PKO I/O Rzeszów 89 1020 4391 0000 6602 0043 7079.